

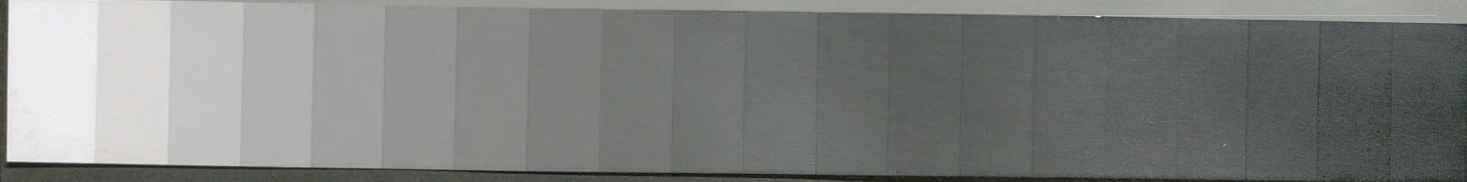
Grey Scale #13



Part Code
ST1316

DANES
PICTA
.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



TOWARZYSTWO BADANIA HISTORJI OBRONY LWOWA
I WOJEWÓDZTW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH

OBRONA LWOWA

1-22 LISTOPADA 1918

RELACJE UCZESTNIKÓW

Z wstępem słowem Generała Juliana
Stachiewicza oraz przedmową Generała
Bolesława Popowicza i Profesora Sta-
niława Zakrzewskiego.



WE LWOWIE 1933

NAKŁADEM TOWARZYSTWA

SKŁAD GŁÓWNY: BIURO T-WA, LWÓW, PLAC BERNARDYŃSKI L. 6
GMACH D. O. K. Nr. VI.

Centimetres

Blue

Cyan

Green

Yellow

Red

Magenta

White

3/Color

Black

Colour Chart #13



TOWARZYSTWO BADANIA HISTORJI OBRONY LWOWA
I WOJEWÓDZTW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH

OBRONA LWOWA

1—22 LISTOPADA 1918

RELACJE UCZESTNIKÓW

Z wstępem słowem Generała Juliana
Stachiewicza oraz przedmową Generała
Bolesława Popowicza i Profesora Sta-
niława Zakrzewskiego.



WE LWOWIE 1933

NAKŁADEM TOWARZYSTWA

SKŁAD GŁÓWNY: BIURO T-WA, LWÓW, PLAC BERNARDYŃSKI L. 6

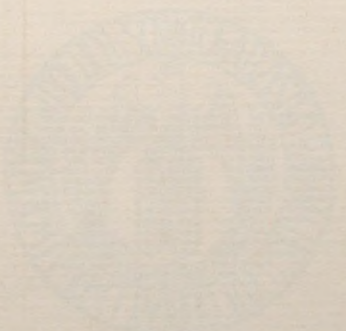
GMACH D. O. K. Nr. VI.

OBRONA LWOWA

1—22 LISTOPADA 1918

OBRONA LWOWA

1—22 LISTOPADA 1918



TOWARZYSTWO BADANIA HISTORJI OBRONY LWOWA
I WOJEWÓDZTW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH

ŹRÓDŁA DO DZIEJÓW WALK O LWÓW
I WOJEWÓDZTWA POŁUDNIOWO-WSCHODNIE
1918 — 1920

T O M I

Redakcję tomu pierwszego z ramienia Komisji Naukowej Towarzystwa sprawowali: mjr. dr. Eugenjusz Wawrzkowicz, sekretarz Komisji i kpt. dypl. Aleksander Kawałkowski, delegat Szefa Wojskowego Biura Historycznego.

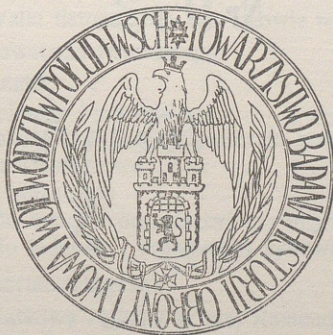
TOWARZYSTWO BADANIA HISTORJI OBRONY LWOWA
I WOJEWÓDZTW POŁUDNIOWO - WSCHODNICH

OBRONA LWOWA

1—22 LISTOPADA 1918

RELACJE UCZESTNIKÓW

Z wstępem słowem Generała Juljana
Stachiewicza oraz przedmową Generała
Bolesława Popowicza i Profesora Sta-
niława Zakrzewskiego.



WE LWOWIE 1933

NAKŁADEM TOWARZYSTWA

SKŁAD GŁÓWNY: BIURO T-WA, LWÓW, PLAC BERNARDYŃSKI L. 6

GMACH D. O. K. Nr. VI.

32441 : 03(438) 11 : 355 91(438) a

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Copyright by Tło Badania Historji Obrony Lwowa i Województw
Południowo-Wschodnich. Lwów 1933.

Nr. 973

30644/2



Odbito numerowanych egzemplarzy 3000 na papierze argentyńskim,
100 egzemplarzy na papierze czerpanym japońskim w Zakładach Gra-
ficznych: Pierwsza Związkowa Drukarnia we Lwowie, ul. Lindego 1. 4.

SPIS RZECZY

	Strona
SŁOWO WSTĘPNE	VII
PRZEDMOWA	XI
KAROL BACZYŃSKI, Wspomnienia z czasu obrony Lwowa	1
✓ MIECZYŚLAW BORUTA-SPIECHOWICZ, Walka o Lwów (1—22 listopada 1918 r.)	25
TADEUSZ FELSZTYN, Relacja o Szkole Sienkiewicza i Grupie Cytadeli	65
1. Przed 1 listopada	67
2. Dzień 1 listopada	70
3. Od 2 do 4 listopada	77
4. O osobę ś. p. mjr. Trześniowskiego	80
5. Od 5 do 18 listopada	85
6. Natarcie w dniu 21 listopada	93
7. Grupa Cytadeli w dniu 21 listopada	101
ANTONI JAKUBSKI, Walki listopadowe we Lwowie w świetle krytyk	109
I. Organizacja powstania lwowskiego.	
1. Czasy i ludzie	117
2. Sprawa ogólnego kierownictwa	143
3. Pierwsze plany działania. Organizacja grup bojowych . .	151
4. Organizacja Dowództwa	158
5. Sprawy mobilizacyjne	186
6. Stosunek do władz i organizacji cywilnych	191
7. Stosunek do ludności i organizacji żydowskich	209
II. Sprawy operacyjno-taktyczne.	
8. Akcja początkowa i udział w niej Komendy Naczelnej . .	216
9. Druga faza walk listopadowych	238
10. Ocena strategicznego położenia. Plan działania odsieczy .	255
11. Akcja otoczenia Lwowa i jej przeprowadzenie bojowe .	267
✓ 1 ANTONI KAMIŃSKI, Relacja o wypadkach lwowskich w listopadzie 1918 r.	283
P. 3 LUDWIK DE LAVEAUX, Rola P. O. W. w przygotowaniu obrony Lwowa i rokowania polsko-ukraińskie	333

	Strona
WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE, Kwestjonariusz do płk. Mączyńskiego w sprawie listopadowej obrony Lwowa	367
2 CZESŁAW MĄCZYŃSKI, Odpowiedź na kwestjonariusz o listopadowej obronie Lwowa	375
7 TADEUSZ MICHAŁ NITTMAN, Mój udział w pracach związku „Wolność” i P. O. W.	415
ANNEKSY: Raport służbowy mjr. Trzeńskiego, Lwów, 10 grudnia 1918.	425
Rozkaz operacyjny Grupy Trzeńskiego	436
SKOROWIDZ NAZWISK	439



SŁOWO WSTĘPNE

Dzieło to przedstawia w naszej literaturze historycznej pozycję nową i całkowicie odrębną. Jest to wystarczający powód, dla którego zasługuje na kilka uwag, poprzedzających właściwą treść.

Historja wojny polsko-ukraińskiej w roku 1918/19 jest tym fragmentem ogólnych dziejów odbudowania Państwa Polskiego, który stosunkowo najpóźniej będzie mógł doczekać się pełnego opracowania naukowego. Warunki, w których ta wojna się toczyła, zwłaszcza przygotowania do niej i okres walk początkowych w listopadzie 1918 roku, nie sprzyjały powstawaniu archiwów i przechowywaniu ich zawartości. W chwili obecnej badania historyczne na tym odcinku utykają z powodu ubóstwa materiałów polskich i zupełnego niemal braku źródeł archiwalnych ukraińskich.

Wojskowe Biuro Historyczne, rozpoczynając przed kilku laty pracę nad historją walk polsko-ukraińskich o Lwów w listopadzie 1918 roku, spotkało się przede wszystkim z brakiem archiwum Komendy Naczelnej W. P. we Lwowie. Przeprowadzona z tego powodu akcja ankietowa dostarczyła kilkunastu cennych relacji od wybitniejszych uczestników wydarzeń. Wypłynęło przy tej sposobności wiele dokumentów pierwszorzędnej wartości historycznej. Okazało się, że mimo brak

archiwów, materiały istnieją, rozsiane i przechowywane z najrozmaitszych pobudek przez osoby prywatne.

W wyniku doświadczeń ankietowych zostało powołane do życia Towarzystwo Badania Historji Obrony Lwowa i Województw Południowo-Wschodnich. Dzięki energicznemu kierownictwu organizacyjnemu Prezesa, Gen. bryg. Bolesława Popowicza, Towarzystwo w ciągu trzyletniej działalności zebrało ogromną ilość materiałów o charakterze dokumentalnym i relacyjnym. Treść tego tomu jest owocem wspólnych i na zasadach ścisłej współpracy opartych wysiłków Towarzystwa i Wojskowego Biura Historycznego.

Odrębny, pośród najrozmaitszych wydawnictw źródeł historycznych, charakter tego tomu polega na jego koncepcji. Zebrane w nim zostały relacje ludzi, którzy żyją, którym można było stawiać pytania i kierować ich odpowiedziami. Rzeczy zawartych w tym tomie nie znajdzie historyk w żadnej bibliotece i w żadnym archiwum, przedstawiają one bowiem często tajemnice, które ludzie zabierają ze sobą zwykle do grobu. Tylko dzięki planowej pracy, polegającej na odnalezieniu osób, które naprawdę mają do mówienia, jako aktorzy zjawisk dziejowych, można było osiągnąć takie wyniki. Ta metoda dotarcia do żywych źródeł prawdy historycznej sprawiła, że relacje, składające się na treść tego dzieła, różnią się zasadniczo od pamiętników i wspomnień, pisanych bez kierownictwa lub ogłaszanych po śmierci autorów.

Pragnąłbym zwrócić uwagę czytelnika na jedną jeszcze okoliczność, różniącą to dzieło od innych publikacji historycznych. Oto zawiera ono prace ludzi, którzy w toku zdarzeń stali na stanowiskach wręcz sobie przeciwnych, w szeregach wrogich sobie obozów politycz-

nych lub formacyjnych. Wysiłek, skierowany w celu sprowadzenia tych ludzi, już jako źródeł historycznych, na wspólny grunt naukowy, nie poszedł na marne. Okazało się, że przy dobrej woli można do pewnych zagadnień z niedawnej stosunkowo przeszłości, odnosić się bez żółci i wziąć udział w pracy nad odszukaniem prawdy dziejowej, nie rezygnując z zachowania osobistego poglądu na wydarzenia; historii nie można wprowadzić w błąd, można natomiast i trzeba ułatwić jej zadania przez szczere ujawnienie posiadanych wiadomości. Zrozumienie tych prawd przez naszych relacjonistów przebiega z tonu i formy wszystkich pomieszczonych tu prac.

Zbiór źródeł do dziejów walk polsko-ukraińskich w listopadzie 1918 roku wzbogaca niewątpliwie w sposób poważny polską literaturę historyczną. Nie jest to jednak jego wartość jedyna. Jest on zarazem próbą zapoczątkowania nowych metod w gromadzeniu materiałów historycznych, próbą nieliczenia się z przeszkodami, wynikającymi z różnic politycznych i sprzeczności osobistych, dzielących żywe źródła historyczne nawet w chwili ich wypowiedzania się. Jest rzeczą czytelników ocenić, w jakim stopniu próba ta uwieńczona została powodzeniem.

Gen. bryg. Józef Stachiewicz
Szef Wojskowego Biura Historycznego.

W tym celu należy przede wszystkim zwrócić uwagę na to, że w tym czasie, kiedy w naszym kraju trwa wojna, a my musimy być gotowi do poświęceń, nie możemy sobie pozwolić na to, abyśmy nie byli gotowi do poświęceń. W tym celu należy przede wszystkim zwrócić uwagę na to, że w tym czasie, kiedy w naszym kraju trwa wojna, a my musimy być gotowi do poświęceń, nie możemy sobie pozwolić na to, abyśmy nie byli gotowi do poświęceń.

W tym celu należy przede wszystkim zwrócić uwagę na to, że w tym czasie, kiedy w naszym kraju trwa wojna, a my musimy być gotowi do poświęceń, nie możemy sobie pozwolić na to, abyśmy nie byli gotowi do poświęceń. W tym celu należy przede wszystkim zwrócić uwagę na to, że w tym czasie, kiedy w naszym kraju trwa wojna, a my musimy być gotowi do poświęceń, nie możemy sobie pozwolić na to, abyśmy nie byli gotowi do poświęceń.

W tym celu należy przede wszystkim zwrócić uwagę na to, że w tym czasie, kiedy w naszym kraju trwa wojna, a my musimy być gotowi do poświęceń, nie możemy sobie pozwolić na to, abyśmy nie byli gotowi do poświęceń. W tym celu należy przede wszystkim zwrócić uwagę na to, że w tym czasie, kiedy w naszym kraju trwa wojna, a my musimy być gotowi do poświęceń, nie możemy sobie pozwolić na to, abyśmy nie byli gotowi do poświęceń.



PRZEDMOWA

Ideą przewodnią tego tomu jest udostępnienie czytelnikowi polskiemu zbioru najważniejszych relacji źródłowych do dziejów początkowego okresu walk polsko-ukraińskich w roku 1918/19.

Aby cel i potrzeba tego wydawnictwa stały się zrozumiałe, należy omówić, bodaj w kilku zdaniach, dzisiejszy stan badań nad zagadnieniem walk o południowo-wschodnie ziemie Rzeczypospolitej, stoczonych przez naszą młodą państwowość w pierwszym roku bytu niepodległego.

W ciągu dziesięciolecia powojennego ukazało się w literaturze polskiej kilkadziesiąt publikacji, poświęconych temu zagadnieniu. Oprócz kilku drobnych przyczynków, nie posiadają one charakteru obiektywnego, naukowego przedstawienia całokształtu, czy choćby tylko fragmentów zdarzeń. Ogromną większość w tej literaturze stanowią dzieła o typie wspomnieniowo-pamiętnikarskim, za którymi idą najrozmaitsze wydawnictwa popularno-propagandowe. Podobnie przedstawia się literatura ukraińska z tą różnicą, że publikacje drugiego typu zajmują tam pierwsze miejsce tak pod względem ilościowym, jak również włożonego w ich opracowanie wysiłku. Cały w tej dziedzinie dorobek drukowany, polski i ukraiński, może być traktowany, jako materiał

źródłowy, przedstawiający pewną wartość raczej dla krytycznego i wnikliwego badacza, niż dla ogółu czytelników.

W kilka lat po wojnie rozpoczęło Wojskowe Biuro Historyczne w Warszawie metodyczną pracę naukową nad dziejami walk polsko-ukraińskich, ściśle biorąc — nad listopadowym 1918 roku ich fragmentem, czyli przede wszystkim — nad genezą i przebiegiem trzytygodniowych bojów o Lwów.

Już na samym wstępie badań ujawniony został zupełny brak źródeł do genezy i ogromna ich niekompletność, jeżeli idzie o przebieg zdarzeń. Szczególnie dotkliwą lukę spowodowało zaginięcie archiwum Naczelnej Komendy Wojsk Polskich we Lwowie z listopada 1918 roku. Do Archiwum Wojskowego w Warszawie dotarły z tego źródła tylko znikome szczątki.

Przeprowadzona w latach 1923 - 1925 doraźna i bardzo ogólna ankieta do wybitniejszych uczestników zdarzeń, dostarczyła kilkunastu relacji, które pozwoliły, łącznie z wynikiem badań archiwalnych, ustalić pewien istniejący faktycznie w tej dziedzinie stan rzeczy. Stwierdzone zostało mianowicie, że:

1. Z powodu warunków, w jakich odbywało się przygotowanie zdarzeń tak po stronie polskiej, jak ukraińskiej, nie należy się liczyć z istnieniem źródeł archiwalnych do dziejów genezy zatargu polsko-ukraińskiego.

2. Wiele materiałów o charakterze archiwalnym, dotyczących przebiegu wojny, jest rozprószonych pomiędzy b. uczestnikami zdarzeń.

3. Zebranie rozprószonych materiałów archiwalnych z rąk prywatnych, razem ze zbiorem aktów, będącym w posiadaniu Wojskowego Biura Historycznego, nie wystarcza do poprowadzenia owocnej pracy ba-

dawczej, ponieważ wojna polsko-ukraińska, a w szczególności jej geneza i okres listopadowy, nie pozostawiła zbyt wielu przekazów pisemnych.

Na tej podstawie Wojskowe Biuro Historyczne opracowało plan gromadzenia materiałów dwojakiego typu:

- a) dokumentów oryginalnych,
- b) relacyj uczestników.

Celem realizacji tego planu powołane zostało do życia w końcu roku 1928 Towarzystwo Badania Historji Obrony Lwowa i Województw Południowo-Wschodnich.

W ciągu czterech lat istnienia Towarzystwa, Zarząd Główny zdołał uruchomić znaczne środki materialne, umożliwiające wykonanie zamierzonych prac. Ponadto Zarząd Główny zorganizował w trzech województwach południowo-wschodnich sieć kół lokalnych, które zajęły się gromadzeniem materiałów w przydzielonych sobie rejonach i odsyłaniem ich do Lwowa. Właściwym organem pracy badawczo-archiwalnej Towarzystwa stała się Komisja Naukowa. Archiwum i Biuro Komisji Naukowej, pozostaje pod kierownictwem sekretarza Komisji Naukowej, którym od stycznia 1931 roku jest mjr. Dr. Eugenjusz Wawrzkowicz. Nad współpracą Towarzystwa z Wojskowym Biurem Historycznym czuwał od początku w ciągu pełnych lat czterech kpt. dypl. Aleksander Kawałkowski.

Materiał, zawarty w tym tomie, jest owocem współpracy i wspólnych wysiłków Towarzystwa i Wojskowego Biura Historycznego.

Komisja Naukowa naszego Towarzystwa, opracowując plan wydawnictwa, postanowiła ograniczyć się narazie tylko do opublikowania najważniejszych relacyj, zebranych od uczestników wydarzeń.

Materiał bowiem archiwalny, mimo znaczną już obecnie jego obfitość, jest jeszcze zbyt niekompletny, aby na jego podstawie mogły być ustalone zjawiska, układające się w ciągły proces historyczny. Opracowanie go dla celów wydawniczych będzie możliwe dopiero po uznaniu, że akcja gromadzenia materiałów została ukończona i może być zamknięta.

Z pośród bogatego materiału relacyjnego wybrane zostały do druku pozycje, które w łączności z istniejącą już literaturą źródłową pozwolą badaczowi wyrobić sobie pogląd na:

1. działalność organizacji polskich we Lwowie przed zamachem ukraińskim,
2. sytuację polską w nocy z 31 października na 1 listopada 1918 r.,
3. powstanie i organizację Naczelnej Komendy W. P. we Lwowie,
4. rolę Naczelnej Komendy w ciągu listopada 1918 r.

Źródła, które to wydawnictwo udostępnia, nie przedstawiają zamkniętej w sobie całości. Wiele z nich nawiązuje do istniejących już publikacji, niektóre powstały dla celów polemicznych. Przy studjowaniu ich obowiązuje więc zwykła metoda krytycznego badania źródeł.

Relacje tego tomu powstały bądź z inicjatywy autorów, bądź na skutek ankiet, rozesłanych przez Wojskowe Biuro Historyczne lub Komisję Naukową Towarzystwa Badania Historji Obrony Lwowa. Różnica pochodzenia nadesłanych prac odbiła się na ich treści. Celem nadania wydawnictwu jednolitości, została wykonana poważna praca redakcyjna, polegająca na usunięciu z poszczególnych relacyj wszelkich rzeczy zbędnych, nie związanych z przeżyciami, względnie rolą ich autorów, jako uczestników zdarzeń.

Jako zasadniczą wytyczną przy gromadzeniu relacji, kierowaliśmy się pozostawieniem autorom całkowitej swobody wypowiedzenia się. W przekonaniu, że dla przyszłego badacza nie jest bez znaczenia znajomość tendencji, kierującej autorem zwierzeń osobistych, nie prostowaliśmy w otrzymanych relacjach niczego poza błędami czysto formalnymi, pochodzącymi z zapomnienia dat, nazwisk lub nazw miejscowości. Z tego powodu za treść poszczególnych relacji, za przedstawiony w nich stan faktyczny, za wszelkie oświecenia i opinie ponoszą odpowiedzialność autorzy. Komisja Naukowa ograniczyła się w potraktowaniu treści nadesłanych prac wyłącznie do roli wydawcy.

Zawarte w tym tomie dokumenty pochodzą z załączników, które napłynęły z relacjami. Publikację dokumentów, zebranych przez Wojskowe Biuro Historyczne lub przez Towarzystwo Badania Historji Obrony Lwowa przewidujemy dopiero w przyszłości.

Załączone facsimile „Dyspozycji ataku na Lwów“ przedstawia reprodukcję dokumentu, złożonego w archiwum Wojsk. Biura Hist. przez Prof. Uniwersytetu Poznańskiego, Dr. Antoniego Jakubskiego.

Plan Lwowa został wykonany na podstawie zdjęcia lotniczego i planów 1:25.000, wydania Wojsk. Instytutu Geograficznego z r. 1931 z uwzględnieniem poprawek, których celem było odtworzenie sytuacji z listopada 1918 r. Poziomice w obrębie miasta przerysowano z miejskich planów katastralnych.

Prezes Zarządu Głównego
Gen. bryg. Bolesław Popowicz
Dowódca Okręgu Korpusu Nr. VI.

Prezes Komisji Naukowej
Prof. Stanisław Zakrzewski
Senator Rzeczypospolitej.

WSPOMNIENIA Z CZASU OBRONY LWOWA

KAROL BACZYŃSKI

WSPOMNIENIA Z CZASU
OBRONY LWOWA

Wspomnienia te spisuję jedynie dlatego, ażeby wspomnieć o oficerach i żołnierzach, którzy położyli niespożyte zasługi w obronie Lwowa, a o których w różnych opisach obrony Lwowa wcale nie wspomina się lub umieszczono o nich mało znaczące wzmianki.

Ponieważ cała akcja obrony Lwowa rozpoczęła się w Szkole Sienkiewicza, ja zaś prawie cały czas, t. j. od 3 listopada względnie od 5 listopada 1918, byłem dowódcą załogi tej Szkoły, przeto moje wspomnienia ograniczą się tylko do akcji, które wyszły z tej Szkoły, w czasie od 1 do 24 listopada 1918.

Dnia 31 października 1918 o godz. 2-giej popoł. powróciłem do Lwowa z Warszawy, do której wyjechałem dnia 18 października, celem ponownego zgłoszenia się do wojska polskiego. Przyjechałem zziębnięty i znużony 36-cio godzinną jazdą, a ponieważ przeziębilem się, położyłem się zaraz do łóżka.

O zamierzonym zamachu ukraińskim na nasz ukochany Lwów nie miałem pojęcia, a ponieważ i rodzina moja również nic nie wiedziała, przeto spokojnie spoczywałem i nie wyszedłem wieczorem do miasta.

Dnia 1 listopada 1918 o godz. 7-iej rano przyszedł do mnie student z VII klasy gimnazjalnej i wręczył mi wezwanie, bym natychmiast stawił się uzbrojony w Czytelní Akademickiej przy ul. Łozińskiego 7. Na zapytanie, co to ma znaczyć, odpowiedział mi, że Ukraińcy wykonali w nocy zamach stanu i zajęli Lwów. Zerwałem się natychmiast z łóżka, ubrałem się w mundur legjonowy i wzięwszy karabin i naboje wyruszyłem z ul. Ochronek do Czytelní. O tem, że Ukraińcy rozbijają wojskowych, nic nie wiedziałem i dobrze, że do ul. Łozińskiego było niedaleko, nikt mnie zatem nie zatrzymał.

W gmachu Czytelni zastałem kilku znajomych oficerów legionowych, a mianowicie kpt. Rożena, por. dra Świtalskiego Kazimierza, por. dra Jakubskiego Antoniego, chor. Selzera i innych, oprócz tego dużo nieznanych mi twarzy, wszystkich po cywilnemu i bez uzbrojenia. Zaraz zakrzyczano mnie, dlaczego przyszedłem w mundurze i uzbrojony i kazano mi się czym prędzej wynosić. Sztuciec mój, jeszcze z Karpat, oddałem chor. Selzerowi, tak samo naboje z ładownicami i pasem, by je oddał któremu z żołnierzy, sam zaś wróciłem w mundurze i przy szabli, przez nikogo nie zatrzymywany z powrotem do domu. Momentalnie przebrałem się po cywilnemu i wziąwszy rewolwer do kieszeni udałem się napowrót do Czytelni, w której mieściła się Komenda polska.

Gdy tam przybyłem, już Komendy tam nie było, gdyż przeniosła się na ul. Senatorską. Poszedłem więc tam. Zastałem tam te same osoby, a nadto por. de Laveaux Ludwika i por. Ajdukiewicza Adama, tudzież austr. kpt. Mączyńskiego Czesława, którego przedstawiono mi, jako komendanta. Zdziwiło mnie to, że nie objął dowództwa który z oficerów legionowych, a w szczególności mjr. Śniadowski Marceli lub płk. Sikorski Władysław, lecz nie było czasu nad tem się zastanawiać, gdyż wrzało tam, jak w ulu. Kazano mi siadać i czekać. Wydano rozkazy niektórym oficerom, by szli do kościoła św. Elżbiety i tam organizowali oddziały bojowe. Byłem zniecierpliwiony i podniecony. Na kilka moich zapytań, co mam robić, odburknięto, ażeby czekał. Ponieważ bezczynność, panujący tam nieład i opryskliwe zachowanie się niektórych panów zdenerwowały mnie, przeto nie mogąc się doczekać, ażeby mnie jakąś pracą przydzielono, wyszedłem do miasta i skierowałem się do kościoła św. Elżbiety z postanowieniem zorganizowania oddziału na własną rękę.

Przybywszy przed kościół zastałem tam dość dużo młodzieży kręcącej się bezładnie i kpt. Rożena, który starał się coś robić, któremu jednak to nie udawało się, gdyż za każdym razem, gdy patrol ukraiński na wozie lub pieszo się zjawił, natychmiast wszystko się rozpraszało. W tym czasie, t. j. około południa, dowiedziałem się dopiero, że w Szkole Sienkiewicza jest oddział legionistów pod dowództwem kpt. Tatar-Trzeźniowskiego Zdzisława i że ten oddział odparł o godzinie 9-tej rano atak Ukraińców.

Widząc, że na ulicy nie da się nic zrobić, zebrałem kilku znajomych robotników kolejowych i poszedłem z nimi do lokalu kuchni obywatelskiej „Grażyna“ i poleciłem im, by organizowali oddziały po 10 ludzi i żeby wszyscy zeszli się do tego lokalu o godz. 5-ej popołudniu. O godz. 3-ej popoł. miałem już około 90 ludzi i kilka karabinów. Kilku organizatorów brakowało mi, musiałem więc czekać do godz. 5-ej. Brak mnie było też oficerów, wybrałem się zatem do Naczelnej Komendy na ul. Senatorską, synowi zaś mojemu Zdzisławowi poleciłem, by czuwał nad zebranymi do czasu mego powrotu, który nastąpi najdalej za godzinę. Rzeczywiście o godz. 4-ej popoł. byłem z powrotem, naturalnie bez oficerów, gdyż ich rzekomo pod ręką nie miano, lecz przez ten czas cały mój oddział został rozprószony przez Ukraińców, którzy napadli na lokal kina „Grażyny“ i zaczęli go z frontu ostrzeliwać. Wszyscy moi ludzie uciekli tylnem wyjściem, zaryglowawszy za sobą drzwi roletą. Nie było już czego czekać, zebrałem więc resztki tego oddziału około 12 ludzi i udałem się z nimi do Szkoły Sienkiewicza.

Zastałem tam garstkę znajomych legionistów i ppor. Feldsteina Tadeusza. Kpt. Trześniowskiego chwilowo nie było. Zorientowano mnie w sytuacji, oprowadzono po całym budynku. Wszyscy byli rozgorączkowani, lecz dobrej myśli, tylko kpt. Trześniowski, który nadszedł, był czegoś skwaszony. Na zapytanie moje, jaka sytuacja, odpowiedział mi, że od kpt. Kamińskiego Antoniego, jako komendanta placu, otrzymał rozkaz, by ludzi swoich rozpuścił do domu i szkołę opuścił, zaś od kpt. Mączyńskiego otrzymał rozkaz, by z całym oddziałem odmaszerował natychmiast do Rzęsny Polskiej i radził się mnie, co ma zrobić. Ja mu poradziłem, by żadnego rozkazu nie usłuchał i by w szkole za każdą cenę trzymał się. On jednak był niezdecydowany. W końcu prosił mnie, by ze względu na to, że nie ma nikogo pewnego, któryby do obu komend dotarł, ażebym się ja tam udał, przedstawił oba sprzeczne rozkazy i prosił o rozstrzygnięcie, co ma robić. Wybrałem się więc w drogę o godz. 8:30 wieczór. Zatrzymywany kilkakrotnie przez patrole ukraińskie, lecz za okazaniem legitymacji urzędniczej dalej przepuszczany, dotarłem szczęśliwie na ul. Akademicką 3, gdzie urzędował komendant placu kpt. Kamiński. Nie zastałem go jednak i po godzinnem daremnem oczekiwaniu, zdawszy sprawę

ppor. Hartlebowi Tadeuszowi, udałem się na ul. Senatorską do Naczelnej Komendy. Tu również nie zastałem kpt. Mączyńskiego, a gdy zdałem sprawę jego adjutantowi, odpowiedziano mi dość opryskliwie, że to się jakoś załatwi. Ponieważ byłem chory, a rozkazu — bym poszedł z odpowiedzią do Szkoły Sienkiewicza — nie otrzymałem, prosiłem więc o zwolnienie do dnia następnego godz. 12 w południe.

Następnego dnia udałem się do Naczelnej Komendy na ul. Senatorską. Komendy tej już tam nie zastałem, gdyż została przeniesioną do innego lokalu, którego mnie nie umiano, czy nie chciano wskazać. Po dłuższem poszukiwaniu znalazłem narreszcie kpt. Kamińskiego, poszedłem z nim do lokalu redakcji Gazety Wieczornej i tam — po załatwieniu niektórych spraw, a w szczególności wysłaniu wyprawy do Sokolnik po armaty — dostałem rozkaz, bym dnia 3 listopada o godz. 7-ej rano objął dowództwo w Szkole Sienkiewicza od kpt. Pierackiego Bronisława.

O godz. 6-ej rano dnia 3 listopada wyszedłem z domu i idąc ul. Akademicką, Kopernika, ogrodem Jezuickim, ul. Badenich — zajętą już przez nasze posterunki, — ul. Karpińskiego, Sapiehy i Polną — do Szkoły, przybyłem o godz. 7:30 rano. Zgłosiłem się u kpt. Pierackiego i zawiadomiłem go o rozkazie Komendy placu. Wymieniony oddał mnie natychmiast dowództwo i sam udał się do domu. Oddziału legionistów z kpt. Trześniowskim w Szkole nie zastałem, gdyż odeszli do Rzęsny Polskiej. Zastałem tu natomiast kpt. Jana Kozickiego, por. Deschu Tadeusza, Schramma Andrzeja, por. Ogińskiego Jana, ppor. Jabłońskiego Wiktora oraz kilku nieznanych austriackich oficerów, nadto dużo młodzieży zgłaszającej się do służby. Urzędowano w jednym pokoju, w którym mieściły się: magazyn mundurów, prowiantura i zbrojownia. Tu przyjmowano też ochotników i kierowano całą akcją. Hałas i zamieszanie, jaki tu panował, nie da się opisać. Zarządziłem więc natychmiast przeniesienie biura taktycznego do kancelarii dyrektora szkoły. Dalej odłączyłem prowianturę od intendenty, t. j. od magazynu mundurowego. Zbrojownię przenieśliśmy też do innego pokoju. Wydawanie mundurów ochotnikom poruczyłem kpt. Kozickiemu Janowi, prowianturę tymczasowo por. Ogińskiemu Janowi, zbrojownię ppor. Kostynowiczowi Kazimierzowi, tabor zaś por. Strowskiemu Ma-

rjanowi. Przyjmowanie ochotników, prowadzenie spisów i wydawanie asygnat na mundury — za moim podpisem — powierzyłem ppor. Korabiowskiemu Bernardowi. Prowadzenie kuchni pannie Wandzie Hermanówniej. Gdy to załatwiłem i gdy już dość ochotników było uzbrojonych, wysłałem na zajęcie Dworca Głównego por. Deschu, por. Schramma, ppor. Nittmana Michała i ppor. Jabłońskiego z odpowiednią ilością ludzi, następnie por. Sikorskiego Walerjana z oddziałem na obsadzenie ul. Janowskiej. Na odbieraniu raportów poszczególnych oddziałów i wydaniu odpowiednich zarządzeń zeszedł czas w gorączkowej pracy do godz. 1-ej popoł. W tym czasie zgłosił się u mnie kpt. Boruta-Spiechowicz Mieczysław i wykazał się rozkazem Naczelnej Komendy, że ma objąć dowództwo w Szkole Sienkiewicza. Zarządzenie Naczelnej Komendy przykro mnie dotknęło, gdyż byłem starszym kapitanem od kapitana Boruty, jednak gdy zauważyłem po kilku wydanych rozkazach, że tenże należycie się orjentuje i że ze zrozumieniem i zastanowieniem rozkazy wydaje, poddałem się natychmiast pod jego komendę, gdyż poszedłem walczyć dla sprawy, a nie dla zaspokojenia własnych ambicji. Umówiliśmy się przytem, że on obejmie dział taktyczny, ja zaś dział administracyjny i w razie czego będę go zastępował w dziale taktycznym. Wskutek tego też, gdy zostałem o godz. 3-ej wezwany do Naczelnej Komendy, odmówiłem przyjęcia ofiarowanej mi czynności w tejże Komendzie, gdyż nie chciałem się garować i raczej poszedłbym był na jakikolwiekbyś odcinek, jako dowódca plutonu — co też kpt. Mączyńskiemu powiedziałem. Powróciłem więc do Szkoły i wzięliśmy się z Borutą do pracy. Zauważyć przytem muszę, że kto nie był w owym czasie w Szkole, to ten nie ma wprost pojęcia, co za trudności trzeba było pokonać i jak pracować, by wszystko należycie funkcjonowało. Wszak wszystko ze Szkoły Sienkiewicza powstało. Tu zwożono zdobyte na Ukraińcach auta i wozy, które zaraz używano do zwożenia mundurów, broni, amunicji i prowiantów. Tu ubierano i uzbrajano tysiące ochotników. Tu ich wszystkich żywiono. Stąd wychodziły wszystkie rozkazy na cały teren Lwowa, obsadzony przez Polaków i tu odbierano wszystkie raporty, które następnie odsyłano do Naczelnej Komendy. Tu zorganizowano tabor, park automobilowy, stację opatrunkową, oddział telefoniczny, izbę chorych, oddział żandarmerji polowej

i oddział rachunkowy i ewidencyjny, które nam następnie Naczelne Dowództwo odebrało. Tu trzymano wszystkich jeńców ukraińskich i podejrzanych o szpiegostwo Rusinów.

Praca gorączkowa trwała od 6-ej rano do 2-ej i później w nocy. Spano w ubraniach 3 lub 4 godziny na dobę na podłodze lub w fotelach. Wszyscy oficerowie pracowali z zapalem i poświęceniem bez granic, w ważnych chwilach szli też na linię bojową lub też na patrole, dając swem postępowaniem i zaparciem się siebie dobry, budujący przykład nowozacieżnym żołnierzom ochotnikom. Na tem miejscu wyszczególnić należy nadzwyczajną pracę i poświęcenie adjutanta kpt. Boruty, por. Kazimierza Stefczyka, adjutanta mego ppor. Stanisława Klimaszewskiego, oficera do szczególnych poruczeń por. leg. Antoniego Schwarza, organizatora taboru por. leg. Strowskiego, organizatora parku automobilowego ciężarowego i osobowego ppor. inż. Kazimierza Weissa (Sobody), organizatorów intendentury t. j. magazynów mundurowych, obuwia i przyborów żołnierskich skórzanych ppor. Wiktora Jabłońskiego, chor. Stanisława Wyżykowskiego, por. Stanisława Kochanowskiego, organizatorów prowiantury: obywatela Csadeka Wiktora, pchor. leg. Platona Bałabana, por. Skarszewskiego i mjr. leg. Bolesława Zaleskiego, który sam zwoził prowianty i czuwał, by nie dopuszczano się nadużyć, organizatorów zbrojowni: ppor. leg. Kazimierza Kostynowicza, obywateli: Eminowicza, Karola Litwina, Józefa Budzińskiego i ppor. Rutkowskiego Karola, organizatora oddziału telefonicznego pchor. leg. Kazimierza Kalinowskiego i sekc. leg. Kralika, organizatorów stacji opatrunkowej i izby chorych: dra Hornunga, dra Zajączkowskiego i dra Balickiego, organizatorów kancelarii rachunkowej: ppor. leg. dra Biegańskiego Janusza i ppor. Stanisława Liwacza, organizatorów kancelarii ewidencyjnej: por. Kajetana Kosacza, ppor. leg. Korabiowskiego, komendanta koszar kpt. Jana Kozickiego, komendanta nowozacieżnych por. Jana Langiego, późniejszego oficera prowiantowego, komendanta wszystkich kancelaryj i oficera do szczególnych poruczeń kpt. dra Stanisława Zagórskiego, oficerów inspekcyjnych odcinka i znakomitych patrolowców por. Edmunda Starka, ppor. Łyszczarczyka i chor. Budzynę Jana. Dowódców i organizatorów kompanji por. Stanisława Bergmana 1-ej, por. Ogińskiego 2-ej, ppor. Tadeusza Lubaczewskiego 3-ej i por.

Romualda Mossoczego 4-ej, dalej dowódców plutonów ppor. Stanisława Petry'ego, ppor. Ludwika Asłanowicza, Stefana Petry'ego, pchor. Wrone, chor. Hofbauera Zygmunta, chor. Artwińskiego, chor. Adamusa Władysława, sierż. Antoszewicza Jerzego, pchor. Zająca Bolesława, pchor. Trembickiego Henryka i innych. Dowódcę oddziału karabinów maszynowych por. Zborzila-Mireckiego Aleksandra i dowódców plutonów por. Tadeusza Jarinę, pchor. Kozłowskiego, Cichockiego i Białoskórskiego, wreszcie komendanta kuchni polowych obywatela Kułakowskiego. Z oddziału żandarmerji polowej na wyróżnienie zasługują za należyte spełnianie obowiązków i osobistą odwagę pchor. leg. Wyrzykowski Hipolit i Zdzisław Baczyński, który to ostatni, mimo postrzał w udo, pełnił dalej służbę, biorąc udział w różnych wyprawach.

Na szczególne zaś uznanie za dzielne zachowanie się wobec nieprzyjaciela i należyte wykonanie rozkazów ze zrozumieniem sytuacji, za inicjatywę i osobistą odwagę zasługują należący wówczas od 3 listopada do 5 listopada 1918 do odcinka V oficerowie: por. dr. Abraham Roman, por. Sikorski Walerjan, por. leg. Schwarzenberg-Czerny, por. Andrusiewicz Ferdynand, śp. ppor. Wolak, por. Stark Edmund, por. Marks, por. Bujalski i kpt. leg. Pieracki Bronisław, oficer łącznikowy z V odcinka w Naczelnej Komendzie obrony Lwowa, późniejszy dowódca IV-go odcinka i wielu innych, których nazwisk nie pamiętam. Z oddziału sił pomocniczych kobiecych, których było 72 pod przewodnictwem pani Jędrzejewiczowej Emilji, na gorące uznanie zasługują za pełną poświęcenia pracę pp. Wanda Hermanówna, Anna Zawadzka, Marja Hinke, Iza Amanówna, Zofja Górską, Kazimiera Malinowska, Henryka Wielkopolska, Stanisława Klimkowska i Z. Włyńska urzędniczka Banku Przemysłowego, która gotowała i roznosiła menaż żołnierską na placówki.

Wracam jednakże do działań taktycznych:

Dnia 3 listopada przed południem zdobyli Dworzec Główny por. Deschu, por. Schramm Jan i ppor. Nittman Michał z 30 ludźmi. Ulicę Janowską górną od rogatki i magazyny opanował por. Sikorski Walerjan z 24 ludźmi. Zajęto szkołę Konarskiego. Wieczorem tegoż dnia Ukraińcy podeszli znienacka ze Skniłowa, uderzyli na Dworzec Główny i obsadzili go znowu, biorąc dowódcę załogi do niewoli. Walki trwały przez cały dzień

i noc na wszystkich ulicach. Posuwaliśmy się mimo to ciągle naprzód, zdobywając jedną ulicę po drugiej. Dnia 4 listopada oddział Dr. Abrahama, ściągnięty rozkazem kpt. Boruty-Spiechowicza z Góry Stracenia, zaatakował Dworzec Główny i odebrał go z powrotem. Por. Bujalski z małym oddziałem odrzucił wielokrotnie przewyższający go liczebnie oddział ukraińskich strzelców poza tor kolei czerniowieckiej. Zajęto Szkołę Kadecką, ul. Kopernika i Sykstuską aż po gmach Gł. Poczty, okrążono Cytadelę, wzięto ulicę Kaleczą, ul. Gródecką aż po koszary Ferdynanda, ul. Kleparowską, Janowską dolną i Górę Stracenia, tudzież w części i ogród Jezuicki. Dnia tego popołudniu odparto koncentryczny atak dużych sił ukraińskich na Dom Techników, uderzając na ich siły od strony Kulparkowa plutonem z 30 ludzi.

W dniach 3 i 4 listopada wzięto około 100 Ukraińców do niewoli.

W nocy z 4 na 5 listopada i w ciągu dnia 5 listopada zdobyto Wulkę, roгатkę Stryjską, cmentarz Stryjski, ul. Pełczyńską, ul. Supińskiego, półn.-zach. skraj Cytadeli, budynek żandarmerji, ul. Zygmuntowską, ul. Bema, Dom Inwalidów i roгатkę Kleparowską. Zdobytą Górę Stracenia odbili Ukraińcy, lecz zdobył ją z powrotem tegoż dnia por. dr. Abraham.

W walce o pocztę, w części tegoż dnia zdobyta, odznaczył się por. Tadeusz Jarina.

Do wieczora było zdobytych 12 karabinów maszynowych i liczba jeńców wzrosła do 200, w tem jeden pułkownik. Wszyscy byli uwięzieni w Szkole Sienkiewicza. Popołudniu tegoż dnia przybył do Lwowa do Szkoły Sienkiewicza z Rzęsny Polskiej kpt. Trześniowski ze swoim oddziałem i dostał rozkaz odejścia do szkoły im. Marji Magdaleny.

Całą akcją do wieczora dnia 5 listopada kierował dzielnie, energicznie i umiejętnie kpt. Boruta-Spiechowicz i to, co osiągnięto do tego czasu, jest w pierwszym rzędzie jego zasługą. — Wiem, że żadnych rozkazów z góry nie otrzymywał, a kierował się tylko własną inicjatywą i raportami ustnymi, które znosili różni ordynansi z placówek. Zresztą było to niemożliwe, gdyż akcja cała tak szybko się rozwijała, że nie można było nawet dokładnych raportów Naczelnej Komendzie złożyć. Za głównego komendanta uważali wszyscy oficerowie i żołnierze kpt. Borutę, gdyż innych nie znali. Za siedzibę komendy: Szkołę Sienkiewicza

Za całe trzy dni otrzymała komenda Szkoły Sienkiewicza z Naczelnej Komendy tylko jeden rozkaz dnia 4 listopada o godz. 1:50 popoł. W odpisie rozkaz ten brzmi:

„Komenda Główna W. P. Rozkaz do kpt. Baczyńskiego. Nieprzyjaciół atakuje dużymi siłami koncentrycznie Dom Techników. Sytuacja groźna. Urządzić natychmiast dywersję od strony Kulparkowa. 4 listopada 1918, godz. 1:30 popoł. — w. z. Rutkowski mp.“.

Rozkaz ten, w porozumieniu z kpt. Borutą, natychmiast wykonałem ze skutkiem dobrym.

Kpt. Boruta zaczął być sławny. Wszyscy o nim tylko mówili, o wyższych wodzach nic. Jego też tylko znali żołnierze i ludność cywilna. Śpiewano o nim i chwalono go. Trzeba go więc było usunąć, gdyż mógłby władzę zagarnąć, względnie ogół mógłby mu tę władzę sam oddać, gdyż on sam był za skromny. Wieczór więc tego dnia, t.j. 5 listopada wyszedł przy odprawie rozkaz dzienny Nr. 2 Dowództwa W. P. Lwów, zarządzający podział zdobytego przez kpt. Borutę rejonu Lwowa na odcinki. — Rozkaz ten brzmi:

„Podział rejonu na sektory: 1. Zajęta przez nas część miasta zostaje podzielona z dniem dzisiejszym na 5 sektorów:

Sektor I: od ul. Potockiego do ul. Lenartowicza i Pełczyńskiej włącznie. Komendant por. dr. Bujalski.

Sektor II: od ul. Pełczyńskiej, Lenartowicza i Nowy Świat do ul. Karpińskiego i Mickiewicza włącznie. Komendant por. Świeżawski.

Sektor III: od ul. Karpińskiego i Mickiewicza do ul. Na Błonie, pl. Bilczewskiego i Leona Sapiehy. Komendant kpt. Łodziński.

Sektor IV: od ul. Na Błonie do ul. Gródeckiej włącznie. Komendant kpt. Majewski.

Sektor V: od ul. Gródeckiej, pl. Bilczewskiego, ul. L. Sapiehy do ul. Potockiego włącznie. Komendant kpt. Baczyński Karol.

Sektory I i II tworzą grupę I/II — komendant kpt. Trześniowski Zdzisław; Sektory IV i V tworzą grupę IV/V — komendant kpt. Boruta-Spiechowicz Mieczysław“.

Siedzibą Komendy Grupy I/II była szkoła Marji Magdaleny t. j. łącznie z siedzibą Komendy odcinka II, siedzibą Komendy Grupy IV/V Szkoła Sienkiewicza t. j. łącznie z siedzibą Komendy odcinka V.

Jak widać z powyższego rozkazu odsunięto kpt. Borutę od kierowania obroną wewnątrz miasta, natomiast poruczono mu obronę peryferji miasta. I źle się stało, gdyż akcja cała zaraz na drugi dzień utknęła, względnie posuwała się wewnątrz miasta bardzo a bardzo powoli, a wszystkie, niby skombinowane, wyprawy, jak n. p. z autem pancernem i inne kończyły się naszą klęską.

Według mojego zdania komendę główną powinni byli prowadzić oddać kpt. Borucie, a ten byłby z pewnością nie układał się z Rusinami, nie zawierał zawieszenia broni, tylko byłby najdalej do 14 dni, t. j. do 16 listopada 1918, Lwów zajął bez niczyjej pomocy. To, że cały zdobyty teren podzielono na odcinki było zresztą dobrze. Kpt. Boruta byłby to też zrobił, gdyż to ułatwiałoby orjentowanie się w sytuacji i ułatwiałoby organizowanie się nowych oddziałów tudzież upraszczało całą gospodarkę i administrację. To, że mu nie oddano grupy I/II lub przynajmniej odcinka III, t. j. by mógł przynajmniej w małej części kierować akcją wewnątrz miasta, odbiło się fatalnie na całej akcji. Zaczęto zmieniać nieudolnych komendantów odcinków.

Odcinek II-gi powierzono por. Dzieduszyckiemu, III-ci odcinek najpierw kpt. Kamińskiemu, później rtm. Pomian-Cieńskiemu. IV-ty odcinek też kilka razy zmieniał komendantów, w końcu powierzono komendę tego odcinka kpt. leg. Pierackiemu. Powstawały nowe odcinki bez woli i rozkazu Naczelnej Komendy — tak powstał odcinek por. Schwarzenberg - Czernego przy ul. Bema z oddziałem „Bemowców“ — odcinek por. dr. Abrahama na Górze Stracenia z oddziałem „Straceńców“ — odcinek „Podzamcze“ por. Walerjana Sikorskiego na ul. Janowskiej, Kleparów i wiele innych. Każdy z tych nowych komendantów nie chciał słuchać właściwych komendantów odcinków, działał na własną rękę i według swoich zapatrywań, zatem i akcja nie mogła się należycie rozwinąć. Osobiste ambicje pojedynczych komendantów brały górę nad świętą sprawą i obowiązkami obrońców i faktycznie cudem można nazwać to, że Ukraińcy Lwów opuścili, gdyż prawdziwie sytuacja ich nie była zła, a nawet była lepsza

niż n. p. w dniach 5 lub 6 listopada. Przesadzone wieści o siłach naszych przybyłych na pomoc i rzekomem osaczeniu ich, które prawdziwie nie przeprowadzone zostało, przeraziły ich do tego stopnia i tylko strach spowodował ich odwrót.

O tem jak iluzoryczną była przybyła pomoc, może coś powiedzieć kpt. Boruta, który wprost nie mógł zrozumieć, dlaczego Ukraińcy wynieśli się ze Lwowa. Nie chcę krytykować oddziałów przybyłych na pomoc, gdyż sam w wyprawie z 21 na 22 listopada udziału nie brałem, albowiem w tym dniu miałem za zadanie bronić Kulparkowa i Persenkówki od napadu Ukraińców, lecz powtórzę to tylko, co kpt. Boruta powiedział, że mogliśmy to sami zrobić i że tylko nasi chłopcy dobrze się spisywali.

Wracam jednak do prac i działań V odcinka. Dnia 6 listopada oddziały moje, pod dowództwem kpt. Boruty, stoczyły bitwę z Ukraińcami pod Kulparkowem, w której zmusiły znacznie liczniejszego nieprzyjaciela do bezładnego odwrotu w kierunku drogi stryjskiej. Dnia tego zajęły moje oddziały, a mianowicie kompanja por. Bergmana, dworzec w Kulparkowie i obsadziła wszystkie mosty i tor kolejowy od mostu Skniłowskiego do mostu Stryjskiego. Zajęto też Sygniówkę małą i wielką i obsadzono też piekarnię Merkurego plutonem ppor. Wolaka. Następnego dnia o godz. 6-ej rano odparto atak Ukraińców ze Skniłowa na Kulparków i zmuszono ich do odwrotu. Rozpoczęto organizować pierwszą i drugą kompanję odcinka, późniejszą 4-tą i 5-tą pułku, a mianowicie z ludzi zwerbowanych w Kulparkowie, Sokolnikach i Sygniówce, organizowano pierwszą kompanję w Kulparkowie. Z ludzi zwerbowanych we Lwowie organizowano drugą kompanję w Szkole Sienkiewicza. O ile organizowanie pierwszej kompanji szło gładko i szybko, o tyle organizacja drugiej kompanji szła opornie, a to z tego względu, że nowo zorganizowane plutony a nawet sekcje zabierała codziennie główna komenda na zagrożone odcinki, skąd żołnierze ci już nie wracali, gdyż ich tam zatrzymywano na stałe. W ten sposób zabrano z odcinka V-go od 6 listopada do 21 listopada najmniej do 500 żołnierzy należycie uzbrojonych i umundurowanych i 6 karabinów maszynowych zdobytych przez oficerów i żołnierzy tego odcinka, które miały służyć na obronę tegoż odcinka. Wszelkie przedstawienia, czynione w tym względzie w Komendzie Naczelnej, pozostawały bez skutku. Kompanja druga zatem nie mogła się

w żaden sposób zorganizować i liczyła dnia 21 listopada 1918 najwyżej 50 ludzi, z czego połowa niżej lat 17-tu. Dnia 8 listopada 1918 wysłałem patrole w kierunku Skniłowa, Sokolnik i Zubrzy. Patrole te ścierały się przez cały dzień z patrolami ukraińskimi i prawie wszędzie zmusiły je do odwrotu. Zdaje się, że dnia 9 listopada zdobyto stację kolejową Skniłów. Mel-dunek przyszedł krótki „Zajęto Skniłów“.

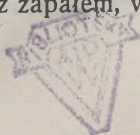
Ponieważ wieś Skniłów była silnie obsadzona przez Ukraińców, a dla naszych celów taktycznych fakt ten był wielkiej wagi, wobec tego kpt. Boruta zrozumiałwszy, że zajęto wieś a nie stację Skniłów, wybrał się tam z kpt. Pierackim i 2 żołnierzami autem, by wydać na miejscu dyspozycje co do obsadzenia punktów obronnych zajętej miejscowości. Dobrze zrobił, że nie wjechał do wsi autem lecz pozostawił go przy drodze, udając się do wsi z kpt. Pierackim i 1 żołnierzem piechotą. Idąc do wsi nie zauważył żadnego ruchu tylko grupkę chłopów, między nimi 2 lub 3 inteligentów, na drodze przy pierwszych chatach wsi. Wydało mu się to podejrzane, jednak poszedł naprzód ku wspomnianej grupie. Gdy już byli blisko tej grupy, rozpoczęto z chat strzelać na zbliżających się. Obaj oficerowie odskoczyli na bok pod mury chat. Żołnierz został na drodze. W tej chwili grupa ludzi stojących przy drodze dała do niego salwę lecz go nie trafili. Żołnierz również się złożył i wystrzelił do grupy. Jednak również nie trafił. W tej chwili wyskoczył z za chaty kpt. Boruta i strzelił z rewolweru do jednego z inteligentów, który zaraz upadł, drugi z inteligentów mierzył właśnie do żołnierza stojącego na drodze względnie cofającego się i oszołomionego wprost niespodziewanym napadem i tem, że strzał jego chybił. Kpt. Boruta więc strzelił w tej chwili do tego drugiego inteligenta dwa razy i położył go również trupem. Chłopi zobaczywszy, że dwóch ich przywódców padło, porzucili karabiny i zaczęli uciekać. Z tej chwili skorzystał też kpt. Boruta i kpt. Pieracki i również ostrzeliwując się, cofali się do stojącego niedaleko automobilu. Mimo gęstą strzelaninę dotarli wszyscy szczęśliwie do niego i zdołali zbiec. Według krążącej wówczas wersji zabici przez kpt. Borutę inteligenci mieli być braćmi pośła ukraińskiego Wityka. Kpt. Boruta nierozważny swój wyjazd, od którego go odwodziłem, o mało nie przepłacił życiem.

Dat później zaszłych wypadków dokładnie nie pamiętam, gdyż cały czas poświęciłem organizowaniu oddziałów bojowych po wsiach, do których często też wyjeżdżałem. Pamiętam tylko, że zdaje się dnia 6 listopada było zawieszenie broni, które zerwali Ukraińcy strzelając do wyszłych w ogrodzie Jezuickim naszych żołnierzyków, z których kilku zabili i że wskutek tego powstało ogólne oburzenie tak na Ukraińców, jak i na inicjatorów tego zawieszenia broni, na które w Szkole Sienkiewicza nie chciano się zgodzić i wskutek czego wysłano też na posiedzenie Polskiego Komitetu dwóch delegatów w osobach kpt. dr. Stanisława Zagórskiego i ob. Csadka Wiktora, dając im dyrektywę, jakie stanowisko tak w sprawie ewentualnego rozejmu, jak i zawieszenia broni zająć mają imieniem grupy walczącej w Szkole Sienkiewicza. Przypuszczam nawet, że stanowisko tej delegacji naszej zajęte w czasie posiedzenia było powodem, że nie przyszło do porozumienia z Ukraińcami, do którego Komitet dążył. Powody wyłuszczone przez kpt. Zagórskiego zmusiły Komitet do udania się do Naczelnej Komendy, która zajęła ostatecznie to samo stanowisko, co Szkoła Sienkiewicza, że będziemy bronić Lwowa do ostatniej kropli krwi i że na żadną ugodę z Ukraińcami się nie godzimy. Dokładne sprawozdanie z tego posiedzenia może zdać kpt. Zagórski i ob. Csadek.

W czasie zawieszenia broni dnia 10 listopada 1918 odbyło się zaprzysiężenie wszystkich oficerów i ochotników żołnierzy zgrupowanych na IV i V odcinku obrony Lwowa.

W tym celu pościagał dowódca grupy operacyjnej kpt. Boruta-Spiechowicz ze wszystkich placówek większą część oficerów i szeregowych, ustawił ich na placu koło Szkoły Sienkiewicza (tuż obok cmentarzyka poległych na tym odcinku) w kompanje i oddziały. Dokonałem tego sam, ustawiłem oficerów na prawem skrzydle zgrupowanych oddziałów i na polecenie kpt. Boruty wezwałem wszystkich do złożenia przysięgi na wierność Niepodległemu Państwu Polskiemu.

Jako najstarszy wiekiem oficer wezwałem wszystkich do zdjęcia czapek i podniesienia 2 palców prawej ręki do góry, poczem odczytałem pomału i donośnie słowa przysięgi, którą wszyscy głośno powtarzali. Chwila była bardzo uroczysta i uważałem wzruszenie u wszystkich zebranych. Szczególnie młodzież i legionieści składali przysięgę z zapalem, wznosząc wysoko



do góry rękę prawą, zaś lewą przyciskali pierś, tak jakby chcieli już zaraz życie swe złożyć w ofierze ukochanej Ojczyźnie.

Popołudniu tegoż dnia odebrano przysięgę od tych, którzy rano zmuszeni byli pozostać na posterunkach i placówkach.

Po skończeniu zawieszenia broni powstała walka na nowo na całej linii. Zorganizowana już przez mjr. Śniadowskiego Marcelego artylerja nasza zaczęła ostrzeliwać ze skutkiem budynki wojskowe zajmowane przez Ukraińców. Młodzi nasi chłopcy mścili się srogo za ofiary w ogrodzie Jezuickim, dokazując wprost heroicznym czynów na wszystkich odcinkach. Na moim odcinku jednak patrole moje i patrole kawalerji zorganizowanej już wtedy przez jednego z podchorążych Legionów Polskich, którą jednak Naczelną Komenda powierzyła por. Krynickiemu — nie mogły ochronić dnia 11 listopada 1918 wsi polskiej Sokolniki od spalenia i rabunku, którego dokonały regularne oddziały ukraińskie wraz z bandami chłopskimi ze Sołonki i Maliczko-wic. Zabito tam wówczas kilkunastu włościan polskich oraz proboszcza zdaje się ks. Czyżewicza i nauczyciela.

W tym czasie wysłałem był patrol pod dowództwem ppor. Tadeusza Lubaczewskiego i ppor. Chrapka Zygmunta do wsi Białohorszczy w celu oczyszczenia lasów białohorskich z band ukraińskich i zorganizowania w tej wsi przeważnie polskiej trzeciej kompanji odcinka, por. Romualda Mossoczego zaś, śpiewaka opery lwowskiej, z kilku podoficerami i żandarmami do Zimnej Wody w celu zorganizowania tam czwartej kompanji odcinka. Obaj organizatorowie dzielnie się spisali, zajęli obie wsie, zorganizowali z tamtejszych włościan oddziały bojowe i przy pomocy podoficerów ze Lwowa stoczyli dnia 12 listopada bitwę z Ukraińcami pod Białohorszczą zmuszając ich do bezładnego odwrotu do Rudna a następnie aż do Mszany. Następnie zajęto też Rudno, Zimnowódkę, Kaltwasser, Konopnicę, Łapajówkę — patrole zaś zaczęto wysyłać do Rzęsny Ruskiej, Karaczynowa i Obroszyna. Wszędzie nasi chłopcy i oficerowie spisywali się nadzwyczaj dzielnie i mężnie, dlatego też mimo małe siły trzymano znacznie silniejsze oddziały ukraińskie w szachu i nie pozwalając im na żadną większą akcję i na zbliżenie się do miasta. Wsi Sokolniki nie mogłem obsadzić po wypędzeniu stamtąd Ukraińców, gdyż nie miałem sił odpowiednich na to, zresztą zajęte były przez Ukraińców wsie Kozielniki i Zubrza, któreby

należało wpierw przez nasze wojska obsadzić. Jednak codziennie wysyłałem do Sokolnik na dzień silniejszą patrol, która oprócz zadań taktycznych miała za zadanie werbować do pierwszej kompanji odcinka, stojącej w Kulparkowie, ochotników, co też się dobrze udawało, gdyż wkrótce kompanja ta liczyła 180 żołnierzy w 4 plutonach. Dowódcą tej kompanji był bardzo dzielny oficer, por. Stanisław Bergman, dowódcami plutonów byli ppor. Stanisław Petry, ppor. Ludwik Asłanowicz, oraz chorążowie Stefan Petry i Plutecki Adam. Obsadzała zaś, jak już wspominałem, tor kolejowy od mostu Skniłowskiego do mostu Stryjskiego. Persenkówkę obsadzał pluton z 10 ludzi drugiej kompanji ze Szkoły Sienkiewicza.

Pewnej nocy (daty nie pamiętam) po dniu ciągłych utarczek patroli z Ukraińcami naturalnie w noc dżdżystą i ciemną udało się Ukraińcom ze Zubrzy, Sołonki i Skniłowa zająć wieś Kulparków, tudzież Zakład kulparkowski, Skniłówek mały i cegielnię kulparkowską, znajdującą się na południowy zachód od Zakładu przy drogach prowadzących do Skniłówka i Sygniówki. Rano zaczęli Ukraińcy atakować moją pierwszą kompanję. — Wszystkie te ataki kompanja ta odparła. Popołudniu zorganizował kpt. Boruta wyprawę z oddziałów Szkoły Sienkiewicza i oddziałów IV odcinka, osaczył Ukraińców, uderzył ze wszystkich stron i rozgromił zabierając mnóstwo Ukraińców do niewoli, zdobywając 3 armaty, 2 minjerki i kilka karabinów maszynowych oraz wiele amunicji, karabinów, bagnetów i innego materiału wojennego. Armaty, minjerki i 2 k. m. zdobyli wówczas żołnierze pierwszej kompanji pod dowództwem por. Bergmana. Zostawili też Ukraińcy dużo zabitych i rannych. Sami rozpierzchli się na wszystkie strony. Zapadła noc nie pozwoliła ich ścigać. Obsadziliśmy tylko zajęte przez nich poprzednio miejscowości. Od tego czasu Ukraińcy więcej się nie kusili na spotkanie z oddziałami Boruty. Na odcinku tym nie było też od tego czasu żadnych większych zadań. Na odcinku IV również. Ścierały się tylko codziennie nasze patrole z ukraińskimi oddziałami w szczególności w okolicy Zimnej Wody, gdzie operowała moja czwarta kompanja pod dowództwem por. Mossoczego. Na odcinku IV w czasie, gdy już objął dowództwo tego odcinka kpt. Pieracki, kpt. Boruta zarządził, by por. Marks zorganizował w Lewandówce kompanję bojową, co mu się też przy wyteża-

jącej pracy udało. Byłem tam raz, na rozkaz Boruty, na lustracji i kompanja bardzo dobrze się prezentowała. Na ciągłej wytyżającej pracy nad zorganizowaniem oddziałów bojowych i oddziałów pomocniczych w Szkole Sienkiewicza, odbieraniu raportów z działań bojowych, ciągłych wyjazdach na lustracje, w czasie których to przejażdżek byłem kilka razy ostrzeliwany z Dworca Czernowieckiego, dwa razy z domów kolejarzy i raz w lesie Białohorskim, na szczęście bez skutku, tudzież na ciągłej pisaninie raportów i różnych wykazów czas zeszedł do 18 listopada, w którym nastąpiło zawieszenie broni.

N

W czasie tych zmagani naszych z Ukraińcami w okolicach Lwowa, w samym mieście wrzała zacięty bój na wszystkich odcinkach. Najzawziętsze boje wrzały w ul. Bema o koszary Ferdynanda, w ul. Kleparowskiej o Górę Stracenia, w ogrodzie Jezuickim, w budynku Gł. Poczty i obok Cytadeli. Tu cudów dokazywali nasi młodzi żołnierze i ich dowódcy. Przyznać należy, że i Ukraińcy bronili się na tych odcinkach dzielnie. Wszystkie skombinowane ataki, wypracowane przez Naczelną Komendę, nie udawały się. Nie udał się też skombinowany atak z autem pancernem, który naraził nas wprost na olbrzymie straty. Na wszystkich odcinkach a nawet pododcinkach kierowali się poszczególni komendanci własną inicjatywą. Do Szkoły Sienkiewicza znoszono wszystkie wiadomości z całego Lwowa, stąd dopiero odsyłało je do Naczelnej Komendy. Wiedzieliśmy więc od ochotników i kobiet, którym udało się przedostać na naszą stronę, o ruchach i siłach Ukraińców, o ich bestjałskim obchodzeniu się z jeńcami i internowanymi i rozstrzeliwaniu byłych legionistów polskich i o tem, że żydzi biorą udział w walce po stronie Ukraińców i to całymi oddzielnymi oddziałami, że patrole oddziałów żydowskich są najbezwzględniejsze wobec Polaków.

Gdzieś około 12 listopada przysła nawet do Szkoły Sienkiewicza delegacja żydowska z tamtej strony pod dowództwem oficera z białą chorągwią i trębaczem z prośbą, by Szkoła Sienkiewicza prowiantowała dom sierót żydowskich. Oburzenie na żydów było tak wielkie między żołnierzami, że ledwie mnie się udało uchronić ich od zlinczowania. Pozdzierano im tylko białe opaski z czapek i podarto chorągiew tudzież odebrano oficerowi bagnet, wyrzucono ich ze szkoły i na mój rozkaz pod bagnetami odprowadzono z powrotem na tamtą stronę. Nawiasem mówiąc

już na kilka dni przed przybyciem tej delegacji kazałem zaopatrywać sieroty żydowskie w żywność.

Władze cywilne układały się z Ukraińcami, my zaś z niecierpliwością oczekiwaliśmy na przybycie zapowiadanych posiłków, by wraz z nimi uderzyć na Rusinów i odbić im nareszcie ukochane miasto, na którego ratuszu powiewały ukraińskie chorągwie i na który to widok serce się w człowieku krajało. — Wszyscy też, tak oficerowie jak i żołnierze, byli podnieceni i zdenerwowani, jednak dobrej myśli i pewni, że Lwów zostanie ostatecznie odebrany. Nareszcie dnia 21 listopada rano gruchła wieść, że posiłki przybyły. Popołudniu tegoż dnia przysły rozkazy operacyjne. Kpt. Boruta otrzymał dowództwo nad oddziałami, które miały osaczyć Lwów od południa i wschodu. Oddziały te stanowiły z mojego odcinka pierwsza kompanja por. Bergmana i oddział karabinów maszyn. por. Zborzila-Mireckiego, z przybyłej pomocy jeden baon 5 p. p. Leg. Pol. pod dowództwem kpt. Krok-Paszkowskiego i trochę kawalerji. Kpt. Boruta, wydawszy dyspozycje, wyruszył o północy ze Szkoły Sienkiewicza i wykonał zadanie w myśl otrzymanego rozkazu. Ja pozostałem na odcinku prawie z samymi dziećmi, żołnierzami drugiej kompanji lecz mimo to byłem dobrej myśli, gdyż wiedziałem, że dzieci te to bohaterzy i że odcinek w razie czego obronią. W południe dnia 22 listopada powrócił Boruta z oddziałami V odcinka do szkoły zmęczony, zły i zniechęcony mimo, że swoje zadanie spełnił należycie i mimo, że Ukraińcy ze Lwowa nad ranem się wycofali przez Krzywczyce. Lwów był wolny. Straty były małe. Z kompanji por. Bergmana zgineli na cmentarzu Łyczakowskim strzelcy Aleksander Śliwiński, praporszczyk rosyjski, który służył w kompanji jako szeregowiec i 14-letni Bitschan Jerzy, student, syn lekarza z Kulparkowa. Obaj w czasie walki bardzo dzielnie się zachowywali i położyli swe życie na ołtarzu Ojczyźnie, broniąc polskości Lwowa i wschodnich kresów Rzeczypospolitej.

Około godz. 4-ej nad ranem przybył do szkoły wprost z dworca kolejowego generał Roja. Nie zastał mnie jednak w szkole, gdyż byłem na zwiedzaniu placówek w Kulparkowie. Pytał tylko o komendanta i zaraz odjechał.

Tegoż dnia, około godz. 10 rano, przynieśli żołnierze do szkoły wiadomość, że pospółstwo i żołnierze rabują i palą

dzielnicę żydowską. Wydałem natychmiast zarządzenie, by z koszar nikogo nie wypuszczać i zabroniłem, jak najsurowiej, brać udziału w pogromie. Przybyły oddział z wyprawy potwierdził te wiadomości. Rozchodziło się o honor żołnierza polskiego. Wprawdzie było między żołnierzami rozgoryczenie na żydów za ich współudział w walkach przeciw nam, lecz nie do tego stopnia, by aż rabunku się na nich dopuszczali. Zresztą od komendantów zależało, by żołnierzy utrzymać w należytej dyscyplinie. W każdym razie z moich oddziałów ani jeden żołnierz nie brał w rabunkach udziału. Przeciwnie, wysłane ze szkoły patrole oficerskie, mimo ostrzeliwania, aresztowały kilka band rabujących i odprowadziły je do żandarmerji. Jak się później dowiedziałem nie byli to żołnierze, lecz zwykli bandyci poprzebierani w mundury wojskowe i uzbrojeni w karabiny. Przeważnie rabowała ludność cywilna. Według mego zdania można było rozruchy przeciw żydom przy dobrej woli Naczelnej Komendy natychmiast poskromić. Dlaczego to nie nastąpiło zaraz lecz na trzeci dzień dopiero, nie wiem. Po zajęciu Lwowa, ja w każdym razie ani chwili nie spocząłem. Iuż dnia 23 listopada wysłałem liczne patrole do sąsiednich wsi, które rozbrajały chłopów ruskich i ścierały się z patrolami ukraińskimi. Obsadzone miałem dnia tego, jak i przedtem z własnej inicjatywy moimi oddziałami Zimną Wodę trzecią kompanją por. Mossoczego, Białohorszcze kompanją por. Lubaczewskiego, Skniłów plutonem ppor. Wolaka, Kulparków kompanją por. Bergmana i Persenkówkę plutonem kompanji ze Szkoły Sienkiewicza pod dowództwem chor. Roklan-Hofbauera. Patrole moje docierały codziennie (przynajmniej 3 razy na dobę) z Zimnej Wody do Obroszyna i Stawczan, ze Skniłowa do Basiówki, Hodowic i do cegielni pod Nawarją, z Kulparkowa do Sokolnik i Maliczkowic, z Persenkówki do północnej połowy Zubrzy pod Sichów i gdybym był miał przynajmniej jeszcze raz tyle żołnierzy, co wówczas miałem, byłbym mógł wszystkie te miejscowości obsadzić a tak musiałem tylko częstymi patrolami trzymać Ukraińców w szachu.

W kilka dni później, gdy już z V odcinka został zorganizowany II baon 1 pułku Strzelców Lwowskich o trzech kompanjach posunąłem się z własnej inicjatywy bez rozkazu z góry dalej i zająłem linję Zimna Woda, Skniłów, Sokolniki, leśniczówka w Zubrzy z lasem Oświeca i Persenkówka. Nadto miałem ob-

sadzone wszystkie mosty kolejowe od Skniłowskiego do Stryjskiego. Linję tę trzymałem własnymi siłami do dnia 16 grudnia 1918 r. — Sokolniki zaś aż do 29 grudnia 1918 w nocy, kiedy zeszedłem na rozkaz Komendy brygady lwowskiej.

Dlaczego na innych odcinkach nie starano się w pierwszych dniach odsunąć Ukraińców, jak najdalej od Lwowa, by ochronić go od ewentualnego ostrzeliwania — jest dla mnie niezrozumiałe. Możliwie, że czekano na rozkazy z góry, możliwe też, że organizowanie na odcinkach pułków, baonów i kompanij tudzież ubieganie się o awansy, uznania i dostojęstwa zabrało za wiele czasu, możliwe wreszcie, że wygodniejsze i weselsze życie można było prowadzić we Lwowie, nawet na peryferjach tegoż, niż po chatach wsi okolicznych, dosyć, że tego nie uczyniono. Ukraińcom pozwolono się zorganizować po najbliższych wsiach koło Lwowa jak n. p. w Kozielnikach, Lesienicach, Laszkach murowanych, Dublanach i t. d., zająć takowe, umocnić się w nich i po nadejściu zorganizowanych posiłków uderzyć na Lwów. Wprawdzie ataki te wszystkie odparto wręcz lub kontratakami, ale wiele się wskutek tego krwi naszej niepotrzebnie wylało.

Źle się stało przedewszystkiem, że generała Roję przeniesiono ze Lwowa. Tu trzeba było żelaznej ręki jego na pomniejszych młodych dowódców oddziałów przez nich zorganizowanych w czasie obrony Lwowa i mających się za wielkich bohaterów i wprost nieomylnych doświadczonych wodzów, lekceważących sobie wszelkie wyższe rozkazy, szczególnie dowódców im osobiście niesympatycznych i według ich mniemania im nie dorównujących pod względem wiedzy o taktyce i prowadzeniu oddziałów w bój. Każdy z tych bohaterów, czego zresztą im nie odmawiam, gdyż byli dzielni i osobiście odważni, chciał mieć samodzielny oddział, którym by mógł według swej woli i wtedy, kiedy będzie miał do tego ochotę kierować i wsławić się heroicznymi czynami, by mogły gazety o nich pisać i ich czyny wysławiać. Zatem osobiste ambicje i sympatje, a w szczególności chęć błyszczenia nad innymi, brały górę nad obowiązkami dla Świętej Sprawy. Były z tych powodów wypadki nieusłuchania wydanych rozkazów, buntowania swoich oddziałów, samowolne przenoszenie się do innych i t. p. herezje.

Przytoczę tu n. p. jeden wypadek bez wymieniania nazwisk i bez komentarzy. Jeden z moich oficerów, komendant pododcinka zwrócił uwagę jednego z oficerów, komendanta sąsiedniego odcinka nie podlegającego mojemu dowództwu, dlaczego nie obsadza linii obronnej na znakomitej pozycji lecz nieco niewygodnej lecz siedzi na wygodniejszej wprawdzie lecz do obrony niezdatnej i wskutek tego może się ta pozycja dostać w ręce Ukraińców. Na to tenże odpowiedział: to niech zajmą — ja im kontratakami ją odbiję a niewygodnie mieścić się nie myślę. No i w krótkim czasie Ukraińcy pozycję tę zajęli ale kontratakami sam tej pozycji odbić nie mógł, trzeba było pomagać. Zajęcie tej pozycji odbiło się też fatalnie na innych odcinkach. Ostatecznie pozycję się odbiło, ale wiele to krwi kosztowało?

Innych wypadków, które się obity o uszy, nie chcę nawet opisywać. Może uczyni to kto inny, który lepiej piórem włada. Kpt. Boruta-Spiechowicz, ten skromny i cichy bohater, który jednak byłby najodpowiedniejszy na komendanta brygady lwowskiej został dnia 24 listopada wraz ze mną mianowany majorem i miał objąć dowództwo II baonu, ja zaś miałem ze względu na mój wiek objąć dowództwo placu. Wziął jednak dnia tego kilkudniowy urlop do Lublina i Warszawy, z którego już nie powrócił, gdyż udał się do armii generała Hallera. Ja nie objąłem dowództwa placu lecz pozostałem w pułku prowadząc baon naprzód w zastępstwie, o co mnie kpt. Boruta prosił, a gdy tenże nie powrócił, objąłem dowództwo tego baonu na stałe.

Na tem kończę me wspomnienia za czas od 1 listopada do 24 listopada 1918 t. j. do chwili oswobodzenia linii obronnej tudzież do chwili, gdy rozpoczęto równocześnie organizować 1 pułk Strzelców Lwowskich.

Na podstawie własnych spostrzeżeń mogę śmiało i pewnie poświadczyć, że w dniach 1 i 2 listopada w czasie panującej ogólnej bezradności i niezdecydowania się na jakikolwiek stanowczy krok, w czasie ogólnej dezorganizacji, gdy nie można było około siebie 10 ludzi skupić, chłopcy 12—15-letni i to przeważnie z pospólstwa, pod kierownictwem dwóch lub trzech studentów 16 lub 17-letnich a nawet i młodszych lub jednego z młodych legionistów, organizowali się samodzielnie w małe oddziały, uzbrajali się w rewolwery i stare karabiny lub strzelby

przyczajali się w ulicach i napadali nawet na większe patrole ukraińskie, rozbierali je i zabierali do niewoli. W ten sposób zdobyli nawet karabin maszynowy i auto ciężarowe zabijając i raniąc kilku Ukraińców. Za ich przykładem dopiero poszli starsi i oficerowie i żołnierze byłej armji austriackiej skupiając się w Szkole Sienkiewicza. Jak ci chłopcy pełnili służbę, nie jedząc i nie śpiąc, jak szli odważnie do boju na najwięcej zagrożone odcinki, jak ginęli z pieśnią na ustach i jak się chlubili odniesionymi ranami, to tylko może ten powiedzieć, co ich widział. Oni to tylko, ci chłopcy nieletni, te kochane dzieci lwowskie spowodowały, że starsi chwycili za broń i oni też, tylko Oni przyczynili się w przeważnej części do odbicia Lwowa.

Cześć Im!



WALKA O LWÓW (1—22 LISTOPADA 1918 R.)

Do Lwowa przybyłem parę dni przed 1918 r., mianowany komendantem Kraków, Lublin, Wyszaków, przez Organizację Wierbankowo-Agiacyjną w Kijowie, która po zdobyciu trzech Korpusek polskich i rozwiązaniu Wydziału Administracyjnego w Moskwie, rozpoczęła z kolei na południu Rosji akcję, zmierzającą do skupienia rozproszonych żołnierzy polskich i utworzenia z nich formacji wojskowej polskiej, przy organizowaniu jej wzięto w Zaporżę Dniepru udział w poparciu francuskiego armii gen. rosyjskiego Aleksandra. Zadanie moje, jako komendanta Rejonu VII polegało na prowadzeniu w tej części kraju akcji werbunkowej, tzn. wysyłanie nad Don ochotników, legionistów, Polaków deszczów z armii austriackiej i t. d. przy czym miałem wejść w bliższe stosunki z P. O. W. w Galicji.

Stanowiąc we Lwowie główne centrum mojej pracy było mieszkanki p. Wierzyński, nawiązałem kontakty z arcybiskupem miejscowym, — biskupem miejscowym p. Cieszkiewiczem, który pełnił poprzednio funkcję komendanta Rejonu VII. Rozmawiając się w tym celu z arcybiskupem do przekonania, że należy raczej organizować i prowadzić akcję na miejscu, a nie odesłać go i wysłać na Ukrainę. W związku z widocznym już upadkiem Austrii, rozpoczęliśmy zabieraniem się w stronę tej strony, stawiając sobie za główne zadanie organizowanie się żołnierskiego oddziału ukraińskiego, z następującymi w kontakcie z wojskami austriackimi i austriackimi. Przechodziłem już wtedy o możliwości utworzenia oddziału ukraińskiego we Lwowie przez Austriaków, ale oczywiście nie posiadano jeszcze konkretnych w tym względzie danych.

Z kolei udałem się do Krakowa, by w tamtym czasie z pierwszego Wydziału Agiacyjnego porozumieć się z p. H. Roja.

WYDAWCA
MIECISŁAW BOBUTA-SPIECHOWSKI

WALKA O LWÓW
(1-12 LISTOPADA 1918 R.)

Do Lwowa przybyłem poraz pierwszy dnia 10 października 1918 r., mianowany komendantem Rejonu VII na Lwów, Kraków, Lublin. Wyznaczony zostałem na to stanowisko przez Organizację Werbunkowo - Agitacyjną w Kijowie, która po rozbiciu trzech Korpusów polskich i rozwiązaniu Wydziału Mobilizacyjnego w Moskwie, rozpoczęła z kolei na południu Rosji akcję, zmierzającą do skupienia rozprószonego żołnierza polskiego i utworzenia osobnej formacji wojskowej polskiej, przy organizującej się właśnie w Zagłębiu Donieckim za poparciem francuskiej armii gen. rosyjskiego Aleksiejewa. Zadanie moje, jako komendanta Rejonu VII polegało na prowadzeniu w tej części kraju akcji werbunkowej, celem wysyłania nad Don ochotników, legionistów, Polaków dezertersów z armii austriackiej i t. d. przyczem miałem wejść w bliższe stosunki z P. O. W. w Galicji.

Stanąwszy we Lwowie, gdzie centralą mojej pracy było mieszkanie p. Wierzyńskiej, nawiązałem kontakt z aresztowanym właśnie, — lecz uwolnionym niebawem ob. Csadekiem, który pełnił poprzednio funkcje komendanta Rejonu VII. Rozeznawszy się w sytuacji doszedłem do przekonania, że należy raczej organizować i gromadzić siły na miejscu a nie osłabiać je i wysyłać na Ukrainę. W związku z widocznym już upadkiem Austrii, rozprężeniem zakradającym się w szeregi jej armii, zauważyć można było gorączkowe organizowanie się miejscowego elementu ukraińskiego, pozostającego w kontakcie z wojskowymi władzami austriackimi. Przebąkiwano już wtedy o możliwości utworzenia Ukrainy we Lwowie przez Austriaków, ale oczywiście nie posiadano jeszcze konkretnych w tym względzie danych.

Z kolei udałem się do Krakowa, by w myśl poleceń kijowskiego Wydziału Agitacyjnego porozumieć się z płk. Roją.

W Krakowie odbyły się właśnie 2 zebrania wojskowych, jedno zwołane przez płk. Sikorskiego, drugie przez płk. Roję. Oficerowie i żołnierze P. K. P. poddali się pod rozkazy Rady Regencyjnej, w imieniu której odebrał od nich ślubowanie płk. Sikorski. Ślubowali nawet legioniści, zwolnieni niedawno z Marmaroszu - Sziget wraz z kpt. Góreckim. Przeciw temu wystąpił płk. Roja, uznając wyłącznie władzę Józefa Piłsudskiego. Całe P. O. W. opowiedziało się za Roją, który wydał rozkaz bezwzględnego pozostania na miejscu w Galicji, gdzie miał przystąpić do organizowania komend placu, etapu i t. d. Wobec tego misja moja była właściwie ukończona. Wróciłem do Lwowa 23 lub 24 października i wstrzymałem dalszą wysyłkę ludzi do Kijowa. Wysłałem tam natomiast, celem ostatecznego porozumienia się z Wydziałem Agitacyjnym, p. Marję Wierzyńską. Zażądałem wówczas dalszych dyrektyw, zwróciłem jednak uwagę na konieczność zatrzymania ludzi na miejscu, gdzie mogą być każdej chwili potrzebni. Żądałem pozbawienia mi 50.000 kor. na opędzenie wydatków, w związku z pracami organizacyjnymi. Po wysłaniu kurjerki, wyjechałem jeszcze raz do Krakowa, skąd po kilku dniach odwołany zostałem z powrotem do Lwowa przez p. Wierzyńską, która tymczasem już wróciła z Kijowa, depeszą telegraficzną „Przyjeżdżaj“.

Stałem z powrotem we Lwowie dnia 31 października popołudniu i zjechałem wprost do p. Wierzyńskiej. Nie mogła mi ona od razu zdać sprawy z tego, jak wywiązała się ze swej misji do Kijowa, ponieważ była silnie szpiegowana. Umówiliśmy się przeto, że spotkamy się na drugi dzień w miejscu, które później miała oznaczyć. O sytuacji, jaka w mieście panowała, poinformowany zostałem tymczasem prawdopodobnie przez współpracownika mego Jerzego Antosiewicza, któremu podałem miejsce mego zamieszkania.

Następnego dnia, t. j. 1 listopada nad ranem, zbudziły mnie w hotelu (prawdopodobnie Krakowskim), gdzie noc spędziłem, odgłosy strażaków jakby walki ulicznej. Ale dopiero Antosiewicz wysłany przez p. Wierzyńską, poinformował mnie dokładnie o tem, co się w nocy stało. Rozpadająca się Austria wydała Lwów Ukraińcom, ci zaskoczyli nasze organizacje wojskowe i miasto podstępnie opanowali. Kpt. Tatar-Trześniowski zdecydował się na walkę, a chłopcy nasi spieszą do Szkoły Sien-

kiewiczza, by stanąć pod jego rozkazami. Wobec tego wyruszyłem do szkoły i zgłosiłem się u kpt. Tatar-Trześniowskiego.

W szkole zastałem już jednego rannego, kaprała Jarosza Marjana, co świadczyło o tem, że walka się już rozpoczęła. Nie otrzymawszy żadnych rozkazów, udałem się do miasta, celem zorientowania się w sytuacji oraz celem skrzyknięcia wiary do szkoły. Naogół mówiąc, zorientowany nie byłem, nie wiedziałem bowiem, jak to się mogło stać, że nas Ukraińcy ubiegli, że nie zorganizowano żadnej siły, że nie posiadano karabinów. Z ogólnych powiedzeń wywnioskowałem tylko, że dni poprzednie upłynęły na rozmowach, a godziny ostatnie na walce o władzę, że wreszcie tą władzą miał zostać kpt. rez. Mączyński Czesław. Zrobiwszy wywiad i polecając komu można, a przede wszystkim gazeciarzom, aby zawiadamiali młodych ludzi, że kpt. Tatar-Trześniowski robi zbiórkę w Szkole Sienkiewicza i bije się tam o Lwów. Poczem wróciłem do szkoły. Wieczorem brałem udział w nieudanej akcji na Dworzec Czerniowiecki, zarządzanej przez Naczelną Komendę. Akcja miała być dokonana wspólnymi siłami oddziałami Tatar-Trześniowskiego ze Szkoły Sienkiewicza i oddziałami Naczelnej Komendy z Domu Akademickiego, pod jednym dowództwem kpt. Pierackiego Bronisława. Jako miejsce zbiórki wyznaczono rejon kościoła św. Elżbiety — kinoteatr „Grażyna”. Wskutek niedość dokładnych rozkazów i niedojścia do połączenia oddziałów, przeczekawszy w nakazanym miejscu zbiórki dłuższy czas, kpt. Tatar-Trześniowski wraz z oddziałem swym wrócił do szkoły. Późnym wieczorem, na polecenie kpt. Trześniowskiego udałem się do Naczelnej Komendy, gdzie powzięto decyzję, mocą której kpt. Trześniowski ma iść do Rzęsny Polskiej, dowództwo Szkoły Sienkiewicza ma objąć kpt. Pieracki, ja natomiast mam być jego zastępcą. Powróciwszy do szkoły razem z kpt. Pierackim zastaliśmy załogę szkoły w sile 1 komp. (około 70 ludzi), reszta z kpt. Trześniowskim odmaszerowała do Rzęsny. W czasie nocy dowództwo szkoły sprawuje kpt. Pieracki i teje nocy nad ranem opuszcza lokal i zastępstwo dowództwa przekazuje w moje ręce. Początkowo akcją nie kieruję, różne oddziały bowiem nie są mi znane, akcja ich przeważnie samorzutna i nieskoordynowana. Dowództwo w tej chwili jest czemś, co wchłania w siebie różne złe i dobre wiadomości i wyczuwa niebezpieczeństwa i tylko niektórym się

przeciwstawia. Również forma zastępcza sprawowania dowództwa utrudnia mi pracę. Aby jednak nie wpaść w zupełną bierność, orjentowany przez swych podkomendnych, zarządzam kilka wspólnych akcyj, z których wybitniejszą jest akcja na szkołę Konarskiego, dzięki czemu zyskałiśmy nową bazę bojową, oraz zapasy amunicji i broni, pozostawione tam przez baon węgierski Ukraińcom. Pozatem, korzystając z chwilowego rozejmu, przystąpiłem do organizowania załogi szkoły na wzór jednostki bojowej, z własnymi służbami, zakładami i zaopatrzeniami oraz biurem werbunkowym, które miało się stać później wielkiem źródłem naszej siły zbrojnej dla Lwowa.

Równocześnie z tem, organizuję siły bojowe, przynajmniej w tej formie, aby wiedzieć, co posiadam i co i gdzie zajmuję wreszcie studjuję plan Lwowa, gdzieś u kogoś przypadkiem znaleziony i orjentuję się przy wydatnej pomocy kolegów lwowiaków, co do peryferij miasta i ogólnej konfiguracji terenowej. Są to więc pierwsze moje kroki, jako nowego dowódcy, mające na celu wybrnięcie z ogólnego chaosu, jaki ze względów zrozumiałych powstał. Pomoc moich serdecznych kolegów ze Szkoły Sienkiewicza w tym względzie jest nadzwyczajna. Wszędzie mam swego „specę“, który samorzutnie organizuje i doprawdy nie jest to moja, lecz naszą wspólną zasługą, że wszystko, jak z pod czapki niewidymki powstaje i już funkcjonuje. Praca idzie tak szybko i tak intensywnie, że pamiętając, by żołnierz jadł i był uzbrojony, zapominamy o sobie, a przecież to już drugi dzień, a my ani nie jedliśmy ani nie spaliśmy i co gorsza sami nie jesteśmy uzbrojeni i umundurowani. Na dobitkę ten okres ma trwać jeszcze następne trzy doby. Na to, aby odsapnąć, czasu nie było.

W ciągu dnia powraca kpt. Pieracki i samorzutnie oddaje mi pełne dowództwo nad oddziałami, co wieczorem stwierdzam w rozkazie z dnia 2 listopada.

Jest tu moment zasadniczy dla mnie. W tej chwili rozumiem, że cała odpowiedzialność za poczynania bojowe i życie tych, co w Szkole Sienkiewicza szukają pomocy i oparcia, względnie tych, co ze szkołą są związani spada na mnie. Jestem już na tyle zorientowany, że mogę dowodzić. Rozumiem jasno jedno, że w tym okresie improwizacji walki i stąd powstałego chaosu, nie wolno się oglądać na nikogo, decyzje muszą być samo-

dzielne, czas pracuje przeciwko nam. Akcja wymaga planowości działań, koordynacji bohaterskich wysiłków żołnierza, oraz organizacji dowództwa.

Plan mój, jeżeli go tak nazwać można, był następujący: dotychczasowe boje, powstałych już ognisk, trzeba nasycić nową siłą. Wszystkie one są pełne zapалу i bohaterskich porywów, ale brak im organizacji, która byłaby w stanie podtrzymać ich bojowy charakter. Trzeba natychmiast przystąpić do planowego zorganizowania wszelkiego rodzaju zaopatrzenia i to tak w ludzi jak i w materiał. Trzeba stworzyć choć jedną bazę, ma nią być Szkoła Sienkiewicza. Równocześnie z tem, akcja nie może być przerwana ani na chwilę, trzeba chwytać każdy moment, narzucić wszędzie, gdzie się da, bój, zrobić na nieprzyjacielu wrażenie, że kupić musi za cenę krwi własnej każdy kamień, okno, zaułek uliczny, czy bramę. Muszą powstać dziesiątki takich ognisk krwawych. Walka dotychczasowa musiała zrobić na nieprzyjacielu wrażenie czegoś wielkiego, żywiołowego, ale nieskoordynowanego, należy to wykorzystać. Nieprzyjaciela nie spodziewającego się teraz wspólnej akcji, bić planowo, tam, gdzie się spodziewa chaosu, zaskoczyć pełną organizacją, spaść na niego niespodziewanie z kilku stron i zaatakować jego siły. Wszystko walić musi do środka, ze wszystkich stron o jednym czasie. Trzeba wyrwać z rąk jego to, co stanowić będzie o naszej sile t. j. bazy zaopatrzeniowe. Wreszcie te rejony, które są, lub stanowić mogą naszą przewagę taktyczną należy obsadzić, zanim on zdoła się tam zorganizować.

Aby rozproszone oddziały polskie uchwycić i zmusić do łączności ze Szkołą Sienkiewicza trzeba, aby szkoła stała się im potrzebna. Muszą oni tu dostać broń, amunicję, posiłki, wyżywienie, opatrunki, pomoc i decyzje. W ten sposób można zapanować nad panującym chaosem i stworzyć moralną i materialną łączność między tymi, co mnie podlegać mają, względnie tymi, co pomocy szukają.

Tak mniej więcej miał wyglądać mój plan, który dzisiaj z oddali czasu odtwarzam.

W rzeczywistości wszystko, co robiłem i myślałem, streszczało się w jednym: Pragnąłem walki, gdyż Polsce działa się krzywda. Po przez boje z Moskwą w Legjonach, z Austrią — pod Rarańczą, z Niemcami pod Kaniowem, później krótką nie-

2 /
wolę i ucieczkę, wreszcie włączę po Rosji, hen z nad Donu wróciłem do Polski. Austria rozpadała się, nadzieja odrodzenia Polski stawała się realną. Tymczasem powstaje nowe niebezpieczeństwo. Widać to już tak musiało być, że we krwi miało się zrodzić dla Polski nowe życie. A więc bić i światu wykazać polskość Lwowa.

Z małym przygotowaniem teoretycznym, z dużą praktyką bojową, wchodziłem w bój, aby razem z garścią ludzi opanowanych świętym zapałem stanąć do ostatniej, jak mi się zdawało, rozprawy o niepodległość. A jeżeli wyniki tej walki wyraźnie podkreśliły prawo ludu polskiego do Małopolski Wschodniej, to zasługą jest tych, co światu wykazali, że każdą daninę krwi złożyć są gotowi, za najmniejszy skrawek polskiej ziemi.

Nakreślony powyżej plan działań był odruchem stworzonym przez potrzebę chwili. Nie był nigdy napisany. Na zewnątrz przejawiał się w dwóch formach:

1. w urывkach pisemnych lub ustnych rozkazach, kierowanych do moich podkomendnych, a w szczególności w rozmowach moich z kpt. Baczyńskim Karolem i adjutantem por. art. Stefczykiem;

2. w czynach.

Siły własne, jakimi miałem dowodzić, nie były mi znane. Wszystkie one były zaangażowane w walce. Niewielka garść, niezupełnie jeszcze uzbrojona, znajdowała się w szkole, prócz tego napływali ciągle nowi, z bojem nieobeznani, bądź starzy, doświadczeni żołnierze z b. armji austriackiej.

O siłach ukraińskich wiedziałem, że posiadają dużą liczebnie przewagę, jednak nie wierzyłem w ich wartość moralną. Dochodziły mnie słuchy, o mających nadejść z Czerniowiec dwóch pułkach siczowych i dalszem zasileniu przez dodatkowe pułki ruskie, które, jakoby spiesznymi marszami i transportami były kierowane pod Lwów. Z tego wartość wojskową mogły mieć tylko pułki siczowe.

Zawieszenie broni, zawarte przez Naczelną Komendę, względnie przez nią podpisane dnia 2 listopada godz. 15-ta, zaskoczyło mnie i nieco zdezorientowało. Uważałem bowiem zawieszenie broni w tym okresie za błąd taktyczny, mogący osłabić zapał walczących, a napewno powodujący stratę czasu, pracującego przeciwko nam (nadejście odwodów ukraińskich, opano-

wanie oszołomienia, zorganizowanie oddziałów ukr. i t. d.). Dla nas zawieszenie broni mogło dać tylko jedną korzyść: możliwość zorganizowania oddziałów i ich zasilenie, było to jednak zbyt mało, jeżeli się zważy korzyści strony przeciwnej. Szczęściem dla sprawy i w konsekwencji panującego chaosu nikt, ani nasza, ani strona przeciwna nie była w stanie zastosować się do życzeń władz przełożonych i walka trwała nieprzerwanie. Zawieszenie broni odbiło się tylko na inicjatywie dowódców.

W tym czasie pragnąłem uzyskać swobodę dowodzenia. Ukraińskie oddziały w rejonie Kulparkowa, oraz w ulicach w pobliżu Szkoły Sienkiewicza zbyt bezpośrednio zagrażały szkole. Należało się ich pozbyć i rejon cały oczyścić. Akcja nie była zbyt trudną. Wkrótce odzyskałem Kulparków, następnie rozszerzyłem swoje działania w kierunku Politechniki, kościoła św. Marji Magdaleny, teatru ruskiego oraz Szkoły Kadeckiej. Wszystko to razem było wstępem do akcji o magazyny na Dworcach Czerniowieckim i Głównym.

Wyjazd w rejon Dworca Głównego zorjentował mnie w sytuacji. Wjazdu na dworzec broniły c. k. m. ukraińskie, a wywiad donosił o poważnych siłach, obsadzających dworzec. Wróciłem do szkoły. Siły nasze zbyt słabe, opanowanie dworca w dzień zbyt trudne. Wysłane patrole ostrzelane meldowały o niemożliwości podejścia. Równocześnie zdawałem sobie sprawę, jak zresztą przypuszczam i inni dowódcy, że opanowanie obu dworców jest rzeczą kapitalnej wagi i szkoła siłą rzeczy, grawitująca w kierunku dworców, musi je zdobyć.

Do szkoły przybyło nieco kolejarzy. Tych w pierwszym rzędzie chciałem do zajęcia dworców wykorzystać, jako najlepiej z terenem obeznanych. Pierwsze nasze próby zajęcia Dworca Głównego drobnymi patrolami spełzły na niczem, nieprzyjaciel był zbyt silny i widocznie dobrze rozumiał potrzebę trzymania tej bazy zaopatrzenia i taktycznych możliwości. Dworzec Główny z całym kompleksem torów i na nich nagromadzonym materiałem, oraz Dworzec Czerniowiecki ze swymi magazynami, były obszarami, które mogły wchłonać w siebie wielkie siły. Mając tych sił niewiele, bałem się je wprost rozprószyć i zgubić w tym ogromnym kompleksie.

Jedyną pociechą było, że i Ukraińcy, chcąc bronić dworców, musieli tu zaangażować dość znaczne siły, mimo to zbyt

słabe, aby wszędzie mogły się oprzeć naszemu natarciu. Jak często na wojnie, tak i tu pomógł przypadek. Wieczorem dnia 2 listopada zgłosił się w szkole wyższy urzędnik kolejowy p. Kiełb i oświadczył mi, że zna przejście nie obsadzone przez Ukraińców, którym może, nie narażając na straty, na Dworzec Główny oddziały polskie przeprowadzić, a tem samem niespodziewanie od tyłu Ukraińców zaskoczyć.

Równocześnie z tem oświadczeniem jednak otrzymałem poufny meldunek, że p. Kiełbowi nie należy wierzyć, że nawet należy go podejrzewać o chęć zdrady. Propozycja p. Kiełba była zbyt nęcąca, abym z niej nie skorzystał. Wyznaczywszy dowódcę całości i wyciągnąwszy maximum sił rozporządzalnych, oraz omówiwszy ogólnie sposób działania rozkazałem natarcie. Prócz tego dowódcy całości nakazałem na wszelki wypadek postępować tuż za p. Kiełbem, mieć gotowy do strzału rewolwer i przy najmniejszej oznace zdrady zabić go. Dzisiaj na tem miejscu bardzo p. Kiełba przepraszam. Zarządzenie moje było podyktowane jedynie ostrożnością.

W nocy oddział wymaszerował i po całonocnych walkach nad ranem Dworzec Główny zdobył. Ukraińcy wycofali się w kierunku Dworca Czerniowieckiego. Ponieważ por. Schramm Jan, dowódca wymienionego oddziału, miał za mało ludzi, aby sam mógł kusić się o zdobycie tego obiektu, przeto ze szkoły wysłałem niewielki oddział z śp. chor. Edwardem Wydrzyńskim na czele z zadaniem współdziałania w opanowaniu Dworca Czerniowieckiego. Akcja ta udaje się nadspodziewanie i w rannych godzinach oba dworce były już w naszym posiadaniu. Akcja na dworzec umożliwiła zajęcie go, a tem samem dała podwaliny do walki o polskość Lwowa, stworzyła punkt zwrotny w bitwie o Lwów i złożyła wszelkie atuty taktyczne w nasze ręce. Od tej chwili sytuacja dla nas zmienia się całkowicie. Mamy karabiny, amunicję, żywność, opatrunki, mamy możliwość łączenia się z Rzęsną Polską, ewentualnie z zachodem, panujemy nad zachodnią częścią miasta, możemy działać na peryferjach jego zachodnich i południowych,

Jest to ogromny atut moralny dla całego Lwowa!

Tymczasem ma miejsce dość ciekawy incydent, świadczący o tem, że walka o władzę we Lwowie jeszcze się nie skończyła i nie wszyscy chcą uznać kpt. Mączyńskiego za naczeln-

nego dowódcę. Obecny w szkole kpt. Baczyński otrzymuje rozkaz od kpt. Antoniego Kamińskiego, komendanta miasta, wyznaczonego na to stanowisko przez płk. Sikorskiego Wł., by objął dowództwo Szkoły Sienkiewicza. Kpt. Baczyński, widząc sprzeczność w rozkazach i nie chcąc wprowadzać nowego zamieszania, mimo nawet moją gotowość przekazania w jego ręce dowództwa, nie zgadza się być dowódcą i w serdecznych, koleżeńskich słowach, zmusza mnie do utrzymania steru w moich rękach.

Jestem wzruszony do głębi tą wielkodusznością człowieka, który mimo, że i starszeństwem i wiekiem starszy odemnie, nie waha się podporządkować siebie moim rozkazom. Jeszcze dzisiaj słyszę te słowa, które mi zmusza do nie zmieniania niczego, co już zostało zrobione: „Sprawa jest ważniejsza niż ambicja; tyś jest młodszy, silniejszy, opanujesz prędzej sytuację, przyrzekam ci we wszystkim pomoc w miarę posiadanych sił, jak zacząłeś, tak dokończ“. Uścisnęliśmy się serdecznie i za chwilę pracowaliśmy już razem aż do końca listopada, jak dwaj serdeczni przyjaciele. Kocham go bardzo, bardzo gorąco tego towarzysza mych najpiękniejszych i najwznioślejszych przeżyć żołnierskich.

Kpt. Baczyńskiemu powierzyłem sprawy natury administracyjnej.

Kiedy walka o Dworzec Główny była w pełnym toku, otrzymałem nowy rozkaz Naczelnej Komendy o zawieszeniu broni, mającem trwać do godziny 14-ej dnia 3 listopada. — W praktyce rozkaz ten wszedł w życie w ten sposób, że rzeczywiście na froncie zapanował spokój między godziną 10—14 dnia 3 listopada.

Nie miałem żadnych wątpliwości co do zamiarów Ukraińców. Każde zawieszenie broni, zawierane przez przeciwnika miało na celu zysk na czasie dla przygotowania nowego natarcia, bądź zorganizowanie sił rozbitych przez nas. W tym wypadku zdobycie przez nas Dworca Głównego, oraz rozszerzenie naszej akcji na całym froncie, a także nadzieja na przybywające uzupełnienia, spowodowały obecne zawieszenie broni, zainicjowane przez Ukraińców. Wszystko polegało więc na tem, kto pierwszy się zorganizuje i mocniej uderzy. Nie będąc zbyt silny na dworcu, korzystałem z każdej minuty, aby co się da ściągnąć do szkoły

i mimo, że bój się miał za chwilę rozpocząć i w ciągu jego trwania, zorganizowana zwózka materiału trwała nieprzerwanie.

Pilnowanie magazynów pochłaniało mi na dworcu większość stanu bojowego. Dlatego postanowiłem zorganizować zwołanych do szkoły kolejarzy i powierzyć im służbę posterunków i zwózkę materiału. Niestety, nie wszyscy oni stanęli na wysokości zadania, co sprawiło mi dosyć trudności w nocy z 3-go na 4-go listopada a więc w toku bitwy, którą dla nas uważałem za zasadniczą, bitwy drugiej o dworzec.

Koło południa udałem się na Dworzec Główny i zorientowałem się w ogólnym położeniu. O godz. 14-tej rozpoczęły się walki. Mając na widoku konieczność utrzymania w swoim posiadaniu obu dworców, ograniczam się na innych odcinkach frontu do zasilania oddziałów zaangażowanych w walkę, w szkole natomiast grupuję odwody i organizuję je na wzór wojskowy. Wyjątek stanowi w powyższym postanowieniu por. Dr. Roman Abraham. Muszę tu przytoczyć pewien fragment mojej rozmowy z tym oficerem, charakteryzujący sposób dowodzenia mego w tym okresie i świadczący w jakich warunkach pobierane były moje decyzje.

Por. Dr. Abraham zgłosił się u mnie w szkole po rozkazy. Ścisłej mówiąc, prosił o kilku, czy kilkunastu ludzi, aby pewne swoje zamiary skutecznie. Narzuciłem mu akcję na Kulparków, a po ukończeniu zadania zasiliwszy jego oddział nowymi ludźmi, zgodziłem się na jego propozycję uderzenia na Górę Stracenia, w którym to kierunku zrobił już kilka udanych wypadów. Wkrótce opanowanie Góry Stracenia było uskutecznione. Por. Abraham zostawiwszy swych ludzi na zdobytym terenie, wrócił do szkoły z następującą propozycją: prosi o auto i jeden karabin maszynowy. Jest w stanie siłami, którymi dysponuje, posunąć się naprzód.

Wówczas oświadczyłem mu, że auto i c. k. m. dostanie, natomiast nie chcę, aby posuwał się naprzód, gdyż mam zbyt mało sił, aby go wesprzeć, gdy nastąpią dla niego większe trudności, nie chcę bowiem zbyt rozszerzać swego działania, aby nie znaleźć się w sytuacji, że nie będę w stanie nic utrzymać. Tak więc we Lwowie działa się inaczej, niż wszędzie dotychczas. Zamiast rozkazu do natarcia, zmuszony byłem wydawać rozkazy dla powstrzymania tych, co rozgrzani walką, nacierać pragnęli.

Koncepcję natomiast ruchliwego c. k. m. uważam za bardzo trafne rozwiązanie por. Abrahama i odpowiadającą jego kawaleryjskiemu tupetowi.

W nocy z 3-go na 4-go listopada walka o Dworzec Główny rozgorzała na nowo. Zorganizowawszy do tego czasu jego obronę, uzgodniwszy ją z dowódcą i zasiliwszy potężnie, jak na owe czasy, kilkudziesięciu uzbrojonymi kolejarzami, uważałem, że jestem w stanie oprzeć się nawet planowemu natarciu ukraińskiemu, o ile ono tylko dworców dotyczyć będzie. Uderzenie Ukraińców na całym froncie, gdyby takie miało miejsce, uważałem za groźne.

Bitwa o Dworzec Główny rozpoczęła się. Trzask karabinów i łuna palących się magazynów były tej bitwy przygrywką. Z okna szkoły patrzyłem w morze ognia, spokojny, że potężny mój oddział na dworcu (około 150 ludzi liczący) jest w stanie utrzymać dworzec w swoim posiadaniu. Wysłane patrole na reszcie frontu meldują o zupełnym spokoju, co dawało mi pewność, że akcja skierowana jest głównie w stronę dworca. Skromne swe odwody trzymałem w pogotowiu.

Nie przeczuwając nic złego, a widząc szerzący się pożar, wysłałem w kierunku Dworca Czerniowieckiego kilkunastu ludzi z zadaniem tłumienia ognia, ratowania cennych magazynów, oraz wyświetlenia sytuacji. Zaczynałem się niepokoić z powodu braku wiadomości z dworca. Jakże szybko się rozczarowałem. Oto równocześnie z kilku stron, dostaję wiadomości. Załoga Dworca Głównego, wzięta częściowo podstępem walczy już tylko resztkami sił. Dworzec Czerniowiecki opanowany przez baon siczowy a załoga, głównie złożona z kolejarzy, rozeszła się po wagonach, zaś gros, zażywszy zbyt dużo alkoholu, niezdolne do walki. Zapasy wódki jednak są znaczne, przeto i nieprzyjaciół ulega podobnemu losowi. Sytuacja tu opanowana przez część załogi dworca wspólnie z oddziałem wysłanym ze Szkoły Sienkiewicza. Dca dworca, por. Laveaux, podstępem wzięty do niewoli, ucieka i orjentuje się w sytuacji. Zastępca jego por. Nittman, wedle meldunku kurjerki, której się udało wydostać z Dworca Głównego, pertraktuje z Ukraińcami o poddanie dworca. W tej sytuacji zarządzam, neglizując do pewnego stopnia inne odcinki frontu, koncentryczne natarcie na opanowanie Dworca Głównego. Angażuję wszystkie rozporządzalne ku temu siły. Przerzucam por.

Abrahama z Góry Stracenia wraz z jego oddziałem, który od strony ogrodów ma z akcją tą współdziałać. Górę Stracenia rozkazuję utrzymać oddziałami z Domu Techników. W rezultacie Dworzec Główny wraz z Lewandówką i lotniskiem zostają odzyskane i odtąd pozostają w naszym posiadaniu. Zastępca dowódcy dworca zostaje aresztowany za samowolne pertraktacje z Ukraińcami i odesłany do N. Kmdy. Około godz. 10-tej dnia 4 listopada sytuacja na odcinku Dworca Głównego opanowana w zupełności.

Z kolei walki teraz się toczą o Górę Stracenia, która ostatecznie pozostaje w naszym posiadaniu, o Wulkę i koszary dragonie, które zostają z rąk Ukraińców odebrane. Równocześnie z tem idzie akcja ku śródmieściu. Akcje te są bądź przezemnie nakazywane, bądź zasilane odwodami Szkoły Sienkiewicza. Pod wieczór tego dnia, ogólnie biorąc, wszędzie posunęliśmy się naprzód, względnie utrzymywaliśmy dotychczasowy stan posiadania.

Noc z 4 na 5 listopada zeszła na intensywnym patrolowaniu oraz porządkowaniu oddziałów i organizacji łączności z nimi. Wewnątrz szkoły trwa praca nad organizacją nowych sił i zaopatrzeniem żołnierza w żywność i amunicję. Ogólnym zamiarem moim na dzień 5 listopada jest bić Ukraińców na skrzydłach, przy pewnego rodzaju ofensywnej demonstracji w centrum.

Od trzech dni jestem dowódcą Szkoły Sienkiewicza, a tak to jakoś się dzieje, że działam względnie zasilam działanie na całym froncie. Wynika to prawdopodobnie z dwóch przyczyn:

1. Kilkakrotnej zmiany miejsca postoju Naczelnej Komendy, co powoduje przerzucanie od samego początku inicjatywy w ręce niższych dców i niemożności utrzymania łączności Naczelnej Komendy z oddziałami, będącymi w walce, których akcja samorzutna, względnie przezemnie później narzucona, wyprzedza postanowienia Naczelnej Komendy.

2. Grawitowania oddziałów walczących ku ośrodkom bezpośredniej decyzji, pomocy i zaopatrzenia.

Świt rozpoczyna się natarciem poważnych sił na Wulkę i Szkołę Kadecką i gdy po pewnym czasie, sytuacja tu zostaje opanowana, odwodami z Domu Techników, drugie natarcie ukra-

iniskie jeszcze gwałtowniejsze idzie na Dom Techników i Szkołę Sienkiewicza.

Sytuację oceniałem wówczas jako bardzo poważną, zasięgnięcie całego frontu odwodami szkoły spowodowało, że sam odwodów tych miałem niewiele. Zaangażowanie odwodów z Domu Techników na Wulce stwarzało również i dla Domu Techników sytuację poważną. Spędzona placówka moja z Kulparkowa stworzyła sytuację, że decyzje pobierać musiałem już w chwili idącego natarcia nieprzyjacielskiego na szkołę. Upadek zaś tych dwóch ośrodków naszej walki o Lwów, t. j. Domu Techników i Szkoły Sienkiewicza mógł pociągnąć za sobą nieobliczalne konsekwencje i utrudnić naszą dalszą walkę, lub nawet zachwiać całym systemem naszego boju. Inaczej mówiąc, cel obrany przez nieprzyjaciela był słuszny. Szczęściem dla nas, że robił on to dopiero teraz, to znaczy zbyt późno.

Poważne to i mądrze pomyślane natarcie załamało się i w skutkach dało nam nawet poważne zdobycze. Tajemnica niepowodzenia Ukraińców polegała na systemie zastosowanym przeze mnie. Przeciwwstawiłem natarciu minimum sił, a przeciwuderzyłem poważniejszymi siłami, nacierając z dwóch stron na skrzydła i tyły. Uderzenia nasze szły małymi grupkami, ale wszędzie jednocześnie i planowo. Wreszcie wspaniała inicjatywa podkomendnych i ich bohaterstwo dopełniały reszty. Wystarczy jeżeli podam, że natarciu idącemu bezpośrednio na szkołę (około 300 bagnatów) mogłem frontalnie przedstawić około 30 bagnatów, zaś do akcji na skrzydła łącznie do 50 bagnatów. Jakże czuć się musiał por. Bergman, por. Stark, ś. p. ppor. Wolak, ppor. Asłanowicz, por. Schramm, czy ppor. Petry, gdy im wydawałem rozkazy. Pamiętam dobrze ich twarze szczere, serdeczne, postacie pełne zapału i wiary, że zwycięstwo musi zostać przy nas i nawet, gdyby zginąć przyszło, toć przecież i tak zwycięstwo zostanie przy nas, zwycięstwo Ducha.

Gdy więc sytuacja pod Kulparkowem została opanowana, nie było już trudności i na odcinku Domu Techników, dokąd dla współdziałania wysłałem oddział ze szkoły. Gdy tylko na tym odcinku zapanował spokój, rozpoczęły się dalsze walki na Wulce, które pod wieczór zakończyły się naszym sukcesem. Również por. Abraham z Góry Stracenia oczyścił z nieprzyjaciela najbliższe ulice, podając rękę oddziałom z dzielnicy Żółkiewskiej,

które w godzinach popołudniowych zajęły Rzeźnię Miejską. W centrum frontu akcja idzie opornie, dopiero zasilony małym oddziałem ze szkoły por. Jarina zdobywa jedną z bram Poczty Głównej. Zmierzenie się naszych sił z ukraińskimi dały nam w tym dniu prawie na całym froncie sukces bądź w załamaniu się sił nieprzyjaciela, bądź w zysku naszym w terenie i materiale.

Przemęczenie moje w tym dniu dochodzi do szczytu. Jest to piąty dzień walki. Przez ten cały czas nie zmrużyłem oka i prawie nic nie jadłem.

Akcję całą tych dni cechuje bezpośredniość, oraz kompletne pomieszanie pojęć, kto komu podlega i czym dowodzi. Odnoszę wrażenie, że istnienie kilkunastu, czy kilkudziesięciu zdobywców Dworca Głównego tem się właśnie tłumaczy. Przypuszczać bowiem należy, że koledzy moi z Domu Techników, szkoły Konarskiego, czy innych punktów, jak również Naczelnej Komendy, wydawali pokrewne moim rozkazy, że jednym słowem, wszyscy, nie zważając, kto czym dowodzi, zasilali się nawzajem dla jednego celu — zwycięstwa. Mogę jednak zaznaczyć z całą świadomością rzeczy, że gros tych wysiłków spadło na Szkołę Sienkiewicza, jako naturalne centrum całego wysiłku lwowskiego. Zdawałem sobie również sprawę z tego, że w miarę rozrostu sił naszych, stwarza się coraz większa machina, którą, aby móc dowodzić, trzeba zorganizować, bowiem już dzisiaj, piątego listopada nie mając prerogatyw Naczelnego Dowódcy, w chaosie pomieszanych kompetencji, pracuję ponad siły a za chwilę mogę sytuacji nie opanować.

Powyższy stan zmusza mnie do udania się do Naczelnej Komendy, gdzie przedstawiam mój punkt widzenia, przyczem w rozmowie z kpt. Mączyńskim, przedstawiam mu konieczność podziału rejonu zdobytego na odcinki i unormowania kompetencji dowództw. Mam wrażenie, że dzieje się to koło południa dnia 5 listopada, a pod wieczór tego dnia otrzymuję rozkaz Naczelnej Komendy, datowany dnia 5 listopada godz. 7 normujący sprawę dowodzenia. Wynika z niego, że ja zostaję dowódcą II grupy, w skład której wchodzi odcinek V — dca kpt. Baczyński i odcinek IV — dca kpt. Majewski.

Dzień więc 6 listopada zastaje mnie już w nowej, określonej roli i mimo, że jeszcze w dalszym ciągu różne ogniska, jak poczta, placówka Bema, czy por. Abraham grawitować będą

ku Szkole Sienkiewicza, pracuję już w warunkach możliwych a i Naczelną Komendą pozostaje w należytym jej roli. Noc z 5 na 6 listopada jest pierwszym moim odpoczynkiem.

W dniu 5 listopada na wniosek oficerów z odcinka Kulparkowskiego powstaje pierwsza kompania piechoty t. zw. Kulparkowska, którą dowodzi por. Bergman.

Noc z 5 na 6 listopada oraz dzień 6 listopada zostały przeze mnie wyzyskane na rzecz organizacji dowództw, odcinków i łączności, prócz tego w Szkole Sienkiewicza zostały zorganizowane: 2 kompanie piechoty, 1 Kulparkowska i 2 w szkole, oraz oddział karabinów maszynowych pod dowództwem por. Zborzil-Mireckiego, stanowiący zaczątek komp. c. k. m. Równocześnie rozpoczynam uzbrojenie i organizowanie wsi polskich na peryferiach miasta¹⁾.

Jest to okres względnego spokoju na froncie wskutek zawieszenia broni przez Naczelną Komendę na przeciąg 24 godzin.

¹⁾ Dnia 6 listopada 1918 r. w godzinach popołudniowych miałem dość niemiłe zajście, wynikłe na tle niezadowolenia jednego z moich podkomendnych. W dniu 3 listopada zorganizowałem oddział żandarmerji i na jego czele postawiłem sierż. Leg. Z. W dwa dni później przekonałem się, że wyżej wymieniony nie odpowiada na to stanowisko, gdyż jest notorycznym alkoholikiem, rozpija oddział i deprawuje żołnierza. Natychmiast też usunąłem go z zajmowanego stanowiska, powierzając je pchor. Wyrzykowskiemu. Zażywszy mocno alkoholu i spiwszy kilku żandarmów postanowił zemścić się i... odebrać mi dowództwo. Gdy byłem zajęty wydawaniem rozkazów, wszedł Z. na czele trzech uzbrojonych żandarmów i przyłożywszy mi rewolwer do skroni oświadczył mi, że: „w imieniu Rady Żołnierskiej i ludu arestuje mnie i zrzuca z dowództwa Grupy“. Zorientowawszy się natychmiast o co chodzi, sięgnąłem po rewolwer i trzasnąłem nim między oczy groźnego „Naczelnika Rady“, równocześnie zaś obok stojący por. Schramm wyrwał rewolwer z jego ręki.

Żandarmom rozkazałem słuchać nadal moich rozkazów i wszystkim zebrać się na piętrze, gdzie wkrótce sam się znalazłem, zaarrestowawszy uprzednio „byłego ich dowódcę“.

Po wyjaśnieniu im sytuacji i krótkiej przemowie, zostałem przez nich zniesiony na rękach do swojej kancelarii.

Incydent ten podaję dlatego, aby wyjaśnić, że nie było żadnej „Rady Żołnierskiej“ w Szkole Sienkiewicza, lecz, że sierż. Z. działał z zemsty i po pijanemu, podszywając się pod miano nieistniejącej organizacji.

Mimo wszystko słychać było na całej przestrzeni pojedyncze strzały i można się było spodziewać każdej chwili przerwania zawieszenia broni, przez którąkolwiek ze stron. — W rzeczywistości po 12 godzinach zawieszenie zostało zerwane.

Dzień 7 listopada na odcinku mojej grupy zaznacza się dwiema poważnymi akcjami w rejonie Skniłowa i Góry Stracenia. Z tych specjalnie Skniłowska daje nam realne korzyści.

Na wiadomość o tem, że w rejonie wsi i stacji kolejowej Skniłów gromadzą się siły ukraińskie oraz, że ze stacji Skniłów zabierają istniejący tam materiał wojenny i pozostawione przez Austriaków armaty, zarządzam uderzenie z dwóch kierunków z zadaniem opanowania stacji Skniłów i odebrania armat Ukraińcom. Wkrótce otrzymuję meldunek o zajęciu stacji i zdobyciu 5 czy 7 dział i magazynu amunicji. Pragnąc stwierdzić naocznie tak cenną zdobycz, wyjechałem autem z kpt. Pierackim i trzema żołnierzami w kierunku stacji Skniłów. W drodze zostaliśmy zatrzymani przez idącego od strony stacji Skniłów kolejarza, który ostrzegł mnie, że na stacji Skniłów są Ukraińcy, a żadnych Polaków niema. Wobec sprzeczności w obu tych wiadomościach, kazałem wysiąść wszystkim z auta i na stację Skniłów ruszyliśmy jak na patrol, auto skokami posuwało się za nami. Na stacji nikogo, tylko palący się jakiś barak i ślady dopiero co odbytej walki. Sądząc, że nasze chłopaki w zapale bojowym ruszyły na wieś Skniłów, podążyłem w tym kierunku, auto tym razem wjechawszy w wąską dróżkę, było narażone na to, że w wypadku nagłym mogło nie móc obrócić. Posuwając się coraz ostrożniej kazałem odwrócić auto i tyłem posuwać się za nami. Pod wsią usłyszeliśmy śpiewy ukraińskie, oraz zobaczyłem kobietę, która z najbliższej, odosobnionej chałupy biegła w stronę śpiewających. Tę zatrzymałem, sądząc, że to nasi dla zabawy z radości po tak wielkim sukcesie po ukraińsku śpiewają i ruszyłem do wsi. Nie wyzbyłem się i tu jednak ostrożności i na wszelki wypadek zdecydowałem: kpt. Pieracki z dwoma żołnierzami obejdzie wieś z prawa, ja z lewa z jednym żołnierzem. Auto czeka zwrócone frontem w kierunku Lwowa. Punkt zejścia się: grupa śpiewających we wsi.

Wkrótce na krańcu drogi, na którą wyszedłem z żołnierzem, zobaczyłem grupę ludzi około 30. Na nasz widok przestali śpiewać. Wysławszy żołnierza przodem, kazałem stwierdzić

co to za ludzie. Wkrótce zobaczyłem, jak żołnierz złożył się i strzelił. Mając rewolwer w garści, uskokczyłem w boczną uliczkę. Żołnierz mój uciekał w kierunku miejsca, z którego go wysłałem. W ślad za nim biegło trzech ludzi. Gdy się znaleźli na wysokości mojej, zatrzymali się wszyscy. Obawiając się, aby to nie była jakaś straszna pomyłka, krzyknąłem do nich, aby nie strzelali, będąc ciągle jeszcze przekonany, że to nasi. Wtedy dwóch z nich z odległości 3—4 kroków, dało do mnie ognia z karabinów. Przypadek zdarzył, że nie trafili. Zlikwidowawszy ich wówczas dwoma strzałami, pospieszyłem na pomoc memu żołnierzowi i zabiwszy, jak się później okazało, niejakiego Wityka, który życiu mego żołnierza zagrażał, biegiem wraz z żołnierzem wróciłem do auta, rewolwerem zaganiając uzbrojonych chłopaków tej wsi, do chałup. Przy aucie zastałem już kpt. Pierackiego z żołnierzem, trzeci żołnierz dobiegał. Gdy byliśmy już w aucie, na pełnym gazie, posypały się za nami strzały, na co my odpowiedzieliśmy, nie szczędząc amunicji. Miła to była jazda. Szybko znalazłem się w swoim dowództwie. Później sprawa się wyjaśniła. Ppor. Wolak, zdobywszy działą, zameldował mi o tem natychmiast, zaatakowany tymczasem przez przeważające siły, wycofał się. Między jednym a drugim meldunkiem nastąpił mój wyjazd. Stąd nieporozumienie, tak szczęśliwie dla nas zakończone.

Pragnąc za wszelką cenę utrzymać w swoim posiadaniu wieś i stację Skniłów zarządziłem koncetryczne natarcie i w rezultacie armaty zostały przy nas. Nazwisko jednego z zabitych spowodowało potem mylny meldunek ppor. Petryego, że zabitym miał być osławiony działacz ukraiński poseł Wityk, co jednak słusznem nie było, gdyż podobno był to brat jego, chłop tej wsi, nazwiskiem Wityk.

Po wydaniu zarządzeń dotyczących akcji na Skniłów, miałem przeżyć jedną z ciężkich chwil w mem życiu żołnierskiem. — W dowództwie mojem zameldował się podoficer, wracający z boju z poczty. Przyjąłem go natychmiast. Był sterany walką, początkowo mówił niezrozumiałe dla mnie słowa. Wreszcie uchwyciłem treść: „na poczcie giną ludzie, jest ich coraz mniej od kilku dni walczą sami, bez pomocy, wszyscy o nich zapomnieli. Tu w szkole siedzi zgraja tchórzów a tam umierają żołnierze. Poczta przepadnie“. Byłem zdenerwowany. Działą mi się

krzywda. Sam będąc w stanie podnieconym, byłem w słowach dla tego biednego człowieka — przykrym. Napięcie psychiczne jego było wielkie. Padł zemdlony. Rzuciliśmy się wszyscy, by go ratować. Potem dowiedziałem się przyczyny tego nienaturalnego stanu. Od początku bił się pod pocztą. Od kilku dni nie spał i prawie nie jadł. Dnia 7 listopada padł obok niego jego brat. Posiłków nie dostał, był wyczerpany. Gmachu poczty opuścić nie chciał, a w Szkole Sienkiewicza, skąd poszedł się bić, tyle, tyle ludzi!!! O nim zapomniano!!!

W rzeczywistości od dnia 6 listopada wskutek rozkazu Naczelnej Komendy poczta przestała do mnie należeć.

Jakże to można było nie zwyciężać takim żołnierzom.

8 listopada poza walką o Skniłów, trwały dość intensywne walki patroli na całym froncie II grupy, na reszcie frontu nie było większych zmian. Szykowano się bowiem do wielkiej ofensywy, którą Naczelna Komenda zdecydowała na dzień 9 listopada. Udziału osobistego w boju w dniu tym nie brałem. Działanie moje ograniczyło się do dania mych odwodów na rzecz szykującego się natarcia. Dnia 9 listopada zdecydowałem z mjr. Śniadowskim ściągnięcie zdobytego materiału ze Skniłowa i Sokolnik, co w sumie dało nam około 10 dział, okazałą liczbę amunicji i materiału wybuchowego. Dzień ten zakończył się załamaniem naszej ofensywy.

Wskutek depresji, wywołanej nie udaniem natarciem naszym w centrum, zaczęły się nowe rozmowy na temat zawarcia pokoju z Ukraińcami, czemu oba moje odcinki energicznie zaprotestowały. Młody nasz żołnierz łatwo zapalny, gotowy w każdej chwili nieść życie swoje w ofierze, entuzjazmujący się każdym zwycięstwem, łatwo ulegał depresji na wypadek akcji nieudanej. Szukano zaraz winnych, zaczynało się narzekanie, rozluźnienie dyscypliny, wkradała się niewiara. Związki organizacyjne zaczynały się rozluźniać. Na domiar złego nowe słuchy o chęci zawarcia rozejmu, czy pokoju spowodowały poważne niezadowolenie wśród wojska. 10 listopada musiałem odrzucić propozycję delegacji, która zjawiła się u mnie, abym objął Naczelne Dowództwo i jak powiadali: „poprowadził wojsko do zwycięstwa“. Jest to typowy objaw dla wojska powstańczego, pragnącego za cenę krwi i ofiary zwycięstwa i chwały. Klęski ten żołnierz nie znosi.

Rozumiejąc, że walka o władzę spowodować by mogła dalsze komplikacje i załamania, autorytetem swoim uspokoiłem zapalne głowy.

Począwszy od 10 listopada przechodzimy zdecydowanie do obrony. Inicjatywę ujmują w swoje ręce Ukraińcy. Natarcia ukraińskie rozwijają się na całym froncie, z wyjątkiem II grupy. Czas poświęcam na uroczyste zaprzysiężenie wojsk, organizację i wyszkolenie.

Dnia 11 listopada Ukraińcy, kontynuując swoje natarcia, uderzają i na front II grupy. Wyślane patrole, wywiad cywilny i oddziały włościańskie w okolicznych wsiach polskich meldują o zbliżaniu się poważnych sił od strony Sokolnik i Zimnej Wody. Wkrótce otrzymuję wiadomość o opanowaniu przez nieprzyjaciela Sokolnik, Zimnej Wody i innych wsi. Nie chcąc dopuścić, aby natarcie zagroziło mi bezpośrednio zarządzam kombinowane natarcie II grupy z oddziałami z Rzęsny Polskiej. Dochodzi do ciężkiej walki nocnej z 11 na 12 listopada pod Białohorszczą. Nieprzyjaciel pobity cofa się, a my odzyskujemy utracone wsie, nadto rozbrajamy ruską wieś Rudno.

Poza zdobyczą wojenną w materjale i jeńcach zyskujemy ciekawy dokument w tamtejszem probostwie, że proboszcz ks. Honyckij był tajnym agentem pruskim i że Prusacy w ruchu ukraińskim swoje ręce maczali. Aby utrwalić się silnie w rejonie Zimna Woda, wyznaczam tam oficera z zadaniem zorganizowania z okolicznych wsi, a specjalnie ze wsi Zimna Woda 1 kompanji strzeleckiej. W ten sposób odcinek V zyskiwał jeszcze jedną kompanję strzelecką, względnie jej zawiązek. Również w dniu tym na stanowisku dowódcy IV odcinka zachodzi zmiana. Dowódcą IV odcinka zostaje kpt. Pieracki. W związku z tem zarządzam pewne zmiany organizacyjne, w rezultacie odcinek V-ty kpt. Baczyńskiego ma 4 kompanje strzeleckie i 1 kompanję c. k. m. Odcinek IV dzieli się na dwa pododcinki w sile mniej więcej 2 kompanij strzeleckich każdy i oddziału c. k. m. Oba odcinki w ogólnej liczbie około 500 bagnetów.

Mimo poniesioną porażkę w dniu 12 listopada pod Białohorszczą Ukraińcy po chwilowej przerwie, zasileni nowymi oddziałami, rozpoczynają nowe natarcia. Odcinek II grupy, specjalnie odcinek V, a także I z grupy I stały się widownią żaźnych walk. Na odcinku II grupy Ukraińcy zajęli w nocy z 12

na 13 listopada wieś Sokolniki, a następnie rejon wsi i zakładu Kulparków, a zajmwszy w ten sposób dogodną podstawę wyjściową zagrozili bezpośrednio Szkole Sienkiewicza. Siły Ukraińców przewyższały kilkakrotnie siły nasze a o tem, że przygotowali natarcie poważne, świadczyło przygotowanie materialne. W akcję miało wejść około 400 bagnetów, 2 ciężkie miotacze min i kilka dział. Wedle otrzymanych wiadomości właściwe natarcie miało się rozpocząć dnia 14 listopada o świcie. Noc z 12 na 13 listopada mieli Ukraińcy wykorzystać na zajęcie podstawy wyjściowej i rozpoznanie naszego ugrupowania i naszych sił, oraz na koncentrowanie napływających dalszych sił własnych. Od 13 listopada rano przypuścili Ukraińcy natarcie, które załamało się w naszym ogniu. Nie chcąc dopuścić do tego, by Ukraińcy rzeczywiście w spokoju przygotowali swoje natarcia na dzień następny, postanowiłem nie czekać, lecz sam im bitwę narzucić.

Zamiarem moim było wciągnąć Ukraińców w orbitę swego ugrupowania obronnego i wykorzystać odosobnienie lewego skrzydła nieprzyjacielskiego do zaatakowania jego flanki przez gros moich sił.

Od rana dnia 13 listopada organizowałem przeciwnatarcie, atakowany stale w tym czasie przez Ukraińców. Cienką obsadę frontu obronnego zmniejszyłem do minimum, pragnąc całą siłę zachować do uderzenia flankowego.

O godzinie 13:30 ruszyło nasze przeciwnatarcie z własnego prawego skrzydła. Kiedy działanie jego obeszło flankę nieprzyjaciela i dało się odczuć w walce, dałem rozkaz do uderzenia na całym froncie. Będąc sam na nasypie kolejowym obserwowałem nasze działanie. Nie chcę tu mówić o dzielności i bohaterstwie moich chłopaków, stwierdzam tylko, że nie jest rzeczą trudną dowodzenie, gdy się takim elementem dowodzi. Ukraińcy wzięci we dwa ognie, nie wytrzymali, pozostawiając na placu zabitych i rannych, oraz poważny materiał wojenny w postaci 2 miotaczy min, jednej 10 cm haubicy, nieco jeńców i innego materiału. W rezultacie pościgu opanowaliśmy cały rejon, zajęty przez Ukraińców, zajmując z powrotem wieś Sokolniki, a nawet na pewien czas Persenkówkę. Działanie to również odciażyło odcinek I i zakończyło się dopiero w nocy z 13 na 14 listopada zupełnem naszym zwycięstwem.

Od dnia 14 listopada aż do naszej kontrakcji w dniu 21 listopada Ukraińcy przestali niepokoić odcinek II grupy. Byłem w stanie być jak gdyby głównym odwodem Naczelnej Komendy, gotowym w każdej chwili dać poważne siły tam, gdzie tego żądano. Sam przeprowadziłem kilka wypadów, utrzymując kontakt z nieprzyjacielem intensywnie wysyłanymi patrolami.

Bitwa w dniu 13 listopada uprzedziła Ukraińców w ich zamiarach, pokrzyżowała plany ich ogólnej ofensywy, planowanej na dzień 14 listopada i chociaż dzień ten stał się widownią nowych ciężkich natarć ukraińskich, to jednak ofensywa ich nie objęła już II grupy. Naczelna Komenda mogła spokojnie przyjąć uderzenia, dysponując odwodem i mając zapewniony spokój na części swego frontu.

Nowe poważne zwycięstwo, jakim była bitwa Kulparowska podniosło ducha przemęczonych ciężką walką i służbą oddziałów, spowodowało nowy napływ sił z okolicznych polskich wsi i zmniejszyło wartość oddziałów ukraińskich, które gotowały się do nowej ofensywy. Ofensywa ta prowadzona w ciągu następnych trzech dni załamała się całkowicie. Niewygodne, tym razem dla nich, zawieszenie broni, zostało zawarte. Polski Lwów szykował się do odwetu, posiłki z zewnątrz nadszły.

Całą moją działalność do tej chwili należałoby podzielić na dwa okresy:

1. I okres od 1 do 5 listopada włącznie.

2. II „ „ 6 „ 18 listopada.

I okres to tworzenie ognisk buntu, krwawych, początkowo niespolonych wysiłków, późniejsza ich koordynacja, z równoczesną organizacją i bojem. Uchwycenie bazy i rwanie nieprzyjaciela, gdzie się tylko dało i chwytanie dogodnych taktycznych możliwości, wyzyskanie do niebywałych granic porywu młodego żołnierza i tworzenie epoki bohaterstwa rzadko w historii spotykanego. Wreszcie tworzenie wielkiego ogniwa, do którego wszystko łączyć musiało, w myśl idei przewodniej, że Szkoła Sienkiewicza musi się stać podstawą, albo jedną z podstaw, gdzie sterany bojem żołnierz znajdzie: decyzje, żywność, amunicję i... serce. Kochaliśmy się bardzo wszyscy. Z chaosu bielnego i pełnej improwizacji trzeba było krzesać czyn, nie dać otrzeźwieć nieprzyjacielowi i kuć żelazo w jego białym rozpaleniu.

II okres, to dalsza, w ogniu organizacja jednostek bojowych, przejście moje już do wyraźnej, określonej roli dowódcy podkomendnego, działającego na określonym odcinku, stwarzającego jednostki w sile około dwóch baonów, z rozwiniętymi służbami do wielkości pułku, czy nawet dywizji, to w dalszym ciągu bitwy o bazy zaopatrzeniowe, jak Skniłów, czy też bicie nieprzyjaciela, gdzie nadarzy się sposobność. Nie czekać na uderzenie nieprzyjaciela, lecz uprzedzić go i bić, dążyć do pobicia jego sił a nie odparcia tylko, uderzać na flanki i tyły, pozostawiając minimum na jego uderzenia, jak Kulparków, czy Białohorszcza. Prócz tego utrzymać ciągły kontakt i rozpoznanie przez: wypady, patrole, wywiad (cywilny), dzwonki alarmowe, które zorganizowano po wsiach okolicznych. Wreszcie koordynować wysiłki i podnosić ducha wśród własnych wojsk.

Rezultat tego okresu to spokój na odcinku II grupy, poczawszy od 14 listopada oraz zorganizowanie dwóch jednostek bojowych (baonów), gotowych stale do walki, zaopatrzonych w swoje kuchnie, tabory, broń, amunicję, żywność, posiadających własne składy i magazyny, wreszcie izbę chorych, intendenturę i służbę zdrowia. Brak jest tylko artylerji, którą w całości zabiera Naczelna Komenda. Szkoła jest nadal bazą zaopatrzeniową całego frontu a prócz tego, w ciągłej gotowości niesienia pomocy na innych odcinkach frontu.

Wszystko to zrobione w ciągu tych kilkunastu mizernych dni, z całą brawurą tych, co zwyciężali i tych, co zamknięci w murach szkoły, z nabitym rewolwerem za pasem, oddawali się z całym zaparciem pracy. Za chwilę wszyscy krwawić się będą, ale w tej chwili chwycić muszą lecący czas i organizować wszystko dla tych, co już w ogniu się krwawią, by zwyciężyli, by zwyciężyć wspólnie. Dopiero co warząca strawę pani w suterrenach szkoły już leci za chwilę w ogień, aby tam chłopakom nieść chleb, czy przewiązać rany, to znów układający i rachujący intendent, czy kierownik zbrojowni, pędzi autem w ogień palącego się dworca, by chwycić stamtąd karabinów trochę, chleba, czy konserw. Bój jest wszędzie i wszędzie zwycięstwo Ducha nad materją, żołnierza nad wrogiem.

Zorganizowany oddział pracuje nad przygotowaniem zwycięstwa — odwetu!!!

Trzydniowe zawieszenie broni, które miało trwać od 18 listopada godz. 6-ta do 21 listopada godz. 6-ta, było w rzeczywistości pierwszym korzystnym zawieszeniem. W najbliższych dniach miała przyjść odsiecz i jeżeli nie mieliśmy zamiaru lub nie mogliśmy rozwinąć jakiejś poważniejszej akcji, to każda kropla krwi, przelana w utarczkach, byłaby niepowetowaną stratą. Zresztą przed decydującym uderzeniem, które miało po przyjsciu odsieczy nastąpić, należało dać ludziom odpocząć i oddziały zorganizować. Zawieszenie to kryło w sobie i pewne niebezpieczeństwo. Ukraińcy mogli bowiem otrzymać uzupełnienia, zrekonstruować swoje oddziały, które tylu niepowodzeń doznały w ich ostatniej ofensywie, wreszcie w związku z tem, mogli uprzedzić nas w natarciu lub ugruntować się mocno na zajętych pozycjach. Rozpoczynał się więc wyścig, kto kogo uprzedzi. Tym razem myśmy zaryzykowali. Szczęście sprzyja odważnym.

Ukraińcy poczynili przygotowania. Utrwalili zajęty front, wzmacniali jego obsadę, organizowali swoje oddziały. Nie mniej gorączkowa praca trwa u nas, narzucona bądź przez Naczelną Komendę, bądź samorzutnie prowadzona przez pomniejszych dowódców.

Dochodzą również do nas wiadomości o zbliżającej się odsieczy. Łąduje wystany przez ppłk. Tokarzewskiego lotnik i melduje o możliwości przybycia odsieczy już w dniu 20 listopada rano. Mają nadejść siły złożone z różnych rodzajów broni w ogólnej liczbie ponad 1000 bagnetów, 500 koni, 8 dział i t. d. Wszystko żyje nadzieją oswobodzenia pozostałej części Lwowa i rozpoczęcia boju możliwie prędko. Ileż to dzielnych chłopaków chce się rzucić w ramiona swych ojców, matek, kochanek. Ileż słów ciśnie się na usta, które jeszcze dotąd milczeć muszą!

Ukraińcy śledzą ruchy odsieczy. Staczają krwawe walki z nią pod Sądową Wisznią i Gródkiem Jagiellońskim, gotują się do przyjęcia uderzenia polskiego we Lwowie.

20 listopada godz. 16-ta ostatni transport już wywagonował na Dworcu Głównym. Ppłk. Tokarzewski obejmuje dowództwo sił połączonych i zwołuje w Naczelnej Komendzie Radę Wojenną, w skład której wchodzi prócz niego Naczelny Komendant Wojsk Polskich kpt. Mączyński, dowódcy grup i samodzielnych oddziałów.

Rozpatrywane są dwa zagadnienia:

1. Czy uderzać zaraz po ukończeniu zawieszenia broni t. j. 21 listopada godz. 6-ta, czy następnego dnia.

2. W jaki sposób.

Za uderzeniem natychmiastowem przemawia możliwość zaskoczenia i fakt, że każdy dzień opóźnienia powiększa siły nieprzyjaciela. Przeciw temu wielkie przemęczenie wojsk odsieczy. Ppłk. Tokarzewski wykrzesze ostatni nadludzki wysiłek tych oddziałów i decyduje, by uderzyć o świcie.

Co do sposobu wykonania natarcia jestem osobiście za działaniem ze skrzydeł i peryferyj miasta, uważając działanie w ulicach za trudne i niedopuszczające rozwinięcia większych sił, oraz wykluczające pobicie sił Ukraińców, względnie ich ujęcie. Tego samego zdania jest ppłk. Tokarzewski i większość zebranych. Pozostaje jeszcze kwestja personalna. Przeważa zasada objęcia dowództw poszczególnych natarć przez miejscowych dowódców, jako lepiej zorientowanych. W rezultacie dostajemy wkrótce znany rozkaz ppłk. Tokarzewskiego, jako dowódcy wojsk połączonych i w przepracowaniu drugi rozkaz kpt. Mańczyńskiego, a choć rozkazy te nie są co do treści ze sobą w zupełnej zgodzie, niemniej wiem, co robić i jako dowódca wschodniej grupy zarządzam ustną odprawę w nocy w Szkole Sienkiewicza wszystkich podległych mi dowódców. Mając do swojej grupy przydzielone gros sił odsieczy, cały mój odcinek V, oraz pociąg pancerny, który ma mnie wspierać, ale podporządkowany mi nie jest, będę się starał wykonać zadanie po myśli wytycznych ogólnych ppłk. Tokarzewskiego.

Ukraińcy przewidując nasze zamiary chcą je wszelkimi sposobami unicestwić. Na północnym odcinku frontu grupują poważne siły i bez względu na to, co my mamy zamiar robić, będą nacierać. Również na południowym swem skrzydle przygotowują dość znaczne zgrupowania i jeżeli uderzą wcześniej niż ja, lub równocześnie, mogą unicestwić cały mój zamiar. W centrum okopani mocno są pewni, że nas nie puszcza.

Ja chcę obejść ich lewe skrzydło, wykorzystując do tego uchwyconą przez nas podstawę w rejonie Persenkówki. Do podejścia z podstawy aż pod roгатkę Zieloną wykorzystać noc. Działanie to uprzedzić wypadem na grupę Nawaryjską, która

wisi na mojej flance i patrole jej już dzisiaj włóczą się aż po rejon Skniłowa.

Wypad zostaje skutecznie zakończony częścią kompanii 3 i 4 z Zimnej Wody i Białohorszczy z zadaniem uderzenia na las i wieś Obroszyn i wykorzystania na Stawczany. Akcja udaje się całkowicie. W rezultacie uzyskuję:

1. Zaskoczenie nieprzyjaciela wcześniejszem od niego natarciem.

2. Pobicie go i zwrócenie jego uwagi w innym, niż uderzam kierunku.

3. Ubezpieczenie mego skrzydła, a więc swobodę działania.

Wypad ten spowodowało rozbicie, zamieszanie i popłoch w całej grupie Nawaryjskiej. Dowództwo tej grupy przekonane, że ma do czynienia z natarciem zakrojonem na wielką skalę z udziałem odsieczy, pośpiesznie wycofało swoje siły w kierunku południowym, zarzucając tem samem myśl uderzenia na moją flankę i tyły. Nie będąc już teraz skrępowany, mogłem wykonać swe zadanie. Zanim nieprzyjaciel zda sobie sprawę z rzeczywistości, oddziały Szkoły Sienkiewicza i dowódca baonu odsieczy I/5 pp. Leg. kpt. Krok-Paszkowski ze swoim baonem będzie już na tyłach Ukraińców w rejonie Łyczakowa.

Na odprawie zarządzanej przeze mnie w Szkole Sienkiewicza w nocy z 20 na 21 listopada podaję ustnie mój rozkaz, oparty na rozkazie ppłk. Tokarzewskiego i Naczelnej Komendy. Chcę pod osłoną nocy, zgrupowane oddziały w rejonie Szkoły Sienkiewicza przesunąć w rejon rogatki Zielonej i stąd uderzyć w dwu kierunkach: lewem skrzydłem na Wodociągi — Górę Jacka, prawem na cmentarz i Dworzec Łyczakowski, ulicę Łyczakowską i wykorzystać na Lasek cesarski. W centrum natarcie wiążące na koszary wojskowe. W ten sposób pragnę uderzeniem lewem ściągnąć dużo sił nieprzyjaciela na siebie, równocześnie zaś natarciem prawem wdrzeć się głęboko na flankę, przerwać łączność między Ukraińcami, znajdującymi się we Lwowie i tymi, którzy się znajdują na wsch. i płdn. wsch. od miasta i stąd działać na tyły Ukraińców, będących w środku miasta. Ruchem tym podać rękę działaniu naszemu lewego skrzydła w rejonie Lasku cesarskiego i uzyskać kompletne otoczenie. Jest pewne ryzyko w moim działaniu, bowiem mój ruch okalający po wdarciu się w głąb i zwróceniu frontu mego

w kierunku Lwowa, sam podstawia plecy nieprzyjacielowi, działającemu ze wschodu z rejonu Winnik, ale właśnie przeciwko temu użyję przydzielonej kawalerji i pociągu pancernego „Lwówianin“.

Siły, których użyję do całego działania są następujące:

1. Wypad na grupę Nawaryjską: 3 i 4 komp. strzel., drużyna c. k. m.

2. Grupa atakowa: Oddziały odcinka V: 1 komp. strzel., 1 komp. c. k. m., 1 komp. sztabowa, 1 pociąg panc. „Lwówianin“ (w dyspozycji Naczelnego Dowódcy, działający na moją korzyść).

Oddziały odsiecz: Legja oficerska, 1 baon 5 p. p. Leg. i 1 komp. strzel., 1 bateria à 4 działa (8 cm), 1 szwadron kawalerji.

W sumie około: 750 bagnetów, 11 c. k. m., 4 działa, 55 szabel, 1 pociąg pancerny¹⁾.

Wszystko ma wyruszyć ze Szkoły Sienkiewicza o godz. 3 dnia 21 listopada i maszerować marszem ubezpieczonym według ustalonej marszruty i porządku aż do rogatki Zielonej.

Z rejonu rogatki Zielonej natarcie lewe w składzie: komp. Jarosławska, komp. z 5 p. p. Leg., komp. c. k. m. z V odcinka.

Zadanie: opanowanie Góry św. Jacka i wodociągów i rozpoczęcie natarcie natychmiast (godz. 6-ta).

Natarcie: centrum prawe w składzie: reszta 5 p. p. Leg. i Legja oficerska. Robią manewr okrążający przez Pohulanekę, wdzierając się głęboko na flankę, skąd nacierają na dworzec, rogatkę Łyczakowską i ul. Łyczakowską, następnie wykorzystują na Lasek cesarski.

Działanie to ubezpieczone kawalerją i pociągiem panc.

Ja znajdować się będę na rogatce Zielonej, tamże odwód 1 komp. V odcinka (Kulparkowska), artylerja ma zająć stanowiska w rejonie Szkoły Kadeckiej i Persenkówki i ma wesprzeć ogniem natarcie na Górę św. Jacka. Punkt opatrunkowy i podręczny skład amunicyjny w rejonie rogatki Zielonej.

¹⁾ W zestawieniu tem nie wliczam tego, co miało wejść w skład na podstawie rozkazu ppłk. Tokarzewskiego, a co wskutek rozkazu Naczelnego Komendy częściowo odpadło.

Ludzie spożywają w tej chwili treściwe jedzenie i pobierają konserwy, granaty ręczne i amunicję. Oddziałom odsieczy przydzielam przewodników i łączników konnych.

Za chwilę ruszymy, ma być kompletna cisza, by nawet we własnej części Lwowa nie obudzić śpiących mieszkańców. Jest godz. 3-cia. Ruszamy w następującym porządku:

Kawalerja, która potem robi ruch oskrzydłający na Sichów z zadaniem ubezpieczenia prawoskrzydłowego uderzenia.

Kompanja Jarosławska.

Legja oficerska.

Kompanja c. k. m.

Kompanja Kulparkowska.

Artylerja.

I/5 p. p. Legionów.

Tabory.

Jest noc, z lekka mrzy deszcz ze śniegiem, kolumna wyciągnięta w jedną wstęgę sunie pochylona ku przodowi, parta niewypowiedzianą siłą przed siebie. Biją serca mocno, chłopaki wsłuchane w myśli własne, roją tęsknoty żołnierskie o swym domu, o boju, co za chwilę się rozpocznie, o przebytych trudach, o nowych zmaganiach, zwycięstwie i sławie. Panuje cisza nieprzerwana żadnym głosem. Tylko tupot nóg ludzkich i końskich odbija echem o kamienny bruk. W miarę zbliżania się do linii placówek własnych przebiega dreszcz, już niedługo, już za chwilę zacznie się bój i los Lwowa się rozstrzygnie, rozstrzygnie się też przeznaczenie tych pełnych życia chłopaków i Twoje Jurku Bitschan, mały przyjacielu, co to krwią i życiem okupisz polskość Lwowa i zaliczon zostaniesz do nowego oddziału, oddziału „Nieśmiertelnych duchów“ naszego narodu-bohaterów.

W rejonie Persenkówki następuje małe przegrupowanie. Kawalerja ma pójść w rejon Sichowa z zadaniem rozpoznania wraz z pociągami panc. „Lwowianin“, który o godz. 6-ej stoi pod parą na Dworcu Głównym i ma zabezpieczyć moją prawą flankę. Na czele maszeruje teraz komp. Jarosławska 4 p. p. Leg. ppor. Kaszy z wysłaną szpicą ku przodowi, za nią, w porządku poprzednio podanym, maszeruje reszta. Gdy szpica dochodziła do rogatki Zielonej była godz. 6-ta. Huk armat (znak umówiony rozpoczęcia boju) zmieszał się w tej chwili z trzaskiem karabinów ukraińskiej placówki, która obsadzała roгатkę Zieloną.

Rozpoczynaliśmy bój. Zaskoczona kompanja nagłym, z bliskiej odległości ogniem, rozwinęła się i przypadła do ziemi. Nie było czasu do stracenia, każda minuta decydowała o możliwości wdarcia się głęboko grupy uderzeniowej. Trzeba było działać szybko. Korzystając z tego, że byłem przy kompanji i że odległość od nieprzyjaciela była bliską, a to ze względu na ledwie powstający świt i mgłę, poderwałem wraz z jej dowódcą kompanję do szturm. Droga stanęła otworem. Komp. Jarosławska, komp. z 5 p. p. Leg. i komp. c. k. m. por. Zborzila-Mireckiego zostają w rejonie rogatki i stąd wykonują natarcie na Wodociągi i Górę św. Jacka.

Legja ofic., reszta baonu 5 p. p. Leg. pośpiesznie wysuwają się na czoło, aby kontynuować marsz w kierunku rogatki i dworca Łyczakowskiego, celem działania na dworzec Łyczakowski — ul. Łyczakowską. Ja pozostaję na rogatce Zielonej a wraz ze mną moja „gwardja“, komp. Kulparkowska, jako odwód. Dotychczas wszystko rozwija się wedle programu.

Ukraińcy są wszędzie w przeważających siłach. Tylko szybkie i bardzo zdecydowane nasze działanie może wywalczyć rozstrzygnięcie na naszą korzyść. Za wszelką cenę nie dać im się zorjentować, gdzie idzie główne nasze uderzenie. Zrobić wszędzie wrażenie zażartego uderzenia, wszędzie go wiązać i wszędzie bić, ale pobić na skrzydle. Dostać się do rejonu Łyczakowa, tamtędy wleść na tyły i pobić. Równocześnie natarciem dwóch kompanij i kompanji c. k. m., wspartych ogniem artylerji na górę św. Jacka, ułatwić natarcie I odcinkowi na Górę św. Jacka i zająć Wodociągi.

Ale niestety zaczynają się trudności.

Natarcie lewe wkrótce utyka, wskutek luki między komp. Jarosławską a odcinkiem I por. Bujalskiego i braku uzgodnienia tego wspólnego na Górę św. Jacka natarcia przezemnie, co wyniknęło z powodu rozkazu Naczelnej Komendy, która nie podporządkowała mi tego odcinka, mimo wyraźnego w tym względzie rozkazu ppłk. Tokarzewskiego. Również natarcie prawe, zagalopowawszy się zbyt daleko, odrywa się od natarcia lewego, wskutek czego w rejonie cmentarza Łyczakowskiego powstaje luka. W nią wkrótce uderzą Ukraińcy. Sytuacja natarcia prawego i całych moich sił stać się może krytyczną. Mogę być przedzielony na pół. Natarcie prawe, choć z prawej flanki ubezpieczone

kawalerją, może być wzięte we dwa ognie. Może nie móc wykonać zadania również natarcie lewe, zagrożone na swej prawej flance, może się załamać i znaleźć w ciężkiej sytuacji. Odwód, który chciałem rzucić tam, gdzie mi się udało przełamać i gdzie chciałem wykorzystać powodzenie, muszę rzucić tam, gdzie mi niebezpieczeństwo zagraża. Nieprzyjaciół uderza z rejonu cmentarza Łyczakowskiego. Jest najwyższy czas, aby rzucić mój ostatni odwód. Kompanja Kulparkowska uderza. Na cmentarzu zażarta walka, za chwilę Pohulanka, Cetnerówka i cmentarz wolne. Ukraińcy cofają się na koszary, za chwilę wyjdzie stamtąd nowe przeciwuderzenie, aby się w ogniu naszych c. k. m.-ów które przed chwilą tam posłałem, o pierś kompanji Kulparkowskiej rozbić.

Sytuacja więc w centrum jest opanowana, ale brak jeszcze wiadomości z prawego skrzydła i od kawalerji, która manewruje na Sichów.

Ogólnie biorąc, wdarcie się mej grupy w ugrupowanie Ukraińców i na ich flankę nastąpiło, ale lewe natarcie zostało zatrzymane. W centrum (komp. Kulparkowska) wszędzie ciężki i krwawy bój się toczy, ale trzymamy się mocno. Prawe natarcie — wiadomości brak. Odnoszę wrażenie, że oddział zbyt daleko się posunął.

Około południa przybył do mego miejsca postoju ppłk. Tokarzewski, któremu przedstawiłem powyższą sytuację i prosiłem o podporządkowanie mi I odcinka dla natarcia na górę św. Jacka i przesłania odwodów, które chciałem wykorzystać dla wsparcia natarć. Byłem bowiem bez odwodów a wobec zaangażowania wszystkich sił w walkę, wykluczonem było ich odtworzenie. Otrzymałem przyrzeczenie co do jednego i drugiego, oraz zostałem poinformowany o sytuacji na całym froncie. Ppłk. Tokarzewski odjechał. Wkrótce zaczęły napływać meldunki z prawego skrzydła. Oddziały odsieczowe zbliżyły się do Dworca Łyczakowskiego i rogatki Łyczakowskiej. Kawalerja i pociąg pancerny „Lwowianin“ zajęły Sichów. Około godz. 15 przybywają posiłki w sile 50 karabinów z komp. Lewandówka, IV odcinka pod dowództwem por. Stanisława Widackiego.

Niemiałem jest dla mnie fakt opóźnienia się akcji oddziałów odsieczowych (Legji ofic. i baonu 5 p. p. Leg.). Opóźnienie to wynika wskutek zbyt dalekiego wdarcia się w głąb, bo aż po

Lesienice i Krzywczyce. Oddziały te są przemęczone ostatniemi walkami, drogą, którą w ciężkich warunkach odbyły (wagony nieopalone), brakiem odpoczynku i snu, nocnym marszem, obejściem trudnem, po bezdrożach, koszar na Jałowcu, wreszcie ciężkim bojem, który staczać teraz musi Legja oficerska w rejonie Lesienice, a 1/5 p. p. Leg. w rejonie rogatki Łyczakowskiej i dworca Łyczakowskiego, gdzie padł por. Wysocki i 8 żołnierzy. Stąd wynika opóźnienie właściwego natarcia na Dworzec Łyczakowski i całą dzielnicę Łyczakowską a jako skutek, brak współdziałania w ogólnym natarciu grupy wschodniej w kierunku zachodnim. Meldunek przesłany między godz. 14 a 15 z prawego skrzydła, oraz przybyłe o godz. 15 odwody, wpływają na moją decyzję.

Chcę wykonać natarcie na całym froncie w tym celu wzmocnić lewe natarcie, otrzymanym odwodem, a uzgodniwszy to natarcie z podporządkowanym mi I odcinkiem, zająć Górę św. Jacka natarciem I odcinka i Wodociągi miejskie oddziałami odsieczy i oddziałami IV i V odcinka. Działanie na Wodociągi będzie działaniem pomocniczem, przyczem natarcie to zostanie wsparte ogniem broni maszynowej z centrum. Natarcie na Górę św. Jacka będzie wsparte przydzieloną artylerją. Równocześnie z natarciem lewym powinno uderzyć moje prawe skrzydło.

Podstawą dla odcinka I i mego lewego natarcia jest obecnie zajęta linja. Między 16 a 17 zostają zajęte Wodociągi i Góra wodociągowa. W ten sposób Góra św. Jacka zostaje oskrzydłona. Mimo wszystko Góra św. Jacka nie zostaje zdobyta. Wodociągi przechodzą z powrotem w ręce Ukraińców. Na prawem skrzydle zostaje zajęty Dworzec Łyczakowski i rogatka Łyczakowska oraz koszary ułańskie na Jałowcu, dalsze posuwanie się zatrzymane, bądź wskutek oporu, bądź wskutek przemęczenia zupełnego oddziałów odsieczowych. W tej sytuacji zapada noc.

To jest wszystko na dzisiaj, co można było wydobyć od oddziałów odsieczy. Żołnierze padają ze zmęczenia, oficerowie mimo nadludzkich wysiłków i walki kilkogodzinnej ze sobą — zasypiają i walą się z nóg. Sytuacja w nocy jest tu taka, że gdyby Ukraińcy przedsięwzięli działanie nocne, mogliby byli spowodować sytuację bardzo poważną.

W centrum i na lewym mojem skrzydle jest lepiej. Żołnierz czuwa, wysyła nieustanne patrole, wystawia placówki. Zato zimno daje mu się we znaki, boć „pełnego“ ekwipunku jeszcze nie dostał mimo, że przecież już od tyłu dni na miano dobrego żołnierza zasłużył. Dowódcy radzą temu, jak mogą i aby żołnierz nie zmarł, jest co kilka godzin zmieniany i ogrzewany w pobliskich mieszkaniach.

Następuje „fasunek“ wszelkiego rodzaju, oraz wciąganie działa do rejonu mego postoju, skąd ogniem bezpośrednim będzie strzelać jutro skoro świt.

Szczęściem dla chłopaków moich jest zorganizowany przez pchor. Klinka Józefa punkt zaopatrzenia, skąd kompanje czerpią żywność, amunicję, oraz punkt opatrunkowy, dokąd znoszą rannych. (Pierwszy ciężko ranny śp. chor. Żmuda, dowódca komp. rzeszowskiej 5 pp. Leg.). Niestłuchane trudności, z jakimi walczy podchor. Klink są pokonane, przy pomocy śp. ppor. Biegańskiego Janusza, pchor. Marcelego Kyci, pchor. Kalinowskiego, który zakłada telefony, dzięki ofiarnej pracy Pań ze szkoły Sienkiewicza i Snopkowskiej.

Szkoła Gospodarstwa Domowego w Snopkowie jest tym ośrodkiem, w którym właśnie teraz wre największe życie. Całe kotły z małą domieszką rumu, roznoszą po placówkach Panie, lub z pieczołowitością matczyną doglądają rannych. Na czele Pań troskliwa o wszystko i wszystkich panna Karłowiczówna, najwięcej ze wszystkich oddana niedoli żołnierskiej¹⁾.

¹⁾ W związku z działalnością Szkoły Snopkowskiej interesujące szczegóły zawiera relacja kierowniczkii tejże szkoły, p. Janiny Karłowiczówny: „.... Szkoła otoczona była Ukraińcami, którzy zajęli sąsiednie folwarki Snopków, Bielowsko i Krasuczyn. 21-go listopada przed 5-tą rano zobaczyliśmy przez okna wojska maszerujące od strony Persenkówki przez Krasuczyn, były to wojska polskie, które zobaczyliśmy pierwszy raz w pełnem umundurowaniu....

.... Całe szeregi wojska zebrały się przed Szkołą i w tej chwili Ukraińcy, stojący na Bielowsku, zaczęli gwałtownie strzelać tak, że nim żołnierze zdążyli wejść do budynku, kilku z nich było, na szczęście, lekko rannych, z których dwóch słuchaczki wniosły do Szkoły. Oddziałek Ukraińców rozsypał się w tyralerkę w alei przed Szkołą.

W tej chwili naczelnny oficer polski zażądał porozumienia się z personelem nauczycielskim, wydając krótkie polecenia w szalonym, gorączkowym pośpiechu: „Przygotować salę operacyjną, łóżka dla rannych, posiłek

W rezultacie grupa wschodnia wdarła się tego dnia głęboko na tyły Ukraińców, zostawiając im jedyny kierunek odwrotu szosą Żółkiewską. Opóźnienie działań na prawym skrzydle oraz nieudane tego dnia natarcia na całym froncie, powodują niemożność zupełnego zamknięcia Ukraińców i umożliwiają im tem samem wycofanie się w ciągu popołudnia dnia 21 listopada i w nocy ze Lwowa. Niemniej obejście grupy wschodniej w dniu 21 listopada przyczynia się w dużej mierze do tej ich decyzji.

Trzeba przyznać, że wycofanie swoje Ukraińcy zataili bardzo sumiennie. Wiadomości o wycofaniu się Ukraińców ze Lwowa przyszły do Naczelnej Komendy w nocy z 21 listopada na 22 listopada, jednak mnie nie zostały podane do wykorzystania. Wysłane przeze mnie patrole napotykały wszędzie na ogień silny placówek i utwierdzały mnie w przekonaniu, że nieprzyjacieli wszędzie trzyma się mocno. O tem, aby zrobić wypad, marzyć nie mogłem ze względu na przemęczenie zupełne ludzi. Dane o nieprzyjacieli, jakie ja posiadałem, nakazywały mi przy-

dla zgłaszających się żołnierzy, nosze do przenoszenia rannych, za chwilę będzie bitwa obok Szkoły na polach folwarku Snopkowskiego“.

Nikt nie zapytał, czy mamy zapasy, czy potrafimy zorganizować szpital, salę operacyjną, nie było czasu do zastanawiania się. 56 słuchaczek podzielono na 3 grupy. Jedne miały urządzić szpital, ze swoich sypialni wynieść rzeczy na II piętro, przygotować łóżka z własną czystą pościelą, potem pilnować podziału na lżej i ciężiej rannych, a w miarę przybywania chorych zająć się pielęgowaniem. Na czele tej grupy były 2 nauczycielki: Pp. Jadwiga Białkowska i Bronisława Rynikiewicz, prócz tego do dyżurów przy rannych przeznaczono p. Feliksę Lazarewiczową.

Druga grupa pod kierunkiem pp. Marji Dewiczowej, Adeli Abderman i Wandy Olesiównej zajęła się gotowaniem posiłków z prowiantów, które posiadała Szkoła, podawaniem tychże zmarzniętym i zgłodniałym oficerom i żołnierzom, oraz porządkowaniem i pomywaniem naczyń. W ciągu 28 godzin wydano przeszło tysiąc porcji.

Trzecia grupa pod komendą śp. Kazimiery Janiszewskiej, znosiła rannych z okolic Snopkowa, t. zn. cegielni Domaszewiczów, Reissa z pola bitwy należącego do folwarku Snopkowskiego koło rogatki Zielonej. Grupa ta narażona była na wielkie niebezpieczeństwo nie tylko z powodu ślizgawicy i trudności przy znoszeniu ciężkich żołnierzy po śliskich i zmarzniętych szkarpach, ale ciągle była ostrzeliwana przez ustępujących Ukraińców tak, że suknie i płaszcze były podziurawione kulami. W pierwszej chwili nie było noszy, więc zastąpiono je prowizorycznie biorąc nosze od nawozu, na które położono materace i w ten sposób słuchaczki zniosły

gotowanie natarcia na dzień następny, toteż w domu przydrożnym koło rogatki Zielonej, przy zasłoniętych oknach i słabo tlejącej lampie dyktowałem adjutantowi swojemu por. art. Stefczykowi rozkazy, które miały rzucić w dalszy bój oddziały mnie podporządkowane. Dalsza akcja miała polegać na tem, że oddziały prawego skrzydła I/5 p. p. Leg. i Legja oficerska wykonają natarcie w kierunku ulicy Łyczakowskiej, wykorzystają na Lasek cesarski, kompanja Kulparkowska uderzy na koszary obrony krajowej, zdobywa resztę Pohulanki i ul. Kochanowskiego, uderza w głąb miasta. Kompanja Jarosławska i 1 komp. 5 p. p. Leg. wraz z oddziałami I odcinka uderzają koncentrycznie na Górę św. Jacka, Wodociągi, skoro tylko wpływ prawego natarcia da się zauważyć, a po zdobyciu nakazanych przedmiotów wyko-

czterdziestu kilku rannych, którzy umyć i opatrzyć przez doktorów na sali operacyjnej, przeniesieni byli znowu przez słuchaczki, gdyż nie było zupełnie męskiej służby — do sypialni.

Janina Karłowicz zajęta była od pierwszej chwili przyjmowaniem wszystkich wchodzących oficerów i żołnierzy, przyjmowaniem raportów i przydzielaniem żołnierzy do odpowiednich sal po posiłki i opatrunki.

Praca ta była tak zorganizowana w przeciągu pół godziny, jakby trwała od tygodni. Każda z pań czuła olbrzymią odpowiedzialność, toteż wkładała całą energję, skupienie, wszystkie siły, aby pracę wykonać jak najlepiej. W południe przyniosły słuchaczki przy pomocy sanitariuszy ciężko rannego chor. Stanisława Żmudę, który trafiony kulami w głowę stracił odrazu przytomność. Rano 22 listopada przysłano wozy wojskowe wyściełone słomą, aby Żmudę i innych rannych przewieźć do szpitala na Politechnikę. O 8-ej rano wyniesiono konającego oficera, w chwili wkładania go na wóz — skończył.

Jednocześnie wysłano kilka słuchaczek z noszami, aby obeszły dzielnicę Snopkowską, czy niema gdzie zziębniętych, małoletnich żołnierzyków, którzy nie byli iść sami w stanie. Przyniesiono kilku 4 czy 5 zmarzniętych, osłabionych, których tu odcierano i przywrócono do życia. W kancelarji szkolnej zebrała się narada oficerów, na której czele stał mjr. Knoll-Kownacki. Do tej narady wezwano Janinę Karłowiczównę, jako tu urodzoną i znającą teren, dla pokazania dróg, ścieżek, szkarp na mapie, która nie była dość dokładną oraz najbliższych okolic Zubrzy, Kozielnik, Pasiek Halickich i t. d.

Praca tak zorganizowana trwała od godziny 5 rano 21 listopada do godziny 10 rano dnia 22 listopada i przez ten cały czas tak pracujące wtedy w szkole nauczycielki jak i słuchaczki nie kładły się — nie mając chwili wolnej na odpoczynek, ożywione myślą, że pracą swą przyczynią się do odniesienia zwycięstwa". (Arch. Twa hist. bad. obr. Lwowa).

rzystują na miasto. Artylerja wspiera lewe natarcie na Górę św. Jacka, a dwa działa rejonu rogatki Zielonej strzelają na koszary i ogniem bezpośrednim mają zniszczyć mordercze stanowiska c. k. m. Kawalerja i pociąg pancerny ubezpieczą natarcie grupy od wschodu. Moje miejsce postoju nadal rogatka Zielona.

O świcie, działa wciągnięte rękami żołnierzy, łamią dwoma skrzydłami słaby opór placówek. Jestem zaskoczony słabym oporem. Ukraińcy w nocy wycofali się, zostawiwszy tylko słabe elementy piechoty. Przerywamy słabą zaporę i bez trudu wchodzimy w głąb miasta. W tej sytuacji dostaję rozkaz operacyjny Dowództwa sił połączonych, normujący dyslokację i ubezpieczenie wojsk. Zwycięski bój skończony. Lwów cały wraca do swych prawych dziedziców, przetrwawszy niewolę i ostatnio — gwałt¹⁾.

¹⁾ W „Pobudce“ z dnia 21 listopada ukazał się komunikat:

„Dziś o godz. 6 rano skończyło się zawieszenie broni i rozpoczęła się akcja wojskowa. Zajęte zostały: Snopków, Pasieki miejskie, Pohulanka, cmentarz Łyczakowski i dworzec Łyczakowski, zdobyto 5 dział. Artylerja ostrzeliwała skutecznie Cytadelę i Wysoki Zamek, przygotowując akcję bojową piechoty. Pociągi pancerne uskuteczniły udatne wywiady na Podzamcze i Stare Sioło, gdzie gromadziły się bandy Ukraińców.

(—) *Oficer Sztabu.*“

W kilka godzin potem wyszedł następujący numer „Pobudki“, który przyniósł krótkie stwierdzenie zwycięstwa:

„Zagrożony naszym wczorajszym ruchem oskrzydlałym od południa i wschodu nieprzyjaciół w nieładzie i popłochu wycofał się w kierunku północno-wschodnim.

Opanowaliśmy dziś nad ranem całe miasto. Liczba jeńców i zdobyczy wojennej duża, dotąd nieobliczona.

(—) *I Oficer Sztabu.*“

Uzupełnienie, jakie potem zostało ogłoszone: „Komunikat urzędowy“ przekreślił wręcz znaczenie dwu poprzednich komunikatów. Jako niezgodny z prawdą historyczną, wymaga wyjaśnień.

Komunikat ten podpisany przez generała bryg. Roję jest następujący:

„Po zawieszeniu broni, które upłynęło dnia 21 b. m. o godz. 6 rano, oddziały ukraińskie, nie wszczynając już walki w większym zakresie a zagrożone od południa okrężnym ruchem grupy majora Lisowskiego, maszerującej wzdłuż linii Sambor-Rudki, oraz świeżych rezerw, przybyłych do Lwowa z kierunku zachodniego, opuściły w nocy z dnia 21 na 22 b. m. Lwów.

Rozrzucone w przestrzeni oddziały skalają się w coraz większą kolumnę. Chwycona gdzieś po drodze harmonja roznosi leguńską pieśń, poprzez zamknięte okna i zaryglowane drzwi. Wyciąga z łóżek bojem zmęczony, przed chwilą okupowany przez Ukraińców Lwów. Potężniejsze głos jej w miarę ciepła, spływającego do zgrabiących wiarusa rąk. Echem stokrotnym budzi tysięczne rzesze tych, co wczoraj pokładli się spać niepewni, zali nastąpi dla nich dzień i sprawiedliwości wybije godzina. Rosną tłumy nieprzebrane, podchwytną harmonji skoczne tony

Szkody w materiale, wyrządzone w czasie trzeczygodniowej strzelaniny i utarczek ulicznych są znaczne. Dotychczas naliczono kilkuset rannych i około dwustu zabitych, w tem znaczna część ludności cywilnej, zwłaszcza kobiet i dzieci.

Pogłoski o wieszaniu i mordach mieszkańców narodowości polskiej ze strony oddziałów wojskowych ukraińskich okazały się nieprawdziwymi (?).

Wobec rabujących w dalszym ciągu band, także w mundury przebranych, występują oddziały wojskowe z całą bezwzględnością, doraźnie na miejscu zbrodni.

(—) *Raja*, generał
za zgodność (—) *Krzanowski*, por. adj.“

Otóż stwierdzić muszę, że Ukraińcy opuścili Lwów na skutek ogólnej naszej ofensywy, a w szczególności na skutek przerwania ich ugrupowania bojowego, obejścia ich lewego skrzydła i zagrożenia tyłów przez boje grupy wschodniej w rejonie: Pohulanki, cmentarza Łyczakowskiego (komp. Kulparkowska), rogatki Łyczakowskiej, Dworca Łyczakowskiego (1/5 p. p. Leg.) a także boju w rejonie Krzywczyc (Legja oficerska), a nie jak podaje cytowany komunikat i na skutek: „zagrożenia od południa okrężnym ruchem grupy mjr. Lisowskiego, maszerującego wzdłuż linii Sambor-Rudki“. Dla ścisłości historycznej podkreślić muszę, że mjr. Lisowski ze swoją grupą w dniu tym wogóle nie maszerował i maszerować nie mógł, gdyż jego oddział był w tym czasie dopiero w okresie organizacji. Ruch ten, nawet, gdyby się odbył, nie mógłby mieć zresztą wpływu na bitwę o Lwów, jako zbyt odległy (do 80 km.). Że wogóle Ukraińcy o tym ruchu nic nie wiedzieli, świadczy pamiętnik sotnika ukraińskiego Krężałowskiego, który nic o tym tak „ważnym“ ruchu nie wspomina. (Krężałowskyj Dmytro, Lwiv w ukraińskich rukach (1—21 XI 1918), Kamieniec Podolski 1919, str. 51).

Natomiast całkiem niedwuznacznie mówi, że położenie po zajęciu przez grupę wschodnią Dworca Łyczakowskiego i wogóle niespodziane działanie całej grupy wschodniej na flance i tyłach ukraińskich stało się poważne. Twierdzi on, że działanie to postawiło oddziały ukraińskie w po-

i przeolbrzymia pieśń drga donośnie, przeplatana okrzykami zapału i radości.

Kolumna moja coraz wolniej kroczy i coraz bardziej zanika jej odrębny wojskowy charakter. Szeregi topnieją, chwycione w rozszalałe radością ramiona tej masy nieprzebranej, co zatomawszyszy ulice, nie puszcza dalej i dziesiątkuje wojskowe szeregi. Nie pomoże już teraz dyscyplina. Kolumna rozplynęła się w masie i z nią zwarła się w jedno. Kilkudziesięciotysięczny

łożenie: „Możut nas zamknuty...” na skutek czego „...Wojinna rada riszaje wijty zi Lwowa...”. Myślę, że ta ocena naszych przeciwników jest tu najbardziej miarodajną a zatem komunikat Naczelnej Komendy z dnia 22 XI 1918, a nie „Komunikat Urzędowy” jest z punktu widzenia prawdy historycznej słuszny.

Również powiedzenie w „Komunikacie Urzędowym”, że oddziały ukraińskie nie wszczynały już walki w większym zakresie nie jest ściśtem, albowiem sytuacji na froncie lewego skrzydła (por. Sikorski) i w centrum (Cytadela) a także ciężkie i krwawe boje na froncie mojej wschodniej grupy świadczą, że Ukraińcy nie mieli zamiaru opuścić Lwowa, lecz walczyli z całym poświęceniem, na jakie ich tylko było stać. Natomiast faktem jest, że ich działania w szerszym zakresie nie rozwinęły się, gdyż zostały sparializowane naszymi działaniami.

Spotykane opisy bitew z okresu 1—22 listopada są często jak z bajki, mimo, że były one najprawdziwszą rzeczywistością. Nie należy się dziwić bohaterstwu oddziałów polskich, raczej należy podziwiać małą odporność oddziałów ukraińskich, które rzeczywiście drżały na myśl o jakimkolwiek okrażeniu, względnie jakiegokolwiek zdecydowanej akcji. W walkach pierwszych dni widać świetnie wartość wojska, posiadającego „morale” i złączonego wspólną ideą gotowego każdej chwili ponieść śmierć, popartego całą dumą narodową wojska, czującego bole i troski tuż obok mieszkających rodzin lub rodzin mieszkających po stronie ukraińskiej, w drugiej części miasta, wojska walczącego, ginącego i zwyciężającego w oczach swych matek, dzieci, żon, kochanek. Wojska te zdolne były na wszystko i tylko w tem zrozumieniu czytać lub słuchać można opowiadań o ich bohaterstwach. Nawet ukraińskie wojska siczowe nie mogły dotrzymać placu naszym oddziałom mimo, że nie można im odejmować pewnych wartości i moralu, tylko, że porównać nie można moralu polskiego Lwowa z morałem Legjonu ukraińskiego. (Powody polityczne komunikatu wyjaśnia gen. Roja w Nr. 34 i 35 „Echa Warszawskiego” 1926 r. i w książce „Legjendy i fakty”, Warszawa 1932, str. 194 sq.; por. Mączyński, Boje lwowskie, cz. II, str. 69 sq.; St. Rutkowski, Odsiecz Lwowa w listopadzie 1918 r., Lwów 1926, str. 28 sq. Przyp. red.).

tłum maszeruje już teraz zgodnym ruchem ku środkowi miasta, niosąc na rękach żołnierza, co jest jego, z jego krwi powstały syn. Lwów obchodzi zwycięstwo nie pięści, lecz prawa nad gwałtem¹⁾).

¹⁾ W związku z udziałem moim w listopadowej obronie Lwowa, pozostaje sprawa wyjazdu mego do Francji, jakkolwiek nastąpił on w późniejszym czasie. Ponieważ na ten temat krążyło wiele wersji, a wszystkie nie były zgodne z prawdą, nie mając zresztą sposobności wyjaśnić tej sprawy gdzieindziej, czynię to na tem miejscu.

Z końcem listopada zgłosiłem się u śp. generała Rozwadowskiego z następującym projektem: pojadę w przebraniu w rejon Stanisławowa, Kołomyji i Śniatyna. Skrzyknę tam wiarę legionową i zrobię dywersję na tyłach Ukraińców. Projekt został przyjęty, jednak forma jego urzeczywistnienia miała być inną: Mam natychmiast wyjechać do Francji, do generała Hallera Józefa, prosić go o 200—300 żołnierzy i przez Rumunję zjawić się w rejonie Śniatyna i bazując się na tych kilkuset uzbrojonych żołnierzach, rozpocząć dywersję. Z niezależnych odemnie przyczyn wyjechałem dopiero w lutym 1919 r. a gdy gen. Hallerowi projekt ten przedstawiłem roześmiał się i dał mi następującą odpowiedź: „Gdybym mógł wysłać 300 żołnierzy, sam na czele całej armii byłbym już w Polsce. W najbliższych tygodniach to się stanie“.

W ten sposób mój prosty plan, przekształcony przez śp. gen. Rozwadowskiego na szerokie polityczne zagadnienie, przestał być realnym i na długie dwa miesiące oderwał mnie od Tych, których całą duszą ukochałem — żołnierzy Obróńców Lwowa.



W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, co miało być osiągnięte przez wywołanie w Niemczech poczucia winy i skruchy. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, co miało być osiągnięte przez wywołanie w Niemczech poczucia winy i skruchy.

W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, co miało być osiągnięte przez wywołanie w Niemczech poczucia winy i skruchy. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, co miało być osiągnięte przez wywołanie w Niemczech poczucia winy i skruchy.

W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, co miało być osiągnięte przez wywołanie w Niemczech poczucia winy i skruchy. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, co miało być osiągnięte przez wywołanie w Niemczech poczucia winy i skruchy.

W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, co miało być osiągnięte przez wywołanie w Niemczech poczucia winy i skruchy. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, co miało być osiągnięte przez wywołanie w Niemczech poczucia winy i skruchy.

W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, co miało być osiągnięte przez wywołanie w Niemczech poczucia winy i skruchy. W tym celu należało przede wszystkim zrehabilitować dotychczasową opinię o Polakach, co miało być osiągnięte przez wywołanie w Niemczech poczucia winy i skruchy.

Ppłk dypl.

DR. TADEUSZ FELSZTYN

RELACJA O SZKOLE SIENKIEWICZA I GRUPIE CYTADELI

DR. TADEUSZ PIETKOWSKI

WYCZA I GRODZIE CYTABELI
RELACJA O SZKOLE SIENKIE-

I. PRZED 1 LISTOPADA.

O pracach przygotowawczych przed 1 listopada małe mogę dać informacje. Brałem udział tylko w pracy wojskowej i stroną polityczną się nie zajmowałem.

O ile mnie wiadomo, sytuacja przedstawiała się w sposób następujący. W ostatnich dniach października, o ile pamiętam dnia 27 października 1918, przyjechał do Lwowa poseł Skarbek, który w imieniu Rady Regencyjnej i rządu warszawskiego przywiózł nominacje, mianujące generała Puchalskiego wojskowym dowódcą Galicji Wschodniej, a płk. Sikorskiego jego szefem sztabu. Płk. Sikorski zwołał pierwszą odprawę podległych mu oficerów w dniu 28, a drugą i ostatnią w dniu 30 października, komunikując nam te wiadomości i przydzielając oficerów do poszczególnych funkcji. W nocy z 30 na 31 wyjechał ze Lwowa celem zameldowania się u gen. Puchalskiego, z którym miał przyjechać w dniu 1 listopada w południe, o ile pamiętam, celem uroczystego objęcia Lwowa w posiadanie w imieniu Rządu Polskiego.

W tym celu w nocy z dnia 31 października na 1 listopada został skoncentrowany baon kadrowy pod dowództwem kpt. Trześniowskiego w Szkole Sienkiewicza. Wybór tego miejsca został ustalony, jako dla koszar tymczasowych (jednonocnych) w porozumieniu z prezydentem miasta Lwowa, bez żadnego wpływu kpt. Mączyńskiego, o którego istnieniu w owym czasie nic wogóle nawet nie wiedzieliśmy. Dlaczego ten, a nie inny padł wybór — nie wiem. W każdym razie żadne względy natury taktycznej nie grały tu roli. W niczyjem przekonaniu gmach ten nie był posterunkiem bojowym; wszak nawet nie umacnialiśmy

go z nocy 31 października na 1 listopada, nawet poza normalnym posterunkiem przy drzwiach nie wystawiono żadnej warty. Był to poprostu tylko nocleg chwilowy, przed uroczystym objęciem miasta w dniu 1 listopada i wówczas mieliśmy dostać odpowiednie koszary. Jak dalece o walce nikt nie myślał, świadczy fakt, że poza kpt. Trześniowskim, który już od dni kilku chodził w mundurze za fałszywym dokumentem „Wehrmachtowym“ i poza mną, który jako oficer inspekcyjny chcący sobie oszczędzić rano 1 listopada powrotu do domu dla przebrania się, nikt nawet munduru nie miał. Wybór miejsca był więc zupełnie przypadkowy i nie wiązał się z żadnym planem ređut w południowej części miasta, jak to twierdzi płk. Mączyński w swej książce.

Nawiasem muszę wspomnieć, że również zarządona przez P. O. W. zbiórka w Domu Techników nic wspólnego z planami „taktycznymi“ nie miała, a była prostym wynikiem tylko silnych wpływów peowiackich na Politechnice. Dom Techników służył więc za punkt zborny z tych samych przyczyn, z których był on punktem zbornym Strzelca w 1914 r., poprostu, bo i tam było najwięcej peowiaków. Ponadto, z powodu swego położenia za miastem i naturalnej, a więc nie wzbudzającej podejrzeń ruchliwości techników, nadawał się on wyśmienicie na miejsce konspiracyjnej zbiórki. I tu więc nie było ręki kpt. Mączyńskiego i przypisywana sobie przez niego celowa obsada tych punktów nie odpowiada prawdzie, a jest poprostu zapisaniem ex post zaszytych niezależnie odniego faktów na swój rachunek ¹⁾).

Dalszych szczegółów w tej kwestji dać nie mogę. Pewne oświeślenie dać mogą rozkazy płka Sikorskiego.

Ponadto czuję się w obowiązku sprostować pewne mylne informacje, podane w książce płka Mączyńskiego. Mylną jest informacja jego o „Wzajemnej Pomocy b. Legionistów“ ²⁾). W rzeczywistości istniały dwa stowarzyszenia: „Bratniej Pomocy“, grupującej I Brygadę i „Wzajemnej Pomocy“, zgrupowania P. K. P. Ta ostatnia, mimo swą nazwę, była jedynie legalnym płaszczkiem konspiracyjnej organizacji o której mówi ppor. Hartleb Mieczysław w swych notatkach.

¹⁾ Czesław Mączyński, Boje lwowskie, cz. I., str. 60.

²⁾ Mączyński, l. c. cz. I., str. 37.

Nieścisłą jest również wiadomość o rzekomej wysyłce oficerów i żołnierzy P. K. P. do Warszawy¹⁾. W rzeczywistości — co stwierdzam z całą pewnością, jako czynny członek tej organizacji, wysyłano do Warszawy jedynie tych, których pobyt we Lwowie był wykluczony, a więc zbytnio skompromitowanych wobec władz austriackich, dezterterów z wojska austriackiego, oficerów P. K. P. uwolnionych w Marmaros-Sziget i t. d. Wszystkich innych grupowano we Lwowie w rozmaitych dobroczynnych schroniskach i t. p. miejscach. W ten sposób, nie uszczuplając sił miejscowych, skierowano tych, których pobyt we Lwowie był niemożliwy, do Warszawy, do tworzącego się tam wojska.

Były wprawdzie wewnątrz organizacji sprzeciwy. Kpt. Trześniowski związany równocześnie z płk. Sikorskim i z organizacjami Hallera, parł w kierunku wysyłki na Ukrainę. Sprzeciwiliśmy się wówczas temu kategorycznie i wypadki, zdaje się, potwierdziły nasze argumenty.

Zupełnie mylną jest dalej, nie wiem skąd wzięta cyfra 12 ludzi, jako siła baonu kadrowego kpt. Trześniowskiego¹⁾. Otóż jako oficer inspekcyjny Szkoły Sienkiewicza z nocy 31 października na 1 listopada mogę stanowczo stwierdzić, że wieczorem zgromadziło się w niej około 150 ludzi, których jednak trzeba było częściowo posłać do domu z powodu braku broni. Polecono im się stawić rano następnego dnia. I rzeczywiście dnia 1 listopada przed godz. 10 rano było w Szkole Sienkiewicza ponad 70 ludzi, jak o tem świadczy imienny wykaz uczestników I załogi obrony Lwowa.

W związku z wiadomością o „placówce P. K. W.“ w Dublanach, należy stwierdzić dla prawdy historycznej, że Dublany organizował por. Ajdukiewicz Adam, b. oficer 4 pułku Leg. Pol.²⁾.

Mało wiarygodną jest podana przez płka Mączyńskiego historia broni, gdyż naprawdę broni tej we Lwowie nie widziano nigdy³⁾.

O ile niejasno pamiętam, w sprawę samochodu dla broni zamieszany był por. Hartleb.

¹⁾ Mączyński, l. c. cz. I, str. 38.

²⁾ Mączyński, l. c. cz. I, str. 40.

³⁾ Mączyński, l. c. cz. I, str. 43.

Wiadomość o pertraktacjach Skarbka z kpt. Kamińskim wydaje mi się mało wiarygodną, skoro przecież Skarbek przywiózł nominację i pełnomocnictwa płk. Sikorskiemu¹⁾.

Nakoniec protokół zebrania z dnia 31 października 1918 r. zdaje się być zapiskiem jednostronnym. Ani kpt. Kamiński ani por. de Laveaux, ani wreszcie por. Kron podobnego protokołu podpisywać nie mógł. Jest to niewątpliwie falsyfikat²⁾.

II. DZIEŃ 1 LISTOPADA.

Uważam za swój obowiązek podnieść i podkreślić rolę, jaką w obronie Lwowa odegrała Szkoła Sienkiewicza. Nie powoduje mną ani fałszywa ambicja podkreślenia roli tego ugrupowania, do którego należałem, ani chęć opromienienia aureolą osoby ś. p. mjr. Tatar-Trzeźniowskiego Zdzisława, którego wady, mimo olbrzymich zasług, doskonale mi były znane.

Kieruje mną wyłącznie chęć wydobycia prawdy historycznej, zaciemnionej przez dwu wypadków lwowskich historyków, Nilskiego-Łapińskiego i Mączyńskiego, którzy z różnych względów chętnie rolę tę usuwali w cień.

Tymczasem faktem jest, że nie „hasło bojowe“ nieznanego podówczas, poza wąskim kręgiem wtajemniczonych, kpt. Mączyńskiego³⁾, ale czyn, zbrojny odpór nieprzyjaciela, był tym czynnikiem, który podziałał na psychologię mas i zagroził je do walki. Bez aktu zbrojnego, bez pierwszego zwycięstwa, bez świadomości, że można nieprzyjacielowi przeciwstawić czoło, ulica nigdy nie chwyci za broń. Hasło „Sprzątać pojedynczych“ mogło jedynie powiększyć represję ukraińskie. Zbrojna, a zwycięska potyczka, to dopiero było hasło bojowe. Trzeba przejrzyć pisma lwowskie w pierwszych dniach po oswobodzeniu Lwowa, by przekonać się, jaką rolę odgrywała ta Szkoła Sienkiewicza i jak z czasem zawiść tych, którzy na obronie Lwowa własną budowali wielkość, tę niewątpliwą zasługę usuwała w cień.

Najbezsronniejsze są może świadectwa bezpośrednich uczestników z drugiej strony frontu lwowskiego. Znaleźć je

¹⁾ Mączyński, I. c. cz. I, str. 46.

²⁾ Mączyński, I. c. cz. II, str. 187—190.

³⁾ Mączyński, I. c. cz. I, str. 72.

można w lwowskiej „Gazecie Porannej“, z dnia 3 i 4 listopada 1918. Świadczenia te są tem wiarygodniejsze, że redakcja „Gazety“, znajdującą się cały czas w zajętej przez Ukraińców części miasta, miała wiadomości z tamtej strony. Jeszcze wiarygodniejszym jest świadectwo „Lemberger Zeitung“, pisma duszą oddanego Ukraińcom. To, co ono pisze, to obraz, widziany ze strony ukraińskiej. Że w obrazie tym Szkoła Sienkiewicza wybija się na pierwszy plan, to niewątpliwy dowód, jaką była jej rola w czasie powstania lwowskiego.

Dla bezstronności mogę stwierdzić, że zamiary kpt. Trześniowskiego niewątpliwie nie biegły tak daleko. W pierwszej chwili była to tylko ambicja żołnierza, przejęcie się tradycyjnym hasłem, że „żołnierz polski się nie poddaje“, była to wola walki do upadłego, nietylko o zwycięstwo, ale o honor munduru, a że sukces przerósł zamierzenia, to już zbieg okoliczności i logiczny skutek faktu, że czyn jest zawsze skuteczniejszym bodźcem, niż „hasło“.

Chronologicznie, przebieg wypadków przedstawiał się w Szkole Sienkiewicza następująco. Jak wyżej pisałem, wieczorem zebrało się w Szkole Sienkiewicza około 150 ludzi, przeważnie byłych legionistów. Byli tam i inni, jak n. p. dzielny dowórczyk ppor. Świsłelnicki, ale element legionowy przeważał. Broni, poza pistoletem osobistym Trześniowskiego i moim, nie było. Ponoć miała być w Sokole II (na Grodeckiem). Posłani tam łącznicy przybyli z mętą odpowiedzią, że broń jest, ale bez „rozkazu“ dać nam jej nie mogą. Potem się okazało, że ani jeden karabin stamtąd nie wyszedł. Widocznie więc broni nie było. Po broń, którą mieliśmy dostać, (skąd nie wiem, bo podówczas nie interesowałem się tem, nie spodziewając się walki, a raczej zajęcia miasta bez oporu), posłał kpt. Trześniowski ppor. Biegańskiego Janusza i Hartleba Mieczysława.

Tymczasem, wobec braku broni, wysłaliśmy ludzi do domów, polecając im wrócić rano 1 listopada. Zostali tylko oficerowie, garść znanych nam podoficerów i ci, którzy nie mieli gdzie przenocować.

Noc upłynęła dość spokojnie. Rano około 4-tej przyszła pierwsza wiadomość o zajęciu miasta przez Ukraińców. Trześniowski posłał natychmiast na ulicę Akademicką do lokalu Wz. Pomocy b. Leg. po informacje. O godz. 6 wiadomość została potwierdzona.

Kwestja broni stała się palącą. Sierżant, zdaje mi się Szuster Emil, przyszedł przed 7 z wiadomością, że posterunek policji na ul. Grodeckiej, złożony z Polaków, broń tę da, jeżeli zgłosi się po nią oficer w mundurze. Mundur, poza Trześniowskim, miałem tylko ja. Przypasałem szablę, by mieć wygląd uroczysty, wziąłem 12 ludzi (cyfry cytuję wedle książki Gelli, sam jej oczywiście już nie pamiętam)¹⁾, pistolet na pasie, na wszelki wypadek, i poszedłem. Ludzie mieli przenieść broń; o zdobywaniu nie myślałem nawet.

Tu uwaga nawiasowa, by sprostować wszelkie „bohater-skie powieści” rozmaitych lwowskich „przeżuwaczy własnej chwały”. O walce zbrojnej w owym momencie nie myślałem. Byłem przekonany, że broń dostanę, skoro tylko się pokażę. Szedłem po nią, jak do magazynu. Nie miałem zamiaru „zdobywać” posterunku policji; oporu się nie spodziewałem.

Dlatego też wszelkie gloryfikacje, jakich potem mi nie szczędził obóz Szkoły Sienkiewicza są śmieszne. Pójście po broń, którą ma się otrzymać bez walki, jest aktem odwagi w tym samym stopniu, co pójście do magazynu po fasunek chleba.

Na posterunek policji weszliśmy wszyscy przez drzwi główne, nie otaczając go bynajmniej. Policjanci powitali nas obojętnie, leżąc na pryczach. W pewnej chwili wypadł wachmistrz Ukrainiec, grożąc mi pistoletem. Nakazałem cofnięcie, wynosząc „zdobytą” broń (kilka karabinów i pistoletów). Dlaczego cofnąłem się? Przedewszystkiem z tego powodu, że po 2 latach niebrania udziału w wojnie (Legjony odeszły z frontu w 1916 roku) trudno zdobyć się na strzelanie komuś w łeb z odległości jednego kroku, i to komuś, co jest w swoim prawie. Ponadto wiedziałem, że Ukraińcy są na dworcu. Ich sprawność w zajęciu miasta działała niewątpliwie deprymująco. Obawiałem się, że strzał zwoła ich natychmiast, że odetną mi odwrót do Szkoły Sienkiewicza, zanim wrócę. Ustawiłem więc posterunek z pistoletem, by nie dał wachmistrzowi wyjść i zawiadomić Ukraińców i udałem się do pobliskiego składu starej broni. Skład tym razem „zdobyliśmy”. Dwaj moi z karabinami i ja z pistoletem podeszliśmy do bramy, za którą stał posterunek i otwarliśmy ją. Dwaj „landsturmacy”,

¹⁾ Gella, Ruski miesiąc, walki listopadowe we Lwowie, str. 21.

k którzy stali na warcie, przerażeni puścili karabiny (było więc ich już o dwa więcej) i skryli się po kątach. Wyszedł dowódca posterunku, kapral. Widząc mój mundur, zgłupiał. Zażądałem otwarcia składu. Kapral odmówił, tłumacząc, że na to trzeba pozwolenia kapitana. „A kto ten kapitan, Polak, Niemiec, czy kto“? „Polak“. „A gdzie on jest“? „Teraz to jeszcze w mieście“. Próbowałem tłumaczyć kapralowi, który był zresztą Polakiem, że kapitan się nie pogniewa, iż broń da swoim. Jakoś nie chciał rozumieć. Szkoda było czasu. Przyłożyłem mu pistolet do głowy i zapytałem, czy ten argument go przekona. Argument był widocznie dość silny, bo kapral otworzył magazyn, prosząc mnie tylko, bym mu dał kwit na zabraną broń, co mu też oczywiście przyrzekłem.

Było tam trochę Werndli, trochę Mannlicherów (wzór 90), trochę różnej amunicji. Braliśmy, cośmy mogli, gdy w tem padły strzały. To wachmistrz Ukrainiec postrzelił nasz posterunek, kapr. Jarosza i przestrzelił mu rękę, a ten w odpowiedzi ustrzelił śmiertelnie wachmistrza.

Było to hasło powrotu. Obawiałem się, jak wspomniałem, by Ukraińcy nie uniemożliwili mi powrotu, ponieważ zadaniem mojem było przynieść broń, a nie walka uliczna. Wzięliśmy, cośmy mogli i wróciliśmy bez przeszkody do Szkoły Sienkiewicza, przynosząc dwadzieścia kilka karabinów i po około 15 naboju na karabin. Biedny kapral w pośpiechu swego „kwitu“ nie dostał. Przypuszczam, iż rychło się pocieszył. Innej broni nie było.

Wkrótce potem przyszedł do Szkoły Sienkiewicza śp. ppor. K. wyznaczony rozkazem płk. Sikorskiego na dowódcę 1 kompanji, a zwolniony wieczorem przez kpt. Trześniowskiego. Przyszedł w cywilu z parasolem, trzęsący się, drżącym głosem opowiadając co się w mieście dzieje, zapytał „chyba wy kapitanie, z tą garstką, nie zechcecie się im opierać“? Wtedy odrzekł Trześniowski te słowa, które może zadecydowały o obronie Lwowa: „Nie po to mnie tu postawiono, bym się poddał, ale bym walczył“. Ta chęć walki powtarzam wpływała nie z jakiegoś rozkazu od jakiegoś kpt. Mączyńskiego, jak to podaje ten ostatni, o którego istnieniu nikt z nas nawet nie wiedział, ale z wewnętrznego poczucia honoru, tej ambicji i dumy żołnierskiej zwycięskiego legionisty.

Ppor. K. odrzekł: „ja umyвам ręce, niech krew tych dzieci na was spadnie“ i zwał. Kpt. Trześniowski tak był na ten postępek oburzony, że wieczorem tegoż dnia, odchodząc do Rzęsny i mianując mnie swym zastępcą, wyraźnie polecał: „A gdyby mnie nie było, pamiętajcie, K. pod sąd polowy“. Potem za dni kilka ppor. K. zgłosił się do Szkoły Sienkiewicza i bohatersko walczył w magazynie broni.

Ludzie powoli napływali. Byli to przeważnie ci, których rozesłaliśmy wieczorem. Przybył z kilkunastu ludźmi z Sokoła II na Gródeckiem podający się za podporucznika, podoficer legjonowy Piguleczka. Była to figura mętna, bojowo niewiele warty, ale w opowiadaniu o swych czynach niezrównany. Później dołączył się do nich i pewien sierżant, były kpt. II Brygady, zdegradowany nie wiem za co, zupełnie pijany. Miałem z nim w dniu tym wiele kłopotu, zanim zdołałem go wyrzucić za drzwi szkoły.

O żadnym oddziale z P. K. W. i z P. O. W., jak to podaje Mączyński¹⁾, nic mi nie wiadomo. W składzie imiennym obecnych w dniu 1 listopada o godzinie 9-ej, ich niema. Jest to znów fantazja autora, który przypisuje sobie wpływ na rozgrywające się poza nim wypadki.

Podobnie nie odpowiada rzeczywistości podany fakt „połączenia“ frontu Szkoły Sienkiewicza z Domem Techników²⁾. Do południa o żadnym Domu Techników nic nie wiedzieliśmy.

Ludzi było dość, broni i amunicji brakło. Kpt. Trześniowski podzielił funkcje; ja objąłem dowództwo lewej strony gmachu.

W tych warunkach natarł na nas około godz. 10-ej oddział ukraiński w nieznanej mi sile, z k. m. Walka trwała około pół godziny. Amunicji było mało, 15 naboju na karabin. Połowa ludzi nie miała broni i siedziała w sali gimnastycznej szkoły, mieszczącej się pod parterem.

Jak natarcie odparto, nie wiem. Zbyt byłem zajęty mojem lewem skrzydłem. Przypisywany mi w niektórych pismach udział w wypadzie na Ukraińców nie odpowiada rzeczywistości.

Odparcie natarcia uwolniło na czas jakiś całą okolicę ulicy Gródeckiej od Ukraińców i ich patroli. Wyzyskała to ludność

¹⁾ Mączyński, l. c., cz. I, str. 67 i 88.

²⁾ Mączyński, l. c., cz. I, str. 75.

głównie młodzież, dla znoszenia nam broni z opuszczonych, widocznie w wyniku mego rannego spaceru, magazynów na dworcu kolejowym. Licznie przynoszono nam karabiny i amunicję, ludzi zgłaszało się jeszcze więcej.

Co się w tym czasie działo na ulicy, aż do godz. 17-ej nie wiem. Zajęty byłem bowiem wyłącznie pracą organizacyjną wewnątrz gmachu. Z całej masy ludzi, dla których połowy była broń, trzeba było tworzyć kompanje. Jedną z nich (na I piętrze) formowałem ja, drugą ppor. Schramm. Praca była ciężka, opanowanie kilkudziesięciu, a czasami i stu cywilów, którzy poza dobrymi chęciami naogół o żołnierce pojęcia nie mieli, było niezmiernie trudno. Najgorzej było z bronią. Ale dopływała ciągle i około godz. 16-ej każdy miał swój karabin.

Dostaliśmy rozkaz (od kogo, jak, tego nie wiem), by o godz. 17-ej, stawić się przed kościołem św. Elżbiety. Jaki był cel zbiórki, nie wiem. Jak dziś z książki Mączyńskiego wnioskować mogę, miała to być zbiórka celem opanowania magazynów przy dworcu. Dlaczego jednak kazano nam się stawić o 17-ej, gdy z książki Mączyńskiego wynika, iż zbiórkę zarządził na około 13-tą, nie wiem. Jest to dowodem bałaganu, panującego tego dnia i zaprzeczeniem twierdzeń Mączyńskiego o tem, jakoby on już od 1 listopada „kierował walką“¹⁾.

Na placu zbiórki nie zastaliśmy nikogo. Wynikiem w międzyczasie stoczonej bitki był zdobyty samochód i karabin maszynowy.

Powróciliśmy do Szkoły Sienkiewicza, gdzie nas już oczekiwał rozkaz marszu do Rzęsny Polskiej. Rozkaz wykonaliśmy²⁾.

Na zakończenie tej części relacji czuję się w obowiązku sprostować jeszcze parę nieścisłości książki Mączyńskiego, poza już poprzednio omówionymi.

Podaną przez niego wiadomość o przesłaniu 20 P. O.-Wiaków i nieco więcej P. K.-Wczyków do Szkoły Sienkiewicza już omówiłem³⁾. Ludzi tych w Szkole Sienkiewicza nie widzieliśmy. Zgłaszali się tam, zwłaszcza po godzinie 11, licznie roz-

¹⁾ Mączyński, l. c., cz. I, str. 68 sq., 78 sq.

²⁾ Dokładny opis akcji od godz. 17-ej do przybycia do Rzęsny Polskiej podałem w „Wiarusie“, II Nr. 22 z 2 czerwca 1919, str. 308—313. Do podanych tam, a ściśle rzeczywistości odpowiadających relacji, nie mam nic do dodania.

³⁾ Mączyński, l. c. cz. I, str. 68.

maici ludzie, ale pojedynczo żaden zwarty oddział nie przyszedł, choć byłby się wtedy bardzo przydał. Ponadto niewiarygodnem wydaje mi się dysponowanie przez kpt. Mączyńskiego ludźmi nie podlegającego mu wtedy jeszcze P. O. W. Najlepsze w tym kierunku informacje mogłby niewątpliwie dać płk. dypl. de La-veaux Ludwik.

Podana przez Mączyńskiego relacja marszu do Rzęsnej jest fałszywą¹⁾. Szliśmy tak, jak nas prowadził wysłany do wskazania drogi ppor. Niedźwiecki. Wybór drogi nie zależał od kpt. Trześniowskiego. Przejście tędy, czy tamtędy było równie bezpieczne. Ukraińcy nie zajmowali ulicy, tylko je patrolowali. Był to więc specjalny „pech“, żeśmy natknęli się właśnie na samochód ukraiński. 5 minut przedtem lub potem przejście przez plac św. Elżbiety byłoby zupełnie spokojne. Taki sam patrol mogliśmy spotkać i na innej drodze. Dopiero dwa dni potem istniał „front“. W dniu 1 listopada nie było drogi „bezpiecznej“ albo „niebezpiecznej“.

O wysłanej broni nie mam żadnych wiadomości dokładnych. Podana w związku z tem wiadomość o „malutkich skautach“ wydaje mi się mocno niepewna. W Rzęsni byliśmy po północy, broń wysłana nie mogła więc wpaść w ręce Ukraińców przed 3 rano. Zanimby wiadomości doszły do komendy, zanimby skauci poszli i wrócili, musiało upłynąć co najmniej 5 godzin. Mamy więc godzinę 8, a nie 3 jak podaje Mączyński. Poza tem w nocy z 1 na 2 listopada byłem bez przerwy przy kpt. Trześniowskim i o żadnych skautach nie słyszałem.

Nakoniec muszę podkreślić, co na początku już podniosłem, że opis tak Łapińskiego, jak i Mączyńskiego stara się sprowadzić rolę Szkoły Sienkiewicza do jednej z wielu, placówek. Jedynie Próchnik oddaje jej należyłą zasługę²⁾.

Otóż stwierdzić muszę stanowczo, że — dzięki uporowi i żołnierskiej dumie Trześniowskiego i dzięki sprzyjającemu zbiegowi okoliczności — czyn Szkoły stał się decydującym elementem w dziejach obrony Lwowa, ponieważ ją zapoczątkował i dał jej kierunek. Jest to nietyłe zasługa uczestników tej walki,

¹⁾ Mączyński, l. c. cz. I, str. 85.

²⁾ Dr. Adam Próchnik, Obrona Lwowa, Zamość 1919.

którzy wykonywali jedynie rozkazy, ile ś. p. mjr. Trześniowskiego i fakt. iż mundur legjonowy był wtedy we Lwowie synonimem polskości. Zapoznanie roli Szkoły Sienkiewicza może być jedynie wynikiem zawiści i zazdrości. Mimo wielu wad, trzeba Trześniowskiemu przyznać jedną nieśmiertelną zasługę. Był dla Lwowa tem, czem był Wysocki dla Warszawy w dniu 29 listopada.

III. OD 2 DO 4 LISTOPADA.

Po przybyciu do Rzęsny Polskiej obstawiono natychmiast wieś posterunkami dookoła i wystawiono warty przy grabionym przez ludność magazynie mundurowym. Po kilkugodzinnym odpoczynku zarządzono rano uroczyste objęcie wsi w posiadanie w imieniu Rządu Polskiego (sami zresztą nie bardzo wiedzieliśmy w owym czasie jakiego) i pobór ochotniczy. Zgłosiło się mało tylko ochotników (niecałych 20). Praca była ciężka. Po godzinnej nauce (ładowanie, rozładowanie, szyki bojowe i to wszystko) siedł nowo-nauczony żołnierz na placówkę, której załogę po jednym wycofywałem, jako dowódca kompanji załogi, do odwodu.

Liczyby placówek już nie pamiętam. Wiem napewno, że był punkt obserwacyjny na wieży kościelnej, placówka na szosie na pñ. od Δ 320, placówka między lasem a szosą koło DS, placówka koło cmentarza — i o ile pamiętam wysunięta placówka w stronę lasu na pñ. zach. Tory powykręcaliśmy, w sposób zresztą dość niedołączny z powodu braku narzędzi i umiejętności.

Dzień 2 listopada upłynął dość spokojnie na pracy organizacyjnej. Noc z 2 na 3 była bardzo niespokojna, nieustanne alarmy zmusiły mnie do bezustannej obecności na placówkach. Noc upamiętniła się ponadto jednym wypadkiem. Oto wartownik, stojący przy magazynie, postrzelił śmiertelnie jakiegoś skradającego się do magazynu chłopca, jak się potem okazało rodzzonego brata. Wypadek ten wbrew naszemu spodziewaniu, podziałał bardzo dodatnio na nastrój wsi; uznano nas za prawdziwe wojsko i napływ ochotników znów się powiększył. Dopiero jednak mobilizacja, ogłoszona po naszym odmarszu, a przeprowadzona bez oporu, dała pełną liczbę żołnierzy, których ta duża wieś mogła dostarczyć.

Dzień 3 listopada upłynął znów na pracy organizacyjnej i na bardzo ciekawem a charakterystycznym dla warunków walki zajściu. Rano około 11-tej zostałem zaalarmowany przez placówkę przy D. S., że z lasu od strony Hołoska wyłania się gęsta kolumna nieprzyjacielska. Pospieszyłem tam i zauważyłem wielką liczbę żołnierzy w mundurach austriackich, bez broni. Dopytując się, kto zacz, dowiedziałem się, że są to rozbitkowie wojska austriackiego, wracający z Ukrainy. Narodowość — Polacy. Przeważali mieszkańcy okolic Jarosławia. W kilku słowach przedstawiłem im nasze położenie i prosiłem o pozostanie z nami, by nam pomóc. „Dobrze, powiedzieli, za 2 tygodnie przyjdziemy, ale wpierw musimy zobaczyć nasze rodziny. A jak w domu wypoczniemy, przyjdziemy do was“. Nic nie można było zrobić — było ich za dużo, by ich przemocą zatrzymać. Kazałem ich przepuścić i spieszyć im się, by ich Ukraińcy dalej nie wstrzymali.

Dnia 3 listopada przybył tam por. Ajdukiewicz wraz z garścią ludzi z Dublan. Tegoż dnia przybył ze Lwowa por. Świeżawski, z jakąś nieznaną mi misją.

Noc z 3 na 4 też była pełna alarmów ze strony młodego i nieobebranego ze służbą żołnierza.

Rano 4 listopada otrzymaliśmy rozkaz udać się w kierunku na dworzec Kleparów, by zejść od tyłu na nacierających na ten dworzec Ukraińców. W jakim związku był ten rozkaz z resztą lwowskiej akcji, nie wiem i z dostępnej mi literatury nie mogę nic wywnioskować. Było to zapewne jedno z wielu sprzecznych zarządzeń w pierwszych dniach obrony Lwowa, świadczących o bezplanowości akcji w tym czasie. Rozkazu tego nie mam; otrzymał go kpt. Trześniowski, od którego ja dopiero rozkaz otrzymałem.

Z wielkimi trudnościami uszykowałem moją kompanję, zostawiając w Rzęśnie jedynie placówki. Żołnierzy musiałem uczyć, jak rozsypać się w tyraljerę, nieledwie każdemu trzeba było wyznaczyć miejsce. A jakie było zrozumienie roli swej, niech świadczy fakt, że moje lewe ubezpieczenie zginęło mi bez śladu w czasie posuwania się. Jak w kilka tygodni potem dowiedziałem się, wysłana tam sekcja zetknąwszy się z grupą „Góry Stracenia“ przystała poprostu do niej, nie zawiadamiając

mnie o niczem, z najspokojniejszym sumieniem, w przekonaniu, że tu, czy tam, w każdym razie walczą o Lwów.

Tak zresztą było przez cały czas walki lwowskiej. Ochotnicy, był to materiał nieustannie płynny, który wprost przeciekał pomiędzy palcami.

Poszedłem z rozwiniętą kompanją do Kortumowej Góry, gdzie zostawiwszy kompanję w ukryciu, wysunąłem się naprzód, by obserwować nieprzyjaciela. Widok był straszny. Gęste kolumny przelewały się przez szosę, wiodącą z dworca Lwów-Kleparów do Lwowa. Obserwując jednak szosę lornetką, spostrzegłem, że te gęste kolumny, to poczciwy ludźmi kleparowski, rabujący doszczętnie pozbawione opieki składy przy dworcu. A było ich tylu, że aż się roiło. Ukraińców natomiast ani śladu. Posłałem o tem meldunek kpt. Trzeźniowskiemu, od którego dostałem rozkaz powrotu.

Zastałem go bardzo wzburzonego jakimś otrzymanym z Lwowa świstkiem. Siadł na konia, powierzając mi zastępstwo, by jak mówił, wyjaśnić, „kto rozkazuje i kto to jest ten pan Czyński“. Wrócił popołudniu z rozkazem powrotu do Lwowa z wszystkimi siłami, za wyjątkiem małej liczby załogi, zostawionej pod komendą w międzyczasie już por. Świeżawskiego. Powrót wraz z zajęciami w Rzęźnie armatami, końmi i obfitemi magazynami nastąpił nad wieczorem dnia 4 listopada.

Witano nas we Lwowie owacyjnie, jako posiłki z Krakowa.

Wieczorem po krótkim odpoczynku w Szkole Sienkiewicza, przeniesiono nas do szkoły św. Magdaleny — o ile pamiętam, z wszystkimi ludźmi — których rozdzielono dopiero o 5 rano.

Oceniając akcję od 2 do 4 listopada można stwierdzić:

1. Organizacyjnie czas nie był stracony, bo ocalono baterję, broń, magazyny i t. d. i założono silną placówkę, dużej wartości w obronie Lwowa.

2. Operacyjnie natomiast czas był niewątpliwie stracony. Czynna akcja grupy do 60-ciu ludzi dochodzącej w dniu 2 listopada, a do 100 ludzi w dniu 4 listopada, mogła być bardzo przydatną w walkach lwowskich. Do tego jednak brakło dwu czynników:

a) Sam kpt. Trzeźniowski, mimo wielu zalet, mimo osobistej brawury, nie miał szerokich horyzontów, a zwłaszcza dużej inicjatywy. Wyśmienity wykonawca, sam jednak z własnego po-

mysłu niczego nie zdziałał. Zostawiony bez rozkazu, ograniczył się do akcji organizacyjnej i nie myślał sam o rozszerzeniu swej podstawy, ani o pomocy innym. Z tego też względu, z własnej inicjatywy, niczego nie przedsięwziął, choć, znając obecnie położenie ówczesne i nasze siły, śmiało mogę stwierdzić, że można to było uczynić. W owym czasie nie miałem pojęcia o tem, co się dzieje, zavalony byłem wprost pracą, czuwaniem nad swoją kompanją, a ponadto ślepo wierzyłem w Trześniowskiego. — Zresztą, nie byłoby mi nigdy nawet przyszło na myśl bez niego coś przedsięwziąć.

b) Brak było jakiegokolwiek koordynacji z góry. Mimo odmiennego twierdzenia Mączyńskiego, moje osobiste spostrzeżenia stanowczo potwierdzają wnioski Próchnika, że do dnia 4 listopada włącznie każdy działał na własną rękę, a rola Naczelnego Dowództwa była żadna¹⁾. Gdyby Naczelna Komenda była zażądała, niewątpliwie Trześniowski, tak jak go dobrze znałem, nie byłby ani na chwilę zawahał się rzucić siebie i swego oddziału w wir walki. Niewątpliwie opierał się, gdy mu kazano porzucić drugą z kolei przez niego zorganizowaną placówkę. Ale przed walką Trześniowski nigdy się nie cofał.

Tak więc brak rozkazów i jakiegokolwiek wpływu Naczelnej Komendy w dniach 2, 3 i 4 listopada z jednej, a brak inicjatywy Trześniowskiego z drugiej strony operacyjnie nie wyzyskały niewątpliwie mogących oddać duże usługi naszym sił w Rzęśnie Polskiej.

IV. O OSOBĘ Ś. P. MJR. TRZEŚNIEWSKIEGO.

Jako bezpośredni współpracownik ś. p. mjr. Trześniowskiego w dniach 31 października do 22 listopada 1918 r. jako jego zastępca, jako najstarszy stopniem oficer I Załogi obrony Lwowa, czuję się w obowiązku w tych dla bezstronnej historii pisanych notatkach wystąpić w obronie ś. p. mjr. Trześniowskiego, którego pamięć została poniżona w książce Czesława Mączyńskiego „Boje Lwowskie“.

Jak już podkreśliłem, nie mam żadnych iluzji co do istotnych wartości ś. p. mjr. Trześniowskiego. Świetny żołnierz, od-

¹⁾ Próchnik, I. c., str. 32.

ważny dowódca, energiczny i surowy dla siebie, nie odznaczał się Trześniowski ani inicjatywą w wielkim zakresie, ani rozległym horyzontem myślowym, ani wielką inteligencją. Bardzo pewny siebie i wysoko o sobie myślący był nieraz przykry dla otoczenia i przesadnie uparty w warunkach, gdzie kompromis był nieraz jedynym wyjściem. Ten upór jego narażał go na liczne przykrości i utrudniał pracę służbową. Ten rys jego charakteru oświetlić może list ś. p. mjr. Trześniowskiego w odpowiedzi na uchwałę delegatów stowarzyszeń dwu grup obrony Lwowa, chcących się złąć w jedno wspólne stowarzyszenie¹⁾.

Surowy dla siebie, słaby był jednak Trześniowski dla swej rodziny i otoczenia, tolerując nieraz nadużycia innych, zresztą bez żadnej dla siebie korzyści.

Te wszystkie wady, zwłaszcza niezbyt wysoka inteligencja uniemożliwiały mu sprawowanie wyższego dowództwa, zwłaszcza w roli samodzielnej. Równoważyła je jednak jego brawura i wartość bojowa, oraz duże wycucie położenia, zimna krew, stanowczość i pewność siebie, które na jego ówczesnym szczeblu dowodzenia czyniły go oficerem pierwszorzędnej wartości bojowej.

Niezależnie od jego cech osobistych nie można zapomnieć, że ma on za sobą jedną nigdy niezapomnianą zasługę. Jego czyn stworzył podwaliny obrony Lwowa, jego upór i zaciętość dały hasło zbrojnej walki z okupantem. Mnie, który byłem w obronie Lwowa zastępcą Trześniowskiego, przypada obowiązek obrony jego honoru przed krzywdzącymi zarzutami Mączyńskiego.

Otóż przedewszystkiem kategorycznie prostuję podaną przez Mączyńskiego wiadomość, jakoby w dniu 1 listopada kpt. Trześniowski leżał zupełnie nieprzytomny, co zmusiło Mączyńskiego do zmiany dowódcy²⁾.

Po pierwsze autor przeczy sam sobie. Dwa wiersze bowiem dalej pisze Mączyński, że ten rzekomo do pijaństwa nieprzytomny oficer otrzymał rozkaz udania się do Rzęsny Polskiej

¹⁾ Trześniowski do Rady Nadzorczej Stow. wojsk. Pierwsza Załoga Obrony Lwowa w Szkole Sienkiewicza, m. postoju, 22 października 1918 r., odmownie w sprawie proponowanej fuzji I Załogi i P. O. W. (Arch. Wojsk. Biura hist. w Warszawie).

²⁾ Mączyński, l. c., cz. I, str. 84.

dla zadania trudnego, odpowiedzialnego. Jak to pogodzić z sobą? Czy daje się zadanie odpowiedzialne temu, kto w czasie najgorętszym upija się do nieprzytomności?

Po drugie nie jest to zgodne z prawdą. Kpt. Trześniowski alkoholu nie unikał, to prawda, ale umiał go pić i nigdy przez 3 miesiące wspólnej pracy nie widziałem go łąni razu nietrzeźwego, tem mniej w dniu 1 listopada, gdy ani kropli alkoholu do ust nie wzięł.

Ustęp ten spowodował publiczny protest podwładnych ś. p. mjr. Trześniowskiego i w wyniku rozprawę sądową. Proces ten wykazał lekkomyślność, z jaką autor rzucał na innych najcięższe zarzuty w swej książce¹⁾.

Kategorycznie również muszę zaprotestować przeciw temu, co do rzekomej niesubordynacji Trześniowskiego²⁾. Jeżeli się czyta skład Naczelnej Komendy, to widzi się zupełne pominięcie w nim kpt. Trześniowskiego i organizacji, którą reprezentował³⁾. Należy wziąć pod uwagę, że dwa obozy, tworzące tę Komendę, P. O. W. i P. K. W. były w owym czasie wybitnie politycznie sprzeczne z kierunkiem P. K. P. Ten ostatni reprezentował posłuszeństwo Radzie Regencyjnej, oba pierwsze orientację wprost przeciwną. Były więc w owym momencie, gdy decydowały spory orientacyjne, politycznie bliższe sobie, niż obozowi P. K. P. Trzeba dalej uwzględnić, że w chwili tworzenia Komendy Trześniowski już walczył, walczył pierwszy i walczył dobrze.

Otóż od Trześniowskiego, który walkę rozpoczął sam, który miał rozkazy od kpt. Kamińskiego, swego bezpośredniego przełożonego, z którym nikt nie mówił przy tworzeniu Komendy i którego przy tej sposobności zupełnie pominięto — od Trześniowskiego zażądano, by poddał się komendzie ludzi obcych,

¹⁾ Chodzi o rozprawę w Sądzie Wojsk. Okręg. w Przemyślu w r. 1922 przeciw 8 podkomendnym ś. p. mjra T. (m. i. autora relacji), którzy zaproteutowali przeciw zniesławieniu ich dowódcy. Akt oskarżenia zarzucał obrazę starszego w stopniu służbowym (płka M.), popełnioną przez oskarżonych przez formę protestu, przyjął jednakże „jako fakt stwierdzony zeznaniami świadków... że ś. p. mjr. T. był w krytycznym czasie zupełnie trzeźwym“ (Przyp. red.).

²⁾ Mączyński, l. c., cz. I, str. 85, 162 sq.

³⁾ Próchnik, l. c., str. 28.

nieznanych mu nawet z nazwiska, przeciwników politycznych, bez, a nawet wbrew rozkazom kpt. Kamińskiego. W tych warunkach odmowa poddania się rozkazom tej „Komendy“, byłaby zupełnie naturalną. A jednak, jak to stwierdza zarówno bezstronny Próchnik, jak i współautor raczej Trześniowskiemu nieprzychylniej książki, Trześniowski „bez wahania poddał się rozkazom nowej komendy, jak tylko dowiedział się o jej istnieniu“¹⁾).

Rozkaz wymarszu do Rzęsny Polskiej poprzedziła długa rozmowa z kpt. Borutą-Spiechowiczem, z kpt. Pierackim Bronisławem. W rozmowie tej, jak widziałem, był Trześniowski bardzo podniecony, ale uległ. Oburzeniu jego trudno się dziwić. Wszak on sam zorganizował podstawę walki, karnie poddał się nowej komendzie, a pierwszym jej krokiem było pozbawienie go owoców pracy, by inny z nich ciągnął korzyści. Po ludzku rzecz biorąc, mógł Trześniowski, jak wielu innych to we Lwowie czyniło, odrzec — „ja siedzę na mej placówce, niech inny idzie“. Jeśli tego nie uczynił, bez oporu poszedł, to dobrze, a nie źle świadczy o jego karności.

Rozkaz powrotu do Lwowa był w ciągu 3 dni drugim z kolei rozkazem, pozbawiającym Trześniowskiego owoców jego pracy i żądającym od niego znowu oddania innemu tego, co stworzył; nie dziw, że po tym rozkazie do Lwowa pojechał Trześniowski, by osobiście wyjaśnić sprawę. Pojechał, powiedziano mu, że tak trzeba i posłuchał.

W tych warunkach nie „kamieniem rzucić“ należy na Trześniowskiego za rzekomą jego „niesubordynację“, ale czoło pochylić przed jego samozaparciem się, przed jego poczuciem obowiązku, które po raz drugi kazało mu, wbrew ambicji osobistej, oddać owoce własnej pracy innemu, by wykonać rozkaz nieznaney mu nawet komendy.

Trzeba przytem pamiętać, że — jak to potwierdza Mączyński²⁾ — był to jedyny wypadek takiego przesuwania dowódcy z miejsca na miejsce. Wprost przeciwnie, zasadą było we Lwowie każdego zostawić na czele tej jednostki, tej placówki, którą sam zorganizował. Tolerowano nawet przywłasz-

¹⁾ Próchnik, l. c., str. 29; St. Łapiński-Nilski i A. Kron, Listopad we Lwowie (1918 r.), Warszawa 1920, str. 30.

²⁾ Mączyński, l. c., cz. I, str. 84.

czenie sobie szarży. Kiedy meldowałem np. por. Jakubskiemu, o nieprawnej szarży kapitańskiej ś. p. Wiktora Kopcia, powiedział mi: „Wiem o tem, ale narazie dobrze pełni swą funkcję; jak się to skończy, wyjaśnimy to“.

Ponadto i na dyscyplinę nie tak bardzo zwracano uwagę. Gdy przed natarciem na Cytadelę w dniu 5 listopada powstała „scysja“ między podwładnym, por. Starkiem, a przełożonym, kpt. Trześniowskim, kpt. Łapiński, szef sztabu „łagodził ją“, zamiast rozkazywać Starkowi lub grozić tak przez Mączyńskiego nadużywany wobec Trześniowskiego „rozkazem aresztowania“¹⁾.

Jeszcze klasyczniejszym jest przykład następujący: Po zdobyciu poczty po kilku dniach okazało się, że ludzie jej załogi rozbili kasę i pokradli poważne sumy. Wysłany do śledztwa audytor spotkał się z oporem dowódcy załogi, ppor. Massara. Kpt. Trześniowski polecił mi wtedy objąć komendę poczty i złuzować Massara. Udałem się tam i powróciłem z niczem, bo Massar rozkazu wykonać nie chciał, dodając przytem, że „karabiny jego równie dobrze strzelać mogą w dół, jak i górę ulicy Sykstuskiej“ (t. j. do nas). Wtedy kpt. Trześniowski polecił mi, jak się wyraził „amputować gangrenę“ i obsadzić plutonem żandarmerji przejście między pałacem Sapiehów a Seminarjum ruskim, zostawiając załogę tego Seminarjum i poczty własnemu losowi. O rozkazie tym zameldował Naczelnej Komendzie. Mączyński rozkaz natychmiast wstrzymał, przybył do szkoły Marji Magdaleny i porozumiał się telefonicznie z Massarem. Ten zażądał słowa honoru, że go do końca walki lwowskiej nie pozbawi komendy poczty, żądał dalej uwolnienia jego żołnierza, znanego rzeźmieszka lwowskiego, przy którym podczas rewizji znaleziono kilkanaście tysiączków pochodzących, jak sam zeznał, z kasy na pocztę. Dopiero gdy te warunki zostały spełnione, raczył Massar stawić się przed oblicze Naczelnego Komendanta, od którego otrzymał zatwierdzenie w Komendzie i wstrzymanie śledztwa w sprawie kradzieży na pocztę.

Sprawa wznowiła się dopiero w 1919 r., gdy prokuratura wytoczyła Massarowi sprawę o kradzież. Wynikiem procesu było, jak sobie przypominam, skazanie Massara.

¹⁾ Łapiński-Nilski i Kron, l. c., str. 95.

Na tle tej pobłażliwości Mączyńskiego dla niesubordynacji, a nawet nadużyć podwładnych, dziwnie wygląda jego surowość wobec Trześniowskiego, jego przesuwanie go z miejsca na miejsce. Pięknie natomiast i zaszczytnie dla honoru i karności żołnierskiej na tle tym występuje samozaparcie się Trześniowskiego.

V. OD 5 DO 18 LISTOPADA.

Dnia 4 listopada w nocy zajęliśmy kwaterę w szkole św. Marji Magdaleny. Już tego samego wieczoru rozdzielono naszych ludzi, posyłając część na wzmocnienie zagrożonego odcinka Domu Techników.

Reszta sił, z wciąż napływającymi ochotnikami i przesyłanymi ze szkoły Konarskiego uzupełnieniami stanowiła „kompanję bojową” odcinka II. Dowództwo tej kompanji mnie powierzono.

Skład jej w dniach 5 do 9 listopada zmieniał się nieustannie. Codziennie trzeba było wysyłać ludzi na zagrożone placówki, codziennie nowi przychodzili. Zostawione przezemnie w Biurze Historycznem dwa spisy imienne kompanji wykazują, jak radykalnym zmianom uległ jej skład w ciągu 3 dni.

Ta ciągła reorganizacja pochłaniała wiele pracy i zabierała bardzo wiele czasu. Szczególnie dotkliwem było, że wszystkie rozkazy i zarządzenia wychodziły w nocy, skutkiem czego do dnia 9 listopada włącznie nie było nocy, w której mógłbym na sen poświęcić więcej niż 2—3 godzin i to z nieustannymi przerwami.

W tych warunkach zarządzone zostało natarcie na Cytadelę. Plan jego powstał w dniu 5 listopada. W czasie jego omawiania byłem obecny. O „braku zapału” wśród oficerów, jak twierdzi Łapiński, trudno sądzić¹⁾. Byliśmy wszyscy po 4 ledwo lub zupełnie nieprzespanych nocach, nikt z nas nie był charakteru ekspansywnego, stąd też zapału nazewnątrz niewątpliwie nie było widać. Ale, że Trześniowski uwziął się na Cytadelę, wynikało to z dalszej akcji.

¹⁾ Łapiński - Nilski i Kron, I. c., str. 95.

Nie pamiętam planu natarcia w dniu 5 listopada. O ile przypominam sobie Trześniowski uzależnił natarcie od artylerji, nie chcąc karabinami szturmować murów fortecznych. Artylerja zaś 5 listopada nie była gotowa. Ponadto pamiętam doskonale, że scysja między por. Starkiem a kpt. Trześniowskim wypadła już przy świetle sztucznem t. j. około godz. 18. Było to w czasie omawiania szturm. A o natarciu nocnem przy tak mało wyszkolonym personelu, jak nasz i to na twierdzę, trudno było myśleć.

Wieczorem zbadał kpt. Trześniowski wraz ze mną teren natarcia i wydał rozkazy. Ja wysłałem na zbadanie stanu rzeczy ochotniczy patrol; dowódca jego, mój ś. p. brat, Roman, podpełzł pod same okna bastjonu od ulicy Bogusławskiego i stwierdził jego zajęcie przez Ukraińców, których rozmowy nawet słyszał. Jaki więc pluton piechoty miałby zająć wieczorem 5 listopada ten bastjon, nie wiem. Jest to niewątpliwie wiadomość mylna, ponieważ raz zajętego bastjonu niktby w warunkach walki lwowskiej nie opuścił. Zresztą byłem wieczorem tego dnia pod tym bastjonem, więc byłbym niewątpliwie o jego zajęciu wiedział.

Natarcie o świcie miała wykonać moja kompanja dwoma plutonami, jeden ppor. Wojciechowskiego od ulicy Bogusławskiego, drugi, zdaje się, ppor. Huttera, od strony ul. Pełczyńskiej, nie dochodząc zakrętu. Natarcie miała wesprzeć artylerja z okolicy Szkoły Kadeckiej i k. m. Starka z tarasu domu przy ul. Herburtów l. 5; w ostatecznej chwili umieszczono k. m. w znacznie lepiej zamaskowanym stanowisku na stoku skarpy od ul. Kadeckiej¹⁾.

Niestety artylerja zawiodła. Ponieważ posiadane pociski miały kaliber nieco mniejszy od dział, więc, by uszczelnić lufę, obwinięto pocisk w onucę. Pierwszy strzał o godz. 6 padł ku naszej radości w sam bastjon. Ale był to i ostatni. Jak się potem okazało, lufa się zagwoździła. Ponieważ nie można było myśleć o natarciu na silnie, jak świadczyły strzały, obsadzony bastjon, kpt. Trześniowski zarządził odwołanie natarcia.

Jedynie, by lepiej obserwować go, zajęliśmy dom Wiksla na ul. Bogusławskiego, którego okna wychodziły na ten bastjon

¹⁾ Punkt 7 na planie placówek polskich w odcinku Cytadeli, Gella, l. c.

i tam ustawiliśmy placówkę. W domu tym zastaliśmy płk. austriackiego Paulika, który zadeklarował się, jako życzliwy sprawie polskiej Chorwat. Po 22 listopada 1918 zmienił narodowość i został następnie dowódcą brygady w wojsku polskim.

Dzień 7 i 8 upłynął na przygotowaniach do przewidzianego natarcia generalnego.

W dniu 8 listopada zapaliła się poczta. Kto ją zapalił, nie wiadomo. Znając materiał ludzki, stanowiący załogę przylegającego do poczty gmachu Seminarjum ruskiego, niestety muszę przypuszczać, że ona to uczyniła i to nie granatem ręcznym, bo tych nie było, ale przez podłożenie.

Podana przez Mączyńskiego wiadomość o wdarciu się w dniu 7 czy 8 listopada sił naszych na pocztę, uważam za fałszywą¹⁾. W dniu 9 listopada byłem wśród ludzi, którzy rzekomo mieli to dwa dni temu uskutecznić, nikt mi o tem, mimo znanego samochwalstwa lwowskiego, nie wspominał, nikt nawet, jak się potem okazało, nie znał rozkładu gmachu. Wiadomość o tem, to niewątpliwie jeden z wielu we Lwowie samochwalczych meldunków, które z dobrą wiarą umieszczano w komunikatach i na podstawie których, bez żadnego sprawdzania ich wartości, pisano następnie historję.

Dnia 8 listopada, w czasie lokalnego zawieszenia broni dla umożliwienia ugaszenia poczty, zajęli Ukraińcy dom przy ul. Sykstuskiej l. 40. Był to punkt dla nas przykry, bo flankował pocztę i uniemożliwiał posuwanie się w głąb ul. Sykstuskiej.

Kiedy wiadomość doszła do szkoły Marji Magdaleny, kpt. Trześniowskiego nie było. Zastępowałem go ja. Poleciałem więc natychmiast ppor. Massarowi, by zerwał zawieszenie broni i zajął bez uprzedzenia Ukraińców o zerwanem zawieszeniu, pocztę. Posłałem mu do tego celu jeden pluton, ofiarowując w razie potrzeby i resztę mej kompanji. Był to rozkaz niewątpliwie nielegalny. Wydałem go jednak bez wahania w przekonaniu, że w razie czego, Naczelna Komenda będzie w porządku, ponieważ nie ona zawiniła, ale podrzędny organ. Po powrocie kpt. Trześniowski aprobował moje zarządzenie. Niestety ppor. Massar jego nie wykonał, a nadto, nie chciał mi odesłać moich

¹⁾ Mączyński, l. c., cz. I, str. 240.

ludzi, co stanowiło dla mnie poważną lukę w przewidzianej na dzień 9 listopada akcji. Dostałem ich dopiero o godz. 21-szej, a miałem rozpocząć natarcie o godz. 5 rano, wyruszając o 4-ej ze szkoły M. Magdaleny.

Rozkazu dokładnie nie przypominam sobie. O ile pamiętam, był on zgodny z podanym w książce Gelli rozkazem, z dnia 8 listopada ¹⁾. Były pozatem instrukcje ustne.

Moja kompanja, miała za zadanie ubezpieczenie prawego skrzydła natarcia, prowadząc natarcie ulicami: Kopernika, Sykstuską do ulicy Karola Ludwika (obecnie Legjonów).

W myśl rozkazu Naczelnej Komendy zadanie moje było raczej jedynie ubezpieczające. Miała to być „energiczna demonstracja“ i utrzymanie łączności z oddziałami, które się wdarły na Karola Ludwika.

W transpozycji kpt. Trzeźniowskiego zadanie to zostało pojęte czynnie. Miałem wypaść z Seminarjum Ruskiego na ul. Sykstuską i Kopernika i — równocześnie z natarciem na Sejm, rozpocząć moje natarcie.

Siły moje były osłabione o $\frac{1}{4}$, bo pluton ppor. Schleyena musiałem oddać, w myśl pktu 10 rozkazu do natarcia głównego. Ponadto obawiałem się Cytadeli. Ul. Lenartowicza była zupełnie pewną. Był tam por. Mond, który wzbudzał pewne zaufanie. Pałac Sapiehów, który czuwał nad wyjściem od ul. Wronowskich był również pewny. Dowodził nim oficer, który robił doskonale wrażenie ²⁾, a zastępcą był oficer skautowy, Grabski, nadzwyczaj dzielny i pewny. Natomiast wątpliwe były wyjścia od ul. św. Łazarza i szpitala św. Łazarza, które trafiały na obsadzone tylko słabiutkimi posterunkami ulice Chrzanowskiej i Leona Sapiehy. Przeciwnatarcie z tej strony trafiało wprost do dowództwa grupy, wdzierало się w bok naszego natarcia i całkowicie odcinało pocztę, a więc moje obawy były uzasadnione. Ubezpieczyłem się więc liczebnie i bojowo (ze względu na personel, nie dowódcę) słabym plutonem ppor. Rakisza. Dwa półplutony, z których każdy posiadał po sekcji szturmowej (jeden półpluton brata mego ś. p. Romana, drugi ś. p. st. szereg.

¹⁾ Gella, I. c., str. 139.

²⁾ Ppor. Marceli Koterba.

Nehrebeckiego, mego podkomendnego z 6 p. p. Legjonów) rozdzieliłem po jednym na każdy kierunek natarcia. Ul. Kopernika miał iść ppor. Wojciechowski, ulicą Sykstuską, na którą położyłem większy nacisk, ppor. Hutter z dzielnym zastępcą sierż. Krakusem (Tymków Józef), którego też znałem z Legjonów. Pluton ten uważałem za swój najlepszy. Ja sam byłem przy nim. Odvodu nie zostawiłem żadnego. Była nim, w moim przekonaniu, załoga Seminarjum. Powtarzam to „w moim przekonaniu“, bo rozkaz natarcia popełnił błąd, nie ustosunkowawszy rozkazodawczo ppor. Massara i mnie. Ja, jako zastępca dowódcy grupy i jako dowódca natarcia uważałem się za uprawnionego do dysponowania ppor. Massarem, podczas gdy ppor. Massar, jak dziś przyznaję słusznie, nie mając żadnych rozkazów w tym kierunku, nie myślał mnie się podporządkować.

Grupa ul. Sykstuskiej miała, jako pierwsze zadanie, opanować dom przy ul. Sykstuskiej 40, by umożliwić sobie posuwanie się ulicą.

Każdej grupie dałem po 4 granaty ręczne. Było to wszystko co mogłem otrzymać.

Wyjście miało się rozpocząć o godz. 5, poczem sygnał rakiet miał zawiadomić Komendę o rozpoczęciu natarcia.

O godz. 5 wyszedłem z sekcją szturmową i sierż. Krakusem na ulicę. Sierż. Krakus podszedł cicho pod dom Nr. 40 i rzucił przez okno granat. Z 4 wybuchł jeden. W odpowiedzi na ten wybuch odezwał się karabin maszynowy na rogu ulicy Sykstuskiej i Słowackiego i obfity ogień karabinowy z odległości najwyżej 80 kroków.

Równocześnie źle puszczone rakiety oświetliły całą ulicę, ukazując nas Ukraińcom, jak na dłoni, i zezwalając nam ujrzeć silne barykady, zamykające ul. Sykstuską.

W tych warunkach nietylko o wyjściu na ulicę Sykstuską, ale nawet o zdobyciu domu nie było mowy. Ustanie na ulicy było wykluczone. Kazałem wrócić do Seminarjum i odpowiedzieć silnym ogniem na ogień. Ślady tego ognia do dziś są na domach dotykających ul. Słowackiego.

Poszedłem do drugiej kolumny. I tej się nie poszczęściło. Pierwszy wyszedł ś. p. Nehrebecki i padł natychmiast, trafiony w głowę. Rozpoczął się ogień z k. m. ruskiego w Ossolineum,

na wprost bramy Seminarjum i z pierwszego piętra przy ulicy Ossolińskich. Wyjście było też wykluczone.

W ten sposób natarcie od samego początku spaliło na panewce. Rozpoczęła się walka ogniowa, w czasie której zorjentowałem się, że z poczty, gdzie pożar już dogorywał, nie pada żaden strzał. Polecilem więc ppor. Wojciechowskiemu wysłanie tam patroli. Po chwili patrol przesłała meldunek, że poczta wolna. Polecilem ppor. Wojciechowskiemu natychmiast zająć ją i udałem się tam z jego plutonem.

Ppor. Massar, który również się o tem dowiedział, zajął ją ze swej strony. O zajęciu posłałem meldunek do kpt. Trześniowskiego, przedstawiając faktyczny stan rzeczy („bez walki“). Że zajęcie było dla Ukraińców zupełnie niespodziewane, świadczy fakt, iż w chwilę potem do gmachu poczty weszła sanitariuszka ukraińska, mocno zdziwiona, że zamiast Ukraińców, zastała nas. Odesłaliśmy ją Ukraińcom z powrotem, jak to w „Wiarusie“ opisałem¹⁾.

Ppor. Massar wysłał o zajęciu poczty meldunek do por. Świeżawskiego, który posłał go wprost, z pominięciem kpt. Trześniowskiego, do Naczelnej Komendy. Na meldunku tym oparty był całkowicie z palca wyssany komunikat Nr. IX. Prostowałem go kilka dni później ustnie por. Jakubskiemu, ale z niewiadomych mi względów oficjalne sprostowanie nigdy nie wyszło.

Również bohaterski opis Mączyńskiego jest zupełnie nieprawdziwy, co dowodzi choćby fakt, że ani jednego jeńca nie było. Również mylnie jest tam umieszczona wiadomość, jakoby poczta jeszcze płonęła w czasie już naszego obsadzenia jej²⁾. Jeszcze tliło dni kilka skrzydło od strony Sykstuskiej, ale poza tem ogień już całkowicie przygasł. Bajeczka o przenoszeniu się załogi z miejsca na miejsce z obawy przed ogniem należy do bezpodstawnych legend.

Cytuję ten fakt by zwrócić uwagę, jak trzeba być ostrożnym przy przyjmowaniu za dobrą monetę opisów bohaterstw lwowskich nawet urzędowym komunikatem potwierdzonych. Nigdy

¹⁾ „Wiarus“ z dnia 12 stycznia 1919, art. „Oni i My“.

²⁾ Mączyński, I. c., cz. I, str. 240 sq., cz. II, str. 48.

nie spotkałem się z taką liczbą samochwalstw i wprost bezczelnych błag, co w tej walce we Lwowie. „Bohaterowie“ rośli tam, jak grzyby po deszczu, a im czas bardziej upływał, tem też i „bohaterstwa“ stawały się większe. Śmiało mogę powiedzieć, że we Lwowie dużo było ludzi odważnych, dużo dobrych żołnierzy, ale nie ci zwykle wybijali się na czoło w opisach. Natomiast łgarze i samochwalcy, którzy „czyny“ swe, najczęściej urojone, umieli upiększać, mieli w tych warunkach walk, gdy jeden o drugim nic nie wiedział, wprost swe żniwo. Dlatego też, powtarzam raz jeszcze, w stosunku do opisów „bohaterstw“ trzeba być bardzo ostrożnym.

By dokończyć sprostowań, muszę stwierdzić, że wiadomość o „zakusach“ kpt. Trzeźniowskiego „o zdobycie Cytadeli“ w dniu 9 listopada, jak to twierdzi Mączyński zupełnie jest fałszywą¹⁾. Bo i kim? Rakisz pilnował ul. Chrzanowskiej, Mond ul. Kadeckiej i Lenartowicza, sił więc do natarcia na Cytadelę nie miał. Widocznie jest tutaj pomieszanie.

W dniu 10 listopada na rozkaz kpt. Trzeźniowskiego wróciłem do szkoły Marji Magdaleny, gdzie powierzono mi dowództwo c. k. m. drugiego odcinka.

O dniach 10—18 listopada nie mam nic do powiedzenia. Była to dla mnie normalna walka pozycyjna bez poważnych zdarzeń²⁾.

Walka w mieście to walka albo o ulice albo o domy. Dopóki trwa niejako walka ruchowa (dnie 1—3 listopada), dopóty ruchy uliczne decydują. Walka ma wprawdzie charakter wybitnie ciaśninowy, ale zawsze możliwe są przejścia bocznymi ulicami, pod domami i t. d., zezwalające na manewr i zaskoczenie.

Z chwilą jednak, gdy wytworzy się w mieście front, walka z ulicznej zamienia się w walkę o domy. Wtedy manewr właściwie nie istnieje, a zaczyna się walka pozycyjna w całej pełni, o każdy dom, o każdy pokój.

¹⁾ Mączyński, l. c., cz. I, str. 237.

²⁾ Charakter tej walki opisałem w „Wiarusie“, Nr. 2 z 12 stycznia 1919 r. w artykule p. t. „Na poczcie“.

Wnioski moje z tego okresu zgodne z wypowiedzianymi w „Bello-nie“, 1920, str. 230—236.

Przewagę w walce ma ta strona, która pierwsza zdążyła zająć stanowiska i zorganizować czujną obserwację. Wtedy wszelkie ruchy i przeciwdziałania strony przeciwnej są niezmiernie utrudnione i musi ona aż do zaskoczenia z jej strony pozostać w stanie niższości, objawiającym się większymi stratami. Przykładem tego może być poczta, zajęta przez nas już po obsadzeniu wszystkich przeciwnych domów przez Ukraińców. Ruch wewnątrz poczty był niesłychanie utrudniony, ponieważ wyśmienicie zorganizowana obserwacja Ukraińców spostrzegła go natychmiast i przeciwdziałała mu celnymi strzałami. Stan ten niezmiernie utrudniał nawet techniczne ulepszenie, jak zasłonięcie okien, by ułatwić komunikację i obserwację, uniemożliwił nawet wykucie w murze stanowiska dla k. m., broni decydującej o panowaniu nad ulicami z domów, pomimo, iż w czasie kucia umyślnie podtrzymywano silny ogień dla zagłuszenia odgłosu. Dopiero zaskoczenie zezwoliło w ciemnej nocy wybudować dla tego k. m. redutę przy bramie, w miejscu, w którym Ukraińcy nie spodziewali się niczego i prawdopodobnie nie obserwowali go.

Ponadto walka ta wymaga przede wszystkim sprzętu technicznego, inaczej, jak o tem świadczy choćby przedwojenne całodzienne obleganie kilku bandytów przez całe baony, jeden człowiek ukryty i uzbrojony w karabin oraz wielki zapas amunicji, może śmiało stawiać czoło i stu ludziom. Do walki tej potrzeba wyćwiczonych i zdyscyplinowanych żołnierzy, bo inaczej rozbija się ona na szereg różnych niepowiązanych epizodów, powiększając straty, a nie dając żadnych korzyści. Tu działać mogą w natarciu, jak i w wojnie okopowej wyćwiczone i specjalnie do tego celu wyszkolone oddziały szturmowe, nigdy luźne ochotnicze jednostki ledwo wyszkolone wojskowo. Do walki o domy trzeba więc wyszkolonego personelu i obfitego sprzętu (granaty ręczne i karabinowe, miotacze bomb etc.). Ani jednego, ani drugiego we Lwowie nie było. Natarcie przez miasto nie mogło się więc udać, bo brak mu było zasadniczej podstawy powodzenia: środków.

Wiedzieli o tem Ukraińcy. Choć ich położenie było korzystniejsze, bo posiadali Wysoki Zamek i Cytadelę, panowali głęboko nad tyłami polskimi, bo np. takie ich natarcie od ogrodu Ossolińskich na pocztę miało wszelkie szanse wdarcia się do

niej bez oporu ogniowego jej załogi, związanej z Cytadeli i ul. Ossolińskich, to jednak nigdy nie próbowali natarcia przez miasto. I słusznie. Cóż bowiem byłoby im przyniosło np. wdarcie się na pocztę: walkę o każdy pokój, pełno strat dla nacierających i co więcej? Ilu ludzi trzeba było stracić, by zdobyć jeden dom? Aby zdobyć miasto lub choć taktycznie decydującą połączyć? Tylu ludzi ani jedna ani druga strona nie miała w swem rozporządzeniu.

Dlatego też front ukraiński w mieście to front bierny, front obronny. Główny ich wysiłek, teren nieustannych natarć, to front zewnętrzny, front przedmieść.

Teren ten lepiej się nadawał i do natarć strony polskiej. Luźne domki otoczone ogrodami, laski, jary i wzgórza, wszystko to umożliwiało ruchy, manewry, obejścia, wymagało więc mniej wyszkolenia, a więcej miejsca zostawiało inicjatywie, rzutkości i wrodzonego lwowiakom sprytowi. Karabin maszynowy był tu bronią wystarczającą. Tu nie trzeba było zdobywać murów, dom po domie; wystarczyło obchodzić, by zająć duże połacie i zmusić do odwrotu czułego na zagrożenie tyłów nieprzyjaciela. Tu nie liczba, nie sprzęt, nie wyszkolenie nawet, ale rzutkość, przytomność, odwaga i przedsiębiorczość zapewniały zwycięstwo. W tem tkwi, mojem zdaniem, tajemnica niepowodzenia działania z dnia 9, a pełnego sukcesu prawej kolumny w dniu 21 listopada.

VI. NATARCIE W DNIU 21 LISTOPADA.

Dla zobrazowania całokształtu akcji w dniu 21 listopada brak mi materiałów. Ograniczę się więc jedynie do krótkiego odtworzenia przebiegu natarcia i to tylko o tyle, o ile to jest potrzebne dla stworzenia tła, na którem zarysują się odpowiednio wydarzenia pod Cytadelą.

1. GRUPA PÓŁNOCNA

Natarcie utknęło prawie na podstawie wyruszenia, spotkało się bowiem z przeciwnatarciem flankowym nieprzyjaciela od strony Zboisk i drugim na tyły prawie, na most kolejowy na Kleparowie; przeciwnatarcie to zdołano sparować, osłaniając się od tej strony plutonem saperów odsieczy i dzięki pomocy Rzęsny Polskiej, ale nie można było posuwać się naprzód. Po-

moc pociągu pancernego, na który Mączyński tak liczy, że od niego wprost uzależnia odbicie Lwowa, okazała się żadną lub małą¹⁾. Ponadto opuścił on w sposób niedopuszczalny plac boju dla odwiezienia rannego dowódcy.

Rezultaty tej akcji nie odpowiadają niewątpliwie wskazanym jej zadaniom. Jednak z punktu widzenia całokształtu natarcia, grupa północna zadanie swe wypełniła w sposób dostateczny. Związała bardzo poważne siły artylerji i piechoty nieprzyjacielskiej, a mianowicie: 1. artylerji Wysokiego Zamku, która niezwiązana mogła — dzięki doskonałym swym punktom obserwacyjnym — stać się niesłychanie groźną, dla natarcia grupy południowej; 2. piechoty, której siły ocenia Gella, najprawdopodobniej na podstawie relacji Sikorskiego na trzy kompanje, t. j. co najmniej 300 bagnetów i 7 k. m.²⁾. Jeżeli ponadto słuszne są przypuszczenia Łapińskiego o zamierzonym natarciu ukraińskim od Wysokiego Zamku grupą północną, natarcie to sparowała w sposób najskuteczniejszy, bo ofensywny³⁾.

2. GRUPA ŚRODKOWA

O działaniu grupy tej brak mi prawie zupełnie wiadomości. Jedynie krótkie wiadomości podaje Próchnik odnośnie działania odcinka Góry Stracenia⁴⁾. Wiadomościom tym przeczy Mączyński, twierdząc jedynie o demonstracji tego odcinka⁵⁾. Przeczy mu również Gella, mówiąc, że „cały powyższy dzień przeszedł na silnem ostrzeliwaniu nieprzyjaciela“⁶⁾.

Ponieważ Gella wiadomości swe podawał tak, jak je otrzymywał od poszczególnych dowódców i umieszczał je w swej książce bezkrytycznie, ale zato o ile możności dosłownie, to też znając wielkość autoreklamy tego odcinka, można śmiało przypuszczać, iż relacja ta bliższa jest prawdy, niż twierdzenie Próchnika.

¹⁾ Mączyński, l. c., cz. I, str. 304.

²⁾ Gella, l. c., str. 186.

³⁾ Łapiński-Nilski i Kron, l. c., str. 50.

⁴⁾ Próchnik, l. c., str. 49.

⁵⁾ Mączyński, l. c., cz. I, str. 320.

⁶⁾ Gella, l. c., str. 171.

Jak z Gelli i Mączyńskiego wynika, reszta grupy środkowej (odcinek Bema i Dyrekcji kolejowej) zachowała się w tym dniu biernie.

Zachowanie to można określić jako niewypełnienie powierzonego tej grupie zadania „demonstracji”. Demonstracją bowiem nie jest nie łudzące nikogo strzelanie przez cały dzień, ale akcja czynna choćby drobnych oddziałów, której tutaj nie dostrzeżemy. Akcja taka była możliwą choćby w formie wypadu na tak zaciekłe zawsze przez Ukraińców bronione koszary Ferdynanda. Siły też były potem, skoro w nocy z 21 na 22 o godz. 0:30 mogła Góra Stracenia otrzymać wzmocnienie 50 ludzi¹⁾.

Niewątpliwie też „demonstracja” ta nie ściągnęła na siebie żadnych dodatkowych sił nieprzyjaciela.

3. CYTADELA

Działanie tej grupy omówię dokładnie osobno. Tu wypada tylko nadmienić, że aktywnie przez Trześniowskiego pojęta „demonstracja” miała, jako skutek ściągnięcie na siebie odwodów nieprzyjacielskich (co stwierdza zarówno Próchnik²⁾), jak i moja osobista obserwacja z tak dobrego punktu jak wieża kościoła św. Marji Magdaleny), a może nawet sparaliżowanie zamierzonego natarcia ukraińskiego z Cytadeli³⁾). Zadanie swe, odciążenie natarcia głównego, spełniła więc dobrze. Że były przytem straty, mniej może dotkliwe, choć bardziej w relacjach przesadzone, niż w grupie północnej, to trudno. „Demonstracja” bez ryzyka ofiar, to mierne ostrzeliwanie nieprzyjaciela, a nie działanie, to łudzenie siebie, a nie wroga.

4. GRUPA POŁUDNIOWA

Co szczególnie uderza w działaniu tej grupy, to rozprószanie sił. Przedewszystkiem — nakazane rozkazem. Pociąg pancerny, zamiast być podporządkowanym grupie południowej, działa na własną rękę. Jak jednak wnosić można, działanie jego było pomocne grupie. Kawalerja lwowska, działając na Sichów

¹⁾ Gella, I. c., str. 170.

²⁾ Próchnik, I. c., str. 50.

³⁾ Łapiński-Nilski i Kron, I. c., str. 50.

i Winniki¹⁾), nie spełniła zadania odcięcia odwrotu i po silnych stratach wróciła bezowocnie do Lwowa²⁾). Przydzielona do grupy lwowskiej byłaby niewątpliwie większe oddała korzyści, niż rzucona przedwcześnie na szeroki zagon na tyły.

Ale i samo działanie grupy nosi cechy rozprószenia. Odcinek V., jeden z najliczniejszych i bojowo najwytrawniejszych w działaniach poza miastem (nieustanna akcja rozbrajająca kpt. Boruty), działa w kierunku Obroszyna i Stawczan, t. j. w kierunku dla natarcia głównego zupełnie obojętnym. Miała to być rzekomo akcja ubezpieczająca. Ale starczyło do niej mniej sił, patrole, jak twierdzi Mączyński³⁾). Przeznaczanie do ubezpieczenia całego V odcinka było niewątpliwie poważnym osłabieniem grupy natarcia.

Podobnież odcinek I „trzymał“ dawniejsze linie koło parku Kilińskiego i placu Powystawowego⁴⁾). Nie miał nawet widocznie zadania zabezpieczenia tyłów grupy wypadowej, skoro Bujalski, kiedy „dotarł do swej granicy“, zatrzymał się, zezwalając na powstanie przerwy naprzeciw Góry Jacka.

W ten sposób właściwe zadanie natarcia przypadło jedynie siłom odsiecz, stanowiącym tylko $\frac{3}{4}$ sił, przeznaczonych do natarcia, nieobeznanych z terenem i przeciwnikiem. Trzeba podkreślić, że honor decydującego natarcia przypadł nie tym, którzy Lwowa bronili, ale tym, co przybyli z pomocą.

Trudno z fragmentarycznych opisów zdać sobie sprawę z dokładnego przebiegu działania tej grupy; brak mi zwłaszcza do rekonstrukcji zdarzeń rozkazu natarcia tej grupy. Niewątpliwie wiele wskazań dałby mogła historia pułkowa 4 p. p. i 5 p. p.

Jak jednak z Próchnika i Mączyńskiego wnosić można, działania rozwijały się następująco:

Grupa złożona z baonu 5 p. p., komp. 4 p. p. i Legji oficerskiej, wsparta własną kawalerją Kniaziołuckiego i przy pomocy pociągu pancernego ruszyła szerokim łukiem w niezna-

¹⁾ Próchnik, l. c., str. 50.

²⁾ Łapiński-Nilski i Kron, l. c. str. 52.

³⁾ Mączyński, l. c., cz. I, str. 325.

⁴⁾ Próchnik, l. c., str. 50.

⁵⁾ Mączyński, l. c., cz. I, str. 323.

nem mi ugrupowaniu na Snopków, zdobyty prawie bez oporu. Natarcia na Górę Jacka nie próbowała wcale, jak wynika z Mączyńskiego i Próchnika. Ponieważ Bujalski również na tę górę nie nacierał, więc nietylko, jak powiada Łapiński¹⁾ „atak rozwijał się bardzo powoli“, ale wogóle go nie było. Artylerja, działająca na nią spełniła raczej zadanie osłony, niż wsparcia natarcia. Typowy przykład zasady „artylerja sobie, piechota sobie“.

Brak mi podstaw do wyjaśnienia, dlaczego nie nacierano na Górę Jacka. Z przebiegu działania odnosi się wrażenie, że dowódca grupy zadanie swe pojął, jako manewr bardzo szeroki i w wykonaniu tej, jedynie zresztą słusznej, myśli przewodniej, zbagatelizował opory wewnętrzne, chcąc je znieść nie szturmem, do czego nie miał sił, ale obejściem. W takim razie jednak, co znaczyło działanie artylerji na Górę Jacka? Tylko wiązanie ogniem i działanie moralne? Zadanie to niewątpliwie spełniła, bo Ukraińcy pod wpływem tego ognia, jak zahypnotyzowani, nie ruszyli się cały dzień z tej Góry, choć godzinami całymi nikogo naprzeciw nich nie było. Ale liczyć na to zgóry było trudno.

Po tej pierwszej fazie gros sił, bo baon 5 p. p., leg. ofic. i kawalerja grupy idą dalej w myśl planu obejścia miasta, zostawiając jako swe ubezpieczenie komp. 4 p. p. leg. w cegielni Reissa. Ubezpieczenie to, wraz z I odcinkiem mogło rzeczywiście związać ewentualne natarcie od Góry Jacka.

Komp. 4 p. p. leg. zadanie swe ubezpieczenia podjęła ofensywnie; zdobywszy o godz. 16 budynek Wodociągów miejskich, wdała się w zażartą walkę przy rogatece Zielonej, ogoławając Górę Jacka. Niekorzystnie odbiło się tu niejasne zadanie odcinka I, który tkwił na miejscu, choć mógł łączność utrzymać.

Reszta sił wykonała dalsze natarcie. Co szczególnie należy podkreślić, to 1) brak odwodów całości, na skutek czego „Boruta niema czem przerwy załatać“²⁾ i 2) brak artylerji, która od tej chwili nie może już współdziałać w natarciu.

Decydujące więc pchnięcie odbywa się bez odwodów i bez artylerji. Zdobycie Pohulanki odbyło się bez oporu nieprzyja-

¹⁾ Łapiński-Nilski i Kron, I. c., 51.

²⁾ Mączyński, I. c., cz. I, str. 323.

ciela. Stąd natarcie rozdzieliło się na dwie kolumny: jedna — prawdopodobnie, jak z Próchnika wnioskować można — gros baonu 5 p. p. leg. i kawalerja w kierunku na koszary kawalerji za rogatką Łyczakowską, druga, t. j. reszta sił na cmentarz Łyczakowski. Oba zadania spełniono zdaje się bez trudności; tu dopiero zachodzi pierwsze przeciwnatarcie i to od miasta i od Winnik. Oba odparto, poczem koncentryczne natarcie na Dworzec Łyczakowski. Jego zdobycie, to sukces poważny, to to przecięcie najpoważniejszej arterji komunikacyjnej. Nieprzyjacieli odpowiada przeciwnatarciem, nawet z częściowem powodzeniem (wdarcie się na cmentarz Łyczakowski i odbicie części dworca). Natarcie ponowne sukces ten zlikwidowało.

Na tem właściwie siła jego się wyczerpała. Zdobycie koszar Piotra i Pawła nie udało się z braku artylerji i udać się nie mogło. Dalsze natarcie na północ, terenowo łatwiejsze, też było niemożliwe, z powodu wyczerpania nacierających i braku odwodów. Na dobytek na tyłach, wobec braku oddziałów, utrzymujących łączności, powstała duża przerwa.

Położenie dla nacierających — mimo odniesiony sukces — przykre. Każde silniejsze natarcie Ukraińców grozi odcięciem. W myśl starej zasady, kto oskrzydła, bywa oskrzydłony.

Ogółem biorąc, zadania przewidzianego rozkazem, grupa ta nie spełniła. Czy z rozkazu ustnego, czy z własnej inicjatywy, dowódca jej pojął swe zadanie bardziej jako otoczenie, niż jako natarcie? Myśl słuszna, bo na zdobywanie silnych przeszkód brak mu było sił, a szybki ruch okalający groźniejszy był dla nieprzyjaciela, niż długie i ciężkie szturmy na silnie umocnione stanowiska. Wykonanie naogół odpowiadało dobrze myśli przewodniej. Ale brak odwodów własnych (na skutek rozprószenia sił), odwodów Dowództwa całości, brak zabezpieczenia tyłów, brak artylerji i brak łączności uczyniły w rezultacie położenie nacierających, mimo powodzenie, bardzo groźnem i niebezpiecznem. Ostateczny wynik korzystny należy zawdzięczać duchowi inicjatywy, który nie dozwolił przeciwnikowi na zorjentowanie się w słabej sytuacji nacierających i zmusił go, w poczuciu własnego położenia grożącego katastrofą, do uznania się za pobitego.

Natarcie to jest więc prototypem w późniejszej wojnie tak częstych ze strony polskiej wypadków, w których do zu-

chwalstwa posunięta śmiałość odnosiła piorunujące zwycięstwa tam, gdzie trzeźwa ocena położenia wskazywać się zdawała raczej klęskę.

5. PRZECIWDZIAŁANIE NIEPRZYJACIELA

Na najsilniejsze przeciwdziałanie natknęła się grupa północna. Wobec naogół dość biernego zachowania się nieprzyjaciela w tym dniu, wszelkie cechy prawdopodobieństwa ma przypuszczenie Łapińskiego, że natarcie własne natknęło się tu na natarcie nieprzyjaciela, wyruszającego z Wysokiego Zamku, jako podstawy natarcia. Przeciwdziałanie to było tak silne, że złamało z miejsca natarcie własne, zagrażając poważnie pozycjom własnym. Na szczęście trafiło na teren łatwy do obrony, inaczej położenie, wobec braku odwodów Dowództwa polskiego, mogło stać się groźnem.

W terenie grupy środkowej działanie nieprzyjacielskie nie dało się odczuć. Prawdopodobnie i tu nieprzyjaciel jedynie „demonstrował“, o czymby świadczyła obustronna gorąca strzelanina; ale i tu bierna demonstracja przeszła, jak każde bierne zachowanie się, niespostrzeżenie dla strony polskiej.

W Cytadeli nieprzyjaciel bronił się głównie artylerią i ostrzeliwaniem natarcia polskiego. Mimo ściągnięte odwody¹⁾, co mogą potwierdzić na podstawie własnej obserwacji, po odparciu natarcia naszego około godz. 12-tej nieprzyjaciel nie próbował nawet ze swej strony przeciwnatarcia. Czem tłumaczy się ta powściągliwość, czy efektem, jakie wywołało natarcie polskie, czy ściągnięciem sił wszystkich na północ, czy wreszcie dającym się już o tej porze odczuć groźnem niebezpieczeństwem na południu, trudno bez materiałów strony przeciwnej rozstrzygnąć.

Na Górze Jacka nieprzyjaciel, związany jedynie ogniem artylerji, wogóle nie reagował. Nie reagował nawet wtedy, gdy ogień ustał i nikogo naprzeciw niego nie było. Dlaczego, trudno odpowiedzieć.

Zachowanie się nieprzyjaciela na południu świadczy o tem, że natarcie własne napotkało tu na najsłabsze ugrupowanie przeciwnika. Czy ściągnięto je do akcji na północ, czy dla dania

¹⁾ Próchnik, I. c., str. 50.

pomocy Cytadeli, czy też liczono na mogące od Winnik przybyć siły, trudno odpowiedzieć. W każdym razie w położeniu zorjentował się nieprzyjaciół dopiero po zdobyciu Dworca Łyczakowskiego. Poprzednie dwa natarcia, to niewątpliwie — jak z łatwości ich odbicia wynika — jedynie lokalne przeciwdziałanie drobnych sił. Rzucone po zdobyciu Dworca przeciwnatarcie ukraińskie rozbija się o ponowne natarcie własne, powstrzymuje wprawdzie jego pęd, ale nie może naprawić położenia własnego. Szybko w listopadzie zapadająca noc przerywa akcję w położeniu, które nieprzyjaciół ocenia bardzo czarno.

Jakkolwiek faktycznie w położeniu zupełnie nienajgorszym, bo nie otoczony całkowicie w mieście, a otaczający je z zewnątrz, może w każdej chwili zmusić wojsko nasze do tak niebezpiecznej walki na dwa fronty, to jednak czy to pod wpływem przyniatającym sukcesu polskiego, czy pod wrażeniem umiejętnie rozsiewanych pogłosek o wielotysięcznej sile odsieczy, czy wreszcie czując się niepewnym w wrogiem sobie mieście, uznaje się nieprzyjaciół choć niepokonany, za pobitego, wycofuje się, a tem samem przegrywa bitwę.

6. CHARAKTERYSTYKA OGÓLNA

Naogół działanie w dniu 21 listopada scharakteryzować można następująco: wszystkie grupy z punktu widzenia całości kształtu bitwy, a nie wydanych rozkazów, spełniły swe zadanie. Grupy północna i Cytadeli przez uporczywą ofensywność ściągnęły na siebie poważne siły, odciążając natarcie główne. Grupa południowa, jakkolwiek nie zajęła decydujących punktów, to jednak śmiałym rzutem zaszła na tyły nieprzyjaciela i odniosła decydujący sukces moralny. Zmusiło to niepokonanego przeciwnika do odwrotu. Wykonanie wykazuje jednak liczne błędy: nieumiejętność współpracy broni (pociąg pancerny — piechota na północy, piechota — artylerja na południu), fatalny brak łączności, brak odwodów lokalnych i ogólnych, rozprószenie sił (południe i liczne działania poboczne, nie zmierzające wprost do celu, kawalerja i pancerka lwowska), zbyt ofensywne parcie jednostek, których zadaniem jest ubezpieczenie, z zaniedbaniem zadania właściwego (komp. 4 p. p.), brak dbałości o osłonę skrzydeł (Cytadela) i tyłów natarcia (południe).

Mimo te braki jednak wykonanie, dzięki śmiałemu duchowi ofensywnemu wszystkich, dzięki dobrze obranej myśli przewodniej i należycie naogół do niej dostosowanemu rozdziałowi sił i zadań odniosło natarcie swój skutek, bo doprowadziło do zamierzonego celu — odbicia miasta.

VII. GRUPA CYTADELI W DNIU 21 LISTOPADA.

1. ZADANIE GRUPY

Zadanie grupy Cytadeli w „Dyspozycji” określone zostało bardzo niejasno „Atak względnie cernowanie”; to wszystko, co kto chce: bierność dowódcy bojącego się odpowiedzialności, lub śmiałe natarcie dowódcy odważnego. Dając taki rozkaz należało, znając kpt. Trześniowskiego, liczyć się z natarciem i to tem bardziej, że kilka dni przedtem oświadczył on w mojej obecności Łapińskiemu: „Zawzięłem się na Cytadelę; ambicja moja każe mi ją zdobyć”.

Nie znam autentycznego tekstu rozkazu ostatecznego. Jak jednak z Mączyńskiego wnosić, miała to być „demonstracja obliczona i wykonana tak ułudnie, by upodobnić ją do rzeczywistości jak najbardziej”¹⁾. Potwierdza to i Łapiński, określając zadanie grupy, jako „demonstrację ataku na Cytadelę”²⁾. A demonstracja, która ma wywołać u nieprzyjaciela wrażenie natarcia, to nie strzelanina i okrzyki „hurra”, ale natarcie naprawdę, tylko odpowiednio mniejszymi siłami. Każda inna demonstracja, to łudzenie nie przeciwnika, ale siebie.

Z punktu widzenia całości akcji, działanie grupy Cytadeli mogło być tylko jedno: możliwe energiczne natarcie na Cytadelę. Tak też pojął swe zadanie Trześniowski i tak je wykonał. I dla całości akcji, jak to przebieg okazał, pojął swe zadanie dobrze.

2. ROZKAZ i O. de B.

Oryginalny egzemplarz rozkazu znajdzie czytelnik w aneksach.

Odnosnie O. de B., to podałem moją ocenę sił poprzednio. Wynosiły one wedle rozkazu:

¹⁾ Mączyński, l. c. cz. I, str. 320.

²⁾ Łapiński-Nilski i Kron. l. c. str. 48.

1 miotacz bomb,
1 haubica,
1 baterja połówek (prawdopodobnie 2 działa),
1 K. M. (obsługa 1 oficer, 4 szereg.),
Komp. szturmowa (2 oficerów, 40 ludzi),
Komp. II odcinka 4 oficerów — około 90 ludzi,
Pluton odsieczy 1 oficer — 30 ludzi,
Razem 4 działa, 1 K. M., 150 bagnatów.

A. Idea manewru.

Rozkaz został stworzony w dniu 18 lub 19 listopada. Po przyjeździe ppłk. Tokarzewskiego nic w rozkazie nie zmieniło się poza punktem VI — obsada. Reszta pozostała tak, jak ją omawiano w dniu 19 listopada. Zadanie swe pojął kpt. Trześniowski jako natarcie i chce je przeprowadzić w ten sposób, że częścią sił wiąże dwa bastjony, broniące frontu Cytadeli, gros zaś sił, wymijając tak związany opór skrzydła, gmach główny Cytadeli z dwu stron, dążąc wprost na jego tyły.

Idea ta bardzo śmiała, nie liczyła się z terenem. Cytadela zbudowana była w ten sposób, że poszczególne bloki wspierały się nawzajem. Dopóki nie zdobyto dwu bastjonów, wystarczyły najmniejsze, niezwiązane siły w każdym z nich, by razić z tyłu siły, wymijając bastjony; siły te, wzięte w ogień z dwu stron, narażone były na zagładę.

Zdobycie Cytadeli naraz, jak tego żądał rozkaz, było posiadaniem siłami nie do przeprowadzenia. Dopiero pewne usadowienie się w dwu bastjonach mogło stworzyć podstawę do dalszego natarcia. Z tego więc punktu widzenia idea była mylna.

Na jej usprawiedliwienie trzeba podać, że liczone się z opuszczeniem bastjonów przez obrońców na skutek ognia artylerji. Rachuba o tyle słuszna, że bastjon od ul. Bogusławskiego został rzeczywiście czasowo opuszczony; o tyle mylna, że zbyt małe przywiązano znaczenie do istnienia na Cytadeli podziemi, do których załoga mogła się schronić w czasie ognia artylerji.

Z punktu widzenia wykonania zadania, powierzonego przez dowódcę, tak ryzykowne natarcie było zbędne. Zdobycie dwu bastjonów stanowiło dostateczną groźbę dla nieprzyjaciela i ściągało duże jego siły do zażartej walki, o co przecież chodziło.

Wystarczyło więc ograniczyć się do zdobycia tych bastjonów, rezerwując sobie dalsze działanie po wyjaśnieniu się położenia na miejscu.

Natomiast współrzędność natarcia na dwa bastjony słusznie rozpraszała uwagę i środki ogniowe przeciwnika, wykorzystujące moment zaskoczenia.

Reasumując — idea manewru, (wyminięcie twardych oporów, zwiąawszy je jedynie) słuszna częstokroć w walce polowej, w wojnie fortecznej, do której ją zastosowano, była niebezpieczna. Tak z punktu widzenia wykonania zadania otrzymanego, jak i z punktu widzenia idei przewodniej zdobycia Cytadeli, należało raczej podzielić zadanie na dwie fazy: 1. zdobycie bastjonów, 2. dalsze natarcie na gmach główny.

W rzeczywistości, wykonawcy siłą rzeczy skorygowali niewykonalną ideę manewru i ograniczyli się do fazy pierwszej, zdobycia bastjonów.

B. Rozdział zadań.

Samo opracowanie rozkazu odpowiada dalszej idei manewru. Istnieją zadania:

przygotowania ogniowego — otrzymuje je artylerja i k. m., związania bastjonu, ewentualnie potem gmachu głównego — spełnia je kompanja szturmowa,

oskrzydlenia gmachu głównego — otrzymuje je reszta sił, podzielona na dwie części — prawa (kpt. Hickiewicz) i lewa (2 plutony komp. „własnej“),

odwód — (1 pluton).

Oдноśnie tego podziału zauważyć można jeden brak: grupa oskrzydlaająca lewa nie ma wyznaczonego dowódcy. W rzeczywistości był nim dowódca kompanji ppor. Sochacki. W rozkazie jednak należało go wyznaczyć.

W rozkazie brak jednak jednego bardzo ważnego zadania — ubezpieczenie prawego skrzydła, najgroźniejszego, jak to przebieg okazał, dla całokształtu natarcia.

C. Podział sił i rozstawienie wyjściowe.

Idei manewru i podziałowi zadań odpowiada podział sił. Tu jednak konieczne są pewne zastrzeżenia. Najcięższe zadanie przypadło grupie wiążącej; miała ona walkę w bastjonach i wią-

zanie gmachu głównego. Wedle nazwy, kompanja szturmowa najlepiej się do tego nadawała. Ale, po pierwsze, była to bardzo słaba jednostka bojowa, dzięki dowódcy, samozwańczemu ppor. Piguleczce, człowiekowi o małej wartości wojskowej. Po drugie, siła jej była niedostateczną. Liczba 30 ludzi ledwo wystarczyłaby do opanowania jednego bastjonu. Słusznie więc byłoby nie rozdzielać jej, ale najwyżej, wobec zastrzeżenia co do dowódcy, dać zadanie zdobycia jednego bastjonu (np. łatwiejszego od ul. Bogusławskiego), zostawiając drugi plutonowi własnemu o znanych wartościach bojowych (jak np. wyśmienity pluton ppor. Huttera, czy chor. Pollaka).

Podział reszty sił można uznać słuszny; niewiadomo tylko, dlaczego lewe skrzydło gmachu podkreślono silniej, niż prawe. Może to bliższe?

Natomiast ustawienie plutonu komp. ppor. Sochackiego było wprost fatalne. Pluton ten, wspinając się nawprost, wpadł pomiędzy dwa bastjony, rażony ogniem z dwu stron. Znacznie lepiej było puścić ten pluton za oddziałem szturmowym od ul. Bogusławskiego i za plutonem drugim, lub nawet od ul. Łazarza. Tak miało być początkowo, tak nawet na mapie mojej zanotowałem sobie plan natarcia. Nie wiem, co wpłynęło na zmianę tego planu.

Stanowisko plutonu kpt. Hickiewicza dobrze rokowało doskonale nadzieje, przy zapewnieniu bezpieczeństwa dla prawego skrzydła. Dojście do niego odbywa się całkowicie w martwym polu.

Pomysł podpiłowania parkanu i wyzyskania go do maskowania natarcia był dobry, udał się w zupełności.

D. Współdziałanie ogniowe.

Odnośnie artylerji — opracowane szczegółowo i słusznie. Użycie szrapneli może niewłaściwe, ale należało operować amunicją, jaką się miało.

Miotacz bomb miał ledwo 9 pocisków. Rozdzielono je więc tak, by potężnymi jego bombami wykonać główne zadanie zniszczenia.

Stanowisko karabinu maszyn. na wieży kościoła św. Marii Magdaleny działało raczej na tyły nieprzyjaciela, odcinając drogę odwrotną i odwody, niż wspierało natarcie własne. Stano-

wisko późniejsze w domu Wiksła nawprost bastjonu przy ulicy Bogusławskiego wspierało natarcie na bastjon ten, ale później nie mogło współdziałać.

Dla natarcia obliczonego na fazy, to ostatnie stanowisko było właściwsze dla pierwszej fazy. W idei przewodniej, natarcia jednym tchem, stanowisko na wieży było odpowiedniejsze, bo wspierać mogło wysiłek główny natarcia.

4. PRZEBIEG DZIAŁANIA.

A. Przygotowania ogniowe.

Miotacz bomb zmienił w ostatniej chwili stanowisko, zajmując je w podwórzu domu przy ul. Kopernika (drugi od Lenartowicza). Obserwatorium urządzono niefortunnie na wieży kościoła św. Marji Magdaleny o jedno piętro ponad stanowiskiem mego karabinu maszynowego. Druty telefoniczne zaciągnięto nazewnątrz wieży w sposób widoczny zdaleka. Ten drobny szczegół wystarczył, by zdradzić je Ukraińcom. Mam osobiście wrażenie, że ogień artylerji na tę wieżę, który mnie zmusił do opuszczenia tak dogodnego stanowiska, był raczej ogniem na obserwatorium niż na K. M.

Piszę to nie by usprawiedliwić siebie, odpowiedzialnego za zniszczenie tej wieży, ale, by zwrócić uwagę, jak drobny nieraz szczegół niezamaskowania stanowiska może pociągnąć za sobą jego zdradzenie i niekorzystne dla akcji przeciwdziałanie nieprzyjacielskie.

Przewidziane w rozkazie współdziałanie artylerji z miotaczem bomb nie udało się. Miotacz ten skończył swe działanie koło godz. 7, podczas gdy artylerja w tym czasie w pełni dalej pracę swą prowadziła.

Działanie jej było wyśmienite. Każdy pocisk siedział w bastjonie ostrzeliwanym. Szczególnie skuteczny był ogień na bastjon od strony ul. Bogusławskiego. Artylerja działała w sposób bardzo intensywny. Natężenie ognia było duże, przypominało przyzwoite przygotowanie natarcia z frontu rosyjskiego, w czasie wielkiej wojny. Ogień skierowany był na bastjony od ul. Pełczyńskiej, trwał do godz. mniej więcej 10. Wtedy dał kpt. Trześniowski rozkaz natarcia, wnosząc z zachowania się Ukraińców o opuszczeniu dwu bastjonów. Artylerja przeniosła ogień dalej. Po

odbiciu natarcia skierowała znów ogień, już słabszy, na oba bastjony; utrzymywała go do wieczora.

K. M. znajdujący się od godz. 5:45 na swem stanowisku na wieży kościoła św. M. Magdaleny, rozpoczął swe działanie dopiero o godz. 7. Ogień jego skierowany był na tylne podnóże gmachu głównego Cytadeli i na dostęp jego od strony ul. Kalczej. Tędy bowiem nadciągały liczne posiłki ukraińskie, skierowane widocznie na to miejsce w wyniku intensywnego działania artylerji. Czy i jaki był skutek działania tego K. M. nie wiem. Nie wiem bowiem, czy ogień artylerji, skierowany w jakieś 15 minut po otwarciu ognia mego K. M. był wynikiem tego ognia, czy też był poszukiwaniem obserwatorów artylerji. Mam jednak wrażenie, że działanie musiało być, skoro po moich strzałach nadchodzące posiłki się rozprószyły.

Około 7:45 poczęły padać w kierunku wieży kolejno coraz bliższe strzały artylerji. Jeden wreszcie padł w samą wieżę, na szczęście nad sufitem pokoiku, w którym się znajdował K. M., tak, że poza lekką raną jednego z żołnierzy i poza kontuzjami, spowodowanymi przez spadające cegły, wyszliśmy bez szwanku.

Zmuszony tym ogniem wycofałem się z mego stanowiska; była to ostatnia chwila, następne bowiem strzały padły wprost w stanowisko K. M. Po wysłaniu meldunku do kpt. Trześniowskiego, zająłem z jego polecenia stanowisko na strychu w domu Wiksla, w ten sposób, że mogłem ostrzeliwać wprost okna bastjonu od ul. Bogusławskiego i tyły tego bastjonu. Stąd mogłem wspierać o godz. 10 natarcie na bastjon od ul. Bogusławskiego i osłaniać jego odwrót. Wkrótce jednak po zdobyciu bastjonu z powrotem przez Ukraińców, musiałem przerwać działanie, ponieważ Ukraińcy wykryli stanowisko K. M. i celnym ogniem karabinowym (odległość wynosiła niecałe 100 m) uniemożliwili jego działanie. Przy tej sposobności został ranny dzielny celowniczy tego K. M. plut. Witold Kowalczewski, który mimo ognia nie dał się oderwać od K. M.

O opuszczeniu stanowiska meldowałem kpt. Trześniowskiemu, od którego otrzymałem rozkaz wycofania K. M. i pozostawienia go na rogu ul. Bogusławskiego i Pełczyńskiej, gdzie stał już drugi K. M. stale broniący tego zbiegu ulic.

Okolo godz. 10 zniszczenie bastjonów postąpiło tak silnie, że opór ukraiński z nich ustał zupełnie. Kpt. Trześniowski odniósł wrażenie, że bastjony są opuszczone i wydał rozkaz natarcia. Nie wiem, jaka była łączność między artylerją i piechotą, ale z chwilą ruszenia sił własnych, artylerja przeniosła ogień dalej.

Natarcie odbyło się wedle planu. Kompanja szturmowa, a z nią razem reszta piechoty wdarła się do obu bastjonów. Zajęto oba bastjony i okop pomiędzy nimi.

Przeciwdziałania ze strony bastjonu nie było. Ale oddziały wdzierające się, dostały ogień ze strony gmachu głównego od oddziałów ukraińskich, znajdujących się pomiędzy bastjonami w gmachu głównym, oraz od Ukraińców, którzy zajęli cegielnię między ul. Stryjską i Obertyńską. Tu ostatnia grupa flankowała całe natarcie i zadała mu poważne straty. Pierwsza wycofała się grupa zajmująca bastjon naprzeciw pływalni wojskowej. Po niej wycofał się też i pluton kompanji II odcinka, tracąc zastępcę dowódcy plutonu sierż. Koszyka.

Nie wiem napewno, czy wycofanie to się odbyło już po zajęciu bastjonu, czy w trakcie jego zajmowania. Wszystkie jednak rozmowy moje z uczestnikami tego natarcia potwierdzają, że powodem wycofania był ogień z cegielni.

Po wycofaniu się prawego skrzydła Ukraińcy zajęli bastjon z powrotem. Lewe skrzydło, które zajęło już okopy przed bastjonem od ul. Bogusławskiego, wzięte w ogień z dwu stron musiało się wycofać z dużemi stratami. Zginęli tam d-ca komp. ppor. Sochacki i d-ca 1 plutonu chor. Pollak.

Powodem nieudanego natarcia, a przynajmniej konieczności opuszczenia zdobytych właściwie bastjonów — był więc niewątpliwie ogień z cegielni. Cegielnię tę zajęli Ukraińcy w nocy z 20 na 21 listopada, a więc w czasie zawieszenia broni. Stało się to w ostatniej prawie chwili. Rozcięte węzły organizacyjne, które dotąd łączyły odcinek I z kpt. Trześniowskim spowodowały, że meldunku o tem zajęciu grupa Cytadela nie otrzymała. Z drugiej strony brak troski o ubezpieczenie prawego skrzydła nie zapobiegł temu katastrofalnemu ogniowi. W ten sposób o ujemnym wyniku natarcia zdecydowały dwa błędy dowództwa

całości natarcia odbierającego bezcelowo odcinek I z pod rozkazów grupy Cytadeli, choć terenowo, organizacyjnie i z punktu widzenia całokształtu akcji lepiej było zostawić go przy tej grupie i dowódcy natarcia, który nie ubezpieczył swego skrzydła natarcia, narażając go tem samem na tak groźne niespodzianki.

Po wycofaniu się trwała obustronna strzelanina do zmroku; przeciwdziałania, poza obsadzeniem bastjonów, Ukraińcy nie próbowali.

5. SKUTEK AKCJI.

Działanie grupy Cytadeli nie spełniło celów, które sobie dowódca tej grupy zakreslił. Nie spełniła nawet minimalnego celu, jakim było obsadzenie obu bastjonów. Z tego punktu widzenia należy wynik akcji nazwać niepowodzeniem.

Z punktu widzenia wydanych przez Komendę naczelną we Lwowie i ppłk. Tokarzewskiego rozkazów działania cel swój spełniło: związało silne oddziały nieprzyjacielskie w sposób skuteczny. Ukraińcy nie tylko od godz. 7 zaczęli ściągać na Cytadelę odwody, ale zmuszeni byli do godz. 10, na skutek natarcia polskiego, odwody te, jeśli nie wzmocnić, to w każdym razie pozostawić na miejscu. Odwodów tych zabrakło im w walce o Dworzec Łyczakowski o godz. 12, co w każdym razie ułatwiło akcję polskiego natarcia decydującego.

Zachodzi tylko pytanie, czy nie uczyniło się więcej, niż rozkaz wymagał, narażając się na niepotrzebne straty. Pytanie to roztrząsałem poprzednio. Jedynie prawdziwe natarcie mogło w Cytadeli zebrane i wzmocnione związać, uwikławszy je o walkę. Natarcie więc było konieczne i celowe.



PROF. DR. ANTONI JAKUBSKI



Niezwykła rola, jaka przypadła w udziale polskiej ludności Lwowa w pamiętnym listopadzie 1918 roku, rola, która pozwoliła szeregowi jednostek zabłysnąć przykładnym męstwem i spowieć swe nazwiska aureolą bohaterstwa, a miastu samemu ozdobić się nowym wawrzynem obrońcy przedmurza polskości, przyniosła — rzecz zrozumiała — bogaty plon literacki, można powiedzieć całą literaturę związaną kultem dla ofiarnych wysiłków, wzywających się w duszę lwowiaka dumnego czynem rodzimego środowiska, dumnego, ale nieraz biernego tylko widza tych doniosłych wypadków.

Literatura ta pełna poetyckiego nastroju, bogata w poezję, artykuły okolicznościowe, wspomnienia osobistych przeżyć w formie pamiętników, rapsodów specjalnie bohaterskich wysiłków, bogata w szereg artykułów feljetonowo-dziennikarskich, często płytkich treścią, a napuszonych formą, piewów uwielbienia dla poszczególnych osób, ba, nawet nieraz gorących polemik na temat zawiłych i spornych praw do palmy pierwszeństwa, nie posiada — rzecz nie do wiary — dotąd nie ma wcale opracowania krytycznego, należytej monografii pragmatycznie opracowanej na zasadzie umiejętnego wyzyskania źródeł historycznych.

Dotąd i może długo jeszcze stanowić będą główne źródło oceny historycznej dwie prace, ważne ze względu na wybitny udział autorów zaangażowanych w sposób wyjątkowy w akcję „powstania lwowskiego“, bo w roli kierowników naczelných organizacji i działań wojennych.

Na pierwszym miejscu postawić muszę dziełko niewielkie rozmiarami, ale poglądowo i trafnie naogół ujmujące wypadki lwowskie: „Listopad we Lwowie“, pióra śp. Stanisława Łapiń-

skiego-Nilskiego, szefa sztabu Naczelnej Komendy W. P. we Lwowie w listopadzie 1918 r.¹⁾). Na drugim miejscu stawiam rzecz znacznie już obszerniejszą, opartą na szeregu pierwszorzędnych dokumentów, pióra samego naczelnego dowódcy, Czesława Mączyńskiego, p. t. „Boje lwowskie“, której niestety zarzucić muszę subiektywność i powierzchowność.²⁾

W odzwierciedleniu wypadków wojennych rozgrywających się na pewnym terenie jest i musi być miarodajną opinią naczelnych kierowników. Wszak oni tylko mieli możność należytego ogarnięcia całości i wglądu w przebieg zmian sytuacyjnych, oni tylko mogli najrzetelniej porównywać doniosłość poszczególnych wydarzeń. Aliści oceny i przedstawienia wydarzeń, pochodzące od dowódców lub ich zastępców, pomijając już uogólnienie faktów oraz błędną często lub niedostateczną ocenę poszczególnych wypadków, posiadają tę jeszcze i to zasadniczą stronę ujemną, że podają prawdę historyczną pod subiektywnym kątem widzenia, pod którym spoglądali autorowie na toczące się wypadki i pod którym wpływali na cały ich przebieg, wobec czego przedstawienia od nich pochodzące nie są dokumentami wartości historycznie obiektywnej i podlegać muszą dokładnej krytyce i ścisłej rewizji.

W związku z lwowskimi wypadkami listopadowymi 1918 r. uwzględnić musi historyk, zabierający się do ich opisu, jeszcze jedną okoliczność niezmiernie ważną, przesądzającą w sposób specyficzny o wartości źródeł tych czasów. Pamiętać musi, że tylko w organizacji wojskowej, normalnie funkcjonującej, posiada dowództwo właściwą znajomość istotnego przebiegu akcji, a zarazem i poczucie odpowiedzialności przed historią, jako naczelną, surową ale i bezstronną kontrolą faktów. Tymczasem w wypadkach listopadowych we Lwowie, a specjalnie w okresie początkowym, zwolna i niejednolicie tworzyła się organizacja armji. Nic więc dziwnego, że szereg zdarzeń, nieraz bardzo ciekawych,

¹⁾ Stanisław Łapiński-Nilski i Aleksander Kron, Listopad we Lwowie, (1918), Warszawa 1920 r.

²⁾ Czesław Mączyński, Boje lwowskie, cz. I Oswobodzenie Lwowa, I, II. Warszawa 1921 r.

Ostatnio, po napisaniu niniejszej relacji, pojawiła się rzecz gen. Roji, Legendy i fakty, Warszawa 1932. (Przyp. red.)

które powinny były dostać się najkrótszą drogą do wiadomości Naczelnej Komendy i napewno wywołały tu reakcję w formie zarządzeń, mogących zmienić z gruntu sytuację dalszą, nie dochodził do jej wiadomości, albo dochodził nieraz ze znacznym opóźnieniem lub co gorsza w formie zmienionej. Przypadkowość działań początkowych była w walkach listopadowych tym momentem charakterystycznym, który, mojem zdaniem, wybijał się na plan przedni, zaskakując nieprzygotowaną doń komendę, narzucając jej nieraz rolę bezsilnego widza, stawiając ją przed faktem dokonanym, a nieraz nie informując jej wcale.

Wobec tego, w krytycznym, sumiennym opracowaniu wypadków lwowskich nie wolno historykowi przechodzić do porządku dziennego nad opiniami nawet zdawałoby się najbardziej wiarygodnych, czy uczestników najpodrzedniejszych zdarzeń, ale musi on sięgnąć do opinii nieraz sprzecznych, nieraz gwałtownie się zwalczających o „drobiazgi“, które w należytem oświetleniu dopiero będą mogły rzucić światło na tło obrazu ogólnej akcji. Przedewszystkiem zatem, o ile chodzi o początkowy okres akcji lwowskiej, musi być miarodajną opinia nie tworzącego się wówczas naczelnego dowództwa, ale tych normalnie poślednich głosów, właśnie tych opinii, nad którymi historia oficjalna tak rada przechodzi do porządku dziennego.

Jest jeszcze jeden niezmiernie ważny wzgląd, dla którego jest rzeczą narazie przynajmniej nieodzowną odtwarzać bieg wypadków nie wedle relacji pochodzących z jednych ust, ale na podstawie zbiorowego głosu, powiedzmy przeciętnej masy, jak najliczniej zebranej uczestników obrony. Prawda, szeregu, może najgłówniejszych twórców Legendy już nigdy nie usłyszymy, bo głosy zagrobowe nie dochodzą do naszych uszu, ale zwolna uzyska się coraz jaśniejszy, czystszy i zgodniejszy obraz, w którym nie będzie dysonansów, wywołanych nieraz świadomym fałszem, nieraz i to najczęściej niezrozumieniem sytuacji, nieraz śmieszną i nadętą bufonadą, kiedy indziej intrygą osobistą, ambicją wygórowaną, czy nawet chwilową apatią, biernością, skromnością żołnierską, lub nawet niechęcią gloryfikowania własnych czynów i t. d.

Oto powód tej konieczności leży w tem, że obecnie nie posiadamy kompletnego zbioru urzędowych źródeł z przebiegu działań lwowskich w listopadzie 1918 r. Archiwum Naczelnej

Komendy, na podstawie którego możnaby było bez trudu, wobec bogactwa znajdujących się w niem materiałów, dać obraz stopniowego rozwoju władzy wojskowej nie tylko pod względem operacyjnym, materialnym i technicznym, lecz także w zakresie organizacji ogólnej, jako władzy i bezpieczeństwa oraz całego procesu militaryzacji społeczeństwa i наконец, co bodaj jest najważniejszym ze względu na aktualność polityczną, odtworzyć istotny przebieg prowadzonych ze stroną przeciwną układów, w czasie których pojawiały się projekty wręcz straszne swą ugodowością i małodusznością, lub wreszcie oświetlić stosunek nasz do organizacji żydowskich, — owóż całe to niezmiernie bogate i cenne archiwum przepadło bez śladu i dotychczas wszelki słuch o niem zaginął.

Jest to rzecz z wielu względów niezwykła. Dlaczego archiwum to zginęło, cui bono, cui ten fakt prodest, dlaczego poszukiwań nie zarządzono, dlaczego o tym fakcie się uporczywie milczy — oto zjawisko bolesne, fatalne, które ze względu na dotychczasowy brak wytłómaczenia daje przecież dużo, dużo do myślenia.

Uważam za swój obowiązek podnieść tę kwestję tutaj nie tylko ze względu na podkreślenie, że wszelkie dotychczasowe opracowania, jako obywatelnie się bez materiałów dowodowych, nie mogą rościć pretensji do bezstronnych, krytycznych ocen, ale przede wszystkim dlatego, że winowajca winien być wyszukany i bez względu na to, kim jest, jak najprzekładniej winien być ukarany. Dlatego to pozwolę sobie rzucić tutaj nieco światła na wypadki, które wprawdzie nieco później miały miejsce, ale które mogą służyć do wykrycia przestępstwa.

W czasie, gdy Naczelną Komenda została przemianowana na Komendę miasta i powiatu, a później na Dowództwo brygady lwowskiej w grudniu 1918 roku, gdy przeniosła się do Hotelu Francuskiego, oddano cały materiał z okresu walk listopadowych do uporządkowania w archiwum ppor. Dr. Próchnikowi, później zaś prof. Dr. A. Skałkowskiemu. Dr. Próchnik pełnił swą służbę zupełnie samodzielnie przez okres blisko dwu tygodni, a około 15 grudnia (daty bliżej nie pamiętam), kiedy dr. Próchnik wyjechał do Warszawy, objął funkcję archiwisty prof. Skałkowski. Trzeciego dnia urzędowania nagle spadła na nas wiadomość, że archiwum to zniknęło. Jak nagle jednak poja-

wiła się ta wieść, tak i nagle ucichła. Początkowo słyszałem wokół siebie gromy, że Dr. Próchnik wyjeżdżając zabrał archiwum ze sobą, że wszystko było w takim nieporządku, że niepodobna było zorjentować się, co jest, a czego nie ma, faktem jednak ostatecznym pozostało, że wiele złożonych przez dowództwa odcinków i grup pak, jak też i całe archiwum Naczelnej Komendy, obejmujące parę potężnych skrzyń, znikło jak kamfora. Kilka dni trwał rozgardjasz z tego powodu. Dr. K. Januszewski, referent spraw sądowych Dłwa brygady został o tem oczywiście należycie poinformowany, próbowano doraźnych poszukiwań na miejscu, ale też i nic więcej nie zrobiono. Osobiście nic mi niewiadomo, w jaki sposób odbywało się objęcie służby w archiwum przez Dr. Próchnika oraz czy i w jaki sposób odbyło się oddanie jej przez dr. Próchnika prof. Dr. Skałkowskiemu, dość, że formalne zniknięcie archiwum nie było przedmiotem śledztwa i nic mi o tem niewiadomo, by obaj archiwiści byli w tym przedmiocie przesłuchiwni. Również nic mi o tem niewiadomo, czy władzom przełożonym został odnośny meldunek przedłożony. Hałasowano kilka dni na miejscu na fatalne zarządzenie oddania „socjaliście“ cennego archiwum i, jak powiedziałem, nagle i bez żadnych następstw rzecz się urwała. Prof. Skałkowski jeszcze kilka dni był w Kmdzie brygady, ale funkcj żadnych nie pełnił, gdyż w charakterze oficera do specjalnych poruczeń z powodu braku stopnia oficerskiego i redukcj niezwykle licznego personelu sztabu Dowództwa brygady lwowskiej nie mógł w niem dłużej pozostać.

O ile chodzi o moje opracowanie, nie mam bynajmniej zamiaru pomnażać dotychczasową literaturę o jedną jeszcze nieźródłową i z większego oddalenia czasu ujętą rzecz o całości wypadków obrony Lwowa¹⁾, ale ograniczam się z całą powściągliwością tylko do zestawienia tych faktów, w których brałem osobisty udział w części wykonawczej i dyspozycyjnej, oraz do oceny pewnych stosunków, które mojem zdaniem, zaważyły niepomierne na biegu wypadków, a dawały się odczuwać nieraz

¹⁾ Niniejsza relacja została napisaną z końcem 1925 i początkiem 1926 roku na osobistą prośbę gen. Kukiela, ówczesnego Szefa Biura Historycznego, z wyraźnem zastrzeżeniem, iż ma stanowić materiał archiwalny. (Przyp. autora).

nader przykro każdemu nie z nazwy, ale z przekonań żołnierzowi, choć może przedstawiały mu się w sposób nieuchwytny, czy niezrozumiały. Mam tu na myśli ów niezwykle stosunek Komendy do tej dziwacznej władzy cywilnej, którą we Lwowie stanowił w tym pamiętnym okresie Polski Komitet Narodowy, jako najwyższa władza cywilna, przebywająca *horribile dictu*, na terenie ruskiego Lwowa, a której dobrowolnie podporządkowała się nasza Komenda. Całość postaram się zobrazować rzucając sylwetowy zarys poszczególnych osobistości i ich działalności, gdyż jest rzeczą zrozumiałą, iż tam, gdzie nie dzieje się nic za sprawą jakiegoś niezwykle autorytetu osobowego, którego jak wiadomo w wypadkach lwowskich nie było, odpowiedzialność cała rozpylać się musi na zespół organizacyjny działającej masy, w której od czasu do czasu daje się zauważyć chwilowe narzucenie swej woli i decyzji przez kogoś, kto w innych momentach najzupełniej się nie wysuwa. Już tu muszę zaznaczyć, że w akcji obrony Lwowa, kiedy to zapal bojowy oddziałów i oddziałków walczących stwarzał fakty nieoczekiwane, tam rola komendy i osobowego autorytetu dowódcy schodziła niejako na plan drugi, kiedy indziej znów zdenerwowanie, przemęczenie, zniechęcenie oddziałów wywoływało sytuacje niekorzystne, które tylko z wysiłkami wielkimi dawały się komendzie jako tako opanować. Powtarzam zatem, że w tak niezwyklej sytuacji, jaka istniała w polskim Lwowie, nie można w sposób uproszczony oceniać historii Listopada wedle roli, jaką odgrywała Komenda, ale staje się pozornie przed niesłychanym chaosem, w którym Dowództwo naogół nie pierwszą rolę odgrywało i to fluktuacyjne przenoszenie się czynnika decydującego z Komendy na zewnątrz, na odcinki walczące, to znowu skupianie się w pewnych momentach władzy w łonie Komendy nie *de nomine*, ale *de facto*, musi być uwzględnione w sposób zasadniczy. Słowem, takie analityczne postępowanie w charakterystyce poszczególnych osób, grup bojowych, gałęzi służb z uwzględnieniem ich charakteru swoistego, a nieraz i przeszłości z okresu wielkiej wojny, staje się nieodzowną koniecznością.

Wychodząc z takich założeń przedstawię naprzód stronę przygotowawczą powstania lwowskiego, udział w niem różnych grup społecznych i tajnych niepodległościowych organizacyj bojowych, kierownictwo organizacją powstania przez Naczelną

Komendę i jej wewnętrzne ukształtowanie się, wreszcie stosunek do władz cywilnych, do strony żydowskiej i ukraińskiej. Będzie to stanowić część pierwszą opracowania, podczas gdy część druga obejmie akcję bojową i rolę, jaką w niej odegrała Komenda Naczelna, rokowania z Rusinami, a wreszcie sprawę odsieczy i przebiegu akcji otoczenia Lwowa.

I.

ORGANIZACJA POWSTANIA LWOWSKIEGO.

1. CZASY I LUDZIE.

Z całą świadomością użyłem terminu „powstanie“ na określenie listopadowych walk, jakkolwiek nikt dotychczas nie porwał się na ten zwrot bluźnierczy przeciw sprawie narodowej. Nazwałem akcję naszą dlatego powstaniem, gdyż w rzeczy samej posiadała ona wszelkie cechy powstania. Z jednej strony istniała już władza ukraińska, sklecona coprawda naprędce i działająca jedynie tylko terrorem strażów na ulicach miasta lub co najwyżej odezwaniami, gdyż właściwie cała jej maszyna państwowa jeszcze wcale nie funkcjonowała; niemniej posiadała ona jeden czynnik, jaki jest objawem wszelkiej władzy, posiadała siłę wojskową, której zrazu, zdawało się, nic nie potrafi się przeciwstawić. Cała tedy akcja nasza miała za zadanie zwalenie narzuconego nam porządku rzeczy, który, jak wiadomo powszechnie, zaistniał we Lwowie dzięki perfidnej polityce Austrii w ostatnim momencie jej dogorywania. Mimo wszystko więc, musimy się z tym faktem zgodzić, że po stronie ukraińskiej była przemoc faktycznej, choć nielegalnej władzy, gdy z naszej strony — podkreślam wyraźnie — zaczęła się dopiero rodzić nieśmiała myśl zrzucenia tego jarzma.

Faktem tedy niezaprzeczonym jest, że władza ukraińska we Lwowie zapanowała, a wina za dopuszczenie do tego stanu rzeczy musi spaść na te czynniki polityczne u nas, które miały nie tylko możliwość, ale i obowiązek przygotować likwidację rządów austriackich na terenie Galicji i zapobiec przygotowaniom ukraińskim; one to powinny były znieść się z temi organizacjami, które w formie tajnych, przecież dostatecznie znanych

kadr wojskowych b. legionistów i peowiaków istniały na terenie Galicji, szukać w Warszawie pomocy, słowem przeciwdziałać wysiłkom Ukraińców, aby niedopuszczyć do fatalnego rozlewu krwi. Wina, dziejowa wina spada na barki naszych przedstawicieli parlamentarnych w pierwszym rządzie lwowskich, którzy — jak to dzisiaj jest rzeczą udowodnioną szeregiem faktów — wiedzieli o przygotowaniach „borby“ ruskiej. Że musiała się ta „borba“ odbyć na olbrzymie rozmiary, o wiele większe niż szereg uprzednich z laskami czy pałkami wewnątrz ramp akademickich, tego można się było zgóry spodziewać. Wszak cała historia wschodniej Ukrainy dowodziła, co znaczy jakakolwiek ruchawka zdołu, gdy ma do dyspozycji kulomioty, armaty i karabiny. Przecież wieści dochodzące nas z za Zbrucza stwierdzały, że z najspokojniejszych ludzi, z najleniwszego bodaj ze słowiańskich plemion ruskiego chłopu wyradza się krwiożercze zwierzę, żadne w potopie krwi zalać swe krzywdy społeczne. Przecież mieliśmy dowody, jakimi krokami szła Rosja ciemna i niewyrobiona politycznie od kiereńszczyzny ku bolszewizmowi, widzieliśmy jak grasowała czerń Petlury, jak kraj żyzny i bogaty zamieniał się w padoł bezkresnej nędzy i krwi pożogi — u nas zaś roznamietnienie partyjne wobec podniesionego hasła „za San z Lachami“ kazało oczekiwać niemniej groźnych następstw.

Wierzę, że znajdzie się niebawem kompetentniejsze pióro, by wykazać, jak małoduszną rolę odegrała wpływowa podówczas w Małopolsce sfera polityków. Stwierdzić jednak muszę, że ludzie ci, chociaż donoszono im o grożących wypadkach, nietylko nie umieli, czy nie chcieli znaleźć środków zaradczych, lecz nawet, kiedy te spontanicznie i odruchowo wypłynęły wśród toczącej się walki, nie potrafili ich ująć dostatecznie silną ręką. Przebieg wypadków lwowskich wobec tego musiał mieć zrazu charakter niedołyżny i nieopanowany; nie umiano zdobyć się na zwalczenie wroga jednym, wielkim zamachem, a niewiara we własne siły podkopywała raczej, niż wspierała operacje, rozwijające się na froncie.

W dziele Mączyńskiego mamy szczegółowo przedstawione siły i organizację po stronie ukraińskiej. Bliżej tego przedmiotu dotykać nie mogę, jakkolwiek przypominam sobie, że szczegółowe raporty naszego Biura Wywiadowczego w listopadzie in-

formowały nas każdorazowo w sposób wprost idealnie szczegółowy, dzięki fenomenalnie rozwiniętej akcji wywiadowczej o sytuacji ruskich oddziałów we Lwowie, tudzież o organizacji i wszelkich posiłkach nadchodzących do Lwowa. Niestety, jednak nie potrafię dat Mączyńskiego ani uzupełnić ani sprawdzić, przypuszczam jednak, że obliczenia Mączyńskiego co do siły Ukraińców w dniu 1 listopada są stanowczo przesadzone.

Mniejsza jednak o stronę ukraińską. Ważniejszą nieporównanie jest rzeczą, że do dziś dnia mimo szereg broszur, manifestacyjnych odezw, nie jest rzeczą wyjaśnioną należycie, w jaki sposób doszło do zorganizowania się oddziałów powstańczych i ich dowództwa.

Otóż tutaj muszę zgóry w sposób najbardziej stanowczy stwierdzić, że formowanie się oddziałów walczących dokonywało się w początkach obrony nie na skutek jakichś zarządzeń zgóry, ale spontanicznie, niezależnie od Komendy Naczelnej, bez jej wiedzy i współdziałania, natomiast sama Komenda organizowała się przez przeciąg całych trzech dni i w ciągu dwóch pierwszych dni żadnych zasadniczych, ogólnych zarządzeń organizacyjnych, za wyjątkiem paru drobnych natury operacyjnej, względnie personalnej, nazewnątrz nie była w stanie wydać, ani też ich nie wydała.

Organizowanie się wewnętrzne Naczelnej Komendy, jako takiej, nie odbywało się, jak twierdzi Mączyński, w sposób jakiś jasno upatrzony, planowo, z całą świadomością, gdzie i jakie placówki należy obsadzić, ale wprost przeciwnie, pozostawało w tyle i nadażało za organizacją oddziałów bojowych, a jakie stąd wpływały następstwa, zobaczymy później.

Ażeby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego takim „odśrodkowym” sposobem organizowała się obrona, należy przedewszystkiem rozważyć to, jakie organizacje bojowe działały na terenie Lwowa w okresie poprzedzającym wypadki listopadowe, zbadać ich siły, przygotowania i początkową działalność bojową, a następnie porównać te wyniki z grupami bojowymi i ich składem personalnym. Mam wrażenie, że tą drogą ustalimy niespornie sprawę, która, jak wiadomo, wywołała szereg pism i notat polemicznych, zwalczających się nawzajem i przypisujących sobie największe zasługi bojowe. Emulacja ta, godziwa w zasadzie, zesłała na godną potępienia drogę i to zarówno ze względu na

cel swój, niemający nic wspólnego ze słusznymi moralnymi pretensjami polemizujących przeciwników, jak i ze względu na środki, którymi się posługiwano, ujmowano bowiem często zasług stronie przeciwnej nawet w wypadkach, nie podlegających żadnej wątpliwości. Jeżeli poruszam tutaj tę przykrą sprawę, to pragnąłbym dać wyraz mym opinjom, jako głoszonym sine ira et studio, gdyż w tym czasie osobiście nie brałem czynnego udziału w żadnej z tych organizacji. Zajęty, jako świeży docent, pierwszemi wykładami na uniwersytecie, pochłonięty byłem całkowicie zagadnieniami naukowymi i choć odczuwałem, że dokoła atmosfera życia publicznego staje się nad wyraz duszną, przecież nie mogłem się chwilowo rozpraszać i zajmować się sprawami, które lada godzina miały na nas spaść, mianowicie jawnego i zbiorowego występu b. legionistów i peowiaków, jako kadr armji polskiej. Brałem wprawdzie udział w kilku posiedzeniach b. legionistów, jak w mieszkaniu mjr. Śniadowskiego, por. Dr. Świtalskiego, czy ostatnio w domu Twa politechnicznego (zdaje się 26 października), to jednak ani uprzednio nie chciałem przyjąć godności komendanta P. O. W. na okręg lwowski, ofiarowanej mi przez mjr. Stachiewicza, ani też żadnych bliższych informacji o ruchu Ukraińców lub o własnych realnych przygotowaniach nie miałem, ani też o nich nie słyszałem.

Jeżeli jednak inni, jak to okazuje się z wiadomości później rozsiewanych, a nawet drukiem ogłaszanych, mieli na podstawie wywiadów, względnie z depeesz przejętych, rzekomo autentyczne wiadomości o planowanym zamachu ukraińskim, to nie mogą wyjść ze zdumienia, dlaczego lwowskie organizacje militarne typu legionowego wogóle, czy też P. O. W., względnie organizacja Wolności, z momentem, gdy do ich wiadomości doszły zapowiedzi borby ruskiej, nie przeciwdziałały im przez proste zmobilizowanie własnych sił. Przecież sama organizacja P. O. W. razem z b. legionistami I i III Brygady liczyła kilkuset ludzi, legionistów grupujących się przy komendzie placu kpt. Kamińskiego było około 120, doliczyćby tu także należało organizację P. K. W., której stan, jeśli istniała ona nietylko na papierze, powinien powiększyć o pewien procent zastęp zdecydowanych.

Dlaczego tak się nie stało, odpowiedzieć mi nie trudno. Uważam po pierwsze, że ci sami, którzy w późniejszych czasach publicznie głosili, iż wiedzieli o przygotowaniach ukraińskich

albo sami pogłoskom nie dowierzali, albo chyba byli na tyle małoduszni, iż nie czuli się na siłach, by wywołać zdecydowany ruch zbrojny. Specjalnie mam żal do organizacji P. O. W., która była bezsprzecznie najsilniejszą organizacją z naszej strony, że zaniedbała przygotować akcję na 1 listopada w sposób właściwy i samodzielny i nie odegrała w wypadkach lwowskich takiej roli, jaką obowiązana była na siebie przyjąć i jakiej mogła się podjąć. A tak łatwo było rzecz przeprowadzić. Wszak w biurze ewidencyjnym P. O. W. były adresy wszystkich członków nawet i legjonistów nie należących czynnie do P. O. W. Trzeba się było tylko zdecydować, ale tego właśnie zabrakło. Faktem jest, że w momencie zamachu ukraińskiego i w godzinach bezpośrednio po nim, P. O. W., jako organizacja nic pozytywnego nie działała, a członkowie jej oraz niezrzeszone grupy legjonistów wystąpiły tylko pojedynczo, w sposób rozstrzelony, każdy na własną rękę, nie zaś gromadnie i silnie.

Co do samej organizacji P. O. W. nic konkretnego nie potrafię powiedzieć. Ludzi osobiście mało znałem, a nikomu z „cywilów“, stojących do boju, nie przychodziło wcale do głowy wypytywać się wzajemnie o przynależność organizacyjną. Jak później mogłem się gdzieś niedzie dowiadywać, szczególnie przez ucznia mojego z VIII gimnazjum, członka w P. O. W. Majewskiego, peowiacy nigdzie nie stanowili zwartego oddziału w czasie walk. Wszędzie jednak dali się zauważyć. Byli i w Szkole Sienkiewicza i w oddziale Bema i w Naczelnej Komendzie (kpt. Kudelski), lecz przede wszystkim w Domu Techników, w oddziale Monda, i... w kompanii sztabowej pchor. Selzera Mieczysława. Dowódca ostatniego oddziału chełpił się nieraz później, że przewodzi samym peowiakom i że już w nocy z 31 października na 1 listopada zebrał silne pogotowie w Domu Akademickim. Ta jednak kompanja sztabowa była oddziałem, po pierwsze bardzo nielicznym, po drugie — złożona była z samych chłopców nieletnich, których przeciętny wiek wynosił około 14 do 15-tu lat. Początkowo nie wiedziałem o tem, że to mają być peowiacy, przypuszczałem raczej, że są to skauci, którzy dzięki swej organizacji i chęci nieprzepartej uczestniczenia w bojach, przyjęli na się rolę, do jakiej znakomicie się nadawali, t. j. do służby łączności. Wielką zasługą tego drobnutkiego oddziału, utrzymanego przez dowódcę we wzorowej dyscyplinie,

było nieporównanie szybkie i sprawne przenoszenie rozkazów z dowództwa do oddziałów i meldunków od nich do dowództwa. Ale zasługi tych najmniejszych nie ograniczały się do służby łączności. Wielu z nich przechodziło wielokrotnie przez front na drugą stronę, gdyż dorosłym niepodobna było powierzać, jako budzącym podejrzenie, ważnych pism, podczas gdy małe szkraby, drwiąc z niebezpieczeństwa, umiały się prześlizgiwać przez najpilniej strzeżone pozycje. Wielu z nich uciekało w pojedynkę i grupami na odcinki, gdzie tymczasem porobili znajomości i pod opieką starszych wiekiem, znajomych i przyjaciół zaprawiali się do pełnej roli obrońcy. Około 7 listopada powstał nawet „bunt” w kompanii sztabowej, która domagała się przydziału frontowego, czemu oczywiście uczyniono zadość, i wnet u pozostałych „sztabowców” szereg dawnych kolegów zabłysnął aureolą bohaterskich czynów.

Byli między peowiakami znakomici oficerowie, ale na naczelne miejsce wybił się bezsprzecznie chor. Wasilewski, pierwszy dowódca Domu Techników, któremu niepojętym dla mnie sposobem, w dniu 2 listopada odebrano dowództwo i odkomenderowano na zdobyty przez niego odcinek szkoły Marji Magdaleny, ale i tu później osadzono kpt. Trześniowskiego. Poza tem szereg peowiaków wybił się czynami bojowymi, ale mimo to przez cały listopad nigdy nie słyszałem o jakimśkolwiek wyłącznym oddziale peowiackim.

Jako drugi z kolei czynnik bojowy wymienić muszę legjonistów grupy P. K. P. Jakże były pierwotne zamiary tej grupy, ściśle określić nie potrafię. Nie mając osobistego zetknięcia z nimi, nie wiedziałem, jaka zapadnie tu decyzja, ale przypuszczałem z góry, że los ich z chwilą objęcia władzy przez Ukraińców będzie nie do pozazdroszczenia. O tem, że kpt. Trześniowski już grupuje swoich w Szkole Sienkiewicza z polecenia kpt. Kamińskiego, jako komendanta placu, ani też gdzie ta szkoła się znajduje, jakkolwiek jestem rodowitym lwowiakiem, wcale nie wiedziałem. Pewne ciekawe światło rzuciła mi na tę sprawę krótka moja rozmowa z kpt. Kamińskim, którą miałem około godz. 12-tej dnia 1 listopada w południe na ul. Akademickiej naprzeciw komendy placu, gdy biegłem w myśl rozkazu Mączyńskiego na Zamarstynów i Kleparów, celem zniesienia się na miejscu z dwoma miejscowymi obywatelami, por. Sikorskim

i zdaje się ppor. Tomaszewskim w sprawie zorganizowania tam oddziału bojowego. Otóż kpt. Kamiński, kiedyś mu doniósł, iż z rozkazu Mączyńskiego ma być w ich komendzie placu zorganizowany punkt dla ściągania ochotników, wręcz mi odparł, że Mączyńskiego nie słucha i że ma rozkaz od płk. Sikorskiego Wł. zająć stanowisko wyczekujące, aż do otrzymania odeń rozkazu. W jakiś czas potem doszły do nas plotki, jakoby nawet zamierzał Mączyńskiego, jako samozwańca, aresztować. Niemniej w drugim tygodniu walk pogodził się kpt. Kamiński ze sytuacją i objął dowództwo rezerwy w Szkole Konarskiego, sprawując je w sposób iście wzorowy, zaprowadzając żelazną ręką ład i rygor, którego poprzednicy jego nie potrafili wymagać, a tem mniej utrzymać.

Natomiast inaczej zupełnie od samego początku zachowywał się garnizon Szkoły Sienkiewicza. Nie wiem, kiedy i dlaczego szkoła ta została obraną przez legionistów z pod znaku P. K. P., jako punkt zborny. Fakt sam, że przyjmowali do swego składu każdego, kto zgłaszał się, jako ochotnik do walki, wiele mówi za siebie. Z drugiej jednak strony wybór szkoły położonej na samym skraju miasta w kierunku pld.-zach.,¹ kazałby przypuszczać, że instynkt samozachowawczy nakazywał legionistom z P. K. P. obrać takie stanowisko, z którego najłatwiej możnaby było opuścić Lwów na wypadek, gdyby zaszła tego potrzeba. Ten charakter defensywny tego punktu zbornego, wyznaczonego (możliwe) jeszcze wedle dyspozycji płk. Sikorskiego, który rzekomo miał wiedzieć o zamachu ukraińskim, wobec powolnej zbiórki legionistów, równoczesnego napływu obcych ochotników i zmienionej tymczasem sytuacji bojowej nie został nietylko podtrzymany, ale, co na karb wielkich zasług garnizonowi Szkoły należy poczytać, przez działalność samej załogi nie był ani razu zadokumentowany. Naodwrot, tutaj najwcześniej owiana była cała załoga duchem bojowym i jej bezsprzecznie należy się niespożyta zasługa wywołania na bruku lwowskim zorganizowanego odporu i rozpoczęcia działań ofensywnych. Mam wrażenie, że gdyby nie ostoja w Szkole Sienkiewicza, wszelkie zamierzenia Naczelnej Komendy u samego progu utknęłyby niewątpliwie. Przedewszystkiem, jak to później zobaczymy, jej to zawdzięczać należy, że możność zdobycia magazynu i uzbrojenia coraz liczniejszych oddziałów dała się w czyn wprowadzić.

Niemniej załoga Szkoły Sienkiewicza, jakkolwiek ciągle wzmagająca się liczebnie, przecież do samego końca swego charakteru legionowego nie utraciła, ale naodwrot — rzecz symptomatyczna — w pewnym momencie podkreśliła w sposób bynajmniej nie zdrowy punkt widzenia swego komendanta głównego tj. kpt. Kamińskiego. Oto, gdy w dniu 2 listopada wieczorem kpt. Trześniowski otrzymał rozkaz odejścia do Rzęsny Polskiej, celem opanowania tam kadry artyleryjskiej, z momentem tym wypowiedział posłuszeństwo Komendzie Naczelnej, zasłaniając się widocznie stanowiskiem wyczekującym kpt. Kamińskiego. Dopiero na wiadomość, że kpt. Mączyński zagroził aresztowaniem kpt. Trześniowskiemu, ten ostatni zjawił się w Komendzie i tu z powyższego kroku się usprawiedliwił.

W ten sposób legioniści P. K. P. jakkolwiek liczbą nieliczni, przecież jedynie z całej grupy legionowej, jako zwarta całość umieli swój charakter podkreślić i aż do końca walk listopadowych go utrzymać. Jak wykazy obsady początkowej Szkoły Sienkiewicza stwierdzają, była to grupka bardzo nieliczna, bo obejmująca wszystkiego tylko 32 nazwiska, a przecież i ta liczba wystarczyła, by zdobyć się na decyzję. Fakt to tem smutniejszy, iż P. O. W. rozporządzające liczniejszym materiałem ludzkim, a pod względem bitności jednostek bynajmniej obsadzie sienkiewiczowskiej nie ustępujące, przecież rozproszyło swą działalność w sposób niemal niewidoczny, nie wytrzymując porównania ze swymi kolegami legionowymi.

Trzecim elementem materiału bojowego to byli b. legioniści, którzy będąc członkami czynnymi względnie nieczynnymi P. O. W., ideowo najzupełniej z P. O. W. się łączyli, jedynie z najrozmaitszych względów, zazwyczaj z powodu przeciążenia pracą zarobkową w trudnych warunkach ówczesnych pozostawali na uboczu. Do pierwszej grupy należeli: por. Świtalski Kazimierz, ppor. Rutkowski, ppor. Ołowski, ppor. Zygmuntowicz, por. de Laveaux i kilku innych, do drugiej, do której i sam należałem, mjr. Śniadowski, kpt. Pieracki, por. Łapiński, por. Ajdukiewicz, por. Schwarzenberg - Czerny i reszta szeregowych, licząca do kilkudziesięciu jednostek. Bez kwestji grupa ta przedstawiała wartości poważne. Każdy bowiem oficer frontowy Legjonów już od roku 1915 z własnej ochoty i ambicji, a od roku 1916 i z urzędu był ćwiczony w służbie dowództw wyższych, aniżeli sam sprawował.

Co prawda, jedynie Łapiński przeszedł formalnie trzymiesięczny kurs sztabowy wedle wzoru niemieckiego w Warszawie, ale byli i inni, którzy z całym zapałem oddawali się studjom strategicznym i taktycznym, czytając Balka, Grippenkerla, Immanuela, Conrada v. Hötzendorfa, jak też badaniom organizacji wojska, administracji i różnych działów służb. Było to bowiem wprost cechą oficera legionowego, że obdarzony zaufaniem sprawowania kierownictwa nad oddaną sobie jednostką taktyczną, starał się wybić w szlachetnej emulacji w stosunku do swych współtowarzyszy; z pełną gorliwością oddawał się on studjom wojskowości, co pozwalało mu niejednokrotnie za czasów legionowych, a zwłaszcza później we współpracy z oficerami sztabowymi, pochodzącymi z armij zaborczych, zjednywać sobie głębokie uznanie dla erudycji wojskowej, jakiej przeciętny oficer rezerwowy armij zaborczych w przybliżeniu nawet nie wykazywał. Tem mniej mogła mu dorównać lub zastąpić go szablonowa rutyna oficerów zawodowych. Szczególniej w operacjach bojowych, tam, gdzie była potrzebna szybka i jasna decyzja, a przede wszystkim tam, gdzie tylko ryzyko odgrywało rolę, tam górami zawsze byli oficerowie legionowi — i nic dziwnego, że bez względu na sprawowane funkcje rychło zaczęli się wybijać na naczelne niemal stanowiska bezpośredniością i doniosłością swych czynów, a nie protekcją i sprytem. Trzeba bowiem pamiętać o tem, że legioniści wogóle odznaczali się zawsze duchem inicjatywy, łatwo umieli się dostosowywać do sytuacji nawet bardzo niepomysłnych, podczas gdy wielu oficerom austriackim nie mogło się w głowie pomieścić, jak można zaczynać walkę z przeciwnikiem zorganizowanym, uposażonym w broń i amunicję i rozporządzającym gotowym aparatem administracyjno-technicznym.

Fakt ten dostatecznie tłumaczy, dlaczego w akcji obrony Lwowa tak skromną rolę odegrały jednostki wchodzące w skład armii austriackiej. Niemniej część wielka należy się tym wszystkim, którzy specjalnie rekrutując się z grupy oficerów zawodowych, umieli przełamać swoje obawy przed gerylasówką, zwłaszcza jeśli się przy tem uwzględni, że wcale nie należeli do żadnej z tajnych niepodległościowych organizacji. Zaiste, przypuszczam, że przełamanie się tych ludzi, by poddać się nowym stosunkom i nowym dowódcom, używającym zazwyczaj pseudoni-

mów, wśród ustawicznie i wszędzie szerzącej się samowoli, gdy podoficer mianował się oficerem, a co drugi oficer przynajmniej o jeden stopień podwyższał swą godność, musiało ich dużo wewnętrznej ofiary kosztować. Jeśli tedy w takich dniach, dla zawodowych oficerów wprost obłądnych, szereg z pośród nich zdecydował się z nami współpracować, to dowodzi, że przecież odezwały się w nich silnie nuta patriotyczna i głos bezinteresownego oddania się Sprawie. Dlatego to uważam, że chociaż nieco spóźnili się, to jednak zadokumentowali aktem dobrej woli swój współudział i zasługują na to, by ich nazwiska imiennie podać. Są to: kpt. Kmita-Stasiniewicz, kpt. Korwin-Łodziński, rtm. Machalski, kpt. Majewski, rtm. Pomian-Cieński, por. Sokołowski, z rezerwowych por. Bujalski, por. Zborzil-Mirecki, Bergman, Bieńkowski, Mossoczy, Brzozowski, Mond, Abraham, Schramm, Nittman i cały szereg niższych stopni aż do szeregowych. — Podkreślić muszę, że we Lwowie przebywali podówczas i generałowie, oficerowie sztabu generalnego i szereg oficerów sztabowych, których pomoc fachowa byłaby niezmiernie się przydała. W takich stosunkach zmuszona była Komenda posługiwać się ze względu na doraźną potrzebę surogatem władzy, formowanej naprędce z ludzi, którzy w wojsku nigdy nie służyli, a o obowiązkach swych dopiero mieli się od niektórych swych kolegów informować. Do tego jednak osobno wrócimy. Narazie chodzi mi jedynie o wyjaśnienie, jakie grupy wchodziły w skład obrońców Lwowa. Otóż wszyscy ci wysocy sztabowcy, — mam wrażenie, — wobec dylematu tego, co robić: oczekiwać biernie, jak to ich koledzy rosyjscy wobec bolszewików robili, czy też przyłączyć się do „bandy“, która mobilizowała „motłoch polski“, zdecydowali się raczej czynnego udziału nie brać, lecz wyczekiwać dalszych wypadków. Przypominam sobie między innymi, że we Lwowie byli w tym czasie gen. Lamezan-Salins i płk. szt. gen. Thullie, podobno obłożnie chory. Grupa ta najwybitniejszych fachowców w niczem, ale to literalnie w niczem ręki do Sprawy nie przyłożyła. O ile zaś, ktoś z tych ludzi się zgłaszał, to nie do akcji bojowej, nie do komendy, gdyż nie czuli się na siłach, by wziąć na siebie odpowiedzialność za beznadziejność ryzyka, ale tylko do służb pomocniczych.

Na pierwszym miejscu jako ochotnika, który już w dniu 4 czy też 5 listopada do nas się zgłosił, wymienić muszę płk.

Pirgo, któremu też niebawem oddaną została komenda żandarmerji. Staruszek ten, nie nadający się już do służby frontowej, starał się służbę pełnić jak najlepiej, a że nasiąkł systemem dla naszej sytuacji i czasu nieodpowiednim, to nie można go winić z tego powodu, lecz raczej podnieść należy fakt jego przystąpienia. Drugim z kolei był mjr. żand. austr. Hoszowski, człek bardzo sprytny, obrotny, fachowiec doskonały, umysłu żywego i łatwo dostrajającego się do zmienionej sytuacji, który użyty w charakterze zastępcy płk. Pirgo, stał się de facto komendantem żandarmerji, co zresztą jemu, jako oficerowi miejscowego garnizonu żandarmerji, przyszło bardzo łatwo. Dalej muszę wymienić płk. Jasińskiego, obdarzonego przewodnictwem w komisji poborowej, osobistość wielkich cnót obywatelskich i przykładowych, niemal wzorowych zasług na polu sumiennego traktowania swych obowiązków. Wreszcie jako organizatora taborów wymienić należy mjr. Siarkiewicza.

Wszyscy ci oficerowie, jakkolwiek stanowili elitę swej grupy, przecież do akcji bojowej użyci być nie mogli. Taki płk. Pirgo w momentach popłochu, o ile pamiętam, dwukrotnie spalił doszczętnie wszystkie papiery dowództwa żandarmerji, która ówczasie mieściła się na ul. Chocimskiej, gdzie równocześnie było i więzienie śledcze, obóz internowanych i jeńców, a raz (zdaje się 7 listopada) zbiegli i jeńcy z braku dozoru przy ogólnem zamieszanu, jakie zapanowało w żandarmerji, przyczem komenda jej bodaj pierwsza straciła „głowę“. Jeżeli jednak to podnoszę, to nie poto, by dyskredytować poświęcenie tych ludzi, którego wielkość w pełni uznaję i podkreślam, ale dlatego, iż to byli, mojem zdaniem, najlepsi, najofiarniejsi z pośród tej kategorii osób, jacy się w listopadzie we Lwowie znajdowali. Mam najgłębsze wrażenie, że gdyby zwyczajny oficer sztabowy znalazł się w owym czasie na ul. Grunwaldzkiej, gdy zewsząd dochodziły alarmujące, wprost popłoch wywołujące meldunki, nie wytrzymałby z nerwami, ale postąpiłby tak, jak jeden z moich znajomych porucznik artylerji austriackiej, który, gdym go namawiał o przystąpienie do nas, takie pytanie mi zadał: Ile armat? — Ani jednej. Ile karabinów maszynowych? — 5 (o ile pamiętam). Ilu was? — Dwustu. — Do widzenia. Lub postąpiłby tak, jak jeden z kapitanów austriackich, narodowości Chorwat (nazwiska nie pamiętam), który został nam polecony (nie pamiętam już

przez kogo), jako fenomenalnie dzielny i przedsiębiorczy oficer. Przydzieliłem go do dowództwa w owym czasie (6 albo 7 listopada) poważnie zagrożonego odcinka por. Bujalskiego wobec rozpaczliwych meldunków tego ostatniego, iż składa natychmiast komendę, o ile posiłków nie dostanie. Ponieważ ostatnie grupki, jakie udało się nam wyciągnąć z innych odcinków, zostały już odkomenderowane, posłałem mu owego kapitana z pisemnym rozkazem, że ostatni zostaje mianowany zastępcą por. Bujalskiego i służyć mu ma pomocą. Dla skontrolowania, jak się sytuacja na odcinku naprawdę zagrożonym przedstawia, udałem się do Domu Techników i tu miałem sposobność przekonania się na własne oczy, co znaczy „odwaga“. Nasz Chorwat zameldował mi, że dalszy opór jest niepodobieństwem i że on w tych warunkach przeciw przeważającemu nieprzyjacielowi nie podejmuje się prowadzić zadania. Nie potrzeba chyba dodawać, że po zwolnieniu go z „beznadziejnego“ zadania, trzeba było por. Bujalskiemu wytłómaczyć, że sił więcej uzyskać nie może i że jako dowódca musi się opanować. Rzeczywistość zaś pokazała, że sytuacja beznadziejna zamieniła się niebawem na różową i z otuchą pewną pozwoliła w przyszłość spoglądać.

Jeżeli te dwa obrazki, może trochę naiwnie opowiedziane, ilustrują nam, że sytuacja, w jakiej znajdowały się oddziały walczące, była nieraz doprawdy rozpaczliwa, a jedynie decyzja właściwa jednostkom zdeterminowanym uratowała ją, to celem ich jest stwierdzenie, dlaczego sztabowcy nie chcieli i nie mogli podejmować się prowadzenia akcji bojowej. Oto przewidywali oni, jako ludzie doświadczeni i przezorni, że sytuacja oddziałów walczących będzie nieraz tragiczna, woleli tedy albo w zupełności się uchylić od ciężaru brania na się odpowiedzialności, albo też ograniczyć się do mniej szarpiącej nerwami i mniej niebezpiecznej służby tyłowej.

Tyle słów oceny o oficerach służby austriackiej. O innych, jak o dzielnym ppor. Sas-Świstelnickim względnie o płk. Jasińskim mówić nie można, jako o oficerach służby rosyjskiej obszerniej (o ostatnim była zresztą mowa w związku z charakterystyką oficerów sztabowych), gdyż pojedyncze te jednostki nie stanowiły u nas żadnej grupy.

Z umysłu niejako zostawiłem na sam koniec kwestję dotychczas nie poruszaną, a mam wrażenie bardzo ważną. Chodzi

o rolę, jaką na gruncie powstania lwowskiego odgrywała organizacja: Polskie Kadry Wojskowe, których jak wiadomo komendantem okręgowym, czy też naczelnym był kpt. Mączyński. Dziwną chmurą tajemnicy jest ta organizacja po dziś dzień otoczona. Nie znam ani jednej choćby pobieżnej wzmianki w literaturze poza dziełem Mączyńskiego, co by to była za organizacja, na czym polegała, jakie były jej zadania, jaka liczebność, na czym polegała jej akcja organizacyjna itd. Podczas gdy wszystkie inne dawniej tajne, a później w glorii wielkich czynów chodzące organizacje dla prostej słabości ludzkiej jeły zwarciej i jednolicej przy każdej sposobności występować, dokumentując przynależność poszczególnych osób do niej, podczas gdy inne grupy zamieniły się w towarzystwa o charakterze bratniej pomocy czy też zbliżonym, gdy starały się uwidocznic zapomocą specjalnych odznak honorowych i członkowskich, gdy oparły się na legalnych, publicznie znanych statutach, to o ile chodzi o P. K. W. tak jak była dawniej tajną, nieznaną organizacją, taką i do dziś dnia pozostała.

Jeżeli wogóle P. K. W. istniały, to musiały chyba być sła-
biutkim zawiązkiem, który nie miał sił, by zaważyć liczebnym swym udziałem na losach akcji listopadowej. Stwierdzam stanowczo, że nie słyshałem od nikogo, by należał do organizacji P. K. W., a pierwszy raz wogóle o niej dowiedziałem się z ust samego kpt. Mączyńskiego. Mianowicie kiedy dnia 4 listopada pisałem zawiadomienie do Przemyśla o sytuacji lwowskiej, kpt. Mączyński w ustępie: „Dzięki wybitnej i ofiarnej odwadze i wytrwałości b. legjonistów, Polskiej Organizacji Wojskowej“, osobiście dopisał i „Polskich Kadr Wojskowych“. Z miejsca oczywiście zaremonstrowałem, ale... bez skutku.

Przedstawiwszy udział poszczególnych organizacji wojskowych w akcji obrony Lwowa, przejdę z kolei do omówienia sprawy, jak zachowały się poszczególne grupy mieszkańców Lwowa narodowości polskiej. Sprawa ta również ważna mojem zdaniem, dotąd najfatalniej jest postawiona.

Jedynym źródłem, jakie posiadamy, co do stwierdzenia przynależności bojowników o polskość Lwowa są listy strat ogłaszane w „Pobudce“, jedynym organie polskim ukazującym się we Lwowie, a opracowane przez referat sanitarny Nacz. Kmdy. Listy strat są znakomitym sprawdzianem składu jakości-

wego oddziałów bojowych. Po nich moglibyśmy się zorientować, do jakiej organizacji względnie grupy społecznej należał dany zabity, czy ranny. Niestety listy te nie wykazują dostatecznie wyszczególnionych rubryk, a nader często jawiące się słowo „leg“ jest błędnie użyte, gdyż szereg ochotników, którzy nigdy w legionach nie służyli, wymieniono jako takich. Niemniej ten supremacyjny charakter legionowy utrzymywał się stale. Zarówno i Komenda ukraińska w pismach swoich i raportach sytuacyjnych nazywała powstańców „polski legjonery“, do szeregów „legjonowych“ wzywały odezwy np. Komitetu Obywatelskiego VI Okręgu miasta Lwowa, nawet sam dowódca kpt. Mączyński zaznaczał dominujący wpływ Legjonów, umieszczając na pierwszym miejscu działalność b. legionistów. Niemniej stwierdzić należy, że napływ cywilnych ochotników był znaczny i wnet zadecydował on o ogólnym charakterze mas wojskowych.

Zorientować się na miejscu o przynależności poszczególnych osób było wprost niemożliwością. Wojskowi austriacy bowiem z reguły pozrzucali dystynkcje, a nawet przebierali się w ubrania cywilne. I podczas gdy Ukraińcy tylko w początkowych dniach posiadali jeszcze rekruta nieumundurowanego, to u nas odwrotnego rodzaju zjawisko dało się zauważyć. Można powiedzieć, że przez dwa tygodnie walk, mundur stawał się coraz większą rzadkością, a z dystynkcjami oficerskimi pojawiali się najczęściej osobnicy, podszywający się tylko pod szarzę oficerską. Dopiero, gdy intendentura, względnie w poszczególnych oddziałach magazyny mundurowe zaczęły działać, poczęto coraz powszechniej upodabniać się do regularnej armji. Niemniej aż do czasów odsieczy w oddziałach lwowskich przeważnie panował cywilny ubiór. Gdzie niegdzie tylko mundur, specjalnie oficerów legjonowych, jakkolwiek z tego powodu najbardziej narażonych na zawziętość wroga, dawał się spostrzec.

Jeżeli podkreślam ten szczegół, to czynię to dlatego, iż z tego właśnie powodu na miejscu niepodobna było zorientować się o przynależności danej jednostki do rodzaju armji i stopnia w niej posiadanego. Cała organizacja ówczesna polegała na zaufaniu w sprawność dowódców i nikt nie pytał, czy ktoś jest oficerem, jakim i jakiego stopnia, ale każdy miał możność wybicia się lub pójścia w cień dzięki osobistym zaletom lub wadom bojowym.

Dokoła przedsiębiorczych jednostek gromadzili się również zdecydowani ochotnicy i tak tworzyły się placówki i nowe ośrodki walki. O szarżę nikt nie pytał. Chodziło o decyzję i zaufanie. Tak w Domu Techników dowództwo obejmuje wspomniany już dzielny peowiak Wasilewski, którego później kpt. Mączyński w sposób zgoła niewłaściwy, a dla sprawy szkodliwy zastępuje por. Bujalskim, zresztą za niemałą zgodą por. Łapińskiego. Takim był kapral ułanów Beliny, Ludwik Kopeć, który pod pseudonimem kpt. Wiktor nieraz dał się po-
tężnie we znaki Ukraińcom. Komenda wypadki takie tolerowała zrazu z różnych względów.

Po pierwsze sama powstała aktem samozwańczym, nie miała więc moralnego prawa występować przeciw tym, którzy brali na siebie inicjatywę i odpowiedzialność nie tylko osobistą, ale zbiorową za grupę przez siebie organizowaną. Metoda ta zresztą dała wyniki dodatnie, gdyż szeregi oficerów wyższych stopni szedł nieraz dobrowolnie pod komendę niższego, nie przeceniając słusznie swej siły moralnej na wzięcie na swe barki trudnej i ciężkiej roli dowódcy odcinka. Dopiero w czasach późniejszych, w czasie gdy organizacja zaczęła się ustalać, sanacja stanowisk i weryfikacja stopni, zarządzona przez Komendę, przeprowadzana przeze mnie osobiście, dała szybko wyniki pozytywne. Takie „oczyszczenie“ było konieczne i uzasadnione, ale musiało też w następstwie pozbawić komend wielu ludzi zasłużonych, a podstawić na ich miejsce osobistości nowe, na firmament Lwowa występujące dopiero teraz, ale posiadające stopień i rutynę. Losom tym uległy nie tylko dowództwa odcinków od najniższych do najwyższych, ale i sama Komenda Naczelną podzieliła ten los. O tych rzeczach jednak później.

Powtórne powierzenie komuś jakiejś placówki nie było równoznaczne z nominacją na oficera danego stopnia, ale było to powierzenie funkcji trudnej zazwyczaj jednostce, która dotychczasową działalnością stanowisko to sobie zdobyła i tylko przez Naczelną Komendę została w tej roli zatwierdzona, rzadko zaś przez nią nominowana zgóry. Po trzecie funkcje te nie były płatne. Żadnych lukratywnych korzyści dowódca taki nie czerpał ni z kasy, ni z magazynów, a jedynie rosła jego sława i jego grupy, zależnie od czynów bojowych.

Z jakich tedy elementów rekrutowała się cywilna część załogi obrony Lwowa? Przez rozważenie tej sprawy dojdziemy wreszcie do ściślejszego określenia, jaki był czynny współudział społeczeństwa lwowskiego w akcji oswobodzenia.

Oczywiście nie będę tu poruszać spraw związanych z organizacją władz cywilnych dawnych i nowowytworzonych w polskim i ruskim Lwowie, ani też ich stosunku do akcji bojowej na terenie Lwowa, ni w szczególności ich stosunku do Naczelnej Komendy. Tutaj chcę jedynie ograniczyć się do stwierdzenia, jakim grupom społecznym przypada w udziale świetlana rola obrońcy. Rzecz to opiewana w bogatej literaturze, pełnej podziwu i uwielbienia dla cywilnych bohaterów, dla młodocianych Orląt i Orlic, stanowiącej przecież bodajże najmniej krytyczną ze wszystkich opinii, jakie w tym czasie tak masowo wybujały na temat tego wielkiego porywu.

Podzieliłbym całą tę grupę ludności lwowskiej, która czynny wzięła udział w akcie obrony na świat urzędniczy, ogólniej inteligencję, młodzież akademicką, uczniów szkół średnich, wydziałowych i zawodowych, kolejarzy, robotników, wreszcie coś specyficznie lwowskiego, ów pogardzany motłoch uliczny, owych słynnych baciarzy lwowskich. Należałoby tu wreszcie zaliczyć i ludność niektórych gmin podmiejskich.

Ewidencji obrońców Lwowa, podobnie jak archiwum listopadowego, jak wiadomo, niema. To co Dowództwo brygady lwowskiej kazało zarządzić w formie szczegółowych spisów, gdzie w szeregu rubryk ujęto sprawy ewidencyjne, to wszystko — rzecz nie do wiary — zostało po odejściu brygady lwowskiej podobno przez władze etapowe niemal doszczętnie zniszczone. Pozostają tedy jedynie zapiski poszczególnych dowództw, które tylko wyjątkowo dochowały się do naszych czasów; jedynie z racji odznaczeń Krzyżem Obrony Lwowa i założenia Związku Obrońców Lwowa będzie można oczekiwać, że na podstawie zeznań świadków dałoby się w przyszłości zebrać daty potrzebne. Tak, jak dziś rzecz się przedstawia, pozostają żywe dowody widoczne w czasie uroczystości corocznych, jakie Lwów odświętnie obchodzi na cześć wielkiego Czynu. Przegląd ten wprawdzie jest naocznym, ale mało przekonującym dowodem, gdyż biorą w nim udział liczne, bardzo liczne jednostki, które w czasie obrony żadnej, albo nawet i ujemną rolę odgrywały,

a na drugi plan spycha się najzasłużeńszych z zasłużonych — ów pogardzany, nie zorganizowany, szary tłum podrostków i dzieci niemal, o którym chętnie dużo pięknych mów się głosi, ale którego realnie, ni osobowo nikt uczcić nie potrafi.

Jeśli chodzi o świat urzędniczy, to muszę tu z prawdziwą przykrością stwierdzić, że ta elita narodu, ten duchowy przewodnik społeczeństwa, inteligencja miejska naogół zawiodła. Taki radca Orobkiewicz, bankowiec Kielbusiewicz i kilkunastu innych, są to zaiste prawdziwe wyjątki. Ogół inteligencji nie szedł stanowczo w pierwszym rzędzie obrońców. Zaprawdę „grypa“ nigdy tak ostro na terenie Lwowa nie grasowała i to właśnie między mężczyznami, jak wtedy. Zaledwo tu i ówdzie spotykało się, jako żołnierzy, przedstawicieli z tej warstwy. Natomiast stosunkowo jeszcze najliczniej i najofiarniej wystąpiło nauczycielstwo szkół średnich i wyższych. Nazwiska tych wychowawców, świecących przykładnym wzorem, winny przejść do historii szkolnictwa polskiego. Na pierwszym miejscu należy tu wymienić takich, jak: A. Łomnicki, uczestnik zapasów o dyрекcję kolejową, Adam Cehak (A. Stodor) w Szkole Kadeckiej, M. Prószyński, czy wreszcie prof. uniwersytetu A. Skałkowski.

Dodajmy, że w samym sztabie Dowództwa, nie wyłączając osoby komendanta naczelnego, było kilku nauczycieli gimnazjalnych. Fakt ten wyjaśni nam poniekąd zjawisko, dlaczego z pewnych ośrodków szkolnych, jak z VIII realnego gimnazjum lub II szkoły realnej młodzież tłumnie napływała do nas. Również trzeba podkreślić liczny, niemal zespołowy charakter wystąpienia profesorów i docentów politechniki. Ludzie ci, co prawda nie bojowe, ale organizacyjne głównie w referacie technicznym oddali nam niespożyte usługi, a na pierwszym miejscu należy wymienić profesorów: Bartla, Anczyca, Lutze-Birka i Rechowicza.

Sfery inteligencji ratował wybitnie współudział kobiet. Kobieta wywarła w obronie Lwowa rzeczywiście bardzo wydatną rolę. I to nie tylko w charakterze sanitariuszki i kucharki, co byłoby zgóry do przewidzenia, ale, co stanowi nader charakterystyczną stronę walk lwowskich, także i w charakterze czysto żołnierskim, w służbie frontowej z karabinem w ręce. Fakt ten podnosił bitność naszych oddziałów niepomniernie. Sama obecność kobiet na placówkach działała w podniecający sposób na młodocianego żołnierza, a jeśli się uwzględni jeszcze nic gorętszej

sympatji, jaka się zawiązywała w obliczu śmierci między obu stronami, to fakt ten działał nieraz niewiarygodnie, zamieniając młodych ludzi w prawdziwych bohaterów. Oczywiście takie wzajemne pożycie miało i swe złe strony, to też w późniejszych czasach przystąpiono do wyodrębnienia oddziałów kobiecych, ale zarządzenie to spotkało się z niezmiernie ostrą opozycją i parę tygodni trwała walka między komendą a oddziałami, które nie chciały się pozbawić swych dotychczasowych 33 towarzyszek broni.

Niemniej naogół współudział inteligencji nie był takim, jakby należało oczekiwać. Wielu gorących kiedy indziej „patryotów” kładło się na cały okres walk listopadowych, jako obłożnie chorzy na łoża boleści, a specjalnie wtedy, gdy wysłannicy komisji poborowej pukali do drzwi mieszkań. Największą jednak szkodę mojem zdaniem, przyniosło na terenie polskiego miasta formowanie milicji obywatelskiej, do której skwapliwie zaciągali się ci, co winni byli stawać do służby frontowej, a i tu niechętnie tylko spełniali obowiązki. O samej jednak organizacji milicji będę oddzielnie mówić, tu tylko zaznaczę, że jej olbrzymia ilość, zgrupowanie w obozy kontrolujące się nawzajem, pilnie funkcjonujące w zakresie korzystania z przywilejów przy zdobywaniu prowiantów, szerzeniu plotek popłochowych, wszczynające alarmy niepotrzebne, wszystko to składało się na to, że milicja mniej była potrzebna, niż to sama przypuszczała. Ot, straszdyło chochoła odżyło w tem środowisku najsilniej, by mącić myśl ofiarną. Stworzono organizację rzekomo militarną, a w rzeczywistości służącą za azylum ludziom, którzy bali się linii bojowej. Prawda, nazewnątrż te nieporozumienia mało dawały się odczuwać, oficjalnie milicja jako tako funkcjonowała; ale osobiście pozostając u steru władzy, od której troska o spokój, bezpieczeństwo i ład ostatecznie zależały, mogłem nabrać nieprzychylniej opinii dla tej grupy społecznej, która milicję tworzyła. Przy tem wszystkiem pragnę tu zaznaczyć, że te tarcia i zgrzyty dochodziły do oddziałów bojowych i te z pewnem odczuciem wyższości i niezależności spoglądały na zapobiegliwych o swój żywot milicjantów.

Inny zgoła element — to młodzież szkół wyższych. To bezsprzecznie, o ile chodzi o ofiarę krwi, zasadniczo i bezwzględnie zawsze i wszędzie najgorętszy, najaktywniejszy element w każdym społeczeństwie. Przypuszczam, że naogół i w wy-

padkach lwowskich zachował się on z należytą godnością. Tu szukano (w Domu Akademickim) oparcia wieczorem 31 października. Tu liczono na doraźną pomoc akademickich organizacji, jakkolwiek z obawy o zdemaskowanie Domu nie chciano go użyć na siedzibę dowództwa, nawet w pierwszym momencie po owładnięciu Lwowa przez Rusinów. Wszelkie wreszcie tajne organizacje, jak P. O. W., czy Wolność opierały się w znacznej części na elemencie akademickim.

A przecież młodzież uniwersytecka ani nigdzie zbiorowo nie zaznaczyła swego wystąpienia, ani też w sposób masowy nie skoncentrowała się nigdzie. Jednym z powodów oczywiście był fakt, iż ośrodki pierwszych naszych akcji rozgrywały się na terenie odległym od Domu Akademickiego, który później w ruskim Lwowie mógł jedynie odgrywać rolę pewnej, coprawda ostrożnej centrali rezerw, jako bądź co bądź narażony na rewizje ukraińskie.

Natomiast niepoślednią rolę odegrała młodzież Lwowskiej Politechniki. W owym czasie odbywał się w Domu Techników przy ul. Issakowicza zjazd młodzieży niepodległościowej ze wszystkich ziem polskich. Zjazd ten ujął pełną inicjatywę w swe ręce i stworzył cudowne, niezapomniane swą działalnością ognisko ruchu bojowego. Tu skupiła się ochoczo młodzież politechniczna, zapalczywa i odważna; Wasilewski, człek cichy i zdawałoby się spokojnego serca, w rzeczywistości o lwiej determinacji i niezwykłej sile woli, jak i Denhoff-Czarnocki, — to główni działacze na tym terenie. Ośrodek ten po akademicku zorganizowany, ruszył wnet z całym impetem na nieprzyjaciela i gdyby zarządzenia późniejszej Naczelnej Komendy były trafne, to wnet na tym odcinku — mam to najgłębsze przekonanie — zapanowałaby inna sytuacja. Specjalnie odebranie komendy chor. Wasilewskiemu uważam za błąd poważny Naczelnej Komendy.

Trzecim ośrodkiem, o którym tylko pośrednio i to później mogłem się dowiedzieć, była młodzież dublańska, która pozostawała zrazu na miejscu w Dublanach pod komendą por. leg. Ajdukiewicza, później zaś zasiliła specjalnie Dom Techników. Bliższych jednak szczegółów w tym względzie podać nie mogę.

Bezwątpienia, stworzenie tak silnej reduty, jaką był Dom Techników, działać musiało i działało rzeczywiście, jak iskra elektryzująca, napawając serca wątpiących dumą i nadzieją, za-

chęcąc wahających się do wstępowania w szeregi i przypominając specjalnie byłym wojskowym o ich obowiązku. I tu muszę podkreślić, że w początkowym okresie obsada Domu Techników bodaj, że nie poznała munduru żołnierskiego, a przecież z całą ofiarnością krwi wystąpiła.

Inaczej miała się rzecz z młodzieżą szkół średnich i powszechnych. Wprawdzie i tu działało P. O. W. jako ośrodek koncentrujący. Niemniej masa ta mnoga i najróżnorodniejszego typu, składająca się przeważnie z podrostków i dzieci nawet, żadna silnych wzruszeń, nieopatrna a przemyślna, żyjąca duchem harcerskim, w lot umiała znaleźć się w sytuacji i przynieść korzyść nieraz pierwszorzędną. Znakomici wywiadowcy, łącznicy noszący meldunki, raporty i rozkazy w sposób nieporównanie szybki, ochoczy, pełen werwy młodzieńczej, znający ze swych robinzonad wszystkie zaułki i skrytki macierzystej dzielnicy, stanowili materiał wprost nieoceniony. Był to element, co prawda, mało uchwytny, początkowo nie dający się w karby potrzeb wojskowych uchwycić, ale zato pełno go było wszędzie, zawsze był „pod ręką“, czy to w komendach, czy w oddziałach bojowych, rezerwie, magazynach, czy gdziekolwiek bądź. Tu przynosił amunicję, tam żywność, tu gdzieś znalazł porzucony karabin, tam donosił o ukrytych zapasach broni czy nawet pozycji ukraińskiej. Wszędzie go było pełno, wszędzie starał się dotrzeć, to też nic dziwnego, że Ukraińcy z taką zawziętością ścigali tych malców, mszcząc się nieraz doraźnie na miejscu przewinienia. Starsi brali udział z całym zrozumieniem ważności zadania w akcjach bojowych, jak długo im siły i zdrowie dopisywało. Wiele rozczulających do łez obrazków, wiele hartu i poświęcenia ponad wątpliwe siły już dotychczas literatura nam utrwaliła, a wiele, wiele cichego bohaterstwa pozostało i pozostanie na wieki pokryte głęboką tajemnicą, której żywi świadkowie już czczą ciekawością nie potrafią naruszyć.

Podobnie jak ich starsi koledzy z ławy uniwersyteckiej, tak i młodzież szkół średnich miała swe organizacje z ramienia P. O. W. Znam bliżej jedną z nich, którą prowadził późniejszy chorąży Majewski, ówczesnie uczeń VIII gimnazjum realnego we Lwowie. Nie było to chyba przypadkiem, że młodzież tego gimnazjum, jakkolwiek zamieszkała w dzielnicy odległej od ośrodków walk listopadowych, przecież narówni ze swymi nauczy-

cielami, wydatnie zapełniła nasze szeregi. Lista ofiar walk lwowskich z pietyzmem zebrana przez dyrekcję tegoż gimnazjum dowodzi, że zastęp jej wychowanków, którzy bez namysłu poszli spełnić narodowy obowiązek, był bardzo mnogi. Śp. Haluza, Hayder, Osmólski, R. Feldstein, to nazwiska, które naprędce zdołałem sobie przypomnieć, a za nimi długi szereg rannych, lżej i ciężiej... Wszystko dobrzy znajomi, serdeczne chłopaki, gotowe za swym profesorem - legionistą pójść choćby do piekła.

Inne szkoły w przybliżeniu nawet nie dały tylu ochotników, ani IV gimnazjum, ani filja na Chocimskiej, może II realna tworzyła pewien wyjątek, choć właśnie na ich terenie krwawe zapasy się rozgrywały.

Znaczną część młodzieży, głównie peowiaków skupił w kompanji sztabowej pchor. Selzer-Sieleski, który trzymając ją w wojskowej dyscyplinie, co pewien czas wypuszczał grupki ochotników na front po przejściu szkoły rekruta, które na odcinkach okazały się materiałem znakomitym pod względem moralnym. Nieraz zresztą w obrębie samej komendy mieli nasi chłopcy sporo okazji do popisu bojowego. Tak np. 3 listopada w południe, gdy ukraińskie kompanje zwartemi kolumnami forsowały przejście z miasta na Dom Techników, nasi skauci dzielnie prażyli ich bezpośrednio z ul. Nabelaka 22, przyprowadzając o znaczne straty i ucieczkę w popłochu. Kiedyindziej (w nocy z 7 na 8 listopada) pluton najstarszych z kompanji sztabowej, wysłany na pomoc grupie kpt. Boruty, zdobył na nieprzyjacielu 4 armaty i dowiózł je w triumfie przed naszą Komendę.

O roli młodzieży ze szkół Kordeckiego, Marji Magdaleny, kolejowej, Sienkiewicza i Konarskiego, nie mam żadnych wiadomości. Przypuszczam, że dowództwa odcinków mogłyby coś interesującego powiedzieć o współpracy z ciałami nauczycielskimi i młodzieżą tych zakładów.

Ze zrzeseń zawodowych na pierwszym miejscu musimy wymienić personel miejskiej kolei elektrycznej, który za przykładem swych inżynierów, a przede wszystkim nieodżałowanego ideowca dyr. śp. Tomickiego, gremjalnie pośpieszył z jednej strony z pomocą czynną w pole, z drugiej garnął się masowo do służby technicznej. Odcinki wschodnie, jak Cytadeli i Szkoły Kadeckiej miały szereg konduktorów tramwajowych w swym składzie. Rzecz to zrozumiała. Dyrektor Tomicki za czasów

austrjackich chętnie przyjmował do swego personelu b. legjonistów po ustąpieniu ich z Legjonów w okresie przełomu przysięgowego w r. 1917, wielu też przyjmował peowiaków, stąd element poświęcenia mógł być dobrze reprezentowanym w skromnym mundurze lwowskiego tramwajarza. Nawet i kilka kobiet z tego środowiska walczyło dłuższy czas na froncie.

Zgoła inaczej przedstawiali się kolejarze lwowscy. Grupa to liczna, liczniejsza nawet aniżeli zgóry można było przypuścić, sytuowana materialnie, specjalnie w owych czasach ogólnej nędzy, nieźle, a to wskutek ułatwień w sprowadzaniu sobie środków aprowizacyjnych z dalekich nieraz stron, bo aż z Ukrainy, jakkolwiek uchodziła za element narodowo ofiarny, przecież en masse zawiodła sromotnie. Na kilka tylko momentów zwróć uwagę, ale i one będą chyba dostatecznie silnym dowodem tej ujemnej o nich opinii.

Najbliższe okolice dworca głównego po obu stronach, a więc górna Gródecka, jej bocznice, część Sygniówki, a przede wszystkim ogromna Bogdanówka stanowią razem dzielnicę rozległą, a zamieszkałą niemal wyłącznie przez kolejarzy, żyjących w swym własnym ośrodku, zgoła wydzielonym od reszty społeczeństwa. Niema chyba drugiej grupy społecznej, któraby życiowo, wprost z konieczności, w związku z wykonywanym przez siebie zawodem separowała się tak od otoczenia, jak kolejarze. Zasadniczo uważa się kolejarz za uprzywilejowanego członka społeczeństwa, narzuca mu nieraz, jak to widzieliśmy w różnych strajkach kolejowych, swą wolę, choć naogół nie jest zbyt radykalnych przekonań, jest przytem zapobiegliwym do skąpstwa, samolubnym, a przytem przez cały czas niemal wojny znajdując się na uprzywilejowanym stanowisku, reklamowany od służby frontowej, stosunkowo dostosowany dobrze do zmilitaryzowania kolei i umiejący ze swego położenia zyski wyciągać, stworzył niejako zamknięty stan, który nie potrzebował wcale obcować z resztą społeczeństwa. Kolejarz lwowski należał do dwu związków. Jeden z nich, silniejszy był w rękach P. P. S., drugi licznie słabszy znajdował się pod wpływem i kierunkiem N. D. Obie organizacje były, jak wiadomo, potężne i głos ich wiele znaczył. Chociaż jednak ideologia obozu t. zw. narodowego dotarła do kolejarzy lwowskich, ideologia polegająca na wielkich i płomiennych hasłach słownych, ale o sło-

mianym zapale i marnym czynie, nie znalazła ona zupełnie wyrazu w zachowaniu się kolejarzy w czasie walk listopadowych i nie wydała czynu. Kolejarz lwowski był niemal biernym widzem zapasów naszych, a nawet, powiem szczerze, występował wrogo wprawdzie nie przeciw nam, ale... przeciwko niektórym zarządzeniom dotyczącym porządku na terenach Głównego Dworca. Pełne potwierdzenie tego co piszę, znajdzie czytelnik w znanym meldunku prof. Bartla, ówczesnego komendanta dworca, którego opinia, jako z przeszłości kolejarza, jest ze wszech miar miarodajną.

Rzecz to zbyt ważna, by w krótkich słowach można było nad nią przejść do porządku dziennego. Grupa kolejarzy składa się oczywiście z bardzo różnorodnych składników. Są tam i urzędnicy administracyjni, inżynierowie i służba techniczno-mechaniczna w warsztatach, konduktorzy, personel parowozowy, służba drogowa i magazynowa, wreszcie robotnicy wszelkiego typu. Każde z tych kółek tworzy naturalne grupy, złączone w jedną całość wspólnością interesów zawodowych.

Rzecz jasna, urzędnicy wszelkich kategorii stawali z nami do wszelkiej współpracy. Taki inspektor Kozubski był przez Mączyńskiego mianowany, gdzieś około 7 listopada, łącznikiem między organizacją kolejarzy a Naczelną Komendą. Stale u nas przesiadywał całymi wieczorami do późna w nocy, nic nie robił, informacyj mało udzielał, ale siedział cicho i nie przeszkadzał. W każdym razie pomocy żadnej nie udzielał. A zorganizowanie służby kolejowej, jako oddziału bojowego, było kwestią palącą. Liczę, że kolonja kolejowa swobodnie mogłaby do 3.000 ochotników zdolnych do broni wystawić. Jeśli cyfry tej nietylko nie dosięgła, ale naodwrot minimum ochotników dało się z tego środowiska wyciągnąć, to właściwą można sobie wyrobić ocenę o pompatycznie głoszonej ofiarności krwawej kolejarzy.

Jako przykład podam fakt następujący. Oto, kiedy poseł Artur Hausner przybył do Lwowa, zostałem przez Mączyńskiego delegowany do niego, by go odpowiednio dla Komendy i całej akcji nastroić, a przez niego oddziaływać na Związki zawodowe, specjalnie zaś na kolejarzy. Hausner przyrzekł mi, że postara się urządzić zebranie, na którem większość kolejarzy będzie obecna. I rzeczywiście, nie pomnę dokładnie, którego dnia, w południe (zdaje się, że około 7 lub 8 listopada) wyznaczony został

meeting w jadłodajni, czy też współdzielni kolejowej, mieszczącej się w kinie Grażyna na pl. Bilczewskiego, tuż koło kościoła św. Elżbiety. Rzeczywiście zebranie po ukończonym właśnie zbiorowym obiedzie było bardzo liczne, złożone przeważnie z konduktorów, ludzi młodych naogół, zbudowanych jak dęby, ubranych jednolicie w mundury, aż serce się radowało. Wystąpił na estradę zaimprovizowaną Hausner i... zaczął biadać nad sytuacją, na brak spokoju w mieście, na nieporozumienie „z braćmi Rusinami, których mamy także, jako towarzyszków w łonie organizacji“. W dalszym ciągu mówił o przymusie walki, ale całość przemówienia bynajmniej nie była apelem gorącym do walki. Widząc to, postanowiłem, jako mówca, spróbować sam szczęścia. Mówiłem głosem wielkim, drżącym ze zniecierpliwienia, że na ulicach Lwowa leje się krew dzieci, ale tam kolejarzy w pięknych, granatowych mundurach няма, bo oni kolei i magazynów pilnują. A krew dzieci mordowanych w nierównej walce spadnie na kolejarzy piętnem hańby wieczystej. Więc się pytałem: „Chcecie razem z nami zaprowadzić nowy porządek w Polsce wolnej, niepodległej, wielkiej, pragnącej wszystkie stany i zawody uszczęśliwić?“. Mówiłem namiętnie, i o dziwo, spotkałem się z gorącym aplauzem, wołano tylko: „Dajcie nam broń, a pójdziemy z wami, zastąpimy dzieci nasze“. Zapal był ogromny! Rzeczywiście tego dnia parę setek karabinów wydano kolejarzom. Ale do kadry w Szkole Konarskiego zgłosiło się tylko stu kilkudziesięciu, a gdy rezerwa ta musiała pośpieszyć z pomocą zagrożonym w owym czasie odcinkom Szkoły Kadeckiej i koszarom dragonów na Wulce, zaczęły... równocześnie dzwonić uporczywie telefony w dowództwie z meldunkami od komendantów odcinków, by raczej zabrać sobie takiego demoralizującego żołnierza, a nie przysyłać go broń Boże. Jeden z dowódców, zdaje mi się Brzozowski, czy też Bieńkowski, kazał przybyłych kolejarzy trzymać w rezerwie odcinka pod wartą, gdyż kolejno mu uciekali. Mimo wszystko, na drugi dzień, zostało mu... trzech kolejarzy, inni nocą uciekli. Od czasu tej próby, ani Komenda Naczelna, ani komendy odcinkowe położone w pobliżu dworca, jak Zimna Woda, Sygniówka, fabryka Merkurego, Kleparów i lotnisko, nie próbowały zasilać się kolejarzami, a sama kolonia kolejarska, ludna Bogdanówka nigdy nie służyła za rezerwoar rezerw, nawet w chwilach naj-

bardziej zagrożonych. Sama zaś Komenda dworca przestała być z dniem 5 listopada dowództwem frontowym, a przyjęła na się rolę etapu.

Gorzej jednak sprawili się kolejarze, o ile chodzi o magazyny żywnościowe. Na dworcu towarowym były z jednej strony olbrzymie magazyny Banku Rolniczego, z wielkimi zapasami mąki, herbaty, kawy, słoniny, konserw, a nadto stały na torach całe komplety pociągów z nagromadzonymi zapasami żywnościowymi z Ukrainy, które bądźto zawierały paczki przesyłek od żołnierzy austriackich i niemieckich do ich rodzin, bądź też znaczne transporty wojskowe. Otóż, kiedy Ukraińcy uciekali z dworca, podpalili na odejściu te magazyny, oblawszy je naftą, a że w pobliżu znajdowały się magazyny spirytusu, łatwo sobie wyobrazić, co w zdobytym przez nas dworcu za sceny się rozegrały. Była to tragedia, którą trzeba było zwalczyć własnymi siłami bojowymi, zamiast użyć ich na zagrażającego przeciwnika. Faktem jest, że z drobnej tylko części zapasów żywnościowych udało się wojsku skorzystać, przeważna ich część padła bądź pastwą ognia, bądź najstraszliwszej, bo w pożodze ogniowej, wśród huku wzajemnych strzałów i szalu opilczego, grabieży i rabunkom bezprzykładowym. Za to w późniejszych czasach, gdy w oblężonym Lwowie brakło żywności, tworzyły się całe oddziały, które wiedząc o nagromadzonych zapasach, wędrowały do Bogdanówki i tam „rekwirowały“ całe wozy żywności, jak mąka, konserwy, słonina. Zaiste jedna, można powiedzieć, była plama na naszym społeczeństwie w dniach pamiętnych listopada, a była nią grabież masowa, na olbrzymią skalę przeprowadzona i zawzięcie karabinem broniona, grabież magazynów przez świadomego rzeczy „patryotycznego“ kolejarza.

W jednej tylko dziedzinie dali się kolejarze użyć, kiedy pozostając pod twardą ręką człowieka „ich chowu“, kpt. Bartla, usilną pracą dniem i nocą dokonywaną w warsztatach, zmywali za resztę kolejarzy całą hańbę. Oto ślusarze, monterzy i wszelkiej kategorii mechanicy i palacze, pracując w swem własnem środowisku, wytężali wszelkie siły przy pospiesznem wyrabianiu granatów ręcznych, minierek, by zamiary dowództwa zbudowania auta pancernego i pociągu pancernego doprowadzić w możliwie krótkim przeciągu czasu do skutku. I pod tym względem byli nieoszacowani.

O robotnikach, jako o uczestnikach kampanji lwowskiej, nic nie mogę powiedzieć z własnego doświadczenia. Pamiętniki żołnierskie mogą tutaj najlepiej oświetlić uczestnictwo robotników w walkach. Bezsprzecznie, szereg naszych pododcinków, jak straszna „czerwona gwardja“ Bema, jak Kleparów, Janowskie, Góra Stracenia, miały poważny procent robotników w swym składzie.

Na sam koniec pozostaje do omówienia udział tego dziecicia lwowskiego, tego dziecka ulicy na przedmieściach Lwowa, owego słynnego baciara. Rzeczywiście tego elementu było wszędzie mnóstwo. On nadał walkom we Lwowie specjalnego humoru i werwy. Szanując mało własne, czy cudze życie, z fantazją, dowcipem i zażartością odznaczał się w walce z „karaimem“. Do regularnej walki mniej zdalny, mojem zdaniem, nie był tak użytym, jakby należało. Dla niego „mała wojna“, pełna podejść, podstępów, zasadzek, była igraszką, którą na mniejszą skalę stosował codzien w otoczeniu swych rówieśników na obcych, którzy niebacznie zapędzili się w jego komysze „gdy światła latarni zapłoną“. Jak w boju musiał być strasznym, dowodzą liczne fakty, że nigdzie Ukraińcy nad zwłokami zabitych w boju tak się nie znęcali, jak właśnie na Zamarstynowie, czy Kleparowie lub Zniesieniu, nigdzie nie wywierali takiej pomsty krwawej na rodzinach całych, bezbronnych kobietach i drobnych dzieciach, jak właśnie na tych dla nich najniepewniejszych i najgroźniejszych wrogach. Taki oddział Starka złożony z iście „kmicicowych baranków“, stawał się nieraz postrachem dla swoich kwaterodawców, niszcząc i plądrując nie gorzej od Rusinów, ale wynagradzał to hojnie przelewana krew, zapalczywością w walce i tą pewnością, że gdzie kompanja Starka uderzy, tam znika opór ukraiński, jak opar. Takie wypadki, jak zrujnowanie, nawet bezmyślne, z artystycznym smakiem urządzonego mieszkania art. malarza Stefanowicza, który ze łzami w oczach opowiadał o wandalizmie Zamarstynowiaków, mówi sam za siebie. Również i z przepychem magnackim urządzone mieszkanie hr. Pinińskiego, gdzie były nagromadzone niezliczone dzieła sztuki, pieczołowicie zbierane przez słynnego mecenasa, niszczały lub znikły, a o wielkoduszności właściciela świadczyć mogą słowa, dobrotliwie wypowiedziane do mnie: „Panie, niech Pan to zrobi dla mnie, niech Pan ich za to nie karze, to ludzie

niekulturalni, ale żołnierze polscy, niech wszystko zniszczeje, byleby tylko nam Lwów odbili". Zaiste słowa godne antycznych wzorów, wszak dla człowieka, który aktem barbarzyńskim tracił cały dorobek swego życia duchowego, musiała się ta zbrodnia przedstawiać stokroć rozpaczliwiej, niż komuś obcemu w owych nieoszacowanych zbiorach nierozmiłowanemu.

Tak, nie można ukrywać, żołnierz nasz nie zawsze stanął na wysokości zadania, ale winy zbytnej on sam nie ponosi, wszak natury swej nie zmieniał, a dostał broń do ręki i upoważnienie bezkarnego działania, bez żadnej wyższej, a stanowczej kontroli jego czynów. Więc któż zawinił? Odpowiedź łatwo znajdziemy, skoro przejdziemy do przedstawienia stosunków organizacyjnych walczącego o Lwów wojska.

2. SPRAWA OGÓLNEGO KIEROWNICTWA.

Przedstawiwszy udział różnych grup społecznych w akcji obrony, wypada z kolei zastanowić się, jak ta obrona została w formy realne ujęta, na czym ona polegała, jaką była organizacja samego dowództwa, jak poszczególne grupy i odcinki walczące były zorganizowane, jak przedstawiała się służba, słowem, jak cała maszyna bojowa funkcjonowała.

Są to rzeczy naogół najprzykrejsze, jakie mam do zanotowania, gdyż w całej nagości odsłania się tu fakt, iż organizacja zrazu nie sprostała swemu zadaniu, a rola jej wyznaczona prze-rostała w zupełności jej siły.

Powiem otwarcie: Naczelna Komenda była w większości wypadków bezsilną wobec sytuacji rozwijającej się już nie z dnia na dzień, ale dosłownie z godziny na godzinę coraz groźniej, wobec sytuacji, której następne akty mogły grozić nieprzewidzianymi komplikacjami. Nie robię z tego specjalnego zarzutu ani dowódcy, jako takiemu, ani dowództwu. Przypuszczam, że na miejscu naszym, gdyby znalazła się władza najbardziej rutynowana, to i ona w tym potopie zdarzeń wstrząsających nerwami, a powalających na łoża ludzi bojaźliwych i ze zdenerwowania nieraz skrajnie wyczerpanych, nie potrafiłaby tej pełnej dantejskiej grozy i zmieniającej się kalejdoskopowo z chwili na chwilę sytuacji opanować, a bitnych, nieraz wprost oszalałych mordem grup całych przywieść do żołnierskiego posłuszeństwa

wobec siebie. Ażeby rzecz taką zrobić, trzeba naprzód siebie samego należycie opanować, a dopiero potem wymagać od podwładnych, by z uległością i ślepem zaufaniem w racjonalność planów organizacyjnych, wydawanym rozkazom się poddawali.

Uprzednio już omawiając rolę P. O. W., starałem się stwierdzić, że organizacja ta, najsilniejsza i najlepiej zorganizowana we Lwowie nie zdobyła się na podjęcie kroków zaczepno-obronnych. W naradach, które poprzedziły pierwsze pozytywne decyzje, udziału żadnego nie brałem, ani też o nich nie wiedziałem. Przyznam się nawet, że i później nie okazywałem w tym kierunku żadnej ciekawości wyśledzenia ich przebiegu, ani też żalu, że tak, a nie inaczej się stało.

Pogodziłem się z sytuacją i uważałem, że obowiązkiem każdego uczestnika walk jest możliwie intensywnie współpracować w duchu ogólnych wysiłków, a nie debatować, czy decyzje zapadłe są trafne i korzystniejsze, czy nie.

Nie będę także wchodził w szczegóły wstępnych obrad P. O. W., P. K. P. i P. K. W. względnie b. legionistów. Wynikiem tych narad bądź co bądź stało się, iż kierownikiem całej akcji został obrany człowiek, który właśnie miał najwięcej „skrupułów“, by objąć naczelną władzę wojskową, a który mimo te skrupuły musiał najsilniej ściągnąć na siebie zarzut samozwańczości. Skutki tego rodzaju decyzji odbiły się ujemnie na całej akcji tak, że wypadki, zarówno pod względem organizacyjnym, jak i operacyjnym wzięły obrót niedość zdecydowany, nieprzewidziany, noszący w sobie wiele cech przypadkowości.

Przedewszystkiem zajmijmy się osobą samego dowódcy. Z pośród osób wojskowych, które mogłyby ówczesnie objąć dowództwo naczelne we Lwowie, był to wybór mimo wszystko bodaj najtrafniejszy. Z oficerów legionowych mogliby tu wchodzić w rachubę: mjr. Śniadowski, kpt. Rożen i Pieracki, por. de Laveax, Łapiński i Jakubski, z P. K. P. kpt. Kamiński i Trześniowski, z P. K. W. jedynie Mączyński. Co do grupy pierwszej, to mjr. Śniadowski jako człek chorowity, a przytem artylerzysta jednostronny, jakkolwiek najlepszych chęci i gorącego poświęcenia nie mógł wchodzić w rachubę. Kpt. Rożen, o ile miałem możność poznania go bliżej, w czasie akcji lwowskich, wogóle okazał się bez inicjatywy. Kpt. Pieracki, zdolny i rzutki oficer, miał jednak zupełnie zniszczone zdrowie, co mu uniemożliwiało

fizycznie wszelkie bardziej wyczerpujące zajęcia. Por. de Laveaux nie nadawał się na to stanowisko z powodu zbyt młodego wieku i niewystarczającego wskutek tego wyrobienia.

Pozostaje por. Łapiński, któremu jako późniejszemu koledze muszę więcej miejsca poświęcić.

Z szeregu bezpośrednich pomocników Mączyńskiego, moim zdaniem, nadawał się on raczej na dowódcę, aniżeli na szefa sztabu. Był to oficer w całym tego słowa znaczeniu dzielny, bojowiec pierwszorzędny, który wydawszy rozkazy operacyjne, stale siedł na odcinek dla przekonania się, jak akcja postępuje. Wykształcony teoretycznie i praktycznie nie tylko na kursie sztabowym w Warszawie, ale dzięki pilnemu studjowaniu literatury wojskowej posiadał znajomość sztuki wojennej w stopniu bodaj wyższym od przeciętnego sztabowca austriackiego, a uposażony z natury w dar wielkiej rozwagi, przewidywania, szybkiej orjentacji, nadawał się na wyższe stanowiska w hierarchji wojskowej. Usposobienia zamkniętego, nawet skrytego, wątpię, by posiadał blisko stojących mu przyjaciół. Małomówny, uparty, choć rzadko występujący z obroną swego zapatrywania, nawet w momentach, gdy wyrażenie opinji było wprost konieczne, nie nadawał się do współpracy jako kolega, czy równorzędny pracownik. Unikał wszelkich słownych nieporozumień, milczał w razach, gdy widział, że zanosi się na sprzeczkę. W najdrażliwszych momentach nigdy się nie unosił, ale też i nigdy nie chciał słuchać zdania sobie przeciwnego — oto charakter człowieka, jakim go poznałem w czasach Wehrmachtu, gdyśmy razem pracowali w komisji wykształcenia w 1917 r., jakim go znałem przez cały czas kampanji lwowskiej.

Co do siebie, mogę krótko tę sprawę ująć. Pytano mnie nieraz potem, czemu nie objąłem kierownictwa, z chwilą gdy odczuwałem, że nie dość energicznie władza występuje nazewnątr. Powiem krótko, że dokumenty Naczelnej Komendy we Lwowie najlepszą dadzą odpowiedź, kto był najczynniejszym człowiekiem Komendy, z czyjej ręki i decyzji wypływała największa ilość zarządzeń. Zresztą do tej sprawy wrócę jeszcze później. Powiem tylko szczerze, że prowadząc adjutanturę 6 p. p. Leg. Pol. przez cały czas najostrzejszych walk, byłem przez pewne okresy właściwie dowódcą pułku, a studjując od czasu 1914 r. w szkole podchorążych bogatą bibliotekę i nabywając szereg dzieł z dzie-

dziny taktyki i wywiadów, doszedłem w tym kierunku do poważnej znajomości zagadnień wojskowych. Nie obcą mi była służba sztabu brygady i dywizji, to też w dziedzinę organizacji wojska lwowskiego wlałem dużo osobistej pracy i doświadczenia. Uważam, że służba szefa sztabu jest niemal tej samej skuteczności, co widzialnego dowódcy, poczucie odpowiedzialności miałem zawsze duże, a chęci chwalby chyba mniej od innych w tych czasach. To też skuteczność pracy była dla mnie myślą przewodnią, a nie zależało mi na tem, kto ją reprezentuje na zewnątrz. Dowódcy, ni por. Łapińskiego nie było nieraz całemi godzinami w sztabie, a robota uporczywa i wyczerpująca bez przestanku szła naprzód. Oczywiście, najchętniej wziąłbym na siebie ciężar oficjalnego prowadzenia dowództwa, gdyby ta rzecz bez przesilenia i bez zaszkodzenia sprawie mogła się dokonać. Przypuszczam również, że i Łapiński co do swej osoby z pewnością miał podobne przekonanie i dla tych samych powodów nie wywoływał przesilenia.

Z oficerów P. K. P., mam wrażenie, mógłby się na to stanowisko bardzo dobrze nadawać kpt. Kamiński, jako przede wszystkim bardzo dobry organizator, człowiek stanowczy, nawet bezwzględny, szybki w decyzji i jak wogóle legioniści, nie obawiający się ryzyka. Znacznie niżej musiałbym postawić kpt. Tatar-Trześniowskiego z powodu braków wiedzy wojskowej, jakkolwiek trzeba przyznać, bardzo dzielnego.

Jedno jeszcze nazwisko muszę tu wymienić; niestety właściciel jego zgłosił się do nas już po ustaleniu Komendy. Człowiek ten mimo młody wiek, klasycznie nadawał się na stanowisko dowódcy. Uposażony w niezwykle zdolności wojskowe, pierwszorzędny taktyk, zdolny organizator, przeprowadziłby całą akcję obrony z potrzebnym rozmachem. Był nim kpt. Boruta-Spiechowicz. Z powodu opóźnienia się przypadła mu rola dowódcy Szkoły Sienkiewicza, którą to rolę wypełnił znakomicie.

W zespole tym na sam koniec przychodzi mi omówić właściwości faktycznego dowódcy.

— Kpt. Czesław Mączyński to osobistość, która napewno przejdzie do historii, może nie tyle dzięki zaletom osobistym, jak dzięki stosunkom i wpływom politycznym, które, mojem zdaniem, umożliwiły mu objęcie dowództwa we Lwowie. O ile chodzi o wiedzę wojskową, mam wrażenie, stał on niżej od

przeciętnego kapitana czy nawet porucznika legionowego. Jako filozof z zawodu — był nauczycielem gimnazjalnym w Jarosławiu — na pewno w charakterze kapitana artylerji nie przedstawiał tej wartości, co np. kapitan rezerwy, z zawodu inżynier. Nie mam bliższych wiadomości, czy kiedykolwiek poza baterją, czy dywizjonem sprawował jakieś dowództwo, a choćby i tak było, to takiej praktyki, jaką przechodzili oficerowie legionowi zarówno w zakresie działań oddziałami nad własne siły, jak też i wszechstronności taktyki, oficer austriacki wogóle, a specjalnie Mączyński posiadać nie mógł. Powtórę, wychowany i wykształcony szablonem austriackim, unikał możliwie wszelkiego ryzyka, a we Lwowie stawiało się na kartę nie tylko ryzyko osobiste, ale i ryzyko całej sprawy.

Braki jednak służbowe Mączyńskiego, powiem szczerze, mało nas raziły. Każdy z nas rozumiał, że do wspólnego wysiłku należy się przyczynić w miarę możliwości i tarć na tem polu nie było. Od samego początku władza Mączyńskiego wydawała się nam nienaruszalną i zgodnie ulegaliśmy wszyscy jego decyzjom. W momentach jego niezdecydowania, czy też nieobecności, zastępowaliśmy go z Łapińskim, pragnąc ratować sytuację ze wszystkich sił. Mam wrażenie, że w pierwszym okresie mniej więcej do 8 listopada, kiedy to Mączyński stale upadał na duchu¹⁾ i bardzo niewiele zarządzeń wydawał, działalność Łapińskiego i moja były wprost wyłączną i decydującą. Później jednak, w miarę, jak sytuacja stawała się coraz bardziej uregulowaną i pozwalała przewidywać, że odsiecz niedaleka dozwoli nam Lwów odebrać Ukraińcom, rozwijał się Mączyński coraz poważniej, tężał i „mężniał“, coraz częściej i skuteczniej brał inicjatywę działania w ręce, a w czasach, gdy doszło do utworzenia brygady lwowskiej w grudniu stał się nie tylko normalnym, ale nawet — powiem — przykładnym dowódcą brygady.

Braki wykształcenia dowódcy, jak powiedziałem wyżej, wynagradzał Mączyński wybitnymi zaletami charakteru. W szeregu zająć, jakich byłem nieraz świadkiem, miałem naoczny przykład

¹⁾ Były momenty i to nierzadko, gdy Mączyński, budząc się ze snu, w który bardzo często nawet i za dnia zapadał, siadał osowiały na łóżku polowym, które mu do jego pokoju wstawiano i po dłuższym milczeniu rzucał zgnębionym głosem pytanie: „No, jakże tam, czy się jeszcze bijecie?“

jego wielkoduszności. Tak np. kiedy raz (zdaje mi się było to około 7 listopada) trzech braci Filipowiczów, oficerów artylerji służby austriackiej, przybyło do Komendy imieniem zebrania oficerów artylerji, na którem uchwalono wypowiedzieć posłuszeństwo Mączyńskiemu jako samowłańcowi, niezapomnianym będzie dla mnie moment, gdy jeden z nich z miną butną i stanowczą mówił:

„Kto pana, panie Czyński (Mączyński zrazu używał tego pseudonimu) mianował naczelnym wodzem wojsk polskich we Lwowie? Czyś pan złożył przysięgę na wierność Rządowi Polskiemu w Warszawie? Czy pan dostał od Niego upoważnienie do walki z Rusinami? Jakiem prawem występujesz, jako reprezentant wojska polskiego?”

Chwila wydała mi się nader groźna. Podchodzę do Mączyńskiego i w postawie służbowej pytam: „Aresztować?”

Ale Mączyński nie reaguje na moje słowa. Jakby w natężeniu zaczyna mówić, mówi głęboko wzruszony i z przejęciem, mówi długo i pięknie: „Na kogoż czekać mamy? Aż cud się zjawi i uwolni Lwów od Ukraińców? Kto ma walczyć, kto ma rozkazywać — to ma być kwestją, gdy dach pali się nad głową. Więc niema u nas zgody, gdy wszystko wali się w gruzy. Wziąłem ciężar odpowiedzialności na siebie, ale nie dla zaszczytów, lecz z konieczności. Bierzcie wy władzę, bierzcie wy odpowiedzialność, ale Lwów ocalcie“.

W miarę, jak mówił, zawziętość z twarzy naszych rokoszan znikać zaczęła jak mgiełka poranna, a z oczu polały się łzy rzęsiste, łzy rozrzewnienia. I cała scena zakończyła się, jak w melodramacie, serdecznymi uściskami i zapewnieniami, że dalszych wyjaśnień nie potrzeba.

Rzeczywiście Mączyński umiał z wyjątkowym taktem, z taktem prawdziwego dyplomaty występować, co mu jednało ludzi nawet najzgorzalszych i najbardziej zdecydowanych bojowców, choć w nim Napoleona bynajmniej nie widzieli. Urok, jaki rozlatał swą pogodną, dobrotliwą, a tak nieraz ciężko strapioną i z zewnętrznego podniecenia zapotniałą i zaczerwienioną twarzą, był powszechny. Umiał z ludźmi postępować, umiał ich dla sprawy jednać. To też nigdy nie mieliśmy w sztabie, gdzie indziej tak pospolitych a gorszących, scen zwady i kłótni. Wszelkie nieporozumienia umiał Mączyński jak wyrozumiały ojciec (choć

młodego wieku) zażegnawać. Zaiste, powszechny był i musiał być głos opinii, że to człowiek dobry i pełen serca.

Bezsprzecznie były to zalety pierwszorzędne. Coprawda można się dziwić, dlaczego te zalety charakteru tak wydatnie podkreślam. Otóż przypisuję tej łagodności i pojednawczości jako następstwo to, iż w powstaniu lwowskim, w czasach gdy wybuchały i nieokiełzany temperament niektórych jednostek nie uznawał niemal żadnych wędzideł, jeden Mączyński starał się za wszelką cenę bez uciekania się do rygoru służby wszelkie nieporozumienia, grożące niemal fatalnymi następstwami łagodzić i je unieszkodliwiać.

Niestety często łagodność ta doprowadzała do efektów niepożądanych. I tu podać muszę klasyczny przykład. Kiedy ostatecznie została zdobytą paląca się Poczta Główna przez oddział ppor. Massara, zaczęły napływać do Komendy meldunki jeden po drugim, że Rusini nie wszystkie szafy kasowe zdołali uwieźć, ale że pozostało kilka szaf, a w nich rzekomo 6,000.000 kor. przeznaczonych, między innymi, na wypłaty za odszkodowania wojenne we Lwowie, że oddział nasz na poczcie rozbił te szafy, że nasi żołnierze są na poczcie obładowani całymi paczkami tysiączek i setek w banknotach i że coprędzej należy przeprowadzić rewizję wychodzących z poczty, a zawartość kas skonfiskować na rzecz Skarbu wojskowego. Wysłany w tym celu z ramienia Komendy Naczelnej skarbnik, por. Browiński do poczty dotrzeć nie mógł, spotkał się bowiem... z lufami karabinów przeciw niemu obróconych, gdyż cała załoga poczty bez wyjątku na widok skarbów bezpieczeństwa zapadła na straszliwą chorobę gorączki złota. Krewki kpt. Trzeźniowski wysłał patrol, który z naszej strony zamknął budynek i tak poczta pewien czas, jako zrewoltowany odcinek, broniła się z zaciekłością przeciwko atakującym Ukraińcom, a równocześnie broniła po bandycku skarbów zdobytych na swoją własność. Por. leg. Feldstein upomina się w dowództwie, by mu wolno było zaatakować pocztę ze swym karabinem maszynowym, już mam mu dać na piśmie rozkaz, by w razie stawiania oporu wybił całą obsadę do nogi. W tem zjawia się Mączyński, a po wysłuchaniu raportu oświadcza, że sam uda się na pocztę i rokoszan do upamiętania przywiedzie. Poszedł. Nie przypuszczałem, by potrafił coś wskórać. Kpt. Trzeźniowski się

rzuca, że to nie po wojskowemu, że to wstyd z taką bandą wchodzić w układy, że nie uzna Massara ani jego kompanji za towarzyszków broni. Tymczasem Mączyński dostał się na miejsce, a swem kaznodziejskiem przemówieniem uzyskał posłuch i skarb został zasilony kwotą, o ile pamiętam 2,000.000 kor. Jak się jednak później dowiedziałem, ugoda ta grubo nas kosztowała. Oto Mączyński zgodził się podobno pewnej grupy nie rewidować przy wyjściu, tak, że poprostu za zezwoleniem Komendy Naczelnej część i to nie mała grosza publicznego przepadła. W tym wypadku wielkoduszność Mączyńskiego nie była na miejscu. Bądź co bądź, jego ułaskawienia władze późniejsze nie uznały i jeszcze kilkakrotnie Massar i towarzysze byli naprzemian aresztowani, to wypuszczani z więzienia, widać, że ktoś zabiegał o podtrzymanie prestige'u władzy ówczesnej, podczas gdy prokuratura stale musiała w myśl prawa uznawać sprawę za niezafatwioną. Epilogu ostatecznego tej sprawy nie znam, ale obrazek niniejszy ma za cel stwierdzić, że w wypadkach nader drastycznych umiał Mączyński z wyjątkowym umiarem, nawet niepotrzebnie występować i łagodzić naprężone sytuacje.

Osobistej pracy niezbyt Mączyński się oddawał. Wyczerpywał się łatwo, a że do tego początkowo sytuacją zbyt się przejmował, więc i dołączało się osłabienie nerwowe. W takich razach rzucał się na łóżko polowe, które mu już w pierwszych dniach, po przeniesieniu się Komendy na ul. Grunwaldzką, wstawiono do jego pokoju urzędowego i zasypiał snem kamiennym. Po obudzeniu się bywał chwilę apatyczny, ale potem pokrzepiony herbatą, brał się żywiej do roboty. Rozkazy wydawał krótko, w formie jasnej, ale nim decyzję powziął, gryzł się wewnątrz, denerwował i decydował dość długo.

Naogół nie lubił ryzyka. Wszelkie śmiałe, brawurowe posunięcia, o ile go cieszyły ex post, nigdy nie były przez niego wywoływane. Nawet w wypadkach, gdy chodziło o pewne ważniejsze operacje z ramienia dowództwa, wołał do rzeczy nie mieszać się, ale przejmował na się rolę widza i tylko informował się o przebiegu sprawy. Tak np. było z akcją ataku w ogrodzie Jezuickim, tak częściowo w dniu 3 listopada ze sprawą kontrataku na dworzec.

Za największą jednak wadę uważam u Mączyńskiego otaczanie się przyjaciółmi politycznymi, którzy jako niewojscowi poprostu zachwasczali nam Komendę i przyczyniali się do uzasadnionych objawów nieufności ze strony podwładnych. Z tego źródła wynikał też fatalny stosunek Naczelnej Komendy do władz cywilnych, co jednak rezerwuję sobie do odrębnego rozdziału. Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości, że ten sam Mączyński bez swych przyjaciół, którzy zresztą odpadli w późniejszych czasach brygady lwowskiej, a przedewszystkiem przez niedopuszczenie do utworzenia Polskiego Komitetu Narodowego, zaskarbiłby sobie nieporównanie większą zasługę, bo doprowadziłby do doraźnego wyrzucenia Ukraińców ze Lwowa, a może i bez pomocy z zewnątrz do uspokojenia całej Galicji wschodniej. Tak jednak, jak się działo, było złe i to bardzo złe, bo traciło się czas na jałowe pertraktacje, niesłychanie szkodliwe dla naszych operacyj, co z biegiem czasu oddziaływało wprost demoralizująco na nasze własne oddziały.

3. PIERWSZE PLANY DZIAŁANIA. ORGANIZACJA GRUP BOJOWYCH.

Przechodząc do zagadnienia, jakim był początkowy plan działania organizacyjnego, który miał stworzyć polską siłę zbrojną Lwowa, jak do niej doszło w rzeczywistości, jaki był udział w tem dziele Komendy Naczelnej i jak definitywnie organizacja ta się ustaliła, przedstawię tę sprawę na podstawie osobistych wspomnień. W dniu 1 listopada około godziny pół do dwunastej, może nieco wcześniej, natknąłem się, chodząc po mieście dla przekonania się naocznego o sposobie zawojowania miasta przez Rusinów i ich obsadzie, na prof. L. Bykowskiego, który poinformował mnie, że w mieszkaniu dr. Wekslera na ul. Fredry, znajduje się grupa ludzi, którzy naradzają się nad planem akcji antyruskiej. To była pierwsza wiadomość moja o istnieniu jakiejś komendy. Udałem się tam niezwłocznie. Zastałem rzeczywście grupę osób przeważnie niewojzkowych z obozu „narodowego“; był tam i ppor. Kron (Zbych), Mączyńskiego jednak nie było. Panował hałas, zamieszanie i podniecenie. Wszyscy byli zgodni, że trzeba coś zrobić, ale jak, nikt nie umiał powiedzieć. O istnieniu jakichś konkretnych planów akcji nie było nikomu absolutnie nic wiadomem. Liczono na przybycie kpt.

Mączyńskiego, który radził właśnie w Sokole, gdyż jest wyznaczony dowódcą — i wszyscy czekali na jego przybycie i na jego decyzję. Informowałem się chciwie o sytuacji, ale mało myślano o własnych siłach i projektach działania, a więcej zajmowano się trwożnymi wiadomościami o siłach ukraińskich i ich dyslokacji. Tak wyglądała „rada wojenna“ przyszłego Dowództwa Naczelnego, gdyż przeważna część zebranych weszła później w jego skład. Niebawem zjawił się Mączyński, który bawił tymczasem na naradach z reprezentantami politycznymi i muszę przyznać, wystąpił stanowczo, uspokoił zamieszanie i wydał szereg poleceń w sprawie wzmocnienia obsady Szkoły Sienkiewicza i Domu Techników, uważając, że tam należy się gromadzić przyszłym bojowcom. Mnie osobiście wydał polecenie, bym się udał na Zamarstynów i tam porozumiał się z por. Sikorskim i drugim, którego nazwisko wyleciało mi z pamięci, by ci ostatni starali się poruszyć ludność tamtejszego przedmieścia i uderzyli z tamtej strony na miasto. Wogóle przemówienie Mączyńskiego zmierzało do tego, by możliwie na całej przestrzeni miasta niepokoić Ukraińców, zdobywać od przechodzących patroli broń, słowem przenieść walkę na ulicę, ale absolutnie nic a nic nie słyszałem o jakichkolwiek dyspozycjach tworzenia redut, punktów oporu, zajmowania jakichś obiektów na stałe. Miałem raczej to przekonanie, że Komenda stara się uchylić od jakiegoś skoordynowanego działania, podporządkowanego planowo swoim rozporządzeniom, stara się przetrząsnąć punkt ciężkości na działanie rozprószone, licząc raczej na nastrój mieszkańców, a nie chce wiązać się odpowiedzialnością za wywołanie i przeprowadzenie poszczególnych, drobnych starć. Była jedynie mowa o jakichś sygnałach optycznych (podpalenie magazynów z sianem na Janowskim, czy coś podobnego), które miały dać początek ogólnej ruchawce. Wszak w dniu tym po wieczornej zbiórce w Domu Akademickim nawet już mowy nie było o zbieraniu się tam jakiegokolwiek oddziału, choćby dlatego, by nie narażać środowiska znanego Rusinom z powodu ewentualnego wystąpienia zbrojnego. Jako dalszy przykład podam, jak wyglądało w rzeczywistości stworzenie „reduty“ na Zamarstynowie, boć przecież osobiście tam byłem zaangażowany. Udałem się tam niezwłocznie i zobaczywszy się z obu panami

wedle otrzymanego adresu, odbyłem z nimi naradę w wielkiej tajemnicy z ich strony, gdyż obawiano się szpiegów ukraińskich. Przebieg narady tej był następujący. Na moje przedstawienie, że ludność Zamarstynowa, jako czysto polska, a do wszelkich krwawych akcji ulicznych jakby stworzona, winna jak najszybciej się zorganizować i pośpieszyć na pomoc miastu, tem więcej, że ma napewno ukryte znaczne zapasy broni, dostałem jednak odpowiedź, którą sobie dobrze zapamiętałem i którą też po powrocie Mączyńskiemu raportowałem: „Zamarstynowiaci nie pójda do „Lwowa“. Będą sami próbowali się bronić, o ile Rusini do nich przyjdą. Jeżeli „Lwów“ chce na Zamarstynów liczyć, to niech sam zacznie, a wtedy może i Zamarstynów się dołączy“.

W owym czasie na Zamarstynów Rusini wogóle jeszcze się nie zapuszczali, uważając zapewne teren tamtejszy za leżący poza sferą działania, a powtórę rozumieli, że lepiej tej dzielnicy niepotrzebnie nie nachodzić. Obaj panowie, z których jeden był naczelnikiem tamtejszego Sokoła, a obaj byli rezerwowymi oficerami, mogliby byli wobec tego łatwo, bo w spokoju zorganizować grupę bojową. Na moje zapytanie, jak licznie przedstawiałyby się ich grupa, odpowiedzieli, że możnaby było liczyć conajmniej na kilkanaście osób; wymiarkowałem jednak, że jeżeli obaj „komendanci“ nie wykazują animuszu, to tem mniej można liczyć na hazard ze strony podwładnych. W ten sposób „reduta“ na Zamarstynowie w dniu 1 listopada wogóle nie powstała, a dopiero po kilku dniach, po rozciągnięciu frontu zwartego na ten odcinek (około 8 listopada) można było liczyć na stworzenie punktów oporu w tej dzielnicy. A nawiasowo dodam, że z obu „komendantów“ omawianej „reduty“, tylko jeden (por. Sikorski) zgłosił się do nas do służby, podczas gdy drugi uważał za stosowne odczekać na odbicie Lwowa i wtedy dopiero zgłosił się do Komendy w pełnym uniformie porucznika austriackiego.

Pierwsze zatem zarządzenia Mączyńskiego miały za cel, nie stworzenie jakichś stałych punktów oporu czyli redut, ale naodwrot, starały się wywołać powszechną reakcję uliczną możliwie całej ludności polskiej, na całej przestrzeni Lwowa z tem, że oczywiście jako ośrodki koncentracyjne, ale nie jako

reduty, miały służyć lokale, o ile możliwości rozrzucone po mieście, znane Komendzie, gdzie mogłyby się odbywać zbiórki ochotników. Żadnych obsad tych rzekomych redut nie było wyznaczonych, ani też nie było żadnych zarządzeń zmierzających do tworzenia takich redut. Np. Komenda placu P.K.P. na ul. Akademickiej miała służyć również jako taki punkt koncentracyjny, ale wobec sprzeciwu kpt. Kamińskiego, jak to już uprzednio podniosłem, rzecz taka do skutku dojść nie mogła.

Pomyślany w ten sposób plan działania pod względem operacyjnym kazał się spodziewać, że tą drogą osiągnie się rzeczywiście udział szerokich mas. Nie pojmuję tedy, co skłoniło Mączyńskiego do zobrazowania organizacji początkowej w swoim dziele w sposób odmienny od rzeczywistości, tem więcej, że zarządzenia te w rzeczywistości okazały się trafne, wynikały bowiem bezpośrednio z potrzeby sytuacji i nastroju mas ludności. O jakimkolwiek zaś liczeniu na gotowe reduty, na jakieś zorganizowane i stałe ich obsady nie mogło być mowy, bo nie było komu przyjąć takich zleceń. Wszak nie było jeszcze za wyjątkiem Szkoły Sienkiewicza, Domu Techników i t. d., ani grup zwartych mogących i pragnących walczyć, nie było wcale broni, słowem nic nie było przygotowane ani zorganizowane. Trzeba było naprzód broń zdobyć, uzyskać masy i dopiero je zorganizować w pewne grupy, obsady, jednostki bojowe i t. d. W rzeczywistości oddziały tworzyły się spontanicznie, o czym dopiero później Komenda się dowiadywała. One same się od początku uzbrajały bronią zdobywaną na pojedynczych patrolach ukraińskich lub w sposób zgoła nieznany, a dopiero potem dostawały się pod rozkazy dowództwa i naodwrot nieraz dopiero wtedy dowiadywały się one o jego istnieniu.

Przypisywanie sobie przez Mączyńskiego roli inicjatora i organizatora akcji bojowej, dysponującego od samego początku znanymi mu siłami bojowymi, nie odpowiada istotnemu stanowi rzeczy. Obrano go wprawdzie kierownikiem całego ruchu, ale bynajmniej nie był on jego twórcą. Jest natomiast wyłączną, nie do zaprzeczenia, zasługą ludności, zwłaszcza części jej nieuświadomionej i nieinteligentnej, że potrafiła zdobyć się na tego rodzaju zbiorowy, samorządny odruch i nie wolno odbierać uroku i zasługi tego naprawdę wielkiego czynu masie, która sama swych uzasadnionych, a krwią oblanym praw do zasług, docho-

dzieć nie może. Nastrój ludności polskiej we Lwowie, zaskoczony zamachem ukraińskim, był tym właściwym motorem, popychającym pospólstwo lwowskie do bohaterskiej, dziejowej roli obrońcy, czynnikiem tym natomiast w pierwszej fazie walk nie była ani Komenda Naczelna, ani tem mniej osoba dowódcy naczelnego, ani jego decyzja, ani też jakiś posłuch jego zarządzeniom. Raczej odwrotnie rzecz się miała. W rzeczy samej tam, gdzie dochodziły rozkazy Mączyńskiego, tam nie były wykonywane, powstanie zaś rodziło się tam właśnie, gdzie żadne „rozkazy“ nie działały. Weźmy prosty przykład. Gdybyśmy zliczyli razem ilość tych peowiaków i pekawiaków „wysyłanych“ przez Mączyńskiego w dniu 1 listopada do Szkoły Sienkiewicza, Domu Techników, owe dziesiątki i grupy, tożby musiało się okazać, że poza skupionymi już uprzednio grupami legionistów w Szkole Sienkiewicza, czy technikami głównie z P. O. W. w Domu Techników, obsady te musiałyby wynosić conajmniej po stu kilkudziesięciu ludzi razem. A przecież rzeczywistość przeczy temu najjaskrawiej. Szkoła Sienkiewicza publicznie i dobitnie szczyci się tem, że obsada jej w ilości 32 ludzi była to jej własna obsada, złożona z legionistów, do których kilku czy kilkunastu najwyższej sympatyków niezorganizowanych w ciągu całego dnia 1 listopada aż do wieczora się dołączyło. To samo było w Domu Techników. Samo bowiem stworzenie się tych centrów zaczęło niemal magicznie oddziaływać na bardziej bojowe elementy i te, nie w myśl rozkazów ale dla samej satysfakcji ochotnika, zaczęły się koło gotowych ośrodków kupić, pragnąc coprędzej wejść w zapasy z Ukraińcami.

Z przedstawienia tego stanu początkowego łatwo zrozumieć, skąd zaistniał ten dziwny fakt, że każda placówka nasza było nie tylko w początkowym okresie, ale i przez dłuższy czas później odrębnie, na swój sposób zorganizowaną i że trzeba było w następstwie używać szeregu długotrwałych, nieraz mało skutecznych zarządzeń, przyjmowanych przez poszczególne dowództwa opornie i niechętnie, celem ujednostajnienia organizacji i stworzenia szablonej, wedle utartych wzorów wojskowych, zależności hierarchicznej poszczególnych komend od siebie nawzajem.

Trzeba było regulować liczebność obsad, ich uzbrojenie, zabierać jednym odcinkom ich magazyny żywnościowe, amuni-

cyjne, tabory, auta osobowe i ciężarowe, ażeby je innym oddawać, tworzyć kolumny względnie magazyny centralne zależne wprost od dowództwa, także dla grup, odcinków i t. d. Zarządzenia te wywołały szereg kwasów i nieporozumień, gdyż każdy oddział wołał się uważać za zależnego bezpośrednio od Naczelnej Komendy i niechciał zwracać swej zdobyczy, wychodząc z założenia egoistycznego, że zdobycz jest własnością oddziału. Stąd zatajano w raportach nietylko stan bojowy obsady, ale i ich wyposażenie ogniowe, materjalne, a nawet stanowiska i nazwiska dowódców. Stąd trzeba było ciągle nieporozumienia regulować, nieraz trzeba było zmieniać dowódców, przerzucać oddziały na zagrożone odcinki, a początkowe zarządzenia te trafiały na przeszkody, wywołane brakiem organizacji, nieumogami służby meldunkowej i brakiem raportów codziennych. Nieraz Komenda stawiała wobec takiej sytuacji, że na zagrożony odcinek wysyłało się oddział zmobilizowany naprędce i przewieziony autami, a tymczasem niespodziewanie przed odsieczą wykwitał wcale liczny i zdecydowany występujący oddział, o którym nikt nie wiedział, o którym ani sąsiedzi, ani Komenda nie miała wiadomości. Szczególnie w pierwszych dniach, gdy poszczególne odcinki miały załogi składające się z przypadkowych zespołów, kalejdoskopowo niemal z godziny na godzinę zmieniających się zarówno pod względem jakościowym, jak ilościowym, a przede wszystkim w ciągu nocy radykalnie ulegających zmianom, gdy jedni znużeni i wyczerpani służbą szli „spać do domu“, a inni wypoczęci zajmowali ich miejsca, przysparzało to wszystko niemało trosk Komendzie Naczelnej i odcinkom. Ta nieuchwytność pierwszej fazy bojów lwowskich, zarówno co do ich obsad, jak i ich organizacji, to zasadnicza cecha charakterystyczna pierwszych momentów obrony Lwowa, kiedy to do walki wystąpił ten, kto chciał, najczęściej dorywczy ochotnik, a nie jakieś organizacje ujęte mniej lub więcej wydatnie w rygor władzy wojskowej. Oczywiście zastrzeżenie to nie dotyczy obu naszych zdeklarowanych placówek.

Każda z placówek organizowała się tedy na własną rękę, nie troszcząc się o to, w jaki sposób rzecz ta została rozwiązana u sąsiadów, a tem mniej o jakieś szablone wzory komend wojskowych. Organizowano się dorywczo i korzystając z okazji, zależnie od zdobywanych terenów, obiektów, napływu

ochotnika i t. p. Zrazu każdy oddział (odcinek) wykształcał się tak, jakby zdany był tylko na własne siły, jakby nie istniała żadna władza naczelna. Ze zdobytego np. magazynu na dworcu pobierano i przewożono na odcinki zrazu bez wszelkiej kontroli i dyspozycji broń i amunicję, aż wreszcie sam odcinek uznał, że posiada dostatecznie bogaty zapas środków do walki. Dopiero później, którego dnia nie potrafię jednak ściśle określić, — zdaje się od 6-go dnia walk — zaczęto oszczędzać rozdawnictwo amunicji i wobec troski, że zapas ogólny, pozornie nieprzebrany, jest na wyczerpaniu, zaczęto z ramienia Komendy wydawać broń i amunicję na kwity, zaczęto kontrolować zawartość magazynów broni po odcinkach, kierować ich uposażeniem, a nawet rozmieszczeniem, szereg prowizorycznych magazynków poznoszono i dostawę uregulowano szeregiem przepisów. Zwłaszcza później, gdy załoga musiała się przebroić w karabiny rosyjskie, co zresztą wywoływało żywy sprzeciw na froncie, a pozostawiono amunicję austriacką tylko do karabinów maszynowych „Schwarzlose“, dopiero wtedy coraz energiczniej i skuteczniej począł się zaznaczać duch władzy centralnej, zdającej sobie najlepiej sprawę z celu i następstw nieopatrnej gospodarki. Zaczęto otwierać różne wytwórnie, warsztaty, fabryki nawet, zaprowadzono szereg nowych wytwórni celem fabrykacji granatów ręcznych, aparatów telefonicznych, środków wybuchowych, młynów, rzeźni, piekarni, warsztatów artyleryjskich, lotniczych i t. d., których tu bliżej opisywać nie będę.

Wszędzie zawrzała wyteżająca, gorliwa praca, pełna poświęcenia, zapału, świętej zgody, bogata w wyniki nieprzeliczone, pełna otuchy dla dobra sprawy. Potężnieje z dnia na dzień, niemal w oczach, niezmiernie się komplikujący aparat służb pomocniczych. Nie będę wchodzić w te rzeczy, gdyż nie potrafię rozporządzać szczegółami, które tylko w raportach codziennych dochodziły do naszej wiadomości. Ale serce rośnie, wzmagają się duma, że organizacja rozwija się coraz potężniej, że wykwiła na bruku lwowskim niemal z nicości, a tylko ze znojnego potu pracy zbiorowej potężna, czysto rodzima, organizacja wojska polskiego.

4. ORGANIZACJA DOWÓDZTWA.

Jaką tedy była organizacja naszej „armji“ lwowskiej?

Była to jednostka *sui generis*, jednostka, która ze względu na wszechstronność zakładów i urządzeń przez siebie wytworzonych, a służących na potrzeby nietylko wojska, ale całej ludności polskiego, oblężonego Lwowa w ilości około 70.000 ludzi, była armją samodzielną, armją coprawda kiepsko i nierównomiernie zorganizowaną, ale armją w pełnem tego słowa znaczeniu. Posiadała na swe potrzeby urządzenia stałe, centralne, zapasowe i także drobniejsze typu polowego. Posiadała wytwórnie, warsztaty, magazyny, obozy koncentracyjne i jeńców, swe sądy, żandarmerję, więzienie, swą dyplomację, politykę, swój charakter poniekąd suwerenności, posiadała niemal charakter samodzielnego państwa, w którym dziwnym trafem, jak zauważono na wstępie, istniała fatalna dwoistość władzy, posiadającej zamiast jednej głowy, rozumnej i jednolicie działającej, czerep rozbity, przerażony, sklecony naprędce z odłamków różnych, niezdolny do wysiłków, któreby godnie mogły stanąć obok krwawego znoju jej żołnierskiego elementu.

Niepodobna podać, jak się przedstawiała organizacja wojska we Lwowie. Można tylko mówić o jej poszczególnych etapach rozwoju. Ze skromnych zawiązków bardzo szybko rozwinął się poważny system władz, urzędów wojskowych, oraz urządzeń materiałowych, z których, o ile mi wiadomo, w późniejszym okresie, gdy władzę nad nimi odebrano Naczelnej Komendzie, zdegradowanej po uwolnieniu Lwowa do Komendy miasta i placu, a później do Dowództwa brygady, ani jedna formacja nie została zlikwidowana, ale wszystkie w stanie rozwoju z okresu listopadowego, co wyrażnie podkreślić należy, zostały wcielone w skład wyższych, nowotworzących się komend, Dywizji lwowskiej, Dowództwa Wschód, a nawet bywały odkomenderowane do innych nowotworzących się organizacyj wojskowych. Było to poniekąd wyrazem pochwały dla jej twórców, którzy zasłużyli się nietyle, jako specjaliści w każdym z tych resortów, ile raczej ofiarną, iście mrówczą, zgodną współpracą, poczynawszy od prostego robotnika, a skończywszy na najwyższym przełożonym. Nowi ludzie, którzy przyszlizli do formacyj lwowskich, nie związani żadnym węzłem bezpośrednim z po-

wstaniem tych urządzeń, nie znający ogromu wysiłku i poświęcenia, z jakim one z niczego się wytwarzały, starali się nieraz ze szkodą dla poszczególnych dziedzin, zaprowadzić jak najszybciej szablon, ów sztywny, drewniany szablon. Niedowierzając miejscowym ludziom, twierdzono: „Wyście mozolili się tygodniami nad prostymi problemami, my tu wam pokażemy, jak się to robi“. W rezultacie zdegradowano cały bez wyjątku ofiarny zespół obrony Lwowa do roli najwyżej brygady, a wyższe stanowiska poobsadzali ludzie nowi, bezwątpienia nieporównanie więcej rutynowani, ale w zakresie doraźnej organizacji, umiejętności wyzyskania stosunków miejscowych, przedsiębiorczości, zostający daleko w tyle od dotychczasowych pracowników. Skutki tego nie dały długo na siebie czekać. Po pierwsze, jak różdżką czarodziejską zaklęty, zmartwiał bojowy Lwów w zakresie dalszej organizacyjnej pracy, znikł dotychczasowy pęd twórczy, a powtórę dawni obrońcy długim szeregiem zaczynają opuszczać jeden po drugim swe warsztaty ofiarnej pracy, swych w ciężkim trudzie wypróbowanych przyjaciół i zdala od Lwowa idą dalej służyć sprawie ojczystej, z nie-mniejszym poświęceniem, bogaci wewnętrznym poczuciem zasługi, z cichym odczuciem doznanej krzywdy i upokorzenia. Miejsce ich zajmują nowe postacie, nie związane przeszłością walk beznadziejnych ze swymi oddziałami, tworzą się pułki, których komendę dostają obcy oficerowie, nieraz nie umiejący się należycie wyśłowić w ojczystej mowie, lotnictwo obejmuje oficer obcy, choć równy szarżą bohaterskim naszym wojakom, różne służby, urzędy, magazyny, warsztaty zmieniają w krótkim przeciągu czasu niemal zupełnie swój personel. Zaczyna się okres nowy, okres organicznej rekonstrukcji wewnętrznej w założeniu słusznej i potrzebnej, nawet koniecznej, ale przeprowadzonej metodą niewłaściwą, bo narzuconą, bez odczucia zasług elementu miejscowego, nieraz wprost naprzekór zarządzeniom uprzednim Naczelnej Komendy. Z natury rzeczy bowiem musi bohaterski, a raczej intuicją kierujący się wysiłek ustąpić doświadczeniu, prostej zasadzie znajomości wzorów eksperymentalnie uznanych za dobre, ochotnik-dyletant musi ustąpić zawodowemu znawcy i fachowcowi. Cała maszyna z tym momentem ustala się wprawdzie, ale też nie wzmacnia się wcale na zewnątrz albo o wiele powolniej rozwija się, niż w obozie

ukraińskim; słowem inny charakter przybiera organizacja wojska, wszystko dzieje się wprost odwrotnie, niż w okresie listopadowym, co właśnie chlubę jego stanowiło. Szczególnie Komenda gen. Leśniewskiego, złożona częściowo z darmozjadów, próżniaków, paniczów, częściowo z ludzi znanych już dawniej jako złota młodzież z bruku ulicznego Lwowa, nie przyniosła chluby nowym poczynaniom. Zamiast ruszyć na Ukraińców z należyтым impetem, pozostawiono w ich ręku przez długi szereg miesięcy inicjatywę bojową i ograniczono się do akcji niemal wyłącznie obronnej. Słowem stało się złe, ale część winy spada bezsprzecznie na Komendę listopadową, co jako jej członek i w części współwinny przecież muszę uznać. Jeżeli bowiem przełożona władza straciwszy słusznie, czy niesłusznie, zaufanie do swej bezpośrednio podwładnej komendy, wydawała zarządzenia organizacyjne nietrafne, a nieraz szkodliwe, to należy uznać to jako następstwo faktu, iż organizacja wojskowa nie śmie postępować nie opierając się o istniejące wzory, nie śmie zrywać z tradycyjnymi schematami, ale musi wykształcić się, dzięki współpracy światłych, rozumiejących cel właściwy, należycie wykształconych organizatorów i sumiennych pracowitych wykonawców. Tymczasem właśnie te dwa względy niezupełnie były w dowództwie naszym uzgodnione i fakt ten musiał się zemścić, choć bezsprzecznie nie potrzebował mieć tak dotkliwych następstw, jak to się stało po zapoczątkowanych uprzednio tak bohaterskim wysiłkiem działaniach.

Komendzie Naczelnej, z chwilą wejścia jej w skład tworzącej się czynnej armii polskiej, przypadła rola brygady, w czym widzę brak zaufania i niedoceniecie jej pracy, gdyż brygada, jako całość rozkazodawcza i jednostka taktyczna, jest tego rodzaju tworem organizacji wojskowej, który wyklucza ze swego składu wszelkich współpracowników dowódcy, którzyby w charakterze oficerów sztabowych byli tu potrzebni i odpowiednio mogli być wyzyskani. Dlatego nic dziwnego, że z chwilą, gdy „Naczelna Komenda“ została zamienioną na dowództwo brygady, niemal automatycznie poodpadali poszczególni referenci służb i przedewszystkiem obaj szefowie sztabu.

Jeśli tedy los taki spotkał Naczelną Komendę we Lwowie, to godzi się zapytać, czy stała się rzecz słuszna i usprawiedliwiona, iż właśnie z całej niemal masy wojskowej obrony Lwowa,

jedna tylko organizacja i to organizacja naczelna została niejako zlikwidowaną, gdyż wszyscy jej członkowie niemal musieli przejść do innych organizacji, na inne stanowiska. Przeniesienie to nie było zupełnie następstwem ujemnej oceny ich pracy, gdyż ani jeden z tych, którzy byli wojskowymi, — a byli „właściwymi ludźmi na właściwym stanowisku“ i nie piastowali swych godności iure caduco, poprostu jako uprzywilejowani przyjaciele osobiści i polityczni jednostki pozostającej na stanowisku naczelnem, — nie przeszedł do służby niższej, niż ją w listopadzie sprawował. Wszyscy awansowali lub też podostawiali odznaczenia, względnie uzyskali stanowiska w Naczelnem Dowództwie w Warszawie. Nie można zatem mówić o jakiejś krzywdzie osobistej, któraby spotkała poszczególnych członków Komendy lwowskiej. Niemniej spotkała ich może najboleśniejsza krzywda, gdyż wyeliminowano ich nadal od dalszej współpracy na niwie, na której tak owocnie dotychczas pracowali, usunięto ich z właściwych śmieci, przydzielono lekkim sercem do innych formacji, nie tak drogich ich sercu, bo nie wykwiłtych wspólnym wysiłkiem twórczym, ofiarą bezsennych nocy i trosk serdecznych. Na ich miejsce weszli natomiast nowi ludzie bez przywiązania do obcych im tworów, bez serdecznego odczucia, zimni, rutynowani, fachowi.

Zanim jednak na to pytanie bolesne odpowiemy, spróbujmy naprzód rzucić okiem na rozwój organizacji listopadowej Naczelnej Komendy we Lwowie.

Czy była ona trafnie, celowo, zgodnie z charakterem i ustrojem władz wojskowych zorganizowana, czy nie stanowiła ona dysonansu z niemi, czy pracowała skutecznie, czy rozwijała się równolegle do wzmagających się zadań, czy zadaniom tym była w stanie sprostać, — oto szereg pytań, które musimy naprzód rozstrzygnąć. Częściowo już na wstępie starałem się podkreślić, jak bardzo szwankował rozwój Komendy, jak organizowanie się jej postępowało w ślad za rozwojem i biegiem wypadków operacyjnych, jak opóźnione podążanie to odbijało się do pewnego stopnia ujemnie na sytuacji bojowej, gdyż operacje poniekąd tamowała, jak powstanie lwowskie zaskoczyło ją i jak do końca nie umiała opanować należycie sytuacji. Będę się starał obecnie mój pogląd na drodze odpowiedniej analizy całego procesu organizacji przedstawić i uzasadnić go należycie. Naprzód stwierdzić należy, że o ile do dnia 1 listopada dała

się zauważyć między organizacjami pewna walka o stanowisko naczelnego dowódcy, a tem samem walka ta rozciągnęła się i na cały skład personalny dowództwa, to po pierwszym listopada tarcia te wcale nie istniały. Mniejsza o to, czy chodziło jedynie o sprawę odpowiedzialności za wywołanie i pokierowanie Czynem, czy o sprawę ambicji jednostek, przynajmniej dla mnie kwestja ta wcale nie istniała, gdyż z momentem, gdy wszedłem z Komendą w stosunki, uważałem ją za prawnie istniejącą i wymagającą tylko stopniowej rozbudowy. Chciałem pracować możliwie skutecznie, obojętnie gdzie i w jakich warunkach. Chodziło mi o efekt pracy. Dostałem się zaś do Komendy w sposób możliwie prosty. Rano 1 listopada, na zebraniu otrzymawszy rozkazy od Mączyńskiego, skomunikowałem się z obu wymienionymi uprzednio oficerami na Zamarstynowie w sprawie wywołania na miejscu ruchu zbrojnego, poczem otrzymałem od niego polecenie powrotu do dowództwa. Dowiedziałem się przytem, że w skład dowództwa wchodzi jako szefowie czy też oficerowie sztabu „kpt.“ Bac i Widomski, oraz jako zastępca dowódcy por. Łapiński, a nadto pewna ilość oficerów, jako referenci. Obojętne mi było w zupełności, czy byli to peowiacy, czy oficerowie austriaccy (o P. K. W. jak zaznaczyłem uprzednio, nic nie słyszałem), chodziło jedynie o to, że wreszcie jest organizacja, która pokieruje akcją przeciwruską i że można i powinno się jej ufać. Tymczasem już najbliższe momenty otworzyły mi oczy, że dzieje się coś niezwykłego. Oto sztab zamiast dać idealny przykład, co znaczy szybka i doraźna organizacja, co znaczy sprawny podział pracy, przedstawił mi się nie jako maszyna, którą należy tylko w ruch puścić, a będzie pracować, aż będzie warczało, ale jako części maszyn nie skoordynowane, ale porozrzucane zdala od siebie, gdzie jedna częśćka nie wie, co sama ma robić i do czego służyć. Oto popołudniu 1 listopada, meldując Mączyńskiemu o sytuacji na Zamarstynowie, dostałem polecenie udania się na ul. Nabelaka do mieszkania ppor. A. Rutkowskiego, gdzie się znajduje ekspozytura Naczelnej Komendy i że tam mam służyć jako łącznik między Domem Techników a Szkołą Sienkiewicza, które o tej ekspozyturze zostały już uwiadomione. Sam zaś Mączyński ze swoim zastępcą tymczasem przebywał w „ruskim“ Lwowie,

podobno na zebraniu w Sokole, czy też gdzieś indziej na posiedzeniu organizacyjnym przysłego Polskiego Komitetu Narodowego.

Znalazłem się w położeniu przykrem. Nie wiedziałem, gdzie się dowódca znajduje, w przybliżeniu nawet nie znałem jego zamiarów, żadnych dyspozycji nie otrzymałem, ani od Mączyńskiego, ani od Łapińskiego. Przy mnie pozostał tylko ppor. Rutkowski, „kpt.“ Bac, por. Nittman i, o ile dobrze sobie przypominam, ppor. Kron. Żaden z obecnych nie umiał mi dać potrzebnych informacji, słowem z mej strony łączności z dowódcą przez całą noc nie było. Tymczasem nadchodziły z Domu Techników i ze Szkoły Sienkiewicza alarmujące wieści, oczywiście, jak zawsze w takich razach, przesadne. Bac był zrozpaczony, wołał, że nie jest wojskowym, że nie potrafi nic poradzić i że zrzeka się funkcji szefa sztabu. Dopiero nad ranem przysłała wiadomość od Mączyńskiego, że niebawem przybędzie na miejsce; tymczasem na naszym „froncie“ sytuacja się uspokoiła, a po północy zaczęło się schodzić coraz więcej obcych, nieuzbrojonych a ciekawych ludzi, co mnie wprost zaniepokoiło, gdyż tego rodzaju nastrój ani był wskazany, ani bezpieczny wobec faktu, że w owym czasie ulica Nabelaka leżała w sferze swobodnych działań Ukraińców, którzy też każdej chwili mogli swobodnie wejść sprowadzeni przez szpiegów, a zaledwie kilka browningów mogliśmy im przeciwstawić.

Około 9 rano rzeczywiście Mączyński z Łapińskim się pojawili, a uznawszy, że lokal na potrzeby Komendy absolutnie nie wystarcza, kazali się przenieść do filji Politechniki na tej samej ulicy pod l. 22. Tu w salach wykładowych można było się rozłożyć i kancelarję i biura puścić w ruch. Momentalnie zakupiono na ul. Sapielhy potrzebne utensylja i próbowaliśmy zabrać się do pracy. Łapiński, wydając dyspozycje przydziału służbowego poszczególnym oficerom, kazał mi zająć się sprawą ewidencji oddziałów i raportami sytuacyjnymi. Podrzędnej tej funkcji nie chciałem objąć, gdyż sądziłem, że wystarczy na to pisarz choćby cywilny, z chwilą gdy mu się da gotowe formularze do ręki. I proszę go o przydział biura operacyjnego. Na usprawiedliwienie swe dodam, że w tym kierunku uważałem się za uzdolnionego, a czując w sobie naturalne zdolności w prowadzeniu „małej wojny“, obiecywałem sobie być w tym zakresie pożytecznym. Łapiński na moje żądanie nie przystał, wobec

czego poprosiłem o zwolnienie mnie z dowództwa. Z meldunkiem tym pobiegłem do Mączyńskiego i, nie czekając na załatwienie sprawy, wyszedłem na ulicę. Tymczasem refleksja mnie ogarnęła, że postąpiłem niegodziwie, że w momencie tak ważnym gdy wszystko powinno na zgodzie i posłuszeństwie ślepe polegać, ja właśnie dałem przykład niesubordynacji. Wróciłem tedy do dowództwa i tu zaraportowałem krótko Mączyńskiemu, że proszę o ukaranie z powodu niesubordynacji. Mączyńskiego to ujęło do tego stopnia, że kazał mi zostać w dowództwie, choć prosiłem o zwolnienie z niego i — rzecz niewłaściwa — przydzielił mi resort w myśl moich uprzednich życzeń.

Od tego czasu — mam wrażenie — stałem się dla Łapińskiego niemiłym człowiekiem, jakkolwiek nigdy mi swych uczuć nie objawiał, przecież czułem chłód od niego wiejący. Coprawda już od tej chwili faktycznych nieporozumień między nami nie było. Były wprawdzie nieporozumienia na gruncie służbowym, na tle zarządzeń, ale nigdy nie przybierały one charakteru osobistego.

Twierdzenie, jakoby Naczelna Komenda powstała przez zlanie się sztabów 2 organizacji P. O. W. i P. K. W. uważam za niezgodne z istotnym stanem rzeczy. Chociaż nie wiem dokładnie, kto należał do P. K. W., chociaż specjalnie nie znam składu osobowego sztabu tej organizacji, a co do P. O. W. znam go tylko w przybliżeniu, to uważam, że przedewszystkiem nie jest prawdą, by sztab P. O. W. wchodził w skład Naczelnej Komendy, ponieważ nie było w niej chor. Wasilewskiego, ppor. Ołowskiego i ppor. Krona, a należeli do niej jedynie kpt. Kudelski, por. de Laveaux i pchor. Selzer. Podobnie ma się rzecz z przypuszczalnym sztabem P. K. W., ponieważ poza osobą Mączyńskiego, kpt. lek. Węgrzynowskiego, por. Browińskiego i ppor. Dayczaka nie było nikogo więcej z tej organizacji.

Niemożliwą zaś byłoby rzeczą, by P. K. W. jako tajna organizacja wojskowa opierała się na jednym oficerze artylerji, jednym lekarzu i jednym oficerze piechoty, z powodu ciężkiej, nieuleczalnej choroby raczej do żywego trupa niż żyjącego człowieka podobnym. A przecież nasza Komenda Naczelna liczyła z górą 24 osób, nie wliczając referentów zajętych pracą w oddziałach.

Jak wykazuje załączony schemat sztabu dowództwa, składał się on ogółem z 24 członków, którzy podlegali bądź bezpośrednio dowódcy, bądź szefom sztabu wyłącznie, bądź też i dowódcy i szefom. Niema w tym schemacie uwidoczniionych wszystkich referentów, gdyż w oddziałach niektórych było ich bardzo wielu. I tak w oddziale informacyjnym 6, w intendencji około 12, technicznym około 25. Ponieważ jednak oddziały te ustawicznie się reorganizowały, rozwijając się stale, a cała ich organizacja dokonywała się na skutek własnych, wewnętrznych zarządzeń, które tylko *ex post* były zgłaszane dowódcy i szefom, więc ich bliżej omawiać niepodobna.

W każdym razie uderzającym faktem jest, że na 24 osoby właściwego sztabu mamy legionistów 25%, peowiaków (okrągło) 8·3%, oficerów austriackich 29·2%, wreszcie cywilnych 37·5%. Jeśli zaś złączymy oficerów austriackich i cywilnych, jako elementy bez własnej wojskowej szkoły, to okaże się, że w sztabie dowództwa grupa ta liczyła razem 66·7% czyli dwie trzecie członków.

Stosunek ten daje nam dużo do myślenia.

Chyba cyfry te wykazują jaskrawo, że rdzeń sztabu wcale nie polegał na zespole P.O.W. i P.K.W., lecz miał raczej charakter legionowo-austriacko-cywilny. Pomijając bowiem pchor. Selzera jako podrzędniejsze czynności sprawującego, mamy właściwie w sztabie jedyne go peowiaka, kpt. Kudelskiego. Legioniści natomiast obsadzili, jak widzimy z tabeli, główne stanowiska, i oni nadają cały ton komendzie, zwłaszcza wobec faktu, o którym zaraz będziemy mówić, iż kilku oficerów austriackich sam osobiście, bez żadnego porozumienia z nikim, wciągnąłem jako fachowców do komendy, którzy wobec tego nie mogą absolutnie uchodzić za peowiaków.

Najfatalniejsze jednak robi wrażenie liczny, niezrozumiały swą obecnością w sztabie wojskowym zespół osób cywilnych. Sam ten fakt chyba dostatecznie stwierdza, że o ile osoby te należały do P.K.W., to tylko dzięki dziwnej, zabójczej protekcji przez znajomość z dowódcą weszły na stanowiska, do których wcale nie były przygotowane. Pod tym względem Komenda Naczelną we Lwowie stanowiła jeden jedyny, fatalny wyjątek, rażąco odbijający od wszystkich komend odcinkowych. Nie znam bowiem ani jednego wypadku, by gdziekolwiek na od-

cinu tolerowano tego rodzaju stosunki, by osoba niewojskowa wchodziła w skład sztabu, jakkolwiek niektóre z nich n. p. w Szkole Sienkiewicza, Konarskiego lub Domu Techników były wcale liczne i liczyły po kilku, a w Szkole Sienkiewicza nawet kilkunastu referentów. Jedynie tylko sam komendant naczelny na tyle był lekkomyślny, że pozwolił sobie na zachwaszczenie komendy głównej, jednostki najodpowiedzialniejszej, wymagającej najbardziej kwalifikowanych sił, przydziałem całego sztabu przyjaciół politycznych, co z Komendy Naczelnej zrobiło w opinii oddziałów bojowych twór dziwaczny, nie budzący zaufania. Fakt ten na pewno mógł wystarczyć decydującym czynnikiem, iż komendę w ten sposób zorganizowaną, gdzie cywilnym osobom doraźnie nadawano lekkim sercem tytuł kapitanów, potraktowano po drakońsku i zdegradowano ją do roli Dowództwa brygady, w którym wszelkie cywilne referaty z natury rzeczy odpadły.

Szczęściem całem, obsada przez cywilnych ograniczyła się do podrzędnych, a nawet można powiedzieć pozawojskowych referatów, które w pracy starano się z naszej strony wogóle wyłączyć.

W każdym razie fakta powyższe dowodzą jasno, że 1) komenda P. K. W. nie mogła dysponować i nie dysponowała większą liczbą oficerów, gdyż nie mogła swymi ludźmi obsadzić stanowisk w dowództwie, co potwierdza tylko moje ujemne przypuszczenie o P. K. W. jako organizacji gotowej, 2) cała masa referentów została nie z organizacji przyjęta, ale pozyskana inną drogą, później, poprostu okazyjnie. Mniejsza zresztą o skład Naczelnej Komendy. Daleko ważniejszą jest kwestja, jakim było to dowództwo, jak ono pracowało, jak były obsadzone poszczególne działy.

Przedewszystkiem, jeżeli chodzi o fachowość referentów, to starałem się osobiście i usilnie o to, by ile możności ratować charakter fachowości w dowództwie i przynajmniej z okazji rozszerzenia agend dowództwa, ściągnąć znajomych doń oficerów, ile możności już praktycznie do takich zajęć przygotowanych. Takim fachowcem w swoim dziale służby był kpt. Kmita-Stasiniewicz, który objął kierownictwo całego biura wywiadowczego; tak udało mi się pozyskać por. art. Sokołowskiego, który dawniej był dla słabego zdrowia zajęty w sztabie brygady

artylerji. Jako referent organizacyjny swą cichutką, wyteżającą pracą zaskarbił sobie zasłużone uznanie. Tak udało mi się pozyskać na szefa kancelarii dowództwa kpt. Mierzeńskiego, który był poprostu fenomenem w zakresie służby kancelaryjnej. Był to człowiek tak niezwyklej pamięci, że znał na pamięć akta, ich załączniki, liczby protokołu i registratury, miejsce w teczkach i szafach, iż wyszukanie najdawniejszych aktów przy jego pomocy nie przedstawiało najmniejszej trudności. Obaj ci oficerowie stanowili znakomity nabytek, w dwu niezmiernie ważnych działach, umiając zaprowadzić należyty ład, widoczny na pierwszy rzut oka dla każdego. Początkowo kancelarję prowadził por. Garbień wspólnie z Borkowskim, którzy z biegiem czasu coraz bardziej uwalniali się od służby kancelaryjnej, aż ostatecznie przeszli razem na adjutantów osobistych Mączyńskiego i prowadzili jedynie akta spraw przekazywanych im przez Mączyńskiego osobno i to za odrębnym protokołem. Przez pewien czas prowadził dział sytuacji w biurze operacyjnym ppor. A. Rutkowski, który specjalnie zasłużył się swojemi zestawieniami poszczególnych zdarzeń w formie kroniki dziennej, jasno i przejrzystość ujmującej przebieg działalności dowództwa, nieszczęściem jednak nawet i ten djarjusz, z którego od biedy możnaby było zorientować się o całokształcie sytuacji ówczesnej, przepadł bez śladu wraz z całym archiwum.

Oddział techniczny prowadził od samego początku peowiak, kpt. Kudelski. Dział ten, imponująco się rozrastający, stanowił niejako państwo w państwie. Już w połowie listopada obejmował on kilkanaście referatów, a nieszczęsnym trafem, nawet lotnictwo i służbę łączności, słowem służby, które normalnie winny zależeć bezpośrednio od sztabu, tem więcej, że w dowództwie lwowskiem ani ja, ani Łapiński nie byliśmy uznanymi za zwierzchników i rozkazodawców dla służby technicznej. Słowem należało właściwie uważać kpt. Kudelskiego za trzeciego szefa sztabu, posiadającego charakter służbowy równorzędny z dwoma pozostałymi. Cała ta komenda techniczna rozrastała się wspaniale, dzięki współpracy szeregu wybitnych specjalistów z pośród profesorów i docentów Politechniki i całej masy inżynierów, nieraz bardzo podrzędne stanowiska zajmujących. Osobiście mało tą sprawą się zajmowałem, — więcej Łapiński, jako student Politechniki w „cywilu“, — wiedziałem

bowiem zgóry, że niema dla naszych techników nic niemożliwego. Wszyscy nasi pisarze bojów lwowskich zgodnie stwierdzają, że nasza grupa techniczna występowała zawsze z inicjatywą wynalazczą w najlepszym słowa znaczeniu; umiała wlot zorganizować i wprowadzić w życie plany natury technicznej, jakich nasze biuro operacyjne częstokroć żądało. Aparaty podsłuchowe, czy ubezpieczenia o wysokim napięciu w dziale służby łączności oddawały nam znaczne korzyści, przewiercanie armat, przetwarzanie amunicji na inne wymiary i systemy, fabrykacja granatów ręcznych i innych środków wybuchowych, montowanie i wyrób nowych aparatów lotniczych, auta pancernego i pociągu pancernego — wszystko to są słabe obrazy wyników osiągniętych przez naszych dzielnych techników i ich przedsiębiorczego komendanta. Oczywiście wszystkie te wytwórnie, fabryki, warsztaty pochłaniały multum pracowników, utrzymywanych, rzecz warta podkreślenia, w rygorze wojskowym, a w momentach zagrożonej sytuacji nieraz zjawiał się kpt. Kudelski w dowództwie z doniesieniem, że ma w rezerwie „ostatecznej“ jeszcze 500 lub nawet więcej ludzi uzbrojonych i zdolnych do natychmiastowego użycia.

Cała jednak reszta dowództwa przedstawiała obraz zgoła inny. Kpt. lek. Węgrzynowski funkcjonował raczej w charakterze komendanta szpitala, niż referenta sanitarnego, a może tylko wydaje mi się tak, gdyż urzędował stale w szpitalu. Sam fakt jednak, że szef sztabu nie wiedział, jak funkcjonowała służba sanitarna, czy techniczna, dowodzi przecież także, że organizacja dowództwa była.... niezwykła. Wszyscy bowiem pozostali członkowie dowództwa: inż. Rak-Rechowicz, „kpt.“ Bac, „kpt.“ Grodyński, Pieracki Zygmunt, Dr. Mejbaum, inż. Widomski, Borkowski, razem więc 7 ludzi nie było oficerami, ani nigdy w wojsku nie służyło. Słowem, kwalifikacje rzeczowe całego tego grona do funkcji w dowództwie tworzącym się z niczego były żadne. Można by się bowiem zgodzić, że w dowództwie normalnie funkcjonującym, gdzie resort służby jest już ściśle określony, a codzienna czynność da się w pewne normy zasadnicze ująć, gdzie chodzi tylko o proste zaznajomienie się, jak coś się wykonuje, poszczególne działy służb mogą być objęte przez niekwalifikowane osoby, skoro da się im potrzebne instrukcje postępowania; ale jest rzeczą wprost nie do pomyślenia, by ktoś, kto wogóle niema

najmniejszego pojęcia o maszynie rozkazodawczej, jak ona ma funkcjonować, jak powinny się wiązać w jedną całość poszczególne referaty, a w nich poszczególne działy, potrafił taką maszynę stworzyć i utrzymać ją w należytej działalności. Coprawda najważniejsze grupy referatów były obsadzone, powiedzmy dla kontrastu, fachowcami, ale szereg działów funkcjonował całkiem nieodpowiednio. Przypominam sobie dokładnie, jak Bac żalił się nieraz i prosił o pomoc przeciwko oporowi odcinków, które na jego kartki, zawiadamiające o otwieraniu magazynu z bronią i amunicją, nie reagowały, jak prosił nieraz o napisanie rozkazu co do wymiany karabinów, jak prosił o instrukcje w sprawach kontroli wydanych zarządzeń. Słowem pocziwy, pracowity Bac wkładał nieekonomicznie nawał pracy w swe urządowanie, które można było daleko prościej i skuteczniej dokonać, ale nato trzeba było znać najzwyczajniejsze metody rozkazodawcze, używane powszechnie przez biura materiałowe i broni wszelkiej kategorii władz wojskowych. Poprawa nastąpiła dopiero wtedy i to z miejsca, gdy przy pomocy por. Ajdukiewicza prymitywnie prowadzona ewidencja ustąpiła racjonalniejszej i gruntowniejszej, przez założenie odpowiednich ksiąg i kwitarjusz.

W przybliżeniu tylko również mogę określić jak była zorganizowana służba intendenty. Funkcjonowała — wszyscy się zgadzali — świetnie. Ale sposób jej zorganizowania był również najzupełniej samorodny, był to wytwór niezwykle skomplikowany, rozrzucony, w ustawicznym ruchu i przekształceniach, w którym obaj twórcy i kierownicy (Grodyński i Pieracki), chyba sami jedynie się orjentowali. Mam wrażenie, że ani Mączyński, ani nikt ze sztabu nigdy w czasie całego listopada nie zwiedzał wszystkich urzędów i zakładów intendenty. Ani czasu na to nie było, ani nawet bezpośredniej możliwości wpływu na zmianę organizacyjną. Lepiej bowiem było zostawić rzecz całą na osobistą odpowiedzialność jednostek, na których głowie sprawy te od samego początku spoczywały, niż hamować jej rozwój, zmieniając jej formę i bieg, gdyż z pewnością takie zarządzenia raczej szkodę, niż pożytek przynieść mogły. Podobnie bowiem jak w Naczelnej Komendzie, tak samo i w dowództwach podległych aż do najmniejszych, rozwijał się cały ustrój władzy w sposób samodzielny, na jednym odcinku niepodobny do stanu istniejącego na drugim; jeden gospodarzył dobrze, inny gorzej.

A w Naczelnej Komendzie oryginalny wytwór niepomierne rozrosłej służby technicznej i gospodarczej spotęgowany był do najwyższego stopnia. Można nawet powiedzieć, że wszystko, co dało się wyzyskać technicznie, czy wogóle materialnie, na obszarze polskiego Lwowa, wszystko to było zarekwirowane na rzecz wojska i służyło do jakiegoś celu. Słowem, pracy w czasie akcji obronnej nie żałowano; jedni nie spali na froncie całymi dobami, pozostając w ustawicznych potyczkach, gdy tymczasem ztyłu warczały najprzeróżnorodniejsze warsztaty i pracownie, gdzie w myśl nieraz genialnych pomysłów spożytkowywano surowe materiały na cele obrony. Wątpię, by się znalazł kiedyś ktośkolwiek, ktoby potrafił ten nieprzejrzany ogrom pracy ująć i opracowawszy go po literacku, w spuściźnie przekazać potomności. Być może, że w tych usiłowaniach dużo materiału niszczało, że nie umiano, być może, odrazu i należycie utrafić w sedno rzeczy, ale mam głębokie przeświadczenie, że lekkomyślności nie było, był zato niezwykle zapał pracy, była chęć wzajemnej pomocy i do prawdziwych wyżyn posunięta kooperacja, oparta na doborze jednostek możliwie najlepiej kwalifikowanych, najodpowiedniejszych.

Niestety znowu muszę powiedzieć, że tak było w dole, u podstawy naszej organizacji, ale nie na jej szczytach. Można powiedzieć, im bardziej po szczeblach hierarchji schodziło się w dół, tem lepiej jej tryby funkcjonowały. Jak na froncie oficerowie na równi z sierżantami i z ochotnikami, zapatrzonymi w tamtych jak w słońce, pełnili służbę posterunków i patroli, tak w służbie technicznej inżynierowie i technicy zastępowali robotników, wszędzie w najniższych służbach dał się zauważyć element inteligencji i świadomości celów wykonywanej pracy. Natomiast u szczytów rozrost organizacyjny zaskakiwał ludzi nieprzygotowanych, trzeba było się uczyć, przystosowywać, rozwijać. A wszystko w tempie niesłychanie gwałtownem, gdyż zapotrzebowanie było kolosalne, groźba konieczności jak potworny miecz Damoklesa wisiała nad głową. Gdy tam na dole maszyny, raz w ruch puszczane, szły dalej nabytym rozpędem, to w górze trzeba było ciągle przewidywać konieczność znalezienia nowych środków walki, trzeba było tworzyć nowe maszyny, nowy personel im wyszukać, właściwego napędu im nadawać. Stąd ustawiczny, wprost nieokiełzany rozrost obu

działów: intendenty, która musiała wykarmić nie tylko rosnącą ciągle masę wojska, ale i stopniowo przejmować aprowizację organizacyj pomocniczych, a właściwie powiedziawszy wyżywienie całej ludności cywilnej polskiego Lwowa, gdyż cywilne komisje aprowizacyjne czerpały właściwie z magazynów i urzędów wojskowych oraz służby technicznej, która obejmowała coraz szersze kręgi, uruchamiając na potrzeby wojska i ludności niemal wszelkie fabryki, warsztaty techniczne i wytwórnie, a niektórym nadając zmieniony, dostosowany do chwilowych potrzeb, kierunek i rodzaj pracy.

Jakżeż tedy ogólnie możemy określić funkcjonowanie dowództwa w tym zakresie? Prawda, głos mój może być uznany jako zamało miarodajny, jako głos niefachowca, to jednak mogę sprawę tę ująć, dając taką ogólną ocenę. Oba działy służby funkcjonowały sprawnie nad podziw, mając do dyspozycji niezmiernie liczny, inteligentny i fachowy personel wykonawczy, moc wszelkiego materiału surowego, nagromadzonego w rozlicznych magazynach, położonych głównie w okolicach dworców, częścią jako łup wojenny armii austriackiej, oraz wytwórnie już uprzednio na potrzeby wojska uruchomione. Inicjatywy twórczej, oryginalnej wlało jednak ogromnie wiele, co pomnaża zasługi twórców i wykonawców. Dawało się jednak odczuwać, iż naczelne władze, t. j. referenci dowództwa przestali z czasem opanowywać całość, mimo coraz więcej szczegółowy podział pracy i to jest rzeczą zupełnie zrozumiałą. Natomiast żaden chyba z kierowników wymienionych działów nie zaprzeczy, iż współpraca innych biur Naczelnej Komendy nie miała zapewnionego wglądu w tok służby wymienionych działów, skutkiem czego współpraca szwankowała i efekt pracy nie był w pełni wykorzystywany.

Ale ten rozrost Komendy w zakresie służby technicznej i gospodarczej miał jeszcze inne wady. Oto automatycznie ściągał on do siebie elementa takie, które starały się usunąć od obowiązku służby frontowej. To też nic dziwnego, że wszystkie „dekowniki“ były przedmiotem naigrawań „frontu“. Wprawdzie były i objawy sumienności niezwyklej, gdy kierownicy zakładów wojskowych kazali odstawiać do dyspozycji komisji poborowych materiały ludzkie do zajęć danych nieodpowiedni, ale kto chciał się „dekować“, miał w naszym Lwowie sporo ku temu

okazyj. Wszak faktycznego przymusu do służby pod bronią nie było, nie było żadnych kar za uchylanie się od niej, ni za dezercję; nie było ani razu sądów doraźnych, a jedyny wypadek, który zaszedł w Rzęśnie Polskiej, polegał, nie, jak twierdzi Mączyński, na wykonaniu jego rozkazu, ale był sankcjonowaniem ex post egzekucji dla ratowania honoru energicznego dowódcy odcinka, kpt. Wiktora, który kazał trzech bandytów rozstrzelać.

Fakt ten, iż na 1800 stanu bojowego, mieliśmy przeszło 5000 ludzi w stanie wyżywienia, dowodzi jaskrawo, iż przy sprawniejszej i energiczniejszej władzy naczelnej, nawet przy uwzględnieniu poprzednio podniesionych momentów, można było znacznie zredukować stan liczebny organizacji tyłowych, a oczywiście tem samem i naszych obu działów.

Naostatek pozostaje nam do omówienia sprawa dwu referatów, prasowego i politycznego, a zarazem scharakteryzowania obu ich kierowników. Sprawa ta niezwykle ciekawa, bo oba działy nie mają z wojskiem niemal nic wspólnego; były raczej organizacjami niepotrzebnymi, nawet jeden z nich był szkodliwym. Oba — przypuszczam — musiały się wybitnie przyczynić do uznania przez późniejsze władze wojskowe w Galicji, że Naczelna Komenda we Lwowie była wadliwie i nie po wojskowemu zorganizowaną, że zatem pozostawała w „złych“ rękach i wymagała czem prędzej sanacji daleko idącej.

Pierwszy z nich to oddział prasowy. Kierownikiem, a właściwie i jedynym pracownikiem w nim był dr. Mejbaum, nie mający z wojskowością dotychczas nic wspólnego, ale człek niezwykle gorącego serca, wielkich cnót obywatelskich, charakter nieskazitelny, żądający w imieniu świętej sprawy jak największych ofiar, byle tylko zmyć hańbę z dziejów Lwowa, iż pozwolił na sprofanowanie się sztandarem ruskim. Nie trzeba mówić, że zarówno Dr. Mejbaum, jak „kpt.“ Bac, Grodyński, Pieracki Zygmunt i inż. Widomski, wszyscy bez wyjątku niewojskowi i nie oficerowie, byli ludźmi razem z por. Browińskim ściągniętymi przez Mączyńskiego, jako jego osobiści przyjaciele, koledzy i stronnicy partyjni. Bezsprzecznie byli to ludzie wysoko pojętej idei, ale, jak często między „cywilami“, łatwo upadający na duchu. Nie przyczyniając się zupełnie do podniesienia ducha w Komendzie a występując często jako element ugodowy, wyczerpany nerwowo i psychicznie, specjalnie silnie oddziaływali

na Mączyńskiego osobiście i nakłaniali go do... hańby poddania się. Było jednakowoż dwóch pomiędzy naszymi „cywilami“ w Komendzie, którzy wyróżniali się hartem wytrwania i żądaniem raczej śmierci niż hańby. Byli nimi Dr. Mejbaum i śp. Grodyński. Przypominam sobie dokładnie jedno z takich posiedzeń „rady wojennej“. Było to zdaje się 13 listopada wieczorem, gdy inż. Widomski odczytał nam projekt ugody z Rusinami, polegający krótko i węzłowato na tem, że nam wolno wycofać się ze Lwowa, bez broni i odejść za San, skąd ewentualnie z odsieczą możnaby wrócić. Pamiętam, nastrój był przynębiający. Mączyński zrozpaczony zwiesił głowę i podparł ją dłońmi, mówił głosem przyciszonym, że ofiary są krwawe straszliwie, że przed nami coraz większa odpowiedzialność za krew przelaną, więc co robić. Sam zdania nie wypowiedział, ani decyzji nie zdradzał. Nastrój złowróżbny spadł na nas. Odzywam się na to głośno, że wobec takiego nastroju należy Komendę rozwiązać, a sam odchodzę do Boruty, bo Szkoła Sienkiewicza trzymać się będzie dalej, bez względu na decyzję Komendy. Znając bowiem nasz cywilny skład komendy bałem się, że prostem głosowaniem rzecz przesądzimy. Łapiński milczał. Wtem, jak w napadzie szału, zrywa się Dr. Mejbaum i przeraźliwym głosem zaczyna wołać: „Judasze, Polskę sprzedajecie. Hańba wam i dzieciom waszym“. Gwałtowny, histeryczny atak zrobił swoje. Mączyński ze spokojem opanowanego i zrównoważonego człowieka powstał i zadecydował. „Trudno, zadanie powzięliśmy wielkie, niech krew nowych ofiar spadnie na nas“. I Widomski zniszczył akt, chwała Bogu z treści tylko nam dotąd znany.

Na czem polegał oddział prasowy, dokładnie zdać sobie sprawy nie mogę. Istniał przecież oddzielny referat propagandy, prowadzony przez ppor. Dayczaka, istniało pismo, co prawda jedyne na naszym terenie „Pobudka“, ale z wyraźnego rozkazu Mączyńskiego, z powodów, które w swem dziele szeroko omawia, nie ukazywało się jako organ władz wojskowych. Cóż więc miał działać referat prasowy, który przecież nie miał łączności ani z prasą polską, ani obcą pozalwowską, ani nie mógł cenzorować opinii prasy na miejscu? Właściwie rola Dr. Mejbauma ograniczała się do kontroli „Pobudki“, czy przypadkowo nie jawi się w niej jakiś artykuł, zdradzający niezręcznie nasze tajemnice wojskowe, czy też niema jątrzenia partyjnego, co mo-

głoby zrazić pewne obozy polityczne, dotychczas w jakiej takiej zgodzie razem występujące w organizacjach cywilnych. Jak jednak kontrola ta wyglądała, wystarczy przeglądnąć poszczególne numery „Pobudki”. Wszak nawet komunikaty, redagowane przez „pierwszego oficera sztabu” zawierały szereg szczegółów, które moim zdaniem, były zdradą niepotrzebną naszej sytuacji operacyjnej. Przecież czytamy tam o takich zapowiedziach akcji własnej jak np. komunikat II z dnia 3 listopada, że z Przemyśla idą posiłki. Całe szczęście, że była to wiadomość fałszywa, wszak prosta rzecz, że Ukraińcy mogli i powinni byli zaraz z niej korzystać. Podaje się tam nazwiska najbardziej zasłużonych w bojach dowódców i żołnierzy, chyba poto, by ich ewentualnie narazić na specjalne powitanie przez Rusinów przy sposobności wzięcia do niewoli, podczas gdy sam Mączyński (do dnia 6 listopada), a za nim szereg oficerów używało pseudonimów. Również sukcesy nasze w rozbijaniu wsi ruskich nie powinny były być podawane, gdyż przy ponownem ich zajmowaniu w czasach późniejszych mogliśmy się przekonać, że represjami w tych wioskach zrewoltowano je nadzwyczaj silnie przeciwko nam. Również o posiłkach napływających ku nam z miasta nie należało ani słowa wspominać, gdyż to oczywiście odbijało się na losie ludności w ruskim Lwowie, gdzie grasowała coraz nieokiełzana soldateska, jako objaw reakcji, gdzie strzelano nie tylko do mężczyzn, ale do chłopców nieletnich i kobiet, dlatego, że wietrzono wszędzie szpiegów i ochotników do wojska polskiego.

Słowem nie wydaje mi się, by referat prasowy należycie spełniał swe zadania. Oczywiście w tym wypadku winą dotyka nie Dr. Mejbauma, który komunikatów nie układał, ale por. Łapińskiego.

Mimochodem, zanim przejdę do czarnej plamy naszej Komendy, wspomnieć muszę o oddziale kasowym, oddanym nieszczęśliwej ofierze walk w Serbji, por. Browińskiemu. Co miał oznaczać referat kasowy w sztabie samym, nie w intendenturze, zrozumieć nie potrafię, tem więcej, że osobiste kwalifikacje por. Browińskiego w tym kierunku, jako „ministra skarbu w państwie lwowskiem”, polegały na tem, iż kiedyś jako akademik pełnił funkcje skarbnika w Bratniej Pomocy. Jako skarbnik nie dał nam żadnej pomocy, wszak żadnych wypłat kasowych Komenda nasza w listopadzie ani razu nie wykonywała, ani nic

nie kupowano; był on jedynym wraz z Mączyńskim zawiadowcą skarbu, uzyskanego częściowo z nałożonych danin na ludność w polskim Lwowie, jak i z kasy, co prawda tylko częściowo uratowanej na rzecz skarbu od opieki ppor. Massara na odcinku „Pocztą“. Jako dysponent występował jedynie Mączyński, ale dział ten wogóle w funkcję sztabu nie wchodził i nie mam najmniejszego pojęcia, na jakie cele i w jakich kwotach były fundusze te wydatkowane. Jedynie wskazaną rzeczą było pod zbiorową kontrolą trzymać skarb nasz w rękach ludzi najwłaściwszych, a za takich mogli uchodzić dyrektorzy różnych banków i kas pożyczkowych lwowskich, względnie ich urzędnicy, którzy mieszkali w polskim Lwowie. Nietylko bowiem chodzić musiało o należyte zabezpieczenie, w tych bezwątpienia burzliwych i niepewnych czasach, kwot miljonowych, ale też o właściwe ich wydatkowanie, a przede wszystkim o publiczne, otwarte sprawozdania. To, co się działo, było prostą niewłaściwością. Co się z tym skarbem stało, nie wiem. Czy i kiedy go zlikwidowano i jak załatwiono tę sprawę, nie wiem, zresztą nie jest to rzeczą mojego przedstawienia sprawy.

Przystępuję wreszcie do omówienia spraw związanych z referatem politycznym. Miał on służyć za organ propagandy, w czym miał współdziałać z referatem prasowym, ale w tym kierunku była to istna abundacja, gdyż na tem polu działał przecież osobny referat propagandy w biurze wywiadowczem, kierowany przez ppor. Dayczaka. W rzeczywistości zadanie jego było zgoła inne. W skład tego referatu wchodziły: sprawy cywilne, policji, poboru i rzekomo wyodrębniony w osobną gałąź, komisarjat powiatowy pod kierownictwem ppor. Marszałkowicza. Jeżeli gdzie, to w podreferacie „spraw cywilnych“ możnaby było liczyć na akcję propagandy. Tutaj jednak akcja sama polegała na uzgodnieniu działalności dowództwa z Komitetem Narodowym, jako naczelną władzą cywilną i jego organami podwładnymi. Niestety, właśnie ta współpraca pojęta była w sposób oryginalny i wyjątkowo szkodliwy. Szczególnie dzięki temu referatowi działalność operacyjna szwankowała potwornie, w sposób nieznany gdzieindziej i niewiarogodny; rozstrajała się spoistość władzy, wysuwał się czynnik, który w działaniu wojennem musi być zupełnie zagłuszony, mianowicie odzew haseł partyjnych, nieraz wyraz opinii głosów może najlepszej chęci,

ale w strasznym położeniu bojowym tracących głowę i pragnących spokoju za wszelką cenę, choćby przywrócenia uprzednich stosunków, choćby chwili zawieszenia broni, choćby momentu, kiedyby można było zebranie urządzić i naradzić się nad straszną sytuacją i naprawianiem „opacznych czynów młodzieży i ulicy“. Może zbyt gorąco obrazuję rolę referatu politycznego, ale w istocie rzeczy ten stosunek do tego zmierzał, jeżeli istotnie takim właśnie nie był. Wprawdzie inż. Widomski był osobiście człowiekiem wielkiej prawości charakteru, poważnych zalet towarzyskich tak, że nigdy przeciw sobie nie obrócił niczyjego wystąpienia, ale tem gorzej, gdyż tem poważniej traktowano jego projekty, tem chętniej im ucha udzielano.

Nie będę tutaj kreślić szczegółowo poszczególnych posunięć naszego referatu politycznego. Mam wrażenie, że odmalowanie sceny, w której rola Dr. Mejbauma się zaznaczyła, wystarczyłoby mogło, tem bardziej, że z racji omawiania stosunku do władz cywilnych jeszcze obszernie wrócimy do tego przedmiotu, dość, że oceniam rolę tego referatu, jako szkodliwą, która, jeśli już tak być musiało, winna była być na innych zasadach zorganizowaną, którą winien był prowadzić oficer o wybitnej decyzji, człowiek śmiały, a świątły i po obywatelsku myślący, by wprowadzić w czyn w najlepszej formie dziś tak oklepane hasło „naród pod bronią“, by nie było żadnych rozdzźwięków między ludnością a wojskiem, by nikt nie czuł specjalnego ciężaru, ale wszyscy czuli się jednakowo obarczeni, by działalność wojska harmonizowała z jednolitą opinią całej masy ludności cywilnej.

Faktycznie nie wiem właściwie, jak ten dział był zorganizowany. Mieścił się na tej samej ulicy, ale w innym domu, zatrudniał szereg osób ze świata głównie dziennikarskiego i polityki, ale jak pracował, co było przedmiotem jego „niezmordowanych“ wysiłków, w przybliżeniu nawet nie umiem powiedzieć. Kilka razy zaglądałem tam dla kontroli, ale najczęściej zastawałem krzesła puste, na stołach trochę zapisanego papieru w nieładzie, częściej jakieś tajemnicze konferencje, co do których nie uważano za stosowne poinformować, choćby ex post, szefa sztabu. Taka zakonspirowana robota musiała złe wyniki przynieść. Stąd groziła nam ustawicznie jakaś hańba, jakiś piekielny projekt ugody z Rusinami, czy też może, jak się później okazało, umów z Żydami. Narazie nie chcę przerywać toku opo-

wiadania, więc i tę kwestję odłożę do omówienia w rozdziale poświęconym zagadnieniom „czystej polityki“, a zaznaczę tylko, że początkowe umowy z Żydami, podobnie jak pertraktacje z wysłannikami dowództwa ukraińskiego, prowadzone były bezpośrednio przeze mnie lub przez Łapińskiego razem z Mączyńskim, podczas gdy później sprawy żydowskie przeszły w resort Widomskiego i nie chcę powiedzieć pozytywnie, raczej zadowolę się formą przypuszczenia, że od tego czasu stosunek nasz do Żydów stawał się coraz przykrzejszy, aż doprowadził do przesilenia, które znane jest powszechnie pod mianem „pogromu“, którego autorstwo nam było przypisywane. Nie chcę tu nikogo winić, łatwo własną winę zrzucić na kogoś, a ustroić się w piórka cudzych zasług. A jednak, jeśli po kilku występkach Widomskiego, do pertraktacji z Ukraińcami używano stale por. de Laveaux, jako oficera do specjalnych poruczeń, tak samo należało w sprawach pertraktacji z Żydami i ich milicją używać tylko odpowiednich osób wojskowych. W każdym razie referat ten, najogólniej się wyrażając, przysparzał nam szeregu kłopotów, a pozytywnie pomagał mało.

Dotknijmy wreszcie „bolączki“ innej, w której osobiście byłem zaangażowany, którą zatem znam dokładnie i bezstronnie mogę ją przedstawić. Sprawą tą jest obecność dwu szefów sztabu i to powiedzmy odrazu, bez jakiegokolwiek resortowego rozdziału ich funkcji i uzależnienia. Winę ponosi tu przede wszystkim por. Łapiński, ale i na Mączyńskim ciąży poważna odpowiedzialność. Na propozycję por. Kaz. Świtalskiego, mianował on Łapińskiego swym zastępcą, popołudniu 1 listopada, ażeby tym sposobem zadokumentować współpracę organizacji P. K. W. i P. O. W., a nominację tę zatwierdził Polski Komitet Narodowy, którego suwerenność Mączyński bez zastrzeżeń uznał. Tymczasem Łapiński wolał być szefem sztabu niż zastępcą dowódcy. Wytworzyła się dziwna sytuacja. Nominację suwerennej władzy, której inne rozkazy wbrew własnej korzyści wojskowej Mączyński stale uważał za obowiązujące, tym razem potraktował jako nieobowiązującą i na podstawie prywatnej umowy ze swym zastępcą „zniósł“ — jak sam mówi — jego urząd i moc uchwały władzy naczelnej. Co do siebie mam spokojne sumienie, gdyż od samego początku byłem zdecydowanym wrogiem uznawania władz cywilnych i naodwrot domagałem

się dla dowództwa nieograniczonej władzy wojskowej, któraby swojemi organami zmilitaryzowała całe społeczeństwo i poddała je pod jednolite kierownictwo. Winię zaś Łapińskiego, który podobno bywał na tych zebraniach, który wiedział o stosunku Naczelnej Komendy do P. K. N., wiedział zatem o owych uprawnieniach i dał się niepotrzebnie przekonać i władzę sobie odebrać.

„Degradacja“ Łapińskiego do roli (tytuł „oficera sztabu“ nigdy u nas nie istniał) I szefa sztabu nie usunęła wcale nieporozumień. Gdyż o ile pierwiej chodziło o kwestję podziału władzy między Łapińskiego i Mączyńskiego i o to, czy ja mam podlegać Łapińskiemu, czy nie, to obecnie wyłoniła się sprawa podziału resortu służbowego między mnie i Łapińskiego, słowem chodziło o podział pracy między obu szefów sztabu. Osobiście dorażiałem stale, by jeden z nas wziął stronę operacyjną na siebie, drugi organizacyjną. W ten sposób najłatwiej było doprowadzić do uzgodnienia czynności i zapobieżenia nieporozumieniom. Tymczasem Łapiński o jakimkolwiek ograniczeniu swej władzy myśleć nie chciał, a że przedstawiał typ człowieka, który ani uzewnętrzniać się nie myślał co do swych wątpliwości, planów, a nawet zarządzeń, który lubił wszystko na modłę konspiracyjną załatwiać, stała się mojem zdaniem obecność jego w sztabie poprostu szkodliwą. Kilkakrotnie zamierzałem wobec tych nieporozumień zrezygnować ze służby w dowództwie, ale przewidując, że Mączyński w otoczeniu swych przyjaciół politycznych nie gwarantuje podtrzymania nastroju bojowego, że komenda wogóle słabiej od samego początku bojowo występuje niż jej podległe formacje frontowe, że dalej Łapiński ze swym tajemniczym sposobem działania, niezwykłym uporem, a przede wszystkim nieszczęśliwymi wprost planami operacyjnymi (o czym będzie mowa później) nie rokuje potrzebnej gwarancji trafności zarządzeń dowództwa — przekonywałem się uporczywie, że powinien w komendzie pozostać, że tu ze względów personalnych i taktycznych moja obecność jest konieczną. Mogę w tem miejscu zasłużyć sobie w oczach czytelnika na zarzut pchania się do wygodniejszej służby sztabowej, „dekowania się“ za plecami frontu. Odeprę te zarzuty prostą uwagą, że lepiej niż kto inny, zdawałem sobie sprawę, iż z momentem przerwania frontu gdziekolwiek bądź nasza komenda będzie najwięcej narażoną

i że niema nawet żadnych rezerw do swej obrony. Ekspozowani członkowie dowództwa byliby najstaranniej poszukiwanymi ofiarami ukraińskimi na wypadek generalnej klęski naszej, a Rusini byli i tak dokładnie poinformowani o miejscu postoju i składzie personalnym dowództwa. Mimo to nigdy nie używałem wcale pseudonimu, tak powszechnie rozpanoszonego z początku w naszym dowództwie. Powtórę praca ta była wyczerpująca, niemal do granic wytrzymałości ludzkiej. Dość chyba powiedzieć, że w czasie od 1 do 6 listopada, ani razu nie tylko nie spałem, ale nawet na moment nie miałem możliwości zdrzemnąć się. Nie opuszczałem lokalu komendy i tylko w momentach rozejmu wpadałem dowiedzieć się do domu o losach mej rodziny, mieszkającej przez parę dni na linii frontu i poważnie zagrożonej. Pracowałem w gorączce, z wysiłkiem skrajnym, gdy Mączyński, a nawet Łapiński znikali na noce całe, by się przespać. Łapiński nawet przez kilka nocy początkowych nie donosił ani Mączyńskiemu ani mnie, gdzie nocuje, dopiero później dowiedziałem się, że znajduje się gdzieś na ulicy Murarskiej i że kazał sobie zaprowadzić do mieszkania telefon, jakkolwiek nie uważał za potrzebne donieść o tem komendzie i tylko wypadkowo się o tem dowiedziałem. Różne są natury ludzkie. Jedne w wyczerpaniu fizycznym zyskują tem silniejszą reakcję woli, tem goręcej zapalają się do zadań, inne ulegają moralnej prostracji, nerwami nie odpowiadają i w wyczerpaniu fizycznym stają się bierne i nieodporne. Sam należę do tych dziwacznych natur neurastenicznych, które w życiu codziennem są niedbałe i nieopatrne, ale im sytuacja życiowa staje się drażliwszą, tem energiczniej, bezwzględniej i bardziej stanowczo występują. Cała drzemiąca w człowieku energia wyładowuje się dopiero pod działaniem silnych, niezwykłych bodźców, pozwalających jasno i planowo opanowywać sytuację, nakazując dla siebie posłuch i podejmując decyzję. Rozumiałem, słowem, że jestem w dowództwie potrzebny. — I pozostałem. Zrobiłem dobrze. Tak mi mówił narazie głos sumienia i tak mi to wykazała późniejsza sytuacja. Byłem w komendzie rzecznikiem silnej władzy, szybkiej decyzji, stanowczym stronnikiem doprowadzenia sporu ukraińsko-polskiego na rozpozczętej drodze do końca i nie poddawania się strasznym, nieobliczalnym podszeptom władz cywilnych, prących za wszelką cenę do małodusznej ugody.

W ten sposób zaistniała w komendzie dwoistość osobowa szefów sztabu, dwoistość demaskująca się na każdym kroku, w każdym zarządzeniu, w każdym planie. Współpraca z Łapińskim była niesłyszanie trudna. W innych warunkach byłby on napewno wobec swych wysokich wartości bojowych elementem pożytecznym, w warunkach lwowskich sama jego rola już psuła harmonję porządku. Powie ktoś: każde takie określenie jest względne, jeżeli bowiem stosunek dwu szefów do siebie jest niewłaściwy, to albo jeden winien, albo drugi, albo.... co najprawdopodobniejsze obaj. Nie myślę siebie bronić. Nie chodzi mi wcale o to. Chodzi mi o samo stwierdzenie faktu, iż dwoistość istniała bez podziału resortów i że odbijało się to na zewnątrz. Co do mnie, to zawsze starałem się go informować o planach i o wydanych w czasie jego nieobecności zarządzeniach. Nieraz oddawałem mu do przeglądu teki moje, gdzie były zarządzenia operacyjne, sytuacyjne meldunki, rozkazy ogólne, czy organizacyjne. Z jego strony, ani razu nie spotkałem się z tego rodzaju informacjami co do jego działalności. Zresztą Łapiński kancelarji nie lubił, papierki nie przedstawiały dlań wagi i tylko w ostateczności chwytał za ołówek, ale wtedy z całą sumiennością, wyczerpująco się rozpisывał. Posłużmy się przykładami dowodzącymi, że ta fatalna dwoistość istniała. W dniu 5 listopada zabieram się do pisania rozkazu wewnętrznego celem unormowania służby w dowództwie i rozdzielenia referatów. Ledwo to zobaczył Łapiński, zabiera się również do pisania takiejże dyspozycji — i tak gramy „na cztery ręce”. Praca podwójna, jałowa, mało produktywna, której rezultatem przyjęcie przez Mączyńskiego mojej propozycji za wyjątkiem służby technicznej, której bliżej nie znałem.

Zdaje mi się 7 listopada wieczorem, wobec szeregu telefonicznych meldunków Bujalskiego, że składa komendę, że nie może przyjąć dalszej odpowiedzialności za akcję, że zbliża się koniec, udaję się pośpiesznie autem do niego, by naocznie się przekonać o sytuacji i wspomóc zdenerwowanego dowódcę. Tymczasem w parę minut wpada do nas Łapiński i ze swej strony, nie oglądając się na to, co już zadecydowałem, zaczyna nowe zarządzenia wydawać. Odwołuję go nabok i tłumaczę, że tak być nie może, że dowództwo samo niema teraz nikogo, że obaj w Domu Techników jesteście zbędni, że sytuacja bynajmniej

nie jest rozpaczliwa, że trzeba będzie Bujalskiego zastąpić jakimś energiczniejszym dowódcą, co zresztą później na jakiś czas nastąpiło przez oddanie komendy Dzieduszyckiemu, — nic nie pomaga, Łapiński, jak głuchy, nie reaguje na przedstawienia — i dalej robi swoje. Kiedy indziej ja znowu wpadałem na kark Łapińskiemu w Szkole Sienkiewicza, czy u Monda.

Słowem ta dwoistość nie przynosiła owoców korzystnych. Tok służby wewnętrznej na tem cierpiał, a nawet nazewnątrza dała się ona ujemnie odczuć.

W przeciwieństwie do komend odcinkowych, które niemal kancelaryj nie prowadziły, cały ciężar pracy biurowej spoczywał na Komendzie Naczelnej. Ona w sobie całą tę pracę koncentrowała, uwalniając od niej wszystkie komendy podległe. Schodziły one tem samem niemal wyłącznie do roli komend taktycznych, ograniczających swoje rozkazodawstwo do strony wyłącznie operacyjnej. Cała służba wywiadowcza, intendentury, służb technicznych, łączności, spraw sanitarnych, a dalej referatu politycznego, prasowego, tu wyłącznie się skupiła. Stąd szły wszelkie rozkazy w potrzebnej ilości kopij, by dotrzeć wprost do najniższych jednostek taktycznych.

Tu dniem i nocą wrzała niezwykła praca kilkudziesięciu ludzi, stwarzając niezmiernie bogaty, różnorodny, pełen oryginalnej inicjatywy obraz formowania się coraz bujniejszego tej niezapomnianej maszyny, jaką stanowiła Naczelna Komenda. Dość powiedzieć, że protokół dzienny samego tylko oddziału organizacyjnego i operacyjnego wynosił dziennie 100 do 200 pozycji, a że każdy referat prowadził oddzielną kancelarię, odrębny protokół, więc razem całe archiwum składało się na ogromną całość, której dziś pamięcią ogarnąć nie sposób.

Taki oddział organizacyjny gromadził z pedantyczną ścisłością rozliczne rozkazy, raportyienne i okolicznościowe w zakresie stanu liczebnego poszczególnych grup, formacji i załączników podległych. Powierzony był pracowitemu por. Sokołowskiemu, podczas gdy ppor. A. Rutkowski, w sposób wyjątkowo przeglądowy, umiał zestawiać codziennie wieczorem jako referent operacyjny całą działalność bojową poszczególnych odcinków i całości na tle wydanych rozkazów. Poprostu z zamiłowaniem namiętnego historyka przygotowywał ppor. Rutkowski

cały surowy materiał archiwalny dla późniejszego opracowania tych niezwykłych chwil w dziejach Lwowa.

I oto jest rzeczą niezmiernie ciekawą, jak to później bliżej rozpatrzmy, że z początkowego chaosu wytwarzający się system pracy nabrał specyficznego wyglądu. Oto do samego końca utrwaliła się w Komendzie listopadowej we Lwowie charakterystyczna forma decentralizacji władzy. Wszystkie służby pracowały oddzielnie, niezależnie i współrzędnie, to znaczy, że wydawały zarządzenia, odnoszące się do innych oddziałów sztabu jak do stron. Szczególnie oddział techniczny starał się do końca zachować pełną niezależność nawet od obu szefów sztabu. Dochodziło do tego, że wszelkie zarządzenia wychodziły z dowództwa bez podpisu dowódcy, lecz tylko z podpisem naczelnego referenta, np. sprawy intendenckie załatwiał wyłącznie Grodyński, techniczne Kudelski, informacyjne kpt. Kmita. Tylko akta natury mniej pilnej przedkładano do podpisu dowódcy na wieczornej odprawie referentów w dowództwie.

Wyrazem zewnętrznym tego stanu rzeczy był fakt, iż w pierwszych dniach bojów listopadowych podpis dowódcy „Czyńskiego“, którego to pseudonimu używał Mączyński, był niezwykle rzadki. Dziennie zaledwo kilka takich rozkazów wychodziło nazewnątrz. Nawet oddział organizacyjny i operacyjny wydawał zarządzenia z podpisem tylko jednego lub drugiego szefa sztabu, ale i tu podpis dowódcy był rzadkością. Z czasem zaistniał nawet system, polegający na tym, że obaj szefowie sztabu w pełni zastępowali dowódcę. Kto miał więcej inicjatywy, ten wydawał więcej zarządzeń i te z czasem stawały się zawiązką dalszej, nieraz bogatej rozbudowy, co prawda improwizowanej, ale na ogół trafnej i celowej. Niejedno działo się doraźnie, pośpiesznie, bez wiedzy dowódcy, a nawet szefów sztabu. Dopiero po kilku dniach wprowadzono „parafy“, jako widomy znak jednolitości służby. Słowem początkowo istniała pełna niezależność służb od obu szefów sztabu i jedynie codziennie wieczór odbywane odprawy informowały ich i dowódcę o postępie rozwoju i sytuacji w oddziałach sztabu. Poza tem obaj szefowie, rzecz zrozumiała, wywierali wpływ bezwzględny na tok rozporządzeń służb w drodze telefonicznej lub osobiście wkraczając w miarę potrzeby.

Ogólnych, zbiorowych rozkazów dziennych w Komendzie nie było. Każda ze służb wydawała je oddzielnie, dając odpis szefom sztabu. Każda ze służb miała swą odrębną kancelarię, większość z nich nawet adjutantów, własny protokół, własną ewidencję ludzi i materiałów. Stopniowo zasięg władzy szefów sztabu rósł, przejmując w swój zakres coraz więcej służb. Najłatwiej poszło z oddziałem informacyjnym. O wpływ na oddział techniczny i intendenturę trwały dłuższe zatargi, ale mimo wszystko aż do końca lotnictwo i służba łączności pod względem organizacji pozostały przy oddziale technicznym, jedynie operacyjnie podległe były szefom sztabu.

Słowem centralizacja stopniowo, przy znacznym oporze oddziałów sztabowych, kupiła się coraz silniej w rękach szefów sztabu, którzy wspólnie, we wspólnych aktach, zastępując się nawzajem, pełnili służbę, na ogół bez tarć widocznych.

Łączność w dowództwie była wprost idealna, w normalnych dowództwach nie do osiągnięcia. Sprzyjała temu niezwykle gęsta sieć telefoniczna, znakomicie zorganizowana i bez zarzutu funkcjonująca, doprowadzona na całej przestrzeni do najdrobniejszych placówek. Wspomagała ją przytem wielka obfitość sprytnych i chętnych nieletnich łączników z kompani sztabowej, którzy z błyskawicznym pośpiechem przenosili rozkazy. Wystarczy zauważyć, że bywały wypadki, iż w kilka minut po zażądaniu pomocy zajeżdżały już rezerwy do dyspozycji zagrożonych odcinków.

Jest jedna okoliczność, która od samego początku przez przeciąg trzech dni trwała i właśnie dlatego nie potrafiła a limine obudzić w podwładnych tego zaufania, jakim winna się cieszyć każda władza wojskowa. Oto zrazu Komenda nie miała swego stałego miejsca postoju, była wprost nieuchwytna, przrzucała swą siedzibę z miejsca na miejsce, nieraz nie zostawiając nawet łączników. Zaznaczyłem już poprzednio, że w nocy z 1 na 2 listopada, w łączności z obu walczącymi placówkami, powstała w mieszkaniu ppor. Rutkowskiego na ul. Nabelaka ekspozytura Naczelnej Komendy, sama zaś Komenda w owym czasie jeszcze nie zorganizowana, a właściwie reprezentowana tylko przez Mączyńskiego i Łapińskiego, gdyż cywilnych członków Komendy w rachubę brać nie mogę, przebywała gdzieś w ruskim Lwowie, gdzie Mączyński oddawał się naradom z two-

rzącym się Komitetem Narodowym. Nic dziwnego, że bezradna ekspozytura nie mając dyspozycji i dostatecznych wiadomości sytuacyjnych nie mogła należycie funkcjonować. W dniu 2 listopada rano została przeniesiona do lokalu filji Politechniki na tejże ulicy pod l. 22, gdzie jednak bawiła krótko, zaledwo zdążywszy się jako tako zorganizować, gdyż niespodziany atak ukraiński, idący wzdłuż ulicy Lenartowicza i Nabelaka, a z boku od remizy tramwajowej wzdłuż Wuleckiej, wypłoszył ją i na parę godzin rozprószył. Zajęty w tym czasie „na froncie” na ulicy Nabelaka i Żmurki, wreszcie Lenartowicza, musiałem po uspokojeniu się sytuacji odczekać na zjawienie się stopniowo poszczególnych członków. Wnet jednak, bo o godzinie 2 popołudniu nastąpiło zawieszenie broni, a z tym momentem kazał Mączyński komendzie przenieść się w całości do lokalu Towarzystwa pedagogicznego na ul. Zimorowicza i tu przez dłuższy czas niemal beczynnie zgrupowała się gromadka ludzi w wyczekiwaniu wyników obrad dowódcy z przeklętym, moim zdaniem, Peka-nem. Stąd wrócono na ulicę Nabelaka, by zaraz przenieść się stąd na ul. Grunwaldzką, zrazu pod l. 8, później pod l. 9. Nie potrzebuję podkreślać specjalnie, że tego rodzaju przerzucanie siedziby dowództwa, odbijać się musiało, naprzód na opóźnieniu w jego organizacji wewnętrznej, gdyż były rzadkie i krótkie momenty, gdy zbierali się wszyscy, a przynajmniej większość członków dowództwa, powtórze uniemożliwione było poprostu wszelkie kierownictwo oddziałami, gdyż dorywcze, nieliczne dyspozycje Mączyńskiego w owym czasie (skierowanie kpt. Trześniowskiego do Rzęsny Polskiej, o czym dopiero dowiedziałem się conajmniej w 24 godziny później, oddanie komendy w Domu Techników por. Bujalskiemu, kosztem znakomitego peowiaka Wasilewskiego, afera dworcowa) — wszystko to nie było w należyty sposób opracowane i powiem szczerze, zgoła nietrafnie zarządzone.

Dlatego to oceniam ogólnie proces organizowania się Naczelnej Komendy, jako opóźniony w stosunku do organizowania się odcinków, stąd jako nadążający wtyle za sytuacją, skutkiem czego nie mogła ona stanąć na wysokości zadania i cieszyć się potrzebnym zaufaniem. Zarzutów moich bynajmniej nie może osłabić fakt, iż w owym czasie przeciwko Komendzie nie występowano lub że rozkazy jej były uznawane, pominąwszy rzadkie

objawy niesubordynacji, o których była już uprzednio mowa. Fakt ten dowodzi tylko, że ochotniczym formacjom lwowskim chodziło o rzecz samą, nie o formę jej przeprowadzenia. Mam wrażenie, że było opinią niemal zgodną bojowców... „niech sobie jakakolwiek Komenda Naczelna powstaje. My z nią lub bez niej będziemy się starali wyżenąć Rusina ze Lwowa“.

5. SPRAWY MOBILIZACYJNE.

Rozpoczynając walkę nie miał Lwów gotowych sił bojowych. Przeciwwstawić się Ukraińcom, znaczyło stworzyć armję i ją uzbroić. Wszystko inne było funkcją niemal matematyczną powyższego założenia. Im szybciej i silniej potrafimy zorganizować armję, tem większe będą szanse doraźnego zlikwidowania afery ruskiej we Lwowie, tem energiczniej i na tym szerszym terenie będzie można operacyjnie działać.

Tymczasem powolny rozwój samej Komendy w jej organizacji wewnętrznej wprost opóźniał ogólne tempo rozwojowe wypadków lwowskich i kazał źle wróżyć o możliwości szybkiego zorganizowania sił zbrojnych. Można zaś było wykonać tę rzecz szybko i składowie, słowem po wojskowemu, ale trzeba było mieć siłę decyzji, wiarę w ryzyko przedsiębrane i nie oglądać się broń Boże na „legalność“ rozporządzeń z chwilą, gdy już zamach stanu, tak z jednej, jak i z drugiej strony zaistniał. I nie potrzeba było uciekać się do gwałtów, do jaskrawych czy zakapturzonych naruszeń uświęconych praw wojowania. Można było, czy w pierwszym, czy w drugim, czy nawet trzecim dniu walk, bez przeszkód ze strony ukraińskiej, w drukarni któregośkolwiek z dzienników (wszak nigdzie jeszcze Rusini nie urządzili rewizji, a przypuszczam, że chyba „Słowo Polskie“ nie mogłoby mieć nic przeciw temu), wydrukować odezwę mobilizacyjną i z miejsca ostro, stanowczo i bezwzględnie wystąpić przeciw zamachowi ruskiemu, a nie wyzyskiwać dopiero sytuacje wytworzone przez powstanie placówek bojowych w Domu Techników i Szkole Sienkiewicza, pod których osłonę ostatecznie Naczelna Komenda się schroniła i skąd zwolna dopiero zaczęła coraz śmielej działać. Przypuszczam, że taka odezwa mobilizacyjna już w pierwszym dniu wydana, zrewoltowałaby całe społeczeństwo, oglądające się przecież nie za ruchem młodzieży,

ale za krokiem jakiejś choćby pozornej władzy polskiej, a z drugiej strony oddziaływałyby bezwzględnie deprymująco na Rusinów, którzy lękliwie i w zdenerwowaniu stawiali pierwsze kroki zamachowców.

Jest to niezaprzeczoną winą Naczelnej Komendy, że nie umiała wystąpić doraźnie, z potrzebnym tupetem, z otwartą, powiedzmy, przyłbicą. Mam wrażenie, że niezdecydowany charakter postępowania Mączyńskiego w początkowej fazie powstania miał dwojakie uzasadnienie. Po pierwsze, brak chęci wzięcia na siebie odpowiedzialności za udanie się całej akcji, wyraźna wprost niechęć do oficjalnego wystąpienia w pierwszych krokach nie mogły oczywiście przyczynić się do zdecydowanego wystąpienia całego społeczeństwa polskiego, które — rzecz zrozumiała — miało przecież gorącą chęć zmanifestowania palących go pragnień, ale szukało oparcia w jakiejś władzy, w jakimś nakazie. Żadne ustne konwentyklowe dyspozycje takiej ogólnej, powszechnie znanej, śmiałej decyzji zastąpić nie mogły i dlatego też z miejsca żywiołowego ruchu we Lwowie nie wywołały.

Drugim czynnikiem, który oddziałwał potężnie na całość biegu wypadków, było nieszczęsne związanie się Mączyńskiego ze sferami politycznymi, które miały osłonić jego rewoltę i przejąć na siebie prawo reprezentowania woli społeczeństwa miejscowego. Skoro bowiem Mączyński nietylko nie przeszkadzał utworzeniu się władz cywilnych, jako władzy suwerennej na terenie Lwowa, ale niewolniczo oddał się jej do dyspozycji z całym tworzącym się aparatem armji, tem samem zadecydowane zostały dalsze następstwa tego kroku. Z tą chwilą bowiem nie mógł Mączyński wydawać zarządzeń obowiązujących ludność, jego rozkazodawstwo musiało się z konieczności ograniczać do armji i jej interesów, a co najwyżej mógł sobie w Komitecie Narodowym zapewnić, by żadne decyzje nie zapadały bez jego wiedzy i zgody. W ten sposób cała siła wpływu na społeczeństwo cywilne wymknęła mu się z ręki.

Jest rzeczą jasną, że tylko władza główna t. j. Polski Komitet Narodowy mógł w takich warunkach mobilizację ogłosić. Tymczasem Komitet poprzestał jedynie — i to dopiero dnia 3 listopada — na opublikowaniu faktu swego zaistnienia i krótkiego wezwania całej ludności męskiej, cywilnej i wojskowej,

„aby bezzwłocznie zgłaszała się do szeregów polskich“. Czy takie wezwanie było równoznaczne z aktem mobilizacyjnym? Chyba każdy nieuprzedzony przyzna, że nie. Niema tego charakteru ani rozkaz mobilizacyjny z 4-go, ani jego niefortunne uzupełnienie z dnia 5 listopada. Dlaczego? Dlatego, że nie było poparte żadnym aktem wykonawczym. Były to poprostu akademickie, ideowe odezwy, których słuchał, kto chciał, nie słuchał, kto nie chciał. Gdyby przecież było inaczej, byłyby niepotrzebne wszelkie późniejsze grzmiące patosem wiecowym wołania: Do broni (np. odezwa z dnia 12 listopada pod tytułem: „Do szeregów“) — wydane nie tylko przez Naczelną Komendę, ale i przez cywilny Komitet bezpieczeństwa i ochrony dobra publicznego (z dnia 6 i 12 listopada) lub Komitetu obywatelskiego VI Okręgu lub Obywatelstwa miasta Lwowa, a tem mniej... Zjednoczonych Komitetów Kobiet polskich. Wszak gdyby mobilizacja była wykonywaną, gdyby rzeczywiście do komisij poborowych zgłaszała się każdy, kto był powinien, to oczywiście wszelkie takie głosy, jako niepotrzebne, musiałyby zamilknąć. Widać, że społeczeństwo samo wewnątrz czuło, że siły bojowe nie są bynajmniej wyrazem liczebności naszych kandydatów do wojska i że trzeba nieudane kroki Naczelnej Komendy popierać odezwaniami, mającemi obudzić moralnie głos sumienia każdego poborowego.

Mojem zdaniem należało mobilizację ogłosić na całej przestrzeni Lwowa, nie tylko w polskim mieście. Należało ją ogłosić od razu, bez żadnego wahania się, bez oglądania się na tworzące się władze cywilne. Przeprowadzenie tej mobilizacji należało powierzyć na terenie Lwowa polskiemu choćby najstarszemu rocznikom zmobilizowanym i, tak jak się stało, komisjom poborowym. Teren w ruskich rękach należało ustawicznie, przy każdej okazji (zawieszenie broni, samoloty, etc.) wziąć w opiekę i zapowiedzieć ostro, że uchylanie się od służby będzie karane. Gdyby ludność męska we Lwowie znalazła się między młotem ruskim a naszym kowadłem, nie przypuszczam, by traciła choć trochę czasu na namysł. Tak jednak, jak się działo, było całkiem źle i nieudolnie. Cała akcja mobilizacyjna była prowadzona wspólnie z resortem nieszczęsnego referatu politycznego, który ani przez wojskowych nie był prowadzony, ani też nie podlegał szefom sztabu. Inż. Widomski był przecież od samego początku „trzecim“ szefem sztabu z nominacji Mączyńskiego,

jakkolwiek później tego tytułu nie używał wobec naszych przeciwników. W rzadkich tylko momentach było nam dane dowiadywać się o zarządzeniach biura politycznego i wpływać, o ile się udało, na ich działalność.

Pomijam już sam fakt dowodzący, że mobilizacja złożona była w niewłaściwe ręce, iż dopiero pod koniec czwartego dnia walk zdecydowała się Naczelna Komenda wystąpić z aktem mobilizacyjnym, ale nawet przeprowadzenie aktu było wprost rozpaczliwe. Przedewszystkiem prócz Widomskiego zgromadziła się tu kompanja przyjaciół w rodzaju St. Dąbrowskiego, St. Bryły i kilku innych, którzy stanęli na stanowisku doktrynerskim, że mobilizacja jest właściwie tylko czczą demonstracją, że jest aktem zbytecznym, gdyż Lwów dostarczył obrońców więcej, niż można było się spodziewać. Dąbrowski liczbowo udowadniał, że Lwów jako miasto posiadające tyle i tyle ludności polskiej (gdyż ta tylko mogła wchodzić w rachubę), dał tyle i tyle marszowych bataljonów na potrzeby wojny światowej, tylu i tylu ludzi odpadło przy przeglądach, jako niezdatnych do służby wojskowej, tylu i tylu wróciło jako rannych i inwalidów, tylu zostało zabitych w wojnie światowej, z czego wszystkiego jako wynik ogólnego rachunku okazywało się, że Lwów może wystawić armję złożoną z sześciuset najwyżej żołnierzy zdolnych do służby frontowej. O ironjo! Wszak jako prosty wniosek powyższego rozumowania należało wyciągnąć konsekwencję, że obsada nasza, jako licząca blisko 2000 żołnierza w służbie frontowej, winna była... rozpuścić 1400 ludzi.

Jasna rzecz, że ludzie, którzy z takimi uprzedzeniami i „załoženiami“ przystępowali do czynności w komisjach poborowych, nie mogli wywiązać się w sposób przyzwoity ze swego zadania i rzecz naturalna, że przy tak przeprowadzonym poborze, choćby nawet maszyna jego dobrze funkcjonowała, nie było można rokować nadziei na wybitniejszy przyływ rekruta. I działo się źle.

Po pierwsze, komisje działały zbyt oględnie. Szereg osób, które nie chciały służyć, a należały do inteligencji, o ile wyraźnie nie podkreślały, że chcą służyć na froncie, zaliczane były do kategorii B, C lub D, (nie wiem, czy te 4 kategorie utrzymywały się przez cały czas funkcjonowania komisyj) i zależnie od tego przydzielano je do służby etapowej, wartowniczej, czy

nawet milicyjnej. Zresztą nikt nie miał obowiązku wykonywania zleceń komisij poborowych, bo kontrola i dozór dalszy szwankowały straszliwie. Kary za uchylanie się od służby wogóle nie były wyznaczane i nie słyszałem ani o jednym wypadku, by kogokolwiek ukarano. A niema powodu ukrywać, że takich faktów były legjony. Szeregi całe legitymowały się przydziałem do różnych pomocniczych organizacyj, do najróżnorodniejszych magazynów, warsztatów, fabryk, milicij, komisij obywatelskich i t. p. Słowem nie waham się zaryzykować twierdzenie, że kto chciał się uwolnić od służby wojskowej, ten miał do tego wszelką sposobność. Z pewnością, tak łagodnie funkcjonujących komisij poborowych chyba w naszych czasach nigdzie nie było. Mam wrażenie, że i komisja poborowa czuła wewnętrznie to samo, gdyż inaczej, jak pewnemi wyrzutami sumienia, nie można nazwać faktu, iż zgadzała się ona na szereg owych płomiennych odezw, które przecież same przez się już powagę komisji poborowej dyskredytowały, a przecież ta sama komisja uznała rację i potrzebę ogłaszania takich płomiennych wezwań.

Nie potrzeba chyba dodawać, że i personel takich komisij był liczny, aż nazbyt liczny. Wieszał się przy nich szereg oficerów linjowych, którzy uchylając się od służby frontowej, chyba nie dawali przykładu poborowym.

Z ramienia Komendy Naczelnej występował jeden tylko płk. Jasiński, a przypuszczam, że sumienny ten oficer, ale nie nawykły do pracy w chaosie i nie orjentujący się w położeniu, stawał się pionkiem w rękach... polityków i doktrynerów.

Po drugie, komisje te nie postarały się o stworzenie aparatu potrzebnego do przeprowadzenia mobilizacji. Jak szwankowała tu ewidencja przytoczę fakt taki, iż sam osobiście dostałem kartkę mobilizacyjną, którą z całym pietyzmem przechowuję, — bym się stawił przed komisją poborową... w dniu 16 listopada. Mam tu nietylko jaskrawy dowód, że ewidencja była prowadzona do tego stopnia niedbale, że nie wiedziano, kto służbę już pełni, a kto jeszcze nie, ale najważniejsza rzecz, że dopiero... w dwunastym dniu mobilizacji zawiadomienie dochodziło do poborowego. Słowem aparat funkcjonował ospale, niedbale i niesumiennie.

6. STOSUNEK DO WŁADZ I ORGANIZACJI CYWILNYCH.

Przyglądnijmy się teraz wypadkom lwowskim nie z punktu widzenia władz wojskowych, ale ze stanowiska polityki polskiej i ogólnej myśli narodowej. Coprawda nie jestem w tym kierunku biegłym, jak to już raz zauważyłem, ale sądzę, że wypadki lwowskie dopuszczają tego rodzaju punkt widzenia i że tak oglądane pozwolą nam wysnuć wnioski daleko idące na temat oceny samych wypadków bojowych.

Jako wojskowy miałem ówczesnie minimalną możność i chęć stykania się ze sferami politycznymi, tem więcej, żem odczuwał w sposób nader przykry całą kłutwę tego stosunku. Wolałem się uchylać od styczności z naszymi władzami cywilnymi i tylko z konieczności, zniewolony sytuacją brałem niekiedy udział w obradach.

Za cały stosunek Naczelnej Komendy do tworzącego się przy jego współdziale Polskiego Komitetu Narodowego jest Mączyński osobiście i wyłącznie odpowiedzialny.

W szczegółową ocenę działalności Polskiego Komitetu Narodowego nie będę tu się wdawać, poprzestanę jedynie na omówieniu najdrażliwszych spraw, jakie wytworzyły się na tle stosunku władzy wojskowej do władzy cywilnej i jakie były tego następstwa.

Ponieważ akcje P. K. N-u w zakresie rokowań z Rusinami przedstawione są dokładnie u Mączyńskiego, odsyłam w tych sprawach czytelnika do niego, zajmę się jedynie oceną wpływu P. K. N-u na naszą Komendę. Przedewszystkiem jednak podnieść muszę oryginalne stanowisko Mączyńskiego, jako autora „Bojów lwowskich”. Mączyński wyraźnie uznał władzę Komitetu jako rządu miejscowego, a władza ta publicznie ogłosiła w dniu 3 listopada, że „zamianowała Komendę Naczelną Wojsk Polskich we Lwowie”, to samo stwierdza dr. Dubanowicz w swoim raporcie¹⁾, to samo stwierdza szereg ogłoszeń i publikacji urzędowych, że ona mianowała Mączyńskiego i że z jej ramienia on występuje. Fakt ten, przypuszczam, dla wszystkich walczących podówczas był wypadkiem... nic nie znaczącym.

¹⁾ Mączyński, l. c., cz. I, 275 sq.

Wszak każdy z ochotników chyba doskonale zdawał sobie sprawę z tego, iż takim samym zamachem, jaki oni urządzają przeciwko porządkowi narzuconemu przez Ukraińców, jest zamach cywilny jakichś komitetów, wojujących... odezwaniami z Ukraińcami.

Podczas wojny im niebezpieczniejsze jest położenie wojskowe, tembardziej musi pokutować normalny ustrój danej jednostki państwowej, tembardziej musi rezygnować władza cywilna ze swych prerogatyw na rzecz armji. Rzecz to znana, powszechnie uznana za słuszną, jedynie wskazana i od wieków uświęcona. Z czasów wojny światowej mogliśmy się dobrze przekonać o jej sile działania, która potrafiła nawet tak niezdarne organizmy państwowe jak Austrię do samego końca wyczerpującej wojny w ryzach utrzymać, tego samego objawu byliśmy później świadkami w czasie najsilniejszego napięcia walk w czasie ofensywy bolszewickiej, tego samego wzoru trzymali się wreszcie Ukraińcy z chwilą, gdy Lwów wpadł w ich ręce. A my? My zamiast wyteżyć wszystkie siły dla stworzenia organizacji militarnej możliwie szybko i doraźnie, miast ustanowić stan oblężenia, stan wojenny z wszystkimi korzyściami wynikającymi stąd, zlekliśmy się zarzutu „soldateski“, zaczęliśmy organizować reprezentację cywilną z uwzględnieniem przedstawicieli wszelkich partij i partyjek politycznych i my jako wojsko musieliśmy, a raczej zostaliśmy zmuszeni uznać w niej naczelną władzę polską, której komenda wojskowa musi słuchać. Przecież 10 listopada „dla uspokojenia opinij publicznej“ ogłasza Prezydium Komitetu bezpieczeństwa i ochrony dobra publicznego odezwę, w której na naczelnem miejscu podaje się do wiadomości ogółu, że „Komenda Naczelną W. P. oświadczyła, że uważa swą rolę za przejściową, wywołaną wyjątkową sytuacją we Lwowie i zastrzegła się, że niema zamiaru arogowania sobie praw dyktatury wojskowej“. I pod tą odezwą podpisuje się odpowiednie Prezydium Komitetu tak, jakby ono nie było równie samowładczą władzą, jakby nie potrzebowało się usprawiedliwiać z faktu, że wzięło rządy w swe ręce. W odezwie tej dopatrzyć się można tylko chęci naruszenia powagi władzy wojskowej, a tem samem osłabienia znaczenia jej zarządzeń. Rozumiem, że tego rodzaju oświadczenie mogłaby tylko sama władza wojskowa złożyć, ale nigdy w jej imieniu jakiś również

samozwańczy komitet, który zresztą istniał... jedynie dzięki łasce władzy wojskowej, dzięki sytuacji, jaką ta ostatnia wywalczyła a przede wszystkim dzięki jej niezaradności.

Jeżeli tedy stwierdzamy, że władza wojskowa we Lwowie miała prawo rozkazodawcze tylko w łonie tworzącej się armii, to chyba jasno zrozumiemy, że rola jej była trudna, gdyż nie tylko trzeba było walczyć z wrogiem orężnym, ale trzeba było ścierać się z opiniami, jakie bądźto w sejmie lwowskim t. j. w Pe-kaenie, względnie w rządzie t. j. Komitecie bezpieczeństwa się pojawiały. A że z ramienia wojska działał ów nieszczęsny referat polityczny, więc nic dziwnego, że wytwarzały się sytuacje, w które, jak do matni, zapędzano od czasu do czasu niezaradną Komendę Naczelną a cała jej akcja wojenna fatalnie na tem cierpieć musiała.

Prostą wydaje się rzeczą, patrząc z odległości na wypadki lwowskie, że można było postąpić inaczej, że nie należało w interesie sprawy dopuścić do tego rodzaju niewłaściwości, ale na usprawiedliwienie całego wojska podam, że działało się to wszystko bez jego wiedzy i woli, że w imieniu wojska polskiego Mączyński zezwolił na utworzenie tych organizacji i że w następstwie trzeba było tylko pokutować, przemyśliwując tylko, jakby szkodliwy wpływ ich na sytuację bojową zmniejszyć do minimum.

Nie wiem dlaczego Mączyński obawiał się przyjęcia dyktatury wojskowej. Chybaby ze strony tych, którzy chcieli walczyć z Ukraińcami nie napotkał żadnego sprzeciwu, podobnie jak nie napotkał go w P. O. W. czy u byłych legjonistów w chwili objęcia dowództwa. Wszak różnica między naczelnem dowództwem oktrojowaniem w prawach swych rozporządzeń, a jawną czy maskowaną dyktaturą nie byłaby kwestją nieporozumień. Rzecz taka wyszłaby napewno całej sprawie na dobre. Chyba zatem Mączyńskiemu brakło tchu na myśl o hazardzie, jakimuby się musiał poddać, chyba nie czuł się na siłach, że coś takiego potrafi dokonać, chyba, że szukał pomocy i opieki ze strony swych przyjaciół politycznych, chyba, że chciał z kimś dzielić wielką odpowiedzialność władzy. O ile byłoby praktyczniej przejąć na rzecz armii w niepodzielny sposób kwestję pertraktacyj z Ukraińcami, o ileżby wszelkie zabiegi nad spokojem i apro-wizacją polskiego Lwowa byłyby uproszczone, gdyby w naszej oblężonej twierdzy społeczeństwo całe zostało zmilitaryzowane,

gdyby reprezentacja wojskowa dobrała sobie cywilne komitety czy też mężów zaufania i gdyby w imieniu armii wszelkie czynności były dokonywane, słowem — gdyby w zależności od niej, wszelka władza cywilna występowała. Możliwe, że gdyby na miejscu Mączyńskiego była inna bardziej przedsiębiorcza i zdecydowana jednostka, to taki stan by zaistniał, możliwe nawet, że zaczęłyby urzędować i sądy doraźne, możliwe, że nawet prawdziwa „soldateska” dałaby się na pewien czas we znaki, ale uratowałoby się bezsprzecznie Lwów od setek ofiar strasznej wojny i barbarzyństwa, byłoby ogólnego przelewu krwi mniej, szybciej załopotałby orzeł nad nieszczęsną krainą i szybciej ludzkość przysłababy do opamiętania. Dyktatura wojskowa musiała przyjść jako logiczna konsekwencja powziętego pierwszego kroku i rzeczywiście przyszła, ale... po pogromach, przyszła zapóźno, przyszła nie w drodze przewidywania wypadków, ale jako jedyne następstwo wybuchłych już niepokojów w sposób zaiste w Polsce nieznany. I ucierpiał na tem honor imienia polskiego, gdyż musieliśmy być w następstwie przesłuchiwań w sądach specjalnych komisij, które na bruk krwawy zjeżdżały badać powody i szukać winnych przewinienia. Tak, 23 listopada zostały sądy doraźne wprowadzone, czyli innemi słowy władza stłumienia zaburzeń złożona wreszcie została w ręce władz wojskowych. I szargano imieniem lwowian przed trybunałem świata, oskarżając nas o zbrodnię rabunków i pogromów, nas, cośmy nie umieli nakłonić Mączyńskiego, by zdecydował się objąć władzę bez ograniczeń. Oskarżano nas poprostu o nieumiejętność władzy, o słabość niewojskową.

Jakiż był tedy stosunek wojska do Polskiego Komitetu Narodowego? Odpowiem krótko i jasno: takim, jakim i nasza władza wojskowa, takim, jakim i sam Komitet: niezdecydowany, niepewny, z momentu na moment inny. Nie jest to gołosłowne oskarżenie, ale podam dostateczną ilość faktów. Z pewnością będzie to właściwie część tylko we wiązance ogólnych zdarzeń, gdzie władza wojskowa nie występowała tak, jak powinna była z chwilą, gdy raz uznała się jej służebnicą. Należało bowiem albo zamach stanu urządzić na P. K. N. i Komitet bezpieczeństwa, albo już lojalnie i ślepo im ulegać, ale nominalna uległość im, a faktyczna niezależność, jak to wielokrotnie Naczelna Komenda dokumentowała, dowodziła, że stosunek obu władz nie był w po-

rzędu. Oczywiście nie było tu złej woli ze strony komendy wojskowej. Broń Boże. Był tylko chaos z jednej i drugiej strony, a nadto po stronie suwerena nieraz przestrah paniczny, graniczący z obłędem, jakkolwiek były wysiłki ludzi o najlepszej chęci i woli opanowania sytuacji. Wszystko się działo jak na jakim partykularzu. Wszyscy się niemal znali i znające się grupki starały się niewygodne jednostki odstawiać, unieszkodliwiać. Faktem jest, że ten dziwaczny stosunek sfer wojskowych do „suwerenów“ cywilnych uległ zupełnej zmianie z chwilą uwolnienia Lwowa, gdyż wtedy życie społeczne wróciło do swych norm zasadniczych, miasto objęły z powrotem władze miejskie, w namiestnictwie objął rządy Delegat Rządu, a wojsko uwolniło się od tego straszego koszmaru, jaki ciążył na nim za czasów Mączyńskiego.

Szukajmy przykładów tego niezwyklego stosunku.

Zacznijmy od spraw drobniejszych, choćby bez uwzględnienia chronologii. W dniu 20 listopada donosi kpt. Kazimierz Bartel, komendant techniczny Dworca Głównego, kartą służbową treści następującej:

„Bierny opór wśród kolejarzy musi być złamany, choćby środkami przymusowymi. Ogromna większość tych ludzi nie robi nic i nie chce podjąć się żadnej pracy. Należałoby ogłosić, że kolejarze, którzy nie będą powolni rozkazom wojska, zostaną ze służby wydalen... Proszę o wydanie odezwy i rozlepienie jej na murach“.

Jest to głos człowieka, który sam wyszedł z grona słusarzy kolejowych, głos ze wszechmiar miarodajny, głos dobrego i prawego obywatela. I cóż nato robi Komenda Naczelna? W rzeczywistości nic. Posyła się z biura propagandy i politycznego ludzi, odnosi się do Komitetu bezpieczeństwa, bo to jego agendy. Kpt. Bartel wnosi rezygnację. Tej oczywiście się nie przyjmuje. I rzecz pozostaje niezafatwioną. Więc z jednej strony leje się krew naszych bojowców, a z drugiej sroży się sabotaż bezkarny, masowy, zorganizowany. Fakt ten dowodzi dosadnie, że Komenda nie umiała, czy też nie chciała brać na siebie odpowiedzialności za „nieobliczalne“ następstwa, jakieby mogło ewentualnie energiczniejsze i bardziej stanowcze wystąpienie przynieść.

Albo inny lepszy fakt, o którym zresztą częściowo już wspominałem. Trzy wyroki śmierci na bandytach, którzy na Dworcu Kleparowskim rabowali magazyny żywnościowe, zostały wykonane przez kpt. Wiktora najzupełniej nielegalnie, gdyż kpt. Wiktor nie miał prawa ogłaszania sądów doraźnych. Ale Komenda, ratując go, sama później opublikowała ogłoszeniami wyroki te, jako pochodzące od sądu doraźnego. Nawiasem dodam, że fakt ten wywarł odpowiednie wrażenie, tak że w przyszłości nie zdarzył się tam ani jeden wypadek rabunku zresztą słabą wartą bronionych magazynów. Czyn więc, jakkolwiek nielegalny, wywarł swój potrzebny skutek. A teraz weźmy pod uwagę, że kpt. Mączyński również bez upoważnienia władzy suwerennej nie miał prawa ogłaszania sądów doraźnych. Fakt poddania się w zależność od Pekaenu nie pozwalał w zasadzie na taki krok „soldateski”. Innymi słowy, Komenda popełniła wobec swej władzy czyn, który delikatnie moglibyśmy skwalifikować, jako przekroczenie władzy.

Naodwrot weźmy wypadki, które wydarzyły się na Dworcu w dniu 3 i 4 listopada. Przed opisem tego, co się tam działo, wolę złamać pióro — mówi Mączyński. Zaiste obraz piekła na ziemi. Oto motłoch podmiejski rabuje w sposób bezprzykładowy Dworzec, a dowódca osobiście stwierdziwszy ten ohydny stan rzeczy wydaje „odpowiednie rozkazy”¹⁾. Na czym ich odpowiedzialność polegała, nie wiem, ale to wiem, że olbrzymia część magazynów została rozgrabioną i nikt narazie nie próbował karać na miejscu rabusiów, później dopiero strażę otrzymały polecenie strzelać do każdego, kto bez upoważnienia do magazynów się zbliży, w myśl przepisów służby wartowniczej, nie zaprowadzono sądów doraźnych, ani nawet sądownie nie ścigano zbrodniarzy. A fakt ten, iż Komenda główna do pewnego stopnia tolerowała tego rodzaju wypadki, mógł być powodem, że w czasie odbicia Lwowa poszczególne „burzliwe”, jak je Mączyński nazywa, grupy w wojsku i wśród ludności cywilnej (wszak Rusini w pierwszych dniach listopada pootwierali więzienia i wypuścili na wolność więźniów rozmaitego rodzaju, a między innymi zbrodniarzy, bandytów, słowem kryminalistów), mogły czuć się

¹⁾ Mączyński, l. c., I, str. 141.

nieskrępowane i liczyć na pobłażliwość władz z okazji rabowania handlów żydowskich. Chcę przez to powiedzieć, że Komenda Naczelna nie tępiła w sposób potrzebny masowego bandytyzmu, jaki się zakradał w szeregi armji. Gdyby nawet najdzielniejszy żołnierz lwowski, ale nożowiec i bandyta został w ciągu listopada dla przykładu publicznie rozstrzelany, przypuszczam, że do wydarzeń pożałowania godnych w dzielnicy żydowskiej wcaleby nie przyszło. Jako jedyny ich powód mogę uznać niechęć dowódcy do wszelkich bezwzględniejszych wystąpień, a szukanie wszędzie połowicznego załatwienia sprawy.

Albo inny wypadek. Od pierwszych dni zdarzały się wypadki, jak n. p. na ul. Sapiehy, Potockiego, a pospoliciej na odcinku por. Abrahama (ul. Meiselsa, Rappaporta i sąsiednie), że z okien mieszkań z tyłu linji własnej położonych padały strzały skrytobójcze, których ofiarą padło kilka żyć ludzkich. W kilku wypadkach winnych przychwycono, lecz zamiast oddać ich pod sąd doraźny, odesłano ich na ul. Chocimską do urzędu śledczego, skąd zresztą osobniki takie w chwilach popłochu miały możność ucieczki i rzeczywiście uciekały bezkarnie. Przypuszczam, że fakty takie musiały być znane i milicji żydowskiej, która, jak wiadomo, parokrotnie występując z białym sztandarem neutralności, strzelała do naszych żołnierzy, a tem samem, zdaniem mojem, nasz brak decyzji ośmielał żydowskich nacjonalistów do coraz bezwzględniejszych kroków. Przypuszczam zaś, że wobec Ukraińców nietylko z sympatji, ale i ze strachu Żydzi lojalnie się zachowywali. Sądzić należy zatem, że i wobec nas, gdybyśmy od samego początku wszelkie skrytobójstwa i nadużycia neutralności karali przykładnie, Żydzi lojalnie i pokornie zachowywaliby się, a wtedy byłoby mniej powodów rozjątrzenia żołnierzy naszych przeciwko Żydom i mniejsze byłyby widoki na ich „pogrom“. Wszak ten pogrom, nie był niczem innem, — jeżeli wogóle żołnierze nasi brali w nim udział, bo faktów takich nie znam — jak tylko uchwyceniem w swe ręce samosądu i zastąpieniem tej władzy, która z prawa sądowego nie korzystała.

A teraz uwzględnijmy sprawę, jak Mączyński jako naczelny wódz, odnosił się do Pekaenu, jako do rządu. Najlepiej powołał się na świadectwo samego Mączyńskiego, by nie budzić podejrzenia, iż coś nieścisłego mogło się zakraść do

oceny. Oto Mączyński pisze najwyraźniej: „Drugą sprawą szeroko omawianą na tymże posiedzeniu (Pekaenu w dniu 1 listopada), była przyszła taktyka, przyszły sposób wojowania. Rozgadali się tu członkowie Komitetu obszernie i choć godzili się wszyscy na system reutowy i uznawali go za jedynie dobry przy tym stosunku sił, radzili jednak uczynić główną podstawę operacyjną nie w zachodniej lecz wschodniej części miasta“¹⁾).

Boże miły! Do czegoż to doszło! Politycy mieli decydować o planach operacyjnych w przededniu utworzenia się komendy, ludzie niewojenni mieli decydować o sposobach prowadzenia wojny z Ukraińcami. Zaiste, klasyczny przykład dawno minionej epoki, kiedy to wiecowało pospolite ruszenie przez swych reprezentantów i dygnitarzy. Ot zapowiedź co najmniej wojny kokoszej staje przed oczami!

Szczęściem z całej Komendy Naczelnej jedynie tylko Mączyński osobiście i referent polityczny ulegali tym wpływom, całem szczęściem, oni tylko znali tę zależność. Faktycznie bowiem nikt w komendzie z osób wojskowych, a przedewszystkiem ani Łapiński, ani ja nie wiedzieliśmy i nie przeczuwaliśmy, że jesteśmy tylko drugą instancją w decyzjach operacyjnych; zresztą nie odczuwaliśmy tego wpływu, a tylko podejrzewaliśmy, że Mączyński osobiście nie należy do typów „bojowych ryzykantów“, czy jak je nazwać.

Jeżeli tedy Mączyński sam się demaskuje, że podał sam od siebie komendę wojskową w zależność od władzy cywilnej, to cała odpowiedzialność za ten krok musi wyłącznie spaść na niego jako na człowieka, który przedewszystkiem zajmował się konferencjami politycznymi, ale nie działaniami operacyjnymi.

Zastanówmy się z kolei nad ważną kwestją mobilizacji, którą rzekomo miała Naczelna Komenda samowolnie i bez upoważnienia postanowić.

Jeżeli mobilizację zarządził Mączyński nie licząc się z głosem władz cywilnych, to zrobił to dlatego, iż zdawało mu się, że to jedynie jest z dobrem sprawy związane, że przez akt mobilizacji wzmacnia się armję nie tylko liczebnie, ale i moralnie, że zatem mobilizacja była potrzebną. Ale pozostaje nierozstrzy-

¹⁾ Mączyński, l. c., I, str. 81.

gniętem pytanie, dlaczego Mączyński ją ogłosił bez żadnego porozumienia z Pekaenem i z Komitetem bezpieczeństwa. Z chwilą, gdy raz te władze uznał, skoro wystąpił z ramienia P. K. N., musimy uważać każde dążenie ze strony Mączyńskiego w kierunku wyzwolenia się od tej zależności za prosty akt samowoli. Prawda, P. K. N. nie miał siły, co więcej, składał się w przeważnej części z przyjaciół politycznych Mączyńskiego, mógł sobie zatem pozwolić Mączyński na nietakt „domowy“, ale mimo wszystko było to wyłamanie się z pod dobrowolnie, osobiście i świadomie przyjętych na się zobowiązań.

Wreszcie omówmy pokrótce sprawę przeprowadzenia pertraktacyj z Ukraińcami, gdyż sprawy te rzucą nam charakterystyczne światło na ówczesne stosunki we Lwowie, dowodząc, że obie organizacje, cywilna i wojskowa, jakkolwiek przejęte były najlepszymi chęciami, co nieraz już starałem się podkreślić, przecież nie umiały należycie swej roli wypełnić. Jedna naruszała powagę i interesy władzy drugiej, druga coraz wyraźniej dążyła do zniesienia supremacji pierwszej.

Przedewszystkiem w dyplomacji lwowskiej P. K. N. dadzą się zauważyć takie błędy, jakich z pewnością nigdzie i nigdy nie było. Bo proszę sobie przedstawić, że w całym okresie walk listopadowych działał P. K. N. na terenie nie naszego, polskiego terytorjum, ale na terenie Lwowa ukraińskiego. Było poprostu kwestją dobrej woli ze strony Ukraińców, czy wogóle chcą go tolerować, czy nie, czy go w całości w pewnym momencie nie aresztują. Żadnych specjalnych praw eksterytorjalności nie pozostawiali mu Ukraińcy, a napawając całą dzielnicę, pozostającą w ich rękach, terrorem bezprzykładnym, oczywiście chyba liczyli na to, że P. K. N. zdany właściwie na ich łaskę i niełaskę, nigdy nie ośmieli się przeciw nim występować. I nie przerachowali się. Członkowie bowiem P. K. N-u byli do tego stopnia nastraszeni i przygnębieni, że konferencje z nimi były katorgą prawdziwą dla nas, którzy w walce widzieliśmy sprawę ocalenia Lwowa i jego honoru.

Tem przykrzejsze wydaje mi się wspomnienie działalności całej P. K. N-u, że później ci sami ludzie występowali stale na uroczystościach Obrony Lwowa i z kolosalnym tupetem i emfazą gardłowali o nieustępliwości, o rzymskiej duszy Lwowa, o ofiarowaniu ostatniej kropli krwi. W rzeczywistości zaś był to

czynnik, który oddziaływał na Mączyńskiego osobiście w sposób niezmiernie ujemny, a reprezentowany dodatkowo przez referat polityczny, wywoływał w komendzie małoduszne nastroje i gorzkie sceny.

Coprawda byli w P. K. N. ludzie silnej woli i wielkiego serca obywatelskiego, ale byli też ludzie trwożliwi, nerwami nie mogący dalej przeżywać okropnych scen bojowych i niszczenia miasta — i ci naogół w opiniach Komitetu decydowali. Takim niezapomnianym dla mnie mężem był Tadeusz Cieński. Nie należał on wprawdzie do ściślejszego komitetu do rokowań z Rusinami; jakie funkcje mu przypadły w udziale, nie wiem, ale często przychodził do Komendy Naczelnej w rozmowach z nami „zaczepnąć świeżego powietrza“. Za te rozmowy, w których odślaniał swe poglądy na sposób załatwienia sporu ukraińsko-polskiego, winienem mu osobiście wdzięczność serdeczną. Nie obchodzi tu mnie jego rola jako „Podolaka“, chodzi mi tylko, że to był człowiek w całym słowa znaczeniu prostolinijny, że uznawał, iż od czasu przewrotu tylko miecz może rozstrzygnąć spór cały. W nim miałem gorącego poplecznika tezy, że w sprawach wojskowych nie śmie P. K. N. decydować bez zgody Naczelnej Komendy. Dzięki niemu, i mam wrażenie li tylko dzięki niemu, topniał wpływ P. K. N. na Komendę.

Ale zato byli w P. K. N-u ludzie pokroju Chłamtacza, Dubanowicza, nawet Stahla, którzy w normalnych czasach, piorunując przeciwko Ukraińcom, wołali stale, że z dorobku kultury polskiej nie wolno nam na rzecz Rusinów ani żdźbła uronić. Kiedy jednak przyszło do ofiar rzeczywistych, do przelewu krwi, która miała bronić polskości Lwowa przed namiętym, rozwścieczonym i zbolszewizowanym wrogiem, gdy chodziło nie o „żdźbła“ interesu polskiego, ale o kwestję panowania polskiego we Lwowie, czy nawet w całej wschodniej Małopolsce, gdy za przykładem Kijowszczyzny groził upadek doszczętny całej własności i kultury polskiej, wtedy ci sami ludzie małego serca ale wielkiej gęby milkli i albo znikali, bo od samego początku w walkach udziału nie brali, albo, co gorsza, w swej beznadziejnej małoduszności wzywali nas wprost do zaprzestania walki i wycofania się ze Lwowa, bo „demonstracją samą jużęście zadokumentowali przed światem prawa nasze“. Po stronie ukraińskiej rozszarpanoby takich apostołów! Tam właśnie w sferach woj-

skowych był mniejszy zapal. Tam dezercja była nietylko codziennym zjawiskiem, ale cechą ogólną, typową dla wojska ukraińskiego. Jaki był tam procent ochotników — nie wiem, ponoć były oddziały, gdzie był znaczny, ale tam działał na nieoświecone tłumy, mobilizowane w nacjonalnych, cywilnych organizacjach, przymus knuta gnającego do boju całe masy. Tam ratował całą sytuację bojową namiętny, niezwykle, wprost bohaterowski zapal nie naczelnych władz wojskowych, bo to nie byłoby dziwne, ale Ukraińskiej Nacjonalnej Rady. Tam armia była słabym odzwetem niespożytego zapalu i mocy władz cywilnych, tam właśnie duch niepodległości tworzył cuda, których my w naszej komendzie byliśmy bezpośrednimi świadkami. W nieprzyjacielu musimy także uczcić poświęcenie się i szczytną służbę jego wielkim hasłom. A u nas? Łza poprostu się kręci, bo upokorzenia wobec własnych oddziałów, dzięki „pracy” naszego Komitetu, mieliśmy sporo. Trup gęsty padał na ulicach Lwowa, a beznadziejne postępowanie naszego Komitetu zmuszało nas do dalszych ofiar. Zaprzepaszczano najlepsze momenty bojowe, wstrzymywano pochody zwycięskie naszych wyczerpanych, ale uniesieniem zwycięstwa dążących naprzód oddziałów, a wywoływał to właśnie nie kto inny, jak... puklerz władzy polskiej, ta ostoja, w którą ma być żołnierz zapatrzony. Dochodziło do tego, że nasi żołnierze, bynajmniej nie jakieś „burzliwe”, nieobliczalne, bandyckie, czy jak je nazwiemy elementy... strzelali do naszych reprezentantów władzy.

Zaiste i ten moment będzie dla mnie niezapomnianym, gdy dr. Chlamtacz, wiceprezydent miasta Lwowa, którego każda wizyta mogła człowieka o najzdrowszych nerwach wyprowadzić z równowagi, raz wszedł do komendy z niezwykle zdeterminowaniem i tupiąc dla dodania sobie animuszu, wołał donośnie: „Dość już walk! Dość już krwi! Dość niszczenia miasta! Niech cała odpowiedzialność za zniszczenie stolicy spadnie na Rusinów. Chcecie się bić dalej, to idźcie w pole! Złóżcie broń! My wam zapewnimy, że Ukraińcy pozwolą wam odejść żywym i całym.” Nie mogłem wytrzymać, bo Mączyński milczał dyplomatycznie — i zawołałem: „Wyrzucić go.” Wtedy dopiero pan prezydent przyszedł nieco do siebie i łagodniejszym głosem perorował, że tak dalej być nie może, że walka musi się skończyć. Wyszedłem i nie słuchałem więcej tego, co się tam działo.

Było hańbą samą w sobie, że tego rodzaju omawiania mogły się w dowództwie wojskowym toczyć. One to wywoływały reakcje niepożądane, gorszące, jakie charakteryzując naszego referenta prasowego, Dr. Mejbauma uprzednio odmalowałem.

Słowem oceniam istnienie Polskiego Komitetu Narodowego, jako władzy zwierzchniej we Lwowie, jako nonsens, jako instytucję nienaturalną, szkodliwą, o fatalnym wpływie na nastroje bojowe w dowództwie i na sytuację bojową wogóle.

Prawda, zczasem zrezygnował P. K. N. z samodzielnego decydowania w sprawach rozejmu i zawieszeń broni i później zawsze reprezentant Naczelnej Komendy, inż. Widomski czy por. de Laveaux występował do pertraktacyj z Ukraińcami, ale ten fakt jest właśnie dowodem, że Mączyński prerogatywy swej zwierzchniej władzy dał sobie oktrojować a później musiał je na swej władzy zdobywać. Niestety, nastrój małoduszny już w komendzie zaistniał i wielokrotnie nam szkodził.

Ogólnie mogę sprawę rozejmów z Ukraińcami ująć w ten sposób, że z wyjątkiem jedynego zawieszenia broni tuż przed nadejściem odsieczy od dnia 18—21 listopada, wszelkie zawieszenia broni były zasadniczo z naszą szkodą połączone. Oczywiście nie mówię tu o drobnych lokalnych zawieszeniach broni, które dla celów humanitarnych lub sanitarnych nasze dowództwo parokrotnie proponowało Ukraińcom, ale o rozejmach zawieszających walkę na całym froncie. Powołam się na jeden tylko fakt, że kiedy wysadziliśmy w powietrze najsilniejszą bezsprzecznie redutę ukraińską, Koszary Ferdynanda na ulicy Gródeckiej, której obsada wynosiła około 400 ludzi, to wybuch nastąpił... dosłownie 10 minut po zawarciu rozejmu i cała zdobyta, jaka wpadła w tym momencie oddziałowi Bema i Góry Stracenia, rzucającemu się na łatwy, bo oszołomiony łup, musiała być z mojego rozkazu z powrotem Ukraińcom zwrócona.

Powtarzam, nonsensem było rezydowanie P. K. N. po stronie ukraińskiej, nonsensem jego istnienie wogóle, nonsensem uleganie jego wymuszeniom na nas zawarcia pokoju czy też chwilowych rozejmów. A winą przedewszystkiem było to, że chciano wojnę prowadzić nie po wojskowemu, ale po „obywatelsku“. I ten właśnie brak zdecydowania powodował, że oszczędzając kroplę krwi, przelewano jej całe strugi.

Prostu Komenda Naczelną „zaraziła się” od P. K. N. chorobliwym lękiem na temat, czy potrafimy się oprzeć przewadze ukraińskiej, co będzie, jeśli odsiecz na czas się nie zjawi, co będzie, gdy amunicja się wyczerpie. Bezsprzecznie wszystko to są względy, które każde dowództwo musi bardzo skrupulatnie brać pod uwagę, ale nie są to względy najistotniejsze. Nie pomogą przecież nawet najobfitsze magazyny broni, najdoskonalsze wynalazki techniki wojennej, gdy duch bojowy jest marny. Rozumiem, że dowódca świadom odpowiedzialności powziętego czynu, ma nieraz gorzkie chwile wewnętrznych przeżyć, ale nazewnątrz nigdy tej słabości nie może pod grozą utraty zaufania u podwładnych pokazywać, on musi w momentach najdramatyczniejszych umieć się opanować, tylko tacy ludzie nadają się do roli dowódców. Rozumiem, że dowódca musi przewidywać różne ewentualności, że sytuacja materialna musi być brana w rachubę i do niej winien dostosowywać swe dyspozycje, ale też rozumiem, że dowódca nie śmie wykazywać mniejszego zapału bojowego, niż jego podwładni. A u nas tak nie było!

Można powiedzieć, że wszystkie nasze ugody z Rusinami wywoływane były wbrew życzeniom naszych bitniejszych oddziałów. Nie słyszałem ani razu, by nasz Boruta-Spiechowicz, czy Mond, Bieńkowski, Trześniowski lub Schwarzenberg-Czerny takie żądanie stawiali lub z chęcią na zawieszenie broni się godzili. A przecież byli to przedstawiciele oddziałów, którzy serdecznie o swe oddziały dbali, którzy razem z nimi trudy i niebezpieczeństwa dzielili. Prawda, byli i inni dowódcy, którzy stale niepokoiili Komendę złemi wiadomościami, którzy ustawicznie wołali o posiłki, ale tych już poznaliśmy i wiedzieliśmy, co znaczyły takie hałasy. Wiedzieliśmy, że w chwilach naprawdę poważnych i ton ich rozpaczy był inny,

Więc na cóż służyły te pertraktacje?

Mam wrażenie, że z Łapińskim razem bardzo szybko zorientowaliśmy się w machinacjach ukraińskich. Oto przejrzelśmy ich podstępne działanie. Zasadniczo w dwu rodzajach wypadków Ukraińcy „szli” na ugodę. Albo działało się to w momentach, gdy nasza ofensywa rozwijała się do tego stopnia, iż wszczyniała popłoch w ich szeregach, tak że dla ratowania

siebie, zwracali się do Polskiego Komitetu Narodowego, przebywającego, jak się rzekło, na ich terenie, a oczywiście usłużny Komitet natychmiast słał gońca do naszej komendy, by coprędzej rozejm zawierać. Bądźteż Ukraińcom w momentach, gdy oczekiwali nadejścia znaczniejszych posiłków, chodziło o przygotowanie bezpośrednio po wygaśnięciu rozejmu gwałtownego, zbiorowego i nieraz bardzo udatnie przygotowanego ataku. Dochodziło do tego, żeśmy w komendzie w przewidywaniach wzmożonej akcji ruskiej po każdym rozejmie, więcej się rozejmów obawiali, niż pełnego naprężenia walki.

Mimo wszystko dochodziło do tego, iż z biegiem czasu nawet nasz referat polityczny i P. K. N. doszły do przekonania, że wszelkie narady z Ukraińcami są jałowe i do rozwiązania nie doprowadzą. I raz tylko w dniu 20 listopada, raz jeden — wyraźnie podkreślam — została odrzuconą oferta ruska nawiązania rokowań, choć może właśnie w tym momencie Rusini ze swego nieprzejednanego stanowiska nieco ustąpili.

Warunki, pod jakimi obiecywał sobie P. K. N. zawrzeć ugodę z Rusinami, wahały się w granicach niesłychanych. Gdy niekorzystna sytuacja bojowa była ze strony ruskiej powodem wołań o rozejm, wtedy łudzono P. K. N. i naszych reprezentantów ugodowymi warunkami, skoro jednak nadeszły im posiłki, skoro zamięszanie usunięto, wnet zyskiwali na tupecie i bez względu na omawiane i uzgodnione uprzednio punkta ugodowe, zaczynano pracę „da capo“, co nasi zastępcy nazywali „przelewem pustego w próżne“. Jak to z pisma Dr. Dubanowicza widać, „fides ucrainica“ nigdy nie pozwalała Ukraińcom myśleć naprawdę o doprowadzeniu do ugody choćby prowizorycznej. Wydaje mi się tedy zupełnie obojętną i dla sprawy sporu ukraińsko-polskiego nieistotną rzeczą śledzić poszczególne fazy tych umów, gdyż i tak nie byłyby one nigdy dotrzymane, a mam to najgłębsze przekonanie, że gdybyśmy na lep jakiegokolwiek ugody poszli, to tem samem nawet i osobisty los wszystkich przywódców po naszej stronie byłby przypieczętowany.

Nie rozumiem zupełnie Mączyńskiego, który twierdzi, że zastrzegł sobie w P. K. N., że „wojsko“ nie mięsza się zupełnie w układanie warunków politycznych, w sprawach zaś woj-

skowych żąda zupełnie idealnego równouprawnienia stron obu ¹⁾. Jakto? To właśnie ci małoduszni ludzie mieli decydować, czy ofiara krwi naszego żołnierza, owych mas dzieci lwowskich, z rozpaczą walczących, ma być przedmiotem targów? Przypuszczam, że gdyby wieść o tem rozeszła się między naszymi oddziałami, że nie one z bronią i nie komenda, ale jakiś „cywilny komitet“ ma decydować o utrzymaniu Lwowa w naszych rękach, toby napewno wybuchła krwawa rebelja. Ale o tem nikt nie wiedział poza Komendą Naczelną, a i to nie wszyscy jej członkowie byli należycie poinformowani. Jeżeli na miejscu zawsze reprezentowałem myśl, by nie uznawać P. K. N-u i myśli tę głośno wypowiadałem, to odczuwam to jako zasługę, że pod jej wpływem rosła energia Mączyńskiego w zastrzeganiu dla wojska coraz dalszych praw. Zresztą mam jaskrawy dowód racji mych zapatrywań, gdy w późniejszym okresie ani gen. Rozwadowski, ani gen. Iwaszkiewicz w przybliżeniu nawet nie dopuszczali do jakichkolwiek poczynañ ugodowych ze stroną ruską, przedsięwziętych na własną rękę przez jakieś komitety cywilne, a choćby i Generalnego Delegata. O ile „praktyczniej“ urządził się gen. Roja, wydając polecenie ppłk. Tokarzewskiemu aresztowania hr. Skarbka, posła do parlamentu i członka Polskiego Komitetu Likwidacyjnego, na wypadek, gdyby tenże zaczął działać we Lwowie na niekorzyść wojska ²⁾.

Kończę ten nieszczęsny ustęp konkluzją, że jeżeli w wojsku Naczelna Komenda nie dorównywała bohaterskim nastrojom swych żołnierzy, to Polski Komitet Narodowy był w porównaniu do ogólnych nastrojów ludności cywilnej również ogniskiem niewiary w orężny czyn i jego moralną i bojową doniosłość, był rozsądnikiem najgorszym defetyzmu i bierności.

Ale stosunek wojska względnie jego komendy do ludności cywilnej i jej władz nie ograniczał się do momentów dopiero co odmalowanych, lecz rozciągał się także i na inne pola, a zwłaszcza dziedziny bezpieczeństwa i aprowizacji ludności cywilnej.

Drugą dziedziną mogę zająć się tylko w paru słowach, był to bowiem resort, który należał bezpośrednio do niesłychanie bogato i zagmatwanej rozwiniętej intendentury. Zasługą bez-

¹⁾ Mączyński, l. c., I, str. 126, 267.

²⁾ Roja, Legendy i fakty, 131.

sprzecznie jej działania jest stworzenie szeregu komitetów dzielnicowych, które wprawdzie do wojska nie należały, ale które razem z intendenturą wojskową współpracowały. Na czym polegała ta współpraca, dokładniej nie potrafię objaśnić. Wiem tylko dobrze, że organizacja ta rekwirowała przy pomocy wojska różne zapasy i magazyny żywnościowe, że zaopatrywała ludność bez względu na wyznanie i narodowość i... że miała personel ogromnie liczny, a jako w instytucji dobra publicznego cały jej personel wolny był od służby wojskowej.

Obszerniej zaś muszę poruszyć sprawy bezpieczeństwa. Wprawdzie i tu wiadomości pozytywnych mam niewiele, ale i moje przyczynki potrafią rzucić charakterystyczne światło na stosunki wówczas panujące.

Przedewszystkiem stwierdzić musimy powstanie na terenie Lwowa całego szeregu organizacji bezpieczeństwa. Wołania o zabezpieczenie spokoju i porządku dały się słyszeć już od pierwszego listopada. Jasną jest rzeczą, że stosunki bezpieczeństwa muszą cierpieć, z chwilą gdy masy zostają uzbrojone, gdy otrzymuje oręż do rąk każdy, kto się zgłasza, a gwarancji, do czego będzie go używać, nie daje. Mimo wszystko musimy stwierdzić, że jeżeli chodzi o bezpieczeństwo osób prywatnych i prywatnego majątku nie było u nas źle. Daleko gorszych wypadków należało się spodziewać, a jednak do nich nie doszło. Rabunków i grabieży było stosunkowo bardzo niewiele, chyba że zaistniały one na linii bojowej, co częściowo możnaby było usprawiedliwić potrzebą budowania barykad. Coprawda do pewnych objawów i tu dochodziło, gdy notowano wypadki istnego wandalizmu i zdziczenia, jak to już uprzednio wspomniałem. Ale o napadach, morderstwach i t. d. właściwie się nie słyszało. Mimo wszystko wołanie o pomoc policyjną było powszechne i rzecz naturalna usprawiedliwione. Ale reakcja na ten zew była zgola nieoczekiwana. Doszło bowiem do tego, że niedłwie każdy inteligentny mężczyzna w polskim Lwowie poza swoimi obowiązkami służb pomocniczych, o ile oczywiście w wojsku nie „służył“, uważał za swój obowiązek należeć do jednej z milicij. Byłaby piękną rzeczą, świadczącą o wielkim zmyśle prawno-porządkowym ludności lwowskiej, ta chęć przysłużenia się sprawie publicznej, ale dochodziło do tego, że organizacjom milicyjnym potworzyły się masy całe. Jedne organizacje zaczęły

uważać, że drugie są zbędne, że należycie służby nie pełnią, słowem z zawiścią spoglądały jedne na drugie. Jedne z nich były dzielnicowe, inne zawodowe, jedne pilnowały obiektów użytkowych, czy pełniły służbę wartowniczą, inne patrolowały rejon. Najgorzej było na kolei, gdzie z jednej strony pilnowała warsztatów, a przede wszystkim magazynów milicja kolejowa, osobno istniała służba baonu technicznego kpt. Bartla, osobno przechodziły patrole milicji obywatelskiej. Stąd nieraz dochodziło między kontrolującymi grupami do nieporozumień, a nawet i starć orężnych, — a wszystko to na tle chęci sumiennej służby. Nawet i w najspokojniejszej dzielnicy VI, zamieszkałej w poważnym procencie przez inteligencję, działy się zrazu nocą na ulicach osobliwe rzeczy. Naprzód powstała straż obywatelska pod wodzą dyrektora teatru Hellera, która wnet została zdystansowana przez komitet obywatelski VI okręgu, który na miejsce komendanta wyznaczył p. Grocholskiego. Jakiś czas były z tego powodu niepokoje, rozgrywające się w pobliżu siedziby dowództwa, aż nareszcie trzeba było interwenjować z naszej strony i zapowiedzieć, że nowa organizacja na ich miejsce powstanie, jeśli się obie partje nie pogodzą. Ostatecznie po dłuższych pertraktacjach doszło do porozumienia, ale mimo to sama służba bezpieczeństwa nie poprawiła się. Zachodziły przytem komiczne nieraz wypadki. Pojedynczo milicjanci bali się chodzić, chodzili grupami. Nie mając zrazu podanych haseł, indagowali każdego wojskowego, nawet idącego służbowo, każąc mu podnieść ręce do góry, a ten ani hasła własnego nie zdradzał, ani też nie mógł się legitymować przepustką, której bardzo często odcinki nie wystawiały, a doradzały pokazać bagniet milicjantowi. Stąd żale szły na wojsko, stawiające komendę w prawdziwie przykre położenie. Wojskowego hasła milicji nie można było podawać, ze względu na niebezpieczeństwo zdrady, z drugiej strony nie można było dla milicji ustanowić odrębnego hasła, bo rejon wojenny i tyłowy był ten sam; przepustki komend nic nie mogły znaczyć, gdyż tylko wyższe dowództwa używały pieczęci, stąd obowiązkiem milicji było, ile możliwości „orientować” się, z kim jej patrol się spotyka. Że tacy inteligenci dbali o swoją skórę, nie bardzo kwapili się w swej służbie do badania przechodzących osób, a o ile badali, to nieraz nie wiedzieli, jak to zrobić, nie potrzeba mówić. Ze względu na zatargi z żołnierzami, zabro-

niono milicji wołać do zatrzymanego: „ręce do góry“, gdyż żołnierz nasz wolał strzelać, niż milicjantowi poddawać się. Toteż wnet wprowadziła komenda legitymacje dla żołnierzy i odmienne dowody osobiste dla milicjantów, tak, że zamiast przepustek, temi dokumentami się legitymowano. Oczywiście doprowadzało to do szeregu nadużyć, ale tych niepodobna było się ustrzec.

Dodajmy bowiem, że prócz milicji obywatelskich wojsko rozporządzało jeszcze żandarmerją polową i etapową, a nawet milicją wojskową. Sądzićby należało, że żandarmerja polowa była strażą najlepszą. Bynajmniej tak nie było. W lepszych rękach była żandarmerja etapowa. Natomiast, co się tyczy milicji wojskowej, złożonej z samych poborowych grupy B i C, ta była niesłychanie liczna, dochodząc do tysiąca ludzi i pilnowała nieźle obiektów wojskowych.

Ogółem wzięwszy, w polskim Lwowie nocą bywał porządek niemal pokojowy, ale był on zbyt wielkim kosztem osiągany, bo parę tysięcy ludzi, lustrujących siebie nawzajem, depczących sobie po piętach, a niechętnie do siebie odnoszących się, nie spało i wzajem się denerwowało. W każdym razie spacer z odcinka na odcinek, po ciemku, w polskim Lwowie nie należał wcale do przyjemności¹⁾.

Przecież owa obywatelska straż bezpieczeństwa był to światek sui generis. Wielka jej część, to ludzie, którzy byli powinni znajdować się na froncie, ale dzięki różnym względom udawało im się znaleźć miejsce w milicji obywatelskiej czy wojskowej i z tą chwilą wmawiali w siebie i w swoje najbliższe otoczenie, że obowiązek narodowy w przykładowy sposób wypełniają. De facto praca ich była w znacznej części jałowa, było tam mnóstwo demoralizacji wskutek „dekowania się“, było dużo gadania a efektu mało. O ile milicja wojskowa, a przede wszystkim żandarmerja często była w pogotowiu, a nawet i wysyłana na odcinki, to milicja obywatelska w momentach zagrożenia

¹⁾ Zaznaczam, że w polskim Lwowie bramy domów musiały być całą noc otwarte a okien frontowych nie wolno było oświecać. Jeżeli zatem był spokój i żadnych napadów na spokojną ludność nie notowano, to fakt ten może stanowić jaskrawy dowód, że spokój i bezpieczeństwo w pełni były zapewnione.

ogólnego odznaczała się tem, że za żadne skarby nie można jej było nigdzie znaleźć, dopiero gdy sytuacja się uspokajała, wtedy, jak grzyby po deszczu, zaczęły z różnych schowków wychodzić postacie męźnych milicjantów, by w głośnych rozmowach omawiać bieg minionych wypadków.

Nic dziwnego, wielkie dziejowe momenty muszą mieć też swoich Falstaffów.

7. STOSUNEK DO LUDNOŚCI I ORGANIZACYJ ŻYDOWSKICH.

Stosunek nasz do Żydów wymaga osobnego omówienia.

Nie mówiąc o wypadkach późniejszych, w listopadzie już było dla nas oczywiste, że Żydzi, zamieszkali zwarcie na przestrzeni od ul. Kaźmierzowskiej aż po Żółkiewskie włącznie, występowali nominalnie jako strona neutralna, w rzeczywistości zaś byli naszymi niemniej groźnymi nieprzyjaciółmi, jak i Rusini. Zewsząd dochodziły nas meldunki o podstępach z ich strony. Szczególnie eksponowanymi oddziałami byli Bemacy, Straceńcy i cała grupa por. Sikorskiego. W rzeczy samej perfidja Żydów przewyższała ukraińską. Oczywiście musiały tu działać tylko pewne ugrupowania polityczne, gdyż między Żydami bynajmniej nie było jedności. W naszych oddziałach było sporo Żydów, którzy z przykładowem męstwem, narówni z żołnierzami-katolikami, występowali wzorowo. Byli między Żydami cywilni przedstawiciele, jak wiceprezydent miasta Schleicher, I. Schenker, Loewenherz i inni, którzy starali się wszelkimi siłami doprowadzić do zgody. Ale zdrada jest bronią słabych i tej zasady Żydzi naogół się trzymali. Czuliśmy w nich zagorzałych nieprzyjaciół, którzy niemniej gorąco niż Rusini pragnęli naszej klęski i gdzie się tylko dało, starali się do niej przyczynić.

To też gdy nadszedł dzień 22 listopada, nastał dzień sądny dla Żydów. Nastał nie dlatego, by wojsko polskie urządziło jakikolwiek pogrom. Bynajmniej. Ale dlatego, że zdenerwowanie, jakie spadło na Żydów, było przeogromne i wskutek tego opuszczeni przez swego sprzymierzeńca, stracili najzupełniej głowę i bez obstępów, już na własną rękę, wystąpili zbrojnie przeciw naszym oddziałom. Bezsprzecznie zostali przykładnie ukarani, ale równocześnie — sytuację wyzyskały szumowiny, rozpoczęły się rozboje, grabieże, słowem ów osławiony pogrom, w którym wedle relacji żydowskich puszczanych daleko w świat

miało być 6000 zamordowanych. Mniejsza o to, że było 60 zabitych, wliczając w to i zabitych na wielodniowej linii bojowej, mniejsza o to, czy było ich mniej, czy więcej, faktem jest, że Żydzi z bronią w ręku byli grupami całymi znajduwani i że do naszych oddziałów strzelali zewsząd. Dzielnica cała musiała być po wojskowemu uspokojona i cała odpowiedzialność spaść musi na ich zawziętość przeciw nam, czy też tępotę i bezmyślność.

Ważniejsza jest rzecz, jak się w tym momencie zachowała Komenda. Wszak na nią spada cała odpowiedzialność za bieg wypadków. Rzecz godna uwagi, że Żydzi obwiniali nie ówczesnego komendanta wojskowego, jakim był ppłk. Tokarzewski z momentem przybycia do Lwowa, gdyż Mączyński w jego ręce złożył komendę z obowiązku i zgodnie z przepisami wojskowymi, — ale właśnie Mączyńskiego. Mieli za sobą tę prawdę, że głównie oddziały lwowskie zdobywały miasto żydowskie, niemniej jednak odpowiedzialnym dowódcą był tylko ppłk. Tokarzewski.

Co więcej! Sztab Mączyńskiego w nocy z 21 na 22 listopada chwilowo przestał właściwie istnieć. Mączyński został sam. Stało się to w ten sposób, że por. Łapiński lekko ranny w czasie ataku na Cytadelę dostał gorączki i musiał położyć się do łóżka (do służby u nas więcej się nie zgłosił), ja zaś po przeprowadzeniu osobistem całej akcji otoczenia Lwowa, po dwu bezsennych nocach, byłem po powrocie do Komendy z Łyczakowa do tego stopnia wyczerpany fizycznie, iż wyprosiłem sobie noc spoczynku. I spałem snem kamiennym do godziny 10 następnego dnia. Po powrocie do służby zastałem w Komendzie na ul. Grunwaldzkiej wszystko przygotowane do przeprowadzenia się na zdobyty teren. Musiałem jeszcze zadysponować szereg rozkazów na miejscu, by przeprowadzka urządzeń i biur mogła się odbyć w należyty sposób, tem więcej, że niemal nikogo z oficerów na miejscu nie było, czemu zresztą się nie dziwiłem, gdyż każdy naocznie pragnął ujrzeć własnymi oczyma „nasz Lwów“ ocalony. Spieszyłem, jak mogłem! Co chwila ktoś wpadał i zmuszał do zajmowania się szeregiem nowych spraw, mnożących się potwornie wobec gwałtownie zmienionej sytuacji. O jakichkolwiek pogromach absolutnie nic w tym czasie nie słyszałem. Jedyne dochodziły wieści o oporze

zbrojnym, stawianym przez Żydów. Tu przyprowadzają nam jeńców, a między nimi i paru żołnierzy niemieckich, którzy obsługiwali baterje na Wysokim Zamku. Tymi specjalnie pieczołowicie trzeba się zająć. Tu trzeba obmyśleć plan nowej obsady i zabezpieczenia Lwowa, gdyż rozkazy uprzednie dotyczyły jedynie strony kwaterunkowej. Dopiero późnym wieczorem mogliśmy się zebrać w lokalu dawnej „Generalkommando“ na placu Smolki. Tutaj znowu rwetes i zamięszanie dyslokacyjne trwało całą noc. Nic dziwnego, uniesienie i upojenie radością u młodych ludzi objawiało się reakcją długo tajoną, a była nią myśl, że tym wielkim aktem wieńczącym wysiłek obrońców Lwowa kończy się tragedia miasta, że tu kres naszej roli wojсковej. Wszyscy się cieszyli i zapominali o obowiązkach służby! Cały ten czas przepędziłem na miejscu. Przeszło połowa naszego wielkiego sztabu rozbiegła się; ten poszedł witać rodzinę, ów poić się ogólną radością. Raporty i meldunki wpływające od oddziałów również kazały się domyślać, że tam co najmniej tak samo święci się wielki dzień. Najzupełniej nie przypuszczałem, by rozruchy na mieście żydowskim mogły jakkolwiek fatalny obrót wziąć.

Na żydowskim mieście osobiście nie byłem. Do wypadków, jakie tam miały się toczyć, nie przywiązywałem zresztą wielkiej wagi, gdyż wiedziałem, że tam był już Mączyński. Dziś nie pamiętam, kiedy dostałem pierwsze zawiadomienie o „rozruchach“ w mieście żydowskim. Nie pamiętam wcale, czy to było jeszcze 22, przypuszczam raczej, że później, ale przypominam sobie dobrze, że rozkazy, jakie w tym kierunku Komenda nasza, występująca już jako Komenda Miasta i Powiatu wydała, z punktu widzenia wojkowego były zupełnie bez zarzutu i, co niemniej ważne, były z należytym pośpiechem wydane. Sytuacji na żydowskim mieście nie będę przedstawiać, bo tam wogóle nie byłem.

Zarówno rozkaz alarmu, jak i służby patrolowej powinien był zrobić swoje, gdyby nasze wojsko... nie było wojskiem lwowskim. Okazało się bowiem, że ludzie porozchodzili się do domów i skutkiem tego oddziały były tak nieliczne, iż o opanowaniu sytuacji samą służbą patrolową mowy nie było, gdyż oddziały były słabsze, niż grasujące bandy rzeźmieszków, bandytów, rabusiów, czy jak tam nazwać owe szumowiny, które

szukały żeru podobnie, jak to na mniejszą skalę działo się trzeciego listopada na Dworcu Głównym. Że komenda była przeświadczona, iż tylko drobny procent stanowią żołnierze pijani czy typu bandyckiego, dowodzi treść rozkazu ówczesnego, gdzie było nakazaniem oczyścić miasto „z luzem chodzących żołnierzy i osobników przebranych w mundury wojskowe“. Dziś, mam wrażenie, kwestja jest dostatecznie wyjaśniona, kto rabował. Z mej strony podam tylko fakt, który ze względu na wysoko eksponowane osoby jest niesłychanie miarodajny, a dotychczas nigdzie zużytkowanym nie był, gdyż nie wiem dlaczego, we wszystkich misjach, jakie dla zbadania „pogromów“ do Lwowa zjeżdżały, nigdy nie wzywano mnie na świadka i tylko okolicznościowo mogłem niektóre osoby, a między nimi i Mączyńskiego o szczegółach mnie wiadomych informować. Otóż w dniu 23 (pory bliżej nie pamiętam) wprowadzono trzy oryginalne postacie do mego pokoju, zapewne z powodu nieobecności Mączyńskiego. Oto dwu dostojnych, poważnych i sędziwych patryarchów żydowskich prowadziło pod rękę zwolna i poważnie starca równie poważnego, ale trzymającego się ledwo na nogach. Starzec środkowy wyglądał jak postać biblijna. Sam Mojżesz w ludzkiej postaci! Cała trójca rzeczywiście jakimś niepowszednim urokiem napełniła pokój. Białe, długie brody, szaty spływające, robiły wrażenie postaci apostoelskich. Powstałem z miejsca i z uszanowaniem zaprosiłem gości do zajęcia miejsc. Lecz środkowy starzec, jak z grobu wychodzącym, trzęsącym i obolałym głosem, który zaiste mógł robić silne wrażenie, przemówił:

„Panie! Templum zniszczone! Miejsce święte świętych zbeszczeszczone. Ratuj!“

W tej chwili przypadam do telefonu, łączę się z rtm. Pomian-Cieńskim, który z całą swoją grupą odkomenderowany był do przywrócenia porządku i wydaję krótki rozkaz: „Pan rotmistrz wyśle natychmiast patrol pod dowództwem tegiego oficera do Templum, celem zabezpieczenia go. Wynik natychmiast meldować! Czekam przy telefonie!“ Cieński natychmiast powtarza mój rozkaz i w moment odchodzi patrol. Tymczasem trzej patryarchowie czekają na wynik, a równocześnie ich uspokajam, że porządek będzie zaraz przywrócony i zaraz otrzymamy meldunek. Jak wiadomo z placu św. Ducha do Templum żydow-

skiego jest bardzo blisko. W kwadrans rozlega się dzwonek telefonu i Cieński składa mi meldunek wprost niewiarogodny: „Wysłany oficcerski patrol zastał pod Templum zupełny spokój, przypuszczając zaś, że w Templum są ukryci bandyci, otworzył bramę i przeprowadził rewizję. W miejscu świętem świętych za kotarą znaleziono karabin maszynowy z kilkoma skrzynkami amunicji i kilkanaście granatów ręcznych“.

Wpadłem w furję! Zbeształem dostojników, wymyślając im od łotrów, że sobie chcieli podstępem zabezpieczyć magazyn amunicji, licząc zgóry na naszą lekkomyślność. „Paszoł — wołałem — bo każę aresztować!“ Znikli szybko, jak nie ci sami.

I do dziś dnia nie wiem, czy byli to świadomi rzeczy spekulanci, czy też ofiary podstępu swych stronników zagorzalszych.

Zresztą niemal nie miałem zetknięcia ze sferami żydowskimi, chyba ze zwolennikami naszej myśli politycznej, jak z Dr. Schenkerem, Rektorem uniwersytetu Beckiem i kilkoma innymi. Jedną tylko aferę osobiście jeszcze przeżywałem.

Oto w dwa czy trzy dni po „pogromie“ przychodzi do mnie jakaś młoda żydówka, nazwiskiem Goldberg, czy też coś podobnego i opowiada, że już pod koniec pogromów wszedł do jej mieszkania patrol żandarmów z oficerem na czele, z zadaniem wykonania rewizji. Przy tej sposobności wpadła w ręce żandarmów kosztowna szkatułka z klejnotami. Mimo protesty właścicielki zabrali ją żandarmi, grożąc aresztowaniem. W chwilę potem wrócił oficer sam, rzucił się na nią i zgwałcił. Przybywając do komendy, przedkłada na piśmie opis zajścia i prosi o ukaranie zbrodniarzy i zwrot szkatułki. Pytam ją o bliższy rysopis oficera żandarmerji, który miał występować w pełnym uniformie żandarma. Ponieważ wszystkich naszych oficerów żandarmerji w liczbie kilku znałem osobiście, mogłem stwierdzić, że opis nie zgadza się z żadnym z nich. Pytałem, czy to przypadkowo nie był sierżant; nie, pamiętała wyraźnie dystynkcje podporucznika. Poradziłem jej tedy, by ile możliwości w pobliżu żandarmerji się kręciła, celem rozpoznania pogromcy, sam akt zaś odesłałem do urzędu śledczego przy Komendzie Placu. Tymczasem w parę dni później z Dowództwa Naczelnego otrzymuję pismo z poleceniem załatwienia go „pod osobistą odpowiedzialnością“, jak to było w owym czasie w użyciu, o ile chodziło o ważniejsze sprawy. Był to akt identyczny z poprzednim, czyli

moja poszkodowana musiała równocześnie kilka pism ułożyć i skierować je równocześnie do kilku władz, nie dowierzając zapewne każdej z nich z osobna. To mnie nastroiło już nieco sceptycznie. Nagle wpadłem na właściwą drogę. Skoro sprawa o rabunek jest już na właściwej drodze, trzeba zbadać kwestję drugą t. j. zgwałcenia. Odsyłałem akt do lekarza policyjnego z prośbą o natychmiastowe zbadanie oskarżycielki, czy rzeczywiście defloracja miała miejsce. Otóż zdaje mi się od dr. Pappego przysłała odpowiedź tej treści, że o defloracji niema mowy, gdyż ta zapewne w dawnych czasach musiała nastąpić. Również ani w okolicach sromu, ani po wewnętrznej stronie ud nie udało się stwierdzić zadrapania, ani żadnego innego cielesnego uszkodzenia. Innymi słowy ani gwałtu fizycznego, ani defloracji nie było. Natychmiast odesłałem akt do urzędu śledczego z wnioskiem na wniesienie skargi przeciwko oskarżycielce o oszczerstwo wojska polskiego. Jak się sprawa zakończyła, nie wiem. Innymi słowy mamy tu do czynienia z rozmyślną prowokacją, gdyż zajęcie rabunku jak i gwałtu, dokonanego rzekomo przez oficera żandarmerji, było w całej osnowie sfingowane. Był to zatem jeden z przykładów umyślnego oczerniania naszego wojska.

Taki był mój osobisty udział w sprawie „pogromów“ żydowskich. Któż tedy opisze moje zdziwienie, kiedy parę miesięcy później dowiedziałem się, że w potężnym elaboracie pióra dr. Tobiasza Aschkenazego, skierowanym do Ligi Narodów a złożonym na ręce „komisarza“ Samuely'ego widnieje moje nazwisko, jako jednego z autorów pogromu. Pamiętam, był tam ustęp, iż jednym z tych, który wysłał ekspedycję karną na miasto żydowskie, był niejaki Jakubski, mieniący się szefem sztabu Naczelnej Komendy we Lwowie.

Czy ustęp ten jest dosłownem powtórzeniem treści memoriału, za to gwarancji nie biorę, ale charakterystyczne zakończenie utkwilo mi w pamięci. Dlaczego tedy moi „przyjaciele“ ze sztabu i jego otoczenia politycznego nie powiadomili mnie o tego rodzaju zarzutach, dlaczego nie umożliwili mi zabrać głosu w czasie, gdy komisje Ligi Narodów i szeregu organizacji obco-krajowych zbierały materiały śledcze, nie moja w tem wina, ale też i darować tej winy im nie potrafię. Jako szef sztabu w dalszym ciągu miałem czynności operacyjnych i organizacyjnych tyle do wykonania, że z mej strony interesować się sprawami

ubiegłych rozruchów, ani wogóle aferami politycznymi nie miałem czasu, owszem dziękowałem Bogu, że się od nich uwolnił i że dni listopadowe oryginalnej zależności wojska od sfer „dyplomatycznych“ zniknęły na zawsze. Mimo wszystko, mam wrażenie, byłoby daleko skuteczniejszym, gdyby szefowi sztabu dano możliwość za swej strony oświecić sprawy przeciw wielkiej wagi na miejscu, za świeżej pamięci ludzkiej, niż pozostawić go na uboczu z ciekawem piętnem pogromcy, aż przyjdzie czas, jak chwila niniejsza, że będzie mu danem wrócić osobiście do dawno minionych wspomnień.

Bezsprzecznie, wypadki z dni 22—24 listopada honoru nam nie przynoszą, ale zarzut jakoby, choćby w pośredni sposób brała w nich udział Naczelną Komenda odeprzeć należy z pogardą. Tylko nikczemni ludzie potrafią w ten sposób rzucać kalumnje na ludzi uczciwych, których jedynym celem było doprowadzenie życia do porządku we Lwowie, a nie przyczynianie się do jakichś bolszewickich zamieszek.

Niemniej uważam za winę dowództwa naszego charakterystyczny dlań brak decyzji i śmiałego, przykładnego postępowania w wypadkach, gdy chodziło o sprawy grabieży i rozruchów zbiorowych. Co podnosiłem już wyżej, w związku z rabunkiem na Dworcu, to samo i odnośnie do wypadków „pogromowych“ muszę podkreślić. Fakt ten bowiem, iż przez cały czas walk listopadowych faktycznie ani razu nie było sądów doraźnych za grabieże, że nie odbyła się ani jedna rozprawa sądowa w naszym sądzie polowym, a jedynie zbierano materiały śledcze (a i te początkowo palono) mógł tylko różne indywiduala bandyckie ośmielać do coraz bezczelniejszych kroków. A nie chodziło bynajmniej o naszych żołnierzy jako takich, lecz tylko o wszelkie figury, jakie w owych niespokojnych czasach, kręciły się wszędzie. Nie było bata, nie było i pokornego zwierzęcia! Zerwało się bydlę straszliwe, wywołało rozruchy, a odpowiedzialność spadła nie na podwładnych, ale na władze naczelną kierującą wypadkami i za nie odpowiedzialne.

II.

SPRAWY OPERACYJNO - TAKTYCZNE.

8. AKCJA POCZĄTKOWA I UDZIAŁ W NIEJ KOMENDY NACZELNEJ.

W drugiej części mojej relacji, poświęconej ogólnej ocenie działań bojowych we Lwowie, nie mam zamiaru przeprowadzać szczegółowej analizy każdego momentu na poszczególnych odcinkach, ani też opisywać przebiegu całej akcji bojowej, lecz ograniczę się do przedstawienia niektórych momentów, które moim zdaniem mogą rzucić światło na genezę i przebieg zasadniczych wydarzeń i uzasadnić sytuację końcową, by tym sposobem uzyskać właściwą ocenę tego dzieła bojowego, jakim jest odbicie Lwowa.

Poprzestanę na charakterystyce poglądowej głównych naszych oddziałów, zamierzam dalej podać tło ogólne zagadnień operacyjnych, które odzwierciedlają należycie rolę Komendy Naczelnej, wreszcie odmaluję przebieg zarządzeń i operacji w dniu 21 listopada, jako działania końcowego. Ile możliwości będę się starał równocześnie, o ile mi to jest wiadomem, uwzględnić sytuację i akcję bojową strony przeciwnej, ażeby obraz zmagania się obu stron wypadł plastyczniej.

W akcji bojowej pamiętnego listopada dadzą się moim zdaniem wyróżnić dwa okresy, o ile za osobny wstępny okres nie uznamy wypadków przed 1 listopada. Będą to okresy: od 1 po dzień 5 a właściwie 4 listopada i okres drugi od 5 do zdobycia Lwowa. Okres pierwszy charakteryzuje niezmiernie silnie uwydatniona na pewnych odcinkach akcja, posiadająca dwie znamienne cechy. Jest ona z jednej strony nieskoordynowana, spontaniczna, nazwijmy ją odśrodkową, z drugiej zaś jest agresywna, zaczepna. Okres drugi, z momentem coraz silniejszego ujmowania w swe ręce władzy przez Naczelną Komendę, zaznacza się akcją uregulowaną, ale natury defensywnej, podczas gdy Ukraińcy przejmują rolę strony atakującej.

W okresie pierwszym rola Komendy zasadniczo ograniczała się do strony organizacyjnej. Wpływ jej na opanowanie sytuacji bezsprzecznie istniał, ale nie uwydatniał się tak silnie, jak w okresie drugim. Możemy dopatrzeć się przyczyn tego stanu rzeczy naprzód w tem, że Komenda sama musiała się

zorganizować a właściwa jej działalność, po wstępnym okresie kukułczego wysiadywania po różnych, nikomu lub mało znanych lokalach, zaczęła się dopiero w dniu 3 listopada. I dopiero potem mogła ona wyraźniej już zaznaczyć swoje wystąpienie nazewnątrz. Po drugie, oddziały same nie przywiązywały zrazu żadnej wagi do kwestji solidniejszego zorganizowania się, ale liczyły na akcję na „hurra“, liczyły na zaskoczenie nieprzyjaciela, którego mało powiedzieć energicznie, ale z wyjątkową wprost brawurą zaczęły atakować, robiąc to samorzutnie, bez oglądania się na swych sąsiadów, czy nawet i Komendę Naczelną, która zresztą zaraz z początku, bo w południe 2 listopada wydaniem zawieszenia broni nie tylko fatalnie ostudziła zapal bojowy swych oddziałów, ale nawet napełniła nieufnością oddziały do siebie i przez długi czas musiała walczyć z opinią niedowierzania i niezadowolenia. Atakujące nasze oddziały nie zbierały żadnych wywiadów o nieprzyjacielu, prowadziły śmiesznie małemi grupami akcje wypadowe, podjazdowe, niepokojąc i tak już zaniepokojonego własnem swem dziełem przeciwnika. Parokrotnie w tych dniach brałem udział pośredni w tych walkach i mogę z autopsji podać następujące fakty.

Umyślnie wybieram metodę indukcyjną, by przez odmalowanie kilku wypadków charakterystycznych uzasadnić później wydany pogląd ogólniejszy. Wypadki te będą mogły służyć jako dowody, iż uogólnienia moje będą trafne.

Zacznę tedy od zilustrowania wypadku z samego początku naszej akcji, mającej na celu rzekomo zajęcie siłą magazynu amunicyjnego na dworcu, w której to akcji brałem osobisty udział, nie wiedząc jeszcze coprawda o utworzeniu się Komendy z naszej strony i o jakichkolwiek zarządzeniach Mączyńskiego.

Było to około 9-ej rano pierwszego listopada, gdym dowiedział się w domu od służby, że miasto zajęli Ukraińcy. W tej chwili wybiegłem dowiedzieć się od znajomych, na czym sytuacja polega i jak nasi reagują. Liczyłem na to, jak prawdopodobnie wszyscy pokrewni duchem, iż panowanie ukraińskie, to zjawisko efemeryczne, które będziemy mogli zlikwidować szybko. Pierwszym znajomym, którego na ulicy Sapiehy przed Politechniką spotkałem, był por. Łapiński. Ten małomówny po swojemu, tym razem był zamknięty, jak nigdy. Żadnych informacji mi nie udzielił, ale wzywał mnie tylko, bym z nim razem

udał się pod kościół św. Elżbiety, gdyż „tam coś będzie“. Przybywszy obaj na miejsce, spotkaliśmy kpt. Rożena, z którym dłuższy czas rozmawiałem. Powiedział mi on, że tu czeka, gdyż mają nadejść rozkazy od Mączyńskiego, jako komendanta głównego co do „pewnej akcji“. Rzecz wyglądała tak tajemniczo, zarówno z ust Łapińskiego, jak i Rożena, że nie mogłem wyjść z podziwu, na co właściwie czekamy. Czekaliśmy tedy na tłum, który po skończonej mszy o 10-ej zaczął się wylewać z kościoła. O magazynie broni, który mieścił się przy Dworcu wogóle nikt nie mówił, — i nie wiem, czy ktokolwiek z tych, którzy zebrali się koło nas (ppor. Feldstein i kilku innych) wiedział, że taki magazyn słabo obsadzony (jak Mączyński twierdzi, broniony przez dwu landszturmistów) wogóle istniał, nie było między nami por. Brzozowskiego, który miał otrzymać od Mączyńskiego drugi rozkaz rzekomo w sprawie zajęcia tego magazynu. Natomiast mówiło się dużo na temat uzyskania broni od półbaonu węgierskiego, który stał garnizonem w szkole Konarskiego, leżącej niemal naprzeciw kościoła.

I wylewał się tłum z kościoła, szereg tęgich postaci kolejarzy daje się widzieć. Tworzą się grupy całe wyczekujących. Czuć w powietrzu, że „coś“ się zapowiada, ale nikt nie wie co. Łapiński gdzieś znika bez śladu. Rożen ciągle na „rozkazy“ wyczekuje. Tymczasem rozlegają się pojedyncze głosy, nacóż właściwie czekamy, rzecz przecież prosta, trzeba bić Rusinów. To znowu Rożen przestrzega, że nie można krzyżować planów, że trzeba czekać. Więc czekamy. Ppor. Feldstein na własną rękę z kilku kolegami udaje się do Węgrów i zaczyna z nimi konferować na temat wydania broni. Węgrzy wcale nie myślą oponować, ale komendant ich wymaga dla ratowania honoru, by przynajmniej dwu ludzi uzbrojonych żądało od niego broni, a on ją wyda. Słowem jest okazja niepowszednia. A jednak nie znalazło się „dwu sprawiedliwych“, nie znalazło się dwu ludzi uzbrojonych i — Węgrzy broni nie wydali. Na powtórne nasze żądanie nie odpowiadali nawet, tylko zamknęli się w środku budynku. Tymczasem tłum zaczął się rozchodzić. Kiedy jednak pokazał się patrol ruski idący ul. Gródecką, złożony z jednego żołnierza i jednego studenta VII klasy gimnazjalnej, tłum z nadmierną ciekawością zaczął im przypatrywać się, nieznacznie ich otaczając. Student wyczerpany silnymi wzruszeniami, a może

i nocą bezseną, ledwo się włókł, nie mając siły dźwigania karabinu. Mam wrażenie, że można mu było karabin bez najmniejszego ryzyka odebrać. Żołnierz prezentował się lepiej i idąc drugą stroną ulicy baczył na studenta, czy go ktoś nie zaczepia. Za chwilę znikli, idąc ku Dworcowi. Niebawem pokazał się nowy żołnierz ukraiński idący z miasta środkiem ulicy Gródeckiej, strzelając dla postrachu raz po raz w górę. Tym razem tłum nie wytrzymał, ale rzucił się na niego i zaczął bić, czem kto mógł. Mali chłopcy bili kluczami uwiązanimi na sznurku, inni pięściami i laskami. Z narażeniem życia należało go bronić, gdyż i tak był zalany krwią, a gdyby operacja trwała jeszcze minutę, byłby Rusin przez rozżarty tłum zlynchowany. Wreszcie udało mi się go z opresji uratować. W tej chwili ul. Gródecką zajechał samochód ciężarowy z obsadą kilku żołnierzy, ranny ostatkiem sił rzucił się na platformę z tyłu otwartą i samochód w zwiększonym tempie znikł nam z oczu. Tymczasem tłum, miast dalej się gromadzić, zaczął się gwałtownie rozpraszać, już nawet w momencie, gdy samochód się pokazał, ulica nagle opustoszała, a potem już z powrotem wcale się gromadnie nie zebrał. Sytuacja była stracona.

Kto w tej całej aferze zawinił? Mączyński, czy Rozeń — nie wiem. Przypuszczaćby należało, że instrukcja, o której Mączyński wspomina co do uderzenia na magazyn amunicyjny na dworcu, była dana w sposób niejasny, gdyż jak wykazała sytuacja, Rozeń jej nie zrozumiał. Cały bowiem czas była tylko mowa o zawładnięciu bronią, znajdującą się w posiadaniu Węgrów w szkole Konarskiego, a nie olbrzymiego magazynu broni i amunicji na dworcu, strzeżonego rzekomo jedynie przez dwu landszturmistów. Dyspozycja wydana była w dziwnie tajemniczy sposób, tak że zastępca dowódcy por. Łapiński nic o treści rozkazu nie wiedział i narówni z innymi, ze mną i t. d. zachowywał się bezradnie w oczekiwaniu „dalszych rozkazów“. Rozkaz nie był poparty przysłaniem, jak pisze Mączyński, dyrygowanych członków organizacji w sile kilku oficerów, dowódców plutonów i dziesiątek z P. K. W. Jest to prosta fantazja, absolutnie niczego podobnego na pl. Bilczewskiego nie było. Był tłum ludzi miejscowych, wychodzących z kościoła, co prawda liczny, ale niezdecydowany i nie wiedzący o niczem. Czyby ruszył się na wezwanie i dalej chciał, posiadłszy broń, wojować, wydaje

mi się rzeczą więcej niż wątpliwą, wszak gros tłumu stanowili kolejarze, którzy przecież nawet i w późniejszych momentach w czasach ogólnej mobilizacji do akcji bojowej w całości niemal nie przystąpili. Rzucać tedy kamieniem potępienia na Rożena wydaje mi się rzeczą co najmniej nieprzyzwoitą; nieudania się akcji pod kościołem św. Elżbiety nie można zwać jedynie na Rożena, wszak i Łapiński i ja tam byliśmy, aleśmy właśnie oczekiwali „rozkazu“, a ten nie nadchodził. Nie można zwać winy na tych, którzy tam poszli, by właśnie zacząć akcję, ale na nieszczęśliwą formę wydania rozkazu — słowem — nieumiejętność rozkazodawczą. Co gorsze, dopiero o godzinie drugiej, a więc w pełne cztery godziny dowiaduje się Mączyński i to z ust samego Rożena, że „magazynu amunicyjnego nie zajął dotychczas“, a więc okazało się, że innej łączności między rze-komym oddziałem Rożena a Mączyńskim nie było, jak tylko osobisty meldunek obu dowódców, a więc nie było meldunku do Mączyńskiego od tych „dziesiątek P. K. W.“, które on sam osobiście, bez pośrednictwa Rożena, na pl. Bilczewskiego zady-sponował. Uważam przeto całe przedstawienie powyższego incydentu w relacji Mączyńskiego za chęć przejawienia swej roli jako zdecydowanego kierownika całej akcji, kiedy faktycznie rozpoczynano rzecz w bardzo minorowym nastroju, bez owych „dziesiątek“ rezerw, redut i t. d. pochodzących z organizacji P. K. W., o której na miejscu absolutnie nic słyszeć się nie dało.

Dwa dalsze wypadki charakteryzują nam obraz walk początkowych.

Rano dnia 2 listopada byłem na ulicy św. Teresy i Karpińskiego, idąc z placu Jura ku pl. Bilczewskiego. Zauważyłem, że w zakładzie św. Teresy, dokąd właśnie przed chwilą Ukraińców kilku weszło, coś musi się gotować. Zaznaczę, że ani o patrolach naszych nic nie wiedziałem, ani też nie przypuszczałem, by tak daleko mogły się zapuszczać. Tymczasem po wejściu dalej w ul. św. Teresy zobaczyłem trzech naszych chłopaków uzbrojonych w karabiny i posuwających się ostrożnie ku placowi Jura. Upредиwszy ich, że Ukraińcy są w zakładzie św. Teresy, odbyłem z nimi naradę, jak dalej atakować. Podkreślę, że akcje te bojowe odbywały się przy ruchu niemal normalnym przechodniów, którzy na widok ukazujących się

patroli przystawali zdumieni, nieraz przerażeni, czasem chowali się po bramach, a niekiedy pomagali naszym. Pomoc ta była niesłychanie łatwa. Szło się z miną obojętną prosto przed siebie, a równocześnie rozglądało się bacznie dookoła. W razie zauważenia gdziekolwiek Ukraińców zawracało się niby pod pozorem, że stąd trzeba zmykać, — wracało się do swoich i wiadomość im podawało. Żołnierze ukraińscy mało znający przebieg ulic, kamienic przechodnich, wolnych ogrodów etc., zasadniczo posuwali się z wielką trwogą, natomiast grupy nasze nabuńczonych chłopaków operowały głównie w tych okolicach, które były im doskonale znane. W walkach tych trup był rzadkością. Jeden lub kilka strzałów danych przez naszych, co prawda nieumiejących strzelać żołnierzy, ale oddanych z dobrze ukrytego stanowiska, wywoływało kilka strzałów ze strony przeciwnej, danych zazwyczaj w powietrze i opuszczenie zagrożonego miejsca. W ten sposób nasi dochodzili już do pl. Jura w dniu 2 listopada. Słowem — były to drobne starcia patroli, przyczem wcale nie chodziło o jakieś owładnięcie terenu, lecz tylko o przepłoszenie przeciwnika.

Drugi raz miałem sposobność uczestniczyć w starciu na ul. Technicznej, drobnej uliczce, ciągnącej się ku ogrodowi Jezuickiemu od ul. Ujejskiego, z tyłu za kościołem św. Marji Magdaleny. Wracając wtedy z miasta popołudniu, w pół godziny może po ukończeniu zawieszenia broni, byłem tym razem świadkiem rozpoczynania takich samych patrolowych wypadów ze strony Ukraińców. Wypad ten był już z ich strony lepiej prowadzony. Na rogu ul. Sykstuskiej i Ujejskiego zastałem patrol, który mnie dalej nie chciał przepuścić. Część ludzi weszła do zakładu karnego dla kobiet przy kościele, część obchodziła ul. Ujejskiego na ul. Nikorowicza, część druga Sykstuską na ul. Sapiehy. Zatrzymany przez Ukraińców, cofnąłem się na ul. Matejki i przez ul. Badenich podbiegłem wcześniej do ogrodu przy Politechnice od strony pl. Jura, nim Rusini doszli na ul. Nikorowicza. Tutaj zastałem już naszych a poinformowawszy chłopców, że cały oddział ruski nie liczy więcej jak 12 ludzi, doradzałem spróbowania szczęścia od strony IV gimnazjum.

Oba obrazki przytoczone wskazują na to, że cechą charakterystyczną pierwszego okresu walk były drobne utarczki typu patrolowego, ciągłe niepokojenie przeciwnika strzelaniną i okręż-

nemi ruchami, bez jakiegokolwiek zamiaru bezpośredniego zdobywania terenu, zajmowania go na stałe i umacniania się w nim. Nie wiem, ile takich patroli wypuściła w tym czasie czy Szkoła Sienkiewicza, czy Dom Techników. Mam wrażenie, że gdyby siły nasze były tu większe, gdyby można było liczyć na prowadzenie akcji poważniejszej, tobyśmy w tym czasie mogli daleko w głąb miasta się posunąć. Na odcinku jednak kościoła Marji Magdaleny ani z naszej strony, ani ze strony ukraińskiej sił poważniejszych nie było. To, com widział na placu Jura i na ul. Sykstuskiej zdawało się raczej wskazywać, że w tym rejonie po stronie ruskiej operuje co najwyżej jedna kompanja w sile jakich 50 ludzi, jeśli przyjmemy, że $\frac{1}{3}$ patrolowała po ulicach a dwie trzecie stały w pogotowiu. Najbliższy z punktów oporu był Sejm i Poczta; oba gmachy były stałe obsadzone i to silnie, przynajmniej po jednej kompanji wojska. Na Poczcie mogło być nawet i więcej, lecz stał tam głównie landszturm ukraiński, złożony z ludzi nie zdających sobie sprawy, zdaje się więcej przerażonych swą rolą, niż niejeden ze strachajłów cywilnych. Wystarczy chyba podać fakt, iż kiedy w dniu 3 listopada rano przechodziłem ul. Kopernika po stronie Poczty, której właśnie zabronionem było chodzić, widziałem na ulicy kilka pożałowania godnych figur w mundurach austriackich, zamiast bączka strojnych w „żowto-syne“ kokardy. Najbliższy z posterunków na odległość paru kroków krzyknął do mnie rozpaczliwym głosem: „ruki w werch“. Podchodząc do mnie zaczyna przeszukiwać kieszenie, ale widząc, że starowina trzęsie się sam ze zdenerwowania, objąłem go wpół i powiedziałem do niego: „ne bij sia staryj!“ A stary tylko się uśmiechnął, nie wiem, czy wziął mnie za Ukraińca, choć nie wiem, czy to, co powiedziałem było powiedziane dobrze po rusku, ale w tej chwili przyskoczył z bagnetem nasadzonym młody, buńczuczny „striłek“ i tym razem ostro i całkiem po wojskowemu kazał przejść w tej chwili na drugą stronę ulicy.

Obrazek ten ma zadanie zilustrować, że z oddziałów ukraińskich we Lwowie, mimo całe ich przygotowanie, część tylko i to drobna część dała się użyć do akcji przeciw nam. Ogromna masa był to landszturm z baonów wartowniczych, czy etapowych, który nie tylko nie posiadał wcale animuszu bojowego, ale wprost szukał tylko okazji, byle wymknąć się ze Lwowa.

Jeżeli tedy Mączyński w swoich obliczeniach dochodzi do liczby 12 tysięcy bagnetów w początkowych akcjach po stronie ruskiej, to liczba ta wydaje mi się i to bezwzględnie przesadzona, jak też i jakościowo nie przedstawiającą siły bojowej. Przypuszczałbym, że ogólne siły całego garnizonu we Lwowie wynosiły może w pierwszym momencie zamknięcia koszar (rankiem 1 listopada) do 15.000 ludzi, z czego na Rusinów najwyżej połowa przypadła, w czym ogromny procent starego, kompletnie bezwartościowego landszturmu. Obsada gmachów komend wojskowych i obiektów strategicznie wybranych poza koszarami mogła wynosić co najwyżej 2000—3000 ludzi. Oczywiście jak się przedstawiały stosunki w koszarach, to uchyla się zdaje i mojej i innych wiedzy. Jak zatem szacować ogólną siłę bojową Ukraińców we Lwowie, nie potrafię odpowiedzieć. Zgoła wykluczam, by mogli mieć 12.000 ludzi, wszak cyfra 12.000 karabinów stanu ogniowego, toż to siła dywizji, z którą ówczesni Rusini mogli iść na podbój Warszawy i Kijowa, a nie gnieździć się w ukryciu we Lwowie. Stanowczo twierdzę z tego, co można było na ulicach obserwować, że obsada ukraińska nigdy w czasie całej akcji listopadowej do tej cyfry nie mogła dochodzić, ani tem mniej w dniach początkowych, gdyśmy mogli swobodnie ich ilość przechadzając się po ulicach śledzić¹⁾.

Jakież tedy mamy ocenić rolę operacyjną Komendy Naczelnej w tych wypadkach?

Już w części organizacyjnej starałem się podkreślić, że rola Komendy jako kierowniczej naczelnej była zrazu słabiutka, ledwo widoczna, niemal żadna. Przedewszystkiem nie było żadnych „redukt” z wyjątkiem Szkoły Sienkiewicza i Domu Techników, powstałych, jak widzieliśmy bez żadnego współudziału czy

¹⁾ Źródła ukraińskie drukowane podają siły ukraińskie w dniu 1 listopada 1918 w sposób następujący: Krenżałowski, Lwów w ukraińskich rękach (1—21 XI 1918), str. 5: „bojewoho stanu koło 800 ludej i w druhe stilyk żowniriv prydatnych łysze do lokalnoj służby, perewažno starych i chorych”; Kuźma, Listopadowi dni 1918 r. (Lwów 1931) str. 43: „prybylna kilkistj Ukraińciw dnja 25 X buła.... bilja 2400 wojakiw, miż nymy 800 u wici 45—50 lit.... Ce buło prybylne czysto wsich ukraińskich wijsk rozmiszczonych todi u Lwowi“, str. 54: „.... jakych 1400 wojakiw i 60 starszyn. Taka buła prybylna syła na poczatok pereworotu....“. (Przyp. red.)

rozkazu ze strony Mączyńskiego. Powtórę sama Komenda jako taka, faktycznie nie istniała i nazewnątrż tem samem nie mogła występować. Walki odbywały się w sposób zgoła bezplanowy, jako wyraz ruchawki bezładnej, bez jakiegokolwiek ściśle określonego celu zdobycia pewnych obiektów, bez jakiegokolwiek oparcia o jakieś własne, uzbrojone, czy dopiero zbrojące się reduty. Cały ten ruch początkowo bezładnie, spontanicznie, w najrozmaitszych ośrodkach wybuchający nie koncentrował się ani około komendy, ani około Komendanta Naczelnego, ale jak to już wielokrotnie podkreślałem, rozwijał się bez żadnego wzajemnego współdziałania poszczególnych oddziałów między sobą, a tem mniej w zależności i pod kierownictwem dyspozycyjnem jakiejś władzy naczelnej. Kilka dyspozycji, jakie w tym czasie Mączyński wydał, były to raczej dezyderaty tworzenia pewnych ośrodków walk na poszczególnych terenach miasta, ale nie były to rozkazy formalne, wydane jakimś zorganizowanym, choćby w sposób dorywczy oddziałom ochotniczym czy nawet poszczególnym osobom. Tak samo i rozkaz udzielony mnie osobiście, co do zorganizowania ośrodka zbrojnego na Kleparowie i Zamarstynowie, nie może być uważany za rozkaz przeprowadzenia akcji jakimś, choćby nieokreślonej siły, oddziałem a tem mniej uruchomienia reduty. Nie było tam bowiem ani ludzi, ani żadnej reduty. Pomimo to Mączyński twierdzi, iż taka reduta została stworzoną na Zamarstynowie i wrysował ją w swój fantastyczny szkic sytuacyjny redut, istniejących w dniu 1 listopada.

W rzeczywistości postępująca naprzód fala wypadków bojowych stwarzała coraz dogodniejszą sytuację do tworzenia się armji, do obejmowania roli kierowniczej przez pewną grupę osób w charakterze naczelnej władzy, rozszerzała nasz stan posiadania a równocześnie stwarzała warunki umożliwiające organizowanie się naszych poszczególnych grup bojowych. Dopiero ex post Komenda Naczelna dowiadywała się o zajęciu pewnych obiektów (wyjątek Rzęsna), wciągała obsadę i dopiero potem obejmowała nad nimi coraz silniej zaznaczającą się i coraz lepiej ugruntowującą się władzę.

W pierwszym rzędzie zatem bohaterem walk lwowskich jest żołnierz-ochotnik, występujący w swej roli, jako wyraz ruchu ogólnego, nie kierowanego przez nikogo, a prowadzonego

tylko wewnętrznym nakazem moralnym, pojmowanym zresztą indywidualnie — w drugim dopiero rzędzie można mówić o roli Komendy Naczelnej, która z biegiem czasu zaczęła w karby coraz bardziej wojskowe cały ten nieokiełzany ruch ujmować.

Żołnierz nasz stawał naogół bardzo dzielnie. Coprawda były i momenty popłochu, które sam naocznie widziałem, gdy w dniu 3 listopada na ul. Potockiego kilku młodych ochotników, cofając się w głąb ulicy, rzucało karabiny do ogródków willowych, by dalej spacerować już jako „neutralni“. Daleko silniej jednak dawały się objawy popłochu zauważyć u Ukraińców. Naogół bowiem oni, którzy de facto byli panami miasta, na odgłos samej strzelaniny tracili głowy. Inaczej tego faktu niepodobna sobie wyjaśnić, że w dniu 2 listopada nie puszczali patroli gęstszych i liczniejszych, powiedzmy po plutonie, lecz zadawali się wysyłką drobniejszych sił, a nawet pojedynczych żołnierzy, których niepowodzenia, napewno przejawiskawione, oddziaływać musiały ujemnie na zamkniętych w gmachach. Nie uciekając się do cyfr podanych przez Mączyńskiego na określenie sił ukraińskich, ale przyjmując ich część, wyda się ta rzecz wprost niezrozumiałą. W rzeczywistości zatem musimy określić rolę ruskiej komendy jako defensywną z chwilą, gdy z godziny na godzinę zaczęła tracić na terenie posiadanym i dowiadywała się co moment o wybuchaniu coraz nowych ognisk strzelaniny na coraz szerszej przestrzeni.

To też, jeżeli kierownictwo z naszej strony w pierwszych momentach prawie nie istniało, to zdaje się jeszcze gorzej musiało być pod tym względem po stronie ruskiej. Tam zapewne chaos meldunków dochodzących od licznych oddziałów, niepewność dysponowania własnymi siłami w obawie, by nie „zwiąły“, a dalej niezwykłość sytuacji, gdzie z pewnością rodowych lwowian musiało być niewielu, wszystko to razem musiało wpływać rozpraszająco i dezorjentująco na komendę, która miała, wobec dysponowania wielkimi siłami, niełatwy orzech do zgryzienia. To też używanie patroli w dniu 1 listopada pojedynczymi żołnierzami, czy dwójkami, albo trójkami oraz jedyny nieudany atak planowy na Szkołę Sienkiewicza, wykonany w formie najeźdu autem ciężarowym, były początkiem dla nich nieszczęśliwym; wzmocnienie zaś sił patrolowych na 8—12 ludzi w dniu 2 listopada, a po nim przejście do silniejszych patroli było już akcją

spóźnioną i sytuacji nie mogło już naprawić pierwsze, większe działanie podjęte przeciwko Domowi Techników w dniu 3-go w południe kilkanaście już kompaniami, do tego prowadzonymi w szyku zwartym, w chwili gdy broń znajdowała się już w naszych rękach.

Wypadki te oddziaływały, rzecz naturalna, nader sprzyjająco na bieg naszej działalności. Pozwoliły one po pierwsze w tempie umiarkowanym na pewne, choć słabo zaznaczone, zogniskowanie akcji w celu zdobycia magazynu amunicji, co przez dziwne jedynie niedopatrzenie Ukraińców da się wytłumaczyć. Słowem początkowe nasze kroki zawdzięczały swoje powodzenie więcej szczęściu, niż planom i ich wykonaniu. Powtórnie umożliwiły one napływ ochotników do obu naszych centrów oporu, wreszcie naszej stronie wogóle dodały animuszu bojowego, podczas gdy strona przeciwna tracąc inicjatywę, traciła też i ducha bojowego.

W całym tym okresie „małej wojny“ mieliśmy zdecydowaną przewagę po naszej stronie. Siły nasze z godziny na godzinę gwałtownie rosły i to wzbogacając się w materiał ludzki niezmiernie pożądanym, bo zapalczywym, zdecydowanym bojowo, młodym, przedsiębiorczym i co najważniejsze rodzimym. Przecież każdy z naszych oddziałów zazwyczaj walczył na terenie miasta, gdzie znajdował się jego dom rodzinny. Tam bił się najdzielniej, wprost brawurowo, nawet nieraz nieopatrznie.

Boć działo się to niemal w oczach najbliższych i najdroższych mu osób, w oczach których rósł na bohatera, skarbił sobie wdzięczność najgłębszą wszystkich, nawet obojętnych; ta chęć odznaczenia się wobec bliskich, to jeden z najistotniejszych powodów brawury fenomenalnej naszych oddziałów. Tymczasem u Rusinów równoległe rosło przerażenie, rósł zamęt w komendach, a w oddziałach panika, nieraz masowa, straszna, nieokiełzana. U nas siły rosły, tężał duch bojowy, u Rusinów topniały szereg i nie dawały się użyć.

To też zawarcie zawieszenia broni w dniu 2 listopada, czy nawet w dniu 6-go, wymuszone na Komendzie Naczelnej przez P. K. N. było błędem nie do darowania. Powtarzam jeszcze raz: pod względem taktycznym było to przewinienie równe tylko zdradzie.

Przy ogólnym charakterze walk w pierwszych dniach, gdy do oddziałów bojowych dołączały się całe masy ludności cywilnej, nawet starszych obywateli, nawet kobiet słabych i młodych dziewcząt można było oczekiwać, że nie dni, ale godziny panowania ukraińskiego we Lwowie są policzone. Tymczasem stało się inaczej. Naczelna Komenda przyjmuje zawieszenie broni, nakazuje oddziałom zatrzymać się w akcji pościgowej, a krok ten był równoznaczny nakazaniu naszym oddziałom, by cofnęły się na szeregu punktów, nieraz do pozycji wyjściowych w tym dniu. Słowem, był to czyn, który za sobą niema żadnego usprawiedliwienia, który można tłumaczyć jedynie małodusznością P. K. N-u i niepotrzebnem uznaniem jego umowy z Ukraińcami przez Naczelną Komendę. Mam to najgłębsze przeświadczenie, że gdyby wtedy Ukraińcy zaaresztowali nasz Komitet Narodowy, to wyświadczyliby tem najlepszą przysługę dla naszej sprawy. Uwolnieni od tej zmory moglibyśmy, choć z pewnem opóźnieniem, dalszą akcję bojową prowadzić w sposób nieskrępowany zapatrywaniem ludzi o bojaźliwym sercu. Niestety P. K. N. stale aż do końca dni listopadowych wpływał na operacje Naczelnej Komendy i stale nastrojami swojemi oddziaływał ujemnie, pozwalając Ukraińcom przyjść do równowagi i do rozpoczęcia kroków zaczepnych, które zmusiły nas z dniem 5 listopada do stosowania w głównej mierze działań defensywnych, odtąd bowiem ofensywa przechodziła tylko na krótkie i niezupełnie szczęśliwie wyżyłskane momenty w nasze ręce.

Powtóre, taktyka bojowa, sposób przeprowadzenia działań przez nasze oddziały stał znacznie wyżej od ruskiego. Oddziały nasze składające się z rodowitych przeważnie lwowian, znających na wylot wszelkie zaułki, wszelkie zakamarki kamienic, domków, szop, ogrodów i t. d., umiały znakomicie przystosować się do warunków „polowania“. Polowaniem bowiem muszę nazwać sposób prowadzenia walk w tym okresie „małej wojny“. Nasi z zawziętością tropili Ukraińców, co najmniej jak skauci w swoich zabawach. Tu strychami lub piwnicami, ówdzie nawet dachami przerzucali się na tyły patroli ukraińskich, tu obchodzili ich przejściami im tylko znanymi, tu pokazywali się nagle głęboko na tyłach ukraińskich, by za moment zginać bez śladu i znowu wypłynąć na nowem stanowisku. Naodwrot ocieżyły żołnierz ukraiński, rekrutujący się w głównej części z ciem-

nego chłopstwa, naogół nieznałecgo nietylko Lwowa, ale miasta większego, czuł się tu nieswojo, co najmniej jak zwierzę w klatce. Patrole z konieczności musiały się posuwać ulicami, wyzyskując co najwyżej bramy domów i przedsionki, narażając się wszędzie na łatwe strzały, wszędzie były denuncjowane naszym niewidocznym oddziałom. To też mimo znikomą naszą liczebność, a dzięki umiejętnemu wyzyskaniu warunków walki, mieliśmy na całym terenie Lwowa poważną przewagę. Nie liczba naszych, ale sposób prowadzonej przez nas walki przerażał Ukraińców, wywoływał nienawiść do całej ludności polskiej, powodował drakońskie wobec niej przepisy, ogłaszane na zasadzie stanu wojennego.

Gdybyśmy w owym czasie, choć w części wysilili się na skuteczność zarządzeń, narzucających pewien przymus postępowania całej ludności polskiej we Lwowie, zlikwidowalibyśmy bezwątpienia całą aferę w sposób zgoła pospieszny. Tymczasem postępowaliśmy „w rękawiczkach“, nikogo nie chcieliśmy drażnić, nie pragnęliśmy „soldateski“, postępowanie nasze pełne było niezaradności, ulegania wpływom elementów niebojowych, a nawet wrogich walce orężnej i w rezultacie, z powodu tego rodzaju kunktatorstwa, ściągnęliśmy ciężkie dni i miesiące na całe miasto.

W początkowym tedy okresie, jak powiedzieliśmy, Naczelna Komenda słabą rolę odgrywała. Cały ciężar działania spoczywał na dowódcach grup spontanicznie się tworzących, o których w wielu razach dopiero spóźnione wiadomości do nas dochodziły. Dokoła przedsiębiorczych oficerów tworzyły się zrazu drobne grupki obrońców, później rozrastały się coraz liczniej i potężniej. Takim oddziałkiem powstałym samorzutnie, bez żadnego rozkazu, bez wiedzy nawet Naczelnej Komendy, był oddział por. Monda, zwany później odcinkiem Cytadeli, takim był oddział ppor. Starka, złożony z samych zamarynowiaków, oddział dla Rusinów wprost krwiożerczy, ale i dla naszych spokojnych obywateli przedstawiający istny dopust boży. Takim był oddział niemniej strasznych Beinaków, takim szereg oddziałów wyłonionych w początkowych czasach przez obsadę Szkoły Sienkiewicza. Bliżej mówiliśmy o tem samorzutnem tworzeniu się oddziałów w ustępie o organizacji, tutaj musimy tylko jeszcze raz ze względów operacyjnych fakt ten podkreślić.

W rzeczywistości bowiem w okresie tej „małej wojny“ główny ciężar pracy dowództwa sprowadzał się do trzech zasadniczych czynności, do wewnętrznego zorganizowania się dowództwa, do czynności zaopatrywania oddziałów i do wpływania na wyrównanie obsad odcinkowych — i ta działalność nawet i w późniejszym okresie na pierwszy plan się wysuwa, tylko coraz silniej się zaznacza, coraz bardziej tężeje, rozwija się i komplikuje. Natomiast kierownictwo bojowe zaznaczało się zrazu słabiutko, ograniczało się tylko do kilku poważniejszych akcji, do kilku przedsięwzięć rzeczywiście potrzebnych i nawet koniecznych, ale — wyraźnie podkreślam — tylko kilku, gdyż gros akcji odbywało się samorzutnie, które nieraz dopiero po ukończeniu były meldowane dowództwu. Dla szeregu odcinków jeszcze przez kilka dni była kwestja komendy rzeczą obojętną, niektóre grupy o niej albo nie wiedziały nic zgoła, albo tylko coś nieuchwytnego. Że Komenda naczelna odgrywała wtedy rolę podrzędniejszą, dowodzi choćby to, że o Szkole Sienkiewicza, czy Domu Techników niemal cały Lwów mówił, każdy z upragnieniem oczekiwał wieści od nich, każdy widział w nich całą, niepodzielną nadzieję na odbicie Lwowa, tymczasem Komenda była tworem nieznanym powszechnie (może to i dobrze), nikt do niej niemal się nie zgłaszał, była tworem tak zakonspirowanym, że najbliżsi nie mieli możliwości do niej trafić. Dopiero w kilka dni później lokal przy ul. Grunwaldzkiej l. 9 stał się prawdziwym ośrodkiem walk, prawdziwym dowództwem, ale stało się to dopiero wtedy, gdy Komenda nie nominalnie, ale faktycznie zaczęła swą rolę spełniać. Tu wtedy skoncentrował się cały aparat służb, aparat wywiadowczy, szereg ludzi, organizacji, instytucyj, przedsiębiorstw zaczęło się do niej odnosić nieraz w sprawach błahych, nieraz pierwszorzędnej doniosłości. Ale zaczęło się to powoli i stopniowo wytwarzać. Można powiedzieć około 9 listopada Komenda była już zorganizowaną i z tym momentem wszelkie czynności dowództwa zaczęła spełniać.

Tymczasem jednak biegły wypadki bojowe własną drogą, pośrednio tylko odbijając się o wpływ Naczelnej Komendy. W początkowym tedy okresie — śmiem twierdzić — akcja takiego Domu Techników, rozwijająca się zgoła bez żadnych nakazów Komendy Naczelnej, w sposób doraźny, silny, nawet gwałtowny,

która doprowadziła do opanowania Politechniki, koszar wuleckich, szkoły Marji Magdaleny, remizy tramwajowej, obywała się zgola bez kierownictwa operacyjnego za wyjątkiem spraw uposażenia bojowego. Naodwrot, Komenda — powtarzam — akcje te nieraz paraliżowała, hamując swemi ugodowemi zapędami ducha bojowego, nie pozwalając wyzyskać sytuacji krwawo zdobytych. Takie tworzenie pewnej fikcji władzy, niedającej oddziałom walczącym należytego oparcia materialnego, ani pomocy faktycznej, a co najważniejsza żadnej podstawy zaufania, było szkodliwem i to szkodliwszem, niż się naogół przypuszcza. To też rzeczywista zasługa spaść musi nie na Komendę Naczelną, ale na całe szeregi bezimiennych bohaterów, którzy nie posiadają żadnej mocy do dziś dnia upomnieć się o swe nieprzedawnione prawa, choćby w formie uznania za swe boje homeryckie, za swe iście awanturnicze posunięcia taktyczne, jak to widzimy w akcjach Boruty, Monda, Starka, Wasilewskiego i wielu innych nieznanych a prawdziwych bohaterów. Wprowadzie Mączyński mężniał, tężał i z biegiem czasu uczył się być dowódcą, ale mojem zdaniem, mimo wszystko nie dorównywał aż do ostatnich czasów siłą zdecydowania się szeregowi całemu swoich podwładnych. Przeciwnie, w ich czynach czerpał nieraz otuchę, że przecież nie należy tracić nadziei. Według Mączyńskiego, najistotniejszym bohaterem bojów we Lwowie był por. Abraham. Bezsprzecznie była to jedna z tych wspianiałych postaci, która swoim tupetem bojowym zasługiwała wielokrotnie na wyróżnienie w rozkazach pochwalnych. O ile więcej przewyższa go wprost genjuszem taktycznym, owocnością przeprowadzanych walk, opanowaniem organizacji sobie powierzonej, niezapomniany Boruta-Spiechowicz, którego nazwisko powinno być wyryte na pierwszym miejscu obrońców Lwowa. O ile niżej stawiać należy znowu niezdecydowanego, bojaźliwego, zrzucającego ustawicznie odpowiedzialność za sytuację por. Bujalskiego od skromnego peowiaka chor. Wasilewskiego, pierwszego komendanta Domu Techników, zdobywcy Politechniki i szkoły Marji Magdaleny, niestrudzonego w wypadach przeciwko Cytadeli w pierwszych dniach, a jednak odsuniętego od komendy i pozostawionego ze szkodą dla akcji na uboczu. Takich jak Abraham mieliśmy dowódców wielu, Trześniowskiego, Wiktora, Monda, Schwarzenberg - Czerneho, Starka, Bieńkowskiego, Brzozowskiego, Berg-

mana, Mossoczego, mieliśmy bohaterskich lotników z kpt. Bastyrem na czele, mieliśmy ich legjony całe, wielkich swą bezimiennością i siłą ofiary. Bohaterstwu tych ludzi mogła Komenda zawdzięczać to, że za wyjątkiem Dworca, nigdy ani jedna placówka nie padła, ani jedna organizacyjnie nie została rozbitą, ani jedna hańbą własnej ugody z Rusinami się nie okryła. Jedynie bez wiedzy i wbrew dążeniom dowództw odcinków ten wątpliwy zaszczyt prób rozwiązania konfliktu na drodze szkodliwych ugód z Rusinami spadł na barki Komendy Naczelnej. Stanowczo twierdzę, że Naczelna Komenda najsłabszemu ze swych dowództw odcinkowych nie dorównywała, a stała nieporównanie niżej od przeciętnego typu komend podwładnych pod względem ducha bojowego i nastroju wojennego.

Komenda Naczelna nie była właściwie nawet dobrze obznajomiona z przebiegiem akcji (w samym trakcie walk), zwłaszcza o ile chodzi o pierwsze dni bojów lwowskich, a przekonyującym dowodem tego jest sprawa zdobycia Dworca Głównego, co do której jest rzeczą sporną, komu przysługuje palma zdobywcy tak ważnego obiektu. Sprostowania, jakie Naczelna Komenda w listopadzie wydawała w swych komunikatach, w niczem nie przyczyniły się do wyjaśnienia sytuacji, ustawicznie istniał spór, kto jest właściwym zdobywcą Dworca.

Jasną jest rzeczą, że tak potężny kompleks, jaki w różnych obiektach przedstawia Dworzec, mógł być w swych częściach, jak hala główna, dworzec towarowy, magazyn amunicyjny i żywnościowy, ogrzewalnie i warsztaty w różnych czasach przez różne grupy zdobywany. Co do uczestnictwa w walkach poszczególnych osób i grup bojowych w dniu 2 listopada, prawdopodobnie rzecz wogóle nie będzie mogła być rozstrzygniętą, gdyż w zamięszaniu walk sprawozdania poszczególnych uczestników są sprzeczne w szeregu szczegółów. To też kwestji tej nie będziemy nawet próbowali wyjaśnić, gdyż jest to poprostu niepodobieństwem. Natomiast można bez żadnego narażenia się na zarzut nieściśłości orzec, że udział Naczelnej Komendy w walkach o Dworzec był niemal żaden. Dworzec został bowiem otoczony przez różne, luźne grupy nasze, które wdarły się weń z różnych stron do różnej głębokości, ale mimo wszystko na Dworcu Czerniowieckim obsada ukraińska się trzymała i ta w czasie rozejmu przebiła się na drugą stronę niespodziewanym

wypadem. Hala główna i magazyny znalazły się bezspornie w naszych rękach, ale hala i sam główny budynek przepełnione były setkami powracających „Heimkehrerów“, z których poważna część uzbrojona była w rewolwery i granaty ręczne. W czasie ogólnego rozejmu Dworzec cały znalazł się w naszych rękach i odtąd zaopatrzenie walczących oddziałów w broń i amunicję mogło się bez żadnych przeszkód odbywać, co pozwoliło oddziałom założyć nawet własne, potężne magazyny amunicyjne i żywnościowe. Zajęcie Dworca pozwoliło nam wreszcie przystąpić do zorganizowania lotnictwa — i to dzięki inicjatywie ś. p. kpt. Bastyra Stefana, który już uprzednio w dniu 2 listopada był na lotnisku i pertraktował z dowódcą lotniska o przejście go we własne ręce. Początkowo rzecz nieszła, ale po dwu dniach lotnisko samo, bez oporu i bez naruszenia jego majątku, wpadło nam w ręce.

Nie jest tedy prawdą, by akcja zdobycia Dworca odbywała się, jako planowy wynik zarządzeń Naczelnej Komendy, ale była ona typowym ruchem odśrodkowym, prowadzonym nawskroś samorzutnie przez różne oddziały, a dopiero w następstwie starała się Komenda nad ruchem tym zapanować, naznaczając ze swej strony komendantem por. de Laveaux. W rzeczywistości jednak do tego nie doszło, gdyż w dniu 3 listopada wieczorem straciliśmy w nieoczekiwany sposób Dworzec, i to w sposób mało honorowy. Oto nadjeżdża kilku eszelonami z Kołomyji grupa Wasyla Wyszywanego, coprawda nie pod jego osobistym kierownictwem, ale pod dowództwem płk. Hryćka Trusa (Tarnawskiego).

Cała akcja tej potężnej, bo resztki ukraińskiego legionu przedstawiającej grupy, grupy ćwiczonej szturmowo wedle ostatnich wzorów zdobyczy światowej wojny, gdzie każdy żołnierz przechodził znakomite wyszkolenie ogniowej walki i specjalnie kolumn szturmowych, gdzie każdy żołnierz posiadał po 6 granatów ręcznych, słowem cała akcja tej grupy, która przy odpowiedniejszym użyciu mogła swobodnie zwalczyć w tempie spacerowego kroku cały nasz opór, zawiodła najsromotniej. Były to wyborowe oddziały armii ukraińskiej, które jak prawdziwi triumfatorzy wjeżdżały do „ruskiego“ Lwowa, gdyż wiadomości o naszym odporze poważniej traktować nie chciały. Oczy całego społeczeństwa ruskiego z dumą na swych U. S. S.

spoglądały i od ich wystąpienia bojowego wszystkiego oczekiwały. „Striłki“ miały zastąpić dotychczasowy garnizon we Lwowie, oni mieli w mieście rządy wojskowe objąć, oni mieli być właściwymi gospodarzami na miejscu.

Dlaczego tedy Mączyński nie przywiązuje odpowiedniej wagi do wypadków, które miały rozstrzygnąć się przez „usaków“, nie rozumiem. Mogę to sobie wytłumaczyć tylko rezygnacją ze strony naszego dowódcy, który przyjmując pierwszą wiadomość od Bujalskiego, że na dworzec Persenkówki zjechał pełny transport kolejowy „usaków“ i że dalsze transporty w pośpiesznych eszelonach znajdują się w drodze, ogromnie podupadł na duchu, tem więcej, że z innych stron alarmowe wiadomości zaczęły się coraz groźniej zbiegać w Naczelnej Komendzie. Skutkiem tego w najbliższym czasie cały ciężar działania spadł na odcinki, a Komenda Naczelną straciła na szereg dni całą inicjatywę, a nawet i bezpośredni wpływ na tok akcji własnych oddziałów.

Całym szczęściem w tym wypadku było, że „usaki“ jechali do Lwowa jak na paradę, lekceważąc sobie polskie bandy, nie wierząc w ich siłę bojową i licząc się z tem, że samem swoim pojawieniem się potrafią nas duchowo zabić i wszelkie próby oporu bez właściwego boju złamać. Jechali wprost nie jak ekspedycja karna, ale jako wspaniałomyślni zwycięzcy, którzy rozumiejąc dobrze nasz zapał patriotyczny, obejdą się z nami z fantazją „Bohunową“. Zupełnie nie przesadzam, ale było faktem, że początkowo oddziały „usaków“ występowały poprostu jak na mężnych, zaufanych w sobie rycerzy przystało, a pogłoski o ich znęcaniu się nad załogą stacji radjo w Kozielnikach uważam za przesadzone.

Fakt ten bliżej muszę opisać tak, jak mi to opowiadał sam dowódca, poległy później kpt. Wiktor. Niezmiernie czynny i przedsiębiorczy ten podoficer Beliniak, to jedna z tych postaci, która w Panteonie Lwowa wysuwa się na jedno z pierwszych miejsc. W dniu 2 listopada zgłosił się w dowództwie z tem, że podejmuje się opanowania stacji radjo, że sam stworzy sobie oddział, że ma nadzieję, że personel polski stacji go poprze i że będzie się starał nawiązać łączność z Przemyślem, Krakowem i Warszawą i będzie domagał się doraźnie pomocy. Mączyński nie ufał młodemu człowiekowi, który jednak ode mnie

dostał rozkaz pisemny do dowództwa stacji radjo, by uznała placówkę Wiktora, jako oddział tworzącej się armji polskiej i by niezwłocznie przystąpiono do uruchomienia stacji. Opanowanie stacji się udało, poczem parokrotnie starano się pokryć jej potrzeby, a przedewszystkiem z apteki Mikolascha dostarczono jej potrzebnego zapasu benzyny. Osobiście uważałem placówkę tę za straconą i mam wrażenie, że Wiktor również doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa powziętego kroku i niemożności korzystania z powodu odległości z wojskowej pomocy z naszej strony. Był to oddział zdany w zupełności na własne siły, utworzony — podkreślam — z własnej inicjatywy przez ochotników. Jest to zaiste czyn rzadkiego, nawet w stosunkach lwowskich, bohaterstwa. Garstka kilkunastu zde-terminowanych ludzi, z których część miała po raz pierwszy w życiu karabin w rękę, odpierała przez trzy godziny z brawurą fenomenalną regularny atak trzech kompanij szturmowych. Jakież musiało być zdumienie Ukraińców, gdy liczyli na obecność co najmniej dwu kompanij swego najzaciętszego wroga, jak przypuszczali „polskich legjoneriw“, a tymczasem zobaczyli garstkę dwudziestu kilku żołnierzy i skautów, z których znaczna część już nie żyła, a wszyscy pozostali bez wyjątku byli ranni. Ale też i uczcił ich wróg honorowo. Sam urządził pogrzeb, a dowódcę kpt. Wiktora-Kopcia wypuścił z niewoli, odebrawszy od niego słowo honoru, że więcej przeciw niemu nie będzie bojowo występować; liczył widać na to, że Wiktor przyniesie hjobową wieść do Komendy i przedstawi beznadziejność całego położenia i wpłynie na... poddanie się „polskich legjoneriw“ na łaskę i niełaskę zwycięzcy, który obiecywał być wspaniałomyślnym bez granic. Jeszcze raz zatem muszę podkreślić pewną fantazyjną, rzekłbym rycerską „noblesse“, z jaką ukraińscy strzelcy wystąpili zrazu do walk lwowskich; czynię to tem chętniej, że naogół odsądzano strzelców siczowych od czci i wiary i że barbarzyństwa późniejsze kładziono wogóle na karb rozbestwienia panującego powszechnie w obozie ukraińskim. Naodwrot miałem wrażenie, że z naszej strony za mało podkreślano ich gentlemństwo; jakkolwiek z jeńcami, a specjalnie z rannymi obchodzono się stale z naszej strony w sposób najzupełniej samarytański, bez robienia żadnych różnic między własnymi a obcymi rannymi, niemniej równą miarą honoru nie

odpłacaliśmy „usakom“ i fakty zaraz podam. Oto kpt. Wiktor znalazłszy się po naszej stronie i zameldowawszy lojalnie, że za słowem honoru został wypuszczony, dostał z Naczelnej Komendy „absolucję“ i do obozu ukraińskiego wcale nie wrócił, lecz otrzymał komendę odcinka Rzęsna Polska, na którym od tego czasu aż do momentu swej bohaterskiej śmierci przewodził mężnie w licznych bojach. Drugi taki wypadek to wypuszczenie ppor. Nittmana w walkach na Dworcu Głównym, ale sprawę tę przedstawię w łączności z omówieniem przebiegu ogólniejszym wypadków na Dworcu.

Największym błędem było ze strony strzelców siczowych, że dobrowolnie rozbili swe oddziały na grupy, którym przydzielano zadania samodzielne. Oczywiście pochodziło to stąd, że na regularny, silniejszy opór z naszej strony nie rachowano i... przerachowano się. Oto dwa baony jeszcze w dniu 3 listopada wywagonowały w Persenkówce i marszem pieszym weszły do Lwowa przez roгатkę Zieloną. Trzeci transport w sile również jednego baonu zajechał na Dworzec Główny i tu po krótkiej walce go opanował, zabrawszy do niewoli jednego z naszych dowódców Nittmana, nie napotykając zresztą w obrębie Głównego Dworca na poważniejszy opór z naszej strony. Tymczasem czwartym transportem jechało dowództwo pułku, zwanego „grupą Wasyla“ i na dworcu w Kulparkowie zostało zagarnięte w sposób iście homerycki przez oddział kpt. Boruty. Sztab ukraiński jadąc do Lwowa liczył do tego stopnia na przeprowadzenie spokoju samem zjawieniem się trzech potężnych, uprzednio wysłanych baonów, iż ani nie przedsięwziął żadnych środków łączności z transportami poprzednimi, ani nie jechał pod silniejszym zabezpieczeniem jak tylko kompani sztabowej, ani też wreszcie nie zorganizował w należyty sposób służby porządkowej w transporcie własnym. To też kiedy na dworcu w Kulparkowie nasi sygnałami zatrzymali pociąg, sam dowódca płk. Tarnawski, klnąc na zatrzymanie się przedwcześnie, wychyliwszy się z okna, został zaproszony w sposób grzeczny do opuszczenia wagonu. W panice powszechnej części Ukraińcom udało się uciec, ale znaczna część została w naszych rękach. Sam pociąg zdołał odjechać na Dworzec Główny i tu wpadł w ręce ukraińskie. W ten sposób cała „grupa Wasyla“ została pozbawiona dowództwa i w przyszłości działalność „usaków“

jeszcze bardziej musiała się rozstrzelić. Niemniej położenie nasze było ze wszechmiar tragiczne. Coprawda gloria niezwykłych została przez tupet naszych oddziałów zachwiana, co ostudziło z jednej strony zapędy Ukraińców, a z drugiej podniosło w znakomity sposób ducha bojowego u nas.

Tymczasem na Dworcu sytuacja zapanowała taka, że część z por. Zygmuntowiczem – Ostersetzerem i bohaterskim śp. chor. Kolbuszowskim nie chciała się poddać, ale wycofywała się przez westybul nazewnątrz, podczas gdy obaj komendanci poddali się Ukraińcom. Ci ostatni wspaniałomyślnie wypuszczają ppor. Nittmana na wolność, za słowem honoru z tem, że ma zameldować w Naczelnej Komendzie o bezowocności dalszego oporu; na moje katerygoryczne żądanie Mączyński jednak nie przyjmuje do wiadomości meldunku. Niebawem zjawia się w Komendzie rewident kolejowy Zygmunt Kiełb, który donosi, że właśnie wraca z Dworca, gdzie stwierdził, że Ukraińcy nie trzymają wcale wart i że łatwo będzie ich podejść nocą, tem więcej, że olbrzymie tłumy „Heimkehrerów“, kręcących się wszędzie po Dworcu, dozwolą nam nawet małemi siłami wywołać u nieprzyjaciela popłoch. Odniośszy się do Szkoły Sienkiewicza, otrzymałem na drodze telefonicznej od niej zawiadomienie, że może wyznaczyć jako komendanta akcji por. Schramma, któremu odda około 20 ludzi. Część udało się w Komendzie na miejscu zebrać z młodych chłopców kompanji sztabowej Selzera i oddział ten, prowadzony niepostrzeżenie przez rewidenta Kiełbą, spadł gwałtownie na niespodziewających się, przemęczonych i śpiących w wagonach Ukraińców, atakując Dworzec z trzech stron przy pomocy oddziałów od ulicy Dojazdowej, warsztatów i Dworca Czerniowieckiego. I wydarzył się w dziejach obrony Lwowa moment wprost niewiarogodny. Uzbrojony tłum „Heimkehrerów“, stłoczony szczelnie w westybulu, poczekalniach i hali dworcowej, pozbawiony światła a ostrzelany gwałtownie, popadł w szal paniki i zaczął na ślepo odpowiadać ogniem rewolwerów i granatów ręcznych. Na całej przestrzeni Dworca wybuchła beznadziejna, oszalała walka ręczna, godna nazwy masowego mordu, której niespodziewaną ofiarą padł baon siczowy. Bo oto w ciągu kilku minut rozprószyła się masa „Heimkehrerów“, a z nią razem znikł z Dworca i baon siczowy, porwany paniką bezprzykładną. Żniwo było tragiczne. Około 330 zabitych i rannych

neutralnych, austriackich żołnierzy i siczowników pozostało na miejscu, jako wynik wzajemnej strzelaniny, w której nasza strona odegrała rolę inicjatora i niemal biernego widza. Jednego dnia szpital Politechniki zapełnił się rannymi prawie po brzegi. Zdobycz była olbrzymia — i od tego momentu Dworzec już nigdy nie dostał się w ręce ruskie. Wypadek ten dlatego podkreślam, że był to jedyny moment w walkach lwowskich, gdzie dowódca placówki poddał się nieprzyjacielowi.

Coprawda, cała ta dwudniowa akcja bynajmniej nie oznaczała zniszczenia grupy „strików“, ale ostatecznego rozbicia wewnętrznego dokonali sami Rusini. Stracili komendanta i rozprószyli własne oddziały, zamiast trzymać je razem. To też najbliższe dni, jakkolwiek jeszcze bardzo groźne, nie wywołały już tego demonicznego postrachu, jaki stugębna fama rozsiewała o bitności i liczebności „usaków“. Te oddziały „strików“, które przeszły do Lwowa, nie były już wogóle groźne. Ze względu bowiem na charakterystyczny sposób walk, w której obcy element ruski nie mógł swej przewagi bojowej wykazać, w której więcej znaczyła znajomość i umiejętność wyzyskania niezwykłego otoczenia, niż wyszkolenia w falach szturmowych, stawały się one elementem niemal równowartościowym z dotychczasową obsadą ukraińską Lwowa. Daleko groźniejsi byłiby w otwartym polu, gdzie ich karabiny maszynowe, granaty ręczne i wyszkolenie szturmowe mogły im zapewnić bezwzględne zwycięstwo. Stało się jednak tak, jak korzystniej dla nas być nie mogło. Oczywiście walki, jakie w najbliższym czasie miała grupa kpt. Boruty stoczyć z resztką baonu „strików“, który zebrawszy się po klęsce na Dworcu, a zasilony oddziałami, napływającymi z pod Sambora, Stryja i innych okolic a przede wszystkim chłopstwem z okolicznych wsi ruskich, próbował nas od strony otwartych przestrzeni pól kulparkowskich atakować, były bardzo groźne — tu jednak pokazał Boruta swą znakomitą szkołę legjonową, stosowaną częstokroć w walkach w Besarabji, czy wcześniej w Karpatach. Mojem zdaniem, manewr kpt. Boruty należał do najpiękniejszych z czasów listopadowych, tchnął znakomitego ducha w nasze oddziały, a przede wszystkim napoił wiarą naszą „nieszczęsną“ Komendę, że przecież istnieje nadzieja rozgromienia nawet w polu Rusinów.

9. DRUGA FAZA WALK LISTOPADOWYCH.

Łącznie z akcją na Borutę przedsięwzięli Ukraińcy szereg ataków masowo przeprowadzonych na odcinek Bujalskiego, w których to walkach poważnie już zaczęła się zaznaczać rola Naczelnej Komendy. Przedewszystkiem dlatego, że Bujalski „zrzucił odpowiedzialność“ i składał komendę za każdym meldunkiem, który niemal z reguły początkowo przynosił złe wieści. Były momenty cofania się naszych oddziałów, ale dzięki szczęśliwym wkroczeniom rezerw Naczelnej Komendy, ściąganych z różnych odcinków po kilkunastu ludzi i zazwyczaj przewożonych autami, można było sytuację w zupełności opanować, a nawet teren posiadania w końcu rozszerzyć.

Walki te pozwoliły po raz pierwszy Naczelnej Komendzie wystąpić decydująco i od tych walk należy przyjąć drugą fazę walk lwowskich, różną od poprzedniej dwiema właściwościami. Pierwsza — to obejmowanie bezsprzeczne w działaniach operacyjnych kierownictwa przez Naczelną Komendę, podczas gdy uprzednio, jak widzieliśmy, władza jej była raczej nominalną, a nie faktyczną, jakkolwiek w pewnych momentach oczywiście jej rola czynna w operacjach zaprzeczyc się nie da. Druga właściwość to skrzepnienie frontu, zamiana formy walk z potyczek „małej wojny“ na wojnę pozycyjną, która z tym momentem bez przerwy charakteryzuje wszystkie walki aż do chwili momentu odsieczy; ta zaś będzie polegała na zastosowaniu manewru bardzo śmiałego, polegającego na obejściu nieprzyjaciela o wiele liczniejszego, ale w wyrachowaniu tem, że obejście to wywoła u niego zaskoczenie, a stąd zamieszanie — i że doprowadzi do upragnionego wycofania się go ze Lwowa lub zamknięcia go w mieście samem, czego obcy element nie potrafi nerwowo dłużej wytrzymać.

Za fazę przejściową obu tych etapów w rozwoju wypadków operacyjnych uznać należy krótki moment z dnia 4 i 5 listopada, w którym chwilowo walka przybrała charakter walk ruchowych, czego wyrazem był znakomity manewr Boruty.

Jeżeli drugą fazę, jak powiedzieliśmy, cechuje forma walk pozycyjnych przy wybitnem zcentralizowaniu zadań operacyjnych w Komendzie Naczelnej, to równocześnie musimy podkreślić z jednej strony przejście inicjatywy działania w ręce

ruskie, z drugiej, jako odbicie naszej sytuacji, zanik dotychczas niezwykle silnie występującego impetu ofensywnego z naszej strony, a polegającego na inicjatywie dowódców odcinkowych, na ich samorzutnem, gwałtownem atakowaniu nieprzyjaciela, nawet bez żadnej łączności z sąsiednimi odcinkami. Słowem, przejęcie kierownictwa operacyjnego przez Naczelną Komendę nie odbywa się bez wyraźnych objawów osłabienia akcji bojowej. Maszyna bojowa co prawda tężeje, coraz solidniej się organizuje, stwarza coraz pewniejszą sytuację materialną, ale taktycznie przejawia się równocześnie niepożądanymi objawami osłabienia ducha bojowego w Komendzie, która teraz poważnie zostaje zaangażowaną w uporczywych walkach głównie na froncie wewnętrznym, w walkach ogniowych trwających całymi godzinami bez osłabienia, wyczerpujących nerwy do ostatniego wysiłku, w których rośnie zapalczliwość broniących się naszych oddziałów, walkach rzucających aureolę bohaterstwa na lwią odwagę i wytrzymałość szeregu redut, jakie tymczasem na froncie wewnętrznym powstają.

Bezspornie, zmieniona forma walki jest między innymi pośrednim następstwem wpływu, jaki Komenda wywarła na swe oddziały dzięki temu, że sama podjęła sobie możliwość samodzielnego postępowania przez związanie się z instytucjami obywatelskimi, a właściwie mówiąc z organizacjami politycznymi, które składając się naogół z ludzi małych duchem, wywierały fatalny wpływ na rolę bojową Komendy, a przez nią pośrednio i na oddziały. Nie będę tu moich zarzutów powtarzać, ale zaznaczę, że zarówno pierwsze zawieszenie broni w dniu 2 listopada, jak też drugie zawarte przez Widomskiego, wysłanego z ramienia Naczelnej Komendy na stronę ruską, wywarły nie-szczęśny wpływ na tok akcji. Chwile popłochowych panik u Rusinów, dające się w czasie naszych ataków na miasto zauważyć, zostawały za każdym razem przez Rusinów dzięki naszemu niedołęstwu opanowywane, a w sytuacjach następnych przyzwyczajał się żołnierz ukraiński do coraz lepszego wyzyskiwania pozycji w mieście i w dalszych walkach nie dał się tak łatwo wykurzać z obiektów przez siebie opanowanych, umocnionych, broniących granatami ręcznymi i masą karabinów maszynowych. Tym sposobem, co najważniejsza, pozwolono nieinteligentnemu chłopu ruskiemu nauczyć się wyzyskania budynków do celów

obrony, pozwolono mu zamienić kamienice, koszary i budynki większe w szereg redut, których zdobycie bez olbrzymich ofiar krwawych stało się z biegiem czasu istną niemożebnością. Walki te miały jako zewnętrzny skutek zniszczenie nieraz wprost straszliwe szeregu budynków lwowskich. Zwolna domy niedawno zamieszkałe zaczęły się zmieniać w rudery zabarykadowane meblami, należącymi do delożowanych mieszkańców, a porozbijane strzałami karabinów maszynowych, granatów ręcznych, min, petard i armatnich pocisków zaczęły się zwolna rozsypywać w gruzy. Cały niemal front wewnętrzny Lwowa przedstawiał w owym czasie szereg redut prowizorycznie umocnionych, o oknach zawalonych gruzami i resztkami sprzętów, o bramach porozbijanych, dachach zapadłych, gdzie w środku za barykadami trwała dzielna załoga, kpiąc sobie z ataków przeciwnika. Rezerwa zazwyczaj spoczywała w piwnicach oddalonych od frontu, a dla skrócenia drogi budowano wewnątrz domostw przeszkody wewnętrzne dla ewentualnego użycia rezerwowych pozycji, rozwalano umyślnie mury budując ganki przejściowe, łączące jeden obiekt budynków z drugim. Kto nie widział w owym czasie domów czynszowych na ul. Bema, Źródlanej, Dyrekcji kolejowej, domów na ul. Kraszewskiego czy wreszcie gmachu Poczty przez szereg jeszcze dni gorejącej, ten nigdy nie nabierze wyobrażenia ani o zaciętości walk, z jaką obie strony w tych chyba wyjątkowych w dziejach świata walkach występowały, ani o obrazie zniszczenia, jakie nie artylerja, ale ręczna broń przedewszystkiem potrafiła wywołać.

System ten walk musiał na nas fatalnie się odbijać. Pomijam tu взгляд, na który „ojcowie miasta“ uporczywie zwracali nam uwagę, żądając poddania się albo wycofania własnych oddziałów poza obręb miasta, — że miasto niszczało potwornie. Ale daleko ważniejszym był взгляд inny. Oto stopniowo, w miarę jak przedłużały się boje pozycyjne, topniały nam siły. Na reduktach załogi nie zmieniane, nieraz po kilka a nawet kilkanaście dni, dochodziły do wyczerpania skrajnego. Ludzie bezsenni, fizycznie zniszczeni, tylko nerwami się jeszcze trzymali, ale i nerwy mają granicę swej wytrzymałości. To też gorączka, trudy bojowe i przeziębienia, zaczęły gwałtownie zmniejszać liczbę obrońców. A pomocy znikąd. Komisje poborowe nie dawały materiału nowego w ludziach, zresztą materiał jako słabszy ideowo, neo-

choćniczy, nie przedstawiał potrzebnej wartości, tem więcej, że wieści, jakie nie biorący udziału w bojach roznosili o trudach życia na redutach, robiły swoje. Coraz trudniej było o ochotnika. Szeregi nasze topniały i groźne chmury zaczęły znowu gromadzić się nad naszymi głowami, znajdując odzew silny w sercach trwożliwych i nerwowo nieodpornych. Stąd z konieczności należało przedsiębrać pewne kroki, któreby miały ratować sytuację. Kroki te były dwójakiego rodzaju.

Po pierwsze, coraz surowiej nareszcie zaczęto powtarzać przeglądy poborowych, coraz bezwzględniej zaczęto stosować przymus służby wojskowej. Powtóre, zaczęto coraz nerwowiej oglądać się za pomocą z zewnątrz. Przecież Rusinom codziennie przybywają posiłki, o czym nam stale bohaterские wywiadowczynie donoszą, coraz szczegółowiej ogarniamy sytuację nieprzyjacielską, która pozwala zorientować się, że na całej przestrzeni Galicji wschodniej jedynie my jesteśmy wysepką w morzu burzliwym ruskiego panowania. Coraz liczniejsze dochodzą wieści, jakie posiłki, w jakiej sile, jak uzbrojone i wyćwiczone gromadzą się w poszczególnych miastach, bliższych i dalszych. Dowiadujemy się, kiedy i jakimi transportami napływają do Lwowa, słyszymy o nastrojach ludności polskiej, która naogół jednolicie biernym oporem stara się przetrzymać swą rolę helotów, ale o jakiejś organizacji zbrojnej znikąd nie słyhać. Jesteśmy zdani na własne siły, chyba, że nadejdzie odsiecz z innych, niezagrożonych, rdzennie polskich dzielnic Polski. Więc ponawia się coraz energiczniejsze wezwania o pomoc. Coraz nerwowiej zaczyna się jej potrzebę podkreślać, coraz wyraźniej zaznacza się, że od odsieczy szybkiej, choćby nielicznej, zależy los Lwowa i jego obrońców. Początkowo łatwo wiernie przyjmuje się jakiegokolwiek, nawet zgoła nieprawdopodobne wieści o oddziałach spieszących z odsieczą, karmi się nawet własne oddziały miłą nadzieją rychłego ukończenia walk i nadejścia dni rozstrzygających po zjawieniu się upragnionej odsieczy, która ma być tuż, tuż pod bramami Lwowa. Lecz naprzód upadają na duchu ci, którzy właściwie nigdy nie dzierżyli wysoko sztandaru niepodległości i wnet zaczynają się głosy zwątpienia, że trud cały i ofiara krwi jest próżną, bo w Polsce zgody i siły niema, że znikąd pomoc nie nadejdzie, że my właśnie stanowimy Termopyle polskie, że u nas jedynie kwitnie poświę-

cenie, a gdzie indziej tylko zgnilizna moralna, jad niezgody i wicherzenia wewnętrzne, — że więc próżno oczy obracamy na zachód, czy na północ, bo pomoc nie nadejdzie. I coraz powszechniej rozlegają się głosy zwątpienia, domagające się opamiętania i wstrzymania walk bratobójczych oraz wzywające do załatwienia sporu na terenie pertraktacji ugodowych, choćby z chwilowem uznaniem władztwa ruskiego lub nawet z poddaniem się na łaskę i niełaskę zwycięzcy. Wszak nie Lwów, nie zwycięstwo lokalne zadecyduje o losach Lwowa i Galicji Wschodniej, ale zadecyduje potężny Paryż, zadecyduje przede wszystkim szlachetny Wilson. I stały naprzeciw siebie w polskim Lwowie dwa obozy, ideą od siebie oddzielone niemniej jaskrawo, jak linją redut od pozycji ruskich. Z jednej strony młodzież zdecydowana w obronie polskiego Lwowa przelać naprawdę ostatnią kroplę krwi, z drugiej — przerażona ludność starsza, zamrożniejsza, a przede wszystkim sfery polityczne, wśród których czarny ptak zwątpienia osiadł najliczniej i krakał żałośnie... Z jednej strony lała się krew młodych, pragnących dalszych ofiar — z drugiej mitręga niedostatku, strach i zwątpienie grasowały, niby straszliwe choroby, dziesiątkując nam falangi zastępów, pełniących w wojsku „służby pomocnicze“.

W tej gehennie bólu, rozpacz i krwi przypadła Komendzie rola... pośrednia. Elementami swymi wojskowymi czuła ona łączność ze swym frontem bojowym, czuła, że wśród lwowskich uliczników, robotników, studentów i legionistów jej rola właściwa, że poza jej wojskowym obozem istnieje tylko upadek ducha, o którym nikt nie przypuszczał, że kiedyś wykwitnie w fanfaronadę właściwego obrońcy, ale na razie był tylko bierną masą, która wypadki bojowe ze strachem przyjmowała do wiadomości, nie umiała im się przeciwstawić i szukała sposobów zaprzestania walki, choćby na drodze... hańby.

Jak zachowała się Komenda w tej sytuacji? Zawiodła czy nie? Otóż tutaj muszę stwierdzić, że nie zdarzył się mimo wszystko ani jeden moment, któryby do jakiejś zewnętrznej kompromitacji mógł doprowadzić.

W dwu kierunkach rozwijała ówczasie Komenda swą działalność. Oto z jednej strony organizowała służbę łączności z Przemyślem, Krakowem i Warszawą, celem zapewnienia sobie

możliwie rychłej odsieczy, z drugiej starała się obmyślanem planami operacyjnymi wpłynąć na zmianę sytuacji bojowej.

Zastanówmy się z kolei nad obu rodzajami działań.

Pierwszem z nich mogę się zająć tylko przygodnie, ponieważ sprawą odsieczy w zasadzie nie zajmowano się u nas w sztabie, jako czynnością nie wchodzącą w program oficjalny jego służby, natomiast stanowiła ona przedmiot szeregu narad Pekaenu i naszego referatu politycznego i stąd dopiero dochodziły do nas żądania ułatwienia wysłannikom wyjazdu, względnie dołączenia do ich papierów dezyderatów wojskowych. Zresztą, mam wrażenie, że w sztabie, zarówno Łapiński, jak i ja, sądziliśmy, że z chwilą, gdy poszły pierwsze zawiadomienia do Przemyśla i Krakowa, że postanowiliśmy się bronić, było rzeczą samo przez się zrozumiałą, że położenie nasze musi być mniej lub więcej przykre i że żądanie nasze o pomoc tak długo, jak długo stugębna fama podtrzymuje wiadomości o skuteczności naszej obrony, są aktualne. Przyznam się, że ustawiczne nasze zabiegi, podejmowane w Krakowie, czy Warszawie i błagania o odsiecz, zaczęły mnie zczasem niepokoić, a nawet złościć. Rozumowałem, iż położenie nasze jest wiadomem Krakowowi, czy Warszawie, słowem potrzeba odsieczy jest widoczną, a jeżeli ona nie nadchodzi, to zapewne dlatego, że pomocy narazie udzielić się nie da. I mam to uczucie, a nie jest to osobistem mojem zapatrywaniem, ale i całej masy żołnierzy naszych, iż we Lwowie w sumie swej nie wyczerpaliśmy jeszcze całego zasobu naszych sił i że w pierwszym rzędzie najistotniejszym naszym obowiązkiem jest zorganizować i zmobilizować wszystko co się da, by nie mieć żadnych wyrzutów sumienia, a dopiero w drugim rzędzie liczyć na pomoc z zewnątrz.

To też nic dziwnego, że na pomoc liczyli głównie ci, co nie mieli zaufania we własne siły, którzy oczekiwali jakiegoś cudu nadprzyrodzonego, a przede wszystkim ci, co drżeli febrycznie na samą myśl o przerwaniu frontu bojowego i o tem, jakby się wyratować. Oczywiście racja polska wymagała i musiała wymagać, by polskie miasto Lwów pozostało w obrębie jej posiadłości. Odsiecz musiała nadejść i powinna była nadejść. Ale czy nie będzie spóźnioną, czy starczy nam amunicji, która przy szalonym jej marnotrawieniu ubywała w sposób zastraszający, czy wreszcie odsiecz potrafi dobić do Lwowa i tu z nami się

połączyć? Oto szereg trosk zasępiających czoło nie tylko trwożliwym, ale i zdecydowanym obrońcom, którym świadomość bieżącego stanu rzeczy i coraz bardziej zaciemniająca się przyszłość wobec ustawicznie napływających posiłków Rusinom, a wyczerpywania się sił własnych, spędzała sen z powiek.

Zabiegi Komendy około uzyskania odsieczy były bardzo liczne. Niemal każda okoliczność sprzyjająca była wyzyskiwana ku temu, by w jakikolwiek sposób dać znać o sytuacji własnej wszędzie tam, skąd można było pomocy oczekiwać. Zdaje się, że w tym kierunku nasza Komenda nie zasłużyła sobie na nagane niedbalstwa. Można nawet powiedzieć, że w tym kierunku jej zamierzenia najzupełniej pokrywały się z usiłowaniami Pekaenu i że na tem polu istniała idealna zgoda. Ludzie bowiem małej wiary w tym kierunku chętnie podejmowali najcięższe trudy, byle tylko uwolnić się od tej strasznej zmory, która ich od szeregu dni prześladowała, od zmory obłężenia.

Starania o pomoc możnaby podzielić na dwie grupy: na starania okazyjne i planowe. Pierwsze polegały na tem, że zależnie od okoliczności, jakie w formie wieści, nieraz najłatwiejniej przyjmowanych, a które najczęściej w sposób niesprawdzony, czasem wręcz niewiarogodny dochodziły do naszych uszu, starano się sytuację wyzyskać w ten sposób, iż wysłano łączników do rzekomo w pobliżu Lwowa znajdujących się oddziałów polskich z prośbą o samo zjawienie się we Lwowie. Drugie, podejmowane w ciężkich dla nas momentach bojowych, polegały na tem, że wysyłano łączników, zazwyczaj cywilnych do Krakowa, czy też Warszawy z prośbą o najrychlejszą pomoc. Ilu takich „Skrzetuskich“, przedzierających się z obłożonego Lwowa we wszystkich możliwych kierunkach przez 3 tygodnie walk, Lwów opuściło, nawet niepodobna podać. Wielu zgłaszało się wprost w Komendzie lub w P. K. N. jako ochotnicy, inni byli wyszukiwani i o to proszeni, jedni przedzierali się piechotą, używając podstępów dzięki znajomości języka ruskiego, inni wreszcie zapomocą samolotów. Nie do pominięcia usługi oddała w tym względzie nasza kawalerja „wilków lwowskich“, która pod wodzą swego znakomitego patrolowca por. Krynickiego na dalekich raidach pod Sądową Wisznją, Gródek, Janów i Komarno wysyłała łączników, informowała o sytuacji

lwowskiej, rozszerzając zęczenie i na dalekich przestrzeniach wieści o „wojnie lwowskiej“.

Starania te, które nazwałem okazijnymi, zawiodły bez wyjątku. Jak było zresztą nam wiadomem, nigdzie na terenie Galicji wschodniej nie było liczniejszego garnizonu wojskowego, gdzieby Polacy stanowili większość, a tem mniej czysto polskich oddziałów. Dopiero na Ukrainie było ich kilka, chodziło zatem o to, by oddziały te w powrotnej drodze „zawadziły“ o Lwów. Mielśmy wieści o pułku jarosławskim Nr. 90, który w kilku transportach był w drodze z Ukrainy, ale jeszcze nie dotarł do Podwołoczysk, gdzie, jak później dowiedziałem się, tworzyła się grupa obronna wojska polskiego, w skład której wchodziło kilku oficerów legjonowych, a między innymi por. Kamski i kpt. Giegel. Niestety, ani ten pułk nie doszedł do Lwowa, ani też 1 p. ułanów stojący już w Podwołoczyskach; transportami dzielonymi, częściowo obrabowane w drodze, na okrężnych drogach przymusowo omijały Lwów i w niczem pomocy udzielić nam nie mogły. Między innymi liczyliśmy na polski Borysław. Niestety wysłannicy nasi tam mogli tylko stwierdzić upadek powstania i przedarcie się grupy bojowej przez Chyrów do Sannoka. Sam Borysław wpadł bez obrony w ręce ukraińskie.

Jako charakterystyczny epizod muszę przytoczyć fakt dojścia do nas w dniu, jeżeli dobrze pamiętam, 3 lub 4 listopada wysłannika od majora Lisa-Kuli, który obiecywał dywersję od Wołynia z zamiarem dotarcia do Lwowa. Jakkolwiek do akcji z tej strony nie doszło, podkreślam ten fakt jako niezmiernie znamienity. Była to bowiem jedyna w tych czasach oferta własna, nie na nasze żądanie, niesienia pomocy, a pochodząca od jednego z najmężniejszych żołnierzy, jakich wogóle armja polska wydała. Rzuca ona znamienite światło na tę wyjątkową postać, na jego niesłychaną decyzję, fenomenalny zmysł orjentacyjny i plan strategiczny. Musiał bowiem Lis-Kula chyba przypuszczać, że Lwów to klucz strategiczno-polityczny akcji antypolskiej na wschodnio-południowych kresach i że akcję tę należy najszybciej zlikwidować.

Starań o uzyskanie pomocy z zachodu, z Przemyśla i Krakowa nie będę bliżej przedstawiać. Są one wyczerpująco i z większymi szczegółami, niż mnie ówczesnie były znane, oddane w dziele Mączyńskiego.

W Przemyśle posiadającym silny garnizon, gdzie element polski nietylko miał licznych przedstawicieli w szeregowych, ale gdzie przede wszystkim było sporo oficerów sztabowych, a nawet i generałów Polaków, tam potencjonalnie wszystko składało się na to, by i Przemyśl obronić i udzielić najszybszej pomocy Lwowowi. Że tak nie potoczyły się wypadki, toby można było winić sfery kierownicze, ale dla legionistów biorących udział w walkach lwowskich, samo nazwisko generała Puchalskiego mogło wystarczyć, by uświadomić sobie, że gdzie sybarytyzm się zagnieżdżył, tam niema miejsca dla ofiar jakichkolwiek, a tem mniej dla krwawych. Myśmy złudzeń z tej strony nie mieli. Raczej liczyliśmy na to, że Przemyślowi trzeba będzie pomóc, niż od niego oczekiwać odsieczy. I przewidywania nie były urojone. Bo wnet Ukraińcy zdobyli Przemyśl, a niedoszłemu komendantowi wojskowemu w Galicji całej, mianowanemu przez gabinet Świerżyńskiego w Warszawie, nie pozostało nic innego, jak biernie przypatrywać się krwawym zapasom we Lwowie, czy później wojskom krakowskim w Przemyśle¹⁾.

Bądź co bądź w oblężonym Lwowie żyliśmy nadzieją odsieczy, ona napawała nas nadzieją, że trud nasz nie będzie daremny, że Polska o nas nie zapomni i w tej nadziei, by spełnić święty obowiązek, walczyliśmy. I wyznać tu muszę z dumą w imieniu żołnierza lwowskiego, że on nie oglądał się na pomoc z zewnątrz, on ani razu o nią nie wołał. Co prawda w jego interesie robili to inni, wyręczając go całkowicie, robił to P. K. N. przy znacznym współudziale Naczelnej Komendy, ale już dowództwa odcinkowe mniej wagi do sprawy odsieczy przywiązywały, a żołnierz lwowski — zdaje się o niej wcale nie myślał. W uniesieniu walki, w ustawicznym naprężeniu duchowem widział on swą rolę aż do jej wypełnienia — do chlubnej śmierci. Zaiste — to jeden z najpiękniejszych rysów, to wzór dla żołnierza obywatela. Gdy w Komendzie odbywały się narady nad traktatami zawieszenia broni, czy obliczenia nad porcjami żywności i dostawą resztek amunicji, dla niego fantazja bojowa była najsilniejszym pokarmem, skąd czerpał siły niespożyte. On nie miał czasu na wahanie się i refleksje, on czuwał i walczył,

¹⁾ Roja, Legendy i fakty, 114 sq, 163.

jak na żołnierza przystało. On wolą swoją zwyciężał, tylko tę wolę krępowała mu jego własna Komenda, nadstawiająca uszy podszeptom ludzi małych.

Przecież jeszcze w dniu 10 listopada rozegrała się w Komendzie scena, potwierdzająca moje słowa. Oto Mączyński w mojej obecności zrezygnował z dowództwa i ofiarował objęcie komendy płk. Władysławowi Sikorskiemu, który w tym dniu naszym samolotem przybył z Krakowa. Ale Sikorski jej nie przyjął. I tu dla mnie otwiera się zagadka. Po tym wystąpieniu Mączyńskiego, rozumiałem, że to Cyncynat, że to człek skromny, który zaszczytów nie pragnie, że komendę objął, bo tak się złożyło, ale przy niej upierać się nie będzie, skoro tylko ktoś starszy rangą zgłosi się do służby i da gwarancję, że dowództwo dalej poprowadzi.

A jednak późniejsze zatargi o komendę brygady dowiodły, że się omylił, że były tu pewne wyrachowania, czy osobiste — nie powiem — ale wyrachowania może partyjne, które nie pozwoliły mu władzy złożyć, gdy szereg starszych wojskowych rutynowanych, nieraz dzielnych istotnie, zgłaszał się do służby — a przecież jej wtedy nikomu nie ustępował. Jeżeli tedy w pełnem naprężeniu walk zdaje dowództwo nowoprzybywającemu oficerowi, to chyba jedno tylko możnaby znaleźć wytłumaczenie, którego lepiej nie nazywać po imieniu.

Wreszcie na samo zakończenie chciałbym wspomnieć, że parę usiłowań ze strony naszej Komendy nie dało się zrealizować. Do takich prób należy zaliczyć zgłoszenie się rtm. kaw. Machalskiego, który obiecywał dotrzeć do Zamościa, gdzie stał jego pułk macierzysty (6 p. uł. austr.). Rtm. Machalski dostał ode mnie kartkę z przedstawieniem sytuacji, w dniu zdaje się 3 listopada i prośbą o pomoc. Miał z nią niezwłocznie wyruszyć ze Lwowa, ale wobec odbicia w międzyczasie lotniska i organizowania lotnictwa musiał pozostać na miejscu, gdyż wyszkolonych obserwatorów nie było u nas, a Machalski miał właśnie takie kwalifikacje. Podobnie było z wysłaniem peowiaka, nazwiska mi nieznanego, do Lisa-Kuli, ale i ten nie miał możliwości dotarcia na miejsce, a wedle Mączyńskiego miał utknąć u Rydza-Śmigłego w Lublinie.

Przejdę z kolei do omówienia drugiej dziedziny działania Naczelnej Komendy w drugim okresie walk, to jest w okresie,

gdy faktycznie władzę swą w sposób właściwy zaczęła wykonywać. Wyrazem zewnętrznym tego był znany rozkaz operacyjny, dzielący nasz front na grupy, odcinki i sektory, a wydany w dniu 5 listopada. Odtąd droga służbowa, jakkolwiek zrazu z tarciami wewnętrznymi, zaczęła się ustalać, rozkazodastwo nie napotykało na przeszkody organizacyjne i odtąd można było mówić o wytworzeniu się we Lwowie nie grup bojowych, ale prawdziwego zawiązku armji w minjaturze. Armją bowiem nazwałem całą grupę bojową Lwowa, nie ze względu na jej liczebność, ale jej sposób organizacji i urządzenia tyłowe.

Jednym z pierwszych takich czynów operacyjnych, który miał charakter ten utrwalić, była akcja wypadowa dokonana w ogrodzie Jezuickim w dniu 9 listopada, a w której z kierownictwa w zupełności¹⁾ zrezygnował Mączyński na rzecz Łapińskiego, tak że I szef sztabu stał się wyłącznym i jedynym kierownikiem i wykonawcą planu swego z ramienia Komendy Naczelnej.

Jakkolwiek rzecz sama była w szczegółach przygotowaną, to jednak od początku przestrzegałem przed jej wykonaniem a specjalnie śledząc tok rozwijających się technicznych przygotowań, zdawałem sobie sprawę, że „Pechvogel“ Łapiński zbyt szablonowo traktuje rzecz i w warunkach naszych akcja udać się nie może. Ze zdaniem mojem najzupełniej nie tałem się. Przewidywałem, że zbytnia drobiazgowość w przeprowadzeniu natarcia będzie wręcz szkodliwą, tamując swobodę ruchów poszczególnych grup.

Na tem miejscu sprostować muszę pogłoskę, jakoby Łapiński otrzymał z ramienia Komendy Naczelnej dowództwo w tej akcji. Takich rozkazów wogóle nigdy nie było, ani też w tym wypadku fakt taki absolutnie nie miał miejsca. Wszelkie bowiem rozkazy operacyjne, organizacyjne, materiałowe i t. d., o ile były pospieszne i jednostkowe, stałe były podpisywane albo przez Mączyńskiego, albo przez Łapińskiego, albo przeze mnie z dopiskiem „wz“ (w zastępstwie). W danym wypadku Mączyński zostawszy na uboczu — rozmyślnie, czy nie, zrezygnował z podpisu rozkazu i rozkaz ten opracowany skrupulatnie nosi w imieniu Komendy podpis tylko Łapińskiego¹⁾. Żadnego

¹⁾ Mączyński, I. c., II, 210—212.

rozkazu powierzenia dowództwa Łapińskiemu, wyraźnie podkreślałam, ani pisemnego, ani ustnego żaden z uczestników akcji (odcinków zaangażowanych do działania było cztery, a więc niemal cały front wewnętrzny) nie otrzymał, a tem samem twierdzenie, jakoby „odpowiedzialnym dowódcą“ był w tym wypadku Łapiński, nie jest zgodne z prawdą. Że tylko Łapiński podpisał ów rozkaz, nikogo to nie dziwiło, bo i inne rozkazy nosiły takie lub podobne formy podpisu. W rzeczywistości Komenda jako taka wydała rozkaz i jak z jego treści wynika komendantem całości mianowany został kpt. Łodziński.

Atak się nie udał. Jak powszechnie było nam wiadome, były dwa powody: przygotowanie się Rusinów, gdyż akcja naszego auta pancernego, roztrąbiona triumfalnie na kilka dni naprzód, pozwoliła Ukraińcom na techniczne przygotowania i kolosalne wzmocnienie frontu, po drugie były błędy w wykonaniu, mianowicie zacięcie się karabinów maszynowych w samochodzie, gdzie paru celowniczych dostało wstrząsu nerwowego, a atak piechoty bezpośrednio w sąsiedztwie auta był bezładny, skupiony, masowy.

Sądzę, że właściwe powody nieudania się akcji leżały znacznie głębiej. Leżały one w psychice Łapińskiego, który stale reprezentował w Dowództwie myśl ataków otwartych, możliwie masowych i specjalnie na reduty najsilniej umocnione. Twierdził on bowiem, że reduty muszą być zdobyte wstępnym bojem, a przede wszystkim solą w oku była mu Cytadela, którą kilkakrotnie planował zająć atakami piechoty, oczywiście z poparciem artylerji. Uważałem plany takie zasadniczo za błędne. Niestety, nie zawsze opinja moja zwyciężała. Uparty, zdecydowany Łapiński umiał swoje plany przeforsowywać, a wykonanie tych planów zawsze nas sporo krwi kosztowało, owoce zaś były stale żadne. Doszedłem z mej strony do uprzedzenia, że każda akcja, którą planuje i wykonywa Łapiński, musi się nie udać. Nieraz w sposób delikatny i oględny, nieraz coprawda dosadnie starałem się, czyto jemu osobiście, czy Mączyńskiemu nierealność takich planów przedstawić, ale Łapiński niewzruszenie spokojny robił swoje i powodował nieszczęścia. Dlatego to nazywam tego osobiście niezwykle dzielnego oficera „Pechvoglem“, który może byłby znakomitym oficerem baonu czy kompanji, wogóle oddziału pozostającego pod ogniem, ale nie

nadawał się na szefa sztabu, którego obowiązkiem jest obmyślenie i przeprowadzenie akcji wszelkiej pod stałym hasłem: minimum strąt, maximum efektu.

Rozważmy bliżej na czym polegała niefortunność ataku przez ogród Jezuicki, owego masowego ataku piechoty, wykonanego przy pomocy auta pancernego i artylerji.

Po pierwsze, uważam, że zmuszenie ludzi do rozwinięcia się w przepisową tyraljerkę na przestrzeni otwartej, jakim w stosunku do swego otoczenia jest bezsprzecznie ogród Jezuicki, było narzuceniem im pewnej ściśle określonej metody walki, czego bezkarnie, mojem zdaniem, nigdy żadne dowództwo nie powinno robić. Bo oto okazało się, że pościągane oddziały, zaufane ślepo w czarodziejską moc auta pancernego, poszły na „hurra“ do ataku i kładły się pokotem. Gdyby rozkaz nie był taki drobiazgowy, gdyby zostawiono oddziałom miejscowym obsadzającym ul. Matejki, Mickiewicza i Kraszewskiego zupełną samodzielność, gdyby ich dowódcy mieli prawo głosu, z pewnością nie wyciągnęliby swoich obsad na otwartą przestrzeń, ale dotychczasowym sposobem, krytym, z kamienicy do kamienicy, od suferen do poddasza posuwając się z wolna, parliby naprzód, aż doszliby do ul. Słowackiego i Krasickich i z za zasłon murów ostrzeliwując budynek Sejmu czy kościół św. Anny doprowadziliby do faktycznego cernowania koszar Ferdynanda na ul. Gródeckiej, co jużby było wspaniałą zdobyczą, a prócz tego wyzyskując naturalne zasłony wspomagaliby działanie auta, które mogłoby dalej próbować szczęścia.

Tak, jak się stało, było to dobrowolne i świadome wyprowadzenie własnej obsady z umocnionych pozycji na otwarte pole, było nonsensową rzezią, której racjonalności nikt nie potrafi uznać. Że nie udało mi się zapobiec akcji, to charakteryzuje jedynie stosunki w naszej Komendzie.

Tego, co się działo w ogrodzie Jezuickim, nie można inaczej nazwać, jak rzezią. Na nasze gęste, bezradne grupy, kupiące się za zasłoną drzew i auta padała ulewa strzałów karabinowych i maszynowych ze wszystkich niemal stron, bo z frontu z budynku sejmowego, z pałacu Gołuchowskich i kompleksu domów na dole ul. Kraszewskiego i z szerokiej flanki u zbiegu ulic Słowackiego i 3-go Maja. I nie było dla nas żadną pociechą, że Ukraińcy popełnili ten sam błąd, rzucając do kontrataku w ogro-

dzie Jezuickim całe masy swoich — i że te legły również pokotem.

Ale dodajmy i inne jeszcze powody. Oto w lekkomyślny sposób wyznacza się ściągniętym grupom nowych dowódców, zamiast poprzydzielać posiłki między dowództwa miejscowych odcinków; zamiast naczelne kierownictwo uderzenia oddać najdzielniejszemu z miejscowych dowódców, wyznacza się na kierownika całości oficera artylerji, kpt. Łodzińskiego, który do-tychczas był komendantem rezerwy w szkole Konarskiego, a do-wództwa pomniejsze również oddaje się obcym ludziom (por. Kruszyński), którzy należycie, mimo najlepsze chęci, sytuacji zrozumieć nie potrafili, a co gorsza mało biorąc udziału w spe-cyficznym walkach frontu zabudowanego, jak np. ppor. Schleyen, który otrzymał dowództwo nad grupą atakową w ogrodzie Jezu-ickim, nie umieli w odpowiedni sposób akcji wykonać. Słowem zarówno co do planu, jak też co do strony wykonawczej atak cały w ogrodzie Jezuickim zawiódł zupełnie i to fatalnie, na pewien czas wydarł nam zupełnie i tak słabo reprezentowaną w Naczelnej Komendzie tendencję ofensywy.

Czy atak był możliwy do przeprowadzenia, czy mógł się udać, chyba nie trudno odpowiedzieć.

Można było i trzeba było użyć auta do walk, ale śród-mieście, gdzie każdy dom był obsadzony silniejszą załogą, niż załoga dziesięciu aut pancernych, gdzie stałe pozycje wzajem się flankujące na bliźniutkie dystanse uniemożliwiały wszelką ak-cję otwartą, nie nadawało się wcale do tego rodzaju przedsię-wzięć. Natomiast auto takie można było z powodzeniem niepo-równanie większem, przy narażeniu się na hazard daleko mniej-szy, użyć nietylko w liczbie pojedynczej, ale kilka naraz do akcji okrężnej, przy zamiarach otoczenia Lwowa. Mogło ono oddać nam nieporównanie większe usługi czyto na Zamarstynowie, Znie-sieniu a nawet i przedmieściach żydowskiego miasta w dziel-nicy III, dokąd łatwo było doskonałą szosą przewieźć je przez Kortumową Górę, ul. Kleparowską i ul. Pod Dębem, lub też razem z kawalerją naszą przez szosę Pasieki—Jałowiec na Ły-czaków, celem zagarnięcia tam dworca i zamknięcia miasta ze strony wschodniej. Forsowanie jednak wnętrza miasta, gdzie każda silniejsza budowla wymagała raczej min, a nie walki ka-rabinowej, uważałem za bezpłodne i szkodliwe.

Niestety, jakkolwiek wyzyskiwałem czasem poparcie Mączyńskiego, mimo to w sprawach operacyjnych z całkiem ubocznych względów zdanie Łapińskiego przeważało. Pochodziło to stąd, iż Mączyński poprostu nie śmiał Łapińskiego, jako reprezentanta oficjalnego organizacji P. O. W. odsuwać od Komendy lub też w inny sposób unieszkodliwić. A niesłychany upór Łapińskiego, nieczułego zgoła na wszelkie słowne perswazje, robił dalej swoje. Jego „*idée fixe*” zdobycie Cytadeli poprostu spać mu nie dawała. Już poprzednio z Mondem i Trześniowskim, jako dowódcami odcinków mającymi przed sobą Cytadelę, próbował ataków. Prawda, w samych początkach, gdyśmy się do Cytadeli zbliżyli, istniał szereg okazji jej zdobycia nieraz z małym stosunkowo wysiłkiem, okolicznościowo nawet zawładnęliśmy jednym bastjonem bronionym słabiutką obsadą, ale okoliczności te rychło minęły z momentem zabezpieczenia Cytadeli przez Rusinów silną, kilkukompanijną obsadą. Objekt to zbyt rozległy, by mógł być słabymi siłami broniony. Cytadela nie może być słabo obsadzona, bo wtedy nie przedstawia właściwego charakteru reduty. Cytadela musi mieć co najmniej kilka kompanij piechoty załogi, ale wtedy nawet przy użyciu takiej artylerji, jaką myśmy dysponowali, staje się obiektem nie do zdobycia. Szczęśliwą okazję pominęliśmy, a kiedy zaczęliśmy myśleć o jej opanowaniu, było już całkowicie za późno.

Upadek wiary w zdolność prowadzenia akcji przez Naczelną Komendę był głośny. Oskarżano się powszechnie, oficjalnie jednak subordynacja nie ucierpiała. Zrażona tedy Komenda Naczelna do akcji operacyjnych w ścisłym słowa znaczeniu, zaczyna teraz pragmatycznie pracować. Z jednej strony przeprowadza się sprawę niezmiernie ważną zlikwidowania słynnego trójkąta koszar Ferdynanda, której ukraińska załoga w ilości przeszło 400 ludzi zasługuje na najgorętsze pochwały. Miałem sposobność oglądać ich w chwili przerwy ogniowej. Byli to ludzie rośli, znakomici żołnierze, przeważnie siczownicy, którzy w walce z naszymi nielicznymi Bemakami zachowywali obyczaje czegoś w rodzaju prymitywnej rycerskości, łamanej zresztą bez skrupułów tak z jednej, jak i drugiej strony, gdy przychodziło do akcji ogólniejszych, co prawda — wzajem sobie awizowano rozpoczęcie kroków nieprzyjacielskich.

Zlikwidowanie tego obiektu polegało na planie przedstawionym nam przez oddział techniczny naszej Komendy. I tu się okazuje, co znaczy choćby najidealniejsza pomoc cywilna, ze strony biura znakomicie funkcjonującego, ale przy niewłaściwej zależności, z chwilą gdy nie podlega ona organizacyjnie biuru operacyjnemu. Oto koszary Ferdynanda postanowiono wysadzić miną w powietrze. Pozornie wszystko działo się najdoskonalej wedle planu. Były plany kanalizacyjne w naszym ręku, dowiedzieliśmy się, że średnica kanału odchodzącego od koszar pozwoli na przesunięcie się człowiekowi i że główny kanał przechodzi popod centralnym gmachem koszar. Oddział techniczny sam wyłącznie prowadził tę akcję. Użył on jako ochotnika staruszka, kanalarza lwowskiego, który osobiście znosił ładunek wybuchowe na miejsce, a znosił z wielką fatygą i niebezpieczeństwem, bo kanał był dawno nieczyszczony, o spadku małym i do połowy niemal wypełniony odchodami, a — co najważniejsze — wyziewy gnilne były nie do wytrzymania, wprost trujące. Mimo to ładunki zostały założone; połączono je z zapalnym elektrycznym, ale stało się nieszczęście podwójne: wybuch nastąpił w dziesięć minut po momencie ogłoszenia obowiązującego zawieszenia broni, powtórę, poczwiwna staruszek nie orjentując się w odległości pod ziemią poszedł za daleko i nie główny budynek został wysadzony w powietrze, ale wybuch nastąpił na dziedzińcu, gdzie wyrwał kolosalnych rozmiarów lej, zarysował stajnie i wzniecił w nich pożar, a choć załoga Bema natychmiast wpadła na miejsce, korzystając z oszołomienia nieprzyjaciela, to jednak ja, osobiście wysłany z Komendy na miejsce, musiałem stwierdzić opóźnienie wybuchu i zarządzić cofnięcie się naszej linii na pozycje pierwotne. W ten sposób znakomicie zaaranżowane, ale nieodpowiednio wykonane przedsięwzięcie spaliło na panewce, a z powodu uszkodzeń kanałów nie pozwoliło nam oczywiście na jego powtórzenie.

Było to drugie i ostatnie, planowe i zrealizowane przedsięwzięcie, kierowane przez Naczelną Komendę. Trzecie, niewykonane, polegać miało na przeprowadzeniu oddziału zwartego, dostatecznie liczego, kanałami od ul. Wuleckiej na plac Fredry, ale rzecz ta poza sferę projektów nie wyszła. Zresztą w okresie tym cała niemal uwaga Komendy była obróconą na reagowanie operacyjno - defensywne wobec gwałtownych, uporczywych ataków.

ków ruskich, powtarzających się kalejdoskopowo i niemal bez przerwy na całym froncie wewnętrznym i zewnętrznym. O ile jednak w akcjach na froncie zewnętrznym mieliśmy znakomitego Borutę, który tylko w chwilach krytycznych wołał o pomoc i to poto, by niezwykle trofea z każdej akcji sprowadzać, to rozpaczliwe meldunki dowódcy grupy Domu Techników, którego odcinki jednak bynajmniej nastrojów nie dzieliły, wywoływały zamieszanie. Specjalnie cichy, a lwiego serca por. Bieńkowski, jako dowódca Szkoły Kadeckiej okrył się tu wielką sławą. Cała akcja Komendy polegała na umiejętnym wyciąganiu drobnych grup z frontów mniej chwilowo zagrożonych, na łączeniu ich w oddziały silniejsze i wysyłaniu ich na pomoc odcinkom, w chwilach najgroźniejszych razem z żandarmerją, personelem technicznym i kompanją sztabową. Wiele nerwów, wyczerpania skrajnego i konieczności opanowania się kosztowały nas te czasy.

A równocześnie pertraktowano z Rusinami. Bardzo często odbywały się w Komendzie Naczelnej dziwne narady „bojowe” z delegatami Komitetu bezpieczeństwa i dobra publicznego Cieńskim, Hausnerem i Chlamtaczem, z którymi dyskutowano warunki przez Ukraińców postawione i formułowano propozycje polskie. Niezwykłym był charakter tych zebrań, o ile chodzi o kwestję uprawnień władz cywilnych i ich rolę w pertraktacjach. Oto dowództwo organizowało u siebie zebrania, powiedzmy grzecznie „dyplomatyczne”, ze sferami niewojskowymi, z takimi samymi samozwańcami władzy, jakimi w zakresie wojskowym była nasza Komenda, na których to zebraniach miano decydować o sposobie oddania Lwowa w ręce ruskie, by go dalej nie krwawić. Zaiste — niepojęty sposób załatwiania kwestyj bojowych. Naogół przypuszcza się, że w wojnie jedynym ciałem używanym do pertraktacji jest władza wojskowa. We Lwowie było inaczej; tu miała decydować zbiorowa wola obywateli cywilnych, zastraszonego do największego stopnia sytuacją bojową i drżących niepomiernie, by wobec Rusinów nie spadła na nich odpowiedzialność za łączenie się z „polskimi legjonierami”. I dopiero trzeba było scen poprostu gorszących, by w naradach późniejszych pełnego sztabu bez udziału osób cywilnych wymóc nieustępliwość i wytrwanie Komendy w zadaniach, które na nią spadły z całym ciężarem odpowiedzialności.

Naczelne Dowództwo Wojsk Polskich.

L.sztabu gen.478/.

Do

gen. Józefowski
gen. Roja.

Warszawa, dnia 16. listopada 1918.

w KRAKOWIE.

I./ Powierzam Dowództwo wojskowe w KRAKOWIE, na obszarze Galicji, Śląska, Zagłębia Dąbrowskiego wraz z ko-
palcami Będzińskimi i powiatu olkuskiego, generałowi dywi-
zyi Emilowi GOŁOGORSKIEMU.

II./ Generała Bolesława ROJA przeznaczam na objęcie
Dowództwa nad następującymi oddziałami:

4., 5. pp. /dawne L.P./

8. pp.

57. pp.

przez każdy baon po 10 K.M.

2. pułk ułanów /dawny L.P./

3 ciężkie baterie formowane w Krakowie.

III./ Dowództwo wojskowe w KRAKOWIE ma nadmienio-
ne oddziały najrychlej przetransportować koleją do Prze-
myśla, celem przygotowania odsieczy LWOWA.

Dowództwo to dostarczy dla tej odsieczy żywności, amunicji
Łotników, ew. pociągu pancernego i tworzy podstawę materjalną
dla oddziału generała ROJA i formuje najspieszniej nowe od-
działy na swoim obszarze.

IV./ Generał ROJA oczekuje w PRZEMYŚLU dalszych
rozkazów, które otrzyma od Naczelnego Dowództwa W.P.

V./ Otrzymują: Gen. dyw. GOŁOGORSKI i generał
ROJA.

10. OCENA STRATEGICZNEGO POŁOŻENIA. PLAN DZIAŁANIA ODSIECZY.

Ciężka ta sytuacja nasza trwała do 18 listopada. Dzień ten otworzył nową erę w walkach lwowskich, bo oto okazało się, że nadzieja odsieczy się realizuje, że duch i oddziałów i całej Komendy rośnie, że nawet najtrwożliwsi chwilowo przycichli z żądaniami przeprowadzenia ugody. Całe dwa, a właściwie trzy dni najbliższe trwał spokój na froncie. Na żądanie Ukraińców zgodzono się na zawieszenie broni, ale wiedzieliśmy z góry, że to musi być ostatecznie, decydujące zawieszenie, po którym rozpęta się burza, jakiej jeszcze Lwów nieszczęsny nie widział i które musi doprowadzić do urzeczywistnienia wymarzonego i jedynego zamiaru, wypędzenia Ukraińców z miasta.

W dniu tym dostaliśmy zawiadomienie od ppłk. Tokarzewskiego, że wyruszy 19 z odsieczą, a przeźornie i wszechstronnie polecał przygotować cały szereg wstępnych zarządzeń, jak przygotowanie planu wywagowania, marszu bojowego, użycia pociągu pancernego, planu akcji wspólnymi siłami, wreszcie zarządzeń policyjno-wojskowych. Cały ten rozkaz dowodzi, że ppłk. Tokarzewski przystępował do akcji oswobodzenia Lwowa w sposób pragmatyczny, metodycznie obmyślany, po prostu wzorowy.

Świadczy to o nim, jako o znamienitym wodzu, który w zupełności dorastał do zadań, jakie na niego spadły. Tutaj mogę stwierdzić, że w Komendzie naszej całego szeregu tych planów, które ppłk. Tokarzewski uważał za najodpowiedniejsze dla przeprowadzenia akcji na większą skalę, nie tylko wogóle przedtem nie opracowywano, ale wogóle o sprawach tych nie myślano. To też z miejsca, po rozdzieleniu ról pomiędzy poszczególne referaty, zaczęła się gorączkowa, entuzjastyczna praca nad ich wykonaniem. Biuro polityczne razem z oddziałem defensywy zaczęło zbierać adresy mieszkań głównych prowodyrów cywilnych i wojskowych ukraińskich, zajęto się zbieraniem ich rysopisów, oznaczeniem roli żandarmerji polowej, milicji wojskowej i obywatelskiej na wypadek zajęcia Lwowa. Biuro organizacyjne w łączności z technicznym i intendenturą opracowywało sprawę pomieszczenia oddziałów w okresie wstępnym i po

zajęciu Lwowa, ich zaopatrzeniem materjalnem, dostawą amunicji i t. d. Słowem pracy w dowództwie było wiele.

Najważniejszą jednak rzeczą było opracowanie planu operacyjnego. Rzecz ta miała być zdecydowana na radzie wojennej, złożonej z Mączyńskiego, Łapińskiego i ze mnie. Mączyński był zapatrywania, iż wobec słabości oddziałów odsieczy nie należy wyznaczać jej żadnego specjalnego zadania, ale jedynie wzmocnić żołnierzem świeżym a częściowo złuzować nasze wyczerpane placówki. Tą drogą, wedle Mączyńskiego, unikało się ryzyka, a stwarzało warunki znacznie korzystniejsze do akcji typu do-tychczasowego. Planu tego ani Łapiński, ani ja nie podziela-liśmy. Łapiński wystąpił po raz nie wiem który ze swą tezą za-sadniczą, która w ten mniej więcej sposób się przedstawiała: Lwów leży w kotlinie. Dwa w nim są najważniejsze punkty wyniosłe, które nieprzyjacielowi służą za centra oporu. Są to Wysoki Zamek i Cytadela. Muszą być one zdobyte za wszelką cenę. Reszta Lwowa automatycznie dostanie się w nasze ręce¹⁾.

Wystąpiłem przeciwko temu planowi w sposób gwałtowny. Nie umiałem się powstrzymać. Wołałem, że dość już szturmów, dość już niepotrzebnego krwawienia się. Nie zgodzę się na taki plan i nie pozwolę go wykonać. Musimy należycie wyzyskać nadejście odsieczy. Na następną liczyć już nie możemy. Teraz albo nigdy — musimy sobie powiedzieć. Musimy Lwów zdo-być. Liczymy na zaskoczenie. Rusini nie wiedzą, jakie przysły posiłki. Musimy cały Lwów otoczyć. To będzie nas najmniej kosztowało. Przerażony przeciwnik podda się nam i ze wszyst-kiemi komendami, władzami cywilnymi i całą organizacją i zapasami dostanie się w nasze ręce. Tylko tą drogą uwol-nimy Lwów i zlikwidujemy całą ruską awanturę w Galicji wschodniej. Manewrem, nie frontalnym bojem możemy liczniej-szego i lepiej uzbrojonego przeciwnika zwyciężyć. Nie wolno nam atakować Cytadeli, ni Wysokiego Zamku. Same wpadną w nasze ręce.

Mówiłem mocno. Czułem, że z miejsca mam Mączyńskiego po mojej stronie. Łapiński milczał po swojemu, nie oponował.

¹⁾ Tok tego rozumowania: Łapiński i Kron, I. c., 76 sq.

Widziałem, że go nie przekonał. Hazard manewru wydawał mu się zbyt wielkim.

Takim był mniej więcej przebieg obrad w południe 18 listopada. Mączyński rozstrzygał. I rozstrzygnął... połowicznie. Cytańdela miała być tylko cernowaną, Wysoki Zamek zdobywany, ale na tle manewru na szeroką skalę, polegającego na projektowaniu przeze mnie obejściu Lwowa i połączeniu obu skrzydeł ruchomych. W duchu triumfowałem.

Spróbujmy bliżej omówić sprawę tę z punktu widzenia operacyjnego, biorąc pod uwagę ocenę położenia taktycznego strony ruskiej i naszej na przestrzeni Lwowa.

Nasza strona zajmowała pozycje dominujące, rozciągające się szerokim pasem (około 3—4 km) w kształcie tępego półksiężyca, o froncie miejskim w kształcie łuku wklęsłego, długości około 7—8 km na przestrzeniach zabudowanych, gdy na froncie zewnętrznym, wobec istnienia luźnych redut, a przede wszystkim dwu wysuniętych placówek w Zimnej Wodzie i Rzęśnie Polskiej, ogólny front przekraczał 30 km. Naogół pozycja i terenowo i materialnie bazowała się znakomicie. Lepszych stanowisk Lwów dostarczyć poprostu nie mógł. Tu się znajdowały: lotnisko, dworzec, główne magazyny żywnościowe i amunicyjne, warsztaty, co prawda typu prowizorycznego, ale czasu wojny światowej właśnie na ten cel przeniesione, użytkowane lub też jako takie fundowane.

Terenowo przestrzeń ta należy do krawędzi Podola, opadającego stromo wzgórzami wuleckimi i łagodnym zboczem na odcinku ul. Kopernika - Janowska ku dolinie Pełtwi, środkiem miasta przepływającej, na zachodzie zaś była w naszym ręku nasada pasma roztocza Lwowsko-Tomaszowskiego, przebiegającego w bogatej rzeźbie w kierunku północno-zachodnim, gdzie Kortumowa Góra stanowi rdzeń właściwej nasady. W ten sposób pozycje nasze naogół zajmowały teren „wysokiego“ Lwowa, gdy Rusinom z konieczności przyszło bronić w obrębie miasta doliny Pełtwi. O ile tedy pozycje nasze zniżały się ku wnętrzu swojej t. j. ku środkowi miasta, o tyle na tych przestrzeniach taktycznie dominowaliśmy nad przeciwnikiem. Tam nieprzyjaciół musiał podchodzić ku wyniesionym naszym stanowiskom, tam też musiał się bardzo krwawić. Do takich pozycji należał nasz odcinek od ogrodu Jezuickiego, przez ul. Zygmuntowską, Bema,

po ulicę Janowską. Ale na obu skrzydłach tego frontu zeszliśmy aż do podnóża zboczy. Zarówno gmach poczty przy ul. Słowackiego, jak i cały odcinek Góry Stracenia (ul. Źródłana i Rappaporta), a także i Zamarstynów leżą już na dnie doliny Pełtwi. Tutaj terenowo nie mieliśmy żadnej przewagi nad przeciwnikiem, stąd to pochodziło, że okolice te stały się nawet w ciągu walk pozycyjnych przedmiotem zapasów prowadzonych ze zmiennem szczęściem. A wobec niemożności zabezpieczenia rezerwowych stanowisk, naco szczupłe siły absolutnie nie pozwalały, nietylko partje w dolinie leżące, jak Zamarstynów i podnóżę Góry Stracenia, przechodziły z rąk do rąk, stanowiąc front ruchomy, flankujący, ale w czasie gwałtowniejszych ataków ukraińskich parokrotnie straciliśmy nawet i samą Górę Stracenia, jak i sąsiednie wzgórza kleparowskie i jedynie zapomocą dorywczych kontrataków, przeprowadzanych koncentrycznie z Rzęsny, lotniska, Dworca Głównego i z odcinka Bema, mogliśmy łątać dziury tam powstałe. Jedynie poczta wahanom tym nie ulegała, ale sytuację tą zawdzięczała ona nietylko zdeterminowanemu męstwu swej załogi, ale i właściwościom przedpola od strony Cytadeli, uniemożliwiającej Ukraińcom rozwinięcie liczebniejszej linii atakowej. Ogólnie mówiąc zajmowaliśmy na froncie wewnętrznym stanowiska dominujące, a na pewnych przestrzeniach schodziliśmy do doliny Pełtwi.

Jakżeż teraz przedstawiała się nasza pozycja na odcinku zewnętrznym? Tutaj, rzecz można, teren po obu stronach na całej przestrzeni był identyczny. O ile odliczymy Stryjski park i Żelazną Wodę jako należące jeszcze do frontu wewnętrznego, to na całej niemal przestrzeni mamy otwarte, z dalekim ostrzałem, równe jak stół, pola, upstrzone zrzadka pojedynczymi budynkami murowanymi lub też kompleksami domów leżących już w obrębie przysiółków, czy gmin podmiejskich, wyzyskiwanych oczywiście mniej lub więcej przez jedną lub drugą stronę. Z tej strony akcje ukraińskie nawet masowymi atakami przeprowadzane, były w znakomity sposób paraliżowane przez fenomenalnego Borutę-Spiechowicza, umiającego znakomicie zastosować manewr oskrzydlający przeciwko rozwiniętym, gęstym linjom nieprzyjaciela. Od strony zaś czysto zachodniej, od ruskich wiosek Mszany, Wrocowa, Karaczynowa, leżących w trójkącie szos Lwów-Janów i Lwów-Gródek, w tym czasie nie mieliśmy

ani razu poważniejszej dywersji; naodwrot, z naszej strony likwidowano tam w zarodku wszelkie przejawy organizacji ukraińskich, co zapewniało nam tu względny spokój. Zupełnie odmiennie przedstawiała się pod tym względem sytuacja późniejsza, zimą 1918—19 r., gdy na terenach tych powstała wyjątkowo bitna, znakomicie taktycznie prowadzona ruska „grupa Klee“, której dowódca godzien jest miana prawego zagończyka.

Jakżeż tedy z drugiej strony przedstawiała się naogół pozycja Ukraińców? Zepchnięci w początkowych dniach walk, agresywnie i samorzutnie z naszej strony prowadzonych, na dno doliny Pełtwi, czuli i czuć musieli niekorzyść swego położenia. Tem można sobie wytłumaczyć uporczywość ich ataków nie w kierunku frontalnym na kościół Marji Magdaleny, Poczte, Dyrekcję kolejową, Bema, aż po Górę Stracenia, gdzie wprawdzie stale trwała uporczywa walka, a gdzie miała charakter wyczerpujących zapasów pozycyjnych, bez planu przeprowadzenia akcji w większym stylu, — ale w kierunku na oba nasze skrzydła. Punktami ich wypadów były zatem albo zewnętrzne ogniska oporu w mieście, jak Cytadela i dworzec Podzamcze, albo też ataki ich miały charakter wybitnie oskrzydlaający, wychodząc z podstaw operacyjnych: Góry Jacka, Persenkówki, czy nawet Sokolnik na froncie południowym, a ze Zboisk na froncie północnym. Na obu tych skrzydłach terenowo obie strony równoważne zajmowały stanowiska i tu pragnęli się Ukraińcy rozszerzać.

Zaznaczyć jednak pragnę, że w całej akcji listopadowej nie dał się wcale zauważyć jakikolwiek plan cernowania naszych pozycji przez ich zamknięcie od zewnątrz. Dowództwo ruskie zadowalało się ściąganiem swych sił do miasta i stąd niemi dysponowało. O jakiejś stałej obsadzie frontu, któraby nam zamykała, choćby na większej głębokości, linią zwartą front od południa i zachodu, nie mogli jeszcze marzyć. Wszelkie tego rodzaju ich zakusy w tym czasie były szybko przez naszą znakomicie działającą kawalerję likwidowane, a powodem tego była oczywiście niepowszednia dla Rusinów trudność w utrzymaniu łączności między oddziałami, któreby musiały być rozsypane na olbrzymiej przestrzeni, a łączność ta po jeszcze większych łukach okrężnych musiałaby być przeprowadzoną. Innemi słowami głównem polem akcji zarówno naszej, jak i ze strony ukraińskiej,

był do dnia odsieczy teren miasta zabudowanego. Nam chodziło o jego zdobycie sukcesywnie i z wolna, wobec niemożności zajęcia jego jednym atakiem, podczas gdy Rusinom chodziło o rozbitcie naszego frontu, choćby na dwa ogniwa, któreby miały być pozbawione między sobą łączności lub też o zepchnięcie nas atakami skrzydłowymi na coraz mniejszą przestrzeń. Pierwszy typ działania Ukraińców, podejmowanego w formie wypadów z centrum miasta, n. p. na Górę Stracenia czy z Cytadeli, zagrażał nam fatalnie, gdyż i tak wkłęśły nasz front musiałby się jeszcze więcej wygiąć, zaistniałyby trudności komunikacyjne, łączności, a przede wszystkim utrata takich baz materialnych, jak lotnisko i dworzec w pierwszym wypadku, a Dom Techników w drugim. Dlatego to utrzymanie dla nas Góry Stracenia, a raczej całego kompleksu Góry Kortumowej na północy, a Szkoły Kadeckiej i rogatki stryjskiej na południu było dla nas kwestią egzystencji. Były to dla nas klucze, których utrata musiałaby się odbić najfatalniej na dalszej obronie. Ze wzgórz bowiem Kleparowskich, na wypadek ich obsadzenia choćby tylko piechotą, nie mówiąc artylerją, zniszczyliby nam Ukraińcy lotnisko i warsztaty kolejowe przy ul. Na Błonie, gdyż obie te nasze bazy leżą na odkrytej przestrzeni, pozwalając na znakomity ostrzał i wgląd w każdy zakamarek, podczas gdy Szkoła Kadecka leży już na równinie podolskiej, a tyły jej opadają stromo zarówno ku miastu, skąd zagrażała jej Cytadela, albo na zachód ku Domowi Techników i Szkole Sienkiewicza, gdzie przedpola pokrytego jarami zalesionymi na Wulce absolutnie przez dłuższy przeciąg czasu słabymi siłami nie potrafilibyśmy obronić. Z naszej tedy strony oba klucze zamykające pole obrony znajdowały się na skrzydłach, posiadając załogę co prawda licznie niedostateczną, ale przepojoną duchem bojowym, pozostającą pod dowództwem znakomitych oficerów, jak por. Abraham i Bieńkowski.

I znowu przypatrzmy się ze strony ruskiej ich kluczom pozycyjnym. Bez wątpienia są to dwa potężne, daleko silniejsze niż nasze, naturalne bastiony Wysoki Zamek i Cytadela, z których jeden był nawet sztuką znakomicie umocniony. Jasna rzecz, że jako punkty głównego oparcia były przez Ukraińców odpowiednio wyzyskane, co prawda nie z miejsca, nie z dniem 1 listopada, ale później w miarę, jak nasz i ich front krzepnął,

w miarę, jak coraz racjonalniej zaczęto wyzyskiwać właściwości terenu i od nich uzależniać plany operacyjne.

Zastanówmy się tedy pokrótce, jaką rolę odgrywał Wysoki Zamek i Cytadela w walkach listopadowych. W ogólnej konfiguracji terenu nadpełtewnego stanowią one dwa silne, ostro zarysowane zręby, spadające gwałtownymi stokami na dno doliny. Cytadela cała jest dookoła, a Wysoki Zamek w dwu trzecich u swego podnóża zajęty budynkami lub poprzeryzany ulicami uregulowanymi, a dostęp od każdej z nich jest możliwy tylko w pewnych liniach komunikacyjnych, które naogół są przeprowadzone w taki sposób, iż na każdym kroku ułatwiają obronę nawet słabymi siłami. Cytadela o stokach sztucznie uregulowanych, o zboczach silnych, równomiernie eksponowanych, nie nadaje się do akcji szturmowej. Słaba obsada po kilkudziesięciu ludzi na każdej stronie zamienia Cytadelę na gniazdo nie do zdobycia atakiem piechoty. Inny natomiast charakter posiada Wysoki Zamek, stanowiąc również swego rodzaju redutę. Słowem oba obiekty stanowią pierwszorzędne punkty oparcia, ale oba są mimo wszystko znaczenia odmiennego. Musimy bowiem uwzględnić, że każdy z tych punktów służyć musi i służył do dwojakich zadań: do zadań natury zaczepnej i obronnej; otóż pod tymi względami zalety i wady obu punktów były zgoła odmienne.

Cytadela, jako obiekt warowny typu przestarzałego, mogła odgrywać rolę reduty tylko w takich walkach, jakie myśmy właśnie w listopadzie toczyli, gdzie działanie artyleryjskie nie tylko z naszej strony słabo w rachubę wchodziło. Przecież zwykle budowle bynajmniej nie typu obronnego, nie z wysokimi i grubymi murami, bez strzelnic, bez zwodzonych mostów i rowów stanowiły nasze „reduty“, które umiały się trzymać wobec huraganowych nierzaz ataków piechoty, minjerek i artylerji. Z porównania jednak naszych „redut“ z Cytadelą ta ostatnia bezapelacyjnie konkurencję wygrywała i swym dominującym położeniem nad bliższym i dalszym otoczeniem, krytymi dostęпами, znakomitą polem ostrzału, jak i masowością samej murywanej warowni. To też wszelkie próby zbliżenia się do któregośkolwiek z bastjonów, czy wychylenia się na płaszczyznę szczytową, równało się samobójstwu. Raczej można było uciec się do wysadzania poszczególnych obiektów, ale i w tym wypadku

nie przestawało być położenie strony atakującej niemniej groźnem, wszak każdy obiekt Cytadeli stanowił poniekąd jednostkę samodzielną i od determinacji jej obsady zależało, czy i jak długo będzie się bronić. Nawet wysadzenie jednego czy dwu południowych bastionów nie mogło nawet lokalnie zaważyć na losach centralnego obiektu.

Słowem Cytadela nadawała się znakomicie jako reduta typu obronnego, naodwrot zaś jako centrum wypadu traciła wszelkie swoje zalety. Mieliśmy tego wielokrotne dowody, gdyż szereg wypadów z Cytadeli zarówno w kierunku na żandarmerję i szkołę Marji Magdaleny, jak i na południe, na wzgórze kaddeckie ani razu Rusinom się nie udał. Mężna, ale słaba liczebnie obsada, licząca nie więcej nad setkę ochotników pod wodzą znakomitego Bernarda Monda, z miejsca stale rozbijała wszelkie próby wypadu. Położenie bowiem obronne Cytadeli uniemożliwiałoby wprost akcję przeciwną. Jej naturalne zalety stawały się w tym wypadku poważnymi wadami. Znajdujące się u jej podnóża budynki były w naszym posiadaniu i odgrywały rolę redut, co prawda nie tak silnych jak budynki Cytadeli, ale wystarczające do tego, by atak piechoty rozwijający się na jej równych zboczach w samym zarodku paraliżować. Trzeba bowiem pamiętać, że walki ogniowe we Lwowie odbywały się na minimalnych odległościach, dowodząc zapalczywości bojowej obu stron. Zapewne wojska rosyjskie i austriackie tego sposobu walki by nie wytrzymały, ale w warunkach naszych zarówno Cytadela z jednej strony, jak i kompleksy budynków dookoła położonych z drugiej, jak ul. Herburtów z willami luźno stojącymi, ul. Kaddecka, remiza tramwajowa, ul. Bogusławskiego razem stanowiły kompleks bloków obronnych, który w zupełności obustronnie paraliżował znaczenie ich jako podstawy wypadowej.

Niemniej Cytadela dominowała samem swoim wyniosłem położeniem, dominowała rozległością przestrzeni, pozwalając na ukryte stanowiska baterij, umożliwiała silną obsadę nawet do kilku baonów na wypadek potrzeby, posiadała od ul. Kalczej, Cytadelnej i Supińskiego dojścia kryte od ognia strony przeciwniej, nadawała się znakomicie na punkt obserwacyjny na dalszą nawet metę, posiadając otwarte pole widzenia na całą dolinę Pełtwi aż po wzgórza przeciwległe i na cały płaskowyż

Podola, ciągnący się w niedalekiej odległości od placu wyścigowego i Szkoły Kadeckiej aż po Kulparków i Dworzec.

Inaczej rzecz się przedstawia z Wysokim Zamkiem. Gęsto zalesione jego zbocza nie dają podobnej możliwości obrony, jak na Cytadeli, dla partii znajdującej się na jego ściętym wierzchołku. Dostęp wprawdzie do podnóża gęsto zabudowanego (ul. Zamarstynowska, Żółkiewska, Zamkowa i inne) mógłby być uzyskanym jedynie na drodze zdobycia poszczególnych budowli, ale z Góry Zamkowej na tok walki nie możnaby wpływać, gdyż zalesione zbocza nigdzie nie pozwalają na wgląd w dół. Atak z naszej strony, któryby doprowadził do zajęcia dworca Podzamcze, miałby za swój skutek niemal automatyczne opuszczenie Wysokiego Zamku. Piechota bowiem zewsząd ma ułatwiony i kryty dostęp aż do platformy szczytowej i wątpię bardzo, czy znalazłaby się załoga jakakolwiek na tyle zdeterminowana, by wytrzymała natarcie w tych warunkach, a przede wszystkim nocą. Na samej platformie, gdzie zresztą miejsca niewiele, niema żadnych budynków, z których możnaby się bronić jakby z reduity.

Rola Wysokiego Zamku jest innego rodzaju. Z powodu wyniosłego położenia nadaje się jako pierwszorzędny punkt obserwacyjny o widnokregu nieporównanie rozleglejším, niż Cytadela. Ze szczytu Kopca można było sygnalizować umóiwione znaki dla własnej obsady na dalekich nawet odcinkach, gdyż Kopiec jest zewsząd znakomicie widoczny. Poprostu w całej okolicy Lwowa trudno znaleźć punkt, skąd Kopca nie byłoby widać. Dalej nadaje się znakomicie płaszczyzna pod Kopcem na stanowisko baterji, z czego zresztą Rusini wybitnie korzystali i tylko dzięki naszym lotnikom, którzy bombami znakomicie umieli baterje te unieszkodliwić, zawdzięczać należy, że baterje zamkowe tak słabo dały się nam we znaki.

Jeżeli zatem chodzi o ocenę, jaką była wartość Wysokiego Zamku w walkach lwowskich, to krótko możemy rzecz tę ująć, iż możliwość zajęcia tego obiektu atakiem odpowiednio przygotowanym piechoty, przy poparciu artylerji nie przedstawiała nawet tej trudności, jaką stanowiły kompleksy budynkowe na froncie miejskim. Zdobyć Wysoki Zamek można było i trzeba było, ale naprzód musiało się zdobyć całą gęsto zabudowaną część miasta, jaką stanowi Podzamcze i Żółkiewskie. Z momentem jednak zdobycia Wysokiego Zamku przez nas, powstała

bardzo przykra sytuacja dla oddziałów na jego zdobycie przeznaczonych. Gdyż w tym wypadku musiałyby one forsować potężne bloki koszar wojskowych przy ul. Teatyńskiej, które zamykały dostęp do miasta i z konieczności musiałyby się z otwartych stanowisk je zdobywać. Inaczej, można powiedzieć, oddziały nasze dostałyby się po zdobyciu Zamku w rodzaj pułapki, z której nie byłoby innej drogi odwrotowej, jak ta, po której Zamek zdobywano. Wszelki kontratak ukraiński idący dołem musiałyby te oddziały u podnóża góry uprzedzać, oddział nasz musiałyby być straconym. Dlatego to uważam, że podobnie jak Cytadela, również i Wysoki Zamek nie powinien był być wogóle przez nas zdobywanym. Wszelkie próby w tym kierunku uważałem za niepotrzebne czyny bohaterskie, które tylko przysporzą nam rozlew krwi, wywołując u innych zniechęcenie, a sama brawura nic tu nie pomoże. Oba obiekty, moim zdaniem, winny były być cernowane, ale nigdy nie zdobywane. Szturmowanie ich piechotą było zbędne, szkodliwe, stanowiły bowiem najsilniejsze a nie najsłabsze punkty oporu, należało je za wszelką cenę unieszkodliwić przez okrążenie, odcięcie, cernowanie, ale przenigdy przez szturmowanie.

Łapiński wychodząc z założenia, że to są najważniejsze punkty oporu, uważał, że właśnie dlatego należy je zniszczyć, zwalczyć i zdobyć. Wysoki Zamek nigdy nie leżał w bezpośrednim polu działania naszych oddziałów, stąd nie mógł dotąd stanowić faktycznego celu akcji, ale co do Cytadeli to Łapiński wracał do niej uporczywie. Z dowódcami obu odcinków, kpt. Trześniowskim i por. Mondem odbywał — powtarzam — szereg narad nad sposobami owładnięcia Cytadelą i mimo tego, że za każdym razem krwawiliśmy się na jej zboczach odsłoniętych mniej lub więcej silnie, zamysłów swych nie porzucał.

To też kiedy w dniu 18 listopada otrzymał Łapiński zlecenie opracowania dyspozycji w myśl zasadniczo przeze mnie proponowanej akcji, w czasie pisania rozkazu zauważyłem, że Łapiński wraca do swoich zamysłów i, równolegle z przeprowadzeniem manewru okrężnego, równocześnie nakreśla zadanie zdobywania Wysokiego Zamku i Cytadeli. Wytrzymać już nie mogłem i wpadłem do Mączyńskiego, wołając, że to jest wypaczenie zdrowego planu, że rozkaz taki staje się niedorzecz-

Gravies: Intrahesaron od toru holej ^u agrad mještli

Ladawie: Szczytno, na Łoncie, w porożeniu.

1. 8 unciare kosterni ad elytrorum per ~~per stratum~~

Bradonski, George is the 29th year.

C. grisea, ~~zealandica~~ Lyndell

Ситуация: арбитр М. Магальский, 1 комп. спик. Товарное

(100 hindu) 1 mistra, min, inga i Trucua Waterya

Комментант крт. Трезумовски

~~Grasshopper~~ (Grasshopper m. magistralis)

otwierając drogę z miasta do Stargardu Pomorskiego

Zadanie: ataw na Cyfale wyl. cernowane 10. 05

шоны ал көпермәккә, сөткә, а, этәргә

7900) ~~californica~~ ~~p. cf. Gussonei~~; ~~Fragaria~~ ~~strawberry~~ ~~Hesperis~~

D. grisea palmirana

Stefan, abisada domo I Kawalerya, ordo de ppi

Tokancowski (200 lwdy) i bateria przemyska.

Kommendant,

Stawomirski Koncerty: Dwie Techniki Nowe sw. I i II

Obecnie: ul. Dąbrowska (wyłączenie) ~~Pawła~~ Zielona

Draga Strijena

Todavía: Tazcote rubeum aditazcote Zelazne woty

~~A7 case myeloma and lymphoma, lymphoma~~

Navalernya kaznime Kozelniki; Nicker, ^{Spencer} Paricki

unicat. Koszary pora rogatki Lysenkov & Dz. 770.

~~Slapping Zinacab in the Stars and~~

E. Grisea uschodnia

Suras: ~~guyana~~ ~~reborn~~ ~~liberation~~ ~~india~~ 1/50 km: 7/000.

Przyjmił następujące ulaski, nie wypisując ich:
 a) to ^(Podwale) Dmiller, ^(zaj. Kulawski, i Br. m. m. m.) Narolny Jan, ^(Zygotula) nieparzyste numerowane
 na ul. Buding, ^(Rynek) Narolny Torhord, ^(Zygotula) Narolny Wotymyng
 i Ratur, Nowotwisto. Wszystkie przyjął komitet
 wybranych szeregów i komisji komisji (plac Bernanys
 sei) i kawałki placu (ul. Kozłowa)

III. По зову ниаста:

- [illegible]

7.96

Zauwammy, B. W. atynnyjs speczalno ^{ustrojny} ~~ustrojny~~
jawni adprohady su do koncu otaczek obciup
stet do zauwammy elocumskaz. W uciars akcy
do domu Suwalidzi, Kossas Sanktionersdich
Miejsca spatrindone: D troika narwego otumka, zareg.
du ref. Sautanny
Suwalidzi, ~~Stagunypol~~; Smota Konarskiego, Dom Fedu
non smota pseudoworn i M. Magdaleny. Poczmy
takre prsota pomunytora, Dronce Lyrakota, Dom
Suwalidzi
Zytyni oddiaty pabiorz pnet za cnciem akcy po
2 konsemy mione. Po wobyaw niarka pustani
Futawantawa

nością, gdyż niepotrzebnie nasze i tak nieliczne siły, przeznaczone do dalekiego obchodu osłabia i siły odsieczy rozproszkuje na zadania wprost zgubne.

Mączyński uległ. Zażądał zwrotu rozkazu od Łapińskiego i oddał mi do dalszego redagowania. Rzec całą ująłem w dyspozycję, której oryginalny koncept pisany ołówkiem posiadam w moim archiwum osobistym. Akt ten został doręczony później Mączyńskiemu, który w kilku punktach, przeważnie tylko stylistycznie poprawił i uzupełnił. Jest to właśnie rozkaz, który potem pod tytułem „Dyspozycja ataku na Lwów“ został przez Komendę Naczelną wydany i ppłk. Tokarzewskiemu wręczony.

Zasadniczo wprowadzie projektowałem obejście głębsze, ale ostatecznie zgodziłem się na opinię Mączyńskiego, by manewr nasz polegał na obejściu płytkim, poprostu wzdłuż linii zewnętrznych placówek ukraińskich, a to na skrzydle prawem na odległości 6—7 km, na lewem 0·5—1 km. Natomiast ja proponowałem, by nasz pochód odbywał się ile możności nocą, pod przewodnictwem ludzi miejscowych, doskonale obznajomionych z terenem, tak by nad ranem już z przygotowanych pozycji, na dane hasło, na całym froncie równoczesnym, koncentrycznym atakiem uderzyć na Lwów. W ten sposób grupa południowa miała posuwać się popod Kozielniki, Pasieki miejskie i halickie, aż po browar Grunda na gościńcu Łyczakowskim, pozostawiając wszędzie odpowiednie obsady nowowytworzonych odcinków. Na północy zaś obejście miało iść lasami na zachód od Hołoska, wyjść na otwarte przestrzenie na północ od Zboisk i stąd zajmując szosę żółkiewską atakować dzielnicę trzecią, przy równoczesnem współdziałaniu całego odcinka Zamarstynowskiego, którego front, w miarę postępu naszej akcji, ustawicznieby się skracał, tem samem coraz wybitniej mogłaby obsada jego przejąć zadanie grupy otaczającej.

Nieszczęściem Mączyński nie chciał pójść za tym planem, tylko zadowolili się rolą połowiczną manewru. Hazard planowego ataku wydał się mu za wielki. Jego zdaniem wystarczyło obejściem tuż po linii placówek zająć Żelazną Wodę, Górę św. Jacka, Snopków, Pohulanę, Cmentarz Łyczakowski a stąd dworzec i górny Łyczaków. Na północy zaś nie zajmować, a tem mniej otaczać Zboiska, ale zabezpieczyć się od Zboisk, a główną masą zdobyć Zniesienie i Podzamcze. Na swe uza-

sadnienie przytaczał Mączyński, że obejście od zachodu Kleparowa jest z powodu terenu ogromnie utrudnione, co zresztą jest zupełnie słuszne, chociaż przecież przypuszczaćby można, że miejscowa ludność z takimi trudnościami dałaby sobie radę oraz, że na południu głębokie obejście mogłoby doprowadzić do utraty łączności i pogubienia oddziałów. A przecież chodziło jedynie o przemarsz piechoty, a baterje mogły współdziałać ze wzgórz kleparowskich i placu wyścigowego i na teren zdobywany nie potrzebowały wcale wychylać się, zresztą i tak też było w rzeczywistości. Drugim atutem płytkiego obejścia miała być ułatwiona możliwość zwinięcia akcji w razie jej niepomyślnego przebiegu, podczas gdy głębokie obejście mogło narazić oddziały w pochodzie awansowane na odsłonięcie i ich wyniszczenie.

A jednak przebieg faktyczny akcji wykazywał, że miałem pod tym względem rację. Zgóry bowiem przypuszczałem, że płytkie obejście wzdłuż placówek ukraińskich uwikła nas od pierwszego momentu obejścia w walki lokalne, których przebieg może na poszczególnych odcinkach rozwijać się dla nas powolnie, całą akcję może opóźnić, a nawet przygotować Rusinów na dalsze etapy obejścia — i skutkiem tego doniosłość manewru zmarnować. Tem samem traciło się wielki atut zaskoczenia nieprzyjaciela, niepotrzebnie demaskowało się nasz zamiar od początku i rozumiałem, że tego rodzaju defilada wzdłuż placówek sporo ofiar będzie musiała nas kosztować i kwestja, czy wogóle zamierzony cel zdoła osiągnąć. Niestety Mączyński na hazard wielki nie chciał pójść; dobrze, że szedł na mały. Inaczej, czułem, przyjdzie na obrady znowu sprawa wzmocnienia obsady dotychczasowego frontu, moment zaskoczenia zniknie — i może już nie wróci. Więc z bólem serca zgodziłem się, ale zato wymogłem na Mączyńskim, że jedną z grup sam poprowadzę. Nie chciałem się sam osobiście zgłaszać jako dowódca. Umyślnie też w dyspozycji pozostawiałem nazwiska dowódców nie wymienione i dlatego to zarówno dowództwo grupy północnej, jak i południowej w „dyspozycji“ mojej nie mają wyznaczonych nazwisk dowódców. Liczyłem, że jedną z nich dostanę. Tymczasem stało się inaczej, ale prawdopodobnie nie z winy Mączyńskiego i jak zobaczymy, inne były tego powody. Poprostu czułem, że to dzieło musi być decydującem,

że jako autor jestem odpowiedzialny za jego przeprowadzenie i dlatego zgłosiłem się na ochotnika. Bałem się bowiem, iż jeśli okaże się, że po linii placówek przemarsz nasz nie będzie mógł się odbywać, to trzeba będzie cofnąć się na głębsze obejście, ale zamiaru za żadną cenę nie poniechać. Bałem się tedy, czy któremu z dowódców wyznaczonych nie zabraknie tupetu i czy nie utknie po drodze. I w rzeczywistości tak się stało, ale tylko na odcinku północnym. Lecz nie uprzedzajmy wypadków.

Tak wyglądało nasze przygotowanie operacyjne na przyjście odsieczy. Dyspozycja gotowa, przepisana na maszynie z podpisem Mączyńskiego, czekała na właściwego dowódcę. Chodziło teraz o to, jak ją Tokarzewski przyjmie. Byłem pełen niepokoju. Był to plan bezsprzecznie mój, a przez Mączyńskiego tylko zmodyfikowany — i to na niekorzyść naszą. Wprawdzie obecnie dopiero, po upływie 14 lat od zdarzenia, właściwy autor występuje z prawem do autorstwa, ale na dowód tego co mówię — podkreślam wyraźnie — chowam dowód mych praw w formie autografu autentycznego. Na nim widnieją właśnie poprawki Mączyńskiego, poprawki drobne, mało istotne. Akt ten przechowuję całkiem legalnie, gdyż zachowałem go sobie, jako otrzymany od Mączyńskiego rozkaz zamiast czystopisu z momentem, gdy się zgłosił do prowadzenia którejkolwiek grupy. Posiadam go więc jako rozkaz, który do podkomendnego został wystosowany. Jest zaś dla mnie tem cenniejszy, iż służy mi równocześnie jako dowód moich praw autorskich i stwierdza, jaki był udział Mączyńskiego w redakcji rozkazu.

11. AKCJA OTOCZENIA LWOWA I JEJ PRZEPROWADZENIE BOJOWE.

Ppłk. Karaszewicz-Tokarzewski przybył wieczorem 20 listopada do naszej Komendy ze swym szefem sztabu kpt. Błeszyńskim. Natychmiast odbyła się niezapomniana dla mnie operacyjna. Kpt. Błeszyński, który już uprzednio odbył konferencję z por. Łapińskim, wyraźnie chylił się ku projektowi pierwotnemu, ale niespisanemu Łapińskiego, oficjalny projekt wyraźnie ignorował, a co dla mnie było jeszcze dziwniejszem, narada obu dowódców i szefów sztabu odbywała się początkowo beze mnie. Zwróciłem się tedy do Mączyńskiego, iż tak być nie może, a Mączyński, co muszę wyznać otwarcie, z całą lojalnością zaprosił mnie do obrad i tłumaczył Tokarzewskiemu dzi-

wacność sytuacji, że Naczelną Komendę Wojsk Polskich we Lwowie posiada dwu szefów sztabu.

Tokarzewski był w rozterce. Nie wiedział, jak się zachować wobec faktu, iż pisemna dyspozycja Dowództwa lwowskiego nie wypływa z intencji pierwszego szefa sztabu, którego znał jako dzielnego oficera z własnej brygady w Legionach, a natomiast mniej mu znany bojowo drugi legionista przedstawia opinię odmienną. Czując, że w całej aferze ukrywa się pewna gra ze strony Łapińskiego, który przy pomocy znajomości prywatnej obu decydujących czynników stara się swój projekt pierwotny wprowadzić w życie, wystąpiłem gwałtownie. Oświadczyłem Tokarzewskiemu, że to jest jedyny projekt Dowództwa lwowskiego, że innego nie ma, a osobno w ostrych słowach zwróciłem się do Łapińskiego z zapytaniem, co to ma znaczyć, że wysuwa się z powrotem poronione plany, które w zupełności przekreślają planowe traktowanie przygotowań do akcji wspólnej. — „Czy na to ppłk. Tokarzewski — pytałem — domagał się od nas przygotowania planu operacyjnego jeszcze z Przemyśla, by go za przyjazdem do Lwowa nie zastać. Rzecz jest gotowa jako jedyna zdrowa opinia“. I pytałem Łapińskiego: „Panie kolego, dlaczego bije się człowieka w twarz? Dlatego, że to jego najsłabszy punkt, tu najsilniej zaangażowany jego honor, tu najłatwiej uderzyć, a skutek największy, daleko większy aniżeli w uderzeniu... z tyłu?“ Zrozumiał mnie Tokarzewski i zdecydowanym głosem oświadczył, że plan opracowany przez Dowództwo lwowskie przyjmuje i dyspozycja ta zostanie przerobioną na rozkaz dla wojsk połączonych. Triumfowałem! Myślałem, że uściskam Tokarzewskiego ¹⁾. Dalszy ciąg obrad wydawał mi się jednym snem. Rzeczywiście byłem znużony straszliwie, a że przed odmarszem potrzebowałem choć chwilę odpocząć (uprzednio dwie noce nie kładłem się spać, zrana zaś obszedłem z Bujalskim cały jego odcinek, po wszystkich placówkach od Cytadeli do toru kolejowego na zachód od koszar wuleckich), postanowiłem więc odpocząć. Tymczasem zbliżała się 10 wie-

¹⁾ Rutkowski, *Odsiecz Lwowa w listopadzie 1918 r.*, str. 26. Niejasno wypowiada się w tej sprawie Roja, *Legends i fakty*, 177. Płk. Hupert, *Walki o Lwów*, Warszawa 1933, str. 80 sq. (książka wydana w czasie, gdy druk „Obrony Lwowa“ był na ukończeniu) wykazuje różnicę dyspozycji lwowskiej i rozkazu ppłk. T. i omawia sposób wykonania tegoż. (Przyp. red.)

czór, lecz obrady trwały, a atak miał się o szóstej rano rozpocząć z krańcowych punktów naszych placówek. Należało się więc spieszyć.

Oddziały spały w pogotowiu marszowym i o 4-ej miały wyruszyć na punkta wyznaczone im na placówkach. Chciałem tylko odczekać, jaka grupa będzie mi wyznaczona. Tymczasem zdecydowano bez mnie o wyborze dowódców. Grupę północną miał prowadzić por. Sikorski, grupę południową z zadaniem trudniejszym, obszerniejszym, a przede wszystkim marszem aż po Łyczaków, kpt. Boruta-Spiechowicz. Dla mnie miejsce się nie znalazło. Zły i markotny oświadczyłem, że idę do grupy Boruty. Udałem się wprost do Szkoły Sienkiewicza i tam w podnieceniu ogólnem, bo właśnie przyszła odprawa, usiadłem sobie w kącie, wyczerpany i głodny, próbując się zdrzemnąć. Rozmyślałem, co mam robić. Wewnętrzny głos mi mówił, że powinienem wszelkimi siłami się starać, by akcja się udała i bez względu na rolę, choć rozkaz w niczem o mnie nie mówił, postanowiłem wytrwać na miejscu i pomagać bezimiennie, gdzie i jak się da.

O trzeciej w nocy oddziały zaczęły przechodzić obok Szkoły Sienkiewicza, lecz dopiero na ul. Issakowicza pod Domem Techników zapanował prawdziwy tumult. Tu napływają kuchnie polowe, by podkarmić należycie oddziały ekspedycji, które na dłuższy przeciąg czasu mogą być żywności pozbawione, jakkolwiek każdy żołnierz dostał po dwie konserwy. Tu znowu artylerja z jaszczkami zatarasowała drogę, tak że piechota przejść nie mogła. Jakkolwiek odprawa Boruty odbyta należycie, przewidywała szereg nieporozumień, to jednak nie liczyła się z opóźnieniami i z chaosem, jaki na własnym jeszcze terenie zapanował. Nie potrzeba było zresztą uciekać się do specjalnych zarządzeń, bo wnet cała kolumna ruszyła w ciszy naprzód. Gdyśmy wychylili się szosą z drogi Wuleckiej na bocznice idącą na ul. Stryjską, tempo marszu zaczęło się opóźniać. Oto na czele pochodu siedł kpt. Drobniewicz, który jeszcze przed linią własnych placówek zaczął wysyłać patrole ubezpieczeniowe wedle przedwojennych wzorów austriackich. Widząc, że system ten opóźni nam cały marsz i ludzi zmitręży, poprosiłem go, by mi ustąpił miejsca, a sam cofnął się do Boruty i o tem go zawiadomił. Odtąd maszerowałem na przodzie z patrolem przednim. Two-

rzył go patrol z kompanji jarosławskiej, ze mną szło kilku oficerów legjonowych, w tyle posuwał się długi wąż baonu 5 p. p. Leg. z kpt. Krok-Paszkowskim. Do Snopkowa przybyliśmy bez żadnego opóźnienia jeszcze w ciemności. Ale w momencie, gdyśmy się wychylili z jaru snopkowskiego i weszli na aleję lipową, wybiegającą prostopadle na ulicę Zieloną, zostaliśmy z nagłą ostrzelani z pobliskich rezerwoarów wodociągowych.

Tymczasem zrobiło się jasno. Strzały zrazu gęste zaczęły przycichać. Z naszej strony odpowiadano słabo. Oficerowie, dotychczas bagatelizujący sobie cały przemarsz, nie znajdowali się przy swych oddziałach, co wywołało pewnego rodzaju zamieszanie. Straż przednia, korzystając z grubych drzew, zaczęła się z za nich ostrzeliwać, tymczasem zaś baon opuścił drogę i zaczął dalej się posuwać w ukryciu, dołami cegielnianemi. Licząc tedy, że dalsze interesowanie się obsadą ruską będzie należeć do naszych tyłów, poderwałem straż przednią i bez strat przebiegliśmy szosą w poprzek i zapadliśmy w gęsty, pełen przepaściwych debr lasek Pohulanki, zwany także Węglińskim. Tu nigdzie nie napotkaliśmy Ukraińców. Wydał się również niezamieszkałym. Nigdzie nie było widać nikogo żyjącego. Zatrzymałem się tu równo godzinę, nie mając wcale żadnej łączności z tyłami; wysłałem dwa meldunki do kpt. Boruty, o którym przypuszczałem, że musi się już znajdować na alei lipowej, gdzie wedle uprzednich zarządzeń miało być jego stanowisko ale, choć odległość była nieznaczna, łącznicy nie wracali, ani co gorsza nie nadchodził z tyłu żaden oddział. Mam jeszcze przy sobie kopję drugiego meldunku, wysłanego z browaru Kleina do kpt. Boruty o godzinie 9:30 tej treści: „Od 8:30 browar zajęty. Czekamy na Bergmana. Obecnie odmaszerowuję“. Wedle dyspozycji Boruty kompanja Bergmana, który dotychczas prowadził odcinek kulkoparkowski, miała tu nadejść i zająć odcinek naprzeciw koszar Piotra i Pawła, zajmując wylot Pohulanki i ogród botaniczny.

Tymczasem ani Bergman, ani baon 5 p. p. wcale się nie zjawiał. Mijały minuty. Z sąsiednich koszar Piotra i Pawła zaczęły padać na nas pojedyncze strzały, nawet od czasu do czasu odzywał się karabin maszynowy, ale szkody nam żadnej nie robił. Niecierpliwiłem się w najwyższym stopniu. Miałem około siebie dwudziestu kilku żołnierzy z kompanji jarosławskiej, któremu to plutonowi przewodził ppor. Robakowski, o ile nazwisko

pamiętam, w każdym razie zna je ppłk. Tokarzewski, któremu sprawę tę ustnie raportowałem. Wszyscy żołnierze ubrani w mundury pruskie i hełmy stalowe wyglądali na wspaniałą oddział prawdziwych, zaprawnych w boju żołnierzy, aż się serce radowało. Tymczasem później okazało się, że o walce ogniowej pojęcia nie mają i nie umieją w niej się zachowywać.

Zaczekałem przecież jeszcze pięć minut i wysłałem jeszcze jeden meldunek: „Na litość Boską przysłać dalsze oddziały. Opuszczam stanowisko i idę na Łyczaków“. Szczęśliwym trafem właśnie ukazał się baon 5 p. p. zwolna opuszczając się debrami na dno doliny; nie czekając tedy na Bergmana, odchodzę z moim plutonem na folwark Cetnerowski, na przestrzeni lasu nie spotykając nigdzie Ukraińców. Dopiero na górze, dotarłszy do drogi idącej z rogatki Łyczakowskiej do Pasiek, na t. zw. Jałowcu, rozwijam się w tyraljerkę, celem ostrzeliwania szosy Łyczakowskiej, gdzie na wielkiej przestrzeni widać kolosalne zamieszanie. Szosa odległa od nas na jakie 700 kroków przedstawia ciekawy widok; z koszar wyjeżdżają wozy ładowne, jedne z nich pędzą do miasta, inne do Winnik; wszędzie biegają bezładne grupy Ukraińców, słysząc hałas i krzyki. Na nas nie pada ani jeden strzał. Żadne patrole w naszą stronę nie wychodzą. Każę nastawić celownik i strzelać do pojedynczych grup Ukraińców. W tem odpowiadają mi moi żołnierze: „Te, poco strzelać, kiedy do nas nie strzelają“. Czułem, że dławi mnie coś w gardle. Takiej sytuacji w przybliżeniu nie oczekiwałem. Okazało się dowodnie, że moi żołnierze, to tylko z pozoru wyglądali na nowoczesnych triarów rzymskich, w rzeczywistości nawet nie zdawali sobie sprawy, co to jest wojna.

Wreszcie nasze strzały się rozległy. Szosa nagle opustoszała, hałas umilkł za chwilę i ztyłu za nami rozlegają się strzały. Wtem ztyłu nadjeżdża wózek zaprzężony w jednego konia, a na nim leży jakiś ciężko ranny chorąży ukraiński, a przed nim leży na wozie karabin maszynowy. Każę żołnierzom wyskoczyć z rowu i wóz zatrzymać, lecz rozkaz mój nie znajduje posłuchu. Jakiś bezwład ogarnia żołnierzy. Wobec tego sam wyskakuję na drogę i sprowadzam wóz do lasu. Czuję nad sobą jakby jakiś tajemniczy nastrój zmory sennej, kiedyto człowiek czuje niemoc zupełną i niema sił wykonać najprostszego ruchu, choć posiada pełną świadomość bezsily. Czułem najwyraźniej,

że moi żołnierze to jakaś masa bierna, bezsilna, niezdolna do wykonania moich rozkazów. Dławiłem się wprost ze wściekłości, wreszcie zacząłem najbliższych grzmocić kijem i pięściami, by wymóc rozkazom posłuszeństwo. Wreszcie zjawia się ppor. Robakowski, który tymczasem gdzieś się zawieruszył. I jemu udaje się łatwiej własnych ludzi doprowadzić do upamiętania z tego dziwnego oszołomienia, czy stanu kataleptycznego.

Jeszcze jakiś czas ostrzeliwujemy koszary ułańskie, gdzie wedle naszych przypuszczeń musieli się przedewszystkiem schronić Ukraińcy. W tej chwili na drodze przed nami ukazuje się dziwny obrazek. Tęgi jak bawół chorąży w mundurze austriackim, ale z kokardą biało-czerwoną na czapce, idzie swobodnym krokiem drogą, dźwigając pod jedną pachą karabin maszynowy, a pod drugą parę skrzynek amunicji. Idzie sam jeden jak na spacer i donosi, że baon 5 p. p. zgubił drogę w lesie Pohulanki i że wyszedł półtora kilometra wtył, ale obecnie jest już na drodze Pasieckiej i podąża za nim. Zwracam mu uwagę, by naprzód sam jeden z karabinem maszynowym się nie wyrwał, że my tworzymy straż przednią, ale chorąży nic sobie z tego nie robi, kiwnął głową, nie troszcząc się o nas i dalej swobodnym krokiem pomaszzerował. Nie chcąc go zostawić samego, podrywam pluton i przebiegłszy paręset kroków rozwijam go w tyralierkę na cmentarzu wojskowym, licząc na zagarnięcie baterji, która wedle orzeczeń naszych lotników, miała się znajdować na boisku Sokolem. Stamtąd, a przedewszystkiem z ulicy Pijarów rozlegają się strzały, ale boisko puste, armaty już musiały zemknąć. Tymczasem i tu moi żołnierze nie reagują na strzały przeciwnika, lecz ległszy między grobami, ukrywają się, nie myśląc wcale odpowiadać. Tym razem nie wytrzymałem, wyrwanym krzyżem z jakiegoś grobu zacząłem walić żołnierzy, by podsuwali się na brzeg i stamtąd strzelali, złamałem krzyż, ale osiągnąłem skutek. Całe grupy Ukraińców w popłochu uciekały ku miastu, ostrzeliwując się słabo. Stąd wpadliśmy do parku i na szosę Łyczakowską, już niestety pustą. Było to o godzinie 10-15.

Tymczasem długi trajkot karabinu maszynowego, na prawem mojem skrzydle każe się domyślać, że praca chorążego, który pod laskiem Pohulanki nas wyprzedził, ma jakiś ciekawszy cel. I oto okazało się, że ten niezwykle dzielny chorąży (nazwiska

nie pamiętam, zna je ppłk. Tokarzewski), sam jeden bez żadnej osłony, wysunąwszy się na skrzyżowanie drogi do Pasiek i ulicy Łyczakowskiej, z ukrytego stanowiska jedną taśmą bez przerwy wystrzelaną... ogołocił cały Dworzec Łyczakowski z Ukraińców. Sceny, jakie tam się działy, należą na wojnie do rzadkości. Oglądając w parę minut potem pobojowisko, mogłem naliczyć około 30 trupów żołnierzy i kilkudziesięciu ciężko rannych, którzy nie mogli się poruszać. Wszystkie izby niewielkiego budynku stacyjnego były nimi przepełnione. Zewsząd dochodził charkot konających i jęki rannych. Oto żołnierze ukraińscy zebrali się w wagonach, by pociągiem zemknąć z Łyczakowa, ale w ostatniej chwili zaskoczył ich ogień strasznego karabinu, który na odległość mniej więcej dwustu kroków, niemal doszczętnie wystrzelał wszystkich, którzy w pociąg się znajdowali.

Ztyłu za dworcem zastaliśmy baterję połówek, niestety bez aparatów celowniczych i zamków. Zdemonutowane były wszystkie jednakowo tak, że ani jedna armata nie dała się skompletować. A potrzeba ich okazywała się bardzo wielką. Bo w koszarach ułańskich usadowił się, jak się nam w pierwszej chwili zdawało, jakiś oddział ukraiński i każdego, kto się na szosie pokazał, kładł trupem. W ten sposób nieoględnie utraciliśmy już po faktycznem zajęciu Łyczakowa szereg ofiar. Okazało się jednak, że to jakiś desperat ukraiński zamknął się w koszarach i z pierwszego budynku, z głębi sali na pierwszym piętrze dla nas niewidoczny, raził nas fatalnie z karabinu maszynowego, nie pozwalając przejść szosy.

Tymczasem jednak zaczyna nadciągać cały baon Kroka-Paszkowskiego. Ludzie są przemęczeni, a zadanie przed nami wielkie, bo musimy jeszcze iść naprzód, celem nawiązania łączności z lewem skrzydłem por. Sikorskiego, którego zadaniem było obejść Lwów od północy. Nadto musimy się jeszcze liczyć z kontratakami ruskimi i to zarówno ze strony miasta, jak i — co gorsza — od strony Winnik.

Znając doskonale okolicę wyznaczam oddziały na zabezpieczenie tyłów, wydzielam stałą obsadę na zajęcie otwartych przestrzeni ciągnących się na wyniosłym grzbiecie na północ od nas w kierunku do Lonszanówki czyli Lasku Cesarskiego, a główną masą uderzamy wzdłuż ul. Łyczakowskiej ku miastu, by dojść

w głąb jak najdalej i umożliwić sobie ewentualną walkę na dwa fronty.

Żołnierze są przemęczeni, oficerowie również, specjalnie Krok-Paszkowski z czerwonymi od niewyspania i emocji oczami wygląda jak królik. Rezerwa stoi na rogatce.

Jakiś czas zatrzymuję się na zdobytej stacji, gdzie co chwila odzywają się sygnały telefonów kolejowych. To obsada Winnik zapytuje o sytuację we Lwowie i domaga się odpowiedzi, czy wysłać posiłki, czy Lachy następują. Między łyczakowianami, którzy jak z pod ziemi zaczynają się między nami kręcić, znajduję jegomościa umiejącego po rusku i temu dyktuję odpowiedzi, a ten w lot je na ruskie przekłada, „że sytuacja już dobra, że Lachy dostały po skórze i poszły... do matery. Że posiłków nie trzeba, że lepiej niech rezerwa stoi w Winnikach“. Po rozmowie telefon każe zerwać. I rzeczywiście stąd nie obawiamy się niebezpieczeństwa.

Jeszcze wprowadzie przez pewien czas zaczynają nas nieśmiało atakować luźne grupy, podchodzące lasem od Podborzec, ale są to ci właśnie, którzy niedawno temu uciekli przed nami z koszar kawaleryjskich i teraz próbują się dostać do miasta. Przepędzamy ich patrolami bez najmniejszego trudu. Nim dojdą oni do Winnik i nim Winniki się zorjentują i zdecydują na ewentualną akcję przeciw nam, upłynie parę godzin. Nic tu zatem nam nie grozi.

Gorzej jest z sytuacją na wzgórzach na północ od toru kolejowego. Oto z Lasku Cesarskiego co chwila wychylają się tyraljerki ukraińskie, ale witane ogniem karabinów maszynowych wracają doń w popłochu. Mimo wszystko, uporczywość ich wypadów dręczy mnie poważnie. Widzę, że akcja naszego północnego skrzydła musiała nie dopisać. Hej, gdybym mógł przypuszczać, co się na tym froncie dzieje, może mimo ogólne przemęczenie zdołałbym podciągnąć naszą linię do Lasku Cesarskiego i stamtąd ogniem karabinów maszynowych zamknąć drogę żółkiewską na wysokości rogatki. Niestety oddziały nasze były skrajnie wyczerpane, żołnierze w biały dzień stojąc na ulicach niemal zasypiali, wpadając w jakiś trans bezwładu. Gorzej jeszcze, bo z momentem, gdy linja nasza posunęła się w głąb miasta ku ul. św. Piotra, zaczęli się pokazywać coraz liczniej mieszkańcy i z ogromną uciechą zaczęli częstować naszych żoł-

nierzy jadłem, a przede wszystkim napojem. Niebawem ulice zaczęły pustoszeć. Spotykało się natomiast ludzi pijanych, których patrolami musiano odprowadzać do rezerwy, ale i tu nastrój wesołego podniecenia dał się zauważyć nawet u oficerów. Słaby nawet atak ukraiński mógł nas w tym momencie pozbawić całych trofeów i zmienić triumf na gorzką klęskę.

Ale Krok coraz energiczniej zaczyna działać. Jedyna w nim nadzieja, że baon przynajmniej w części da się utrzymać w ryzach. Łączności z nikim nie mamy. Krok oświadcza, że żaden z krakowiaków nie potrafi się zorjentować w przeklętym terenie Pohulanki, że niepodobna od jego żołnierzy wymagać, by po jednym przemarszu nocnym mógł za dnia trafić choćby do dowództwa grupy atakowej, do kpt. Boruty, którego stanowisko ciągle jeszcze znajdować się musi w alei lipowej koło rogatki Sichowskiej.

Postanawiam więc iść sam. Coprawda trzymam się ledwo na nogach, od wczoraj nie miałem nic w ustach.

Po drodze nie napotykam nikogo, dopiero w debrach lasku Pohulanki znajduję grupę żołnierzy krakowskich z baonu 5 p. p., którzy zgubivszy łączność z resztą oddziału, czekają w zobojętnieniu, nie starając się ze swej strony o nawiązanie łączności z nikim. Sytuacji nawet na własnym przedpolu zupełnie nie znają. Każę więc im dołączyć się do baonu na Łyczakowie, opisaawszy dokładnie drogę przez las i dochodzę wreszcie do stanowiska Boruty, którego zastaję w niewiarogodnej sytuacji. Oto dowództwo odcinka urzęduje typowo po polowemu, w rowie przydrożnym w alei Snopkowskiej; składa się z dowódcy, adjutanta, dwu telefonistów i zdaje się z dwu ordynansów, ale łączności z żadnym oddziałem kpt. Boruta nie ma. Przed nim cały front jest wolny, Rusinów w rezerwoarach wodociągowych już niema, ale niema wcale własnej obsady, czyli dowództwo na rogatce Zielonej stanowi zarazem... obsadę frontu. Łącznicy rozpuszczeni dla szukania związku z oddziałami dotychczas nie powrócili, nawet z Bujalskim w Domu Techników niema łączności. Sytuacja nad wyraz przykra. Poprostu oddziały czołowe poprowadzone przeze mnie na Łyczaków poszły w tak ostrem tempie, że tyły nie utrzymały z nimi związku. Żadnego meldunku ode mnie Boruta nie otrzymał, widać nie znający Lwowa jarosławscy łącznicy musieli drogę zmylić i do stanowiska Boruty nie trafili.

Tymczasem zaczyna się rzecz wyjaśniać. Spokój przed nami wobec zdobycia Łyczakowa zdaje się oznaczać, że Rusini nie będą stawiali oporu, a tem mniej próbowali kontrataków. Zaczynają dochodzić łącznicy. Wszędzie przed nami spokój, tylko dalej w prawo, gdzieś w pobliżu Łyczakowa słysząc pojedyncze strzały, na lewo od nas w głębi, na wzgórzu św. Jacka również jeszcze strzały pojedyncze się rozlegają. Niemniej rozprószenie oddziałów, utrata związków, pomieszanie się grup, które zaczynają się znajdować tam, gdzie ich nie oczekiwano, niezajęcie obiektów wyznaczonych dowodzi, że cała akcja wypadowa odbywała się w ustawicznym chaosie.

Zamierzam wracać do Komendy, ale nie mam zupełnie sił iść dalej. Poczciwy Boruta odstępuje mi swoje auto, na którym okrężną drogą, obok stacji Persenkówki dojeżdżam na ul. Grunwaldzką, gdzie witają mnie z niesłychanym zaciekawieniem. Jestem bowiem pierwszym zwiastunem nie tylko z Łyczakowa, ale nawet od Boruty. Chwile oczekiwania w kompletnej niepewności musiały być nad wyraz przykre w Komendzie, gdyż dopiero o 4-ej popołudniu zdołałem do Komendy się dostać. Sytuacja przedstawiona przeze mnie jest nader korzystna, ale stan wewnętrzny oddziałów budzi poważne troski i musi być co rychlej usunięty. Wnet Błeszyński wyjeżdża i załatwia sprawę nienawiązania łączności między grupą wypadową Boruty a Bujalskiego. Oto okazało się, że nasze oddziały zajęły częściowo Górę Jacka, a dotychczasowa obsada frontu na odcinku Bujalskiego bez przerwy ich ostrzeliwała, przypuszczając, że to mężczyźni Ukraińcy utrzymują się w parku Żelaznej Wody; Błeszyński reguluje nieporozumienie i jeszcze przed wieczorem skraca front tak, że szereg oddziałów dostaje się Borucie jako rezerwa. Tem samem wszelkie niebezpieczeństwo kontrataku na froncie wypadowym zostaje zupełnie zażegnane.

W Dowództwie jednak dowiaduję się, że cała akcja na północy spaliła na panewce. Oddziały oddane pod komendę por. Sikorskiego niemal z miejsca nie ruszyły mimo uporczywego boju. Słowem, obawy moje, iż płytkie obejście spowoduje tylko posuwanie się po linii placówek ruskich i wywoła niepotrzebne straty, nie były płonne. Silne obsady ruskie nie pozwoliły nawet pociągowi pancernemu na intensywniejszą akcję, a związanie akcji piechoty z działaniem pociągu zatrzymało ją w miejscu,

podobnie jak 9 listopada działo się to w ogrodzie Jezuickim przy związaniu się z atakiem auta pancernego. Oddziały, jednym słowem, mimo liczebność swoją nie potrafiły rozbić oporu ruskiego i ugrzęzły na linii wypadowej. Tem samym Lwów nie został otoczony, jak było pierwotnym zamiarem dyspozycji, ale tylko od wschodu oskrzydłony. Gdyby zatem Rusini mieli wytrzymałość utrzymania się we Lwowie, to sytuacja grupy oskrzydłającej od wschodu mogła się przerodzić w krytyczną, gdyż wążutka jej linijka nie potrafiłaby stawić oporu nieprzyjacielowi atakującemu równocześnie z miasta i z zewnątrz.

Stało się jednak inaczej. Wróg przerażony zaskoczeniem — pierzchnął pośpiesznie, opuścił Lwów w ciągu nocy, mając do przygotowania odwrotu jedynie czas paru godzin od mniej więcej drugiej godziny popołudniu. Otoczenie Lwowa mimo małe siły wywołało popłoch i zaskoczenie. Zadanie było spełnione przynajmniej częściowo.

Sytuacja, jaka się teraz wytworzyła, polegała na tem, że wprawdzie Lwów uwalniała od panowania ukraińskiego, ale wojny ukraińskiej nie likwidowała, tylko moment rozstrzygający odsuwała na plan dalszy. Bezwątpienia, przy silniejszym naporze z naszej strony na skrzydle północnem, możnaby było liczyć na jeszcze większy zamęt u Rusinów i na wzięcie szturmem nawet i obiektów przedtem mocno bronionych. Niestety, przemęczone nasze oddziały nie były zdolne do silniejszych wyteżeń, a ubrany w przepyszne mundury żołnierz odsieczy nie dorósł jako wykonawca do zadań, jakie na niego spadły. Był raczej z pozoru tylko żołnierzem, ale nie miał wyrobienia wojskowego, nie znał walki ogniowej, nie był w istocie, w treści rzeczy żołnierzem. To, że pomoc jego zadecydowała, było wynikiem stanowczej decyzji osiągnięcia celu przez oficerów, a nie szeregowców, którzy raczej jak bierna, bezwładna masa się zachowywali.

W ten sposób zadanie zostało tylko połowicznie wykonane. Tyczasem jednak zaszedł wypadek, o którym oczywiście dopiero „post festum“ miałem możność dowiedzieć się. Oto mimo wszystko Cytadela została zaatakowana, a akt ten, jak zresztą z góry przewidywałem, skończył się dla nas krwawo i bez efektu dodatniego.

I rzeczywiście przebieg akcji był nieszczęśliwy. Osobiście szczegółów nie poznałem, a tem mniej w owym czasie, gdyż

akcja ta wypadła na moment, gdym dochodził właśnie ze strażą przednią na Łyczaków. Przypuszczam jednak, że akcja ta odbyła się nie samorzutnie w ten sposób, że Trześniowski demonstrację pod Cytadelą zamienił na faktyczny atak, a Łapiński popędził tam, by atakowi przeszkodzić¹⁾, ale rzecz musiała się odbyć odwrotnie. Gdyż właśnie w obecności Łapińskiego, mimo ogólny nakaz Naczelnej Komendy, na odcinku Monda omawiano kwestję ataku na własną odpowiedzialność... i atak w obecności pierwszego szefa sztabu wykonano. Nie potrzebuję tłumaczyć, że byłem wściekły, gdym się o wypadku tym dowiedział, przecież cała akcja okrażenia Lwowa nie kosztowała nas tyle ofiar, co ten jeden, marny i niepotrzebny atak na Cytadelę. Pierwszy raz uniosłem się na Łapińskiego, wołając, że gdyby nie jego rana, którą w tej akcji otrzymał, to pierwszym domagał się jego aresztowania. Stało się nieszczęście. Równocześnie ze zdobyciem miasta musieliśmy opłakiwać 36 ofiar Cytadeli, która parę godzin później sama wpadła nam w ręce, jak dojrzały owoc.

Jakżeż tedy mamy ocenić ogólnie całą akcję otoczenia Lwowa, rzecz którą dotychczas przedstawiłem w szczegółach taktycznych, dotyczących grupy południowej, w której osobiście brałem udział.

Bezspornie plan był dobry, wykonanie szwankowało. Powodów, jak widzieliśmy z uprzedniego omówienia było wiele. Przedewszystkiem posuwano się po osi za płytkiej wzdłuż placówek ukraińskich, które tylko w grupie mojej udało się zwalczyć, a które z powodu może silniejszej obsady, może z powodu gęstego zabudowania, gdzie reductowo trzymali się Ukraińcy, na odcinku północnym pozostały nietknięte. Dalej użycie obcych oddziałów, nie orjentujących się w obcym a bardzo trudnym terenie w grupie Boruty, nie wyrównywało się oddaniem komend oficerom miejscowym na szeregu odcinków. Wreszcie — co poprzednio podkreślałem — liczenie na bitność oddziałów odsiecz, niewyrobionych jeszcze wojskowo — wszystko to ra-

¹⁾ Tak przedstawia atak na Cytadelę Mączyński, l. c., I, 320 sq. Ppłk. Karaszewicz-Tokarzewski stwierdza w raporcie swoim z dnia 8 grudnia 1918 r.: „Wykonany wbrew rozkazom atak kpt. Trześniowskiego na Cytadelę, został odparty...” Roja, Legendy i fakty, 323.

zem musiało się składać na całość, która nie mogła być harmonijną i doprowadzić musiała do chaosu, fatalnie jak wiadomo uwidaczniającego się w formie utraty wzajemnej łączności między oddziałami, a później w formie rozruchów i bandytyzmu, jaki zapanował we Lwowie po jego zdobyciu. Nie pomogły tu zarządzenia zapobiegawcze, jakie — wyraźnie podkreślam — dzięki Tokarzewskiemu wydała uprzednio Komenda lwowska; chaos i zamieszanie trwał i wzrastał się nie tylko w oddziałach lwowskich, ale może jeszcze silniej w grupie odsieczy, doprowadzając ostatecznie do pożalowania godnych zdarzeń, w których wojsko, choćby udziału nie brało, zawiniło o tyle, że nie potrafiło ich jak najrychlej zlikwidować.

Ale jest jeszcze jeden wielki powód, dla którego zwycięstwo nie doszło do skutku w takiej formie, w jakiej mogło i powinno było być wykonane. Oto rozkaz ppłk. Tokarzewskiego przy współudziale por. Łapińskiego i kpt. Błęszyńskiego został do tego stopnia zmodyfikowany, tak dalece odbiegał od pierwotnej „dyspozycji“, iż nie mogę inaczej go nazwać, jak deformacją¹⁾. Zmiany te były o tyle niespodziewane, że przecież „dyspozycja“ znajdowała się już w rękach szeregu dowódców i że Tokarzewski na nią się zgodził. Czy wszyscy dowódcy dostali ją do rąk nie wiem, ale wiem, że miał ją Boruta, miałem i ja w oryginalnym koncepcie i na niej się opieraliśmy. Nie przypuszczałem zgoła, by rozkaz do rozpoczęcia akcji, który miał być stroną wykonawczą dyspozycji mógł ją w czemkolwiek istotnie zmieniać. Dlatego to, kiedy rozkaz ten doszedł do Boruty, nie interesowałem się nim wcale, wszak wiedziałem, że akcja miała się zacząć o 6-tej punktualnie, byłem przecież jeszcze jakiś czas po zatwierdzeniu dyspozycji i dalszych obradach operacyjnych w sztabie. Poza terminem nic mnie nie obchodziło. I stała się rzecz niebywała w rozkazodawstwie wojskowym.

Samo porównanie „dyspozycji“ i „rozkazu“ przedstawia kolosalną niezgodność. Oto w następujących punktach oba zarządzenia odbiegają od siebie, a jeżeli uwzględnimy, że jedni podwładni wykonywali dyspozycję, a inni rozkaz, zrozumiemy, na czym to nieporozumienie polegało i jakie skutki przyniosło.

¹⁾ Mączyński, I. c. II, 253—5.

Na północy zadanie niezmienione; siła obsady pomocniczej zredukowana rozkazem do 80 ludzi zamiast 200. Grupa środkowa, z zadaniem demonstrowania, o składzie rozkazem zmniejszonym o 50 ludzi. Grupa trzecia Cytadeli zwiększona rozkazem o oddział por. Monda, ale obcięta, o ile chodzi o udział odsieczy, z 1 kompanji na 1 pluton 8 p. p. Są to naogół zmiany nieistotne, ale bądź co bądź wywołujące pewne niespodzianki nie mile dla dowódców, którzy przecież już uprzednio przygotowali się na inny skład swych grup.

Natomiast najważniejsze i decydujące zmiany dotyczą obu grup południowych, a przede wszystkim grupy kpt. Boruty, która wedle dyspozycji miała robić właściwe okrążenie Lwowa. Oto „dyspozycja“ przewidywała na tym kolosalnie rozległym i trudnym froncie działanie dwu grup: południowej i wschodniej, z których pierwsza miała zająć okalającym ruchem Żelazną Wodę, Górę św. Jacka, a dalej wewnątrz miasta w trójkącie między ul. Zieloną a Zyblikiewicza, druga zaś współdziałać z poprzednią w pierwszej fazie walk, a następnie zająć Pohulanek, cmentarz Łyczakowski i stąd posuwać się ku miastu, nawiązując łączność z grupą północną. Wspierać ją miała przytem na tyłach kawalerja na osi Kozielniki, Sichów, Pasieki, browar Grunda.

W ten sposób zadanie trudne, a przede wszystkim rozgrywane się na terenie rozległym, było podzielone między dwu dowódców, tem samem łączność oddziałów byłaby zapewnioną, a przede wszystkim byłaby do akcji ruchowej użytą obsada odcinka por. Bujalskiego złożona z elementu miejscowego, doskonale orjentującego się w terenie. Obie bowiem grupy miały wspólnie otrzymać 350 ludzi krakowskich, rozdzielonych na 200 dla grupy południowej i 150 ludzi dla grupy wschodniej, nie stanowiłyby masy jednej, która, jak widzieliśmy, w rzeczywistości zbyt obco czuła się na terenie Lwowa i dlatego zbyt inercyjnie występowała.

Tymczasem „rozkaz“ przynosi decyzję zgoła nową, która na wypadek, gdyby była wykonaną, unicestwiłaby cały zamiar nasz zaskoczenia Ukraińców przez otoczenie Lwowa. Wprost nie chce mi się wierzyć, by coś podobnego zaszło. Z mej strony — powtarzam — rozkazu tego w czasie akcji nie czytałem, ani też później nigdy rzecz ta nie była poruszana tak,

że dopiero lektura dzieła Mączyńskiego zwróciła uwagę moją na poniższy fakt. Oto grupa kpt. Boruty nie ma obchodzić Lwowa aż po Łyczaków włącznie, ale ma się zadowolić „opaniem Góry Jacka i południowej części Lwowa“, natomiast tylko kawalerja ma tak daleko się zapędzić, „działając w okolicach Lesienic i Krzywczyc“.

Gdyby zatem tak było, to poderwanie baonu 5 p. p. i kompanji jarosławskiej przeze mnie aż na Łyczaków wynikałoby tylko z omyłki, byłoby dziełem przypadku, iż „obowiązującego“ rozkazu nie poznałem i w myśl pierwotnej dyspozycji pociągnąłem oddziały Kroka-Paszkowskiego za sobą. W ten sposób z zadania wyznaczonego wykonano więcej i to plus stało się dla Lwowa zbawiennem, to plus wypędziło ze Lwowa nieprzyjaciela¹⁾.

W całym „rozkazie“ niema słowa wzmianki o jakimś ruchu okrężnym, o jakimś manewrze, a jedynie wyznaczone są okolice miasta przeznaczone do wzięcia. Jeżeli tedy rozkaz ppłk. Tokarzewskiego, opublikowany w tej formie, jak go podaje Mączyński jest prawdziwym, toby to oznaczało, że pod wpływem Łapińskiego cofnął się Tokarzewski przed hazardem otoczenia Lwowa. Mam najgłębsze zaś przekonanie, że wykonanie takiego rozkazu, jaki jest podany u Mączyńskiego, równałoby się jedynie nieznacznemu rozszerzeniu naszego terytorjum działania, ale Lwowa by nam nie pozwoliło odebrać. Prostu stało się dziełem wielkiego szczęścia, że rozkaz ten nie został wykonany.

Faktycznie niezgody tej nie umiem sobie wyjaśnić, jak tylko przez upór Łapińskiego, który wszelką akcję manewrową uważał od początku za niewłaściwą i który, jakby to wypadało z treści ostatecznego rozkazu, potrafił utracić ją formalnie, ale nie w rzeczywistości. Daje mi to do myślenia dalej, dlaczego nie oddano mi wcale żadnej komendy, jakkolwiek zgłosiłem się na ochotnika.

Twierdzenie Mączyńskiego, że „do grupy południowej zgłosił się na ochotnika dr. Jakubski, który otrzymał polecenie

¹⁾ Stwierdza to ppłk. Tokarzewski w raporcie swoim z 8 grudnia 1918 r. (Roja, l. c. 323) i źródła ukraińskie n. p. Krenżałowski, l. c. str. 51.

pełnienia tam funkcji pomocnika czy zastępcy komendanta¹⁾ jest zupełnie błędne, gdyż właśnie gorzko ubolewałem, iż takiego rozkazu mi nie dano. Wreszcie utwierdza mnie w tem mniemaniu fakt, iż przy osobistym współudziale Łapińskiego wykonanym został fatalny w skutkach, jak było z góry do przewidzenia, atak na Cytadelę.

* * *

Tak, wspaniała akcja, która mogła przy gorętszem a jednolitem wystąpieniu przynieść owoce zupełnego zwycięstwa, pochwycenie całego sztabu wojskowego i całego rządu ukraińskiego w nasze ręce, zakończyła się tylko wielkim sukcesem taktycznym, którym było zdobycie Lwowa, nie zdołano natomiast z powodu połowiczności zarządzeń, wyzyskać w całej pełni tych korzyści, jakie związane były z tym manewrem. Bądź co bądź pozostanie na zawsze faktem pewnym, że podjęta na naszym skrzydle akcja bojowa była tym właśnie prostym a decydującym manewrem, który zaważył tak silnie na losach miasta. Zepchnął bowiem przeważające siły nieprzyjacielskie z roli oblężających do roli oblężonych, a kiedy i w tej sytuacji wróg nie potrafił się utrzymać, wyparł go zupełnie z miasta.

¹⁾ Mączyński, l. c. I, str. 316.



ANTONI KAMIŃSKI

Relację moją traktuję jako meldunek służbowy o wypadkach, w których brałem udział z tą częścią legionistów, która ostatnio wyszła ze związku organizacyjnego Polskiego Korpusu Posiłkowego. Treść jej opieram wyłącznie na faktach dobrze mi znanych i zanotowanych bezpośrednio, z wyłączeniem wszystkiego tego, co do świadomości mojej doszło w okresie późniejszym. Podaję fakta i ich oświelenie z całą żołnierską bezstronnością tak, jak one w czasie powstawały i jak je w tym czasie oceniałem dla powzięcia decyzji. Pominę milczeniem wiele spraw i ludzi celowo — nie chcę bowiem, aby ogłoszone materiały były źródłem poznawania słabości pokolenia, które wypadki tworzyło i przeżywało, ale aby się stały źródłem siły dla nowego pokolenia, jeśli ono w historii tych wypadków szukać jej zechce. Nie pominę natomiast błędów własnych i obcych, ile — że doceniam ich wartość dydaktyczną. Ujawniając błędy, daleki jestem od tego, abym komukolwiek zamierzał uczynić przykrość — ale, aby tem jaśniej rozpoznana być mogła prawda. Relację ograniczam narazie do wyświetlenia genezy obrony Lwowa, co jest głównym celem wydanych przez T-wo badania historii obrony Lwowa w I tomie materiałów. Obejmie ona wobec tego czas poprzedzający wypadki lwowskie w listopadzie 1918 r. i pierwsze dni obrony.

Po przejściu obozu internowanych w Dulfalva na Węgrzech, wcielono mnie do szeregów austriackich w Margredis (Italia), skąd zwolniony w drodze superrewizji lekarskiej, dopiero w drugiej połowie września 1918 r. znalazłem się we Lwowie. Zostałem tu kilkunastu kolegów z różnych pułków legionowych, z którymi nawiązałem kontakt; czas bowiem, według mego mniemania, był taki, że należało się skupiać.

Z rozmów, które w pierwszych dniach mego pobytu prowadziłem z moimi kolegami pułkowymi, kapitanami: Sikorskim Franciszkiem, Zulaufem i Pierackim, nie odniosłem wrażenia, aby były czynione jakiekolwiek przygotowania organizacyjne, dla skupienia elementu legionowego. Niebawem, jakby na potwierdzenie tego, kpt. Sikorski i Zulauf wyjechali na Ukrainę, aby wstąpić do oddziałów polskich tam zorganizowanych. Równocześnie tu i tam spotykałem legionistów, którzy uciekali z armii austriackiej i ukrywali się we Lwowie i na prowincji. Wkrótce odkryłem czynną placówkę legionową przy ul. Akademickiej 3, w której dział opieki materialnej prowadziła Emilja Jędrzejowiczowa, a Dr. K. Hartleb kierował akcją ukrywania legionistów przed „okiem władzy“. W pierwszych dniach października zameldowałem moją gotowość do służby płk. Wł. Sikorskiemu, najstarszemu pośród nas oficerowi. Przy tej sposobności płk. Sikorski przypomniał mi, jako jednemu z inicjatorów myśli założenia Związku Legionistów o charakterze bratniej pomocy, że obecnie należałoby legalizować statut i na jego podstawie rozpocząć prace organizacyjne nad skupieniem elementu legionowego.

Zdawaliśmy sobie sprawę z trudności. Legjoniści byli literalnie rozsypani. Największe zgrupowania ich były unieruchomione na froncie włoskim i w Benjaminowie, a do kraju ciągnęli pojedynczo nieliczni tylko i to albo zwolnieni z wojska prawnie, albo też „urlopnicy“ legalni i nielegalni za t. zw. urlopami polskimi. We Lwowie było oficerów legionowych stosunkowo bardzo mało, a liczba szeregowych w tym czasie była nieuchwytna. Często u Dr. Hartleba, który był mistrzem w naśladowaniu podpisu oficera placu w Warszawie, por. Iwanowskiego, zastawałem liczne grupy legionistów po dokumenty podróży do Wehrmachtu naskutek prześladowań policji i żandarmerji. Byli to właśnie owi z „polskiego urlopu“, dla których jedynym wyjściem była ucieczka do Warszawy, aby nie powrót na front austriacki. Stwierdzam, iż wysyłka legionistów do Wehrmachtu obejmowała tę tylko kategorię, która ze względu na osobiste bezpieczeństwo we Lwowie pozostać nie mogła. Niemniej przeto zasilenie Wehrmachtu starymi żołnierzami było wartościowe i bardzo się potem Małopolsce przydało.

Streszczam: do końca września, legioniści chodzili luzem, pierwsze myśli zorganizowania sił legionowych przypadają na październik 1918.

Podczas gdy poznawałem sytuację wśród legionistów, obserwowałem społeczeństwo lwowskie także i dlatego, że wśród niego miały się organizować rozbite siły legionowe. Inteligencja lwowska wykazywała wiele sentymentu dla Legjonów, będąc jeszcze pod wrażeniem procesu legionowego w Marmaros-Sziget. Ogół ludności robił wrażenie znękanego, biednego społeczeństwa, zawiedzionego w swoich nadziejach. O ile dobrze obserwowałem, dominujący wpływ miała prasa narodowo-demokratyczna i ludzie tego stronnictwa, zdaje się, także dzięki swojemu nastawieniu przeciw Austrii. W każdym razie prawie wszyscy urzędnicy byli albo członkami stronnictwa N. D., albo pod jego wpływem. Poza tem była we Lwowie bieda i pasek.

Jeśli rozważałem możliwości współdziałania ludności Lwowa z pracami organizacyjnymi legionistów, dochodziłem do wniosku, że na sympatię można pewnie liczyć, na pomoc materialną mało, osłony roboty przed wglądem policji można było być pewnym. Nie rozgryzłem natomiast zagadnienia: jak się ustosunkują do nas politycy z partji narodowo - demokratycznej. A zagadnienie to powstało we mnie, gdy w rozmowach ze znajomymi narodowymi demokratami wyczułem nietylko chłód, ale i chęć dyskusowania na temat: czy Legjony były potrzebne? Nie mogłem się uporać z tem zagadnieniem, bo bliskich moich znajomych we Lwowie nie zastałem, nie mając zaś żadnej przynależności partyjnej, miałem utrudniony dostęp do polityków, a wiadomości kawiarnianych nie mogłem traktować poważnie. Wyrobiłem sobie tylko ogólny osąd: cokolwiek się będzie czynić we Lwowie, nie należy neglizować wpływów narodowo-demokratycznych, aby nie wytwarzać zgóry trudności.

Byłem skłonny tem bardziej tak sądzić, że ogólnie było wiadomo o supremacji wpływów narodowo - demokratycznych zarówno na Radę Regencyjną jako też na Radę Stanu, w wyniku polityki Komitetu Narodowego w Paryżu. Ponadto Lwów przed 1914 rokiem był silną twierdzą ideologii narodowo - demokratycznej, która w ciągu lat wojennych nie doznała szwanku i mimo

pewne trudności ze strony władz austriackich, szybko restytuowała swoje siły moralne.

Z końcem pierwszego tygodnia października byłem ogólnie zorientowany w stosunkach legionowych, w nastrojach ludności i dotknąłem powierzchownie wpływów politycznych. Zdawało mi się wtedy, iż uczyniłem wszystko, co uczynić powinien oficer, mający zadanie prowadzenia pracy w zmienionych warunkach i środowisku. A przecież po niespełna miesiącu przekonałem się, że popełniłem kardynalne dwa błędy, które miały zasadniczy wpływ na późniejsze wypadki. Pierwszy błąd dotyczył sprawy Siczowych Strzelców i polityki ruskiej, drugi nawiązania kontaktu z Polakami, służącymi w garnizonie austriackim we Lwowie.

Wiadomość o organizowaniu Siczowych Strzelców doszła mnie w r. 1916 w polu i wywarła przynębiające wrażenie. Odczułem, że na terenie Małopolski wytwarza się ognisko zapalne, które siłą naturalną przejdzie w stan chroniczny. Zdawałem sobie dokładnie sprawę z tego, że w tej części ziem Rzeczypospolitej, bez względu na wyniki wojny, która się toczy, warunki współżycia z Rusinami wytwarzać może tylko atmosfera zgody i spokoju. A tu tymczasem wyrasta formacja wojskowa z rozbudzonymi ambicjami „Siczy“! Nie trzeba było być ani żołnierzem, ani politykiem, aby zrozumieć, że formacji Siczowych Strzelców nie rozprószą intrygi polityczne tak łatwo, jak ją powołały do życia. Pokój brzeski pogłębił we mnie przekonanie, że na terenie Małopolski gotuje się rozgrywka orężna tembardziej, że na czele Siczowych strzelców stanął „Wasyl Wyszywany“¹⁾ i dokompletował całości zagadnienia. Teren, wojsko, dynastia były gotowe. Poczytuję sobie za błąd, że od początku pobytu we Lwowie nie zainteresowałem się przede wszystkim zagadnieniem, co robią Siczowi Strzelcy, jakie mają siły, jakie zamiary ich politycy. Wiedziałem, że stoją garnizonem w Stanisławowie, we Lwowie widywałem ich czasem na ulicach, miałem możliwość czytania ich gazet. Długo potem badałem siebie, co do powodów powstania u mnie tego błędu przy badaniu sytuacji środowiska, w którym miałem prowadzić robotę — i nie mogłem sobie tego wyjaśnić, ani siebie uspra-

¹⁾ Arcyksiążę Wilhelm Habsburg, syn arcyks. Karola Stefana z Żywca.

wiedliwić. Dla każdego innego mógłbym przyjąć usprawiedliwienie w tem, że sprawa należała do polityków, nie do żołnierzy, że Koło Polskie, N. K. N. i t. d. niewątpliwie tem zagadnieniem politycznem dostatecznie się zajmowały, że wszyscy starostowie, naczelnicy urzędów wyższych i niższych byli Polakami i utrzymywali kontakt ze stronnictwami, a w każdym razie z Kołem Polskiem. Uważałem, że mimo wszystko obowiązkiem moim było sprawę poznać i odegrać choćby rolę seismografu politycznego, któryby podziałął podniecająco na odpowiednie czynniki polityczne w kierunku zmiany metod postępowania. Nic bowiem, jak się w listopadzie 1918 r. nad tem zastanawiałem, nie świadczyło, aby czynniki polityczne cokolwiek zdziały dla uniknięcia „ruskiego miesiąca“ we Lwowie, czyli zagadnieniem Siczowych Strzelców i następstwami pokoju brzeskiego widocznie się nie interesowały.

Równie źle uczyniłem, że mimo istniejące trudności, nie szukałem wśród oficerów austriackich Polaków, zdolnych do dania mi wiadomości o stosunkach w garnizonie lwowskim, i nie starałem się oddziaływać przez nich na otoczenie w kierunku odczucia potrzeby łączności narodowej.

Gdy tedy porałem się nad wgryzieniem się w stosunki lokalne, jednocześnie forsownie musiałem poszukiwać rozsianych po mieście i prowincji moich towarzyszy broni. Działo się to wszystkimi, możliwymi sposobami, lecz rezultaty poszukiwań nie mogły mnie zadowolnić. Jeżeli bowiem legionista czuł się bezpieczny, to używał po długich trudach zasłużonego wywczasu na łonie rodziny, która z szlachetnych pobudek izolowała go od wszelkich wiadomości z zewnątrz; jeśli zaś legionista czuł się niedość bezpieczny, zaszywał się tak, że go nawet wnikliwe oko żandarma nie odkryło. Trudno tedy było mobilizować siły, które tak wsiąkły w teren. Dopiero w drugiej połowie października teren pod organizację był o tyle gotowy, że płk. Sikorski mógł już wydać następujący:

ROZKAZ ORGANIZACYJNY NR. 1.

Lwów, dnia 22 października 1918 r.

„W wykonaniu wezwania Najdostojniejszej Rady Re-gencyjnej z dnia 12 października b. r., oraz w myśl rozkazu

Komisji Wojskowej z dnia 17 października b. r. Nr. tajn. 142/2, obejmują kierownictwo Organizacji robót pomocniczo - wojskowych na rzecz Rządu Polskiego w Galicji. W tym celu zarządzam stworzenie następującej organizacji Galicji:

1) Galicja dzieli się na dwa okręgi (pokrywające się z obwodami dwu wyższych sądów krajowych). W każdym Okręgu t. j. we Lwowie i Krakowie powstają Komendy Okręgowe — podległe wprost moim rozkazom.

2) W miastach powiatowych powstają Komendy Placu, podlegające służbowo komendom okręgowym.

Zadaniem tych Komend jest: a) prowadzenie ewidencji oficerów i żołnierzy P. K. P. i innych formacyj W. P. b) tworzenie z oficerów i żołnierzy P. K. P. i innych formacyj W. P. załóg miejscowych. Do tych oddziałów mogą też być przyjmowani ochotnicy, którzy dotąd w wojsku nie służyli.

Służący w tych oddziałach uważani są za pełniących służbę w szeregach, podlegają dyscyplinie wojskowej i w miarę możliwości powinni odbywać szkolenie wojskowe. Zalecane im prace organizacyjne wykonywać mają jako rozkazy wojskowe i o ile staną się winnymi niesubordynacji, przestają być uważani za oficerów i żołnierzy polskich.

Komendy Placu zorganizowane z możliwie najdokładniejszym, zależnie od miejscowych warunków — przystosowaniem się do odnośnych przepisów wojskowych, dbać winne o to, by znajdujące się w obwodzie ich działalności oddziały, co do swej organizacji i składu, odpowiadały wymogom wojskowym i jak najrychlej gotowe były do pełnienia ściśle wojskowej służby.

Komendanci Placu składają co tygodnia szczegółowe raporty Komendom Okręgowym ze swej działalności, a w szczególności ze stanu ludzi w oddziałach.

c) Komendy Okręgowe, na podstawie raportów Komend placu, przedkładają mi ogólne raporty z całego kraju.

Sikorski,
pułkownik w. r.“

Zacytowałem rozkaz powyższy w całości, gdyż stanowił on podstawę naszego działania i ustalał nasz charakter, jako żołnierzy W. P.¹⁾.

Prace organizacyjne znajdowały się już w stadium, pozwalającym na zwołanie odprawy oficerów, na dzień 23 października. Odprawę prowadził płk. Sikorski w lokalu naszym, przy ul. Akademickiej 3 i w mieszkaniu swoim przy ul. Fredry. Na odprawę stawili się wszyscy wezwani. Tematem były sprawy objęte rozkazem Nr. 1, przyczem płk. Sikorski główny nacisk położył na lokalne organizowanie wszystkich legionistów, którzy mieli zbierać ochotników, szkolić ich, o ile to było możliwe, zaopatrywać w broń i uświadamiać o potrzebie pogotowia służby dla Rządu Polskiego Małopolski. Przy końcu odprawy rozdano rozkaz ustalający obsadę personalną. Rozkaz ten dosłownie podaję:

ROZKAZ NR. 2.

Lwów, dnia 23 października 1918 r.

„W związku z rozkazem Nr. 1. poruczam następujące funkcje w poszczególnych miejscowościach:

Komenda Okręgowa we Lwowie	— kpt. Kamiński
„ „ „ Krakowie	— ppor. Spira (zastępstwo) ²⁾
„ Placu we Lwowie	— ppor. Waligórski i T. Hartleb
„ „ Kraków	— por. Kulikowski
„ „ Cieszyn	— „ Czaczka-Ruciński
„ „ Żywiec	— chor. Miodoński
„ „ Chrzanów	— ppor. Rejman
„ „ Szczakowa	— „ Rosiński
„ „ Wadowice	— „ Homme
„ „ Zakopane	— por. Czapliński
„ „ Pilzno	— ppor. Barys
„ „ Gorlice	— chor. Laskowski
„ „ Bochnia	— „ Gochel
„ „ Kolbuszowa	— „ Gruszka

¹⁾ Rozkazy organizacyjne Nr. 1 i Nr. 2 i następny (str. 294) Rozkaz Nr. 1 gen. Sikorskiego w brzmieniu podanem przez płk. Kamińskiego. (Przyp. red.)

²⁾ Był przewidziany płk. Roja. (Przyp. autora).

Komenda Placu Krosno	— rtm. Torma
„ „ Jasło	— ppor. Szczepański
„ „ Sanok	— „ Szczepański
„ „ Rzeszów	— sierż. Pacześniak (zastępst.)
„ „ Jarosław	— ppor. Krogulski
„ „ Przeworsk	— „ Graff
„ „ Przemyśl	— „ Marek
„ „ Sambor	— „ Walner
„ „ Stryj	— „ Wasserab
„ „ Brzeżany	— por. Barzykowski
„ „ Rohatyn	— chor. Biegański
„ „ Bursztyn	— „ Śliwiński
„ „ Tarnów	— kpr. Różycki (zastępstwo)
„ „ Tarnopol	— ppor. Szwejkowski
„ „ Kołomyja	— chor. Wierzbicki
„ „ Stanisławów	— „ Wilczyński
„ „ Żydaczów	— „ Kasparek.

Bezpośrednio przystąpiłem do organizacji dalszych komend placu w Złoczowie, Zbarażu (kpt. Głowiński), Przemyślanach, Czortkowie, Podhajcach, Buczaczu, Trembowli i Gródku Jagiellońskim. Pierwsze meldunki z komend o stanie sił otrzymałem częścią ustnie, częścią pisemnie w dniach 27 do 30 października. Prace organizacyjne weszły na normalne tory i okazały dobre początkowo tempo.

Okres prac naszych od 22 do 30 października stanowi osobną całość. Były to prace o charakterze pomocniczo - wojskowym na rzecz Rządu Polskiego w Galicji, jak to określił Rozkaz Nr. 1 i objęły dwa zasadnicze kierunki: ewidencja legionistów i tworzenie załóg wojskowych, miejscowych.

Nikt w tym czasie nie mówił nam o dalszych celach, nikt nie myślał o jakimkolwiek czynnem wystąpieniu na terenie Małopolski, bo cel taki nie był aktualny. Nie wiem, czy płk. Sikorski miał w tym kierunku jakie wiadomości ze sfer politycznych co do składu Rządu, czy ten Rząd stanowiła Komisja Likwidacyjna, o której się później dowiedziałem, czy miał jakie wytyczne z Rady Regencyjnej. W każdym razie w rozmowie ze mną tych tematów nie poruszał, podkreślał tylko konieczność zmontowania organizacji legionowej, aby w tej formie przetrwać

przymusowy urlop. Mówiliśmy natomiast o wysyłce legionistów do Królestwa. Spotkałem się bowiem ze strony niektórych kolegów z I Brygady z zarzutami, że popieramy przez to Wehrmacht, który po rozbiciu Legionów nie miał racji istnienia, bo młodzież Królestwa do niego nie wstępuje. W tej sprawie uzgodniliśmy z płk. Sikorskim zapatrywania: stoimy jak dotychczas, tak i nadal, na stanowisku posłuchu wobec zarządzeń Rady Regencyjnej; do Wehrmachtu odsyłamy tylko tych legionistów, których nie można na miejscu zatrzymać, ze względu na ich osobiste bezpieczeństwo.

Gdyby płk. Sikorski wiedział, a choćby tylko domyślał się ewentualności późniejszych wypadków z Rusinami, byłby, twierdząc to stanowczo, w trakcie tych rozmów o tem wspomniał. Zdaje mi się, że płk. Sikorski nie wiedział także o tworzeniu się Komisji Likwidacyjnej w Krakowie (dlaczego właśnie w Krakowie?), ani też o decyzji Rady Regencyjnej odnośnie do przejęcia władzy w Małopolsce. Przyjazd delegatów Rady Regencyjnej do Lwowa był nie tylko dla mnie, niewtajemniczonego w sprawy polityczne zaskoczeniem, ale i dla płk. Sikorskiego, bo mi to sam powiedział.

Delegaci Rady Regencyjnej zjechali do Lwowa dnia 30 października rano. Dopiero około godziny 12 miałem możność rozmawiać z płk. Sikorskim, gdy wrócił z kpt. Kazimierzem Drewnowskim, delegatem R. R., od prof. Głębińskiego. W obecności kpt. Drewnowskiego przywitał mnie płk. Sikorski słowami: „Kapitanie, teraz dopiero będzie pan miał robotę. Rada Regencyjna obejmie władzę we Lwowie!” Ponieważ na 12 godz. zamówione było w Ratuszu specjalne zebranie prezydium Rady miejskiej, udaliśmy się tam. Zebranie liczyło 10—15 osób. Płk. Sikorski i kpt. Drewnowski kolejno przedstawili sprawę:

Rada Regencyjna obejmuje władzę nad Małopolską, na zasadzie układu z czynnikami politycznymi austriackimi. R. R. mianowała prof. Głębińskiego ministrem spraw zewnętrznych, który nominację przyjął. Pod względem formalnym władzę administracyjną obejmie Komisja Likwidacyjna, która jest już utworzona w Krakowie. Dowództwo nad wojskiem obejmie gen. Puchalski, płk. Sikorski mianowany szefem sztabu, kpt. Kamiński komendantem placu. Rada miejska przygotowuje opinię ludności, aby

objęcie władzy odbyło się uroczyście. Objęcie władzy odbędzie się dnia 1 listopada we Lwowie.

Naturalnie, wśród zebranych zapanował zapał. Padły liczne pytania, wyjaśnienia — wszystko na poziomie entuzjazmu. Ponieważ ja tylko wśród zebranych miałem wykonać praktyczne sprawy, zwróciłem się z miejsca do komisarza rząd. Stesłowicza, z prośbą o lokal dla Dowództwa wojskowego, kadry i Komendy Placu. Wszystko mi obiecano, a nawet wiceprez. Stahl obiecał dla kadry karabiny ze Strzelnicy. Konferencja trwała krótko, gdyż płk. Sikorski zapowiedział, że ma jeszcze inne konferencje, poczem wyjeżdża do Przemyśla z kpt. Drewnowskim wręczyć gen. Puchalskiemu nominację, odebrać od niego rozkazy i ustalić godzinę przyjazdu do Lwowa na dzień 1 listopada razem z członkami Komisji Likwidacyjnej. Bezpośrednio po tem, załatwiłem z wyznaczonym do tego radcą Wolańskim sprawy pomieszczenia. Dowództwo W. P. i Kmda Placu miały mieścić się w Ratuszu, dla kadry otrzymałem Szkołę Sienkiewicza. Bardzo mi nie odpowiadało mieć kadrę tak daleko od centrum miasta, ale musiałem przyjąć ten lokal, jako jedyny, który mógł być na ten cel przeznaczony z uwagi na to, że szkoły wtedy normalnie funkcjonowały. Z konieczności kombinowałem zbiórki ludzi załatwiać w lokalu naszym przy ul. Akademickiej, skąd odsyłać się będąc grupami do Szkoły Sienkiewicza.

W godzinach popołudniowych wezwał mnie płk. Sikorski i wręczył następujący rozkaz, którego treść stabilizuje już nowy stan rzeczy:

ROZKAZ NR. 1.

„W myśl rozkazu Szefa Sztabu Armji Polskiej z dnia 30 bm. systemizuje się Komendę Placu Wojsk Polskich we Lwowie.

Komendę Placu obejmuje z powyższego rozkazu kpt. Antoni Kamiński, który zaproponuje natychmiast szczegółową obsadę z tem, że etat Komendy Placu ustanowiony jest na trzech oficerów, 4 podoficerów i 36 żołnierzy.

Za Komendę Wojsk Polskich na Galicję:

Sikorski płk. w. r.“

Równocześnie wydał mi następujące polecenia:

1. Na 1 listopada ma być gotowe pomieszczenie na Komendę W. P. na Galicję w Ratuszu,

2. Kadra ma zebrać do 1 listopada najmniej 50 żołnierzy uzbrojonych w broń boczną, o ile możności w karabiny, w każdym razie umundurowanych,

3. 1 listopada rano dostarczy Kmda Placu dyrektorowi policji Dr. Reinländerowi 1000 czapek-maciejówek z orzełkami, aby mógł częściowo przemundurować policję. Na moje zapytanie, czy mam sprawę przemundurowania policji omówić jeszcze ze wspomnianym dyrektorem — odpowiedział: „nie — sprawa już załatwiona“,

4. Min. Głabiński skieruje do mnie młodzież akademicką i szkół średnich; mam ich wcielić do kadry jako osobny oddział, pod dowództwem odpowiedniego oficera,

5. Płk. Sikorski wraca z Przemyśla 31 października po południu, mam go oczekiwać z raportem.

Przystąpiłem zaraz do pracy. Kpt. Trześniowskiemu, mianowanemu komendantem kadry, poleciłem skompletować oficerów i podoficerów, odebrać i zabezpieczyć lokal; mjr. Zalewskiemu i ppor. Hartlebowi rozesłać gońców, aby ściągali legionistów do kadry; pchor. Klinkowi, aby sprowadził karabiny, przechowane w magazynach płk. Sikorskiego i złożył w Ratuszu; chor. Pietrzakowi, aby sformował 25 legionistów, jako wartę główną i objął w ciągu 31 października lokal w Ratuszu. Sam zająłem się sprawą umundurowania. Nie było to dla mnie łatwe, ale pomogły mi tu informacje Dr. K. Hartleba, który jak z rękawa sypał nazwiska krawców i czapników. Musiałem kolejno obchodzić warsztaty; najpierw odwiedziłem legionistę Mięśowicza, kierownika Zakładów odzieżowych; podjął się zaraz robić u siebie 500 czapek, a resztę zamówienia 1500 czapek omówić z drobnymi czapnikami i zapewnić dostawę 1000 czapek na 1 listopada rano, 500 czapek na 1 listopada południe, resztę na 2 listopada rano. Mając najważniejszy kłopot poza sobą, ogłądałem się za mundurami, które chciałem mieć dla kadry, licząc się z jej szybkim rozwojem, z chwilą napływu młodzieży. Rezultat mego biegania po krawcach był dobry. Zabezpieczyłem sobie następujące ilości:

Krawiec Segeta, ul. Pańska: 1720 płaszców, 305 spodni i bluz oraz 50 drelichów.

Krawiec Wiesner: 1000 kompletów (skrajane).
Korporacja krawiecka, ul. Jagiellońska 15 (kierownik Silber)
2900 płaszczów, 400 bluz i spodni.
Tow. krawców „Łączność“ ul. Chorażczyzny (kier. Cwina-
rowicz) 5500 kompletów.

Oczywiście były to dostawy austriackie, częściowo gotowe, częściowo skrajane lub nie, w każdym razie ogromne jak na moje potrzeby zapasy, z których można było czerpać.

Wysoko ceniłem wartość obywatelską tych krawców. Nie mogłem im bowiem mówić dokładnie o stanie rzeczy, ale w lot myśli moje zrozumieli i deklarowali ochotnie: „jeżeli to dla naszego wojska, to chętnie nawet wynagrodzenia za pracę się wyrzekniemy!“

Po załatwieniu tych spraw czułem, że jeśli tylko dopiszą ludzie, otrzymane polecenia wykonam w terminie. Wpadłem na Akademicką 3, aby sprawdzić jak idzie zbiórka ludzi. Kpt. Trześniowskiego już nie zastałem, odszedł z kilkunastu ludźmi do Szkoły Sienkiewicza. Napływ ludzi był słaby. Zapowiedzianej młodzieży akademickiej niema. Pocieszano mnie, że dopiero jutro rano jak się „sypną, to nie damy rady“. Chętnie uwierzyłem kołegom, bo ostatecznie miałem jeszcze 24 godzin czasu przed sobą, a myślałem sobie, że z liczby około 200 legionistów, ujętych w ewidencję, na 50% można było liczyć. Ponadto miałem obiecaną młodzież; niechby z tego przyszło 200 tylko, kadra może normalnie pracować.

Jeszcze na zakończenie tego pracowitego dnia, musiałem wysłuchać utyskiwań kpt. Trześniowskiego na pomieszczenie kadry. Miał słuszość, więc cierpliwie słuchałem, przyznawałem mu rację, ale narazie nic nie mogłem uczynić, aby kadrę pomieścić w odpowiedniejszym miejscu. Ostatecznie porozumieiliśmy się: kadra zostaje w Szkole Sienkiewicza, trzeba ją najszybciej postawić na nogi, aby na czas mogła jako tako wyglądać. Uświadomiłem kpt. Trześniowskiego co do wydarzeń, w które obfitował dzień dzisiejszy, a mówiąc, porządkowałem je i oceniałem.

Wszystko, co w ciągu tego dnia zaszło, uważałem za sprawy z góry postanowione, którym nadano właściwy kierunek. A więc: Rada Regencyjna prowadzi układy polityczne z Austrią, zapada decyzja przekazania rządów na Małopolskę, R. R. tworzy

do tego celu Komisję Likwidacyjną dla przeprowadzenia likwidacji interesów austriackich i objęcia administracji kraju. Tworzy się Dowództwo wojskowe, które obejmie rozkazodawstwo nad garnizonami, administrację majątku, przeprowadzi kolejno demobilizację elementu obcego, a z Polaków utworzy kadry W. P. Służbę bezpieczeństwa pełni policja, przemundurowana na policję polską. Urzędy pracują normalnie bez przerwy. My, legjoniści, będziemy tworzyli trzon kadry wojskowej. Wszystko tedy zostało przewidziane, postanowione, wykonane będzie planowo, spokojnie z zachowaniem ciągłości życia publicznego. Gdym o tem rozmyślał, odczuwałem duże zadowolenie, że w chaosie wojny zespolenie ziem Rzeczypospolitej odbywać się będzie tak gładko, że o tem myślą, układają, planują i dbają o dobre wykonanie planu. Oczywiście nie miałem żadnych podejrzeń co do niebezpieczeństwa konfliktu narodościowego. Rozumowałem, że gdyby takie niebezpieczeństwo istniało, Rada Regencyjna zamiast ustalać termin objęcia władzy przez Komisję Likwidacyjną, nakazałaby wpierw przygotować wojsko dla zapewnienia warunków powodzenia swoich zarządzeń, albo poprostu mianowałaby gubernatora wojskowego z pełnią władzy wojskowej i politycznej. Nie miałem podejrzeń, bo tych podejrzeń nikt nie wysuwał, bo zarządzenia miały zbyt planowy charakter, aby można było wyczuwać jakiegokolwiek zastrzeżenia. Moją rolę, Komendanta Placu rozumiałem poprostu regulaminowo. Charakter organizacji legjonowej był określony: byliśmy żołnierzami Wojska Polskiego, obowiązani do posłuchu Radzie Regencyjnej i z jej rozkazu utworzonemu Dowództwu wojskowemu.

Z taką świadomością stanu rzeczy rozpocząłem prace rannem dnia 31 października. Krzątałem się głównie około wypełnienia nakazanych mi przez płk. Sikorskiego czynności i upewniłem się, że wszystko będzie na czas wykonane. Do południa kadra przyjęła około 60 legjonistów, których kpt. Trześniowski rozsyłał następnie partjami na objad do domów z tem, że o godz. 15-tej mieli stawić się z wyekwipowaniem i bronią, jaką zdobędą. Zgłoszenia oficerów były słabe, każdy bowiem miał jakieś obowiązki służbowe cywilne, które musiał regulować; na ich obecność w służbie można było liczyć dopiero 1 listopada. Przewidziałem tylko przydziały dla nich i terminy stawienia się.

Natomiast nie zgłosił się nikt z polecenia min. Głębińskiego. Młodzież szkolną tłumaczyć mogły jej zajęcia — ale dlaczego nikt z jej kierowników nie zgłosił się u mnie dla omówienia sprawy zaszerogowania młodzieży? Dowiedziałem się z trudem, że Dr. Dubanowicz kieruje organizacją młodzieży ze strony narodowej-demokracji, zamyślałem więc udać się do niego dla omówienia sprawy. Zanim to uczyniłem, zawiadomiono mnie, że Dr. Dubanowicz właśnie przyszedł. Było około godziny 17-tej. Dr. Dubanowicz wszedł w towarzystwie dwu młodych ludzi. Prawie równocześnie, któryś z kolegów zawiadomił mnie, że z miasta przyniesiono wiadomość o planowanym zamachu ze strony ruskiej. Aczkolwiek wiadomość ta nie miała cech wiarygodności, oddziaływała na mnie silnie. Jeżeli, pomyślałem, chodzą po mieście takie wieści, to trzeba w każdym razie mieć się na baczności. W plotce — jest część prawdy. To też rozmowa z Dr. Dubanowiczem wydała mi się bardzo na czasie. Rozmowę rozpoczął Dr. Dubanowicz temi mniej więcej słowami: „Dowiedziałem się, że pan zamierza rozpocząć wojnę z Rusinami. Oświadczam kategorycznie, że młodzież na prowokację walki bratobójczej nie pójdzie“. Z miejsca odpowiedziałem, że dotychczas nie powziąłem żadnego zamiaru, a tem mniej prowokacji walki bratobójczej z Rusinami; oczekiwałem na zgłoszenie się młodzieży akademickiej dlatego, że to się miało stać na mocy decyzji min. Głębińskiego, a nie mojej prywatnej inicjatywy. Przed chwilą dowiedziałem się właśnie o możliwości jakiejś burdy ruskiej, uważam, że tem bardziej należałoby szybko zaszerogować młodzież i obsadzić nią ważne obiekty, jak np. pocztę, aby uchronić je przed uszkodzeniem, że jeśli w tym kierunku cokolwiek zdecyduje, nie będzie to w żadnym wypadku prowokacją walki bratobójczej. Dr. Dubanowicz odrzekł, że występuje w porozumieniu z min. Głębińskim i może mnie zapewnić, że wiadomość o ewentualnem wystąpieniu Rusinów jest wymysłem, może prowokacją, której nie wolno ulegać, aby nie wywołać nieszczęścia i władzom polskim nie udaremnić planu działania. Młodzież w każdym razie do mnie nie napłylnie, organizuje się osobno, z upoważnienia władz polskich.

Oceńłem szybko sytuację: Dr. Dubanowicz w porozumieniu z min. Głębińskim ostrzega legionistów, aby nie ulegli pogłoskom o możliwości zamachu ruskiego i nazywa to prowo-

kacją walki bratobójczej. W ciągu 24 godzin musiały zajść jakieś ważne wypadki, jeśli minister spraw zewn. zmienia swoją decyzję, odnośnie wcielenia młodzieży w ramy organizacji legjonowej, o której wiedział, że uznana jest przez Radę Regencyjną, jako Wojsko Polskie. Czy ma się we Lwowie w przededniu objęcia władzy tworzyć dwa wojska: wojsko podlegające ministrowi wojny i wojsko podlegające rozkazom ministra spraw zewn.? Bo jeśli młodzież narodowo-demokratyczna, będzie się wojskowo organizować obok kadry Wojska Polskiego, to dla czego i w jakim celu? Czy brak zaufania do legionistów? Czy asekuracja dla planów ministra spraw zewn.? Dlaczego wczoraj nie wyszły na jaw te wątpliwości, gdy był płk. Sikorski i kpt. Drewnowski, z którymi minister konferował właśnie i na tematy wojskowe, jeśli zdecydował, iż młodzież akademicka ma być wcielona do kadry wojskowej?

W świadomości mojej odnowiły się refleksy deklaracji dobrze pojętej tęsknoty do Polski, które tak niedawno jeszcze słyszałem w rozmowie z krawcami. Tam nie było deliberacji politycznych, ani uczonego rozumowania: wszystko jedno dla nich, kto tworzy Wojsko Polskie, raduje ich sam fakt, że to „nasze wojsko“. Jakże różny jest patriotyzm mieszczanina lwowskiego, człowieka pracy, a patriotyzm polityka!

Czyż szyki nasze zaraz na wstępie muszą być splatane sporem, kto pierwszy stanie w kolumnie, a kto wtóry? O to tu chodzi, czy o rzecz samą? Dlaczego wybiera się kręte drogi, kiedy prosta jest najbliższa celu?

Cóż w tej zmienionej sytuacji wypada mi uczynić? Wiedziałem, że min. Głębiński miał prawo kierować polityką; wiedziałem to od płk. Sikorskiego i kpt. Drewnowskiego.

Wprawdzie polityka mnie nie obchodzi i na tem się nie znam, ale zarządzeniom ministra spraw zewn. przeciwstawić się nie mam prawa, przeciwnie, mam obowiązek zarządzenia jego respektować. Kto może mieć lepsze wiadomości o nastrojach Rusinów, jeśli nie minister, który niewątpliwie ma już w dyspozycji swojej policję lwowską, jeśli ona ma się jutro a więc za kilkanaście godzin przemundurować? Można wątpić w zapewnienia, że ktoś, czy coś, chce sprowokować wystąpienie orężne przeciw Rusinom i że rezultat takiej prowokacji byłby smutny? A gdyby

nawet istotnie na jakąś burdę się zanosilo, to mam prawo wątpić, że jej zlikwidowanie przerośnie siły policji i trzeba koniecznie mobilizować pospolite ruszenie?

Te i tym podobne wątpliwości mnie nurtowały, coś się we mnie burzyło i mimo wszystkie możliwe racje, odczuwałem niepokój. Mój rachunek na duże siły kadry obniżył się fatalnie. Mogę już liczyć tylko na dziesiątki, nie na setki.

Dobił mnie kpt. Trześniowski przysłaną kartką:

„Do p. kpt. Kamińskiego tu.

Mam 40 ludzi źle uzbrojonych i po kilka naboji. Czekam na posiłki i rozkazy. Jeśli nie będą wydane rozpuszczę ludzi.

Trześniowski kpt.“

Miał rację stary „Tatar“. Obiecałem mu falangi akademików, dostatnie zaprowiantowanie, koce, światło — a niczego nie dostarczyłem, bo niestety nie mogłem. Ale co to obchodzi jego, który ma 40 na karku. Kazałem mu wysłać 20 chłopców zarezerwowanych dla siebie do służby garnizonowej, dałem trochę własnej gotówki, trochę świec, polecenie postawienia ludzi w pogotowiu i zejścia do miasta na rozmowę ze mną. Musiałem z nim pomówić o zmienionej sytuacji i podtrzymać się wzajemnie w pokonywaniu kłopotów, jakie nas trapią. Równocześnie chciałem zdobyć jakieś dokładne wiadomości o tem, co się dzieje. Posłałem więc do dyr. Reinländera z zapytaniem, gdzie mamy mu przywieść czapki i prosić, aby powiedział, co sądzić o wiadomości o ruskich burdach.

W tym czasie wszedł por. Laveaux i zaczął ze mną rozmowę od powtórzenia mi pogłoski, o zamierzonym wystąpieniu Rusinów. Zapraszał na konferencję do mjr. Śniadowskiego. Rad byłem tej naradzie, bo wierzyłem, że drogą koleżeńkiego osądu wyświetlimy sytuację i solidarnie zjednoczymy wysiłki dla zapobieżenia wypadkom, jeśliby nam groziły rzeczywiście. Zabrałem ze sobą chor. Pietrzaka i we trójkę podążyliśmy do mieszkania mjr. Śniadowskiego.

Zastałem tu między znajomymi kpt. Pierackiego Bronisława, między nieznajomymi kpt. Mączyńskiego. Zagaił mjr. Śniadowski:

Rusini przygotowują zamach na Lwów, wybierzmy jednego dowódcę, aby akcja nasza miała powodzenie. Wiadomości o tem ma od por. Laveaux i on da szczegółowe wyjaśnienia. Por. Laveaux podawał nam wiadomości w sposób ogólnikowy, że P. O. W. ma swoich ludzi w K-Stelle i oddziałach austriackich, oni dostarczyli wiadomości, że Rusini opanowali oddziały, usunęli Polaków od dowodzenia i są przygotowani do wystąpienia orężnego. Jest zdania, że ich akcję trzeba ubiec przez zaskoczenie. W tym celu jest potrzebne jedno wspólne dowództwo i dowódca, któremu winne się podporządkować wszystkie oddziały polskie.

Po nim mówił kpt. Mączyński: jest kierownikiem trójzaborowej organizacji wojskowej wewnątrz armji zaborczych pod nazwą: Polskie Kadry Wojskowe. Rozporządza dużemi siłami oficerów, szeregowych i młodzieży akademickiej, ma pod swym zarządkiem austriackie magazyny uzbrojenia, jest do działania przygotowany, ale zależny od organizacji politycznej cywilnej której podlega i nie podporządkuje swoich P. K. W. nikomu, kto nie będzie miał aprobaty jego zwierzchniej władzy politycznej, która zresztą działa z upoważnienia Rady Regencyjnej. Jest przekonany, że wiadomości o zamachu są wymysłem, może prowokacją, że nie należy im wierzyć, a tem mniej ulegać, bo to może utrudnić R. R. objęcie władzy i wywołać walki bratobójcze.

W czasie tych przemówień słuchałem i rozważałem: por. Laveaux ostrzega, alarmuje zamach, ale wiadomości swoich nie argumentuje przekonująco, sił P. O. W. nie wymienia. Wiadocznie wiadomości jego o położeniu nie są dość dokładne, siły nieokreślone, więc nieduże. Kpt. Mączyński mówi z dużą pewnością, zataja siły P. K. W., ale zapewnia o ich wielkości; rozporządza bronią, organizacją polityczną, działającą z upoważnienia R. R., w zamach nie wierzy. Słowa jego przypominają mi dokładnie słowa Dr. Dubanowicza. Więc młodzież, która miała przyjść do mnie, odpłynęła do P. K. W.? Więc kpt. Mączyński otrzymał instrukcje z tej samej organizacji, co i Dr. Dubanowicz? A w takim razie zaufanie min. Głębińskiego obejmuje P. K. W., a nie legionistów? Trzeba oceniać kpt. Mączyńskiego poważnie; ma zaufanie min. Głębińskiego, polityczne oparcie w stronnictwie N. D., ma organizację wojskową znakomicie zakonspirowaną, bo o niej ani P. O. W., ani my nic nie

wiemy, ma magazyny uzbrojenia. Jego wiadomości są pewne, czerpie je ze swojej organizacji wojskowej, która w garnizonie lwowskim, jako siedzibie kierownictwa, jest niewątpliwie silna; czerpie je z organizacji politycznej, która ma hegemonję w mieście i w kraju. Jeżeli twierdzi, że Rusini nie zamierzają zamachu, to to jest prawda; jeżeli traktuje wiadomości o tym zamachu, jako próbę prowokacji, to widocznie jest pewny, że tak jest. A jeśli chodzi o stronę wojskową, to z trzech grup wojskowych, jego grupa jest najsilniejsza. Wie o tem kpt. Mączyński, odczuwa się tę jego pewność siebie w każdym jego zdaniu.

Moje oświadczenie było wobec tego krótkie: nie mam żadnych wiadomości o mającym nastąpić zamachu, rozporządzam słabymi siłami, które jeszcze zbieram i powiększam. Moje wiadomości o stanie sprawy są następujące: Komisja Likwidacyjna ma objąć władzę jutro, dnia 1 listopada we Lwowie, ministrem spraw zewn. mianowany jest prof. Głębiński, gen. Puchalski mianowany dowódcą W. P. na Galicję, płk. Sikorski, mianowany szefem sztabu, wraca dziś do Lwowa z Przemyśla, gdzie bawi na konferencji u gen. Puchalskiego. Ja, pełnię obowiązki Komentanta Placu, kadra jest w Szkole Sienkiewicza pod dowództwem kpt. Trześniowskiego. Charakter nasz jest określony: jesteśmy żołnierzami Rzeczypospolitej, mamy legalnie utworzoną hierarchję dowództwa wojskowego, obowiązują nas rozkazy jawnego dowództwa. Ja osobiście nie mam prawa oddawać dowództwa mnie powierzonego i nikomu go nie oddam, natomiast zapraszam wszystkich, aby weszli w skład W. P. a tem sprawa dowództwa będzie załatwiona.

To oświadczenie moje zawierało samą tylko prawdę i odpowiadało faktycznemu stanowi rzeczy. Motyw osobistej ambicji był tu zupełnie wykluczony. Dowództwo nad legionistami we Lwowie pełniłem na czas nieobecności płk. Sikorskiego, który zapowiedział swój powrót na dziś wieczór. Z jego powrotem dowództwo automatycznie przechodzi w jego ręce tak, jak z przyjazdem gen. Puchalskiego, ani płk. Sikorski, ani ja nie będziemy dowódcami, tylko on. Tak zresztą, jak z chwilą stabilizowania dowództwa W. P. na Galicję będzie jedna tylko organizacja wojskowa: Wojsko Polskie, które wchłonie w siebie i scementuje wszelkie grupy zakonspirowane. Sądziłem, że wolny od ambicji osobistych w rzeczach publicznych, łatwo na tej

platformie znajdę jednozgodne przekonanie wszystkich. Jeżeli bowiem kpt. Mączyński wiedział o objęciu władzy przez Komisję Likwidacyjną, wiedział również o ustanowieniu dowództwa wojskowego. Niewątpliwie wiedział o tem od min. Głębińskiego, albo od bliskich mu ludzi a swoich przyjaciół politycznych, a jeśli nie znał nazwisk dowódców wojskowych, znał je min. Głębiński; mógł u niego potwierdzić słuszność tego, co ja mu powiedziałem. Z jakich zresztą powodów mógł podejrzawać, że zmyślam nazwiska? Ponieważ zadeklarował, że jego organizacja P. K. W. działa z upoważnienia R. R., jakie racje istniały przeciw połączeniu się z kadrą legionową, która ustanowioną była decyzją legalnej władzy wojskowej? Wprawdzie aport P. K. W. w stosunku do kadry legionowej oceniałem bardzo wysoko, na podstawie oświadczenia kpt. Mączyńskiego — ale czyż to mamy witać Odrodzoną Polskę z aptekarską wagą w ręku i wywazać zaraz nasze zasługi obywatelskie? Daleki byłem od posądzania kpt. Mączyńskiego, którego zupełnie zresztą nie znałem, aby ulegał w swoim działaniu niskim pobudkom. Wychowany w ciężkich warunkach legionowych, nauczyłem się prostoty żołnierskiej i skromności. Obce nam były myśli kariery, bo na to nie było najmniejszych widoków; nikt z nas nie sięgał nigdy po wyższe dowództwo, bo ono przyjsć mogło do niego tylko i wyłącznie wtedy, jeśli na to zasługiwał. W skromności mojej żołnierskiej niezdolny byłem do przewidywania u bliźniego niskich pobudek działania w służbie idei, to też ani na chwilę nie myślałem, aby kpt. Mączyński na moje oświadczenie reagował negatywnie z pobudek osobistych. Nie miałem do tego żadnych podstaw.

Inna rzecz, gdy chodziło o por. Laveaux, który miał decydować w imieniu P. O. W. Między nami, legionistami z P. K. P., a P. O. W. tkwiło nieporozumienie na tle znanych różnic w ustosunkowaniu się do Rady Regencyjnej i Wehrmachtu o charakterze kadrowym. Sądziłem więc, że por. Laveaux nie będzie może mógł samodzielnie zdecydować o wcieleniu P. O. W. do kadry P. W., ale odwoła się do decyzji swoich przełożonych. Byłem pewny, że na terenie Małopolski obiekcje „Wehrmachtowe“ będą przez komendę P. O. W. uznane za nieaktualne wobec faktu objęcia tej dzielnicy i potrzeby utworzenia wojska i P. O. W. złączy się z nami.

Nie przewidywałem tedy istotnych trudności ani ze strony kpt. Mączyńskiego, ani też por. Laveaux, co do połączenia się w jedną organizację wojskową pod dowództwem gen. Puchałskiego jako takiego, który przez Rząd uprawniony był do tworzenia w Małopolsce wojska. Przewidywałem natomiast możliwą zwłokę w decyzji P. O. W., z uwagi na wytworzoną dla niej nową sytuację. Ale uważałem, że na to jest czas. Oświadczenie kpt. Mączyńskiego, wykluczające możliwość burdy ruskiej, traktowałem poważnie. Nikt z nas nie rozporządzał takimi środkami wywiadu jak on, mający do dyspozycji swoich ludzi w wojsku, administracji i polityce. Czas na porozumienie będzie, bo nic nas nie zmusza do pośpiechu.

Oto był tok rozumowania mego, na którym zbudowałem moje oświadczenie, które ściśle co do formy i treści powtórzyłem.

Doznałem jednak przykrego rozczarowania bezpośrednio po złożeniu mego oświadczenia. Kpt. Mączyński mierzył mnie wzrokiem, jak to zwyczajnie patrzyli na mnie austriacy oficerowie, gdy śpiewali pieśń bezgłośną: „ja jestem kapitanem — a ty tylko legionistą“, por. Laveaux dał upust swemu młodemu temperamentowi i powstał gwar, któremu mjr. Śniadowski popuścił cugli. W tym rozgwarze zwróciłem się do kpt. Pierackiego, który siedział obok i z filuternym uśmiechem pokpiwał ze wszystkiego, z zapytaniem, dlaczego P. O. W. znalazło się w rękach tego młodzieńca, znanego nam dobrze z pułku? Odpowiedział mi słowami, które na język polski tak sobie przetłumaczyłem: „dzieci, najlepiej bawią dzieci“. Z grzeczności rzucone nazwisko mjra Śniadowskiego na dowódcę spotkało się z jego sprzeciwem; ale nie słyszałem poparcia tej kandydatury ze strony kpt. Mączyńskiego. W dalszym beładzie rozmowy nie padały już nazwiska, natomiast widziałem umizgi kpt. Mączyńskiego do por. Laveaux.

Postanowiłem sprawę postawić jasno wobec P. O. W. i zapytałem wprost por. Laveaux, czy P. O. W. pójdzie ze mną? Otrzymałem odpowiedź: „nie“. Na to samo pytanie, skierowane do kpt. Pierackiego, usłyszałem: „nie mam prawa w tej materji cokolwiek mówić“. Więc sprawa była już jasna: P. O. W. z nami się nie połączy. Czy połączy się z kpt. Mączyńskim przeciw nam? Czy wystąpi samodzielnie? W każdym

razie doznałem porażki, oferta moja została odrzucona. Czyżby sam fakt ujawnienia kadry W. P. legalnie utworzonej w przededniu ogłoszenia przynależności państwowej tej ziemi, był niewystarczającym argumentem do połączenia organizacji zakonspirowanych? Przecież dążeniem wszystkich organizacji naszych była Polska i silna armja. Czy wtedy, gdy trzeba tę silną armję polską tworzyć, gdy nie wiemy jeszcze do czego Polska swej armji potrzebować będzie, na sam początek naszego działania mamy pętać sobie nogi skrupułami i animozjami politycznymi ze starego sporu rodzinnego, dotyczącego innych spraw i celów?

Rozeszliśmy się bez pozytywnego rezultatu z tem, że ponownie zbierzemy się w Domu Akademickim przy ul. Łozińskiego za 2 godziny¹⁾.

Spieszyłem do naszego lokalu, spodziewając się zastać tam płk. Sikorskiego o wiadomości od dyr. Reinländera. Zaskoczyło mnie, że płk. Sikorski, mimo wyraźną obietnicę, z Przemyśla nie wrócił. Zachodziłem w głowę, co się mogło wydarzyć. Dyr. Reinländera nie można było osiągnąć, płk. Malczewski podobno wyjechał ze Lwowa. Wszystko to razem było dla mnie niepomyślne i powiększało chaos myśli, wyniesionej z konferencji. A czekał mnie jeszcze dalszy ciąg rozmów. W biurze panował także rozgardjasz, ale nie interesowałem się tem bliżej, rozumiałem bowiem, że udzieliło się wszystkim podniecenie tak, jak i mnie.

¹⁾ Nie znam pracy płk. Mączyńskiego p. t. „Boje lwowskie“, nie czytałem też prac innych autorów na ten temat. Podobno płk. Mączyński w „Bojach Lwowskich“ zamieścił jakiś odpis protokołu z konferencji u mjr. Śniadowskiego.

Muszę tedy w tej sprawie obecnie stwierdzić ponad wszelką wątpliwość: na konferencji u mjr. Śniadowskiego nikt z obecnych protokołu nie spisywał, protokół taki nie istniał; tem samem nie był też przeze mnie, ani o ile wiem przez nikogo z uczestników podpisywany.

Gdyby w przyszłości ktokolwiek utrzymywał, że ja protokół (nie istniejący) z tej konferencji podpisywałem, musiałbym go uważać za człowieka, mającego szczególnie interes w tem, aby świadomie mijać się z prawdą.

Oczywiście stało się źle, że takiego protokołu na tej konferencji nie spisano; ale stało się jeszcze gorzej, że ukazał się protokół, którego nie było, jeszcze za życia wszystkich uczestników. Ubył wśród nas tylko śp. płk. Śniadowski. (Przyp. autora). Rzeczony protokół: Mączyński, I. c., II. 187 sq. (Przyp. red.)

Wchodzi z chor. Pietrzakiem jakiś kolejarz i wręcza mi kartkę papieru. Zły byłem na tego poczciewca, że mnie pyta o nazwisko, ale mi wyjaśnia, że nie może ważnego pisma oddać komu innemu. Rozwijam papier i poznaję pismo płk. Sikorskiego. Czytam:

„Po zbadaniu sytuacji w Przemyśle, nasuwa się potrzeba powolniejszego, o ile chodzi o oficjalne wystąpienie, działania. Rusini panują na razie w całości w przemyskiem. Polska część jest niezorganizowana. Generał Puchalski nie dysponuje siłą. Wobec tego — wystąpienie jego na zewnątrz musi ulec pewnej zwłoce.

Wobec tego należy prowadzić z całym pośpiechem i największą energią roboty organizacyjne i kadrowe — ale jak najpoufniej i jak najzręcznie. Komenda Placu niech będzie zorganizowana do soboty¹⁾. Wystąpi oficjalnie po moim powrocie...

Dalsze rozkazy wydam po powrocie z Krakowa, co nastąpi w sobotę popoł. popołudniu.

Kapitan zechce zawiadomić o powyższej dyspozycji prezydenta Stesłowicza, by oddział w kierunku b. poufnego traktowania sprawy. Proszę prezydentowi zameldować, że generał P. misję przyjął i że odnośne pismo do N. R. R. wysłał...

Na temat sprawy przemyskiej wydane będą również odpowiednie zarządzenia...

P. S. Starać się będę powrócić wcześniej t. j. w nocy autem z piątku na sobotę²⁾.

W. Sikorski“.

Zanim doszedłem do domu Akademickiego, uporządkowałem fakty: płk. Sikorski wyjechał popołudniu dnia 30/X do Przemyśla, po rozkazy do generała Puchalskiego, który nominację przyjął, ale pewnie wysunął jakieś postulaty, czy wątpliwości. Niewątpliwie płk. Sikorski ma je uzgodnić, wyjaśnić lub coś podobnego, z Komisją Likwidacyjną i w nocy wyjechał do Krakowa. Potrzeba zwłoki w działaniu zaistniała tedy w Prze-

¹⁾ t. j. 2 listopada 1918.

²⁾ t. j. 1 na 2 listopada 1918.

myślu u gen. Puchalskiego. Czy jest tylko wynikiem tego, iż gen. Puchalski „nie dysponuje siłą“? Czy też, że w przemyskim „Rusini panują w całości“? jeśli w sprawie przemyskiej wydane będą zarządzenia, to nie znaczy, aby przemyskie było opanowane militarnie. Chodzi zapewne tylko o opanowanie organizacyjne, gdyż utyskuje na niezorganizowanie Polaków. Więc to nie zbrojny zamach, bo generał Puchalski został na miejscu i czeka na wynik rozmów politycznych, aby wykonać ustalony plan. Zwłoka widocznie jest niedogodna płk. Sikorskiemu — chce się z politykami załatwić prędzej, bo po skończeniu listu pisze w PS „starać się będę wrócić wcześniej“. Centralnem zagadnieniem nie jest sprawa ruska, ale zwłoka w wykonaniu przyjętego planu i jej powody. A więc w ciągu dnia 30 października w Przemyśle nie istniało niebezpieczeństwo zamachu zbrojnego ruskiego? Czy gdyby gen. Puchalski, płk. Sikorski i kpt. Drewnowski wyczuli niebezpieczeństwo zamachu, mogliby ograniczyć się do przewidywania tylko „zarządzeń“? Czy nie zawiadomiliby o tem choćby telefonem mnie, a przede wszystkim min. Głębińskiego? Można także myśleć, że wszyscy trzej nie byli wtajemniczeni w całość sprawy, prowadzonej przez polityków, a pozory organizacyjnego opanowania przez Rusinów miasta i powiatu nie dość wyraźnie do nich mówiły. Ale 31 października rano jest już płk. Sikorski i prawdopodobnie także kpt. Drewnowski w Krakowie. Treść listu wskazuje, że pisany jest po rozmowie z jakimiś politykami, w każdym razie z ks. Czartoryskim¹⁾.

Otóż politycy — a w Krakowie w tym czasie była i Komisja Likwidacyjna i Koło Polskie i N. K. N., rano dnia 31 października nie przewidywali zamachu? A jeśli przewidywali, dlaczego płk. Sikorskiemu nic o tem nie mówili? Bo nie mówili! Płk. Sikorski pisze o sprawach dotyczących wykonania pierwotnego planu, objęcia władzy. Toż gdyby wiedział cokolwiek o zamachu, napisałby krótko: plan nasz może się nie udać; zbierać ludzi, zbroić, opanować punkta, wracam zaraz. Więc istotnie okazuje się, iż w sytuacji niema miejsca na nie-

¹⁾ Tej i innych opuszczonych tu części listu bez upoważnienia gen. Sikorskiego nie mogę cytować, a nie wiem, gdzie się obecnie znajduje, aby go o upoważnienie prosić. (Przyp. autora).

spodzianki, a kpt. Mączyński ma dobre wiadomości, że pogłoski o zamachu są wymysłem, może prowokacją. Mimo to trawił mnie niepokój: a jeśli wszyscy się mylą, jeśli fałszywie oceniają sytuację? Mam jeszcze czas i środki na zrobienie własnego wywiadu.

W Domu Akademickim, w korytarzu u wejścia, w grupie około 10—15 młodzieńców uzbrojonych w rozmaite karabiny, spotkałem por. Zygmuntowicza. Panował gwar. Obok w sali, byli już zebrani na narady. Zawiadomił nas por. Laveaux, że zmobilizował P. O. W. i stworzył fakt dokonany. Gdzie jest to P. O. W. — pytam? A tu — pełen Dom Akademicki! Wyszedłem zobaczyć mobilizację i stwierdziłem obecność około 30 ludzi. Nie więcej. Zrobiło mi się przykro.

Konferencja była dalszym ciągiem niedokończonego u mjr. Śniadowskiego bezładnego gwaru, miejscami nawet bojowych okrzyków, ale nie wносиła nic nowego prócz tego szczegółu, że kpt. Mączyński i por. Laveaux prowadzili już razem atak na mnie w kierunku ustępliwości. Czy było to formalne porozumienie P. O. W. i P. K. W., czy wstęp do tego, oznaki bowiem już były coraz bardziej widoczne niewątpliwie. Główną sprawą konferencji nie było wyjaśnienie i stwierdzenie sytuacji, ale moralna presja na mnie, abym się podporządkował rozkazom dowódcy. Nikt nie wymieniał coprawda nazwiska tego dowódcy, ale domyślałem się, że z trzech nas obecnych kierowników organizacji, honor ten miał przypaść kpt. Mączyńskiemu. Nie padło bowiem ani jedno nazwisko nowe. Natomiast sama sprawa zamachu była ciągle wątpliwa. P. O. W. twierdziło, że zamach będzie, P. K. W. zapewniały, że zamachu nie będzie. Mnie interesowała tylko sprawa zamachu, bo w sprawie wyboru wspólnego dowódcy nic więcej do powiedzenia nie miałem i zachowywałem pod tym względem kompletne milczenie. Milczałem nawet wtedy, kiedy sentyment por. Laveaux do kpt. Mączyńskiego rozżarzał się do białości i drażnił moje poczucie solidarności legionowej. Nie rozumiałem, jak można było usamodzielnic por. Laveaux do tego stopnia, aby on nie pytając nikogo ze starszych, a przynależnych do P. O. W. oficerów, mógł targać węzły braterstwa broni między dwoma grupami legionistów, których przecie łączyła wspólna idea, a różniły tylko formy służby. Pomijam wzgląd na odczucie respektu dla

legalnej władzy państwowej, bo tego mógł por. Laveaux nie rozumieć, ale spodziewałem się u por. Laveaux prymitywnego choćby poczucia solidarności legionowej. Sprawa bowiem w niczym nie była podobna do tych, które nas różniły w przeszłości. Wytworzyła się sytuacja nowa, nowe realne zagadnienie tworzenia wojska dla opanowania nowego terenu państwowego, zagadnienie, które musiało być w czasie dokonane. Mogliśmy po dokonaniu zadania toczyć spory między sobą, jak za starych czasów, ale nie czynić tego przedtem, nie rozdawać wysiłków, bo do tego nie istniały żadne poważne racje. Byłem zgnębiony tym stanem rzeczy, ale nic tu poradzić nie mogłem. Kpt. Pieracki wiedział o co chodzi, niewątpliwie porozumiewał się w tej sprawie z kim należało, ale na konferencję nie przybył. Widocznie ustalono, że do załatwienia tego zagadnienia wystarczy por. Laveaux. To też fakt łączenia się P. O. W. z P. K. W. musiałem zostawić jego naturalnemu względnie nienaturalnemu biegowi.

Konferencję zakończył kpt. Mączyński stwierdzeniem, żeśmy do porozumienia nie doszli, sytuacja nie uległa zmianie, o zamachu niema mowy: „rozchodźmy się do domu spać, jutro o 7 rano dalszy ciąg konferencji“. Rozeszliśmy się z całym zmobilizowanym P. O. W. około godz. 23.

Wstąpiłem do kpt. Trześniowskiego, który oczekiwał mnie przy ul. Akademickiej 3 i po drodze uświadamiałem go o wypadkach. Szliśmy ulicami: Akademicką, pl. Marjackim, Legionów, pl. Smolki, Mickiewicza, Leona Sapiehy do ul. Głębokiej, gdzie mieszkałem. Była noc, miasto jak wymiółł, spokój, cisza. Policji na ulicach nie zauważyłem nawet przed bramą w Dyrekcji przy ul. Mickiewicza. Nie dziwiłem się temu, owszem było mi to wygodne, mogłem swobodnie rozmawiać. Coraz bardziej musiałem przyznawać rację kpt. Mączyńskiemu: miastu nic nie grozi, wieści o zamachu są wymysłem, bo nawet policja pełni służbę niedbale.

Ustaliłem z kpt. Trześniowskim na zakończenie naszych rozmyślań nad sytuacją taką linię postępowania: kadra liczy około 60 ludzi, w ciągu dnia jutrzejszego wyciśnie się zapas do ostatka i powiększy kadrę do 100—120 ludzi ale nie więcej. Niema dla nas żadnej istotnej przyczyny poddawać się rozkazom niewiadomego dowódcy. Będziemy do ostatka wierni sobie i prze-

łożonym, jak przystało na żołnierzy. W „wyborach“ dowódcy nie jesteśmy zainteresowani. Jeżeli czynniki zewnętrzne, polityczne narzucają nam obcego człowieka, zostajemy na zajętych posterunkach, jako zwarta grupa i wykonujemy rozkazy tak, jak to legioniści najuczciwiej potrafią, aż do czasu unormowania sprawy przez naszych przełożonych. W tym duchu wydałem polecenia kpt. Trześniowskiemu, który w każdym wypadku miał ode mnie otrzymać rozkazy pisemne. Poszedłem spać i przysnąłem się — spałem dobrze.

Dnia 1 listopada o godz. 6 rano byłem w Szkole Sienkiewicza po raz pierwszy, aby zobaczyć jej pogotowie. Licho wyglądało nasze wojsko, ale u dowódcy i żołnierzy mina dobra. Zabawiłem krótko, o 6:30 opuściłem kadrę w dobrej myśli. Trudną sprawę broni załatwiłem z kpt. Trześniowskim w ten sposób, że miał on, powołując się na kpt. Mączyńskiego, „fasować“ na dworcu towarowym z wagonów, albo z magazynów. Liczyłem, że kpt. Mączyński, jako komendant tych magazynów, zapewne miał wtajemniczonych podkomendnych, albo nawet członków P. K. W. i broń można będzie otrzymać. Oczywiście nic tu o zamachu ruskim nie było słyhać. Z zamachem spotkałem się dopiero około godz. 7:20 koło Gł. Poczty, przy zbiegu ulic Kopernika i Ossolińskich.

Więc jednak Rusini zajęli miasto!

Nie zdawałem sobie sprawy co do rozmiarów tego zajęcia, ale momentalnie straciłem zaufanie do kpt. Mączyńskiego. Myślałem: przedstawił się nam jako dowódca Polskich Kadr Wojskowych, w skład których wchodziłi oficerowie i szeregowi armji austriackiej — czyżby w garnizonie lwowskim nie było nikogo z członków tej organizacji tylko on sam? Na jakiej podstawie twierdził, że wiadomości o zamachu są wymysłem, czy prowokacją i że o zamachu mowy być nie może? Mówił, że podlega organizacji politycznej — a ja się domyślałem, że to organizacja, w której prof. Głębiński ma głos decydujący — czyżby ta organizacja, mająca swoich ludzi we wszystkich urzędach i na wszystkich posterunkach politycznych, też nic nie wiedziała? To na jakiej podstawie członek tej organizacji politycznej Dr. Dubanowicz groził mi hasłem „walki bratobójczej“ i odmówił dlatego udziału młodzieży?

Czy wobec tego stanu rzeczy Polskie Kadry Wojskowe i ich organizacja polityczna są rzeczywistością — czy taktycznym pomysłem kpt. Mączyńskiego?

Czyżby wśród Polaków zorganizowanych w związki partyjne, zawodowe, w rozmaite wyższe i niższe urzędy i t. p. — wszyscy byli głusi i ślepi, że tylko jedna jedyna placówka polska P. O. W. wiedziała o zamachu? W takim razie, jak rozumieć zachowanie się urzędników Namiestnictwa — którzy musieli wiedzieć o wszystkim, cokolwiek dotyczyło polityki i bezpieczeństwa? Czyżby wszyscy wyjechali ze Lwowa, jak dowódca 15 p. p. austriackiej, którego żołnierze właśnie obsadzili pocztę? Gdzie zeszła z ulic miasta policja, której wczoraj już w nocy nie widziałem i dziś nie widzę?

Czyżby tu wszyscy — wszystkich zdradzili?

Wydobyłem z siebie ostatki wiary, rozżagwiłem i powlokłem się do roboty. Teraz zwłaszcza nie wolno upadać na duchu. Kazałem ściągnąć wszystkich ludzi i pojedynczo śłać do kadry. Zamówiłem konferencję z Dr. Hartlebem i p. Jędrzejowiczową, w sprawie zaopatrzenia kadry.

Sytuacja była dla mnie jasna: Kadra będzie walczyć, trzeba ją do walki przygotować jak najrychlej i zapewnić wszelkie warunki, aby walczyć mogła skutecznie.

Rozesłałem około 10 oficerów i szeregowych, aby docierali w znane im rejony, werbowali ochotników, głównie objęli dzielnicę Dworca Głównego i Szkoły Sienkiewicza i z pośród kolejarzy brali co się da, aby powiększać stan kadry. Kpt. Trześniowskiego zawiadomiłem kartką: „Rusini zajęli miasto; zbierać wokoło ochotników, głównie kolejarzy, szukać broni na Dworcu. Ostre pogotowie“.

Spóźniłem się na konferencję i dopiero między godz. 9—10 rano znalazłem się przed Domem Akademickim. Zastałem około 10 oficerów i kilkunastu z młodzieży. Właśnie szykowała się konferencja. Udaliśmy się do mieszkania Dr. Wekslera przy ulicy Fredry. Z nowych ludzi zastałem tam por. Świtalskiego Kazimierza. Potwierdziłem sobie wczoraj zaobserwowany fakt porozumienia P. O. W. z P. K. W. Zarówno por. Świtalski jak i por. Laveaux intymnie rozmawiali z kpt. Mączyńskim. Konferencja była swobodną rozmową na temat aktualny, zagadnienie jednego dowódcy nie było rozważane. To utwierdziło mnie

w przekonaniu, że dowódca został już „popołniony“, albo co do jego osoby doszło już do porozumienia. Rozeszliśmy się jednak formalnie bez rezultatu, nazwiska dowódcy nie ujawniono, ale wierzyłem, jest to już kwestja krótkiego czasu. Oczywiście nie interesowałem się tą sprawą, było mi zgoła obojętne, kto dowódcą zostanie, wiedziałem, że obecnie jeden dowódca musi być, a kto nim będzie i kto go mianuje, to już drobnostka.

Udałem się do siebie. Czekał mnie już goniec ze Szkoły Sienkiewicza z kartką tej treści:

„Co mam robić, jak mnie Rusini zaatakują?

Trześniowski“.

Na odwrotnej stronie tej kartki napisałem: „Strzelać“ i gońca odprowiłem.

Konferencje już nie pomogą, jeśli rzeczywistość pyta: co robić, gdy mnie ktoś zbrojnie napada — oczywiście pozostaje tu jeden argument: strzelać!

Kazałem strzelać, tem samem odwróciłem nową kartę historii tej ziemi. A uczyniłem to w dziwnym stanie depresji moralnej.

Byłem jednostką zaszeregowaną w służbie żołnierskiej, z wyrobionem poczuciem subordynacji i odpowiedzialności. Tak, jak pod tym względem stawiałem dla siebie w życiu bardzo wysokie wymagania, tak również spodziewałem się, iż wszyscy z dobrej woli pełniący służbę obywatelską tak się do niej ustosunkują. Odpowiedzialność za uczynki moje w życiu obywatelskiem i żołnierskiem, uważałem za nieodzowny warunek przydatności mojej w zespole pracy organizmu społecznego. Tego wymagałem od siebie i sądziłem, że nie inaczej myślą wszyscy zaangażowani w pracy obywatelskiej. Tem większe musiały być te wymagania, mniemałem, ile że chodzi tu o robotę państwową polską w warunkach zaborczych.

Z takimi pojęciami i z takimi zasadami myślenia znalazłem się w sytuacji, która miała dla mnie wszelkie znamiona rzeczywistości i warunki realne pracy. Jest w państwie władza suwerenna, jawny Rząd Polski, widoma władza rozkazodawcza państwowa, urzędy wprawdzie narzucone, ale zapełnione moimi ziomkami. W tym całym aparacie pracy państwowej jestem czynnikiem wypełniającym podrzędne funkcje państwowe, z ogra-

niczonym zakresem działania, jak wypadło w podziale czynności pracy mechanizmu tego aparatu.

Mam wiarę, że nad sprawnością tego mechanizmu aparatu państwowego ktoś odpowiedzialny czuwa, ktoś wyznaczył funkcje i ktoś kontroluje wykonanie. Mam wiarę, że tak jest i zaufanie, że tak jak jest, jest dobrze. Stąd, w prostej linii, idzie moja lojalność i karność jako współczynniki mojej wiary i zaufania.

A oto stoję wobec faktu, który niweczy moją wiarę w ludzi i rząd, który też oni stanowią. Zaufanie moje do odpowiedzialnej współpracy państwowej zostaje pogwałcone, bo oto okazuje się, że tej współpracy nie było.

Któż to decydował się na objęcie władzy w Małopolsce? Kto ustalał warunki czasu i powodzenia tej zasadniczej sprawy? Kto kontrolował warunki i środki wykonania? Rada Regencyjna? Rząd? Politycy? Bo ktoś tu popełnił wielki grzech, że ustalił termin objęcia władzy przez Suwerena w dzielnicy, która oto rozpoczyna krwawe harce uliczne. Któs tu bardzo zawinił, że nie przewidział, iż w czasie wojennym, na terenie narodowościowo roznamiętnionym, trzeba warunki przejęcia władzy tak ułożyć, aby konflikt zbrojny był istotnie wykluczony, a jeśli wykluczonym być nie mógł, niechby były z góry przewidziane warunki jego natychmiastowego opanowania.

Tymczasem stan jest taki: we Lwowie siedzi minister spraw zewnętrznych, w Krakowie Komisja Likwidacyjna, między Przemyślem a Krakowem Dowództwo Wojsk Polskich — a na ulicach oślepione blaskiem pożyczanego reflektora wolności, Bogu ducha winne „landszturmisty“ ruskie strzelają do przechodniów, a za chwilę jedyna grupa żołnierzy polskich, zebrana pośpiesznie w Szkole Sienkiewicza będzie musiała odstrzeliwać się napaści wroga, z którym zamierzała żyć jak z bratem.

Czy to wszystko jest wynikiem zaślepienia, braku odpowiedzialności, nieudolności, czy czyjś interesu?

Czy objęcia władzy nie mógł dokonać dnia 30 października jeden jedyny człowiek? Czyż byłby trafił między obcych — mając wszystkie urzędy pełne Polaków, a w garnizonie swoich dowódców? Toż wystarczyło wydać rozkaz zmiany najwyższego rozkazodawcy, a plakatami ogłosić ludności wskreszenie Polski, a z miejsca mielibyśmy wojsko opanowane i pełną

entuzjazmu ludność, dziesięciokrotnie w tym wypadku ważniejszą niż wojsko.

Trzebaż było czekać i zwlekać, aby w konsekwencji dopuścić do tego, że za chwilę garść legionistów rozpocznie w imieniu Rzeczypospolitej strzelać na znak protestu przeciw zamierzonemu bezprawiu?

Nie daliśmy się sprowokować do walki przeciw Rusinom, czego obawiał się Dr. Dubanowicz i kpt. Mączyński — a za chwilę sprowokują nas do walki Rusini. Wszystko jedno, jak komu się to politycznie kombinuje — walka się rozpocznie i będzie dla nas ciężka.

Rozkazałem kpt. Trześniowskiemu strzelać w pełnym poczuciu mojej odpowiedzialności, ale też w zupełnym przygnębieniu ducha.

A z tej depresji moralnej chciałem się prędko wyzwolić, bo nie był to czas na biadanie. Nic to — mówiłem sobie, że runął cały gmach na wierze mojej i zaufaniu zbudowany. Nic to, że nie umiano, czy w nieudolności swojej nie chciano przewidzieć wypadków, które oto za chwilę, w następstwie nieprzewidzianego zaskoczenia rozpoczną drugą jego, krwawą fazę. Nic to, żeśmy liczebnie słabi i nagle pozbawieni i władzy suwerennej i dowództwa, zdani na własne tylko siły i własną decyzję. Nic to, że żał nas trawi i zawód nieoczekiwany rani a niepewne jutro żołnierskiej roboty trwoży. Nic to. Żołnierska rzecz to słuchać i pełnić wolę rozkazodawcy, choćby się serce strzępiło na wióra, choćby się zwątpiło we wszystkich i wszystko. To, co się stało, obciąża odpowiedzialność polityków i Rządu, nie naszą „rzeczą ich sądzić”. To, co się stanie — obciąży naszą żołnierską odpowiedzialność i tu zaczyna się nasz obowiązek. Niema dla nas wyboru: jesteśmy żołnierzami Niepodległości Polski, jesteśmy na polskiej ziemi; mamy obowiązek bronić jej — prawo nasze wynika z naszego obowiązku. Mamy prawo na gwałt, zadany naszej ziemi, odpowiedzieć po żołniersku twardo, uczynić wszystko, aby obowiązek obrony wykonać dobrze — a zgoła nie troskać się następstwami politycznymi, bo one obciążą tych, co nas żołnierzy wtrącili w sytuację, z której jest jedno tylko wyjście: strzelać. Jeżeli politycy przepolitykowali sprawę — żołnierz korzysta tylko z prawa wypełnienia obowiązku żołnierskiego wobec Polski i wykona

go lub padnie z honorem. Sprawa już nie o politykę, ani Suwerena — ale Polskę.

Aby kadra utrzymała swą aktywną siłę, musiałem jeszcze wiele przedsięwziąć. W redakcji „Wiek Nowego“ oczekiwali mnie p. Jędrzejowiczowa, red. Laskownicki, kpt. Lewartowski i Dr. Hartleb. Uradziliśmy środki dla zaopatrzenia kadry. Pani Jędrzejowiczowa dała mi z miejsca 1000 koron na żywność i obiecała zwerbować kobiety do służby pomocniczej. W tem miejscu zaznaczam, że akcja p. Jędrzejowiczowej miała dla kadry nieocenioną wartość, sama z kilkoma niewiastami zorganizowała jeszcze wieczór dnia 1 listopada kuchnię, punkt opatrunkowy, prowianturę i t. d. Zgłosiły się do niej dnia następnego żona moja Zofja i p. Helena Sikorska, żona pułkownika, która w poczuciu potrzeby, dziecko i dom zostawiła na opiece sługi, a poszła pełnić służbę.

Ofiarność naszych Pań była bezprzykładna i dawała materialne podstawy kadrze, moralną podniętę, a obie sprawy były dla nas ważne.

Dr. Hartleb ułożył tekst odezwy, którą „Wiek Nowy“ wydrukował i zaraz swoimi gońcami rozrzucił po mieście. Krótka ta odezwa wzywała wszystkich zdolnych do broni, aby zbiegali do Szkoły Sienkiewicza walczyć przeciw napaści, a kto walczyć nie może, niech znosi broń dla walczących.

Wróciłem około godziny 2 popołudniu do biura naszego przy ul. Akademickiej i zastałem już wiadomość, że kadra odparła atak Rusinów. Broń i amunicję znosili ludzie z okolicznych domów, toż samo jadło. Kpt. Trześniowski na dworcu nie mógł „fasować“ broni, bo magazyny już rano opanowali Rusini.

Wysłałem z miejsca por. Kochanowskiego Stanisława z 1000 kor. do kpt. Trześniowskiego, aby miał na niezbędniejsze potrzeby. Por. Kochanowski szybko się sprawił, bo w dwie godziny miałem już wiadomości. Kpt. Trześniowski wyczekał atak, odparł go i zapuszcza się już patrolami w miasto, ochotnicy napływają, ale brak mu broni. Nastrój u żołnierzy doskonały. Kpt. Trześniowski czuje się jak młody bóg wojny.

A więc chwała Bogu! Przed wieczorem odnalazła mnie żona moja, która przyjechała z Krakowa i przywiozła mi wiadomości: Kraków zajął gen. Roja, ale Przemyśl Rusini; z Dworca Głównego we Lwowie ledwo przedarła się do miasta.

W ciągu popołudnia odwiedził mnie kpt. Bastyr z jednym jeszcze lotnikiem, z propozycją zajęcia lotniska; odesłałem go, aby ułożył się z kpt. Trześniowskim. Przed wieczorem miałem meldunek, że kpt. Trześniowski wystawił jedną placówkę poniżej kościoła św. Elżbiety, aby rozszerzyć swoje przedpole, zamierza sondować ulice w głąb miasta, jak daleko potrafi.

Do ranka dnia następnego interesowała mnie tylko sprawa wzmocnienia i rozszerzenia zasięgu naszej placówki bojowej w Szkole Sienkiewicza.

Nie miałem żadnych wiadomości o tem, czy się owo tak długo omawiane dowództwo narodziło, czy też nie.

Przechodząc ulicami spotykałem falangi oficerów Polaków bez bączków, z kokardkami u czapek, spacerujących tłumnie Akademicką i pl. Marjackim. Czy to są członkowie P. K. W.? W tłumie przesączali się chłopcy z kartkami wzywającymi do Szkoły Sienkiewicza, ale kartki nie wywoływały zapалу; oficerowie „w gali” nie przerywali spaceru. W pierwszym dniu, gdy Szkoła Sienkiewicza odparła pierwszy atak, na ulicach śródmieścia bili się wyrostki polskie, chłopcy z Rusinami — wielu, bardzo wielu umundurowanych Polaków... nie przerywało spaceru.

Ci mali chłopcy rozbijający na ulicach ruskich żołnierzy nauczyli mnie, że należy zdeprymowanego żołnierza ruskiego wyprowadzać z równowagi. Kazałem kilku naszym zbierać takie małe zespoły chłopców i nękać tych biedaków ruskich, aby w nich nie rosła duma, że zdobyli Lwów. Te małe „watahy” siały dużo popłochu i wyrabiały ochotników.

Postawa żołnierzy ruskich na ulicach świadczyła o dużym wewnętrznym strachu. Byli to starszyszkowie Bogu ducha winni, ulegli ze strachu swoim oficerom, to też strach zionął z nich wszystkimi porami ciała i dziurawych mundurów. Stan ten zmienił się potem dopiero.

Wiadomo mi, że do wieczora dnia 1 listopada na terenie Lwowa nie było ani jednego oddziału polskiego ustalonego w terminie, poza legionistami w Szkole Sienkiewicza. Natomiast w licznych punktach miasta samorzutnie tworzyły się grupy rozmaitego wieku i pochodzenia chłopców, wojujących na własną rękę. Starsi biegli do „wojska”, do Szkoły Sienkiewicza, młodszy wojowali na własną rękę, często z doskonałym rezultatem. Zapał

ogarnął spontanicznie młodzież i dzieci. Nie przeczuwałem, że fakt ten nada później takie znaczenie naszej akcji, że chłopcy owi staną się czemś tak wielkiem w historii Lwowa.

Gdy sumowałem wypadki dnia, uderzyły mnie inne jeszcze szczegóły. Oto magazyny uzbrojenia odpadły już rano z naszego rachunku — czy kpt. Mączyński niczem sobie nie zapewnił ich utrzymania? Przecie to był jego najsilniejszy argument: „mam magazyny uzbrojenia“ — a wiedział, iż nikt z nas takiego skarbu nie posiada. A więc klęska P. K. W. w pierwszym dniu wskutek utraty magazynów? Gdzie były kadry wojskowe, — w których punktach miasta ustalone? Czy P. K. W. nie miały wspólnego języka ze swoimi kolegami, którzy zalali ulice w niefrasobliwym usposobieniu spacerowiczów? Czy moja ocena sił P. K. W. była przesadzona, czy fałszywa? Czy też tak doskonale zakonspirowanej organizacji wojskowej jak P. K. W. nie można zdekonspirować w tak krótkim czasie? Czy kpt. Mączyński ujawni siły dopiero z chwilą wyboru na stanowisko naczelnego wodza?

Zagadnienie siły P. K. W. wyjaśniało mi się z godziny na godzinę, a ostatecznie ujawniło swoją prawdę do południa dnia 2 listopada.

Rano 2 listopada zdecydowałem się jeść śniadanie w kawiarni Szkockiej, w nadziei zdobycia jakichś wiadomości o naczelnym dowódcy. Zastałem istotnie kpt. Mączyńskiego; podchodzę, witam się, a on do mnie: „a więc mamy już naczelne dowództwo!“ — Odpowiadam: „w takim razie gratuluję“. Na to słyszę: „dziękuję“. Więc pytam: „to pan jest tym dowódcą?“ — „Tak — ja“. „Muszę wam powiedzieć“ — mówi kpt. Mączyński, — „że wydałem rozkaz aresztowania was“. Więc po cywilnemu pytam: „a za co?“ — „Bo mi utrudniacie zorganizowanie obrony, kpt. Trześniowski nie chce mnie słuchać, robi głupstwa, a ja na to nie pozwolę“. Odpowiadam tak: „nie wiem, kto was mianował dowódcą i od kiedy, wierzę, że was ktoś uprawniony do tego mianował, ale wiem to od was teraz dopiero. Wszystko, co robię ja i kpt. Trześniowski do tej chwili, obciąża moją odpowiedzialność. Jeżeli macie prawo kazać mnie aresztować — przeszkadzać wam nie będę“. W dalszym ciągu opowiedział w formie wyjaśnienia sytuacji, że dowództwo zostało sformowane w składzie: kpt. Mączyński — dowódca, por. Łapiński zastępca, por. Jakubski szef sztabu. Dowództwo owo otrzymało aprobatę

czynników politycznych, które także się przefasonowały jako Polski Komitet Narodowy i uchwaliły właśnie zawieszenie broni na dziś.

Bardzo szybko się pożegnałem. Więc zaczynamy okazywać siły P. K. W. — opartych o potężne stronnictwo polityczne, że w dniu, w którym mianujemy dowództwo obrony, prosimy o zawieszenie broni? Czy zdekonspirowanie P. K. W. musi trwać więcej niż 24 godziny? Czy zawieszenie broni jest wyrazem siły?

Rozważmy jednak fakty: kpt. Mączyński przedstawił nam swoje trzy argumenty siły:

pierwszy: wielką organizację militarną w łonie armji za-borczej, gotową do działania;

drugi: opanowane magazyny uzbrojenia;

trzeci: organizację polityczną.

Nie mieliśmy żadnych podstaw, by słowa kpt. Mączyńskiego podawać w wątpliwość. Wierzyliśmy, że przedstawione nam elementy siły jego organizacji są realne.

Jakże te trzy elementy uzewnętrzniły się w pierwszych 24 godzinach wypadków? Czy można uważać rolę P. K. W. w przed-dzień wypadków za wypełnioną? Czy zapowiedź dowódcy P. K. W. w Domu Akademickim w nocy z 31 października na 1 listopada wyrażona słowami: „idziemy spać, o 7 rano dalszy ciąg konferencji“ — była dowodem istnienia P. K. W., które czuwają i trzymają rękę na pulsie sprawy? Miasto zostało zajęte, czy P. K. W. zostały zmobilizowane? Szkoła Sienkiewicza oddała pierwsze strzały przedpołudniem dnia 1 listopada — czy P. K. W. zajęły do tego czasu teren? Rano dnia 1 listopada zastaje kpt. Trześniowski magazyny uzbrojenia obsadzone przez Rusinów — czy P. K. W. stoczyły walkę z Rusinami i uległy przemocy? Czy też ten argument siły miał tylko retoryczny charakter w ustach komendanta P. K. W.? A jeśli był elementem siły, dlaczego utracono go w pierwszych godzinach, o ile wiem, bez walki? Więc w pierwszym dniu zaskakuje nas nieobecność w działaniu dwu pierwszorzędnej wagi elementów siły: ludzi i broni. Magazyny uzbrojenia utracone trzeba zdobyć, aby posiadać, siły ludzkie P. K. W. w dniu pierwszym nie ujawniły się w działaniu.

A trzeci element siły — organizacja polityczna? Czy ujawniła swoją siłę, intuicję i spryt przewidywania, oraz świadomość

stanu sytuacji w dniach 31 października i 1 listopada? Czy objawiła swoją siłę w drugim dniu tylko przez mianowanie dowódcy i zawarcie rozejmu? Czy znane są inne jej decydujące wystąpienia? Czy wszystko to razem wzięte nie mówi: do południa dnia 2 listopada siły P. K. W. w żadnym kierunku nie zostały ujawnione, nie została utworzona żadna placówka bojowa, magazyny uzbrojenia zostały utracone, w terenie bronią się tylko legjoniści w Szkole Sienkiewicza, P. O. W. na Dworcu Głównym i w Domu Techników, pozatem organizują się dowolne, samorzutne grupki młodzieży nieletniej. Czyli do południa dnia 2 listopada dowódca obrony, kpt. Mączyński nie dysponuje żadnymi siłami: w terenie walczą, lub do walki są przygotowani, legjoniści i nieletni młodzieniaszkowie z własnego impulsu.

Więc kpt. Mączyński czy jego organizacja polityczna pragną utrzymać władzę w swoim ręku na zasadzie nie siły, a chytrości politycznej? Więc dlatego kokietuje się P. O. W., aby wygrywając pewne zaskłności natury osobisto-politycznej między płk. Sikorskim a P. O. W. — wygrać dla siebie dowództwo? Czy kpt. Mączyński jest owym przysłowiowym „trzecim“ między dwoma zwaśnionymi?

Oczywiście, gdy podsumowałem wszystkie te wypadki, sytuacja dla mnie stała się zrozumiała. Byłbym uniknął tego rozczarowania, gdybym miał był kontakt z oficerami Polakami w garnizonie, to byłbym rozpoznał właściwe siły P. K. W. i nie uległ czarowi słów.

Przyjmę zarzut, jeśli przeciwko mnie powstanie, że powinien być nie czekać na wynik debat wyborczych o dowódcę, ale zaraz 1 listopada rano, wobec faktu napadu na Lwów, wydać jako dowódca zorganizowanego oddziału, rozkaz mobilizacyjny. Przyjmę ten zarzut, bo uważam go za słuszny. Mogłem tak zrobić i tak uczynić należało. Miałem jednak poważne obawy, co do następstw takiego kroku. Nie mogłem sobie ściągać na głowę wszystkich ludzi politycznych z ich organizacją i metodami. W tej walce byłbym uległ sromotnie i naraził na szwank, jeśli nie sprawę obrony miasta, to w każdym razie legjonistów. Byłem żołnierzem, obce mi były arkana intryg politycznych, czułem się do takiej walki zupełnie niezdolny. Gdybym bowiem wszystkie siły moje wyteżył dla pracy żołnierskiej i ona mnie w całości zaabsorbowała — politycy mieliby czas tylko i wyłącznie zużyć-

kować go przeciwko mojej osobie. W normalnych warunkach żołnierskiej roboty nie byłbym się wahał ani chwili, ale w warunkach tak anormalnych miałem poważne obawy ryzyka. Jeśli tu popełniłem błąd, przyznaję się do niego.

Narazie jednak musiałem się liczyć z realnymi faktami. Potwierdziłem sobie wiadomość mianowania dowództwa i postanowiłem mu się podporządkować. Obchodząc różne punkty miasta, doszedłem około południa do Domu Techników i tu napisałem do kpt. Trześniowskiego zawiadomienie, że wobec faktu utworzenia dowództwa, ma się podporządkować jego rozkazom.

Dlaczego sam tego nie uczyniłem rano, widząc się z kpt. Mączyńskim? ¹⁾ Nie mogłem tak uczynić wobec tego, że miałem być aresztowany. Nie chciałem, aby kpt. Mączyński sądził, że poddaję jego rozkazom wojsko, aby uniknąć aresztowania.

¹⁾ Podczas pisania relacji dowiedziałem się, iż płk. Mączyński twierdził, jakoby legioniści nie chcieli się podjąć samodzielnej akcji a na dowód tego przytacza, że 2 listopada proponował mi samodzielną akcję. Niestety tego potwierdzić nie mogę. Z płk. Mączyńskim widziałem się raz tylko, 2 listopada rano, a wtedy właśnie zagroził mi aresztowaniem. Wprawdzie złośliwie można powiedzieć o zamkniętym w pace, że mu się powierza samodzielną akcję, ale nie wiem, czy tak to rozumiał Mączyński, bo to byłby doskonały dowcip. Ja nie mogłem inaczej rozumieć groźby aresztowania, jak tylko w prosty sposób, że Mączyńskiemu zależy na usunięciu mojej osoby, właśnie dlatego, że prowadziłem dotąd samodzielną akcję. Moja akcja nikomu szkodzić ani przeszkadzać nie mogła, bo w tym dniu nikt, a nawet Mączyński żadnej akcji nie prowadził. Szkoła Sienkiewicza z godziny na godzinę wypełniała się obrońcami, bo była jedynym punktem obrony ustalonym i stała się hasłem dnia. Wiedział o tem Mączyński, a jednak kazał mnie aresztować bo mu to przeszkadzało. Nie dziwię się, że Mączyński był zainteresowany w zatarciu śladów pracy legjonistów. P. K. W. zawiodły jego nadzieje a myśmy wszyscy wyczekiwali momentu ich ukazania się w akcji. Podczas gdy nasze placówki rosły i rozrastały się, o P. K. W. było głucho. Trzeba więc było usunąć starszych legjonistów, na ich miejsce dać oficerów P. K. W. — a przemalowanie szyldu gotowe. Niestety to się Mączyńskiemu jak na złość nie udało, bo nie miał kim obsadzić miejsce po legjonistach. Zresztą legioniści w dziwny sposób rośli. Usunął kpt. Trześniowskiego, a już wyrósł kpt. Pieracki, odszedł ten, wystąpił kpt. Boruta a w zapasie siedział Baczyński, Felsztyn, Zaleski — sami legioniści. Nie pamiętam, kto powiedział: „na leguna śmierci niema“, ale to się tu dziwnie splatało z wypadkami. (Przyp. autora).

Natomiast musiałem wezwać do podporządkowania się kpt. Trześniowskiego, który bez tego mógł oprzeć się wszelkim zarządzeniom kpt. Mączyńskiego albo na wiadomość o mojem aresztowaniu remonstrować w sposób szkodliwy dla sprawy. A także uczyniłem to dla innego jeszcze szczegółu, drobnego wprawdzie, ale który mi się wtedy wydał specjalnie przykry. Oto kpt. Mączyński ukazał się w ubraniu cywilnem. Jak sobie złożyłem trzy fakty razem: mianowanie go dowódcą, zawieszenie broni i cywilne ubranie, to zrobiło na mnie fatalne wrażenie. Dlaczego zrzucić mundur, który wczoraj jeszcze był dobry; czy dowódca teraz dla odmiany dekonspiruje swą organizację, a konspiruje własną osobę? Czy to jest wiara w siebie i zwycięstwo? Naturalnie nie miałem racji; wrażliwość moja psychiczna pewnie była przeczulona.

Naturalnie, sam fakt podporządkowania załogi Szkoły Sienkiewicza był dla mnie ciężki. Zawsze to przeszło 200 ludzi, którym nakazuję posłuszeństwo człowiekowi, którego kwalifikacyj bojowych nie znam, a dotychczasowy jego przydział, jako komendanta magazynów uzbrojenia, nic mi nie mówił. Wiele liczyłem na energję i kwalifikacje por. Łapińskiego i por. Jakubskiego, ale czy będą oni mogli samodzielnie działać? Czy w pewnym dogodnym momencie nie zagrozą im też aresztowaniem? Było mi ciężko dawać ludzi na niepewne koleje losu, bo ideowo byli mi bliscy, bo reprezentowali tę samą rodzinę żołnierską.

Co tylko można było dla siły załogi Szkoły Sienkiewicza uczynić, uczyniłem. W ciągu 2 listopada odesłałem z Akademickiej 3 sporo legionistów, między innymi kpt. Baczyńskiego, któremu poleciłem zastępstwo kpt. Trześniowskiego, aby ten mógł odpocząć i mieć dobrego pomocnika. Rankiem dnia 3 listopada odesłałem mjr. Zaleskiego i ppor. Hartleba i cały zresztą zapas.

Sam do południa czekałem na aresztowanie, spokojny, że wszystko, co należało w zakresie moich obowiązków uczynić, uczyniłem. Tymczasem godziny mijały, a po mnie nikt się nie zgłaszał. O wydanym rozkazie aresztowania zawiadomił mnie kpt. Mączyński wczoraj, około godz. 8 rano — teraz dnia 3 listopada zegar wskazuje już godz. 11 przedpołudniem. Mogłem posądzać dowódcę obrony Lwowa, że mnie tylko chciał przestraszyć? Ponieważ jednak nikt się nie zjawił, a w mieście nic

już do roboty nie miałem, przeto zdecydowałem się sam pójść do Komendy. Był tam kpt. Mączyński z jakimś starszym mężem brodatym. Więc poprostu zameldowałem, że wczoraj poleciłem kpt. Trześniowskiemu podporządkowanie się rozkazom dowództwa, załatwiłem wszystko, co dotyczyło zaopatrzenia załogi pod względem osobowym i materialnym, zgłaszam się tedy do dyspozycji dowództwa. Sądziłem, że usłyszę ponuro brzmiący rozkaz: „zakuć w dyby“ — a tymczasem dowódca przemawia do mnie łaskawie, że nie może mi dać przydziału w dowództwie, bo jest już obsadzone. Jeżeli więc — rzekłem sobie — chodzi nie o areszt, a o przydział, to zaryzykuję powiedzenie: życzę sobie właśnie przydziału z wykluczeniem sztabu. Nie chciałem jednak prosić o przydział do Szkoły Sienkiewicza, bo tam wolałem respektować nabyte prawa kpt. Trześniowskiego. „Więc — mówi do mnie — obejmujecie dowództwo Szkoły Konarskiego, a kpt. Kmitę odeślecie do mnie“. Ponieważ ów cywilny człowiek z brodą nie mógł przez dłuższą chwilę wystylizować mi rozkazu na piśmie, musiałem go wkońcu wyręczyć. Kpt. Mączyński przyłożył pieczęć okrągłą, podpisał i wręczył mi. Spojrzałem i przeczytałem: „Czyński“. Mam wrodzony respekt dla dokumentów służbowych, musiałem tedy z tej racji zapytać: „więc takie jest wasze nazwisko“? „Nie — takie przybrałem sobie“, odpowiedział. Ha! Trudno — myślę — co mnie to obchodzi, dla jakich celów zamiast nazwiska, używa ktoś w pewnych okolicznościach pseudonimu.

Pożegnałem się i pognałem do Szkoły Konarskiego z wielką radością w sercu. Dostałem wymarzony dla interesu służby przydział: na lewem skrzydle Szkoła Sienkiewicza i Dworzec Główny, na prawo Szkoła Magdaleny i Dom Techników. Ja w mojem centralnem położeniu mogę dużo dla tego zwartego już frontu legionowego uczynić. Tak bowiem dnia tego było, że Szkoła Sienkiewicza miała legionistów z P. K. P., Dworzec był obsadzony przez P. O. W., Szkoła Konarskiego miała część ludzi kpt. Trześniowskiego, Dom Techników ludzi z P. O. W., Szkoła Magdaleny część ludzi ode mnie i z P. O. W. Poza temi placówkami aktualnemi w tym dniu, żadnych innych placówek jeszcze nie było, a więc w dalszym ciągu P. K. W. jeszcze się nie zdekonspirowały mimo, że ich dowódca zakonspirował się podwójnie. Uważam za bardzo ważne stwierdzić fakt: Polskie

Kadry Wojskowe jeszcze popołudniu dnia 3 listopada nie ujawniły swojej siły organizacyjnej, kpt. Mączyński dysponował wyłącznie siłami legionistów i ochotników przez nich pozyskanych. W sztabie dowództwa przeważali legioniści, przyczem z P. K. W. nie było ani jednego oficera, a wyłącznie ludzie cywilni.

Ponieważ nie otrzymałem żadnych rozkazów, co dotyczyło mojej nowej służby, musiałem posługiwać się własną inicjatywą. Walki, jakie miały się we Lwowie rozwinąć, miały charakter walk ulicznych bez znamion masowości. Masa w stosunku do tych walk miała się zachować biernie, ale w tej dzielnicy dużo mieszka Rusinów, trzeba tedy na ludność polską oddziaływać podniecająco, aby jej postawa udaremniła ewentualne próby współdziałania ludności ruskiej z jej wojskiem. Zapewnienie sobie zapału ludności polskiej nie tylko ma dać ten rezultat, ale również przeświadczenie, że obrona miasta to nie tylko rzecz ochotników lecz przedewszystkiem sprawa ogólna, ich sprawa. Z takiego przeświadczenia ludności można liczyć także na liczniejszy napływ ochotników do walki bezpośredniej, na zapewnienie sobie bezpieczeństwa i pomocy, co w walkach ulicznych ma duże znaczenie. Rozumiałem więc, że teren objęty naszym działaniem to nie tylko wojsko, ale i ludność, o którą trzeba dbać jak o żołnierzy, bo jest równie jak żołnierze jednym z czynników naszego zwycięstwa. Stąd wynikła dla mnie potrzeba zapewnienia narówni z wojskiem także i ludności środków do życia. Miasto bowiem było odcięte od normalnych dostaw żywności. Położyłem więc mocno rękę na zapasach dworca towarowego, ukróciłem plądrowanie i przez specjalną placówkę, którą prowadził ppor. Piątkowski, zachowałem cały zapas dworca towarowego na potrzeby wojska i ludności. Echo tej akcji zawiera pismo K. B. K.¹⁾ Jeśli chodzi o żywienie ludności, to trzeba zaznaczyć, iż około 15 listopada ludności tak dalece brakło żywności, że ks. Metropolita Szeptycki zwrócił się do

¹⁾ „Lwowska Delegacja Książęco-Biskupiego Komitetu we Lwowie ul. Zygmuntowska 4.

J. W. P. kpt. Kamiński we Lwowie.

W imieniu naszej instytucji i pozostających w naszej opiece sierot, dzieci i biedaków, pospieszamy złożyć JWP. Kapitanowi najgorętsze podziękowanie za tak żywe odczucie niedoli ludności cywilnej, za wydatną

nas z prośbą o żywność. Dostarczyliśmy mu (pchor. Krogulski)¹⁾ pod tym względem nie robiliśmy różnicy, czy głodny jest Polak, czy Rusin. W zakresie moralnego oddziaływania, to zaraz po objęciu dowództwa odnalazłem red. Walicką i red. Schroedera, którzy założyli „Placówkę” i pisali w niej wszystko, co trzeba było pisać, aby w ludności i walczących utrzymać i rozszerzać zapał.

Równocześnie z tem rozbudowałem, nawet ponad miarę własnych potrzeb, zakłady gospodarcze i urządzenia. Więc żona moja zesła ze Szkoły Sienkiewicza, zorganizowała i kierowała służbą pomocniczą żeńską, która objęła służbę sanitarną na froncie w ilości kilkunastu patroli i na punkcie opatrunkowym (Dr. Adamczewski) pod kierownictwem p. Halki Paliwodzianki; kuchnia stała dla ludności cywilnej i 4 kuchnie polowe dowoziły do najdalszych placówek trzy razy dziennie jadło pod kierunkiem p. Włodkównej, Novyównej, Berdowskiej; intendturę z warsztatami i magazynami prowadził ob. Rembacz i p. Górską; żywność ppor. Machalski, p. H. Górską; magazyny broni i warsztaty por. Weryński i ob. Gostyński; oddziały uzupełniające kpt. Rożen, pchor. Krogulski. Zapewniając sobie podstawy materialne nie czyniłem tego z myślą o swoim odcinku, ale o całości frontu; nie zauważyłem bowiem, aby kto poza mną w tym czasie temi sprawami się interesował, a gdy to zainteresowanie ze strony dowództwa zaistniało, ja już miałem kompletnie zorganizowany aparat, którym się też chętnie posługiwano.

Ważna część bojowa była do rozwiązania na drodze ciągłego zasilania frontu nowym napływem ochotników, dowódcy poszczególnych sektorów byli bowiem na wysokości zadania.

pomoc, z jaką JWP. Kapitan spieszył jej w czasie inwazji ukraińskiej i za tyle dowodów życzliwości okazywanej obecnie naszemu Komitetowi.

Pozwalamy sobie wyrazić nadzieję, że JWPan Kapitan raczy i nadal odnosić się do naszej akcji ratunkowej z taką samą, jak dotąd życzliwością i w ten sposób przyczynić się wydatnie do ulżenia nędzy panującej wśród ludności cywilnej naszego miasta i okolicy.

Z głębokiem poważaniem, Prezydum: † Józef Bilczewski w. r. Sekretarz: Werschler w. r., Ks. Dr. Zajchowski w. r., Piniński w. r., Dr. Władysław Godlewski w. r., Ign. Drexler w. r.“ (Przyp. aut.)

¹⁾ Odbiór potwierdził Ks. biskup Bocian, kwit w aktach Komendy. (Przyp. aut.)

Uzupełnienie wyszło także poza ramy mego odcinka. Kpt. Rozeń i mjr. Śniadowski przyszli do mnie około 6 listopada pełni gorczy i żalu, że im nie dał kpt. Mączyński przydziału. Wskazałem im samodzielną drogę inicjatywy i kpt. Rozeń zajął się z miejsca formowaniem oddziałów uzupełniających (niestety zaraz zachorował i do końca nie podniósł się z łóżka), a mjr. Śniadowski z braćmi Filipowiczami rozpoczął organizację artylerji. Ciągłość mego kontaktu z poszczególnymi odcinkami i sektorami sąsiednimi dawała pożyteczne rezultaty, bowiem dwukrotne zawieszenie broni (2 i 6 listopada) oddziaływało na walczących deprymująco i trzeba było dużo siły woli, aby szlachetny zapał nie spalił się w fałszywym kierunku, a wojsko, aby nie zaczęło prowadzić walki na własną rękę.

Miałem dużo ciężkiej pracy, w której nie interesowały mnie ani intrygi w łonie samej Komendy, które miały przybrać ze strony P. O. W. formę „zamachu stanu“, ani fatalny wpływ polityków na bieg rzeczy. Jeszcze dnia 5 listopada zanotowałem brak w akcji P. K. W. Rozkaz Naczelnej Komendy z dnia 5 listopada ustala następujące odcinki:

- I Dom Techników,
- II Szkoła M. Magdaleny,
- III „ Konarskiego,
- IV Dworzec,
- V Szkoła Sienkiewicza.

Rozkaz ten wyraźnie stwierdza, iż w piątym dniu obrony istniało pięć odcinków bojowych, ale ani jednym z nich nie dowodził oficer z P. K. W., ani w jednym z nich nie było żołnierzy z P. K. W.

Czy Polskie Kadry Wojskowe do końca piątego dnia obrony jeszcze nie mogły się zdekonspirować?

W którym więc dniu obrony mają się zdekonspirować i rozpocząć obronę Lwowa wedle planu ich komendanta? Czy może P. K. W. pozostały w części miasta zajętej przez Rusinów i dokonają wielkiego planu walki dywersyjnej?

Fatalne odruchy Polskiego Komitetu Narodowego i kpt. Mączyńskiego w szukaniu rozwiązania sytuacji lwowskiej na drodze układów i porozumienia z przeciwnikiem i w związku z tem urządzone zawieszenia broni, w wysokim stopniu deprymująco oddziaływały na walczących i dezorjentowały ludność,

a nas, legionistów napawały obawą. Wytwarzało to dla kpt. Mączyńskiego nad wyraz niemiłą opinię wśród walczących i podrywało zgoła jeszcze nieustalony autorytet jego osoby, jako dowódcy. W poczuciu obowiązku lojalności tłumaczyłem kpt. Mączyńskiego trudnością położenia, jakie wytworzyło się z przyczyny podległości jego organizacji politycznej. A w tym względzie podkreślałem jego szczerość; zadeklarował przecie jasno, że podlega rozkazom władzy politycznej, więc nie sprawił nam niespodzianki. Cóż ma robić, jeśli jego władza polityczna, a zwierzchnia zarazem, chce zawrzeć rozejm? Musi się na to zgodzić. Gdyby jeszcze były mu dopisały P. K. W., czułby się wojskowo silniejszy i może poczułby wolę do emancypowania się z pod wpływów polityków.

Szczerze współczułem z kpt. Mączyńskim, że znalazł się w tak trudnej dla siebie sytuacji i dlatego zwalczałem myśl usunięcia go z dowództwa drogą wewnętrznego zamachu, bo to sprawie obrony mogło być wielce szkodliwe. Martwiło mnie jednak, że parę dni początkowych obrony dało tyle niebezpiecznych myśli, które aczkolwiek w interesie obrony poczynane, mogły snadnie osłabić nasze działanie. Czy kpt. Mączyński wiedział o nurtujących prądach tak dla niego niekorzystnych — nie wiem. Uderzał mnie jednak jego brak inicjatywy w kierowaniu akcją, która była nieskoordynowana i opierała się na inicjatywie dowódców odcinków i sektorów. Bierność dowódcy oddziaływała w pierwszym rzędzie na jego sztab, to też por. Łapiński chodził smutny, nie dlatego, że zaraz w pierwszych dniach kpt. Mączyński złamał umowę z P. O. W. i dał mu stanowisko szefa sztabu zamiast zastępcy dowódcy. Por. Łapiński nie był zwolennikiem „zamachu“, ale wspólnie ze mną utwierdzał ludzi w przekonaniu, że jeśli nie można inaczej, trzeba, aby każdy odcinek w sobie był silny, dowódcy świadomi zadania, a żołnierze pełni zapału.

Rozważywszy wszystkie te smutne objawy zdwoiłem starania nawiązania kontaktu z gen. Puchalskim i płk. Sikorskim. Nie mogłem się z nimi w żaden sposób skomunikować, mimo wykorzystania wszystkich możliwych, choć w tym czasie bardzo już ograniczonych środków. Rozumiałem aż nadto dobrze, że paradoksalny stan rzeczy, jaki zaistniał przez podporządkowanie kierownictwa obrony czynnikom politycznym, może dzieło obrony

zniweczyć. Obawiałem się, że w zajęтым przez Rusinów śródmieściu, prócz polityków obecnie kierujących sprawami, wytworzyć się może ugrupowanie głodnych, którzy z pobudek żołądka zapragną pokoju „za każdą cenę“, albo ugrupowanie właścicieli kamienic, którzy z uwagi na zniszczenie swoich wartościowych obiektów zapragną takich, czy innych układów. A precedens umowy i układów był już uczyniony — łatwo też można było przekonać ludzi, że zawarcia pokoju z Rusinami dokonano wskutek naporu nędzarzy i biedaków. Obawiałem się tego, bo wiedziałem, że słabość jest rzeczą ludzką, a długa wojna dostatecznie siły moralne ludzi zużyła. Jakie byłoby położenie nasze, żołnierzy, zwłaszcza legionistów, na wypadek zawarcia takiego pokoju, nie trudno się domyśleć, a nawet tu i tam od polityków dawało się słyszeć: „właściwie zaczęli strzelać legioniści, ale nie zostawimy ich na łaskę Rusinów, bo zapewnimy im wyjście honorowe z bronią w rękę“. Nie wiedzieli ludkowie, że taki pokój i honorowe wyjście z bronią byłyby dla legionistów, a może i dla polityków, wyrokiem śmierci. W psychice legionistów kapitulacja była pojęciem nieznanem.

Jeśli więc nie można było liczyć na akcję polityków w kierunku wywołania powszechnego zapału ludności do obrony miasta, przeciwnie były oznaki osłabienia zapału, jeśli ze strony dowództwa obrony była bierność i chwiejność decyzji w zmontowaniu sił obrony aktywnej — można się było wszystkiego spodziewać.

Żołnierze dążyli do zwycięstwa — politycy do pokoju, oto zasadnicza różnica celów między śródmieściem miasta, gdzie siedzieli politycy, a peryferjami zajętemi przez żołnierzy polskich.

W tem położeniu widziałem dla nas zadanie stanowczej obrony, dla gen. Puchalskiego i płk. Sikorskiego zadanie zasilenia naszych sił oddziałami z zewnątrz. Zaraz tedy 3 listopada, obu ich zawiadomiłem o położeniu i prosiłem o przyjazd.

Nie otrzymałem żadnej wiadomości. 5 listopada wysłałem meldunek podobnej treści i znowu milczenie. 6 listopada wysłałem żądanie odmienne: prosiłem o przyjazd ale z posiłkami, które uważałem za niezbędne. 7 listopada popołudniu otrzymałem ustne wiadomości, że płk. Sikorski wybiera się do Lwowa, ale nie może określić czasu, natomiast przygotowuje posiłki za tydzień. Uspokoilem się, wiedziałem bowiem, że nadzieja odsieczy

podniesie nie tylko nastrój wojska i ludności ale i polityków zmityguje w zapale przygotowania nam pokoju „z honorami“. Oczywiście wiadomość o posiłkach puściłem w kurs.

Dopiero 10 listopada przybył płk. Sikorski samolotem, zmieniony nie do poznania, bez wąsów z krótko ostrzyżonymi włosami. Opowiedział mi swoje perypetje. Wyjechał z Krakowa 1 listopada i w Przemyśle wpadł w ręce żołnierzy ruskich. Uratowali go z opresji kolejarze, ukryli w warsztatach, przebrali w mundur kolejarza, zamówili samochód i w nocy, we dwu wywieźli z Przemyśla w kierunku Lwowa. Już za miastem samochód trafił na przypadkowy jakiś patrol ruski, który całą wyprawę zatrzymał. Obaj dzielni kolejarze osłoniли ucieczkę płk. Sikorskiego, biorąc na siebie „zagadanie“ patrolu a tymczasem płk. Sikorski zbiegł ku miastu. Korzystał w mieście z życzliwości przygodnych ludzi, a zdając sobie sprawę z zaszłych wypadków szukał sposobu dotarcia do Krakowa, aby tam szukać pomocy dla Przemyśla i Lwowa. Oczywiście moich meldunków nie otrzymał, ale beze mnie wiedział, że nasza obrona wymaga posiłków. Z posiłkami było dużo jeszcze kłopotów. Kraków sam miał wiele kłopotów z uporządkowaniem swej organizacji i spraw. O posiłkach z Warszawy nie można myśleć, tam raczej należałoby je posyłać. Mimo istniejące trudności Kraków posiłki wysłał.

Zorjentowałem płk. Sikorskiego w sytuacji i przyznał mi że moje zapatrywanie, aby on zajął się zebraniem w Krakowie posiłków dla Lwowa jest dla sprawy o wiele ważniejsze, jak gdyby został we Lwowie i dowodził obroną. Przyznał mi rację, ale obchodził odcinki i samodzielnie badał sytuację.

Wrócił i oświadczył: „tak, należy jak najszybciej dać wam posiłki, u waszego wodza mina rzadka, ale odcinki mocne“. W trakcie rozmowy uwiadomił mnie, że kpt. Mączyński oświadczył gotowość złożenia dowództwa w jego ręce. Płk. Sikorski odmówił przyjęcia dowództwa, gdyż uważał, że najważniejszą sprawą jest kwestja zdobycia posiłków dla obrony, która ma jeszcze warunki na wytrwanie do czasu nadejścia posiłków, ale niema sił na wywalczenie zwycięstwa.

Decyzja płk. Sikorskiego była trafna. Bo oto jak się układały stosunki. W pierwszych pięciu dniach obrony wojsko ruskie przechodziło niebezpieczny okres dzikiej demobilizacji, polegającej

jącej na tem, że żołnierze wychodzili z koszar do służby, wsiąkali w miasto i szukali okazji powrotu do domu. Był czas dogodny, aby ten kłopot dowództwa ruskiego wykorzystać. W dalszych pięciu dniach, dowództwo ruskie ściągało na gwałt posiłki z garnizonów wschodnich, aby ratować sytuację we Lwowie, która była dla nich groźna. Załoga nie tylko stale topniała, szeregi się przerzedzały, ale wraz z tem rosła chęć porzucenia wojaczki, do której te chłopcy nie miały najmniejszej ochoty, której się bali, wierząc, że „z panamy ne wyhrajesz”. Dopiero między 10—15 listopada Rusini uratowali sytuację Siczowymi Strzelcami. Tego momentu nie wykorzystaliśmy również. Nie uczyniliśmy nic, aby upadek ducha w szeregach ruskich pogłębić i wykorzystać, nie uczyniliśmy nic, aby przeszkodzić w wywagowaniu posiłków. A jeśli w tym kierunku wykazaliśmy bierność, to czy w stosunku do własnego społeczeństwa zastosowaliśmy jakiegokolwiek metody mające na celu rozbudzenie świadomości, że obrona Lwowa, to sprawa ogółu, a nie żołnierzy tylko? Twierdzę, żeśmy raczej popełnili fatalny błąd, nie wykorzystując chwil sprzyjających, aby obronę ulic i punktów zdać na mieszkańców, a żołnierzy rzucić naprzód. Stać nas było tylko na utworzenie komisji poborowej, która zabiła ambicję ochotniczego zgłaszania się, a stworzyła odrazu usprawiedliwienie dla wszystkich tchórzów: „Komisja mnie nie przyjęła — choć bardzo chciałem walczyć”. Stać nas było na utworzenie Miejskiej Straży Obywatelskiej, instytucji, która w okresie obrony odciągnęła nam wielu obrońców na rzecz mało ważnej służby bezpieczeństwa. Ale nie stać nas było na energję działania, na ciągłość akcji, na współdziałanie odcinków, na wolę zwycięstwa.

Przy bierności dowództwa, aktywność odcinków odnosić mogła i odnosiła sukcesy lokalne, ale więcej od nich oczekiwać nie było można. Wszyscy czekali na działanie dowódcy, ale wszyscy z dnia na dzień doznawali rozczarowania.

Dopiero zapowiedź przyjscia posiłków podniosła ducha, pobudziła czynność i ambicje.

Jeśli chodzi o wolę zwycięstwa i ambicje żołnierskie, to działa się tu rzecz godna zanotowania. Dowodziłem w czasie wojny młodymi żołnierzami, znałem skalę ich ambicji żołnierskiej i wolę zwyciężania, ale podobnego zapału i bohaterskiego nastroju, jaki obserwowałem w pierwszych a także w następnych

dniach walk lwowskich u młodzieży, zwłaszcza szkolnej, nie poznałem przedtem, a potem widziałem je tylko u żołnierzy naszych nad Wisłą w r. 1920, w dniu rozpoczynającym Wielkie Zwycięstwo Polskie. To też jeżeli uważam za potrzebne dać w tem miejscu świadectwo prawdzie, to poto, aby było zrozumiałe wszystkim, którzy pisać będą historję tych wypadków, że:

młodzież lwowska własnym impetem od pierwszych dni listopada szła ochoczo w szeregi legjonistów;

walczyła mężnie i bohatersko, nie szukając uznania, ani pochwał, mając sobie za zaszczyt, że o Polskę walczyć może;

chłopcy w wieku poniżej lat 15 płakali, gdy ich do walki dopuścić nie chciano, kłamali potem liczbę lat, a zrezygnowani, na własną rękę wojowali na przedpolach i ginęli jak rycerze;

młodzież miała największą wolę zwycięstwa i ofiarnie wypełniała służbę jak sakrament.

To też, gdy mnie dochodzi odgłos dyskusji na temat zasług z powodu obrony Lwowa, nie mogę zrozumieć tych, co starają się zasługi obrony Lwowa rozparcelować między jednostki, gdy zdaniem mojem może tu być mowa tylko o zasługach grup młodzieży.

Uważam tedy za akt sprawiedliwości w stosunku do istotnie zasłużonych obrońców Lwowa stwierdzić, że:

legjoniści zebrani w Szkole Sienkiewicza pierwsi rozpoczęli walkę o Lwów i byli jedynym oddziałem polskim, zorganizowanym i do odparcia ataków ruskich przygotowanym;

legjoniści z P. O. W. pierwsi o zamachu na Lwów ostrzegali, a potem wspólnie z legjonistami z P. K. P. organizowali dalsze ogniska walki: Szkołę Konarskiego, Marji Magdaleny, Dworzec Główny i Politechnikę;

włącznie do 10 listopada¹⁾ Dowództwo, kpt. Mączyński, opierał się wyłącznie o zorganizowane siły legjonistów i młodzieży lwowskiej, która się z nimi samowolnie, dobrowolnie,

¹⁾ Naturalnie, po 10 listopada sytuacja pod tym względem nie uległa zmianie na korzyść P. K. W., ani kpt. Mączyńskiego, cały wysiłek odsieczy nie może być rejestrowany na korzyść kpt. Mączyńskiego. Stwierdzam tu stan rzeczy do 10 listopada, bo tylko taki rozmiar czasu obejmuje moja relacja. (Przyp. aut.)

bez jakichkolwiek zastrzeżeń połączyła i wspólnie z zapalem walczyła;

legioniści przez cały czas obrony z całym poświęceniem się zachowali lojalność w stosunku do kpt. Mączyńskiego, jako dowódcy, mimo, iż P. K. W. nie wzięły udziału w obronie Lwowa, a podporządkowanie kierownictwa obrony politykom ustawicznie groziło wielkiem niebezpieczeństwem samemu dziełu obrony;

legioniści przez cały czas obrony nigdy i nigdzie zasług swoich nie wysuwali, o nich nie mówili, ani się niemi nie chępi, ale starali się obowiązek swój żołnierski wykonać chlubnie, stając się zarazem instruktorami i dowódcami młodzieży z techniką walki nie obznajomionej;

legioniści już 10 listopada wiadomością organizowania odsieczy dla Lwowa podnieśli ducha obrońców, natchnęli wiarą ludność, uchronili polityków i ludzi słabej woli od zawierania pokoju, który mógł ich i niewinnych okryć sromem.

Odsiecz Lwowa to też legioniści, nie trójzaborowe P. K. W., którzy skromnie stanęli do krwawej pracy żołnierskiej, nie z hasłem przynależności ideowej, czy organizacyjnej, ale ramię w ramię z młodzieżą lwowską o Polskę walczyli i polskość Lwowa i dla jego chwały zasłali pobojowiska i pospołu z młodzieżą zalegli Cmentarz Obrońców Lwowa.

Dziwi was może, że los wybrał pobojowisko lwowskie jako najbardziej godne czci?

Dziwi was może, że matka poległego obrońcy Lwowa p. Jadwiga Zarugiewiczowa, z grobów trzech Nieznanych Obrońców, wybrała także legionistę¹⁾, który jako Nieznany

¹⁾ Byłem członkiem Komisji ekshumacyjnej, która poszukiwała zwłok Nieznanego Żołnierza. Zawartość trumny widziałem i zgodnie ze wszystkimi obecnymi stwierdziłem, że umundurowanie znalezione w trumnie mogło należeć tylko do legionisty — nikt inny bowiem w tym czasie nie nosił jeszcze takich mundurów. Zostało to zresztą stwierdzone w protokole ekshumacyjnym (odpis znajduje się w moim posiadaniu) następującymi (w skróceniu) słowami: „...II Umundurowanie.

1) Czapka, maciejówka z orzełkiem polskim — legionowym, leżąca w nogach zwłok.

2) Pełne umundurowanie żołnierskie — zimowe — składające się:

Żołnierz Polski spoczął w stolicy i odbiera zasłużone hołdy
Narodu całego?

a) z płaszcza żołnierskiego, koloru zielonego, z guzikami metalo-
wymi z orłem polskim. (Stwierdzono guzik taki na lewym na-
ramienniku).

b) z bluzki o kołnierzu wykładanym, kieszeniami prostokątnymi,
z klapą u spodu równą, nie wycinaną“.

Na podstawie także tych danych Komisja stwierdziła:

„...iż zwłoki Nieznanego Żołnierza są zwłokami żołnierza polskiego,
pochodzącego prawdopodobnie z formacji legionowych“.

To „prawdopodobnie“ było wynikiem pewnych nastrojów politycznych,
jakie w tym czasie nurtowały, a które część członków Komisji reprezento-
wała. Jest faktem jednak niezbitym, że Nieznany Żołnierz był przez nas
rozeznanym, jako legionista. (Przyp. aut.)

Pik dypl.

LUDWIK DE LAVEAUX

ROLA P. O. W. W PRZYGOTOWANIU OBRONY LWOWA I ROKOWANIA POLSKO-UKRAIŃSKIE

Wieloletni kierownik Wydziału Kultury i Sztuki w Urzędzie Miasta Krakowa, pisał w 1914 roku w „Przeglądzie Literackim” o roli P. O. W. w przygotowaniu obrony Lwowa.

Wieloletni kierownik Wydziału Kultury i Sztuki w Urzędzie Miasta Krakowa, pisał w 1914 roku w „Przeglądzie Literackim” o roli P. O. W. w przygotowaniu obrony Lwowa.

Wieloletni kierownik Wydziału Kultury i Sztuki w Urzędzie Miasta Krakowa, pisał w 1914 roku w „Przeglądzie Literackim” o roli P. O. W. w przygotowaniu obrony Lwowa.

Wieloletni kierownik Wydziału Kultury i Sztuki w Urzędzie Miasta Krakowa, pisał w 1914 roku w „Przeglądzie Literackim” o roli P. O. W. w przygotowaniu obrony Lwowa.

W lecie 1918 r., będąc na posadzie w biurze Odbudowy, prowadziłem jednocześnie pracę organizacyjną w szeregach P. O. W. na Podkarpaciu. W lipcu aresztowany zostałem w Drohobyczu przez żandarmerję austriacką. Udało mi się jednak zmylić jej czujność i uciec do Krakowa, gdzie zameldowałem się w K. N. 2 (Kmdt. Bończa-Uzdowski, szef szt. Więckowski Mieczysław).

Po wakacjach otrzymałem rozkaz objęcia Komendy Okręgu P. O. W. we Lwowie. W pierwszych dniach października 1918 r. zapisałem się na Politechnikę lwowską i rozpocząłem pracę organizacyjną, przyczem byłem zaopatrzony w „porządnie” przygotowane papiery osobiste na nazwisko Machelskiego.

Poprzedniego komendanta Okręgu we Lwowie już nie było, wobec czego komendę objąłem od szefa sztabu okręgu, ob. Joniaka. Stan organizacji zastałem zły, był to raczej stan dezorganizacji, do pewnego stopnia usprawiedliwionej zastojem wakacyjnym. Dodatnio wyróżniały się tylko oddziały studenckie i organizacja kobieca, w których znalazłem pracę na wysokim poziomie i znaczną gotowość bojową. Wydatnio funkcjonował także „skarb” pod kierownictwem prof. Anczyca, którego zadaniem było gromadzenie funduszków na cele organizacyjne. Pieniądzy wystarczyło, ponieważ nie płacono nikomu stałych poborów i pokrywano co najwyżej koszty wyjazdów.

W październiku organizacja weszła w nową, znacznie ożywioną fazę rozwoju. Utworzony został oddział techniczny i oddział bojowy, zaczęto również rozwijać energiczną akcję w środowiskach, w których pragnęliśmy utrwalić swe wpływy na wypadek wystąpienia czynnego.

We Lwowie zastałem także zbliżoną ideowo do P. O. W. organizację „Wolność“, zrzeszającą oficerów Polaków armji austriackiej. Nie była to organizacja masowa, miała jednak poważne znaczenie dzięki temu, że posiadała ludzi wtajemniczonych we wszystkie komórki austriackiego aparatu wojskowego we Lwowie. Działalność „Wolności“ była w tym czasie nieco przytłumiona na skutek aresztowań, których w jej szeregach dokonywały władze austriackie. Komendę pełnił zastępczo chor. Kron Aleksander. Ponieważ pomiędzy P. O. W. i „Wolnością“ nie istniały żadne różnice ideowe, udało mi się przeprowadzić połączenie obydwu organizacyj, z tem, że chor. Kron został moim zastępcą. Połączenie to wzmocniło wydatnie nasze siły, ponieważ dzięki oficerom członkom „Wolności“, pełniącym służbę w magazynach austriackich, mogliśmy liczyć na zapasy broni. Za pośrednictwem członków „Wolności“ uzyskaliśmy także cenne wiadomości o zarządzeniach władz austriackich, zmianach w dyslokacji oddziałów wojskowych, ściąganiu pułków z przewagą żywiołu ukraińskiego i t. p.

Z organizacją Polskich Kadr Wojskowych nie zetknąłem się w ciągu października zupełnie, zaledwie słyszałem, że istnieje. Miałem zato kontakt z grupą legionistów, pozostającą pod wpływami płk. Władysława Sikorskiego i kpt. Kamińskiego, a przez nich — Rady Regencyjnej. Pomiedzy P. O. W. oraz b. legionistami z I i II brygady, oddanymi wiernie ideologii Komendanta Piłsudskiego, a grupą płk. Sikorskiego, nazywającą się „Wojskiem Polskiem“, istniały wówczas stosunki wrogie. Najgłębszą przyczyną rozdźwięków w październiku było wysyłanie przez płk. Sikorskiego zaciągniętych do „Wojska Polskiego“ b. legionistów do Warszawy, podczas gdy my, przewidując nieuniknioną rozgrywkę o Lwów, żądaliśmy zatrzymania elementów bojowych na miejscu.

Poza usprawnianiem węzłów organizacyjnych, zająłem się pilnie sprawą zapewnienia do naszej dyspozycji istniejących we Lwowie składów broni. Do ovladnięcia niemi, oprócz członków organizacji „Wolność“, miały nam pomóc specjalnie stworzone w ramach P. O. W. „oddziały kolejowe“.

W wyniku wytężonej pracy, dokonanej przez organizację w ciągu października, mieliśmy pod koniec tego miesiąca, przed samem rozpoczęciem walki, szeroko rozgałęzione możliwości

działania. Zorganizowane były: oddział kobiecy z ob. Bujwidówną, oddział studencki, ujęty w regularne związki wojskowe, oddział pocztowy z ob. Herbertówną i inż. Kozłowskim na czele, oddział ogólny z organizacją bojową, oddział techniczny, kolejowy i wreszcie oddziały w Rzęśnie Polskiej i w Dublanach (por. Ajdukiewicz). Wyliczenie to nie obejmuje całego okręgu, a tylko miasto Lwów. Zastanawiając się nad siłami, które mógłbym wyprowadzić do walki, obliczałem je w tym czasie na 600—700 ludzi. Okazało się później, że rachuby moje były raczej skromne. P. O. W. miała bowiem bardzo rozległą sferę wpływów, rozciągającą się na teren akademicki w jednym, a na związki kolejarzy w drugim kierunku.

Broni nie posiadaliśmy wprawdzie wiele, mogliśmy jednak liczyć na składy broni austriackiej, będące pod obserwacją naszych ludzi.

Pod koniec października atmosfera zaczęła gęstnieć, oczekiwaliśmy wybuchu niezwykłych wydarzeń. Utwierdzały nas w tym przekonaniu wiadomości, zebrane za pośrednictwem naszego własnego wywiadu. Przez ob. Kubina miałem kontakt z oficerem austriackiej K-Stelle, który udzielał nam wszelkich, dostępnych mu wiadomości. Z zestawienia ich wynikało jasno, że władze austriackie ściągają do Małopolski Wschodniej pułki o przewadze elementu ukraińskiego, wycofują planowo oficerów, żołnierzy i funkcjonariuszy Polaków, oraz udzielają wszelkich ułatwień stojącym na Bukowinie oddziałom Strzelców Siczowych.

Rozpatrując coraz bardziej narzucające się zagadnienie zajęcia, względnie obrony Lwowa, zwróciłem się do będącego wówczas we Lwowie por. Kazimierza Świtalskiego z propozycją połączenia wszystkich istniejących we Lwowie organizacji polskich celem uprzedzenia Ukraińców i zajęcia Lwowa przed nimi. Por. Świtalski powiedział mi wówczas o istnieniu P. K. W. z kpt. Mączyńskim na czele i obiecał umożliwić mi porozumienie się z tą organizacją. Po kilku dniach, było to w początku drugiej połowy października, dat dokładnie nie pamiętam, zawiadomił mnie por. Świtalski o terminie i miejscu spotkania z kpt. Mączyńskim.

Pierwsze spotkanie odbyło się tylko pomiędzy mną i kpt. Mączyńskim. Zapytałem go, co on przedstawia. Kpt. Mączyński powiedział, że stoi na czele Polskich Kadr Wojskowych, zary-

sował swą organizację w ramach olbrzymich, jako rozgałęzioną po całej Polsce i wszędzie mającą swoich ludzi. Poza Polskimi Kadrami Wojskowymi stoi wielka organizacja polityczna. Tu, jako przywódców, wymienił kpt. Mączyński wielu głośnych wówczas polityków z Głębińskim i Skarbkim na czele. W rzeczywistości okazało się później, że był to istotnie rozległy aparat polityczny, nie było natomiast poważniejszej roboty wojskowej, a w każdym razie nie uwidoczniła się ona.

Zkolei ja scharakteryzowałem sytuację według posiadanych przeze mnie wiadomości. Zapoznałem kpt. Mączyńskiego z faktami wskazującymi na zamiary ukraińskie i zaproponowałem uprzedzenie Ukraińców własną akcją. Mówiłem to po uprzednim porozumieniu się i za zgodą por. Świtalskiego.

Kpt. Mączyński nie udzielił odpowiedzi konkretnej. Oświadczył, że nie jest samodzielny, że jest zależny od organizacji politycznej, z której ramienia prowadzi tylko sprawy wojskowe, że się jeszcze porozumie. Umówiliśmy się co do nowego spotkania za 2—3 dni.

Druga rozmowa odbyła się w mieszkaniu kpt. Mączyńskiego z udziałem chor. Krona, w tym czasie już mego zastępcy na stanowisku komendanta połączonych organizacji P. O. W. i „Wolności“.

Nawiązując do naszej poprzedniej rozmowy kpt. Mączyński oświadczył, że jego zdaniem niema podstaw do robienia zamachu i uprzedzania Ukraińców. Ponieważ nasze wiadomości o przygotowaniach ukraińskich wyrobiły wśród nas przekonanie wręcz odwrotne, rozmowa przyjęła bieg ostry i doprawdy, niebardzo rozumiem, dlaczego kpt. Mączyński w swoich późniejszych wystąpieniach pisarskich całą tę ostrość przypisuje Kronowi, obdarzając mnie wzamian pojednawczością, niemal uległością, której w rzeczywistości nie było ¹⁾.

Kpt. Mączyński twierdził z energią i przekonaniem, że żadnego zamachu ukraińskiego nie będzie i że uważa wszelkie na ten temat pogłoski za nonsens. Zmiany w dyslokacji, jak zresztą wszystkie wiadomości, które mu podajemy, niczego nie dowodzą. Nasza ocena sytuacji jest wytworem bujnej imagacji.

¹⁾ Por. Mączyński l. c., I, 45 sq.

Co do przejęcia Lwowa w posiadanie Państwa Polskiego, to o tem zadecydują czynniki polityczne, jak wynikało z rozmowy z kpt. Mączyńskim, te, o które on się opiera, wraz z posłami polskimi. W tym celu miał się odbyć wkrótce specjalny zjazd polityczny we Lwowie, na którym miano ogłosić objęcie władzy przez Polskę. Polskie Kadry Wojskowe podporządkowały się stojącej za nimi organizacji politycznej i będą czekały na decyzję. Wystąpią jawnie z chwilą, gdy na owym zapowiedzianym zjeździe nastąpi ogłoszenie Małopolski Wschodniej, jako integralnej części państwa polskiego.

Odpowiedziałem wówczas, że zjazd, o którym wspomina kpt. Mączyński, nie odbędzie się, bo na to nie starczy czasu. Ponieważ z rozmowy wynikało, że wiem o przygotowaniach ukraińskich znacznie więcej, niż mój rozmówca, oświadczyłem, że wskutek jego stanowiska, dopuszcza się do zajęcia Lwowa przez Ukraińców. Wywiązała się pomiędzy nami ożywiona dyskusja na temat, co lepiej: czy Lwów zdobywać od Ukraińców, czy bronić go przed nimi. Kpt. Mączyński wypowiedział się stanowczo za pierwszym rozwiązaniem, ja z Kronem broniliśmy drugiego. Powiedziałem, że gdyby doszło do konieczności odbierania Lwowa z rąk ukraińskich, to winą za przelew krwi obciąży kpt. Mączyńskiego i tych, co wpływają na jego stanowisko.

W rezultacie kpt. Mączyński i tym razem nie zajął stanowiska wyraźnego, mówiąc, że jeszcze „zobaczy“, ponieważ ma posiedzenie swoich przyjaciół politycznych w Sokole. Pragnąc za wszelką cenę wymóc wspólne wystąpienie wszystkich organizacji polskich, prosiłem, żeby albo mnie na to posiedzenie zaprosił albo żeby przyjął mego delegata. Sądziłem, że nasza ocena sytuacji jest wyraźna i realna i że przekona najbardziej niechętnych.

Zebranie w Sokole odbyło się na kilka, może 2—3 dni przed wybuchem. Wysłałem na nie ppor. Nittmana, jego perswazje nie wywarły jednak większego wrażenia i sprawy naprzód nie posunęły.

Wobec takiego stanowiska, zdecydowałem się przejść do porządku nad Mączyńskim i jego organizacją. Tymczasem nadeszły od naszego łącznika z K.-Stelle wiadomości, pozwalające spodziewać się lada chwila zamachu ukraińskiego. P. O. W. była

gotowa do wystąpienia, jednak sprawa kierownictwa ogólnego akcji polskiej przedstawiała się ciągle jeszcze mgliście.

Kiedy rozważałem sprawę rozpoczęcia działań zbrojnych, odczuwałem cały ciężar skrupułów, związanych ze sprawą przyszłego dowództwa. Byłem porucznikiem legionowym. Wystarczyło to na stanowisku komendanta organizacji tajnej, jakkolwiek już wówczas odczuwałem trudności z powodu mego niskiego stopnia. Cały szereg bowiem oficerów legionowych, starszych ode mnie stopniem, a przebywających we Lwowie, nie mógł wskutek tego wejść do organizacji. Zdawało mi się, że gdybym chciał robić akcję siłami samej tylko P. O. W. wysuwając się z konieczności na czoło, mogłoby się wiele wybitnych jednostek uczuć dotkniętymi. Zdaję sobie sprawę, że teoretycznie wątpliwości moje nie mogą znaleźć usprawiedliwienia, praktycznie jednak były one uzasadnione, a każdy, kto zna nastroje psychiczne w wojsku, związane z hierarchią stopni, zrozumie mnie z łatwością. Wątpliwości, które wówczas odczuwałem, nie pochodziły zresztą wyłącznie z mojego osobistego poglądu na sprawę starszeństwa wśród oficerów legionowych, lecz miały realne przyczyny. Tak np. gdy zwróciłem się do por. Łapińskiego-Nilskiego, którego wysoki autorytet wojskowy i wiedzę fachową, jako absolwenta zorganizowanego przez Niemców kursu oficerów sztabu generalnego, w całej pełni uznawałem, spotkałem się z odmową wejścia do organizacji właśnie z powodu różnicy starszeństwa pomiędzy nami. Doznawałem wprawdzie od tego doskonałego oficera rzetelnej i cennej pomocy, korzystałem z jego fachowych wskazówek, których mi nie szczędził, zwłaszcza w sprawach organizacji Komendy P. O. W. i podziału pracy, ale zawsze w charakterze tylko prywatnym.

Pod wpływem tego rodzaju wątpliwości traktowałem swoją pracę na stanowisku komendanta P. O. W. jako przygotowanie dla kogoś, kto obejmie całość roboty wojskowej, związanej z akcją przejęcia Małopolski Wschodniej w posiadanie państwa polskiego. Zwróciłem całą energię na pracę wewnątrz organizacji i mogę z dumą stwierdzić, że P. O. W. na jakie 7—10 dni przed wybuchem walk była gotowa do wystąpienia.

Gdy zastanawiałem się nad osobą przyszłego dowódcy, w rachubę brałem przede wszystkim oficerów legionowych. Z pośród nich odpadali wszyscy z grupy płk. Sikorskiego, jako

podlegli Radzie Regencyjnej i niechętnie usposobieni do wiązania się z jakimikolwiek organizacjami wojskowymi tajnymi. Wśród pozostałych starsi byli: mjr. Śniadowski, kpt. Rożen, kpt. Pieracki, porucznicy: Świtalski, Łapiński i inni. Zwróciłem się z prośbą do mjr. Śniadowskiego. Zajął on jednak stanowisko niewyraźne, raczej niechętnie. Z kolei prosiłem o objęcie dowództwa kpt. Rożena. I ten jednak odmówił.

W porozumieniu z „Wolnością“, próbowaliśmy nawiązać kontakt również z wyższymi oficerami austriackimi, Polakami. Rozpatrując różne nazwiska, postanowiliśmy zwrócić się do płk. Malczewskiego, jako dowódcy jednego z pułków, a więc rozporządzającego znaczną siłą bojową. Wysłałem do niego dwóch oficerów, zdaje mi się, że byli to: Kubin i Nawrocki. Płk. Malczewski jednak odmówił kategorycznie, a do rozmawiających z nim oficerów zwrócił się już nawet nie po niemiecku, lecz po ukraińsku.

W rezultacie ta faza poszukiwania dowódcy skończyła się na niczym. Nadchodziły coraz bardziej niepokojące wiadomości o przygotowaniach ukraińskich. Polskie czynniki polityczne, na które powoływał się kpt. Mączyński, zachowywały niezmałcone milczenie. Doły organizacji były gotowe do wystąpienia, wszystko jednak hamował brak ogólnego kierownictwa i porozumienia pomiędzy wszystkimi organizacjami polskimi. Pomiędzy mną i kpt. Mączyńskim istniał kontakt w postaci wzajemnego informowania się, gdzie mamy się szukać na wypadek jakiejś nagłej potrzeby spotkania. Było to jednak bardzo dalekie od porozumienia się i współpracy.

W takim stanie rzeczy nadszedł dzień 30 października. Wiadomości otrzymane tego dnia, dodały mi nowego bodźca w moich wysiłkach organizacyjnych, upewniły mnie bowiem, że zamach ukraiński nastąpi w najbliższym czasie.

Wiadomości o przygotowaniach ukraińskich otrzymaliśmy prawie wyłącznie dzięki naszym stosunkom z K.-Stelle. Wewnątrz organizacji ukraińskich nie mieliśmy, niestety, swoich ludzi. Dzięki przypadkowi, otrzymaliśmy jednak 30 października meldunek, potwierdzający to, co donosili nam nasi łącznicy z K.-Stelle. Traf zrządził bowiem, że jeden z członków P. O. W., technik, wynajmował pokój w mieszkaniu, w którym mieszkali jeszcze dwaj inni technicy, Ukraińcy. Tego dnia Polak zauważył

u swoich kolegów kartkę, wzywającą ich na zbiórkę organizacji ukraińskich, mającą się odbyć 31 października wieczorem za rogatką łyżakowską. Student niezwłocznie przybył do mnie z meldunkiem.

Jednocześnie prawie otrzymałem tego samego dnia przez kurjerkę rozkaz z K. N. 2 z Krakowa, aby przystąpić do niezwłocznego ujawnienia i mobilizacji P. O. W., oraz zajęcia Lwowa.

Pod wpływem tych zdarzeń zwołałem jeszcze tego samego dnia odprawę, o ile pamiętam, w mieszkaniu p. Pronaszki przy ul. Jasnej. Zawiadomiłem przybyłych kierowników i kendantów poszczególnych grup i oddziałów P. O. W., że 31 października rozpoczynamy akcję objęcia Lwowa w posiadanie Państwa Polskiego. Jeżeli do tego czasu zdołamy osiągnąć zgodę pozostałych organizacji polskich, to wystąpimy wspólnie, jeżeli nie, to zaczynamy sami.

Jednocześnie wydałem rozkazy dowódcom poszczególnych oddziałów i rozdzieliłem zadania dla kompanii studenckiej, oddziału pocztowego, technicznego i innych. Ideą mego planu było ubiegnięcie Ukraińców, zanim zdołają skutecznie swój zamach, wywołanie odpowiedniego nastroju wśród ludności i obudzenie ruchu masowego.

Wykonawcza część planu polegała na zajęciu Dworca Głównego wraz z magazynami broni i sprzętu wojskowego, obsadzenie rogatki łyżakowskiej i unieszkodliwieniu koszar, w sensie wezwania żołnierzy do złożenia broni i rozejścia się do domów. Znaczenie zajęcia dworca zarysowuje się samo przez się, miała to być podstawa materialna całej naszej akcji. Obsadzenie rogatki łyżakowskiej miało na celu niedopuszczenie do miasta organizacji ukraińskich, które miały poza tą rogatką wyznaczoną zbiórkę. Przeprowadzenie akcji w koszarach nie wydawało się zbyt trudne, żołnierz bowiem austriacki, nieuświadomiony narodowo, zmęczony długotrwałą wojną, tylko czekał na demobilizację i byłem przekonany, że ukraińskie pochodzenie tych ludzi w niczem nie wpłynie na ich zachowanie się. Przewidywania moje sprawdziły się w całej pełni, bowiem w ciągu dnia 1 i 2 listopada, po otwarciu koszar i wśród ogólnego zamieszania w mieście, rozpoczęła się samorzutna, chaotyczna, lecz spontaniczna demobilizacja, wskutek czego siły ukraińskie

pozornie dość duże, stopniały w okamgnieniu, odbierając dowództwu ukraińskiemu możliwość stłumienia tak słabego z początku oporu polskiego.

Niezależnie od tych trzech celów, miały być zajęte ważniejsze ośrodki życiowe, jak poczta, magistrat, komendy austriackie i t. d. O ile pamiętam, nie rozporządzam bowiem jakimikolwiek notatkami, do kierowania poszczególnymi akcjami były wyznaczani: oddziały techniczne i kolejowe (Dworzec i magazyny) inż. Kozłowski i inż. Kudelski (pierwszego z nich na odprawie nie było), Poczta — por. Zygmuntowicz, Magistrat — oddział z komp. studenckiej pchor. Selzera-Sieleskiego, rogatka Łyczakowska — reszta tej kompanji, Politechnika (gdzie miała być broń) chor. Wasilewski i Sachnowski.

Jeszcze tego samego dnia zostały wydrukowane ulotki o ujawnieniu i mobilizacji P. O. W., a komenda organizacji została oficjalnie umieszczona w Domu Akademickim. Ulotki zostały rozrzucone po mieście, wywierając silne wrażenie i powodując zrozumiałe podniecenie wśród ludności. Dziwiłem się wówczas i nie mogę do chwili obecnej zrozumieć, dlaczego ani władze austriackie, ani organizacje ukraińskie nie zdobyły się na jakiegokolwiek natychmiastowe przeciwdziałanie naszej akcji.

Dzień 31 października rozpoczęliśmy pod znakiem mobilizacji P. O. W. Dom Akademicki, w którym już umieściłem komendę i który był przeznaczony na miejsce zbiórki, zapełniał się z godziny na godzinę coraz szczelniej. Ponieważ tego samego dnia odbywał się zjazd delegatów młodzieży akademickiej z całej Polski, chwila dla mobilizacji była ogromnie sprzyjająca, zdołaliśmy bowiem wciągnąć wielu ludzi, do tej pory z organizacją bezpośrednio niezwiązanych.

Przed zmrokiem otrzymałem wiadomość, że Ukraińcy zamknęli koszary 15 p. p. przy ul. Kurkowej. Wysłałem natychmiast sierż. Leg. Pol. Battaglię Andrzeja z kilku ludźmi na patrol z zadaniem sprawdzenia tej wiadomości, przekonania się o stanie pogotowia po stronie ukraińskiej i złożenia mi meldunku. Jednocześnie zameldowano mi, że na Łyczakowie odbywa się zbiórka, z której jakieś oddziały mają wkrótce wkroczyć do miasta.

Oczekując na meldunek sierż. Battaglii, zwołałem jeszcze jedno zebranie przedstawicieli organizacji wojskowych w mieszkaniu mjr. Śniadowskiego, po uzyskaniu uprzednio jego

zgody¹⁾. Stawili się tam: kpt. Kamiński z oficerem, którego nazwiska nie pamiętam, mjr. Śniadowski, kpt. Mączyński z jednym ze swoich oficerów (zdaje mi się, że z Dr. Węgrzynowskim lub Bacem), ja, chor. Kron i Nawrocki.

Jako inicjator zebrania, przemówiłem pierwszy, charakteryzując w kilku słowach sytuację. Położyłem specjalny nacisk na przejawy akcji po stronie ukraińskiej, w koszarach 15 p. p. i na Łyczakowie, wiedziałem bowiem, że mało kto dawał wiarę wersjom o nadchodzącym zamachu. Zapoznałem następnie obecnych z zarządzeniami, które wydałem, w szczególności powiedziałem o wysłaniu Battaglii i o ogłoszonej, a nawet częściowo już wykonanej mobilizacji P. O. W. Kończąc, zawiadomiłem wreszcie, że zaczynam tej nocy akcję czynną.

Decyzje moje nie znalazły aprobaty. Perswadowano mi, że to za wcześnie, że dziś zaczynać nie można. Zmierzając do osiągnięcia konkretnego wyniku, postawiłem kandydaturę najstarszego pomiędzy nami stopniem, mjr. Śniadowskiego, na komendanta, ten jednak nie zajął żadnego określonego stanowiska. Na skutek chwiejności okazanej przez gospodarza lokalu, wywiązała się gwałtowna dyskusja, której przebiegu ściśle już nawet nie potrafię odtworzyć, wywarła ona bowiem na mnie wręcz wstrząsające swą okropnością wrażenie. Pod koniec dyskusji postawiono zupełnie poważnie koncepcję trójosobowego dowództwa w składzie: kpt. Kamiński, kpt. Mączyński i ja i to dopiero, jako przewidywanie, na wypadek, gdy coś nastąpi. Z trudnością panując nad sobą, zerwałem się z miejsca i oświadczyłem, że jako komendant jedynej organizacji o charakterze masowym, gotów ją jestem oddać każdemu, choćby to był kapral, nie dopuszczę jednak do kilkoosobowego dowództwa. Żądania moje nie odnosiły jednak wielkiego skutku, ponieważ kpt. Kamiński oświadczył, że jako przedstawiciel „Wojska Polskiego“ nie może podlegać nikomu z obecnych, że jest mianowany przez płk. Sikorskiego Komendantem Placu we Lwowie. Kpt. Mączyński zasłonił się brakiem dyrektyw ze strony swoich władz i stanowiska zdecydowanego nie zajął, mówiąc, że do niczego zobowiązywać się nie może. Skończyło się właściwie na niczym. Zmęczony w najwyższym stopniu, mając na sobie cały ciężar

¹⁾ Por. Mączyński, l. c., l. 46 sq.

zarządzonej mobilizacji, przerwałem jałowe obrady. W ostatniej chwili, była to już godzina co najmniej 20, zdecydowano zebrać się jeszcze raz za godzinę w lokalu Komendy P. O. W. w Domu Akademickim. Uczestnicy obrad rozeszli się na kolację.

Ponieważ co do przebiegu tego zebrania utrzymują się najrozmaitsze wersje, uważam za konieczne stwierdzić jak najbardziej kategorycznie, że obrady nie były prowadzone w sposób normalny, nie było ani przewodniczącego, ani sekretarza. Nikt nie sporządzał jakiegokolwiek protokołu, ani nawet, o ile pamiętam, nie prowadził prywatnych notatek¹⁾.

Żaden z nas uczestników zebrania, nigdy nie widział, a tembardziej nigdy nie podpisywał jakiegokolwiek protokołu. Obrady, czy dyskusja, nie wiem jak to nazwać, miały charakter gorączkowy, chaotyczny, chwilami o dramatycznym napięciu. Panowało ogólne podniecenie i jestem przekonany, że ani ja, ani nikt z uczestników tej rozmowy nie zapamiętał sobie ściśle poszczególnych powiedzeń, a może pamiętać jedynie myśli zasadnicze, które forsował. W każdym razie mogę w sposób kategoryczny i z całkowitem poczuciem odpowiedzialności ustalić, że zebranie nie dało konkretnego wyniku, ani co do wyboru kandydata, ani co do porozumienia w sprawie rozpoczęcia działań. Skończyło się na ostrem wyładowaniu osobistych poglądów przez uczestników.

Gdy wróciłem do Domu Akademickiego, zostałem zdumiony przebiegiem mobilizacji. Wyniki jej przeszły wszelkie oczekiwania. Zebrały się tłumy ludzi, których nie mogły pomieścić sale Domu Akademickiego i wielu tłoczyło się w kurytarzach, a nawet przed wejściem, na ulicy. Przyniesiono nawet trochę broni, kilka karabinów i jeden karabin maszynowy. Wszyscy spodziewali się, że zostaną natychmiast zorganizowani na sposób wojskowy i rozesłani do poszczególnych zadań, wśród których

¹⁾ Czesław Mączyński w dziele „Boje lwowskie“ I, str. 47 powołuje się na protokół, który następnie podaje w załącznikach, w temże dziele, II, str. 187. Wojskowe Biuro historyczne, zwracając się przez swego delegata do płk. w st. sp. Mączyńskiego z prośbą o relację, zaproponowało mu dokonanie odbitki fotograficznej tego protokołu do niniejszego tomu (patrz kwestionariusz W. B. H. do płk. w st. sp. Mączyńskiego, pkt. 3), nie otrzymało jednak odpowiedzi w tej sprawie. (Przyp. red.)

jako najważniejsze, wysuwało się zajęcie Dworca Głównego i obstawionych przez naszych ludzi magazynów broni¹⁾.

Wśród zebranych panował nastrój wybitnie bojowy, do czego przyczyniła się również obecność w tym samym lokalu uczestników ogólnopolskiego zjazdu młodzieży akademickiej. Pracowałem w małym pokoju, przyległym do sali i słyszałem wszystkie odgłosy rosnącego podniecenia. Nie przypominam sobie jednak, czy odbywał się wówczas bal akademicki z tańcami, raczej wydaje mi się, że nic podobnego nie miało miejsca²⁾. Widok rozentuzjasmowanych tłumów młodzieży napełnił mnie nadzieją, że nastrój ogólny udzieli się uczestnikom obrad, wyznaczonych na godz. 21 i że doprowadzi już do szybkiego wyniku. Niestety i tym razem miałem się jeszcze zawieść.

Na zebranie do mnie nie przybyli wszyscy uczestnicy obrad, które odbyły się przed godziną w mieszkaniu mjr. Śniadowskiego. Nie było kpt. Kamińskiego, tylko jakiś oficer z grupy, nazwiska nie pamiętam. Kpt. Mączyński stawiał się z dwoma panami, zdaje mi się, że z Dr. Wegrzynowskim i Bacem. Z nowych osób był kpt. Rozeń i Klinger. Kilka razy wchodziło do pokoju oficerowie-członkowie P. O. W. i gońcy z meldunkami do mnie.

¹⁾ Jakże były możliwości zawładnięcia bronią świadczy wyjątek z relacji ppor. Feliksa Daszyńskiego, podówczas członka związku „Wolność”: „Zostałem mianowany referentem broni w związku „Wolność” na terenie Lwowa. W październiku na fałszywe austriackie „rozkazy jazdy” przewoziłem broń i amunicję dla P. O. W. aż do Puław. W drugiej połowie października zdawaliśmy sobie sprawę, że rychło nastąpi kompletny rozkład Austrii i dlatego przygotowywaliśmy się do zbrojnej akcji. Jako referent broni miałem ewidencję broni i amunicji austriackiej na terenie Lwowa tak, że w danym momencie mogłem z niewielkimi stosunkowo oddziałami zająć magazyny. Podczas pamiętnego zebrania w Domu Akademickim w nocy z dnia 31 października na 1 listopada miałem przy sobie nawet klucze od magazynów amunicji na Cytadeli. Proponowałem jeszcze o godz. 10 wieczorem, abyśmy zajęli Cytadelę, gdyż miałem tam ludzi zaufanych, a kwestja rozbrojenia kilku landszturmistów, stojących tej nocy na warcie, nie przedstawiała wielkich trudności. Niezdecydowane obrady nie tylko, że się stanowczo temu sprzeciwiły, ale ktoś „dowcipny”, gdy chciałem samemu się tam udać, zamknął mnie podstępnie w małym pokoiku obok. Rozchodziło się o „legalne” postępowanie z Austriakami. Wypuszczono mię dopiero o godz. 6 rano, gdy doszły pierwsze wieści o zajmowaniu Lwowa przez Ukraińców. Było już zapóźno na moją akcję”. (Arch. Twa bad. hist. obr. Lwowa. Przyp. red.)

²⁾ Por. Mączyński l. c. I, str. 64 sq.

Rozpocząłem naradę od zaznajomienia obecnych z położeniem. Powiedziałem o nieszczęśliwym patrolu sierż. Battagli, o zranieniu i wzięciu go do niewoli przez Ukraińców w koszarach na Kurkowej. Mówiłem o oddaniu do naszej dyspozycji transportu baterji artylerji w Rzęśnie Polskiej, której komendant, kpt. Łodziński, zameldował się u mnie. Kładąc wreszcie nacisk na wyniki mobilizacji, przedstawiłem konieczność natychmiastowego rozpoczęcia działań przede wszystkim na Dworcu, celem zajęcia broni i uzbrojenia ludzi.

Spotkało mnie jeszcze jedno, tym razem chyba najcięższe rozczarowanie. Naogół uczestnicy odprawy wypowiedzieli się przeciw natychmiastowemu wystąpieniu i potępili wydane przeze mnie zarządzenia mobilizacyjne. Większość była za dalszym zwlekaniem. „Poczekajmy, co będzie w nocy“ — oto najczęstsze słowa, które słyszałem. Dostałem wówczas po raz pierwszy czegoś w rodzaju szoku nerwowego i z płaczem prosiłem o zgodę i wspólne działanie. Zadecydował kpt. Mączyński w sensie: „teraz idziemy spać, o 7 rano się zobaczymy“. Jeden z oficerów wyszedł do tłumów, które oczekiwały rozkazów i powiedział, że można się rozejść, a rano stawić się ponownie na zbiórkę.

W rezultacie część ludzi, mogąca się pomieścić na sali, pozostała jako pogotowie. Zająłem się uporządkowaniem tej gromady, ponieważ noc postanowiłem spędzić na miejscu.

Pragnę tutaj jeszcze raz w kilku słowach przedstawić pobudki mego postępowania, zupełnie szczerze, tak, jak czułem wówczas. Uważam bowiem, że do wydania sądu o działalności ludzkiej w chwilach przełomowych teoretyczny stosunek do zdarzeń nie wystarcza, a muszą być wzięte pod rozwagę zjawiska psychiczne głębszej natury.

Byłem najmłodszym z pośród działających na gruncie Lwowa oficerów legjonowych. Kto wie, jak trudno było uzyskać w legjonach stopień oficerski, ten zrozumie, że w oczach porucznika kapitan posiadał autorytet niewiele mniejszy, niż obecnie generał. Sytuacja, w której młodszy stopniem mógłby objąć komendę nad starszymi, była wówczas nie do pomyślenia. Dla mnie było to tem trudniejsze, że uważałem za ważne doprowadzenie do wspólnego wystąpienia wszystkich organizacji polskich. Z tych powodów dążyłem wszystkimi dostępnymi mi drogami do utworzenia wspólnej komendy i znalezienia dowódcy,

któremu pragnąłem oddać do dyspozycji organizację liczną, owianą doskonałym duchem i na wszystko zdecydowaną.

Wcześniej podałem kilka powodów, usprawiedliwiających moje stanowisko. Tu pragnę dodać, że pobudki, którymi ja się kierowałem, znalazły całkowite potwierdzenie w późniejszym rozwoju wydarzeń. W czasie sprawowania komendy przez kpt. Mączyńskiego również starsi od niego stopniem oficerowie Polacy z armii austriackiej, których we Lwowie było wielu, nie wzięli udziału w walkach. Wyjątkiem był mjr. legionista Śniadowski, który od samego początku zgadzał się wziąć udział w akcji, ale tylko na swoim stanowisku artylerzysty. Wszyscy oficerowie starszych stopni, biorący udział w obronie Lwowa, pochodzili ze służb i pracowali w służbach. W linii, na odcinkach, kończyło się na kapitanach. To są psychiczne zjawiska życia wojskowego, z którymi ja, porucznik, musiałem się liczyć i które każdy przed wydaniem sądu musi wziąć pod rozwagę.

Do obejmowania komendy nie czułem się uprawniony, raczej sądziłem, że wysunięcie mojej osoby wywarłoby efekt niepożądany dla całości obrony Lwowa, mogłoby bowiem usunąć od akcji wielu ludzi o wyższych stopniach i większym autorytecie. Dlatego też za obowiązek swój poczytywałem przygotowanie całej akcji wedle najlepszej woli, aby potem oddać kierownictwo nad rzeczą gotową w bardziej powołane ręce. Z tak nakreślonego obowiązku płynące poczucie odpowiedzialności kazało mi wyżyć wszystkie siły w kierunku postawienia na nogi P. O. W. Mam wrażenie, że to mi się udało, była to bowiem jedyna organizacja, która, oprócz dużej ilości oficerów, dostarczyła do walki ludzi, podczas gdy inne dały co najwyżej część personelu kierowniczego. Moja ocena sytuacji, oparta na wiadomościach ze źródeł tak niewątpliwych, jak K.-Stelle, a następnie rozkaz Komendy Naczelnej P. O. W. z Krakowa, spowodowała mnie do ogłoszenia mobilizacji mojej organizacji. Zrobiłem więc wszystko w zakresie mego pojmowania obowiązków, ciężących na mnie z racji mojego stanowiska. Nie potrafiłem przekonać ludzi, starszych ode mnie stopniem i wyrobieniem życiowym oraz politycznym, o konieczności rozpoczęcia działań przed Ukraińcami i o konieczności wyboru wspólnego jednego dowódcy. Sądzę jednak, że przyczyną tego była

nietylę moja nieumiejętność przekonywania, ile najwidoczniej zupełnie inna ocena położenia z ich strony, a co do niektórych także specyficzne koncepcje polityczne, którymi się kierowali.

Jak wiadomo, zamach ukraiński odbył się w nocy z dnia 31 października na 1 listopada 1918 r. Pierwsze wiadomości o nim otrzymałem pomiędzy godziną 3—4 nad ranem. Roześlałem natychmiast gońców do uczestników wczorajszych obrad. Postawiłem również na nogi nasze pogotowie, a rano odesłałem większość ludzi na plac Bilczewskiego, pod kościół św. Elżbiety. Wydawało mi się bowiem, że pierwszą koniecznością będzie zajęcie Dworca z jego składami broni i że przeto trzeba zgromadzić ludzi w jego pobliżu. Ponieważ pierwszego listopada jest „Wszystkich Świętych“ i przed kościołami gromadzą się tłumy ludzi, sądziłem, że zbiórka na placu Bilczewskiego nie zwróci na siebie uwagi władz austriackich i ukraińskich. Dowódca reszty, pozostawej w „Domu Akademickim“, mianowałem ppor. Nittmana. Pierwsze zatargi z patrolami ukraińskimi, które wydarzyły się już rano 1 listopada w różnych punktach miasta, oraz akcja rozlokowanego w Szkole Sienkiewicza zawiązku „bataljonu kadrowego“ kpt. Trześniowskiego (podległego płk. Sikorskiemu, który dnia poprzedniego opuścił Lwów) nastąpiły zupełnie samorzutnie, bez czyjejkolwiek akcji kierowniczej.

Około godziny 7-ej odbyło się w mieszkaniu Dr. Wekslera zebranie uczestników wczorajszych niefortunnych obrad. Przybyli na nie: kpt. Mączyński, przedstawiciel kpt. Kamińskiego, Dr. Węgrzynowski, Bac, kpt. Rożen, por. Świtalski. Tym razem nie trzeba było już nikogo przekonywać. Fakty mówiły same. Pano wało ogólne podniecenie, a nastrój bojowy stłumił tak fatalnie ujawniającą się dotychczas rozbieżność poglądów. Teraz, wobec dokonanego zamachu ukraińskiego, nikt już nie kwestjonował konieczności jednolitego dowództwa. Bez dłuższej wymiany zdań zdecydowano połączenie wszystkich organizacji polskich i wybrano komendantem naczelnym kpt. Rożena, który zaraz kazał mi się poinformować o wydanych zarządzeniach. Zameldowałem o zbiórce przed kościołem św. Elżbiety, jako podstawie akcji na Dworzec i o wszystkich innych wydanych rozkazach. Kpt. Rożen oświadczył, że akcję na Dworzec poprowadzi osobiście i udał się na plac Bilczewskiego. Kpt. Mączyński i inni oficerowie wyszli do miasta.

Odprężenie, którego doznałem pod koniec tego zebrania, wyładowało się gwałtownie. Przeżycia ostatnich dni wyczerpały mnie nerwowo, nie mogłem już dłużej nad sobą panować. Do-
stałem silnego szoku nerwowego i któryś z kolegów pozostał
ze mną jeszcze czas jakiś w lokalu, dopóki nie przyszedłem do
siebie.

Co się działo na placu Bilczewskiego, nie wiem. Kiedy
wyszedłem z mieszkania Wekslera z zamiarem wzięcia udziału
w walce o Dworzec, spotkałem przed Politechniką jakiś patrol
ukraiński i byłem świadkiem krótkotrwałej strzelaniny. Doszedłem
do Szkoły Konarskiego i tutaj dowiedziałem się od kolegów, że
z akcji na Dworzec fiasco, a przed kościołem św. Elżbiety już
nikogo niema.

Był to niewątpliwie ciężki cios dla akcji polskiej we Lwowie.
Cała sprawa zajęła na długo wszystkie umysły wojskowe, dużo
o niej mówiono. W świetle opowiadań, które słyszałem zaraz
po zajściu, na gorąco, rzecz polegała na nieporozumieniu. Po-
dobno kpt. Rożen szukał w kościele i na placu owej zbiórki,
o której mu zameldowałem w mieszkaniu Dr. Wekslera. Sądził
jakoby, że zastanie oddział sformowany na sposób wojskowy,
tymczasem zobaczył tłumy ludzi, niczem nie różniące się ze-
wnętrznie od tych, którzy przybyli na nabożeństwo. Nikt z po-
śród obecnych tam dowódców nie zameldował się, a zresztą
zaledwie kilka osób w tym czasie wiedziało, że jest to komendant
naczelny. Zwykły traf przesądził o biegu wydarzeń. Oto w chwili
opuszczania kościoła przez tłum po ukończonem nabożeństwie,
wybuchła nagła strzelanina przy ul. Gródeckiej. Powstał popłoch,
zamieszanie i tłumy się rozbiegły. Na placu pozostał kpt. Rożen
z kilku oficerami.

Zdaje mi się, że trudno w tym wypadku mówić o czyjej-
kolwiek winie, zaszedł poprostu zwykły w wojnie rewolucyjnej
wypadek. W takim chaosie, jaki dnia pierwszego listopada pa-
nował we Lwowie, gdy miało się do czynienia z ludźmi nieuzbro-
jonymi i nieumundurowanymi, którzy ginęli w tłumach, żywio-
łowo zapełniających ulice, było istotnie trudno się zorientować.
Zwykły przypadek — rozpoznanie kpt. Rożena przez zebranych
na placu peowiaków — mógł rozstrzygnąć o powodzeniu, tak
jak przypadek — nagła strzelanina i powstałe w jej wyniku za-
mieszanie, przesądziły o niepowodzeniu.

Nie mając po co iść w kierunku pl. Bilczewskiego, zgnębiony poczuciem grożącego ruchowi polskiemu niebezpieczeństwa na skutek wypuszczenia z rąk Dworca i składów broni, wróciłem do miasta i udałem się na ul. Romanowicza do mieszkania, o ile się nie mylę p. Longchamps¹⁾, gdzie mieli się jakoby zbierać oficerowie. Istotnie, zastałem tam kilku, wśród nich kpt. Mączyńskiego, który po mojem wejściu oświadczył w sposób zdecydowany, że kpt. Rożen zrzekł się komendy, którą teraz obejmuje on, jako najstarszy stopniem. Oświadczenie to przyjąłem, jako zjawisko naturalne, uznawałem bowiem konieczność jednolitego dowództwa, a zdolność wzięcia na siebie odpowiedzialności w takiej chwili oceniałem, jako objaw dodatni. Od tej chwili więc, t. zn. od godz. 10—11 dnia 1 listopada można mówić o kpt. Mączyńskim, jako komendancie obrony Lwowa.

Nowy komendant zwrócił się do mnie z prośbą, abym objął jego zastępstwo i przedstawił kandydata na szefa sztabu z pośród P. O. W. Co do siebie, zrzekłem się proponowanej mi funkcji, ponieważ pragnąłem wziąć bezpośredni udział w walkach. Wprowadziłem jednak zaraz do komendy por. Łapińskiego-Nilskiego, jako zastępcę komendanta, ppor. Rutkowskiego Aleksandra i zaproponowałem wciągnięcie por. Jakubskiego, oraz całego szeregu innych osób. Mączyński ze swej strony wprowadził do komendy członków P. K. W. i swoich przyjaciół politycznych. Rzecz jasna, że formowanie Komendy Naczelnej nie odbyło się odrazu, lecz trwało przez kilka dni.

Było mi wówczas trochę przykro, że cały dorobek obozu legionowego i ludzi wychowanych w atmosferze walki o niepodległość, objął człowiek nam obcy, który do ostatniej chwili był przeciwnikiem wystąpienia czynnego, który jeszcze kilkanaście godzin przedtem zapewniał nas, że nic nie będzie. Stłumiłem jednak w sobie to uczucie, wierzyłem bowiem, że i tak tylko dzięki istnieniu P. O. W. i jej żywiołowej czynności stało się możliwe zawiązanie walk we Lwowie, a tem samem uwidoczniły się skutki pracy organizacyjnej obozu legionowego. Wskutek różnych powikłań i nieporozumień traciliśmy kierownictwo for-

¹⁾ Por. Mączyński, l. c. I, 78 sq.

malne akcji, pozostało ono jednak przy nas faktycznie dzięki obecności Łapińskiego i Jakubskiego w Komendzie i dzięki temu, że większość dowódców i żołnierzy walczących pochodziła z P. O. W. Zresztą tego dnia kpt. Mączyński porwany był ogólnym nastrojem, nie poznawałem w nim uczestnika dotychczasowych jałowych obrad. Wprawdzie o kierownictwie akcją bojową ze strony Komendy Naczelnej nie mogło być mowy, bowiem oddziały powstawały spontanicznie i sytuacja była płynna, ale zato nowy komendant poświęcił wiele czasu na zorganizowanie Komendy i ustalenie zasad współpracy z powstającym w mieście Polskim Komitetem Narodowym, mającym wyrazić polityczną reprezentację wojska lwowskiego.

Tutaj, aby wyczerpać to, co wiem o stosunku do Mączyńskiego, muszę podkreślić, że naogół stosunek podwładnych do niego był lojalny. Nie brakło wprawdzie głosów niechęci i oburzenia, zwłaszcza wobec jego niewystarczającej energii, ale do objawów sprzeciwu czynnego nigdy nie doszło. Kiedy w toku walk późniejszych zarzucono Mączyńskiemu bezczynność i mówiono nawet o ewentualnem odebraniu mu komendy, wszelkie dyskusje przeciął por. Łapiński-Nilski, oświadczając, że nie dopuści do pogłębienia zamięszania i że w razie dalszych na ten temat rozmów uprzedzi o nich Mączyńskiego i skłoni go do wyciągnięcia wobec winnych wszelkich konsekwencji. Od tej chwili plany „zamachu stanu“, zresztą słabe, ustały zupełnie.

O sugestjach i wpływach zewnętrznych, ścierających się w Komendzie, niewiele mogę mówić, ponieważ sprawami politycznymi się nie zajmowałem i nie stanowiły one głównego przedmiotu moich zainteresowań. Reprezentację polityczną obozu legionowego we Lwowie skupiał w swych rękach, tak w październiku, jak w listopadzie, por. Świtalski. Z jego inicjatywy rozpoczęły się rozmowy moje z Mączyńskim na temat połączenia naszych organizacyj i wiem, że por. Świtalski uczynił wszystko, aby skłonić lwowskie czynniki polityczne do uprzedzenia Ukraińców. W listopadzie por. Świtalski, jako członek Polskiego Komitetu Narodowego, był w nim jedyną ostoją nieustępliwości przed rozstrzygnięciem wojny wszczętej nie z naszej winy. W sprawach politycznych zacząłem się orjentować dopiero później, gdy było mi to potrzebne, jako delegatowi Komendy Naczelnej w czasie rokowań z Ukraińcami. Mogę wszakże

stwierdzić, że w lokalu Komendy bez przerwy kręcili się różni działacze polityczni i odbywały się rozmowy pomiędzy nimi i Mączyńskim. Utkwili mi najbardziej w pamięci z tego czasu pp. Chlamtacz, Dubanowicz, Cieński oraz Hausner. Dużą rolę polityczną pełnił także referent sanitarny Naczelnej Komendy, Dr. Węgrzynowski, przyjaciel Mączyńskiego,

Do wieczora 1 listopada byłem w Komendzie. Następnego dnia bezpośrednio po zdobyciu Dworca Głównego przez por. Schramma, który został potem ściągnięty do Szkoły Sienkiewicza, mianowany zostałem komendantem Dworca. Z tą chwilą przerwał się na kilka dni mój kontakt z Komendą Naczelną.

W czasie sprawowania komendy na Dworcu nie otrzymywałem żadnych rozkazów. Było wiadomo, że trzeba bronić Dworca, chodziły pogłoski o grożącym natarciu ukraińskim. Jako załogę zastałem kilkunastu harcerzy, kilka sanitariuszek i luźne zbiorowisko kilkunastu ludzi o nieokreślonym charakterze, a z pośród oficerów: por. Zygmuntowicza, ppor. Nittmana i chor. Kolbuszowskiego. Stosunki w załodze Dworca przedstawiały się tak, jak wówczas w całym Lwowie i charakteryzowała je płynność. Nie było nic stałego, ludzie przepływali zależnie od ich woli, nikogo nie było można utrzymać, bo komu się nie podobało w jednym oddziale, „przenosił się“ do innego. Stany liczbowe były inne niemal co godzinę. Obsada Dworca wahała się w granicach od 40 do 100 ludzi. Wielu przychodziło tylko ze względu na zgromadzone tutaj bogactwa. Po obłowieniu się znikali. Zdarzały się wypadki znikania posterunków, zwłaszcza tych, które stały na straży bardziej oddalonych wagonów z żywnością, czy ekwipunkiem.

Co gorsza, warunki nie pozwalały ująć tej szczupłej garści ludzi w więzy dyscypliny. Olbrzymi obszar Dworca, wraz z całym labiryntem torów kolejowych, wypełniony był olbrzymimi magazynami, tak stałemi, jak ruchomemi, mieszczącemi się w wagonach. Magazyny te zawierały olbrzymie bogactwa wszelkiego materiału, jak żywność, ekwipunek, sprzęt wojskowy, broń, amunicja, alkohol, sprzęt sanitarny, medykamenty, meble, pasza, tytoń, a nawet perfumerja. Nagromadzenie tych olbrzymich zapasów łatwo będzie zrozumieć, gdy się weźmie pod uwagę, że Lwów stanowił bazę materialną całej armii austriackiej na froncie

rosyjskim, tutaj więc koncentrowały się wszystkie środki, potrzebne do utrzymania przy życiu kilkuset tysięcy ludzi.

Obfitość bogactw, skupionych w rozległym obszarze Dworca, znęciła szybko tłumy okolicznej ludności, która rozpoczęła prawie bezkarny rabunek. Reszty dopełnił alkohol. Wśród załogi Dworca trunek czynił istne spustoszenie, ulegali mu najlepsi żołnierze. Pili wartownicy, wysłani do pilnowania wagonów, piły patrole, których zadaniem było odpędzenie rabusiów, pili podoficerowie, wyznaczeni do kontroli. Zapanował poprostu szal pijaństwa, w którym pogrążał się prawie każdy żołnierz świeżo przybyły z miasta. W tem położeniu oficerowie byli bezradni, chwilami trzeba było rezygnować z pomocy całej załogi i opierać bezpieczeństwo Dworca na harcerzach, dla których nawet dziś, po tylu latach, nie mogę znaleźć wystarczających słów uznania. Harcerz lwowski wytrwał w swych ideałach i nie stwierdziłem wówczas ani jednego wypadku upicia się któregośkolwiek z nich. Użyłem ich do służby wartowniczej, patrolowej i łączności oraz do sprowadzania pijanych. Pełnili służbę bez zmian, miałem ich bowiem, niestety, zaledwie kilkunastu.

Grozę sytuacji potęgował trwający bez przerwy ruch kolejowy, głównie obejmujący transporty wojskowe ze wschodu. Przejeżdżały oddziały najrozmaitszych narodowości, często liczące do tysiąca ludzi, przeważnie uzbrojone. Jeden taki transport mógłby wówczas wystarczyć do zajęcia całego Lwowa. Było to wprawdzie zbiorowisko ludzkie zupełnie zdemoralizowane, gnane na zachód pragnieniem powrotu do domu, niemniej jednak umięjące się zdobywać na solidarne groźby, gdy szło o zadowolenie ich potrzeb materialnych. W dzień było pół biedy, puszczaliśmy transporty na zachód po załatwieniu niezbędnych formalności. Od zmroku jednak, gdy wzrastała obawa rabunku, trzeba było cały transport zamykać w wielkich salach Dworca i trzymać pod strażą, aby za dnia skierować w dalszą drogę. Udawało się to tylko dlatego, że na Dworcu panował bardzo duży ruch, w którym nikt nie mógł się zorientować. Tłumom żołnierstwa, wracającego z frontu, wydawało się, że mamy liczne i doskonale uzbrojone siły.

Aby chociaż w pewnym stopniu opanować orgję pijaństwa, nakazałem niszczenie wagonów z alkoholem. Wkrótce

jednak nadeszło żądanie ze szpitala na Politechnice, ażeby zachować alkohol dla celów leczniczych. Akcję niszczenia trzeba więc było przerwać, tem bardziej, że wśród kilku tysięcy wagonów niełatwo się było zorjentować, które z nich zawierają ten niebezpieczny płyn.

Ukraińcy zachowywali się w nocy z 2 na 3 listopada względnie spokojnie i wydarzyły się tylko nieznaczne potyczki patroli. Natomiast formalne walki trzeba było staczać z szumowinami podmiejskimi, których agresywność wzmagala się z każdą chwilą tak, że coraz liczniejsze gromady, uzbrojone w łatwo już tego dnia dostępną broń, rzucały się na magazyny.

Tej nocy i w ciągu dnia działało jeszcze połączenie telefoniczne pomiędzy Dworcem Głównym i Dworcem Podzamcze. Od funkcjonującego tam urzędnika polskiego otrzymałem informacje, że Dworzec Podzamcze jest obsadzony przez Ukraińców i że przyjechała tam jedna, czy dwie kompanie, które mają iść albo na Górę Zamkową, albo w kierunku Dworca Głównego.

Przed wieczorem 3 listopada dowiedziałem się, że nadjeżdża transport ukraińskich Strzelców Siczowych i że ma atakować Dworzec. Prawie jednocześnie przybył z Podzamcza ogromny transport maruderów, stłoczonych jak śledzie w beczce w sali III klasy.

Obsada Dworca liczyła wówczas najwyżej 50—60 ludzi trzeźwych i gotowych do walki. Z taką ilością można było pozwolić sobie zaledwie na rozesłanie kilku patroli, dozorujących bezpieczeństwa magazynów. Gros załogi trzymałem w garści, ażeby odeprzeć ewentualne natarcie siczowników.

Zaczęło się ono wieczorem, w ciemnościach, przy akompaniamencie gęstego ognia wzdłuż torów od południa i od strony Dworca Czerniowieckiego w kierunku placu przed Dworcem, a więc od strony miasta. Przedarła się tam jakaś kompania ukraińska. Nieprzyjaciel szybko opanował plac przed Dworcem, na stopniach którego zginął wówczas chor. Kolbuszowski. Ukraińcy rzucili przez okna do poczekalni 3 klasy kilka granatów ręcznych, które eksplodowały wśród natłoczonych tam maruderów. Wówczas stało się coś strasznego. Tłumy oszalałego ze strachu żołnierstwa austriackiego rzuciły się z wyciem do okien i drzwi, powstał niemożliwy do opisanego wrzask, wytworzyła się strzelanina, słowem, zapanowało istne piekło. Wrażenie tej

sceny wśród ciemności i w łunach pożaru, który wybuchł w różnych zabudowaniach Dworca, było tak wstrząsające, że kompanja ukraińska, biorąc wyskakujące oknami i drzwiami tłumy maruderów za posiłki polskie, szybko opuściła plac i wycofała się z terenu walk.

O utrzymaniu jakiegokolwiek porządku nie było mowy. Przy każdym z pośród nas, oficerów, zostało po kilku żołnierzy, byliśmy od siebie porozdzielani, jak również odcięci przez tłum od dalszych części Dworca, a więc i od miasta. W tej sytuacji powrócił jeden z patroli, od którego otrzymałem wiadomość, że nowy oddział ukraiński naciera wzdłuż torów od strony Kulparkowa wprost w kierunku głównego gmachu Dworca.

Wybiegłem ze swoimi ludźmi mniej więcej na wysokość południowego skraju budynku. Stanęliśmy w poprzek torów. Ukraińców przypuściłem blisko, licząc, że w nocy najskuteczniej będzie można działać przez zaskoczenie. Gdy zbliżyli się na kilkadziesiąt kroków, krzyknąłem: „hurra“ i do „ataku“, poczem rzuciłem się naprzód. Tymczasem ludzie moi, widocznie pod wpływem krańcowego przemęczenia i pod wrażeniem scen, rozgrywających się na Dworcu, zostali w tyle, a potem cofnęli się w głąb hali dworcowej. W jednej chwili zostałem otoczony, rozbrojony i pod eskortą odesłany wtył. Za sobą widziałem łunę pożaru, grzechot beładnej strzelaniny i nieludzkie wrzaski, co wszystko razem składało się na obraz, który głęboko utrwalił się w mej pamięci.

Dwaj konwojenci, starsi już wiekiem żołnierze, prowadzili mnie wzdłuż torów w kierunku Kulparkowa. Z trudem orjentowali się w terenie, szli powoli, rozglądając się trwożliwie dokoła. W pewnej chwili wykorzystując ich nieuwagę, wsunąłem się pod wagony i prześlizgnąłem przez kilka torów, poczem ukryłem się w jednym z wagonów.

Jak potem dowiedziałem się od podwładnych mi oficerów, Ukraińcy zajęli Dworzec prawie bez oporu. Zamieszanie jednak było tak wielkie, że część naszej załogi się utrzymała. Wkrótce przybył nowy mały transport ukraiński, parowóz z 1—2 wagonami z Podzamcza. Oficerowie ukraińscy nie zdolali jednak opanować położenia, ludzie wysunęli im się z rąk a pożar magazynów i maruderzy spotęgowali grozę położenia.

O świcie wyszedłem z mego ukrycia i zacząłem zbliżać się ku Dworcowi. Nie miałem już nic do stracenia — zwłaszcza, że absolutnie nie mogłem się zorientować, co i gdzie się dzieje. Byłem zaniepokojony nie tylko o Dworzec, ale i to przede wszystkim o losy miasta. W stronę Dworca skierowałem się odruchowo. Nikt mnie nie zatrzymał, dotarłem więc bez przeszkód na miejsce. W jednej z sal ujrzałem niezwykle widok: kilku oficerów ukraińskich i polskich, zajętych gwałtowną dyskusją, pod ścianą kilku żołnierzy polskich bez broni, która złożona została w kącie. Gdy podszedłem, wszyscy zwrócili się ku mnie, mówiąc o jakiejś umowie, zawartej na podstawie wspólnego posiadania Dworca celem stłumienia rabunków, ocalenia magazynów i t. p. Z trudem zacząłem się orjentować w chaosie słów i w ogólnym zdenerwowaniu. Dopiero gdy jeden z oficerów ukraińskich, porucznik, w czasie dyskusji przemówił: „ja, jako komendant Dworca“, uniosłem się i krzyknąłem, że ja jestem komendantem Dworca, a żadne umowy mnie nie obchodzą. Następnie wezwałem naszych żołnierzy do wzięcia zabranych im karabinów i oficerom ukraińskim oświadczyłem, że są w niewoli. Tymczasem dowiedziałem się, że przed moim przyjściem odjechał na Podzamcze parowozem oficer ukraiński celem zdobycia zgody na umowę zawartą z polskimi oficerami na Dworcu.

Zaczęło się organizowanie obsady Dworca na nowo, wśród ciągłej strzelaniny, pochodzącej z kierunku magazynów, w których odbywał się rabunek (zdaje się, że na spółkę Ukraińców z szumowinami). Równocześnie wysłałem meldunek o przebiegu zdarzeń do Komendy Naczelnej. Koło godziny 7-mej spadł na Dworzec nowy grad kul od strony miasta. Okazało się, że to por. Abraham, zawiadomiony o upadku Dworca, szedł ze swoim oddziałem zdobywać tę pozycję i już z przyzwyczajonej odległości zaatakował ją ogniem. Nieporozumienie wkrótce się wyjaśniło. O tem, jak daleko posunięty był brak łączności z Komendą Naczelną, świadczy fakt, że jednak w komunikacie bojowym z tego dnia oddziałowi por. Abrahama przypisano zasługę zdobycia Dworca.

Nie pamiętam, jak długo po odebraniu Dworca sprawowałem jego komendę. Był to już jednak odcinek martwy i wobec tego namyślałem się nad przeniesieniem się gdzieś indziej. Tymczasem

przybył do mnie por. Łapiński-Nilski i zaproponował mi wejście do Komendy Naczelnej ze specjalnem zadaniem prowadzenia rokowań z Ukraińcami. Przyjąłem tę propozycję.

Jakie były przyczyny decyzji oficjalnych czynników co do rokowań z Ukraińcami — nie wiem, ponieważ żadnych bliższych wyjaśnień nie otrzymałem. W ciągu pełnienia mojej misji delegata Komendy Naczelnej, utrwaliło się we mnie przekonanie, że były to przyczyny charakteru trojakiego. Przedewszystkiem o rozpoczęciu rokowań zadecydował nacisk sfer politycznych, uosobionych w Polskim Komitecie Narodowym. Organizacja ta, powstała z inicjatywy i z zapewnioną przewagą członków narodowej demokracji, załamała się moralnie odrazu po pierwszych strzałach i pragnęła doprowadzić do przerywania walk, choćby kosztem daleko idących ustępstw. Ludzie ci nie rozumieli, że to co było możliwe, a nawet pożądane przed rozpoczęciem walki, obecnie sprawiałoby wrażenie kapitulacji pod naciskiem przewagi ukraińskiej. Właśnie ze względu na przyszły kongres pokojowy, w którym tyle nadziei pokładał P. K. N., nie wolno nam było okazać się słabszymi od Ukraińców i narzuconą nam wojnę należało prowadzić aż do zwycięskiego rozstrzygnięcia.

Z wojskowego punktu widzenia odgrywały rolę dwie przyczyny. Jedną z nich były konieczności humanitarne wynikające z działań wojennych w wielkiem mieście, jak sprawa zabitych i rannych, zaopatrzenia ludności mieszkającej w strefie działań bojowych, sprawa zabezpieczenia obiektów użyteczności publicznej, jak wodociągi, gazownia, elektrownia, szpitale, muzea i t. p. Umowy zawierane w tych sprawach dotyczyły niejednokrotnie wąskich odcinków bojowych i na położenie bojowe w całości kształcie wpływu nie miały. Ogromne zato było ich znaczenie dla ludności miasta, która w wielu dzielnicach, zwłaszcza koło Cytadeli, na ulicach Słowackiego i Kopernika, oraz w kwadracie naokoło ogrodu Jezuickiego i przy Dyrekcji Kolejowej znosiła niewysłowione katusze.

Znacznie poważniejszy charakter miała druga przyczyna, skłaniająca do rokowań czynniki wojskowe. Leżała już ona ściśle w sferze nastrojów, poglądów i oceny położenia, kształtujących się w Komendzie Naczelnej. W ciągu pierwszych kilku dni walki rozwijały się samorzutnie, wciągając coraz większe gromady ludzi owianych gorącym patriotyzmem. W miarę jednak, jak walki

zaczęły się przedłużać, nastroje się obniżały, doprowadzając do kilkakrotnych kryzysów. Panowało uczucie niepewności, chwilami słabła wiara w celowość niewspieranej znikąd obrony. Niemalą rolę w takim kształtowaniu się nastrojów odgrywało zupełne odcięcie Lwowa od świata. Odczuwaliśmy wszyscy ciężko brak konkretnych wiadomości z kraju, wszystko przedstawiało się mglisto, krążyły najrozmaitsze, czasem fantastyczne pogłoski o fermentie rewolucyjnym w Warszawie, Krakowie i Lublinie, o panującym jakoby w całej Polsce chaosie i zupełnej obojętności na losy Lwowa. Wątpliwości, ujawniające się wszędzie, znalazły poważne odbicie w Komendzie Naczelnej, spotęgowane raportami z odcinków, które mówiły o skrajnym przemęczeniu walczących. Zdawało nam się wówczas, głównie z powodu braku wiadomości, że u przeciwnika jest znacznie lepiej, że góruje on nad nami nie tylko liczbą, lecz uzbrojeniem, zaopatrzeniem, wyszkoleniem i organizacją. Miano przesadne pojęcie o wartości oddziałów Strzelców Siczowych i doszło do tego, że wkońcu widziano je wszędzie, że każdy odcinek meldował jakoby walczył z „siczownikami“. W rzeczywistości nastroje były nieszczególne i to, co się czyta w literaturze popularnej i we wspomnieniach, utrwalających legendę Lwowa, jest grubą przesadą. Nic dziwnego, że w takich warunkach sugestje, pochodzące z Polskiego Komitetu Narodowego, znalazły pewien oddźwięk w Komendzie Naczelnej, w której myśl jakiegoś układu z Ukraińcami, oczywiście na dobrych warunkach, nie była obca. Trzeba jednak przyznać, że pomiędzy ciężką moralną Komendą a prądami nurtującymi wewnątrz Komitetu, istniała cała przepaść i podczas, gdy ze strony czynników politycznych rokowania z Ukraińcami traktowane były, jako droga do osiągnięcia co najmniej długotrwałego rozejmu, to ze strony decydujących czynników wojskowych uznano je za cel sam w sobie. Komenda Naczelna traktowała bowiem rokowania, jako łudzenie Ukraińców, przewlekanie ich nadziei i uzyskiwanie rozejmów celem przedłużenia obrony. Z czasem stało się regułą, że nasza gotowość rozmów rosła w miarę niepowodzeń bojowych, słabła zaś, gdy położenie się poprawiało. Wprawdzie Ukraińcy stosowali podobną taktykę, lecz myśmy byli w położeniu o tyle korzystniejszym, że dla nas przewlekanie stanowiło kwestję doczekania się pomocy ze strony kraju, który się szybko orga-

nizował, podczas gdy Ukraińcom powinno było zależeć na jak najszybszym rozstrzygnięciu wojny. Co do rokowań i wszelkich mirażów ustępstw miałem pozostawione dość rozległe pełnomocnictwa ze strony kpt. Mączyńskiego, jednak wszystkie instrukcje, które od niego otrzymałem, kładły zawsze największy nacisk na przewlekanie i niedoprowadzenie do konkretnych wyników.

Orazu po zejściu z Dworca użyty zostałem do rokowań, prawie bez informacji o ich celu i bez specjalnego wprowadzenia w sytuację ogólną. Pierwsze pertraktacje doprowadziły do zawarcia kilku umów lokalnych, o charakterze przed chwilą opisanym. Pierwsze zawieszenie broni, obejmujące cały front, zawarłem 9 listopada po naszym nieudalym natarciu w ogrodzie Jezuickim.

Rokowania odbywały się z reguły w zajętej przez Ukraińców części miasta, w lokalu Izby Handlowo - Przemysłowej przy ul. Akademickiej. Delegatem komendy ukraińskiej był sotnyk Bukszowany, b. oficer austriacki, uprzejmy w obęjściu, zawsze porządnie ubrany. Oczekiwał mnie zwykle w umówionym punkcie przekroczenia frontu, poczem jechaliśmy autem na ul. Akademicką. W drodze i w przerwach podczas obrad prowadziliśmy pogawędki prywatne i z czasem zadzierżgnęły się pomiędzy nami nici wzajemnej kurtuazji, a kpt. Bukszowany, uczestnicząc w rokowaniach także później, za czasów dowodzenia gen. Rozwadowskiego, odwiedził mnie nawet kiedyś na odcinku.

Wielki wpływ na przebieg rokowań z Ukraińcami wywierał mieszczący się w zajętej przez nich części miasta Polski Komitet Narodowy. Brałem udział w kilku zaledwie jego posiedzeniach i to przeważnie w ekspozyturze Komitetu znajdującej się po naszej stronie. Przychodziłem tylko wówczas, gdy nie mógł być obecny kpt. Mączyński, który zwykle bywał na posiedzeniach osobiście. Myślę, że przez tę ekspozyturę płynęły do Komendy wszystkie nastroje defetystyczne z ukraińskiej części miasta.

Polski Komitet Narodowy utrwalił się w mej pamięci, jako zbiorowisko ludzi w większości niezbyt wierzących w powodzenie obrony i za wszelką cenę dążących do przerwania walki. Kilka jednostek o mężniejszym sercu hamowało z wysiłkiem ustępliwość większości, ale nie zdołało aż do końca nadać tonu. Kontakt mój z Komitetem polegał na tem, że ja, po przyjeździe

na stronę ukraińską, ustalałem z Komitetem ogólny porządek i plan rokowań, w których następnie stałem na straży interesów wojska i Komendy. Miałem za zadanie informować Komitet o położeniu, lecz po zorientowaniu się w nastrojach czyniłem to, odbiegając od prawdy i malując sytuację w barwach różowych, aby nie powodować dalszego upadku ducha wśród polityków lwowskich. Ukraińcy przeważnie nie narzucali swej obecności przy rozmowach, które miałem z członkami Komitetu, zdaje mi się, że przeceniali rozległość wpływów, jaki Komitet, wedle ich zdania, wywierał na Komendę polską. Nieostrożność swą posuwali tak daleko, że kilkakrotnie udało mi się rozmawiać z ludnością cywilną podczas wysiadania z auta, a ponieważ kilka razy trafiłem na znajomych, więc miałem okazję puszczania różnych wiadomości dla podniesienia ducha ludności polskiej.

W czasie jednego z takich wyjazdów byłem w Naczelnej Komendzie ukraińskiej. Zdumiony zostałem przede wszystkim dbałością jej członków o bezpieczeństwo osobiste. Wszyscy byli uzbrojeni od stóp do głów, a w salach, na podwórzu i przed gmachem kręciły się tłumy żołnierstwa, conajmniej ze dwie kompanie. Gdy się porówna ten obraz ze stosunkami w naszej Komendzie, w której jedyną eskortą byli gońcy, używani do roznoszenia rozkazów, łatwo będzie wówczas zrozumieć, jak obco czuły się we Lwowie władze ukraińskie.

Drugim zjawiskiem, które zaobserwowałem w ciągu moich przyjazdów do ukraińskich lokali urzędowych, było niesłychane zamięszanie, chaos i bezplanowość. Tajemnicy rozmów nikt nie przestrzegał. Wdawano się chętnie w pogawędki prywatne, z których można było wysnuć wiele cennych spostrzeżeń. I tak n. p. miało dla nas dużą wartość spostrzeżenie, że Ukraińcy również przeceniają nasze siły, nie wierzą w zwycięstwo i przeżywają kryzys moralny w stopniu jeszcze jaskrawszym, niż my. W rokowaniach naogół szli za wszelką cenę do ugody i to na podstawie znacznych ustępstw. Kategorycznym z ich strony warunkiem było uznanie przez nas państwowości ukraińskiej, od tego uzależniali wszelkie ustępstwa. Ustępliwość ich stanie się o tyle zrozumiałą, że dla nich istotnie każdy układ polityczny w imieniu państwowości ukraińskiej miał bezcenną wartość, zwłaszcza wobec Paryża, coś dopiero, gdyby zawierał

uznanie suwerenności państwa ukraińskiego nad Lwowem. Za taką cenę warto było pójść na jak najdalsze ustępstwa.

Chwilami Ukraińcy nie byli dalecy od osiągnięcia swego celu. W Polskim Komitecie Narodowym pracowano bowiem poważnie nad projektem układu na zasadzie condominium polsko-ukraińskiego. Nie przypominam sobie nawet treści tego projektu, choćby w ogólnym zarysie, nie brałem go bowiem nigdy na serjo, utkwiły mi jednak w pamięci takie punkty, jak wspólne wojsko i policja, zarząd miasta i t. d. W połowie listopada, w okresie najcięższej naszej sytuacji bojowej doszło prawie do ostatecznego sformułowania projektu ugody. W praktyce rozбивało się jednak wszystko o sprzeciw Komendy Naczelnej z której ramienia, aby przewlekać rokowania, zgadzałem się zwykle na omawianie z Ukraińcami poszczególnych punktów umowy, a gdy dochodziło do rozważań o całości, rozбивałem rokowania o kwestję suwerenności. Wogóle sprawa uznania państwowości ukraińskiej była traktowana przez nas, jako furtka do zrywania rokowań, gdy okazywały się one chwilowo zbyt cenne.

Za mało orjentowałem się w stosunkach politycznych we Lwowie i zbyt dorywczy był kontakt mój z działaczami Polskiego Komitetu Narodowego, abym potrafił scharakteryzować zachowanie się poszczególnych osób. Mogę tylko na podstawie pamięci stwierdzić, że rej wodzili w obydwu komitetach pp. Skarbek, Dubanowicz, Cieński, Chlamtacz i Stahl i o ile dobrze pamiętam, to przedstawiciel P. P. S. — Szczyrek. Poważny wpływ wywierał także p. Hausner, który jakkolwiek z początku wstrzymywał się od wezwania robotników oficjalnie w imieniu P. P. S., jednak później współdziałał z naszymi wysiłkami. Rokowania trwały naogół przez cały czas listopadowej obrony Lwowa i z wyjątkiem kilku przerw, prowadzone były codziennie. Do 17 listopada miały one na celu łudzenie Ukraińców, odwlekanie decydującego z ich strony nacisku i zapewnienie wytchnienia przemęczonej załodze. Ostatnie najdłuższe, bo dwudniowe, a potem jeszcze na jeden dzień przedłużone zawieszenie broni miało już z naszej strony określony charakter przygotowania do decydującego natarcia wspólnie z odsieczą i przyniosło nam nieobliczalny pożytek.

Jakie były stosunki pomiędzy Komitetem i kpt. Mączyńskim, nie umiem powiedzieć, ponieważ nigdy nie braliśmy

udziału w posiedzeniach razem. W instrukcjach, które ja od niego otrzymywałem, nie widziałem głębszego echa nastrojów komitetowych, przeciwnie miałem polecane traktować rokowania jako manewr, mający na celu ulżenie nam w sytuacji i nie wiązać się żadnymi zobowiązaniami, co do ewentualnych ustępstw na rzecz Ukraińców.

Po powrocie z rokowań składałem sprawozdania nietylko w Komendzie lecz także w ekspozyturze Komitetu Narodowego, nazywającej się po naszej stronie Komitetem Bezpieczeństwa. Nastroje tutaj niewiele przewyższały to, czego świadkiem byłem po drugiej stronie linii bojowej. Okresem najgorszego upadku ducha był czas koło 15—16 listopada. Miałem wówczas ciężką przeprawę z Komitetem, który zabrnął daleko w swoich ustępstwach na rzecz Ukraińców i musiałem pod jakimś błahym pretekstem zerwać rokowania, ściągając na siebie oburzenie niektórych członków Komitetu. Mączyński jednak i wtedy zachowywał się z godnością i nie mogę go zaliczyć do tych, którzy gotowi byli skończyć walkę za wszelką cenę. Raczej wyrobiło się wówczas we mnie to przekonanie, że w tym okresie Mączyński starał się zdobyć sobie pewną niezależność od stronnictwa, z którym związany był przeszłością i że pomiędzy nim, a jego przyjaciółmi politycznymi zarysowały się wówczas poważne przeciwieństwa. Tylko w ten sposób tłumaczyłem sobie rozbieżności między zachowaniem się jego i polityków, z którymi łączyły go węzły partyjne, a którzy decydowali, dzięki swej przewadze liczebnej, o linii politycznej Komitetu.

Nieprzyjemnym epizodem w rokowaniach polsko-ukraińskich był przyjazd do Lwowa por. Villaine'a w dniu 19 listopada. W dniu tym sytuacja nasza była gruntownie zmieniona na skutek pewności, że odsiecz ppłk. Tokarzewskiego nazajutrz będzie na miejscu. Dalszy rozejm nie był nam już potrzebny, przeciwnie, w naszym interesie leżało jak najszybsze rozpoczęcie działań bojowych, aby wykorzystać efekt odsieczy, zanim Ukraińcy zdobędą ściśle wiadomości o jej prawdziwych siłach. Tymczasem por. Villaine, występując odrazu z wielkim tupetem, jako przedstawiciel Entente'y, zjawił się w naszej Komendzie, pojechał do Metropolity Szeptyckiego, potem do Komendy Ukraińskiej, słowem, rozpoczął działalność negocjatorską w skali arduo rozległej. Korzystając z autorytetu przedstawiciela En-

tente'y, rządził się jak u siebie, zapowiadając, że załatwi całą sprawę zlikwidowania konfliktu polsko-ukraińskiego i żądał trwałego zawieszenia broni. Rola tego oficera wywołała wiele zamieszania, tem bardziej, że nie wynikała ze zrozumienia sytuacji lwowskiej.

Przedewszystkiem por. Villaine zażądał przedłużenia trwającego od 17 listopada zawieszenia broni. Pod kategorycznym jego naciskiem zgodziliśmy się na przedłużenie o 24 godziny, t. j. do świtu dnia 21 listopada, licząc, że damy w ten sposób niezbędny odpoczynek oddziałom odsieczy. Następnie por. Villaine zażądał prowadzenia dalszych rokowań na zasadach dualizmu w rządzeniu krajem. Postanowiliśmy wówczas wysunąć nowe żądania, aby uniemożliwić porozumienie. Ukraińcy zgodzili się rokować na dotychczasowej platformie. Ponieważ mogły stąd wyniknąć dla nas pewne niebezpieczeństwa natury politycznej, ustaliliśmy w Komendzie, że kiedy ja będę po stronie ukraińskiej, a ppłk. Tokarzewski przyjedzie do Lwowa, wówczas Komenda wyśle do mnie pod jakimkolwiek pozorem łącznika, który mi tę ważną wiadomość zakomunikuje, a wówczas doprowadzę do zerwania rokowań.

Tak się też stało. Gdy tylko odsiecz przybyła do Lwowa, kpt. Mączyński wysłał Dr. Węgrzynowskiego pod pozorem zaproponowania Ukraińcom dodatkowych punktów natury sanitarnej. Dr. Węgrzynowski zdołał bez zwrócenia uwagi zawiadomić mnie, że ppłk. Tokarzewski już jest. Wówczas wniosłem do projektu umowy nowe warunki, na które Ukraińcy się nie zgodzili i rokowania zostały przerwane. Utrzymało się w mocy jedynie 24-godzinne przedłużenie zawieszenia broni. Gdy powróciłem do Komendy Naczelnej, zastałem już ppłk. Tokarzewskiego. W nocy z 20 na 21 listopada Ukraińcy przysłali nam jeszcze parlamentarjuszy, ale to już do niczego nie doprowadziło.

W czasie mego udziału w rokowaniach mogłem stwierdzić, że główną przyczyną defetystycznych nastrojów w Polskim Komitecie Narodowym był jego pobyt pod okupacją ukraińską. Władze ukraińskie tolerowały P. K. N., rozmawiały z nim i pozwalały mu rozwijać pewną działalność, jednocześnie jednak starały się wpływać w kierunku osłabienia jego siły moralnej i tak n. p. wiadomości o każdym naszym niepowodzeniu dochodziły do P. K. N-u ze źródeł ukraińskich, odpowiednio wy-

olbrzymione, każdy nasz sukces — odpowiednio zatuszowany. Oczywiście były i pewne dodatnie skutki istnienia P. K. N-u po stronie ukraińskiej, wyrażające się w jego zabiegach na rzecz ulżenia doli ludności polskiej po drugiej stronie frontu bojowego, nie było to jednak niezbędne, bo przecież i w zajętej przez nas części miasta mieszkali Ukraińcy, tutaj również mieściły się niektóre ważne dla nich instytucje, jak chociażby wszystko związane z cerkwią św. Jura i działalnością Metropolity Szeptyckiego. Niewątpliwie więc władze ukraińskie były w swoim stosunku do ludności polskiej krępowane poczuciem, że wszelkie z ich strony represje mogą znaleźć oddźwięk po drugiej stronie frontu bojowego.

Na zakończenie wspomnieć muszę, że rokowań nie prowadzono zbyt formalistycznie. Ilość uczestników była dość płynna, przeważnie jednak do stołu obrad zasiadało kilkanaście osób, a rozmowy miały nieraz charakter swobodnych dyskusyj. Komendę polską przez cały czas reprezentowałem ja, ukraińską — kpt. Bukszowany. Wszystkie umowy o charakterze czysto wojskowym sporządzaliśmy z kpt. Bukszowanym oddzielnie, bez uczestnictwa polityków jednej i drugiej strony, którym dawaaliśmy nasze postanowienia do wiadomości w formie gotowej.



KWESTJONARJUSZ DO PŁK. MĄCZYŃSKIEGO W SPRAWIE LISTOPADOWEJ OBRONY LWOWA

I. Sprawa planu działania na wypadek zamachu
na miasto.

Czy Pan Pułkownik przewidywał przed wypadkami 10
okresu sierpnia, zamachu w Konarskim Ławach?

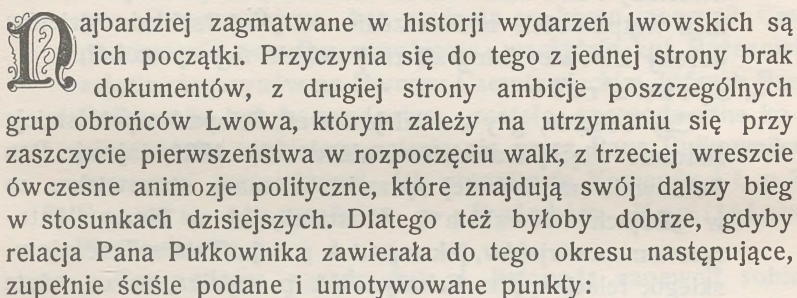
Czy szef Pan Pułkownik z ministrem wojny? Czy też
z ministrem P. K. W. wyjechał do Moskwy i lwowskich orga-
nizacji politycznych? Czy plan działania, który Pan Puł-
kownik tak często mówił w „Dzienniku lwowskim”, był
zgodny z planem akcji centralnej, czy też w większym stop-
niu? Czy plan Pułkownika był takim samym?
Czy został skierowany do pułku? Czy tamże i mógł być
zrealizowany?

II. Sprawa przygotowań do obrony polskiej czoł-
niwej przeciwko wrogu i organizacyjnej.

Czy lwowski organizm polityczny, a mianowicie
miasto, z którym Pan Pułkownik był w bliskim kontakcie,
był w stanie do walki? Czy lwowski organizm polityczny?
Czy przygotowania były takie same? Czy miasto było
w stanie do walki? Czy lwowski organizm polityczny?

WOJSKOWE BIURO
HISTORYCZNE

KWESTIONARIUSZ DO PLK.
MACZYŃSKIEGO W SPRAWIE
LISTOPADOWEJ OBRONY LWOWA



Czy Pan Pułkownik przewidywał przed wypadkami, że obejmie naczelne stanowisko w Komendzie Lwowskiej? Czy działał Pan Pułkownik z inicjatywy własnej, czy też z mandatu P. K. W., względnie której z lwowskich organizacji politycznych? Czy plan działania, który Pan Pułkownik tak obszernie rozwija w „Bojach lwowskich“, był ustalony przez Niego osobiście, czy też w większym gronie? Czy poza Panem Pułkownikiem był komu znany? Czy został ujęty na papierze i czy istnieją i mogą być okazane jego ślady?

Czy lwowskie organizacje polityczne, a między innymi narodowa, z którą Pan Pułkownik był w bliższym kontakcie, liczyły się poważnie z możliwością zamachu ukraińskiego? Czy przedsięwzięły jakie środki zaradcze? Czy starano się wyzyskać urzędników polskich w namiestnictwie, oraz polski w większości charakter władz miejskich, dyrekcję policji

i t. d. Jakie było stanowisko tych władz lub osób, zajmujących tam poważniejsze stanowiska?

3. Sprawa utworzenia wspólnej Komendy.

Sprawa ta dotychczas wywołuje liczne komentarze i nie pozwala na ostateczne ustalenie rzeczywistego stanu rzeczy. Jak wynika z załączników w drugim tomie „Bojów lwowskich“, jest Pan Pułkownik w posiadaniu protokołu zebrania przedstawicieli polskich organizacji wojskowych we Lwowie, które odbyło się 31 października 1918 r. Czy nie uważałby Pan Pułkownik za wskazane, dla przecięcia wszelkich wątpliwości, umieszczenie w „Źródłach do dziejów obrony Lwowa“ fotograficznej odbitki tego protokołu?

4. Sprawa redut.

Czy obecnie, gdy do dziejów walk listopadowych istnieje znacznie więcej materiałów, niż w roku 1921, zajmuje Pan Pułkownik nadal w tej sprawie to samo stanowisko, co w „Bojach lwowskich“? Z istniejących w Biurze Historycznym materiałów, jak raport ś. p. mjr. Tatara-Trześniowskiego, relacja ppłk. Felsztyna i t. p. wynika, że za redutę taką w żadnym razie nie możnaby uważać Szkołę Sienkiewicza, a przecież jest faktem niewątpliwie ustalonym, że w ciągu kilku pierwszych dni listopada odegrała ona rolę głównego ośrodka, z którego podsycane były walki we Lwowie. A poza Szkołą Sienkiewicza i Domem Techników inne reduty w dniu 1 listopada nie ujawniły się.

Na str. 66 „Bojów lwowskich“ pisze Pan Pułkownik, że na wiadomość o wyruszeniu Ukraińców z koszar wydał w nocy z 31 października na 1 listopada rozkazy do redut treści: „Napadnięci bronić się! Tymczasem zdobywać broń!“ Do kogo rozkazy te były skierowane? Względnie — do których redut? Czy „zdobywanie broni“ było przygotowane zawczasu?

5. Sprawa zdobycia magazynu broni na Dworcu Czerniowieckim.

Komu z P. K. W. i P. O. W. wydał Pan Pułkownik rozkaz zbiórki po 150 ludzi przy kościele św. Elżbiety? Zebrane do tej pory relacje nie dają ku temu materiału, a ś. p. mjr. Trześniowski w swoim raporcie wspomina, że popołudniu 1 listopada otrzymał telefoniczny rozkaz

(niewiadomo od kogo) do wymarszu na plac przed kościołem, przemaszerował tam i nie zastawszy nikogo, powrócił do Szkoły. W „Bojach lwowskich“ pisze Pan Pułkownik, że w czasie jego nieobecności „wyznaczono“ na komendanta wyprawy po broń kpt. Rożena. Kto tę zmianę spowodował? Relacje, a między innymi i prof. Jakubski, twierdzą, że kpt. Rożen, jak i inni jeszcze oficerowie, czekali na „coś“ przed kościołem, lecz żadnego rozkazu nie mieli. Czy po wyjeździe Pana Pułkownika na zebranie do miasta nie zaszło wypadkiem odwołanie rozkazu w stosunku do por. Brzozowskiego, bez wydania go komu innemu? Czy powierzenie por. Brzozowskiemu, względnie kpt. Rożenowi zajęcia magazynów na Dworcu Czerniowieckim, których Pan Pułkownik był komendantem, zostało spowodowane koniecznością osobistego zajęcia się przez Pana Pułkownika sprawami ważniejszymi, jak organizacja Komendy i t. p.?

6. Sprawa stosunków z Polskim Komitetem Narodowym.

Czy podczas narady dnia 1 listopada zapewnił sobie Pan Pułkownik, że decyzje, mogące mieć wpływ na działania wojskowe, muszą uzyskać Jego aprobatę? Opis Pana Pułkownika w „Bojach lwowskich“ o zawieszeniu broni w dniu 2 listopada świadczy, że zrobiono to bez uprzedniego zawiadomienia Pana Pułkownika. Jak sprawa ta przedstawiała się w dalszych rokowaniach i zawieszeniach broni? Czy nie zna Pan Pułkownik przyczyn, dla których P. K. N. pozostał w zajętej przez Ukraińców części miasta?

7. Sprawa rokowań z Ukraińcami.

Z „Bojów lwowskich“ domyślić się można, że w P. K. N-ie panowała depresja, wyrażająca się nawet w projektach condominiumu polsko-ukraińskiego, że wywierano w tym kierunku presję na Komendę Naczelną. W rozmowie ze mną wspominał Pan Pułkownik, że pewnym ludziom groził nawet kulą w łeb. Czy te nastroje znalazły odbicie w rokowaniach z Ukraińcami? Czy może Pan Pułkownik wymienić tych, którzy je siali? W rozmowie ze mną zastrzegął się Pan Pułkownik, że sprawy brudne przemilczy, ale przecież obrona Lwowa była rzeczą tak piękną, że nie straci blasku nawet po ujawnieniu wszystkich

cieni. Była przytem dziełem ludzkim, nie mogła więc być w każdym szczególe idealnie przeprowadzona. Zadaniem historii jest dawać realny obraz wydarzeń, oparty na prawdzie. W imię prawdy zatem powinien Pan Pułkownik uchylić zasłonę z rzeczy nieznanych, a ważnych.

8. Zawieszenie broni 2 listopada.

Czy może Pan Pułkownik podać swoją ocenę sytuacji w chwili, kiedy Dr. Stahl przyszedł z wiadomością o rozejmie? Czy była to ocena optymistyczna, czy pesymistyczna. W „Bojach lwowskich“ pisze Pan Pułkownik, że do uznania zawieszenia broni skłoniły go pewne motywy polityczne. Jakie to były motywy? Czy były ważniejsze od ówczesnych względów wojskowych? Czy walkę uważał Pan Pułkownik za sprawę czysto wojskową, czy też mającą podlegać wpływowi kierownictwu czynników obywatelskich?

9. Sprawa rezerw.

Wspomina Pan Pułkownik w „Bojach lwowskich“ o pozostawieniu w śródmieściu kilkunastu dziesiątek P. K. W. „na podtrzymanie upadających redut lub tworzenie nowych“. Gdzie te rezerwy były umieszczone, pod czyjemi rozkazami, dlaczego w śródmieściu, skąd musiały się dopiero przedzierać przez front lub naokoło miasta?

10. Rola Komendy Naczelnej w czasie od 1 do 3 listopada.

Tak z „Bojów lwowskich“, jak i z szeregu relacyj wynika, że w czasie tym, kiedy wydarzenia rozgrywały się z wielką szybkością, a położenie ulegało ciągłym zmianom, konieczności organizacyjne zmuszały Pana Pułkownika do kilkakrotnych wyjazdów na posiedzenia P. K. N-u. Już z tego względu trudno mówić o ciągłym kierownictwie walką ze strony Naczelnej Komendy. Z czasów tych niema prawie zupełnie dokumentów. Czy mógłby Pan Pułkownik scharakteryzować rolę Komendy w tych dniach, w szczególności jej stosunek do Szkoły Sienkiewicza, która, zdaje się, miała sobie powierzone w tym czasie kierownictwo taktyczne, względnie sprawowała je siłą inercji?

Tyle co do początków akcji. Jeżeli idzie o dalszy ciąg, to wystarczy, gdy Pan Pułkownik zajmie się jedynie rolą

Naczelnej Komendy w czasie od 4 do 22 listopada, szczególnie gdy chodzi o wszystkie przedsięwzięcia na większą skalę, jak atak na Sejm, na Cytadelę, koszary Ferdynanda, Skniłów, Wulkę i wreszcie akcja dnia 21 do 22 listopada, oraz stosunkiem Naczelnej Komendy do P. K. N-u. Idzie nam bowiem o relację Pana Pułkownika ze szczebla Jego ówczesnej roli, a nie o szczegółowe przedstawienie historii wydarzeń. Do ustalenia przebiegu walk napływa ciągle dużo materiału, brakuje go natomiast, gdy chodzi o odtworzenie działalności komórek kierowniczych.

ODPOWIEDZ NA KWESTYJONARIUSZ
O LISTOPADOWEJ OBRONIE LWOWA



CEŚLAW MACIĄSKI

ODPOWIEDŹ NA KWESTIONARIUSZ
O LISTOPADOWEJ OBRONIE LWOWA

Na propozycję Wojskowego Biura Historycznego zdecydowałem się napisać do I t. „Źródeł do dziejów obrony Lwowa“ kilka uzupełnień do moich „Bojów lwowskich“, aby wyjaśnić niedość widocznie jeszcze wyświetlone szczegóły obrony tego miasta. W ciągu opracowywania tych uwag miałem dostęp do relacji prof. Jakubskiego, przeznaczonej do tego samego tomu. Pracy swej nie zamierzam nadawać charakteru polemicznego, nie będę więc odpowiadał na cały szereg ataków i zarzutów tego autora przeciwko mej osobie. Jeżeli zajmę się sprawami, które porusza Dr. Jakubski, to tylko dlatego, aby ułatwić pracę badawczą Towarzystwu badania historii obrony Lwowa i Wojskowemu Biuru Historycznemu przez bezstronne oświetlenie kilku zdarzeń, mających znaczenie ogólniejsze.

W odniesieniu do właściwej prośby Biura zaznaczyć muszę, że relację moją z listopadowego okresu walk lwowskich napisałem już dawno i wydrukowałem jeszcze w r. 1921 p. t.: „Boje lwowskie, cz. I. Oswobodzenie Lwowa“. Z relacji tej, opartej na pamięci i dokumentach, przytoczonych w dość znacznej liczbie z oryginałów, nie mógłbym ująć niczego. Nie miałem bowiem i nie mam najmniejszego zamiaru, ni chęci, zmieniać w jakikolwiek sposób prawdziwego przebiegu zdarzeń historycznych. Zostawiam to innym, żerującym wcale obficie na tej przeproszanej epopei walk polskich.

Nie wynika z tego jednak, bym w wydrukowanej swej relacji powiedział wszystko, co wiem o tych czasach, względnie, co o nich można powiedzieć. Przy pisaniu bowiem części pierwszej mego dzieła, liczyć się musiałem z tokiem i formą opowiadania, która szwankowałaby niechybnie, gdybym przeładował ją zbyt daleko idącymi szczegółami, rozważaniami, względnie

różnymi epizodami, ale uważać musiałem także na objętość dzieła, które rozrosło się pokaźnie, a przy powiększonej objętości mogłoby być nie znaleźć nakładcy. Nie wątpię wówczas i nie wątpię dziś, że uzupełnią opowiadanie moje dawni uczestnicy tych walk swymi relacjami, wspomnieniami, czy opowiadaniem. Dlatego to stałem i stoję na stanowisku, że obok mojej podstawowej, jak ja ją uważam, relacji jest miejsce na cały szereg dalszych, omawiających różne szczegóły, czy przedstawiających poszczególne epizody. Ja sam, gdybym mógł przelać na papier wszystko, co jeszcze o tych wspaniałych i górnych chwilach pamiętam, wypełniłbym kilkakrotnie większą ilość tomów, niż dotychczas napisałem. Nie uważam tego jednak za potrzebne w odniesieniu do mej osoby.

Współczesny, czy przyszły historyk, który zechce poznać całą prawdę ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami, będzie miał dosyć źródeł w tych najróżnorodniejszych opowiadaniach i w zachowanych dokumentach. Potrafi z nich przy krytycznym umyśle i bezstronnej chęci wyłuskać istotną prawdę. Dlatego to uważam pracę zainicjowaną przez Wojskowe Biuro Historyczne zbierania ocalałych dotychczas dokumentów, odnoszących się do całej obrony Lwowa, za istotną i w całej pełni poparcia godną. W miarę sił i możliwości moich współpracuję od początku w tej nader potrzebnej pracy.

We wstępie do wydanego mego dzieła zaznaczyłem wyraźnie, że „nie o wszystkim mogę, nie o wszystkim chcę pisać”. Choć dodałem, może nieco ogólnikowo, dlaczego to czynię, zaczęto mi z tego powodu czynić najrozmaitsze niejasne zarzuty, które nie zmuszają mnie do zejścia z raz zajętego stanowiska.

By jednak nie mogło być co do tej kwestji żadnych nie-domówień, uważam za stosowne wyjaśnić bliżej, o czym to nie chciałem i nie chcę pisać.

Obrona Lwowa i wszystkie walki o przynależność trwały do Polski Ziemi Czerwieńskiej, to przewspaniały objaw ofiarności i wytrwałości, bezgranicznego poświęcenia i bohaterstwa całej ludności polskiej Lwowa. Rozpoczęta w warunkach wprost beznadziejnych osiągnęła zupełne zwycięstwo dzięki powyżej wspomnianym, a naprawdę w najwyższej dozie okazanym przymiotom społeczeństwa polskiego, popartym rzadko w dziejach Polski spotykaną jednością wszystkich warstw i zawodów i skiero-

waniem wszystkich sił fizycznych i duchowych całego, jak ja często się wyrażałem, Genjusza Polski dla osiągnięcia wspólnego nam wszystkim celu.

Te świetlane karty dziejów wojennych Polski, powstającej z długoletniej niewoli do nowego życia, powinny, moim zdaniem, stanowić dla Narodu Polskiego wieczną krynicę nauki, jak należy żyć i pracować dla Ojczyzny, powinny nietylko pobudzać dumę narodową, ale i pouczać współczesne i przyszłe pokolenia, jak w groźnych dla Narodu chwilach, których napewne w przyszłości nie braknie, można i należy dążyć do zwycięstwa.

Osobiście nie wątpię, przeciwnie jest to moim najgłębszym przekonaniem, że niegroźne będą dla Polski jakiegokolwiek zawieruchy dziejowe, jeśli cały Naród Polski okaże te wszystkie przymioty i w takim stopniu, jak polskie społeczeństwo Lwowa w pamiętnych latach 1918 i 1919.

Ten cel, nazwijmy go dydaktycznym, stanowił dla mnie główną podnetę do przedstawienia jak najbardziej dokładnego Bojów Lwowskich, jak ja je nazwałem, i przyświecał mi stale w trakcie ich pisania. On to kierował mą wolą i mem piórem i skłaniał do tego, by w bezwzględnie prawdziwym przedstawieniu zaszytych faktów dziejowych pomijać skrupulatnie wszystkie zjawiska ujemne, omijać częstokroć ich przyczyny, jeżeli miały swe źródło w złej woli, partyjnem, czy organizacyjnem zaciętrzewieniu, czy nieumiejętności jednostek, unikać jakiegokolwiek polemiki z nieprawdziwymi, czy fałszywymi zdaniem i przedstawieniami innych.

Ten cel sprawił również, że przedstawienie moje Bojów Lwowskich jest prawie bezosobowe. Uczyniłem to świadomie. Stąd to tak mało w nich nazwisk; tak rzadko schodzę z nazwiskami poniżej komendantów odcinków. Uważałem i uważam bowiem, że przemawiać najsilniej winien sam czyn dokonany, a żołnierz, który go dokonał, spełnił tylko swój najważniejszy wobec Ojczyzny obowiązek.

Choć znałem wygórowaną, czasami przeczuloną ambicję wielu moich podkomendnych, choć wiedziałem, że sarkac będą z tego powodu, nie ustąpiłem w toku mej pracy od raz powziętego zamiaru.

Takie przedstawienie sprawy rozciągałem także i to z głębi przekonania mego na mą własną osobę. Powiedziano już w jednej

recenzji ksiąg moich, „że schowałem się za moich podkomendnych“. Tak, to jest stałym zwyczajem moim. Stądto z żadnym z podkomendnych moich nie rozpocznę nigdy dyskusji, ani polemiki na temat własności planów, czy inicjatywy myśli.

Podkreślam jednak już tutaj osobno, by uniknąć jakichkolwiek nieporozumień, że za wszystkie czyny moich podkomendnych, tak złe, jak i dobre, ja osobiście całkowitą ponoszę odpowiedzialność. Mianowani wszyscy przeze mnie, przeze mnie każdej chwili mogli być usunięci; tak za pozytywną decyzję pierwszą, jak i brak drugiej, odpowiedzialność na mnie wyłącznie spaść musi.

Z tego, w najogólniejszych jedynie zarysach przedstawionego, zasadniczego stanowiska mego wyniknie może jaśniej dla każdego nieuprzedzonego odpowiedź na kwestję, o czym to pisać nie chciałem i nie chcę. Z różnych stron próbowano mnie przekonać i odwieść od tej decyzji mojej, ale jak dotychczas bez skutku. Dla tych wszystkich mam taką odpowiedź, jaką dałem ostatnio delegatowi Wojskowego Biura Historycznego: „Ja chcę, by Obrona Lwowa była dla Narodu i jego historii rzeczą wielką, a obojętne mi najzupełniej, czy przy takim moim stanowisku wyjdzie większą, czy mniejszą osoba ówczesnego Komendanta Naczelnego“.

Nie wynika z tego jednak, bym jeszcze kiedyś nie przedstawił w należytem świetle ujawnionych nie przeze mnie faktów przekręconych, czy nieodpowiednio zabarwionych, zmyślonych, czy świadomie sfałszowanych. Już dotychczas zebrało się ich dosyć. Wyjmę kilka i omówię je tutaj. Będą to zarazem przykłady, o czym ja pisać nie chciałem.

Zacznę od końca listopadowych bojów we Lwowie. Wiadomo, że dwuskrzydłowy nasz atak, mający Lwów otoczyć i zamknąć zgromadzone w nim siły ukraińskie, całą komendę i rząd „Zachodniej Ukrainy“, a tem samem przyspieszyć zakończenie, wedle mego przekonania ówczesnego i dzisiejszego, wojny, nie dotarł w dniu 21 listopada na żadnem skrzydle do wyznaczonych celów końcowych.

Przedstawiłem w moich „Bojach lwowskich“ ten fakt dziejowy ściśle tak, jak on zaistniał. Podniosłem, że na naszym północnem skrzydle nie mógł por. Sikorski Walerjan przełamać

poważnych sił ukraińskich, ponieważ, wbrew memu zdaniu, dostał siły za szczupłe od ppłk. Tokarzewskiego. Nie zaznaczyłem zaś zupełnie, ani najlżejszą wzmianką, dlaczego nie osiągnęło swego celu skrzydło południowe, dowodzone przez kpt. Borutę. Miało ono siły wystarczające do tego, a dojście jego w tym dniu choćby do Góry Piaskowej, a więc uczynienie jeszcze jednego skoku o kilkaset zaledwie metrów od zajętego Dworca Łyczakowskiego, byłoby cel nasz osiągnęło i uniemożliwiło zupełnie wyjście ze Lwowa komukolwiek. Przy jasnej, mroźnej i księżycowej ówczesnej nocy, przy ziemi spowitej białym całunem śnieżnym myśz nawet, jak mówiłem ówczesnie, nie przedostałaby się przez pierścień naszego wojska.

Na skrzydło to wysłałem z ramienia Komendy Naczelnej por. Jakubskiego, który sam zresztą to prosił, z rozkazem czuwania nad całością akcji i ingerowania w razie potrzeby. Omówiłem z nim w sposób jak najbardziej szczegółowy i wyczerpujący, jak powinna się akcja i kiedy i w jakim kierunku zmieniać, czy poprawiać zarządzenia bezpośredniego i za całość tej akcji odpowiedzialnego dowódcy, kpt. Boruty. On także został pouczony szczegółowo o całej akcji na ogólnej odprawie wszystkich dowódców i szefów służb, odbytej w dniu 18 listopada w godzinach wieczornych. Mimo to, akcja południowego naszego skrzydła nie doszła pierwszego dnia ataku tam, gdzie byśmy ją widzieć pragnęli i gdzie, podkreślam to osobno, łatwo dojść mogła.

Dlaczego tak się stało i jakie były przyczyny, tego nie powiedziałem dotychczas, ani nie napisałem o tem w pierwszej części moich „Bojów lwowskich“. Osobiście bowiem czynić tego nie chciałem. Dziś dopiero, kiedy tę sprawę przedstawia w swej relacji Dr. Jakubski i przedstawia ją inaczej, jako nadzwyczajny swój czyn bojowy, a winę niedojścia tam, dokąd należało, zwała na ochoczego, choć bardzo utrudzonego żołnierza, nie tylko winienem, ale, mem zdaniem, muszę zabrać głos w tej sprawie, bezstronnie oświecić właściwą przyczynę oraz wskazać winowajców.

Atak nasz miał postępować, wedle mego rozkazu, obwodem Lwowa, mniej więcej t. zw. linią akcyzową, jedyną linią, mającą jakie takie drogi na obwodzie miasta. Zapewniała ona dla po-

suwającego się naprzód wojska możliwe połączenia kołowe z podstawą wyjścia.

Cóż się jednak dzieje w czasie ataku? Przy pierwszej poważniejszej walce, jaka się rozwinęła od Snopkowa do rogatki Zielonej, straż przednia, wydzielona z czołowego bataljonu, nazwanego 5 p. p. Leg., a dowodzonego przez kpt. Krok-Paskowskiego, znikła z widowni. Znalazł się przy niej por. Jakubski i jak nam opisuje, porwał ją naprzód i poprowadził nie drogą nakazaną, lecz dalej nazewnątrż Lwowa aż do byłego browaru Grunda. Przez cały czas tego marszu (najmniej 3 godziny) ta straż przednia nie troszczy się zupełnie o siły główne, nie ma z nimi żadnego połączenia. Dopiero z końcowego punktu swego, spacerowego chyba, marszu wysyła do sił głównych pisemne meldunki, gdzie się znajduje.

Nie chcę roztrząsać pytania, dlaczego por. Jakubski sprowadził tę straż przednią z drogi marszu o kilka kilometrów (prawie cztery) w bok i nazewnątrż, nie chcę dowodzić, że ten na własną rękę Jakubskiego a wbrew rozkazowi uczyniony marsz nie miał najmniejszego celu i sensu taktycznego (wszak dalszem zewnętrznem kołem posuwała się cała nasza jazda, jako ubezpieczenie ataku naszego od zewnątrz) podniosę jedynie, że złamano tu podstawowe zadanie straży przedniej, mającej patrzeć nietylko wprzód, ale i utrzymywać stały, ciągły i bezpośredni kontakt z siłami głównymi.

Ten pierwszy błąd por. Jakubskiego pociąga za sobą cały szereg dalszych. Dowódca czołowego bataljonu kpt. Krok-Paskowski traci zbyt dużo czasu, by odszukać „zaginioną” straż przednią, miast wyznaczyć nową inną i posuwać się dalej. Jeśli tego nie zrobił, powinien był tu ingerować bezpośrednio dowódca całej grupy, kpt. Boruta-Spiechowicz.

Tak więc z powodu samowolnego, wbrew rozkazowi i podstawowym zasadom taktycznym dokonanego oderwania straży przedniej od sił głównych przez por. Jakubskiego, stracono najniepotrzebniej kilka godzin czasu na poszukiwanie jej. W krótkim listopadowym dniu brakło ich później na Łyczakowie, bo marsz długi jeszcze czekał.

Powyższy swój czyn ukoronował jeszcze por. Jakubski w tym dniu dalszym, którego bliżej nie chcę określać a za który otrzymał wonczas poważne ode mnie skarcenie. Poprowadziwszy

straż przednią w fałszywym kierunku, dołożywszy niepotrzebnie kilka kilometrów drogi fatalnej, bo na przełaj przez jary i wertepy po śniegu i przeczekawszy w browarze Grunda kilka godzin, wrócił ze strażą przednią w stronę roгатki Łyczakowskiej na tak zwany Jałowiec. Tu rozwinął ją na nowym cmentarzu wojennym powyżej cmentarza Łyczakowskiego, zajętego już w tym czasie przez nasze wojska.

Wedle złożonego mi w tym samym dniu meldunku ustnego przez por. Jakubskiego żołnierze nie chcieli iść naprzód. Jedni przywarli do grobów, kryjąc się przed gęsto lecącymi pociskami, inni „leżeli jak trupy“ z przemęczenia zrozumiałego, jeśli się uwzględni, że poprzednią noc spędzili bezsennie a po niej odbyli całodzienny marsz po bezdrożnej okolicy. Wówczas to por. Jakubski połamał na nich swą łaskę (podkreślam to ostatnie słowo) i dopiero dzięki tym argumentom zdołał poderwać tyralierę i posunąć się naprzód. Tak on mi zameldował.

Widziałem w czasie wojny światowej więcej podobnych epizodów i stwierdziłem zawsze, że właściwa wina w takich wypadkach leżała po stronie odnośnych oficerów. Nie wątpię i w tym wypadku o tem tembardziej, że por. Jakubski miał do czynienia z najbardziej chyba ofiarnym i ochoczym żołnierzem, gdyż wszyscy byli ochotnikami, z własnej woli i uczucia narodowego na bój spieszącymi, a w przygniatającej większości uczniami gimnazjalnymi. To też uważałem czyn por. Jakubskiego za niewłaściwy i zrobiłem mu z tego powodu wymówkę.

Dzięki relacji Dr. Jakubskiego, musiałem omówić teraz dopiero szczegółowiej przyczyny częściowego tylko, choć mimo to znakomitego, udania się naszego ataku na skrzydle południowem w dniu 21 listopada 1918. Z omówienia tego widać jednak wyraźnie, o czem to nie chciałem pisać w moich „Bojach lwowskich“, choć, jak widać, wiedziałem o tem dokładnie, jak i wszystkiem, co się działo we Lwowie. Uważałem za jedną z przyczyn (o innych jeszcze nie chcę pisać) niezamknięcia zupełnego wszystkich Ukraińców we Lwowie, nieznanomość podstawowych zasad regulaminów wojennych i to ze strony aż trzech oficerów.

Ot... fatalny zbieg nieumiejętności. Nie wątpię i nie wątpię o dobrej ich woli, pocóż więc miałem o tem pisać. Odpowiedzialność zawsze, choćby za wybór dowódców, spaść

musi na mnie, wedle najgłębszego przekonania mego. Nigdy nie spróbuję przerzucać jej na innych, czy ją pomniejszać.

Okazał się w czasie tego ataku inny jeszcze objaw poważnej nieumiejętności w dowodzeniu. Ponieważ nikt o nim nie wspominał dotychczas, nie mam w dalszym ciągu zamiaru o nim pisać.

W opisanym powyżej wypadku nie chciałem zupełnie mówić o przyczynach częściowego tylko udania się naszych zamierzeń. Wypadków takich było więcej w różnym stopniowaniu, od drobnych niepowodzeń aż do klęsk wcale poważnych, choć lokalnych. Choć znam dokładnie i szczegółowo przyczyny ich wszystkich, nie pisałem o nich i pisać nie będę. Chyba kiedyś dla sprostowania fałszywych przedstawień, czy naświetlań, gdyby takie miały się okazać.

W mem podstawowym dziele o Bojach Lwowskich nie chciałem również zupełnie zajmować się fałszywymi, względnie świadomie nieprawdziwymi przedstawieniami innych. Bez względu na to, skąd one wychodziły. Czy to były nieprawdziwe meldunki, czy relacje moich podkomendnych (w zachowanych nawet aktach znajdzie przysły historyk wiele podobnych), czy opisy większe lub mniejsze w pismach, broszurach i dziełach, nie istniały one dla mnie, choć znałem je wszystkie. W dziele swem dawałem jedynie bezstronny, mniej lub więcej dokładny opis czy przebieg zaistniałego faktu historycznego z oparciem bardzo często o autentyczne, oryginalne dokumenty. O kłamstwach innych w odniesieniu do danego faktu niema nawet wzmianki w dziele mojem. Zaznaczyłem o tem tylko ogólnie we wstępie do moich „Bojów lwowskich“.

Na tem miejscu mogę tylko stwierdzić, że z pośród wielu autorów mijających się z prawdą jedni czynili to, by wykazać rzekomą brawurę własną, inni, by pochwalić się zasługami, których w rzeczywistości nie było, lub były w mniejszej mierze, dalsi, by usprawiedliwić swą faktycznie zaistniałą beczynność lub winę, ostatni wreszcie, by pognębić jednych, a wynieść innych, bliższych im organizacyjnie, politycznie i t. p.

Objawem charakterystycznym jest, że większość publikacji krytykujących moją działalność pochodzi z pod pióra b. legjonistów. Traktuję to, jako jeden z objawów trwającego pomiędzy poszczególnymi grupami b. wojska lwowskiego sporu o zasługi.

Dla przykładu podam kilka wypadków zwalczania mnie zarzutami, o których nie chciałem wspominać w „Bojach lwowskich“, nie chcąc mej książce nadawać charakteru obrony osobistej, której nie potrzebuję.

Zacznę, niestety, od zmarłego już ś. p. mjr. Tatar-Trześniowskiego. Mogę to uczynić, ponieważ pisemna relacja podpisana przez niego, a zachowana także w moich aktach, napisana była przez jednego z jego podkomendnych, do dziś żyjącego.

Pisze on w niej, że Komenda Naczelna powstała dopiero 4 listopada 1918, a do tego czasu działał on wyłącznie na podstawie własnej inicjatywy, niezależnie od jakiegokolwiek komendy. Naturalnie twierdzenia te mają uzasadnić, że on był jedynym inicjatorem obrony Lwowa i t. d.

Tymczasem już 1 listopada 1918 przed godziną 6 rano otrzymuje mój rozkaz: „Zaatakowani bronić się... i t. d.“ pisany zresztą na odwrotnej stronie biletu tramwajowego. Nawiasem tu dodam, by dać dowód, jakie niesamowite perypetie przechodzą akta wojskowe w Polsce, że oryginalny rozkaz ten znajdował się wraz z innymi aktami w Archiwum Wojskowym w Warszawie jeszcze w r. 1921. A dziś... jest w posiadaniu prywatnym. Możnaby dodać słowo „jeszcze“.

Około południa tego samego dnia kpt. Trześniowski oddaje komendę Szkoły Sienkiewicza kpt. Pierackiemu znowu na rozkaz Komendy Naczelnej, podpisany przez chwilowego mego zastępcę kpt. Dr. Lesława Węgrzynowskiego. W dwie godziny później dostaje znowu mój osobisty rozkaz udania się do Rzęsny Polskiej ze swoją grupą, nazwaną przezeń bataljonem uzupełniającym P. K. P., celem objęcia tam komendy i przysłania stamtąd karabinów i amunicji. Potem dostaje, jak inni, rozkazy dzienne i operacyjne, przedkłada 3 razy dziennie na podstawie mego rozkazu Komendzie Naczelnej meldunki sytuacyjne. Wreszcie mój rozkaz wydany 3 listopada sprowadza go z powrotem do Lwowa dopiero wieczorem 4 listopada.

Mimo to wszystko twierdzi i to na piśmie, że działał samodzielnie, z własnej woli i t. d. Ocenę zostawiam czytelnikom, sam dać jej nie chcę, jak nie chciałem uczynić o tem najlżejszej nawet wzmianki w „Bojach lwowskich“.

Przytoczę obszerniej jeden jeszcze splot świadomych rozmijań się z prawdą w odniesieniu do ważnego zresztą faktu

historycznego. Myślę w tej chwili o autorstwie planu ostatecznego oswobodzenia miasta Lwowa od band najeźdźczych. Uszereguję chronologicznie tak, jak stawały się widoczne te przystrajania się w cudze pióra.

Bezpośrednio po oswobodzeniu Lwowa we wszystkich prawie pismach pewnego kierunku pojawiły się pierwsze wiadomości, że plan akcji zmierzającej do zamknięcia Ukraińców we Lwowie był wyłączną własnością ppłk. Tokarzewskiego.

Ba, ale i on sam pisząc z rozkazu gen. Roji urzędowy, oficjalny raport z przebiegu [akcji, noszący datę 8 grudnia 1918 r., wyraźnie w nim podkreśla, że zarządził tę akcję na podstawie swego planu, odrzucił plan lwowskiej Naczelnej Komendy i t. d.¹⁾

Prędko przyszedł mu w sukurs mąż z naukowym nawet tytułem, historycznie wykształcony, Dr. Adam Próchnik, podporucznik legionowy, który w broszurze swej, wydanej w roku 1919 p. t. „Obrona Lwowa od 1 do 22 listopada 1918 r.“, nie tylko podkreśla, że Tokarzewski przy swoim własnym planie pozostał, ale dodaje już znacznie więcej, że na wspólnej naradzie z Tokarzewskim ja miałem przedstawić plan własny ataku frontowego przez miasto, no i naturalnie plan Tokarzewskiego był „o wiele stosowniejszy i skuteczniejszy“ od mego²⁾.

Historyk ten nie robił sobie zbyt wielu skrpułów i jako rozkaz Tokarzewskiego omawiał szeroko „Dyspozycję ataku“ lwowskiej Komendy Naczelnej z dnia 18 listopada 1918, chwalać w niej mądre i celowe zarządzenia Tokarzewskiego.

Dziwię się temu, bo jako późniejszy bowiem archiwariusz mojej Komendy miał bezpośredni wgląd we wszystkie, w całości jeszcze naówczas zachowane akta, mógł więc „źródłowo“ opracować i autorytetem naukowym rozstrzygać wszystkie kwestje.

Nie chcę się zastanawiać nad pobudkami, które nakazały Dr. Próchnikowi tak niezwykle przedstawienie rzeczywistości.

O sprawie autorstwa „Dyspozycji“ nie chciałem pisać w „Bojach lwowskich“. Nikt nie znajdzie tam najłżejszej nawet wzmianki ani o znanym mi z treści, osobistym raporcie Toka-

¹⁾ Roja, I. c., str. 322 sq.

²⁾ Próchnik, I. c., str. 46.

rzewskiego, ani o „naukowym“ dziele Próchnika. Przedstawiłem jedynie w sposób ściśle rzeczowy i bezstronny powstawanie planu i przytoczyłem w całości tak „Dyspozycję ataku na Lwów“ z dnia 18 listopada 1918 lwowskiej Komendy Naczelnej, jakoteż oba rozkazy Tokarzewskiego (przygotowawczy marszowy i właściwy operacyjny) z dnia 20 listopada 1918.

Zdawałoby się każdemu nieuprzedzonemu, że po tem przytoczeniu w całości oryginalnych dokumentów, zachowanych dotychczas, a różniących się czasem powstania (o dwie pełne doby), nie podniosą się nigdy jakiegokolwiek powątpiewania. Tak byłoby może wszędzie, jeno nie u nas i nie w naszych specyficznych warunkach.

Nie chcąc nużyć czytelnika i siebie pominę wszystkie późniejsze objawy zupełnie, a przejdę do najnowszego i może najwspanialszego przejawu rzetelności, objawionego w relacji Dr. Jakubskiego, drugiego oficera sztabu lwowskiej Komendy Naczelnej. Nie robi on sobie najmniejszych skrupułów z tego, że o tej samej sprawie pisał i drukował w r. 1920 pierwszy oficer sztabu, ś. p. Niłski-Łapiński ogólnie zgodnie z prawdą („Listopad we Lwowie 1918 r.“) i przejmuje na siebie wyłączne autorstwo planu ataku naszego.

Zaprawdę dziwić się trzeba, jak Jakubski uprawdopodobnia ten przez siebie tylko wynaleziony fakt. Otóż wedle jego relacji miała się odbyć 18 listopada w południe narada, złożona ze mnie i obu oficerów sztabu i na niej to, warto posłuchać, jako pierwszy objawia swe zdanie komendant, który zamierza tylko porozdzielać odsiecz na odcinki i czekać, a potem pozwala dyskutować nad swoim zdaniem podwładnym, z których pierwszy oficer sztabu chce atakować przez miasto, a drugi otaczać Ukraińców we Lwowie. Komendant przechyła się do zdania drugiego oficera, ale rozkaz każe pisać pierwszemu oficerowi sztabu, dając mu dyspozycję przez siebie napisaną.

Naprawdę, mógł Jakubski nieco logiczniej skonstruować ten wywód i zbliżyć go przez to choć trochę do prawdopodobieństwa. Bo tak, jak go podał w swej relacji, czyż może być lepszy przykład niekonsekwencji ze strony tego komendanta. Pomijam ciekawego naprawdę komendanta, który na naradzie z podwładnymi wyjawia najpierw swoje zdanie i pozwala dyskutować nad niem podwładnym. Zdaje mi się, że nie uczyniłby tego

żaden przełożony cywilny, a coś dopiero wojskowy, mający do tego wykształcenie pedagogiczne.

Drugie ważniejsze jeszcze. Bo jeśli naprawdę komendant przychylił się do zdania drugiego oficera sztabu, różniącego się tak zasadniczo, jak to wywodzi Jakubski w swej relacji, od zdania pierwszego oficera sztabu, to dlaczego właśnie temu każe pisać koncept rozkazu. Naprawdę szczyt niekonsekwencji. Jakżeż wreszcie w tej relacji Jakubskiego wytłumaczyć dyspozycję komendanta daną pierwszemu oficerowi sztabu? Trudno zaś przeczyć temu, skoro przyznał się do niej ś. p. Łapiński jeszcze w r. 1920.¹⁾

Naprawdę podziw bierze, że Jakubski tak dokładnie pamięta przebieg tej narady, że aż w cudzysłowach cytuje całe zdania. Stworzone i sformułowane zostały one po raz pierwszy dopiero przy spisaniu relacji. Mogę tu bowiem nawiasowo dodać, że nigdy nie dopuściłbym do odbycia się takiej sceny, którą opisuje Jakubski. Albowiem zdaje mi się, że taka komenda, w której podwładni „wpadają“, „nie pozwalają“ i t. d. i t. d. nie byłaby zupełnie komendą wojskową, nie potrafiłaby przetrwać dnia jednego i doprowadziła napewne do zupełnego chaosu w sztabie i oddziałach podległych. Zapewne nie mogło zaszkodzić jej to, co zostało wymyślone i spisane dopiero w dziesięć lat później.

W rzeczywistości bowiem narada taka w dniu 18 listopada 1918 r. nie odbyła się i nie mogła się odbyć. Przebieg dnia tego podałem dokładnie w moich „Bojach lwowskich“, mógłbym obecnie uzupełnić go jeszcze godzinami. Nie uważam tego jednak za potrzebne. Podkreślam raz jeszcze, że rozkaz napisania konceptu rozkazu na podstawie mojej spisanej dyspozycji otrzymał por. Łapiński, jak on sam to przyznaje. Kiedy zaś napisał ten rozkaz źle pod względem merytorycznym, a formalnym nieodpowiednio, zawezwałem drugiego oficera sztabu, por. Jakubskiego i dawszy mu cały materiał i potrzebne wskazówki, rozkazałem pisać drugi koncept w myśl dyrektyw. Po czym odbyła się odprawa wszystkich komendantów odcinków i szefów służb. Na niej podałem i omówiłem dokładnie cały plan akcji i zadanie każdego z nich.

¹⁾ Łapiński-Nilski i Kron, I. c., str. 47.

Dopiero po tej odprawie pisał Dr. Jakubski koncept rozkazu i w jakieś dwie godziny przyniósł mi go do aprobaty. Po niej bito przez całą noc rozkaz na maszynie i 19 listopada z ranną pocztą rozesłano wszystkim zainteresowanym.

O wielu sprawach i kwestjach nie wiedział Jakubski, jak sam często przyznaje w swej relacji. Dopiero z mego dzieła, jak twierdzi, dowiedział się także o rozkazie Tokarzewskiego z dnia 20 listopada 1918, przytoczonym przeze mnie w całości, jako dodatek Nr. 47, chociaż rozkaz ten bito na maszynach w nocy na 21 listopada właśnie w pokoju, w którym stale urzędował Jakubski. Oceniając go w całości ostro i ujemnie zupełnie słusznie, nie zwraca się do autora jego z bezpośrednim potępieniem, ale przez dwukrotne zastrzeżenie się słowami: „jeśli on jest prawdziwy“ poddaje w wątpliwość moją rzetelność autorską. Sądzę, że Dr. Jakubski posiadał niejedną możliwość upewnienia się o autentyczności rozkazu ppłk. Tokarzewskiego.

Również najwyższy ówczesnie we Lwowie co do stopnia wojskowego, gen. Roja napisał relację, znaną mi z treści. Nie mam zamiaru zajmować się nią obszerniej. Wystarczy, skoro na temat omawiany dam jeden tylko przykład.

Otóż w relacji tej pisze gen. Roja, że po jego do Lwowa przyjeździe domagałem się od niego w sposób wysoce nie-wojskowy podporządkowania mi ppłk. Tokarzewskiego. Śmiać się można coprawda z zarzutu tego. Zamiast go zbijać, zdaje mi się, wystarczy zapytać, jaki byłby cel logiczny tego żądania mego. Gdyż skoro zjawił się we Lwowie gen. Roja, a ja podporządkowałem się jemu, wszak równie dobrze mogłem tego nie robić, to pocóż mi komendy nad Tokarzewskim. Wówczas byłoby dwu dowódców nad jednym i tem samem wojskiem, obaj na miejscu będący, t. j. gen. Roja i ja. Jeden z nas dwu byłby w tych stosunkach zupełnie zbędny.

Nie mogę więc dopatrzyć się ani celu, ani logiki w tej dziwnej wersji.

Pragnę przedstawić jeszcze jeden wypadek „ściśłości“ historycznej autora.

Myślę w tej chwili o księdzu, z dawnych Legionów pochodzącym, który z wiosną 1919 r. a więc w czasie toczących się najcięższych bodaj bojów we Lwowie, ogłosił artykuł w któ-

rym całą zasługę i inicjatywę listopadowej obrony Lwowa przypisał Trześniowskiemu i legionistom wyłącznie. O to mniejsza. Nie myślę rozpoczynać szermierki o tę kwestję. Ale równocześnie postawił najwstrętniejszy chyba zarzut, jaki żołnierzowi postawić można, że Komenda Naczelna drżała ze strachu, używając pseudonimów, a zmieniawszy swe szaty na cywilne, myślała tylko o ratowaniu życia swego.

Nawet szata kapelana W. P. nie powstrzymała go, by innemu żołnierzowi polskiemu, osobiście jeszcze sobie nieznanemu w tym momencie, taki haniebny postawić zarzut, nie skłoniła go przynajmniej do tego, by sprawdzić go, wszak był wówczas również we Lwowie.

I ten zarzut nie zmniejszył jednak zupełnie mej wdzięczności i podziwu, jaki miałem i mam dla księdza tego za wspaniałe zorganizowanie obrony zachodniej części Przemyśla, zwanej Zasaniem, nie miałem zamiaru i nie chciałem o tem pisać.

Z kilku tych przykładów, a cytować mógłbym setki, zrozumieją czytelnicy mój wstręt do zajmowania się podobnemi sprawami. Nie chciałem o nich pisać w poprzednim mem dziele, nie chcę i obecnie.

Drugą dziedzinę spraw, co do których unikałem najłżejszej nawet wzmianki w „Bojach lwowskich“, stanowią kwestje personalne, tak w odniesieniu do osób wojskowych, jakoteż cywilnych, jeżeli musiałbym wyrazić ujemną o nich opinię. Nie wspominam więc ani o żołnierzach, częstokroć niegodnych tego nazwiska, ani o wielu innych objawach ujemnych, ani o winach czy tylko przeoczeniach niższych i wyższych dowódców. Nie dowie się też nikt ode mnie o powodach zmiany poszczególnych dowódców, zmiany na niektórych odcinkach bardzo nawet częstej, nie wspomnę, póki władam świadomością swoją, o ludziach, wobec których używać musiałem przeróżnych argumentów a czasem gróźb, czy pogroźek, sformułowanych mniej lub więcej jasno.

Rzadko też, może bardzo rzadko pisałem poprzednio o powodach i przyczynach pewnych moich zarządzeń, czy postanowień, nie wspomniałem o całym szeregu pösunięć moich taktycznych (tak o znaczeniu wojskowym, jak i politycznym), jakoteż o drogach i środkach, wybieranych celem dojścia do

wzniosłego celu. Uważam bowiem, że w tej dziedzinie zachować powinienem i muszę pewną dozę dyskrecji.

W przeważnej części zachowam i nadal te dziedziny spraw, z obroną Lwowa związanych, wyłącznie dla siebie. Wedle przekonania mego wolno o nich pisać innym, o ile wiedzą o nich coś pozytywnego. Ja zamilczę ustnie i pisemnie.

Tak, wedle mego zdania, należało mnie pisać o obronie Lwowa. Taki jest naturalnie tenor prywatnego listu mego do Dr. Jakubskiego. Zająłem się dłużej tą sprawą, bo może to najczulsza ma strona, by w przedstawieniu faktów historycznych zachować bezwzględną ścisłość, bezstronność i prawdziwość. Wolno mi pominąć pewne sprawy i z tego prawa czyniłem wcale poważny użytek.

Ze świadomem czołem przyjmę ewentualny zarzut, że przez takie postępowanie moje upiększyłem obronę Lwowa. To może, a może było to nawet jednym z moich celów.

Szczegółowo mówić winienem inną jeszcze sprawę, poruszoną zresztą przez Dr. Jakubskiego w jego relacji, jeno częściowo i niezupełnie ściśle. Sprawą tą jest archiwum komend, na których czele stałem w czasie wojny polsko-ukraińskiej, a które, jak wiadomo, zmieniały swą nazwę, zwąc się po kolei: Komenda Naczelna, Komenda miasta i powiatu, Komenda Brygady Lwowskiej i wreszcie Komenda 5 Dywizji.

Zrozumie każdy, że w czasie tak ciężkich walk, jakie szalały we Lwowie, najmniej może troszczyć się wolno o zachowanie dla przyszłej historii w całości archiwum aktów. Tem więcej może we Lwowie, gdzie Komenda powstawała stopniowo, obejmując coraz to nowy i coraz to szerszy zakres działania, tworząc kolejno coraz to nowe działy i referaty. Początkowo nie miała przytem do dyspozycji nawet potrzebnego papieru. Jednak mimo to istniała w niej od początku pewna, znaczna nawet troska o zbieranie i zachowanie ważniejszych przynajmniej aktów.

Dziwne jednak, a z początku niezrozumiałe rzeczy działy się z tem archiwum. Zamierzam je pokrótce przedstawić.

Tak więc już w dniu 3 listopada 1918 po przejściu całej Komendy Naczelnej przez front (z ul. Zimorowicza na ul. Nabielaka) zameldował mi przydzielony do Komendy z ramienia P. O. W. ppor. Dr. Aleksander Rutkowski, który jako archiwariusz niósł wcale pokaźny plik aktów Komendy, że zgubił je wszystkie.

Wypaść mu miały, wedle jego meldunku, z pod marynarki, a nie mógł ich podnieść, ponieważ żołnierz ukraiński stał w pobliżu.

Choć dość dziwnym, częściowo niezrozumiałym wydać się musiał ten meldunek, nie zrobiłem z tego kwestji, a ppor. Rutkowski zbierał dalej w osobnej skrzyni wszystkie ważniejsze akta.

Po oswobodzeniu Lwowa wyjechał, jak wielu innych peowiaków do Warszawy. Wówczas to, na propozycję Dr. Jakubskiego, powierzyłem tę funkcję również peowiakowi, Dr. Próchnikowi. Po jakichś dwu tygodniach jego urzędowania zażądałem przypadkowo z archiwum jednego z aktów uprzednich. Już go w archiwum nie było. Nie będę opisywał osobiście stwierdzonego ówczesnego stanu archiwum, ani zastanawiał się, czy uczynił to sam Dr. Próchnik, czy też pozwalał innym bezprawnie w niem gospodarzyć.

Misję uporządkowania i zinwentaryzowania resztek otrzymał prof. Dr. Adam Skałkowski. Z wielkiej skrzyni, jaka była prawie pełna z końcem listopada, kilka zebrało się teczek.

Koło Nowego Roku 1919 przyszedł oficjalny rozkaz Sztabu Generalnego z Warszawy, skierowany do wszystkich komend wojskowych, by te stale, co miesiąc wysyłały wszystkie akta operacyjne, organizacyjne, wywiadowcze i t. p. celem ulokowania ich w Centralnem Archiwum Wojskowem i zachowania w ten sposób na przyszłość. Rozkaz ten poleciłem wykonać. Rtm. Machalski zbierał skrupulatnie wszystkie akta w myśl rozkazu i co miesiąc od stycznia aż do maja 1919 wysyłał do Warszawy. Co się z tem stało, mnie niewiadomo. Dotychczas nie natrafiono na jakikolwiek ślad ich w Warszawie, mimo późniejsze skrzętne poszukiwania.

Nauczeni poprzedniem doświadczeniem wysyłałiśmy do Warszawy tylko wtórniki odnośnych aktów. Na miejscu we Lwowie tworzył się nam drugi kompletny zbiór. Przed wymarszem naszym ze Lwowa na ofensywę, w maju 1919 r. spakowaliśmy go do osobnej szafy i dwu skrzyń, zalakowali i zostawili w lokalu, w którym urzędowała Komenda Brygady Lwowskiej (dawny Hotel Francuski), oddając go protokółarnie wyznaczonym przez władze wyższe organom.

Do lokalu tego sprowadził się w czerwcu sztab Dowództwa Wschód (gen. Iwaszkiewicza). Co stało się z naszymi aktami,

opisałem już szczegółowo na podstawie relacji ppor. Jerzego Dunin-Wąsowicza w przypisku do moich „Bojów lwowskich“¹⁾.

Tak to działo się w Polsce z aktami, mającymi zobrażować jeden z najcięższych w dziejach wysiłków wojskowych i wojennych.

Częściowo przynajmniej możnaby odtworzyć archiwum władzy wojskowej wyższej przez zebranie aktów wszystkich oddziałów niższych, jej podległych. W warunkach lwowskich praca ta prawie syzyfowa, ponieważ tamte najczęściej przepadały całkowicie w późniejszej zawierusze wojennej. Stało się to tem łącznie, że żaden z oddziałów lwowskich nie miał stałego miejsca dla kadr swoich i że wobec tego akta ważniejsze przynajmniej zabierano ze sobą w pole. W późniejszych zaś odwrotach akta te jako uciążliwy balast najczęściej przepadały. Najdłużej woził je ze sobą 1 p. strzelców lwowskich (obecnie 38 p. p.), bo aż do lipca 1920 r., kiedy utracił je całkowicie w odwrocie swym na Wileńszczyźnie. Szkoda zaś, gdyż jego zbiór był jednym z najkompletniejszych.

Stądto nazwałem bardzo potrzebną pracę zbierania dokumentów z onych czasów zainicjowaną przez Wojskowe Biuro Historyczne, a wykonywaną przez Towarzystwo badania historii obrony Lwowa. Najwyższy to czas zebrania jeszcze pewnych okrucich w prywatnych może rękach częściowo będących i zachowania ich w ten sposób dla przyszłych badaczy. Jak zaś uciążliwą ta praca, świadczy choćby efekt dwuletni. Poza aktami przeze mnie dostarczonemi reszta zbioru wcale nikła.

Po dokonaniu dopiero tej pracy zatriumfuje ostatecznie ścisła, a bezwzględna prawda.

Do prawdy tej dąży też Wojskowe Biuro Historyczne. Wnioskuje to z pytań, postawionych mi w piśmie W. B. H. z dnia 5 marca 1931 L. 455/31, na które miałbym odpowiedzieć w tej dodatkowej relacji mojej. Zaznaczyć najpierw muszę, że wszystkie kwestje poruszone w tych pytaniach omówiłem wcale dokładnie w moich „Bojach lwowskich“. Mogę więc conajwyżej dać tylko dodatkowe wyjaśnienia i to tylko o tyle, o ile sprawy te w części lub w całości nie podpadają pod kwestje, o których nie chciałem i nie chcę pisać, ni mówić.

¹⁾ Boje lwowskie, II, str. 112 sq.

Wyjaśnienia te uszereguję chronologicznie.

W dziele mojem „Boje lwowskie“ podałem bardzo dokładnie i szczegółowo wiadomości zebrane przez nas co do przygotowania się tej części ludności ruskiej, która przyjęła nazwę Ukraińców, do zamachu zbrojnego w oparciu o Austrię i Niemcy i przy czynnem poparciu obu tych mocarstw, początkowo silnych jeszcze, ale w miarę postępującej jesieni upadających i rozpadających się niemal z dnia na dzień. Wiadomości te rozdzieliłem szczegółowo na takie, które zebraliśmy przed 1 listopada 1918, t. j. przed chwilą zbrojnego opanowania Lwowa i byłej Galicji wschodniej i na dokumenty, które zdobyliśmy dopiero później, a które odnosiły się do pomocy, jakiej udzieliły państwa centralne rzekomo narodowemu ruchowi ukraińskiemu. Dokumenty te, zebrane w całości przez Komendę Naczelną, zostały osobno wydane po francusku dla użytku konferencji pokojowej i mocarstw zachodnich.

Z zestawienia tych wiadomości wynika jasno i niewątpliwie, że wiedzieliśmy dokładnie o spiskowaniu, knowaniu, porozumiewaniu się władz wojskowych austriackich z Ukraińcami i odwrotnie, wiedzieliśmy dalej o różnych transportach broni, o rozdzielaniu jej pomiędzy Ukraińców, że więc z tego wszystkiego mogliśmy wnioskować hipotetycznie, że trójca ta, t. j. Niemcy, Austria i Ukraińcy, przygotowuje zamach zbrojny. Przeciwno komu będzie on wymierzony, nie mogło ulegać żadnej wątpliwości. Hipoteza ta stawała się pewnikiem w miarę zbliżającego się do końca października 1918 r. Nie dla wszystkich jednakże. Byli ludzie, którzy nie wierzyli w możliwość zamachu tego aż do samego końca t. j. jego wykonania.

Nie zdobyliśmy wiadomości, kiedy go rozpoczną. Zresztą wiadomo wszystkim, którzy przeżywali te czasy, z jak błyskawiczną szybkością rozgrywały się wypadki wojenne i wewnętrzne w październiku 1918 r. O ile na początku tego miesiąca państwa centralne przedstawiały jeszcze pewną, może nawet znaczną, siłę militarną i jakąś zwartość i spistość wewnętrzną, to pod koniec jego Austria leżała już właściwie w gruzach, a ostateczny upadek Niemiec stawał się nieomal z każdą godziną coraz bardziej widoczny. Wszak nawet mężowie stanu, stojący na czele państw sprzymierzonych i ich wodzowie liczyli się jeszcze i to pod jesień 1918 r. z jedną kampanją

zimową. Cytowałem już w „Bojach lwowskich“ zdanie Lloyd George’a, dziś mógłbym je jeszcze uzupełnić pamiątkami Focha.

Nic dziwnego, że do tej, w szalonym tempie odbywającej się, rozgrywki zdarzeń pierwszorzędnych musiały stosować się zdarzenia wtórne, do których w każdym razie należał zamach ukraiński.

W ostatnich dniach października przypuszczałem osobiście, że rozpoczną swą akcję zbrojną po przyjeździe do Lwowa Grupy Wasyla, złożonej z legionistów ukraińskich, walczących po stronie Austrii, U. S. S. (Ukraińskich Siczowych Strzelców) dyrygowanych, jak nam to ówczesnie było wiadome, do Lwowa na rozkaz austriackiego A. O. K. (Armee-Oberkommando). Wiedzieliśmy także o zwołaniu powiatowych mężów zaufania na 6 listopada. Na podstawie tych dwu wiadomości wnioskowaliśmy o możliwym początku akcji z ich strony.

Tymczasem Ukraińcy przyspieszyli wystąpienie swoje. Niewątpliwie z największą dla nas korzyścią. Dlaczego to zrobili, dziś wiemy już pozytywnie z własnego ich przyznania. Otrzymali nieprawdziwą zresztą wiadomość, że Polska Komisja Likwidacyjna przyjeżdża 1 listopada do Lwowa. Ponieważ zaś uważali ten moment za znaczne utrudnienie dla późniejszego wystąpienia swego, postanowili je przyspieszyć.

Dali w ten sposób najlepszy dowód, że ta część planu mego, która była związana z przyjazdem P. K. L. do Lwowa (o czym obszernie w moich „Bojach lwowskich“) oparta była na realnej podstawie, choć tylko wyrozumowana na logicznych przesłankach.

Jakimi siłami wykonają ten wspólny niemiecko-austriacko-ukraiński zamach na ziemię polską i należącą się w całości Polsce, próbowaliśmy określić dość ściśle. Osobny wywiad Polskich Kadr Wojskowych zbierał i sumował wiadomości i ściśle dane, określał procent Ukraińców w preparowanych przez A. O. K. dla nich oddziałach austriackich, badał wartość bojową poszczególnych formacji i t. d. Dane te w odniesieniu do Lwowa podałem w „Bojach lwowskich“ ściśle na podstawie urzędowych raportów porannych, przesyłanych przez wszystkie oddziały codziennie do austriackiej Komendy Miasta. Wiadomo, że adjutantem płk. Mayer-Mallego był członek P. K. W. poległy później ppor. Wiktor Kamiński i on dostarczał nam wielu wiadomości, a między nimi i one dane liczbowe.

Wiedzieliśmy tedy ściśle, jak silnym jest każdy oddział austriacki we Lwowie rozlokowany. Nie znaliśmy tylko dokładnie liczby Rusinów, znajdujących się w poszczególnych tych oddziałach. Nie udało nam się bowiem zdobyć ścisłych cyfr w tym kierunku.

Poleciliśmy wprawdzie ppor. Kamińskiemu ich uzyskanie. Chciał on umieścić w rozkazie dziennym Komendy Miasta polecenie, by wszystkie oddziały podały szczegółowy wykaz wyznaniowy swoich żołnierzy. Potrzebę jego tłumaczył wobec płk. Mayer-Mallego koniecznością wyznaczenia nabożeństw i przydzielenia kościołów, gdyż w jednych były tłumy żołnierzy, a w innych pustki. Płk. Mayer aprobował tekst tego punktu rozkazu. Kiedy zaś odbijano już w litografii cały rozkaz, przybiegł sam zadyszany, jak mi meldował ppor. Kamiński i polecił niezwłocznie w swej obecności zniszczyć cały nakład. Nie chciał zgodzić się ani na przekreślenie, ani na zamazanie tego tylko punktu.

Musieliśmy tedy i w odniesieniu do oddziałów austriackich, spreparowanych dla Ukraińców, a we Lwowie załogujących, zadowolić się tylko przybliżonym, procentowym określeniem ilości Rusinów, opartem na podstawie osobnych badań i wywiadów.

Obliczenia te nasze podałem w „Bojach lwowskich“. Naprawdę nie moja to wina, że liczby te wypadły tak wysoko, bo określiłem je, naprawdę w obawie, by nie przesadzić, na 12 tysięcy austriackich żołnierzy Rusinów, których Ukraińcy mogli uchwycić od pierwszej chwili dla wykonania zamierzeń swoich i swoich (austriackich) mocodawców.

Znowu na te cyfry, podkreślam na urzędowych raportach oparte, rzucono się ze strony tej samej grupy ludzi z twierdzeniem, że są przesadzone i t. p. Nie mogę znaleźć rozumowo uzasadnionej przyczyny, dlaczego to czynią. Gdyż trudno chyba przypuścić, by chodź im mogło o pomniejszenie wysiłku polskiego we Lwowie.

Nie mam zamiaru wyliczać wszystkich, którym nie podobają się te cyfry, ale chcę jedynie przytoczyć i może przegwoździć najklasyczniejsze chyba zdanie w tej mierze. Otóż Dr. Jakubski zajmuje się także temi cyframi w swej relacji i twierdzi dosłownie:

„.... przypominam sobie, że szczegółowe raporty naszego Biura Wywiadowczego w listopadzie informowały nas każdorazowo w sposób wprost idealnie szczegółowy, dzięki fenomenalnie rozwiniętej akcji wywiadowczej, o sytuacji ruskich oddziałów we Lwowie, tudzież o organizacji i wszelkich posiłkach, nadchodzących do Lwowa. Niestety, jednak nie potrafię dat Mączyńskiego ani uzupełnić, ani sprawdzić, przypuszczam jednak, że obliczenia Mączyńskiego co do siły Ukraińców w dniu 1 listopada są stanowczo przesadzone“.

Zdaje mi się, że wystarczy przeczytać te zdania bezpośrednio po sobie następujące, aby stwierdzić, że cały zarzut Dr. Jakubskiego oparty jest na przypuszczeniu, z którym ten autor występuje przeciwko wymowie zimnych cyfr.

Zrozumiałe, że Ukraińcy w różnych broszurach swoich zmniejszają swą liczbę, by usprawiedliwić swą klęskę. Dlaczego jednak dzieje się to samo u nas tak głośno, miast sięgnąć do austriackich raportów porannych, które dostały się do rąk naszych wraz z wielu innymi aktami, a znajdowały się swego czasu w Archiwum wojskowem we Lwowie.

Wiedzieliśmy tedy z końcem października 1918 r. i to z każdym dniem coraz to bardziej pewnie o przygotowanym prusko-austriacko-ukraińskim zamachu zbrojnym na polskość Lwowa i całej Ziemi Czerwieńskiej, zwanej w Austrii Galicją wschodnią. Obliczaliśmy prawie dokładnie siły, które oni będą rozporządzać. Zdaje mi się, że nie potrzeba dowodzić, iż musiały istnieć jakieś plany w społeczeństwie polskim, by przeciwstawić się temu grożącemu i codziennie spodziewanemu zamachowi. Musiały coś o tem myśleć organizacje polityczne, a przede wszystkim organizacje wojskowe, których było to najważniejszym obowiązkiem.

Nie chciałem w „Bojach lwowskich“ i nie chcę obecnie mówić o wszystkich kwestiach mnie wiadomych w odniesieniu do organizacyj politycznych, starałem się jedynie, jak najbardziej bezstronnie, podać plany i zamierzenia organizacyj wojskowych, o ile doszła do mnie jakakolwiek wiadomość, choćby pośrednia. Przedstawiłem je wszystkie dość chyba obszernie w moich „Bojach lwowskich“. Naturalnie zaś, że najbardziej dokładnie i szczegółowo zająłem się planami istniejącymi w Polskich Kadrach Wojskowych; wszak była to organizacja, którą tworzyłem

i którą dowodziłem. Mogłem więc być o jej planach dobrze poinformowany, a może i jedynie kompetentny do jakichkolwiek oświadczeń w jej imieniu. Zazaczyłem nawet — by, znając warunki polskie, uchronić się może od jakichkolwiek podejrzeń — że plany te przedstawiłem w ściślejszym gronie moich przyjaciół politycznych na tydzień przed dokonaniem zamachu ukraińskim w mieszkaniu prof. Dr. Stefana Dąbrowskiego, wymienając imiennie obecnych.

Czyż naprawdę nie może to być klasycznym przykładem stosunków w Polsce, skoro po takim przedstawieniu sprawy, ba co lepiej, po późniejszym opisanu tego zebrania przez właściciela i przewodniczącego nb. tajnego zebrania tego znaleźli i znachodzą się ludzie, występujący z twierdzeniem, że cały ten plan P. K. W., to rzekomy mój wymysł późniejszy.

Ostatnio i Dr. Jakubski zaprzecza kategorycznie jego istnieniu — jakgdyby on mógł, czy miał być poinformowany o planach ściśle tajnej organizacji, do której nie należał — zamiast zapytać w kilku słowach kolegę swego i profesora tej samej Wszechnicy o prawdę.

Zdaje mi się jednak, że W. B. H., pod wpływem czytania podobnych zacierzwionych elukubracji, zaczyna wątpić o istnieniu tego planu, kiedy w osobnym punkcie prosi mnie o odpowiedź na pytanie: „kto robił ten plan, czy istniał na piśmie i t. d.“ I na to, w przyzwoitej zresztą formie, postawione zapytanie odpowiadać osobiście nie chcę. Odeszlę do „Bojów lwowskich“, do uczestników wspomnianego tam zebrania imiennie wymienionych i do wydrukowanego już w „Słowie Polskiem“ wspomnienia prof. Dr. Stefana Dąbrowskiego. Z tem jedynie małem sprostowaniem, że datę jego oznaczył Dr. Dąbrowski na 31 października 1918. W rzeczywistości odbyło się to zebranie w tygodniu przedostatnim października¹⁾.

Zebranie to — czy weźmiemy datę moją, czy Dr. Dąbrowskiego — odbyło się w każdym razie przed ujawnieniem się

¹⁾ Stefan Dąbrowski, art. „Czesław Mączyński“, Słowo Polskie z dnia 23 listopada 1919: „W nocy z 31 października na 1 listopada, wśród alarmujących wieści o ruchach pułków ukraińskich, zdecydowano tę sprawę w mieszkaniu mojem, w szczupłym gronie, złożonym z Mączyńskiego, Dubanowicza i podpisanego“. (Przyp. red.)

zamachu ukraińskiego. Daje więc niezbity chyba dowód, że w P. K. W. istniał pewien uprzednio nakreślony i sformułowany plan działania także w odniesieniu do wyłaniającej się kwestji ukraińskiej.

Chociaż bowiem P. K. W. miały znacznie szerszy zakres działania, chociaż planowały i w ostatnim tygodniu października postanowiły rozpocząć pewne akcje zbrojne przeciwko państwowym centralnym (dałem jako przykład w „Bojach lwowskich“ ułożenie z rtm. Dembińskim akcji 1 p. ułanów austriackich), musiały, mojem zdaniem, zająć się również akcją ukraińską, chociażby ze względu na jej wagę dla powstającego Państwa Polskiego.

Licząc się z realnemi warunkami przeciwnika i swojemi, sumując dokładnie wzajemne siły i możność ich powiększania, ułożyły P. K. W. własny plan działania w dwu — jak wiadomo — alternatywach. Przyjedzie P. K. L. zaczynamy niejako z góry jako nowa władza, w razie zaś przeciwnym bronimy się przed zamachem ukraińskim aż do zwycięstwa, względnie jak długo starczy sił, amunicji i... życia.

Nawiasem tu podkreślić muszę, że w pierwszej alternatywie nie chodziło zupełnie o zachowanie jakiegokolwiek legalności wobec Austrii. Naprawdę śmieszny jest zarzut stawiany w tym kierunku przez Dr. Jakubskiego. Chodziło tylko o wystąpienie wobec nagromadzonych przez Austrię sił wojskowych jako nowa władza, o pewnego rodzaju uchronienie się przed tem, by cała, trzymająca się jeszcze armja austriacka we Lwowie nie wystąpiła przeciw nam w swych zwartych jednostkach. Nie wątpię, że można to było uzyskać, mimo przygotowanie przez Austrię zamachu ukraińskiego.

To był plan P. K. W., organizacji tajnej — naprawdę tajnej — która nie mogła zmusić do wykonania jego nikogo poza zaprzysiężonymi własnymi członkami, no i później w czasie rozpoczętej akcji tymi ochotnikami, którzy jej kadry własnowolnie wypełnili. Rozumiałbym więc najzupełniej, gdyby któryś z członków P. K. W. atakował ten plan przed, czy po fakcie i wyrzekał przytem na Komendę, która powzięła i wszystkim zaprzysiężonym narzuciła taki plan, gdyż oni wszyscy ten plan wykonywać musieli. Ale skąd i na jakiej podstawie biorą się ataki na ten plan P. K. W. ze strony ludzi, czy organizacji, które nie

były zupełnie związane z P. K. W. w jakiegokolwiek mierze i mogli działać samodzielnie wedle własnego, dobrego planu na długo przed 1 listopada 1918 i długo jeszcze po tym terminie wystąpić do akcji racjonalniejszej wedle ich przekonania.

Czyż nie dziwne, a może tylko charakterystyczne dla stosunków w Polsce panujących, że rzucają się na ten plan, nicują go i potępiają ludzie, którzy, jak twierdzą, mieli siły wojskowe i mogli każdej chwili rozpocząć i wykonywać inny własny. Tymczasem poszli — ja nie wiem, dlaczego — za planem, który wedle ich twierdzenia wywoływał i niepotrzebnie na dziewięć pełnych miesięcy przedłużał wojnę polsko-ukraińską, twierdzą, że wystarczyło pójść do koszar, rozbroić zgromadzonych tam żołnierzy i rozpuścić ich do domów, co oni z radością byliby uczynili. Nie zrobili zaś tego, choć mieli organizację wojskową, znowu jak twierdzą, liczniejszą, sprawniejszą, z lepiej wojskowo wykształconych członków złożoną, niż obce im P. K. W.

Któż z nas naprawdę większą wobec Polski obarczony winą, czy ja, który mając tajną organizację wojskową (bez żołnierzy jak twierdzi Kron, albo, jak Jakubski, na papierze conajwyżej istniejącą) ułożyłem fałszywy przypuśćmy plan działania, przeceniając może siły przeciwnika, czy oni, którzy mieli po temu odpowiednio wykształcone głowy, mieli licznych ludzi w swej organizacji, mieli rozkazy swych organizacyjnych władz przełożonych, a nie zaczynali wedle swego planu. Z czyjej więc winy lała się niepotrzebnie, a tak obficie i tak długo drogocenna krew polska?

Tak bowiem przedstawia sprawę z ramienia P. O. W. Aleksander Kron w swem p. t. „Listopad we Lwowie“, dziełku. Choć znałem je, nie zajmowałem się niem wcale w moich „Bojach lwowskich“. Tu mogę przedstawić, jak wyglądała sprawa w P. O. W. wedle jego autentycznego zapewne opisu. Popołudniu 31 października wiedzą oni w swej Komendzie okręgowej napewne, że Ukraińcy dziś zaczynają, ba wiedzą, że w 15 p. p. już zaczęli, otrzymują rozkaz przełożonej swej władzy organizacyjnej do natychmiastowego wystąpienia, zarządzają mobilizację, wiedzą, że całe społeczeństwo polskie ich poprze, a nie występują do akcji wedle swego planu, lecz szukają mnie trzykrotnie, by się ze mną porozumieć i udowodnić, że „nie zależy im na jakichkolwiek sprawach osobistych lub ich organizacji“. No

i wreszcie miast wykonać rozkaz swoich władz, ulegają moim argumentom, opartym na fałszywych, wedle ówczesnego przekonania, przesłankach. Ulegają mnie, co do którego wiedzą, że z przekonania społecznego jestem ich przeciwnikiem i który na jednej z poprzednich konferencji oświadczył im otwarcie: „Jeśli i jak długo walczyć będziecie jako żołnierze polscy o granice Państwa Polskiego, będziemy razem obok siebie, ale znajdziemy się naprzeciw siebie z chwilą, kiedy rozpoczniecie jakąkolwiek akcję o charakterze wewnątrzno-politycznym“. To słyszał oświadczenie Kron i de Laveaux ode mnie.

Nagle tak zafascynowana została moim autorytetem chyba organizacja wojskowa, mnie obca, która zresztą wszędzie w Polsce tak bardzo spieszyła do władzy. Ta uległość okręgowych władz tej organizacji mogła obowiązywać tylko co najwyżej jej członków. Nie będę w tej chwili cytował, czy wszystkich. Wiem coś niecoś i o tem. Ale przecież nie należeli do P. O. W. wszyscy ludzie i wszyscy legjoniści (a oni tylko wedle zdania Jakubskiego i innych coś w obronie Lwowa znaczyli i robili). Dlaczegoż oni nie skrzyknęli się i w porozumieniu ze mną, czy bez niego nie rozpoczęli własnej, lepszej akcji?

Ot, Jakubski, który, jak twierdzi, tyłu miał wśród nich zwolenników, a tak bardzo gwałtownie w swej relacji raz potępia mój plan, a innym razem twierdzi autorytatywnie, że wogóle go nie było, miast zwołać swoich i rozpoczynać swą znakomitą akcję, woli czekać w lokalu mojej Komendy na mnie, oburzać się, jak pisze, na szalony rozgardjasz panujący w mej „radzie wojennej“ (takiej instytucji ja nie znałem u siebie) i w postawie na baczność przyjmować od nieznanego sobie człowieka rozkaz zorganizowania wojskowego i objęcia dowództwa nad nowym ośrodkiem oporu na Zamarstynowie. Pominę w tej chwili to, czy i jak wykonał ten rozkaz. Zrobili to dopiero jego następcy (Waluszewski i Tychowski) po niepotrzebnej stracie dwu dni.

Albo dlaczegoż jako nauczyciel VIII gimnazjum nie skrzyknął uczniów swoich, którzy naprawdę bardzo tłumnie i w zwartych klasami jednostkach zasilali szeregi walczących (dzięki pracy innych dwu profesorów tego zakładu, a to Dr. Ludwika Bykowskiego i nieodżałowanej pamięci najserdeczniejszego druha mego, członka P. K. W. Dr. Michała Browińskiego) i nie zlikwi-

dował z nimi rządu Zachodnio-Ukraińskiej „Derżawy“, urzędującego o kilkadziesiąt zaledwie kroków od tego zakładu. Albo nie uderzył z nimi na również niedaleko urzędującą „Naczelną Komendę i ją w plen nie zajął“. A mógł to zrobić przez pełne trzy tygodnie.

Wedle planu P. K. W. takie akcje choćby samodzielne, choćby bez porozumienia się ze mną czynione, nam nie przyszkadzały, przeciwnie byłyby przyjęte z najwyższym aplauzem i uznaniem. Przecież w dniu 2 listopada proponowałem akcję samodzielną kpt. Kamińskiemu, przedstawicielowi P. K. P.

Tak, jak Jakubski osobiście przeze mnie, przyjmowani byli w szeregi walczących i bardzo odpowiedzialnymi funkcjami obdarzani i inni legjoniści nie należący ówczesnie do P. K. W. jak Pieracki i Boruta, Śniadowski i Kamiński i inni.

Jeżeli poruszam tę kwestję i w ten sposób, to jedynie i wyłącznie w tym celu, aby wykazać i udowodnić, na co ogłędnie wskazałem już w moich „Bojach lwowskich“, że z tych ludzi wielu było innymi w listopadzie 1918 r., kiedy Lwów był zupełnie odcięty i stanowił niejako samodzielne, suwerenne państwo, a zmieniło się, kiedy po oswobodzeniu Lwowa przywiał doń, jak się wyrażałem ówczesnie, „wiatr od Warszawy“. Nie tej Warszawy rodzimej, którą podziwiałem i ceniłem nieprzerwanie, ale tej „ówczesnie oficjalnej“.

Ostatnią wreszcie kwestję, związaną z planem P. K. W., omówię obszerniej i rzeczowo. Chodzi w tej chwili o pytanie, czy można było przed 1 listopada 1918 rozbroić wszystkie oddziały austriackie, spreparowane odpowiednio pod względem personalnym dla Ukraińców i zapanować odrazu nad całym Lwowem, a jak twierdzą złośliwi (tylko legjoniści) uniknąć w ten sposób zupełnie długotrwałej wojny polsko-ukraińskiej.

Zdecydowanie tej kwestji kosztowało mnie wiele trudu i było bodaj decyzją jedną z najboleśniejszych, gdyż trzeba było powziąć decyzję ważną i ważką w oparciu jedynie o ścisłe rozumowanie i dość różnorakie wiadomości, no i naturalnie o znajomość przeciwnika. Jak rozstrzygnąłem tę sprawę, przedstawiłem obszerniej w „Bojach lwowskich“. Rozstrzygnięcie to odnosiło się tylko i wyłącznie do planu działania organizacji, którą dowodziłem, a nie krępowało w niczem nikogo poza nią, tem mniej inne organizacje. Zdaję sobie sprawę, że odpowie-

działność za nie spada w całej pełni na mnie i mnie wyłącznie wobec historii obciąża.

Twierdziłem wonczas, że „od dołu“ (t. j. bez przyjazdu P. K. L.) nam zaczynać nie wolno, że takie rozbrajanie oddziałów nie uda nam się w całości, a zaabsorbuje prawie wszystkie nasze rozporządzalne siły, które nie wytrzymają w tej sytuacji w razie wcześniejszego, czy późniejszego nadejścia Grupy Wasyla.

Dziś po rozegraniu w całości tej walki nie mam najmniejszej wątpliwości, że rozstrzygnąłem trafnie. Na dowód mogę dziś przytaczać cały szereg pozytywnie stwierdzonych faktów. Zdaje mi się, że każdy średnio tylko rozumujący uczestnik tych walk fakty takie sam mógłby odkryć, gdyby tylko chciał.

Twierdzą jednak niektórzy z nich, że łatwo było rozbroić oddziały lwowskie. Dają na dowód, że bardzo łatwo, prawie bez krwi rozlewu, przecież poszło takie rozbrajanie w Krakowie i Lublinie, Warszawie i wielu, wielu innych miejscowościach, że więc byłoby poszło podobnie i we Lwowie. Nie zastanawiają się zbytnio nad tem, że tam miało się do czynienia z oddziałami zmęczonemi wojną, które straciły nadto swój najważniejszy kit państwowy, tu zaś były oddziały odpowiednio do dalszej wojny przygotowane, z nasłanymi oficerami i podoficerami, tchnącymi mniej może miłością do własnego narodu, ile przepojonymi bezdenną nienawiścią do Polski i Polaków, przysłanymi przez swych protektorów dość wcześnie do oddziałów poto, by mogli je uchwycić w silne karby wojskowe, uświadomić i przepoić nienawiścią i żądzą walki, czy rabunku.

Czyż można dziś twierdzić, że daliby łatwo rozbroić się ludzie, którzy walczyli przeciwko nam od 1 listopada 1918 do końca lipca 1919, a potem przeszedłszy dawną granicę austriacką w ścisłej łączności z Petlurą snuli dalsze swe plany wojenne. Kiedy zaś ten zawarł układ z polskim Wodzem Naczelnym, opuścili go i połączywszy się z bolszewikami ciągnęli razem z nimi w sierpniu 1920 r. na Lwów, byle tylko walczyć przeciw Polsce. Skoro odwróciło się szczęście wojenne i od tych nowych ich sprzymierzeńców, znaczna część z nich przebiła się do Czechosłowacji, gdzie dalej knuła, a częściowo do dnia dzisiejszego knuje i układa akcje zbrodnicze przeciw Państwu Polskiemu. Wszak to ci sami ludzie, dokładnie wedle nazwisk ci

sami, których widzieliśmy we Lwowie, na czele oddziałów różnej wielkości w listopadzie 1918 r.

Albo czyż można chociażby przez sekundę uważać za możliwe rozbrojenie Grupy Wasyla, złożonej z ukraińskich legjonistów, walczących po stronie Austrii, a wówczas przygotowywanych przez nią i świetnie wyekwipowanych wyłącznie do walki z nami.

Tak, ich wszystkich można było rozbroić, ale tylko po zupełnem pokonaniu i wzięciu w całości w niewolę.

Nie pomogą tu przykłady z innych miast, nasza lwowska rzeczywistość była inną, do tamtych warunków zupełnie, ale to zupełnie niepodobną.

Obóz narodowy (złożony ówczesnie z kilku zresztą stronnictw politycznych), do którego należałem od młodości z przekonania i organizacyjnie i z ramienia którego i w łonie którego tworzyłem organizację wojskową P. K. W., stał wówczas na stanowisku, że należy dążyć wszystkimi siłami do osiągnięcia zupełnej zgody i jedności całego społeczeństwa polskiego we wszystkich sprawach, odnoszących się do zasadniczych warunków i podstaw przyszłego bytu Polski. Stanowisko to podzielałem najzupełniej i osobiście. Nie było tedy wśród nas najmniejszych różnic co do tego, że wobec grożącej zawieruchy „rusko-prusko-austriackiej“ i zgodnego ich zamachu na przyszłe granice Państwa Polskiego, należy dążyć wszelkimi siłami do skoordynowania dążeń całego społeczeństwa polskiego, do zjednoczenia go w całości w zgodnej walce o ziemię niewątpliwie polskie.

Petraktacje ze stronnictwami politycznymi — jak ja je nazwałem w „Bojach lwowskich“ polityczne — prowadzili polityczni moi przyjaciele. Szczegółów ich, znanych mi zastrzeżeń i trudności nie przytaczałem szczegółowo w „Bojach lwowskich“, oczekując na ujawnienie ich ze strony tych czynników, które prowadziły je bezpośrednio. Ja, może nie powiadomiony o wszystkich ich perypetyjach i szczegółach, mógłbym mimowoli wyrządzić komuś jakąś krzywdę, przedstawiając to tylko, co wiem o tych sprawach. Zaznaczywszy tedy, kto je prowadził, podniosłem tylko ich efekt końcowy. Ten mianowicie, że już 1 listopada 1918 rano zjednoczyły się wszystkie polskie stronnictwa polityczne z wyjątkiem P. P. S. i utworzyły zgodnie Polski Komitet Na-

rodowy, wybierając ś. p. Tadeusza Cieńskiego jego przewodniczącym. Po końcowych pertraktacjach tych czynników z przedstawicielami P. P. S., w dniu 1 listopada popołudniu i wieczorem i to stronnictwo zgłosiło ostateczny swój akces do P. K. N-u w dniu 2 listopada rano.

Podnosiłem już nieraz precudowność tego faktu, że w czasach, kiedy roznamiętnienie polityczne w społeczeństwie polskim przekraczało może dozwolone granice, kiedy w kilkanaście dni później rzekomo nie można się było dogadać z Polakami w Warszawie, tu we Lwowie, może częściowo pod wpływem zamachu ukraińskiego, a w rzeczywistości z jasnego przekonania wszystkich o potrzebie i konieczności świętej zgody i jedności, wszystkie bez wyjątku stronnictwa polityczne polskie stanęły zgodnie na straży praw polskich do Lwowa i Ziemi Czerwieńskiej.

Zrozumiałe dla każdego i tego nie potrzebuję chyba podnosić osobno, że dla uniknięcia i zachowania tej zgody musiały umysły wszystkich być przepojone pewną kompromisowością, że musiano wzajemnie omijać sprawy drażliwe, różniące, a podnosić na pierwszy plan wspólne, jednoczące i t. d. Z dumą i chlubą dla Lwowa tylko zaznaczam, że ta święta zgoda przetrwała nienaruszenie przez cały ciąg wojny polsko-ukraińskiej, a w odniesieniu do zasadniczego stanowiska przynależności tej ziemi do Państwa Polskiego nie było i niema do dnia dzisiejszego najmniejszych pomiędzy nimi różnic. Różnice są dziś i były wówczas w odniesieniu do kwestji ukraińskiej w jej znaczeniu wewnętrznym, że się tak wyrażę. Tu właśnie trzeba było zastosować umiejętną kompromisowość i taktykę prowadzącą prosto do głównego, a wspólnego celu. Osobiście uważałem za najważniejszy swój obowiązek popierać tę zgodę polityczną jak najusilniej w moim, wcale szerokim wówczas, zakresie działania i unikać wszystkiego, coby zgodę tę rozbiło, rozluźniło, czy na szwank naraziło. Gdzie i jak to czyniłem, nie mam zamiaru opowiadać.

O pierwszej próbie możliwego unicestwienia tej tworzącej się dopiero zgody zaraz w samych jej zaczątkach nie pisałem wyraźnie w moich „Bojach lwowskich“. Dałem jedynie dla ścisłości historycznej takie o niej wskazówki, że — wedle mego mniemania — każdy uważny czytelnik łatwo mógł poznać jej

przebieg. Tymczasem nie znalazł się dotąd nikt taki z piszących na ten temat, ba czyniących mi właśnie z tego powodu najsurowsze zarzuty. Myślę w tej chwili o przelicznych atakach na P. K. N. za zawarcie pierwszego zawieszenia broni w dniu 2 listopada 1918 i na mnie osobiście, że to zawieszenie akceptowałem.

Niewątpliwie nowy to dowód przynajmniej pochopności w stawianiu zarzutów. Zamiast przeczytać dokładnie i uważnie wydrukowaną o tem książkę, operuje się poważnemi zarzutami. Przecież w „Bojach lwowskich“ w tomie I, na str. 123 i nast. przedstawiłem bezstronnie fakt rozpoczęcia pierwszych rozmów z Ukraińcami niezależnie od tworzącego się dopiero P. K. N. i objaśniłem go osobno dwoma dodatkami (Nr. 17 i 18 na str. 199 i nast. tomu II). Na tej podstawie mógł każdy czytelnik zrekonstruować sobie najdokładniej przebieg tego faktu historycznego. Zastanawiające może, że i Wojskowe Biuro Historyczne prosi mnie o jego przedstawienie. Uczynię to dodatkowo tak, by zrozumiał ten nawet, który nie chce wierzyć.

Otóż 1 listopada o 5 popołudniu, kiedy utworzony dopiero P. K. N. toczy pertraktacje z przedstawicielami P. P. S. o przystąpienie ich do komitetu i skompletowanie w nim w ten sposób wszystkich politycznych stronnictw polskich, zjawia się przed Ukraińską Radą Narodową „deputacja“ (jak pisze „Diło“) Wydziału Krajowego, żeby (jak cytuje „Diło“) „dojść z U. R. N. do porozumienia, żeby ułożyć stosunki między ukraińską większością, a polską mniejszością“. Wydział Krajowy to najwyższa magistratura samorządowa byłej Galicji, złożona z kilku posłów wybieranych przez Sejm galicyjski, ze wszystkich liczniej w nim reprezentowanych stronnictw, z Marszałkiem krajowym na czele, mianowanym co prawda przez cesarza austriackiego, to przecież niewątpliwie reprezentacja Polaków i to dość oficjalna w warunkach miejscowych, lwowskich.

Pominę przebieg tej „deputacji“. Podniosę jedynie, że kiedy opowiadano mi o nim i kiedy następnie czytałem o tem w pismach ukraińskich, to wydawało mi się, że w porównaniu z nią wspaniałe i godne było przyjęcie Kisiela przez Chmielnickiego, opisane przewspaniale, w słowach bólu narodowego pełnych przez Sienkiewicza. Ciekawych odeszłę do przedstawienia „Diła“, przytoczonego w dodatku Nr. 17 moich „Bojów lwowskich“,

a stemperowanego nieco przez „Diło“ i — jak widać z kropkek w tekście — i przeze mnie.

Zakończono narady te postanowieniem, że nazajutrz, t. j. w sobotę 2 listopada zbiorą się o godzinie 10 rano w lokalu Wydziału Krajowego przedstawiciele U. N. R., a z polskiej strony członkowie Wydziału Krajowego i przedstawiciele Zarządu miasta Lwowa dla porozumienia się z celem „ułożenia normalnego życia“. Jako przedstawiciele Zarządu miasta, których na tę naradę zaprosił Marszałek krajowy, a więc autonomiczny ich przełożony, zjawili się całe prezydjum miasta i były, a przez Austrię w czasie wojny nieprawnie usunięty, prezydent Neumann, przedstawiciel lwowskiego mieszczaństwa. Nawiasem dodam, że to ówczesne prezydjum miasta miało szczególny charakter. Zostało ono mianowane przez rząd austriacki w czasie wojny, a więc miało charakter komisaryczny, z zachowaniem jednak niektórych wiceprezydentów (Chlamtacz, Schleicher) wybranych swego czasu na tę godność przez Radę miejską. Komisarzem w całej pełni mianowanym był tylko prezydent miasta (Dr. Steśłowicz). Ale na tę naradę zaproszono i Neumanna, byłego przez tę Radę miejską wybranego prezydenta, choć nie zaproszono innego wiceprezydenta, również przez tę Radę wybranego, a usuniętego nieprawnie przez rząd austriacki razem z Neumannem (Dr. Stahl). Wyjaśnienie to konieczne dla zrozumienia, że i ta reprezentacja miasta była w warunkach lwowskich bądź co bądź drugą oficjalną.

Te więc dwie najwyższe we Lwowie magistratury samorządowe zeszły się na naradę z przedstawicielami U. R. N. W czasie toczących się obrad dowiedział się o tem przypadkowo P. K. N. i wysłał czterech swoich przedstawicieli z różnych naturalnie stronnictw z żądaniem dopuszczenia do tych obrad. Ci delegaci P. K. N. musieli dopiero odrabiać wiele rzeczy już uprzednio uzgodnionych, zmieniać podstawę i płaszczyznę tych zaawansowanych już rozmów, musieli jednak zgodzić się na prawie postanowione zawieszenie broni. Toku tego posiedzenia, znanego mi tylko z opowiadania, nie chcę cytować dokładnie. Wiem, że jeden z jego uczestników (ś. p. Dr. Stahl) spisał je. Może kiedyś ujrzy to farbę drukarską. Ogólne postanowienia tego zebrania podałem już w „Bojach lwowskich“.

Tak tedy niewiele miał wspólnego z zawieraniem tego pierwszego zawieszenia broni P. K. N. Postawiony przed faktem dokonany musiał je akceptować, kierując się wyłącznie motywami politycznymi. Niezłomne mam przekonanie, że P. K. N. nie uczyniłby tego bez porozumienia się ze mną, gdyby decyzja w całości zależała od niego.

Mnie również te same motywy polityczne, co zresztą podniosłem już w „Bojach Lwowskich“, skłoniły do zgody na to zawieszenie broni. Zapewne miałem decyzję swobodną. Za jej powzięcie pełną przyjmuję odpowiedzialność. Nie miałem najmniejszych wątpliwości wówczas, jak nie mam ich i dzisiaj, że gdybym był tego przez takie, jak wyżej opisałem, czynniki zawartego zawieszenia broni nie przyjął, naraziłbym na poważny szwank zasadniczą sprawę polską. Bezprzedmiotowe byłoby w tej chwili szczegółowe wymienianie, co stać się mogło. Wystarczy, że się nie stało.

Dopiero w czasie zawieszenia broni weszło do P. K. N. prezydent miasta, nadto uzupełniono go jeszcze dodatkowo przedstawicielami polskiego mieszczaństwa.

Osobiście uważałem samo powstanie P. K. N. w ten sposób złożonego, za fakt nader pomyślny dla toczącej się walki. Dlatego poświęciłem tyle drogiego czasu w dniu 1 listopada tej tworzącej się dopiero instytucji. Przekonany byłem już wówczas, a i dziś zaliczam to do niewzruszalnych pewników, że bez narodu, a tem mniej wbrew niemu nie można prowadzić wojny współczesnej, wymagającej tak od całego narodu, jakoteż wszystkich jego jednostek ogromnego napięcia woli i energii, ducha i poświęcenia. To też współdziałałem z P. K. N. jak najściślej od samego początku.

Różni, tak dzisiaj liczni zawodowi chwalcy dyktatur wojskowych kują z tego powodu zarzut przeciwko mnie, że będąc wedle jednych uzurpatorem wojskowym, wedle innych dyktatorem (zbyt coprawda lokalnym), podporządkowałem się tak pochopnie, a wedle ich zdania niepotrzebnie P. K. N. By zaś twierdzenie to bodaj jako tako uzasadnić, podają cały szereg rzekomych szkód, jakie wynikły z tego powodu dla akcji wojskowej. Dlatego tylko wspominam o tem, by podnieść publicznie niesłuszność tych wszystkich zarzutów, skierowanych w stronę P. K. N. Przeciwnie, otwarcie i szczerze, a z pełnem uznaniem

dla P. K. N. podkreślić muszę, że ja nie znalazłem i nie znam ani jednej sprawy wojskowej, w którejby jakkolwiek szkoda wynikła dla akcji wojskowej z powodu istnienia i w pierwszych trzech tygodniach raczej radzącego tylko funkcjonowania P. K. N. Wręcz przeciwnie mógłbym cytować tylko cały szereg stron dodatnich i znakomych efektów pracy i współdziałania tego naprawdę doskonale złożonego i czcigodnego aeropagu miejscowego.

W pertraktacjach wojskowych, mających na celu zespolenie wysiłków lub ich uzgodnienie z wszystkimi organizacjami, które oddać mogły jakkolwiek pomoc w przyszłej walce, osobisty brałem udział bezpośrednio lub też za pośrednictwem moich podkomendnych z P. K. W. Współdziałali nadto przytem ochotczo i wymienieni w „Bojach Lwowskich“ polityczni przyjaciele moi, jak hr. Skarbek, Dr. Dubanowicz, Dr. Dąbrowski i inni. Ponieważ tu wiedziałem o wszystkim dokładnie, przeto mogłem przedstawić szczegółowo w „Bojach lwowskich“ ich przebieg.

O różnych ujemnych objawach nie chciałem i nie chcę w tej chwili wspominać. Poruszyć muszę jedną tylko sprawę, by ochronić niesłusznie z wielu stron zaatakowanego komendanta okręgowego P. O. W. por. de Laveaux. Wiemy i wiedzieliśmy, że w P. O. W. był cały szereg ludzi, bardziej politycznie, niż wojskowo nastrojonych, którym nie podobała się decyzja por. de Laveaux podporządkowania całej organizacji mnie w rozpoczynającej się walce. Nie chcę jeszcze cytować nazwisk, ani wskazywać na ujemne strony wynikłe z tego dla walki, czy w czasie walki. Nie chcę również zastanawiać się, jak przyjęty został ten krok por. de Laveaux we władzach wyższych P. O. W. Podniosę jedynie, że czyn por. de Laveaux oceniać należy ze stanowiska nieco ogólniejszego. Poważne interesy polskie i Państwa Polskiego, o które miał się rozpocząć bój śmiertelny, wymagały niewątpliwie i nakazywały kategorycznie wszystkim dążyć do skoordynowania przynajmniej wspólnej wojskowej akcji. Dążył do tego por. de Laveaux zupełnie uczciwie i ze zrozumieniem wyższego, wspólnego nam wszystkim celu. Tak ja oceniałem ówczesnie i dziś jego stanowisko. Stądto będzie on miał w historii obrony Lwowa zawsze chlubną i zaszczytną kartę bez względu na to, jak oceniają ten jego czyn jego towarzysze organizacyjni, czy wyższe w organizacji ówczesnej władze.

Podporządkowanie się P. O. W. nie rozstrzygnęło jednak o stanowisku wszystkich byłych legionistów. W r. 1918 bowiem nie była to jakaś zwarta masa, jakby można mniemać wedle późniejszych czy dzisiejszych objawów, ale rozproszkowani na cały szereg grup zwalczających się zawzięcie, nierzadko w sposób bardzo ostry, wprost na noże, jakby się wyrazić można i różniących się między sobą i programem zasadniczym i zapatrywaniem na najbliższą i dalszą swą taktykę.

Tak tedy mała we Lwowie grupka legionistów, uważająca się za przynależnych do utworzonego już po pokoju brzeskim Polskiego Korpusu Posiłkowego, P. K. P. w krótkości zwanego, a podporządkowana Beselerowi i Radzie Regencyjnej, nazywała siebie jedynie Wojskiem Polskim i nie chciała wchodzić w żadne debaty nawet z innymi organizacjami legionowymi. Wyraźne o tem daje świadectwo sprawozdanie z zebrania oficerów polskich nb. samych legionowych z 26 października 1918, umieszczone wedle „Kurjera Lwowskiego“, jako dodatek 8 w moich „Bojach lwowskich“.

Również na zebraniu u mjr. Śniadowskiego w dniu 31 października nie pozostawił kpt. Kamiński żadnych wątpliwości, że nie podda się żadnemu wspólnemu dowództwu. Bezpośrednio od niego zależał kpt. Trześniowski, dowódca szumnie nazwanego, a liczebnie słabutkiego, bataljonu uzupełniającego, ulokowanego czasowo w Szkole Sienkiewicza. Jak się zachowa on w czasie akcji, nie wiedzieliśmy uprzednio. Ponieważ zaś utrzymanie Szkoły Sienkiewicza było dla należytego wykonania planu naszego bezwzględną koniecznością ze względu na bliskie sąsiedztwo t. zw. Dworca Czerniowieckiego, a obsada jej przez P. K. P. była zbyt słaba, postanowiliśmy utrzymać ją bezwzględnie w polskim posiadaniu za zgodą dotychczasowego dowódcy lub nawet wbrew niemu, gdyby taka zaszła potrzeba. Dlatego wydałem rozkaz dla kilku grup P. K. W. i P. O. W. udania się do Szkoły Sienkiewicza i walczenia tam pod tem samem dowództwem. Było to pewnego rodzaju zabezpieczenie się przed możliwymi niespodziankami z tej strony.

Dr. Jakubski i temu faktowi przeczy w sposób kategoryczny i dość gwałtowny, twierdząc, że gdyby tak było, to pod wieczór 1 listopada powinno być w Szkole Sienkiewicza około 200 ludzi. Chociaż wie, że już popołudniu tego dnia kpt. Trześ-

niowski znalazł się, na podstawie mego zresztą rozkazu, z całym bataljonem w Rzęśnie polskiej, a w Szkole Sienkiewicza pozostało znacznie więcej obrońców, niż wyprowadził Trzeńskiowski, chociaż żyją dotychczas ludzie, którzy otrzymali ode mnie oświadczenie te rozkazy, Dr. Jakubski przeczy temu.

Zresztą osobno podnieść muszę, że z zachowania wojkowego kpt. Trzeńskiowskiego, poza opisanymi już w „Bojach lwowskich“ epizodami, byłem zupełnie zadowolony i od 4 listopada żadnych z nim nie miałem kłopotów na temat posłuszeństwa rozkazom wydawanym. Prawdziwie zaś po żołniersku, co podkreślam z pełnym uznaniem, zachował się wobec rozkazu, nakazującego mu złożenie broni.

W ten sposób i ta grupa legionistów podporządkowała się faktycznie wspólnej komendzie.

Inni legioniści t. zw. niezorganizowani, nienależący do obu grup powyższych, zgłaszali się w szeregi walczących w miarę swego temperamentu bojowego, jedni wcześniej, inni później. Byli zaś i tacy, którzy przesiedzieli spokojnie przez całe trzy tygodnie po stronie ukraińskiej, nie uważając za swój najważniejszy obowiązek zgłoszenia się w szeregi żołnierzy o Polskę walczących.

Wszystkich oficerów i podchorążych z byłych Legionów pochodzących zgłosiło się w szeregi lwowskie sześćdziesięciu kilku, jak ich swego czasu wyliczali imiennie ci, którzy ich udział w obronie Lwowa szczególnie chcieli podnosić.

Natomiast bez jakichkolwiek uprzednich pertraktacji zgłaszali się naprawdę tłumnie w szeregi wszyscy oficerowie, którzy wojnę światową odbywali w mundurach jednej z armii zaborczej. Zrozumiałe, że najliczniejszą wśród nich grupę stanowili oficerowie z byłej armii austriackiej, choć nie brak było już w listopadzie i tych z armii niemieckiej i tamtych z armii rosyjskiej. Naturalnie, że przeważnie byli to oficerowie rezerwowi; wcale poważną również grupę stanowili oficerowie zawodowi, którzy bez względu na posiadany stopień, a częstokroć i wiek podeszły stawali w szeregi, by oddać swe siły fizyczne i duchowe na usługi wspólnej Sprawy.

Ilu ich było? Prawie 600 oficerów wykazuje niezupełny raport poranny z 20 listopada, brak w nim intendenty i komendy placu. Jeśli doda się do liczby tej wszystkich, którzy

przedtem polegli lub ranni zostali, podskoczy ona znacznie, przypuszczam o jakieś półtora do dwu setek.

Wymowa cyfr zimnych jest tak dosadna, że na nic zda się jakiekolwiek wynoszenie jednych, a poniżanie drugich. Z racji swego stanowiska stwierdzić jedynie muszę, że wszyscy byli ochotnikami, że więc naprawdę wszyscy chcieli oddać, zwłaszcza w warunkach lwowskich rzadko na wojnie spotykanych, sprawie jak najlepsze usługi. Czy wszyscy mogli je oddać, względnie z jakich przyczyn nie mogli tego uczynić, pozostawię wyłącznie dla siebie. Jednych musiałem zmieniać, a odpowiednio obstawiać innych.

Uświadomienie sobie tej wysokiej cyfry oficerów, walczących w powstającym dopiero Wojsku Polskiem we Lwowie, stwarza nam podstawę do należytego zrozumienia, jak można było walczyć i kunsztownie nierzadko operacje przeprowadzać ochotnikami, przeważnie zupełnie nieświadomym kunsztu i wykszolenia wojskowego.

Bo takich było wielu.

Zapoczątkowana tedy przez pertraktacje wspólna Komenda wojskowa, niewątpliwie konieczna dla wszelkiej celowej walki, zaistniała faktycznie od pierwszych chwil i może z pewnemi, początkowemi trudnościami, co częściowo rozumiałe, potrafiła zespolić i zjednoczyć wszystkich do walki o wspólne cele. Nie mam zamiaru opowiadać szczegółowo i imiennie, z jakimi trudnościami i drażliwościami musiało się przy tem liczyć.

Starałem się przez wyznaczanie dowódców podkreślać wybitnie na zewnątrz, że w organizującym się w czasie ciągłych walk Wojsku Polskiem zjednoczone są wszystkie odłamy wojskowe elementów polskich. Szczęśliwy się czuję, że mogę stwierdzić, iż to we Lwowie powstałe Wojsko Polskie naprawdę w zwartych i karnych formacjach zjednoczyło wszystkich, bezwzględnie wszystkich Polaków, którzy za świętą Sprawę Polską chcieli walczyć i ginąć.

Nie wiem, czy wielu w niem było takich, którzy myśleli o karierach bajecznych (nie liczyłem ich), ale podkreślić muszę, że wszyscy szli ochotnie w szeregi, by w rozgorzałej, nie z naszej przyczyny, wojnie o odwiecznie polską ziemię spełnić swój jedyny i najważniejszy żołnierski obowiązek.

Nie do nas należy ocena, czy i jak to zrobili.

Uważałem za potrzebne dołożyć tych słów kilka dla bardziej szczegółowego, niż to uczyniłem w „Bojach lwowskich“, wyjaśnienia momentów poprzedzających właściwą walkę. Może ten szkic będzie wystarczającym dla pierwszego tomu materiałów, wydawanych przez Towarzystwo badania historii obrony Lwowa. Omówienia różnych ciekawszych momentów z walk samych mogą znaleźć się w dalszych tomach.

MÓJ UDZIAŁ W PRACACH ZWIĄZKU
„WOLNOŚĆ I P. O. W.“



WYD. 1. 1918
TŁUMACZENIE MICHAŁA WITKOWSKIEGO

MOJ UDZIAŁ W PRACACH ZWIĄZKU
„WOLNOŚĆ I P. O. W.”



Alecie 1918 roku powstała na terenie byłej Galicji, z centralą we Lwowie, organizacja Polaków w armji austriackiej, stojących na gruncie ideologii Józefa Piłsudskiego, pod nazwą związku „Wolność“.

Celem jej było zorganizowanie rozprószonych Polaków w c. k. mundurach w karne zespoły, których możnaby użyć do akcji przy powstawaniu Państwa Polskiego.

Zadania nasze były następujące: ewidencja Polaków w poszczególnych oddziałach austriackich, uświadamianie ich o roli i przygotowaniach P. O. W., zbieranie informacji tajnych ze sztabów i biur wywiadowczych austriackich o knowaniach austriacko-niemieckich na naszą szkodę, gromadzenie broni, amunicji, środków wybuchowych, zdobywanie danych o magazynach austriackich na terenie ziem polskich, o ruchach wojsk i t. p.

Pracowano, rzecz jasna, głównie wśród materiału inteligentniejszego, oficerów, podoficerów, jednoroczników, od samego początku w kontakcie z P. O. W., która dała inicjatywę i pomysł założenia organizacji „Wolność“. Pierwszym komendantem był ppor. armji austriackiej Adam Próchnik, aż do aresztowania go przez władze austriackie w pierwszej połowie października 1918 za organizowanie spisku. Po nim ja objąłem komendę. Współpracownikami moimi bezpośrednimi byli następujący oficerowie armji austriackiej: ppor. Kubin, jako nasz wywiadowca, ppor. Schleyen Kazimierz na terenie pułku lwowskiej obrony krajowej, por. 15 p. p. austr. Dr. Nagler, ś. p. plut.-pchor. Andrzej Battaglia, por. Stark Edmund i szereg innych osób.

Organizacja nasza bardzo szybko się rozrastała, ogarniając nie tylko b. Galicję, ale i okupację austriacką Królestwa, Węgry (gdzie było dużo pułków polskich), okupację austriacką na Ukrainie oraz Wiedeń. Poza tem byliśmy w żywym kontakcie

z frontem włoskim, gdzie skupiały się coraz liczniej austriackie oddziały polskie i b. legioniści, wzięci po kryzysie przysięgowym do armji austriackiej.

W ostatnich dniach października przybył do Lwowa Aleksander Kron (Zbych), któremu na polecenie komendanta P. O. W. por. de Laveaux, oddałem komendę związku „Wolność“. Nastąpiło wówczas kompletne zlanie się obu bratnich organizacyj w ten sposób, że obywatel Kron został zastępcą kmdta P. O. W. de Laveaux, a do wszystkich wydziałów komendy P. O. W. weszli członkowie związku „Wolność“ po jednej osobie; kierownictwo danego oddziału obejmował ten, który był starszy rangą. Początkowo nie mieliśmy zupełnie stosunków z innymi organizacjami, ponieważ pracując konspiracyjnie, jako jeszcze b. żołnierze austriaccy, zdawaliśmy sobie sprawę z odpowiedzialności przed sądami wojskowymi austriackimi i obawialiśmy się zdrady. Dopiero gdy nasz połączony oddział wywiadowczy począł przynosić coraz bardziej sprecyzowane wiadomości o przygotowywującym się zamachu ukraińskim, począł komendant nasz szukać żywszego kontaktu ze społeczeństwem lwowskiem.

Za jego sprawą odbyło się w sali małej Sokoła-Macierzy, zdaje się 26 października 1918 r., szersze zebranie obywatelskie, które zgromadziło kilkadziesiąt osób, przedstawicieli „Sokoła“, „Skautu“, Tow. „Gwiazda“, „Skała“, „Młodzieży im. Kościuszki“, „T. S. L.“, organizacyj kobiecych, przedstawicieli cechów, kupiectwa, Rady Miejskiej, częściowo prasy i t. d. Na zebranie to zostałem delegowany przez P. O. W., wraz z drugim kolegą (może Schleyenem?), aby zebrany przedstawić grozę położenia i skłonić do jakiejś wspólnej akcji, a bodaj do ściślejszego zorganizowania się.

Niestety, optymistycznie nastrojeni obywatele lwowscy niebardzo dawali wiarę naszym informacjom, do P. O. W. zaufania nie mieli, uważali, że za nich myśleć i decydować będzie „Koło polskie“ we Wiedniu, wreszcie raz po raz cytowali Ententę, jako tę siłę, która przyjdzie i zrobi porządek bez naszej ingerencji i bez niepotrzebnego narażania się. Poza tem wysuwano argument, że „te chamy Ukraińcy nie odważą się na coś takiego“, niech oni pierwsi zaczną, aby odium bratobójczej walki nie padło na nas.

Wobec niemożności przekonania zebranych o istotnym stanie rzeczy i sił naszych, o prawdziwej sytuacji politycznej, oraz wobec wyraźnego endeckiego nastawienia umysłów, opuściliśmy zebranie bez rezultatów. Posiedzenie trwało dalej bez nas i postanowiono na niem zwrócić się o informację do Koła Polskiego, załączając prośbę o szybszy przyjazd do Lwowa Komisji Likwidacyjnej.

Wiadomo mi jest, że w ciągu następnych dni odbywały się dalsze narady P. O. W. z innymi organizacjami.

31 października 1918 r. w komendzie przy ul. Jasnej odbyła się ostatnia odprawa P. O. W., na którą ob. Bujwidówna, z oddziału kurjerek, przywiozła z Krakowa od dzisiejszego generała Stachiewicza rozkaz mobilizacji dla P. O. W. i zajęcia miasta imieniem władz polskich.

Rozkazy odpowiednie zostały wydane na dzień następny, t. j. 1 listopada 1918 r. Zajęcie miało się odbyć w nocy. Ja otrzymałem funkcję oficera placu. Na wieczór tegoż dnia (31 października) naznaczono ogólną zbiórkę wszystkich do Domu Akademickiego przy ul. Łozińskiego.

Tam też koło 8-mej wieczorem poczęli ściągać peowiacy, członkowie „Wolności“, harcerze, akademicy i wogóle wszyscy młodzi Polacy, którzy cokolwiek usłyszeli o grożącym miastu niebezpieczeństwie. Zebrało się do 600 chłopca. Dom był pełen od suteryn po strych, a ci, co nie mogli się pomieścić, tłoczyli się w bramie i na ulicy. Entuzjazm i gotowość do walki była powszechna.

W tym nastroju odbywały się dalsze narady komendantów poszczególnych organizacji wojskowych w lokalu „Bratniaka“ w Domu Akademickim. Byli tam poza de Laveaux i Kronem, kpt. Mączyński z P. K. W., kpt. Pieracki, kpt. Rożen, mjr. Śniadowski, p. Nowak-Przygodzki (?), Dr. Węgrzynowski, p. Bac, por. Jakubski (?), kpt. Kamiński (?)¹⁾.

Pod drzwiami tego pokoju tłoczyli się w podnieceniu zebrani, nie biorący udziału w obradach. Mianowany komendantem Domu Akademickiego, starałem się zaprowadzić jakiś ład w tem zbiorowisku ludzi, mianowałem setników i dziesiętników.

¹⁾ Znaki zapytania postawione przy nazwiskach osób, których obecności autor nie jest zupełnie pewny. (Przyp. red.)

Równocześnie z pokoju obrad dochodziły nas niepokojące wieści. Gdy tam wszedłem w pewnym momencie, chcąc się zameldować, kmdt. de Laveaux, usłyszałem, jak mówił: „Niech kapral będzie komendantem, ale niech będzie jeden!“ „Wodzowie“ sprzeczekali się, kto ma dowodzić, mówiono o kolegium trzech komendantów. Ogarnęła nas rozpacz.

Tymczasem nadchodziły meldunki, bądź od naszych wiadowców peowiackich, bądź od harcerzy, bądź też od osób postronnych, o coraz bardziej niepokojących ruchach wojsk austriacko-ukraińskich. Mimo to jednak narady dowódców nie dały pomyślnych rezultatów. Zebrani rozeszli się, uważając, iż mogą spać spokojnie do rana. Tego zdania zwłaszcza był kpt. Mączyński, który już na wychodnym powiedział: „Jutro o 7-ej rano zejdziemy się, to będzie dość czasu na decyzję“. Znaczną część zmobilizowanych ochotników odesłano do domów, w Domu Akademickim zostało tylko pogotowie, złożone z kilkudziesięciu ludzi pod moją komendą oraz ci akademicy, którzy bądź tam mieszkali stale, bądź nie mieli kwater na mieście. To też niebawem duża sala balowa pokryła się pokotem ciał tych, którzy na podłodze ułożyli się do snu. Komendant de Laveaux udał się też na spoczynek, polecając mi czuwać.

W tym czasie wrócił ppor. Feliks Daszyński z wiadomością, iż od strony ul. Batorego i Pańskiej kręcą się oddziały ukraińskie i że na skwerze, u wylotu ul. Fredry żandarmi ukraińscy chcieli go aresztować, wobec czego zmuszony był ostrzeliwać się i pod osłoną swego Mausera wycofał się do Domu Akademickiego.

O świcie nadeszły wiadomości, iż w istocie Ukraińcy zajęli miasto, a na ratuszu powiewa żółto-niebieska chorągiew. Koło 7-mej rano zebrali się komendanci poszczególnych organizacji na naradę, ale skoro rozeszła się wiadomość, iż silne oddziały ukraińskie maszerują z dwu stron celem zajęcia Domu Akademickiego i aresztowania znajdujących się tam Polaków, spieszenie przenieśli się do mieszkania prywatnego nad kawiarnią Szkocką.

Ja zaś, jako komendant Domu Akademickiego, dostałem rozkaz bronienia go za wszelką cenę. Do tego celu otrzymałem parę dziesiątek ludzi, jakieś dziesięć karabinów austriackich i jedną mitralję włoską oraz bardzo skąpą ilość ładunków.

Reszta ludzi dostała rozkaz przemknienia się grupkami pod kościół św. Elżbiety.

Z nieznanym mi przyczyn Ukraińcy nie zaatakowali Domu Akademickiego, ja natomiast około 9-tej dostałem rozkaz opuszczenia go i zameldowania się w biurze naftowym p. Longchamps przy ul. Romanowicza po dalsze rozkazy. Zostałem tam Mączyńskiego, Jakubskiego, Baca, lecz de Laveaux nie było. Zdaje się Jakubski oświadczył mi, iż już została utworzona Komenda Naczelna W. P. we Lwowie z kpt. Mączyńskim, jako dowódcą, Nilskim-Łapińskim, jako zastępcą i Jakubskim, jako szefem sztabu. Poczem poinformowano mnie, iż punkt ciężkości obrony zostaje przeniesiony w okolice Dworca Głównego oraz, że koło kościoła św. Elżbiety jest punkt zborny naszych ludzi, którymi dowodzi kpt. Rożen.

Polecono mi udać się tam i od niego przynieść meldunek o sytuacji oraz zawiadomić kpt. Trześniowskiego w Szkole Sienkiewicza o fakcie utworzenia Komendy Naczelnej, której ma się podporządkować ze swoimi ludźmi. Dowiedziałem się również, iż zostaje przydzielony do Komendy Naczelnej, jako oficer do szczególnych poruczeń.

Wybrałem się w drogę. Pod kościołem św. Elżbiety zastałem w istocie kilkutysięczny tłum wzburzonych ludzi, wśród których było kilkuset naszych, a reszta kolejjarze i publiczność niedzielna.

Naprzeciw kościoła w Szkole im. Konarskiego zabarykadował się bataljon Węgrów i karabinami maszynowymi trzymał w szachu i nas i Ukraińców, którzy nie śmieli ze swemi patrolami podsuwać się bliżej. Na chodniku w tłumie stał kpt. Rożen i na moje zapytanie oświadczył mi, że pertraktował z Węgrami, ale oni powiedzieli, że nie chcą się mieszać do niczego i pragną jedynie z bronią w ręku opuścić miasto. Pozatem nic nie wie, co się dzieje, naszych ludzi doszukać się nie może i że to wszystko jest bałagan, z którego nic nie wyjdzie a ponieważ czuje się chory, idzie do domu.

W Szkole Sienkiewicza, dokąd się następnie udałem, zastałem kilkudziesięciu ludzi, częściowo uzbrojonych, pod wodzą kpt. Tatar-Trześniowskiego, zdecydowanych bronić się przed każdym atakiem. Dowiedziałem się tam, że technicy usiłowali opanować Politechnikę, ale to im się nie udało, rozbroili więc

tylko austriackich landszturmistów, stanowiących wartę szpitala wojskowego Politechniki i z tą bronią zabarykadowali się w Domu Techników przy ul. Issakowicza.

Na mój meldunek o utworzeniu Komendy Naczelnej kpt. Trześniowski oświadczył mi, że on słucha tylko Rady Regencyjnej w Warszawie i żadnej Naczelnej Komendy z Mączyńskim na czele nie uzna, a ze swoimi ludźmi będzie się bronił na własną rękę.

Wobec tego wróciłem zpowrotem. Po drodze ujrzałem auto ciężarowe, pełne żołnierzy ruskich z karabinami maszynowymi, jadące w górę ul. Leona Sapiehy. Żołnierze od czasu do czasu strzelali do okien. Ja jechałem dorożką. Tłum zatrzymał mnie (byłem w mundurze austriackiego podporucznika) i usiłował mnie rozbroić. Z trudem udało mi się wytłumaczyć, kto jestem i poinformować o utworzeniu Naczelnej Komendy i o tym, że postanowiliśmy się bronić. Wiadomość tę tłum przyjął z entuzjazmem. Wtedy rzuciłem okrzyk, by coraz bardziej zbliżające się auto ruskie, unieszkodliwić. Tłum rzucił się naprzeciw wozu. Skądś padł strzał, poczem nastąpił wybuch benzyny w motorze. Ukraińscy żołnierze rzucili się do ucieczki i w ten sposób pierwszy karabin maszynowy oraz około 30 karabinów ręcznych Manlichera dostało się w nasze ręce.

Po tym incydencie pojechałem dalej, lecz Komendy Naczelnej nie zastałem już przy ul. Romanowicza. Adjutant porucznika de Laveaux, ppor. Tadeusz Ołowski, który wtedy urzędował w lokalu Ligi Kobiet na placu Fredry poinformował mnie, że Komenda przeniosła się do Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego, przy ul. Zimorowicza. Udałem się tam i zameldowałem o wszystkim.

Podczas tego przyszedł ktoś od kpt. Trześniowskiego z meldunkiem, iż zdecydował się mimo wszystko uznać Naczelną Komendę i zaprasza ją do siebie, do Szkoły Sienkiewicza, bo tam będzie najbezpieczniej, a bliskość Dworca z ogromnymi magazynami broni, amunicji i sprzętu wojennego ułatwi obronę. Jednak ponieważ ppor. Aleksander Rutkowski zaprosił Komendę Naczelną do swego mieszkania przy ul. Nabelaka, zapadła decyzja, aby przenieść się tam pod wieczór.

Ja poprosiłem o zwolnienie mnie na parę godzin, bo upadałem z nóg ze zmęczenia.

Tymczasem udałem się znów do ppor. Ołowskiego, któremu zakomunikowałem, że w biurze austriackiego inspektora jeńców wojennych przy ul. Lindego, dokąd byłem przydzielony do 1 listopada jako oficer austriacki, znajdują się w kasie pieniądze rządowe austriackie i że obawiam się, iż wpadną w ręce ruskie. Klucz od tej kasy miałem w kieszeni. Ppor. Ołowski dał mi jakiegoś sierżanta do pomocy i polecił pójść tam i pieniądze zabrać dla P. O. W., o ile biuro to przez Ukraińców nie zostało zajęte. Rozkaz wykonałem. Ordynansów austriackich, znajdujących się tam, przeważnie Rusinów, steroryzowałem bronią, kasę ogniotrwałą otworzyłem, pieniądze protokółarnie przeliczyłem i odniosłem następnie ppor. Ołowskiemu za pokwitowaniem.

W nocy z 1 na 2 listopada począł się utrwalać front. Przekradłem się przez plac powystawowy z mieszkania mego, przy ul. św. Zofji na stronę polską, razem z pewnym medykiem i zgłosiłem się późnym wieczorem w nowej siedzibie Naczelnej Komendy przy ul. Nabelaka. Tam otrzymałem rozkaz sprawdzenia linii nowych placówek wewnętrznych, całą resztę nocy spędziłem też na ulicach.

Świtaniem, razem z technikiem-pilotem Józefem Ottowskim udaliśmy się jakimś autem na lotnisko wojskowe, które przy pomocy kilkunastu ochotników zajęliśmy i oczyścili z mętów podmiejskich, rabujących cenne magazyny oraz rozbili słabą, z kilku ludzi składającą się wartę ukraińską.

Po powrocie przespałem się parę godzin; wieczorem, w nocy i dnia następnego (3 listopada) pełniłem rozmaite służby, specjalnie powierzone mi z ramienia Naczelnej Komendy.

3 listopada widząc, iż w Naczelnej Komendzie jest natłok oficerów, poprosiłem o przydział do służby linowej; pod wieczór też odkomenderowano mnie do Szkoły Konarskiego, skąd na czele kompanji ochotników udałem się na Dworzec, celem wzmocnienia jego załogi, wobec spodziewanego ataku ruskiego gdzie zameldowałem się komendantowi Dworca por. de Laveaux.



W tym celu należało przede wszystkim dobrać odpowiednie materiały, które miałyby służyć do wytworzenia wyrobów, które miałyby być używane w przemyśle. W tym celu należało przede wszystkim dobrać odpowiednie materiały, które miałyby służyć do wytworzenia wyrobów, które miałyby być używane w przemyśle.

ANNEXY

The first of the two annexes is a list of the names of the persons who have been named in the text of the report. The second annex is a list of the names of the persons who have been named in the text of the report.

The first of the two annexes is a list of the names of the persons who have been named in the text of the report. The second annex is a list of the names of the persons who have been named in the text of the report.

The first of the two annexes is a list of the names of the persons who have been named in the text of the report. The second annex is a list of the names of the persons who have been named in the text of the report.

The first of the two annexes is a list of the names of the persons who have been named in the text of the report. The second annex is a list of the names of the persons who have been named in the text of the report.

ANNEX Y

(Do str. 67 sq.). Raport służbowy mjr. Zdzisława Trześniowskiego, Dcy I/1 p. strz. lw., Lwów, 10 grudnia 1918.

„Melduję, że gdy jako wyznaczony przez reprezentanta wojskowego Najdostojniejszej Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego Dowódcą formującego się Bataljonu lwowskiego Wojsk Polskich, dowiedziałem się dnia 31 października 1918 r. o mającym nastąpić ukraińskim zamachu stanu, jako wyniku podłych knowań b. Rządu austriackiego z reprezentacją Narodu Ukraińskiego we Lwowie, zarządziłem w imieniu Najświętszej sprawy z własnej wyłącznej inicjatywy alarm wszystkich b. Legionistów i ochotników w obrębie miasta Lwowa, wyznaczając jako miejsce zbiórki Szkołę im. Sienkiewicza celem zorganizowania zbrojnego oporu przeciw planowanemu zamachowi.

Na rozkaz stawili się dnia 31 października 1918 r. o godz. 10 wieczorem ppor. Wojciechowski Jan, ppor. Feldstein Tadeusz, ppor. Świstelnicki Sas Stanisław (z korpusu gen. Muśnickiego), rygorozant med. Ostrowski Stanisław, sierż. Schuster, sierż. (-pchor.) Klink, (szer.) Kycia i około 30 ludzi.

W ciągu nocy starałem się o odpowiednie uzbrojenie mego oddziału jednak gdy z Akademickiego Koła Wojskowego nie otrzymałem spodziewanej broni, dnia 1 listopada 1918 r. stwierdziwszy na podstawie otrzymanych meldunków moich wywiadowców, że zamach stanu przez Ukraińców faktycznie został dokonany, rozkazałem o godz. 7 przed południem ppor. Feldsteinowi, aby udał się z oddziałem 12 ludzi do koszar policyi przy rogatce grodeckiej celem zawładnięcia znajdującymi się tam zapasami broni i amunicji.

Ppor. Feldstein, wykonując mój rozkaz rozporządzając tylko własnym rewolwerem (gdyż podkomendni jego byli w cywilnych ubraniach i nie posiadali wogóle żadnej broni) zmusił załogę koszar policyjnych do posłuszeństwa, a rozbrawszy pełniące służbę posterunki i zabiwszy z broni w ten sposób zdobytej wachmistrza stawiającego zbrojny opór, zawładnął znajdujący się tam podręczny magazyn broni i amunicji. W ten sposób zaopatrzył ppor. Feldstein swój oddział w broń i amunicję, a zabrawszy resztę magazynu ze sobą, powrócił do szkoły Sienkiewicza. Mając więc do rozporządzenia około 20 karabinów (nie nadających się normalnie do użycia) i po piętnaście naboju na karabin, przystąpiłem do zorganizowania obrony samej Szkoły Sienkiewicza spodziewając się ataku band ukraińskich.

I rzeczywiście o godz. 10-tej przedpoł. odpartem silny atak bandy ukraińskiej w sile 50 ludzi wspomaganej autem ciężarowym wraz z karabinem maszynowym, przy odpieraniu ataku odznaczył się ppor. Świstelnicki Sas Stanisław, który raniąc celnymi strzałami ze strychu szkoły obsługę karabinu maszynowego, zmusił tenże do milczenia, a w następstwie tego nieprzyjaciela do odwrotu.

Odparwszy ten atak po włączeniu do mego oddziału zgłaszających się ochotników przystąpiłem do zorganizowania mego bataljonu urządzając służbę sanitarną i prowiantową.

Odparcie ataku spowodowało wycofanie się band ukraińskich z okolicy szkoły Sienkiewicza i dworca czerniowieckiego na pewien czas, co umożliwiło mi przeniesienie z magazynu obok dworca czerniowieckiego znajdujących się tam zapasów broni amunicji i mundurów.

W myśl otrzymanego o godz. 4-tej popoł. rozkazu nowoutworzonej N. Komendy we Lwowie, której rozkazom się podporządkowałem, wyruszyłem o godzinie 5-tej popołud. z obu nowo sformowanymi kompaniami na wyznaczony plac zbiórki przy kościele św. Elżbiety, gdzie miałem otrzymać dalsze rozkazy. W czasie marszu stoczyłem po drodze walkę z autem ruskim zaopatrzoną w karabin maszynowy, a zmusiwszy go do ucieczki dotarłem na miejsce zbiórki.

Tam oczekiwał już na mnie rozkaz wymarszu z oddziałem do Rzęsny Polskiej.

W wypełnieniu rozkazu pozostawiwszy w szkole I-szą komp. a Dowództwo odcinka powierzywszy por. Schrammowi Janowi, wymaszerowałem o godzinie 9-tej wieczorem z II-gą komp. pod komendą ppor. Feldsteina do Rzęsny Polskiej, idąc marszem ubezpieczonym.

Szpicę kolumny maszerującej prowadził ppor. Niedźwiecki, który w sposób nadzwyczaj zręczny po wyjściu kolumny za rogatki miasta prowadził marsz dalej, omijając bez walki spotykane po drodze bandy ukraińskie. W czasie marszu natknąłem się znowu koło kościoła św. Elżbiety na silniejszy oddział ukraiński a po stoczeniu z nim walki przebiwszy się przez linie ruskie przybyłem o godz. 12-ej w nocy do Rzęsny Polskiej z oddziałem, liczącym około 40 ludzi.

Tam objąłem dowództwo wsi od kpt. Łodzińskiego. Natychmiast ubezpieczywszy się placówkami, które zaciągnęła komp. ppor. Feldsteina (plutony ppor. Rakisza Mieczysława i Huttera Władysława) przystąpiłem do dalszej organizacji wsi i oddziału.

Dwótno placu w Rzęśnie Polskiej objął ppor. Niedźwiecki i ogłosił na mój rozkaz w Imieniu Najdostojniejszej Rady Regencyjnej ochotniczy werbunek do szeregów Wojska Polskiego.

Ochotnicy napływali jednak bardzo powoli i opornie. Przy organizowaniu oddziału i wsi rozwinął nadzwyczaj intensywną działalność ppor. Schramm Andrzej, mój adjutant.

Ponieważ służba ubezpieczająca wymagała ciągłej czujności i użycia wszystkich będących do dyspozycji sił, dla tego też ochotnik miejscowy

natychmiast po umundurowaniu i uzbrojeniu pełnił służbę na placówkach, gdzie praktycznie uczył się odrazu obowiązków żołnierza polskiego.

Ponadto wykorzystywałem każdą wolną chwilę od służby na naukę rekruta o obchodzeniu się z bronią, o zachowaniu się w walce i służby wewnętrznej.

Równocześnie przewoziłem znajdujące się tam magazyny broni i mundurów.

Obecność oddziału mego w Rzęśnie Polskiej zmusiła do spokojnego zachowania się bandy ruskiej z tej strony Lwowa i uniemożliwiła Rusinom organizację okolicznych wsi ruskich przez co ułatwiono Głównej Komendzie we Lwowie prowadzenie akcji w mieście.

Dnia 4 listopada 1918 r. otrzymałem przed południem meldunek od por. Dr. Bujalskiego działającego na „Górze stracenia“ we Lwowie z prośbą o natychmiastową pomoc, dałem więc rozkaz ppor. Feldsteinowi zaatakowania nieprzyjaciela od Rzęsny Polskiej w kierunku na „Górę stracenia“. Ppor. Feldstein dotarłszy na cmentarz izraelicki we Lwowie, stwierdził nieobecność nieprzyjaciela, który na wiadomość o nadciągających posiłkach wycofał się i nawiązawszy łączność z por. Bujalskim powrócił do Rzęsny Polskiej.

O godz. 5-tej popołud. tegoż dnia wymaszerowałem w myśl rozkazu Głównej Komendy W. P. z moim oddziałem (70-ciu ludźmi, trzema armatami, 10 końmi i 7 wozami pełnymi prowiantów) do Lwowa i przybyłem do Szkoły Sienkiewicza, gdzie o godz. 11-ej wieczór otrzymałem rozkaz zajęcia Szkoły Maryi Magdaleny, jako rezerwa Odcinka.

Dnia 5 listopada 1918 r. objąłem na rozkaz Głównej Komendy Dtwo grupy I-szej (odcinek I Dom Techników i odcinek II Szkoła Maryi Magdaleny). Tegoż dnia o godzinie 6-ej rano wysłałem jako pomoc celem odparcia ataku band ukraińskich skierowanego na Wulkę, pluton II komp. rezerwowej pod komendą ppor. Huttera.

Atak nieprzyjacielski skierowany na koszary dragońskie a pośrednio Dom Techników przy ul. Issakowicza został złamany. Nieprzyjaciel dotarł do toru kolejowego, lecz ostrzeliwany silnym ogniem komp. Odcinka I (Dom Techników) musiał się cofnąć, poniosłszy większe straty w rannych i zabitych.

W akcji tej, której wynikiem było cofnięcie się nieprzyjaciela, zagrożającego równocześnie mojemu lewemu skrzydłu (Szkoła Kadecka), odznaczył się nadzwyczaj sierżant Kwiatkowski.

Dzień 6 listopada 1918 r. minął względnie spokojnie. Ludzie moi byli zajęci wzmacnianiem pozycji, okopywaniem placówek na peryferyach miasta (od strony cmentarza stryjskiego, rogatki stryjskiej i rogatki wuleckiej) t. j. na odcinku I mej Grupy. Komp. Odcinka II mej Grupy działały na przestrzeni od ul. Półczyńskiej po park Tad. Kościuszki, zabezpieczając placówkami ulice Matejki, Kraszewskiego, Sykstuską, Kopernika i Łazarza.

Sformowałem również ze zgłaszających się ochotników komp. nową w Szkole Maryi Magdaleny pod dowództwem ppor. Feldsteina, powierzając dowództwa plutonów ppor. Wojciechowskiemu, Rakiszowi i Hutterowi, jako

rezerwę całej Grupy. Przeprowadziłem też inspekcję wszystkich linii obronnych i zakładów, podlegających moim rozkazom.

Noc z 6 na 7-go listopada 1918 r. upłynęła na przygotowaniach do ataku, który chciałem z własnej inicjatywy, po porozumieniu się z N. Komendą przeprowadzić w kierunku Cytadeli, celem zajęcia tejże.

Wedle dyspozycji operacyjnych miała kolumna moja po przygotowaniu artyleryjskim ruszyć do ataku. W myśl też tego ruszyły kolumny moje dnia 7-go listopada 1918 r. o godz. 5-ej rano w kierunku nieprzyjaciela. Artylerja jednak, przeznaczona przez N. Komendę zawiodła, bo oddawszy jeden tylko strzał, zamilkła, wobec czego byłem zmuszony zaprzestać wszelkiej akcji i wycofać kolumnę moją do Szkoły. Strat nie było. Wynikiem tej nieudanej wprawdzie, demonstracji, było jednak ściągnięcie przez nieprzyjaciela swych rezerw na Cytadelę, co umożliwiło akcję naszą na sąsiednich odcinkach.

Dnia 8-go listopada 1918 r. nastąpiło lokalne zawieszenie broni na odcinku Poczty, które jednak zostało przez nieprzyjaciela w podstępny sposób zerwane, bo bandy ukraińskie zajęły dom Nr. 40 przy ul. Sykstuskiej, leżący w pasie neutralnym. Wobec tego dałem rozkaz załodze Seminaryum ruskiego (obok Poczty) pod dowództwem ppor. Massara, by odpowiadając gwałtem na gwałt zajęły pocztę. Rozkaz ten jednak nie został spełniony.

Równocześnie praca w koszarach postępywała raźnie. Powiększywszy swój oddział o kilku nowych ochotników, zająłem się jak najlepszym przygotowaniem ich do służby. Oficerowie moi, wspomagani przez dobrych podoficerów, pracowali energicznie, by wpoić w żołnierza pierwsze najkonieczniejsze zasady obchodzenia się z bronią i służby polowej.

Praca szła równomiernie naprzód na obu Odcinkach: w Szkole M. Magdaleny, gdzie byli mi nadzwyczaj pomocnymi por. Świeżawski Adam, chor. Zacharyasiewicz Ignacy, ppor. Feldstein Tadeusz, chor. Śliwiński Jan, sierż. Kwiatkowski, Gepert, Tymków, (pseud. Krakus), jak również w Domu Techników, gdzie rozwinął nadzwyczaj energiczną działalność por. Dr. Bujalski Bolesław, dowódca Domu Techników, który trwał od samego początku akcji na stanowisku wspomagany przez cały szereg oficerów, jak por. Bieńkowski, por. Mond, por. Dzieduszycki, por. Stark, ppor. Krzywy i i.

Intensywnie szła również praca na polu jak najlepszego zaprowiantowania żołnierza, powiększano magazyny prowiantów, broni i wyekwipowania pod czynnym kierownictwem por. Wróblewskiego Ludwika dla odcinka II i por. Kuciary dla odcinka I. Żołnierzy, którzy dotąd walczyli przeważnie w ubraniach cywilnych, ekwipowano i uzbrajano, tworząc z nich pozornie regularną armję. Wielce pomocnymi były przy organizowaniu służby pomocniczej mieszkanki okolicy M. Magdaleny i Politechniki, które nie wahały się przed żadnym trudem i wysiłkiem by tylko przyjść z pomocą żołnierzowi polskiemu.

Dnia tegoż przystąpiłem na podstawie ogólnego planu operacyjnego N. Komendy, którego celem był atak wszystkich sił naszych na całej linii, do przygotowań celem jak najlepszego przeprowadzenia planu operacyjnego, przypadającego mej Grupie. Wydałem rozkaz operacyjny podległym

mi oddziałom, które miały właściwie działać tylko pomocniczo celem odciążenia naporu nieprzyjacielskiego na główną kolumnę operacyjną.

Zadaniem mojem było wykonać pozorny atak dwoma kolumnami na nieprzyjaciela. — Pierwsza kolumna moja operująca na przestrzeni od ulicy Kadeckiej do Parku Stryjskiego włącznie ruszyła na nieprzyjaciela główną siłą przez ul. Stryjską pod dowództwem por. Dzieduszyckiego i spełniła całkowicie swe zadanie wiązania nieprzyjaciela.

Druga kolumna moja prowadzona przez ppor. Feldsteina miała za zadanie prowadzić operację na terenie ul. Kopernika i Sykstuskiej.

To też zabezpieczywszy flanki swe od strony Cytadeli przez pluton ppor. Rakisza Mieczysława, posunął się ppor. Feldstein, rozdzieliwszy swe siły na dwie grupy, jedną operującą pod dowództwem ppor. Wojciechowskiego na ul. Kopernika i drugą pod dowództwem ppor. Huttera Władysława na ul. Sykstuskiej, w głąb miasta, nawiązawszy łączność z oddziałem ppor. Massara.

W czasie akcji odznaczył się sierż. Tymków Józef (pseud. Krakus), który obrzucił granatami ręcznymi pod silnym ogniem nieprzyjacielskim placówkę ukraińską przy ul. Sykstuskiej 40.

Tam złożył swe młode życie w ofierze na Ołtarzu Ojczyzny ppor. Arciszewski, sekc. Maślakiewicz Karol z 6 p. p. L. P. i st. żołnierz Nehrebecki Stanisław z 6 p. p. L. P.

Pierwszą pomoc natychmiastową niósł rannym pod gradem kul ryg. med. Ostrowski wraz ze swym patrolem sanitarnym, umieszczonym w ogrodzie Seminarium ruskiego, gdzie zносиły potrzebujących pomocy p. Domaśzewiczowa, sekc. sanit. L. P. Olga Gnatewicz, sanit. Biernacka i Trudnerówna.

Trzecia kolumna moja pod dowództwem ppor. Schleyena Kazimierza operowała jako prawe skrzydło siły głównej idącej za autem pancernym ul. Mickiewicza, posuwając się parkiem Kościuszki, skąd jednak, doszedłszy do pawilonu restauracyjnego w parku wskutek załamania się sił głównych musiała się wycofać, zasypywana strasznym ogniem karabinów maszynowych i ręcznych ze Sejmu, na ul. Matejki, gdzie się okopała.

Tam odznaczył się nadzwyczaj zimną krwią i męstwem ś. p. Sochocki Zdzisław i plutonowy Idzik.

Grupa ta poniosła też najcięższe straty, pozostawiając na placu boju 15 zabitych i rannych.

Wynikiem akcji kolumny ppor. Feldsteina, która raziła nieprzyjaciela silnym ogniem, zadając mu bardzo ciężkie straty, było opuszczenie przez Ukraińców palącego się już od dwu dni, a przez nich podpalonego gmachu Poczty głównej, tak, że została ona bez wystrzału (wbrew odmienieniu brzmieniu komunikatu N. Komendy W. P. we Lwowie) zajęta przez patrole ppor. Massara i Wojciechowskiego, które zdobywają w ten sposób znaczne ilości amunicji i prowiantów, pozostawione przez Ukraińców. Jako stała załoga Poczty pozostał na niej sierż. Kwiatkowski, którego zmienił następnie Krakus-Tymków, przeprowadzając regularną organizację ubezpieczenia poczty.

Reszta kolumny ppor. Feldsteina, zmuszona nieudaniem się akcji na ul. Mickiewicza, połączwszy się z oddziałem ppor. Massara, pozostała w gmachu Seminarium duchownego ruskiego, jako rezerwa na dalszą akcję w tej stronie.

Kolumna odcinka I powróciła do swych koszar w Szkole Kadeckiej nie poniosłszy wogóle strat.

Od dnia 10 listopada 1918 r. nastąpiła w operacjach względna cisza, a walka przybrała coraz bardziej charakter walki pozycyjnej.

To też praca nad wyszkoleniem ochotnika idzie w dalszym ciągu szybkim tempem. Ochotnik słucha codziennie w rzadkich chwilach wolnych od służby frontowej (którą to służbę wskutek szczupłej ilości żołnierza, pełni prawie że bez przerwy) wykładów ze służby wewnętrznej i polowej, praktycznie przechodzi naukę musztry i t. d. — i to na obu odcinkach równocześnie. I tu znowu wykazuje nadzwyczajne zdolności i zalety organizacyjne ppor. Schramm Andrzej, który jako adjutant Grupy występuje energicznie na każdym polu, chor. Zacharyasiewicz Ignacy, który urządza całą służbę koszarową, chor. Śliwiński Jan, sierż. Polatyński, Sawczyński i i

Organizuje się pod światłem kierownictwem prof. Dr. Hornowskiego, który już dnia 9 listopada 1918 r. niesie swą pomoc rannym, służba sanitarna dla odcinka I pod dowództwem Dr. Kaliny, dla odcinka II ryg. med. Ostrowskiego. Powstaje oddział żandarmerji pod dowództwem sierż. Sokolika, który niezmordowanie pracuje, tępiąc w zarodku powstający bandytyzm, i poszukując za szpiegami ukraińskimi, pod kierownictwem Dr. Dąbrowskiego.

Doznajemy wydatnej pomocy od okolicznych mieszkańców, działa znakomicie kuchnia żołnierska pod kierownictwem niezmordowanej zawsze na stanowisku swoim czynnej p. Stefanji Marszałkówny, powstaje pralnia i szwalnia, zakłada się warstwy i magazyny, działają znakomicie telefony pod dowództwem ppor. Czyżewskiego Piotra dla odcinka I, wachmistrza Sieniewicza dla odcinka II, którzy częstokroć pełnią służbę w ogniu nieprzyjacielskim, organizują się komp. karabinów maszynowych, dla odcinka I pod dowództwem ś. p. Starka, gdzie też organizuje się znakomicie działający warsztat naprawy tychże, dla odcinka II pod dowództwem ppor. Feldsteina. Kształci się obsługa karab. maszyn., która nieraz po parogodzinem ledwie wykształceniu idzie na stanowisko. Karabiny maszynowe dla odcinka II, pomimo licznych i często ponawianych próśb, wynikających z faktycznej potrzeby tej broni do akcji, otrzymują dopiero od przybyłego chwilowo do Lwowa pułkownika Sikorskiego.

Umacnia się Poczta, robiąc ją podobną go twierdzy, przygotowuje się stanowisko dla karab. maszyn. Przy energicznej pracy sekcji. Rudka Benedykta leg. z 6 p. p.

Lecz akcja bojowa nigdy nie ustaje. Nieprzyjaciel ciągle nas niepokoi. Żołnierz choć śmiertelnie znudzony ciągłym czuwaniem z palcem na cynglu, wiedząc, że od jego czujności, zależy powodzenie sprawy, nie upada na duchu i pragnie walki, choć w każdej chwili czeka nań nieprzyjaciel, używający podłego sposobu walki, strzelając z okien i dachów.

Wieczorem dnia 16 listopada 1918¹ r. zagraża znowu nieprzyjaciel Szkole Kadeckiej (Odcinek I), lecz załoga tejże pod dowództwem dzielnego por. Bieńkowskiego odiera trzy ataki nieprzyjacielskie, zadając nieprzyjacielowi ciężkie straty, przyczem odznacza się zwłaszcza oddział kar. maszyn. pod dowództwem chor. Lichtenberga. — Wszelako naciskany przez przeważające siły nieprzyjacielskie, po stracie jednej placówki w nocy z 16 na 17 listopada 1918 r. prosi por. Bieńkowski o pomoc, którą mu posyłam w sile jednego plutonu pod dowództwem ppor. Rakisza. Tak wzmocnione siły nasze odpierają atak nieprzyjacielski, a ścigając pobitego zajmują 17 listopada 1918 rano po raz pierwszy Szkołę Przemysłową i docierają do Koszar Jabłonowskich.

Równocześnie inne placówki i patrole toczą ciągłą walkę na całym odcinku. Zostaje ranną, w chwili niesienia rannym pomocy, sanitariuszka Trudnerówna Bronisława, pada również w chwili, gdy pod osłoną międzynarodowego znaku Czerwonego Krzyża, w czasie zawieszenia broni pełni swój obowiązek na Poczcie sanitariuszka Bieganówna Anatola. Nadzwyczaj dzielnie spełnia swój obowiązek szeregowiec Berezowska Marya, która od pierwszej chwili służy w szeregach z bronią w rękę na odcinku ul. Matejki, nieopuszczając żadnej patroli lub wypadu w stronę nieprzyjaciela, jak również i szereg. Murzyńska Stanisława, która pełni twardą służbę żołnierską na Poczcie.

Są zabici i ranni dnia 16 listopada 1918 r. w pałacu ks. Sapiehów, gdzie chor. Bednarczuk Stanisław po zranieniu dnia 10 listopada 1918 r., ppor. Kotarby Marcellego, broni się ciągle przeciw atakom nieprzyjacielskim, idącym z Cytadeli, przyczem odznacza się energią i męstwem podchor. Szumowski Stanisław.

Opiera się wytrwale i z nadzwyczajnym skutkiem ciągłym zakusom nieprzyjaciela por. Mond na ul. Kadeckiej, z pośród jego podkomendnych zasługuje na wyróżnienie ppor. Świtalski, chor. Socha-Lipiński, sekc. Magiera, szereg. Bujwidówna, Tynikówna, Feldstein Roman i sierż. Mossor.

Na odcinku ul. Matejki pełni służbę, świecąc swym przykładem i męstwem ś. p. ppor. Sochocki Zdzisław.

Dnia 21 listopada 1918 r. ginie od kuli nieprzyjacielskiej ppor. Szameit Stefan, odpierając atak silniejszej patroli nieprzyjacielskiej na Poczcie.

Od dnia 18 listopada 1918 r. do 21 listopada 1918 r. godz. 6-ej przedpoł. trwa zawieszenie broni.

Dnia 20 listopada 1918 r. przygotowuje się atak ogólny w połączeniu z przybyłymi z Krakowa posiłkami.

Na skutek tego otrzymałem dnia 20 listopada 1918 r. rozkaz operacyjny N. Komendy, tyjący się przeprowadzenia ataku na całej linii przeciw Ukraińcom. Zadaniem mej Grupy, a właściwie tylko Odcinka II, był atak na Cytadelę i jej zajęcie. Wedle dyspozycji miałem otrzymać posiłki artylerii i piechoty. Celem ujednostajnienia akcji na moim Odcinku II wydałem tegoż dnia tu załączony rozkaz operacyjny.

Noc upłynęła na przygotowaniach. Gromadzę i grupuję siły, obznajmiam przybyłe posiłki z terenem i sytuacją.

Lecz znów postawione mi do dyspozycji posiłki nieodpowiadają rozkazom Nacz. Komendy. I tak przybywa tak zwana komp. szturmowa, której żołnierze nie tylko nie są zaopatrzeni w potrzebne jej środki walki, lecz także nie mają pojęcia o używaniu tychże. Pluton krakowski liczy zaledwie 25 ludzi, zamiast zapowiadzianych rozkazem operacyjnym 50.

Pomimo to jednak dnia 21 listopada 1918 r. o godz. 6 rano przystępuję do akcji.

Zaczyna miotacz min. Ale spodziewany jego skutek zawodzi, bo oto trzy pociski nie wybuchają zupełnie, trzy dalsze nie padają tam, gdzie powinny były trafić wedle planu. Spełnia jednak znakomicie, o ile słabe siły na to pozwalają, zadanie swe artyleria, której ilość również nie odpowiada dyspozycjom N. Komendy, a mianowicie zamiast zapowiadzianych dwu baterii, bierze udział w akcji ledwo trzy armaty (1 ciężka, 2 polowe), wskutek czego nawet tak celny ich ogień nie wystarcza, wobec silnych betonowych okopów przeciwnika, by spełnić swe zadanie przygotowania ataku.

Artyleria nasza celnymi strzałami niszczy bastyon Cytadeli od ul. Bogusławskiego.

Równocześnie karabin maszynowy pod osobistym dowództwem ppor. Feldsteina Tadeusza, który sam kieruje jego ogniem, na wieży kościoła Maryi Magdaleny, zasypuje celnymi bardzo strzałami nadciągające Rusinom posiłki przez tylną część podwórze Cytadeli (koło głównego gmachu) i betonowe okopy ukraińskie obok bastionu przy ul. Bogusławskiego, zadając nieprzyjacielowi poważne straty.

Nieprzyjaciel odpowiada również, niezmordowanie zasypując gradem pocisków komp. znajdujące się w pierwszej linii u podnóża Cytadeli i drogi łącznikowe t. j. ulicę Lenartowicza i Zofji Chrzanowskiej tak, że dojście na pozycję jest nadzwyczaj utrudnione.

Równocześnie odpowiada artyleria ukraińska celnymi strzałami, skierowanymi na kościół Maryi Magdaleny, spędzając z pozycji umieszczony tam karabin maszynowy, tak, że ppor. Feldstein kontuzjowany osobiście odłamkami granatu jest zmuszony wynieść go z pozycji z której zadał nieprzyjacielowi poważne straty, przy pomocy szer. Kowalczewskiego Witolda, Ostrowskiego Władysława i Jarosiewicza Godzimira, którzy mimo celnie padających granatów znoszą z wieży karabin maszynowy i cały jego materiał. — Wieża kościoła Maryi Magdaleny zostaje tymi strzałami poważnie uszkodzona. Usunąwszy defekt karabinu maszynowego, spowodowany przez artylerię nieprzyjacielską, przenosi ppor. Feldstein go wśród gradu kul nieprzyjacielskich, na nową pozycję, gdzie trwa na stanowisku do ostatniej chwili mimo silnej kontuzji głowy i ramienia.

W tym samym czasie komp. szturmowa przygotowuje się do akcji, podcina parkan okalający Cytadelę od ul. Bogusławskiego i po przygotowaniu artylerii naszej około godziny 10:30 przedpoł., zwalając parkan atakuje bastyon, górujący nad ul. Pełczyńską i Bogusławskiego, wspiera ją

w tem nadzwyczaj sprawnie i energicznie komp. ś. p. ppor. Sochockiego Zdzisława, która pokonując liczne trudności terenowe, dociera do ul. Pełczyńskiej po stokach góry na platformę Cytadeli, zasypywana celnymi strzałami nieprzyjacielskimi z gmachu głównego. Razem posuwa się i oddział sierżanta Krakusa-Tymkowa, który zająwszy pływalnię wojskową trzyma się w niej do wieczora, mimo odparcia naszego ataku przez nieprzyjaciela, rażony celnym ogniem zajętej bezprawnie przez Ukraińców w czasie zawieszenia broni pływalni przy ul. Pełczyńskiej. W czasie tego składają znowu dowody swego męstwa i zimnej krwi ś. p. ppor. Sochocki Zdzisław, który trafiony kulą nieprzyjacielską pada na stanowisku, bł. p. podchor. Pollak Wilhelm, sierż. Kwiatkowski, sierż. Krakus, plutonowy Polatyński i ś. p. sierż. Koszyk.

Znakomicie spełnia swe zadanie w dalszym ciągu karabin maszynowy, który po zmianie pozycji umieszczony na strychu domu Wixla przy ul. Bogusławskiego, raniąc celnymi strzałami obsługę ruskiego karabinu maszynowego, umieszczonego na lewo od bastyonu zmusił tenże do milczenia. I tu znowu odznacza się szereg. Kowalczewski Witold, który mimo silnego ognia nieprzyjacielskiego ostrzeliwuje linie ukraińskie.

Kolumna atakująca posuwa się naprzód i zajmuje bastyon od ul. Bogusławskiego. Lecz silny ogień flankowy od cegielni przy ul. Pełczyńskiej i bastyonu od ul. Długosza zmusił oddziały atakujące do cofnięcia się, po utrzymaniu pozycji przez czas dłuższy. Wtedy to właśnie pada ppor. Sochocki Z. i inni, a straty moje są dość znaczne, choć nie pozostają w żadnym stosunku do strat zadanych nieprzyjacielowi.

Przyczyną wycofania się było i to, że komp. szturmowa przysłana mi przez N. Komendę a składająca się z kolejarzy i żandarmów nie obznajomionych zupełnie z walką szturmową a nawet z rzucaniem granatów, nie mogła spełnić należycie swego zadania.

Wycofuje się również z linii ognia pluton krakowski po otrzymaniu pierwszych już strat.

Niezmordowanie działa patrol sanitarna pod dowództwem ryg. med. Ostrowskiego, który opatruje z pomocą chorążego sanitarnego Goertza licznych ciężko i lżej rannych, przynoszonych przez sanitariuszki Grabską Elę, Gnatewicz Olgę, Przepilińską Józefę i Torosiewiczównę Izę, które nie wahając się, docierają do pierwszych linii ostrzeliwane przez bandy ukraińskie mimo międzynarodowego znaku Czerwonego Krzyża, mimo dnia poprzedniego zawartej konwencji.

Atak nasz ściąga na Cytadelę wszystkie rezerwy nieprzyjacielskie z koszar przy ul. Jabłonowskich (około 200 ludzi) wskutek niepomyślnego wyniku nieprzyjaciel zajmuje znowu swoje pozycje, usadawiając się w betonowych okopach, których nie można było atakować bez przygotowania artyleryjskiego, a którego nie mogłem przeprowadzić małą ilością armat danych mi do dyspozycji. Wobec tego daję rozkaz zaniechania dalszego ataku i cernowania tylko Cytadeli.

Równocześnie w czasie przeprowadzenia ataku inne pododdziały moje, a więc pałac ks. Sapiehów pod dowództwem chor. Bednarczuka Stanisława,

ul. Matejki pod dowództwem ppor. Schleyena Kazimierza, oraz Poczta spełniają swe zadanie, wiążąc siły nieprzyjacielskie.

Odcinek I (Dom Techników) działa tymczasem wyłączony na czas akcji z pod mojej komendy w łączności z Grupą II (Szkola Sienkiewicza kpt. Boruta). Utrzymuje tylko łączność ze mną oddział por. Monda, który prowadzi markowany atak na górę św. Jacka, działa zaś ze mną bezpośrednio oddział pod dowództwem ppor. Frączka Władysława.

Popołudnie tegoż dnia upływa spokojnie. — Cernuję Cytadelę w dalszym ciągu. Lecz oto w nocy około godz. 2 dnia 22 listopada 1918 r. otrzymuję meldunki, że gmach sejmowy się pali a nieprzyjaciel prawdopodobnie się cofnął.

Wszystkie siły moje ruszyły w pościgu za nieprzyjacielem i dochodzą na cmentarz Łyczakowski gdzie nawiązują łączność z 5-ym pułkiem piechoty, który pozostaje w dalszym ciągu na pozycji a oddziały moje powracają do koszar.

Około godz. 12 otrzymuję rozkaz opuszczenia Szkoły Maryi Magdaleny i zajęcia koszar przy ul. Jabłonowskich.

Rozkaz ten wypełniłem tego samego dnia popołudniu a dnia 24 listopada 1918 r. otrzymuję rozkaz formowania I Baonu 1 Pułku Strzelców Lwowskich.

Przedkładając powyższy raport bojowy, proszę o sprostowanie fałszywych informacji u Dowództw wyższych, mających swe źródło w meldunkach jednostronnych lub fałszywych poszczególnych oficerów, jak również fałszywych informacji, które żywi opinia publiczna, zwłaszcza o samym początku akcji, na podstawie niesumiennych lub reklamowych artykułów dziennikarskich.

Proszę również o udzielenie pochwały w rozkazie oficerom i żołnierzom, którzy dotąd pochwały nie otrzymali (mimo, że ich niejednokrotnie do pochwały podawałem), a którzy na podstawie powyższego raportu na nią zasłużyli. *Trzeźniowski mjr.*“

(Arch. Wojsk. Biura Hist. w Warszawie).

(Do str. 101 sq.) Rozkaz operacyjny Grupy Trzeźniowskiego (Szkola Maryi Magdaleny).

„I. W akcji biorą udział następujące oddziały:

- 1 miotacz min,
- 1 bateria polowa,
- 1 haubica,
- 1 kompania szturmowa, 2 oficerów, 30 ludzi,
- 2 karabiny maszynowe,
- 1 kompania piechoty własna,
- 1 pluton piechoty ppłk. Tokarzewskiego.

II. Obsada:

- Kmdt. miotacza min: ppor. Kos,
- Kmdt. haubicy: por. Kuchar, koło baterji trzeciej,

Kmdt. baterji trzeciej, por. Odzierżyński,
Kmdt. K. M. ppor. Feldstein,
Kmdt. kompanji szturmowej ppor. Piguleczka,
Kmdt. kompanji piechoty własnej: ppor. Sochocki i Kmdt. plutonu 1.
ppor. Hutter, 2. chor. Pollak, 3. ppor. Wojciechowski.
Kmt. plutonu piechoty ppłk. Tokarzewskiego: kpt. Hickiewicz, 30 ludzi.

III. Dyspozycje operacyjne:

Atak rozpoczyna miotacz min, który wyrzuca pociski w następującym porządku: pierwszy w bramę głównego gmachu, dwa następne w prawe skrzydło, a dwa dalsze w lewe skrzydło gmachu głównego, wreszcie po dwa na każdy bastjon stojący nad ul. Pełczyńską. Stanowisko miotacza w lasku za pływalnią wojskową. Po oddaniu tych strzałów, wycofuje się miotacz min z akcji bez dalszego rozkazu i wraca do swego schroniska.

Równocześnie z miotaczem min rozpoczynają ostrzeliwanie Cytadeli haubica i bateria trzecia ze stanowisk wyznaczonych im już poprzednio w ten sposób, że każde działo wyrzuca na przemian jeden granat i jeden szrapnel tak długo, jak długo nie ustanie miotacz, którego działanie oblicza się na około pięć kwadransów. Po spełnieniu zadania, oczekują baterie dalszych rozkazów na zajmowanych stanowiskach. Stanowisko karabinu maszynowego na lewej wieży kościoła Maryi Magdaleny, skąd ostrzeliwuje jedynie tylną część podwórza Cytadeli, ale tylko na widoczne grupy nieprzyjacielskie. Poza tem ostrzeliwuje je także z flanki okop znajdujący się przed głównym gmachem Cytadeli, o ileby tenże był obsadzony. Działanie karabinu maszynowego ustaje równocześnie z bateriami i czeka na dalsze rozkazy.

Kompanja szturmowa.

W czasie powyższego przygotowania, podchodzi kompanja szturmowa pod parkan okalający Cytadelę od strony ulicy Bogusławskiego i czeka w ukryciu przerwania ognia miotaczy min, dział i karabinu maszynowego i w tym czasie podcina cztery słupy parkanu tak, aby ten nie upadł, ale był łatwy do strącenia małemi siłami ludzkiemi. W stosownym momencie zwała parkan i wpada jedną sekcyą na najbliższy bastyon, zwalczając go, a o ileby był już opróżniony, rzuca się ruchem flankowym na zachodnie skrzydło okopu znajdującego się przed gmachem głównym i wypiera z niego nieprzyjaciela.

Druga sekcyja biegnie wzdłuż szkarpu (martwym polem) do następnego bastyonu nad ul. Pełczyńską, zajmuje go również, a gdyby tenże był już opróżniony atakuje wschodnie skrzydło okopu i zajmuje je.

Sekcyja trzecia biegnie tym samym szkarpem bezpośrednio za sekcyą drugą, zatrzymuje się przed środkiem okopu i atakuje środek równocześnie z drugą.

Gdyby się okazało, że gmach główny nie jest jeszcze całkowicie opróżniony, natenczas cała kompanja szturmowa opuszcza okop i obrzuca granatami jego otwory (okna) poczem wraca do okopu i pozostaje w nim do dalszego rozporządzenia, gdyby zaś gmach był wolny, zostaje w okopie.

Piechota.

Bezpośrednio za kompanją szturmową postępuje piechota w następującym porządku:

Pluton kpt. Hickiewicza ustawia się rozwiniętym frontem do Cytadeli jako prawe skrzydło w martwym polu ulicy Pełczyńskiej naprzeciw bastyonu położonego po prawej stronie pływalni wojskowej.

Pluton pierwszy kompanji własnej zajmuje środek a drugi lewe skrzydło naprzeciw bastyonu położonego najbliżej ulicy Bogusławskiego i Elektrowni.

W chwili gdy prawe skrzydło kompanji szturmowej rozpocznie swą czynność cała kompanja piechoty frontem wspina się na szkarp, gdzie rozdziela się w ten sposób, że pluton kpt. Hickiewicza przebiega obok prawego skrzydła gmachu głównego, zaś plutony 1. i 2. kompanji własnej obok lewego skrzydła tego gmachu i wypiera lub biorą w niewolę resztę załogi Cytadeli znajdujące się w tylnym podwórzu.

Pluton trzeci kompanji własnej rezerwa.

Dalsze rozkazy otrzyma piechota na miejscu.

W razie nieprzewidywanych wypadków, t. j. gdyby miotacz min lub artylerja zawiodły, akcję ograniczy się tylko do cernowania Cytadeli. Rozkazy stosowne zostaną wydane.

Stanowisko moje w czasie przygotowania w szkole Marji Magdaleny a w czasie ataku przy piechocie.

Czas rozpoczęcia akcji godzina 6 rano.

Wszystkie oddziały mają zająć stanowiska o godzinie 5:45 rano. Trzeźniowski kapitan m. p.“

(Archiwum Wojsk. Biura Hist. w Warszawie).

- Abderman 58.
 Abraham 9-10, 12, 36-40, 126, 197,
 230, 260, 357.
 Adamczewski 324.
 Adamus 9.
 Ajdukiewicz 4, 69, 78, 124, 135, 170,
 337.
 Aleksiejew 27.
 Amanówna 9.
 Anczyc 133, 335.
 Andrusiewicz 9.
 Antoszewicz 9, 28.
 Arciszewski 431.
 Artwiński 9.
 Aschkenaze 214.
 Aślanowicz 9, 16, 39.
 Bac 162-3, 169-70, 173, 344, 346,
 349, 419, 421.
 Baczyński Karol 1-23, 32, 35, 40,
 45, 320-1.
 Baczyński Zdzisław 5, 9.
 Balicki 8.
 Balk 125.
 Bałaban 8.
 Bartel 133, 139, 141, 195, 207.
 Barys 291.
 Barzykowski 292.
 Bastyr 231-2, 316.
 Battaglia 343-4, 347, 417.
 Beck 213.
 Bednarczuk 433, 435.
 Berdowska 324.
 Berezowska 433.
 Bergman 8, 13, 17, 19-20, 39, 41,
 126, 230, 270-1.
 Beseler 410.
 Białkowska 58.
 Białoskórski 9.
 Bieganówna 433.
 Biegański 8, 57, 71, 292.
 Bieńkowski 126, 140, 203, 230, 254,
 260, 430, 433.
 Biernacka 431.
 Bilczewski 324.
 Bitschan 19, 53.
 Błeszyński 267, 275-6, 279.
 Bocian 324.
 Bończa-Uzdowski 335.
 Borkowski 168-9.
 Boruta-Spiechowicz 7-8, 10-19, 22,
 25-63, 83, 96, 137, 146, 174, 203,
 230, 235, 237-8, 269-70, 275, 278-81,
 320, 381-2, 402, 436.
 Browiński 149, 164, 173, 175, 401.
 Bryła 189.
 Brzozowski 126, 140, 218, 230, 371.
 Budziński 8.
 Budzyna 8.
 Bujalski 9-11, 54, 96-7, 126-7, 181-2,
 185, 230, 233, 238, 275-6, 280, 429-30.
 Bujwidówna 337, 419, 433.
 Bukszowany 360, 364.
 Bykowski 151, 401.
 Cehak 133.
 Chmielnicki 403.
 Cichocki 9.
 Cieński Pomian Michał 12, 212-3,
 Cieński Tadeusz 200, 254, 353, 362,
 405.
 Chłamtacz 200-1, 254, 353, 362, 407.

- Chrapek 16.
 Conrad v. Hötzenndorf 125.
 Csadek 8, 15, 27.
 Cwinarowicz 291.
 Czaczka-Ruciński 291.
 Czapliński 291.
 Czartoryski 307.
 Czyżewicz 16.
 Czyżewski 432.
 Daszyński 346, 420.
 Dayczak 164, 174, 176.
 Dąbrowski Jan 432.
 Dąbrowski Stefan 189, 398, 409.
 Dembiński 398.
 Denhoff-Czarnocki 135.
 Dewiczowa 58.
 Deschu 6-7, 9.
 Domaszewicze 58.
 Domaszewiczowa 431.
 Drewnowski 293-4, 299, 307.
 Drexler 324.
 Drobniewicz 269.
 Dubanowicz 191, 200, 204, 298-9,
 301, 310, 314, 353, 362, 409.
 Dzieduszycki 12, 182, 430-1.
 Eminowicz 8.
 Felsztyn (Feldstein) Roman 86, 88,
 137, 433.
 Felsztyn (Feldstein) Tadeusz 6,
 65-108, 149, 218, 320, 370, 427-34,
 437.
 Filipowicze 148, 325.
 Foch 395.
 Frączek 436.
 Garbień 168.
 Gepert 430.
 Gigiel-Melechowicz 245.
 Głabiński 292, 295, 298-9, 301-3, 307,
 310, 313, 338.
 Głowiński 292.
 Gnatewicz 431, 435.
 Gochel 291.
 Godlewski 324.
 Goertz 435.
 Goldberg 214.
 Gostyński 324.
 Górecki 28.
 Górską Helena 324.
 Górską Zofia 9, 324.
 Grabska 435.
 Grabski 88.
 Graff 292.
 Grippenkerl 125.
 Grocholski 207.
 Grodyński 169-70, 173-4, 183.
 Gruszka 291.
 Hafler 22, 63, 69.
 Haluza 137.
 Hartleb Kazimierz 286, 295, 311, 315.
 Hartleb Mieczysław 68, 71.
 Hartleb Tadeusz 6, 291, 295, 321.
 Hartleb Zygmunt 69.
 Hausner 139-40, 254, 353, 362.
 Hayder 137.
 Heller 207.
 Herburtówna 337.
 Hermanówna 7, 9.
 Hickiewicz 103-4, 437-8.
 Hinke 9.
 Hofbauer 9, 20.
 Homme 291.
 Honyckij 45.
 Hornowski 432.
 Hornung 8.
 Hoszowski 127.
 Hutter 86, 89, 104, 428-6, 431, 437.
 Idzik 431.
 Immanuel 125.
 Iwanowski 286.
 Iwaszkiewicz 205, 392.
 Jabłoński 6-8.
 Jakubski 4, 84, 90, 109-282, 317, 321,
 351-2, 371, 377, 381-3, 387-9,
 391-2, 396-402, 410-1, 419, 421.
 Janiszewska 58.
 Januszewski 114.
 Jarina 9-10, 40.
 Jarosiewicz 434.
 Jarosz 29, 73.
 Jasiński 127-8, 190.

- Jędrzejowiczowa 9, 286, 311, 315.
 Joniak 335.
- Kalina 432.
 Kalinowski 8, 57.
 Kamieński 395-6.
 Kamińska 315, 324.
 Kamiński 5-6, 35, 70, 82-3, 120,
 122-4, 144, 146, 154, 283-332,
 336, 344, 346, 349, 402, 410, 419.
 Kamski 245.
 Karłowiczówna 57-9.
 Kasperek 292.
 Kasza 53.
 Kiełb 34, 236.
 Kiełbusiewicz 133.
 Kisiel 406.
 Klee 259.
 Klimaszewski 8.
 Klimkowska 9.
 Klinger 346.
 Klink 57, 295, 427.
 Kmita-Stasiniewicz 126, 167, 183,
 322.
 Kniaziółucki 96.
 Knoll-Kownacki 59.
 Kochanowski 8, 315.
 Kolbuszowski 236, 353, 355.
 Kopeć 84, 131, 173, 196, 230, 233-5.
 Korabiowski 7-8.
 Kos 436.
 Kosacz 8.
 Kostynowicz 6, 8, 73-4.
 Koszyk 107, 435.
 Kotarba 88, 433.
 Kowalczewski 434-5.
 Kozicki 6, 8.
 Kozłowski Edward 9.
 Kozłowski Stanisław 337, 343.
 Kozubski 139.
 Kralik 8.
 Krogulski 292, 324.
 Kron 70, 151, 163-4, 336, 339, 344,
 400, 413, 418-9.
 Kruszyński 251.
 Krynicki 16, 244.
 Krzanowski 61.
- Krzywy 430.
 Kubin 337, 341, 417.
 Kuchar 436.
 Kuciara 430.
 Kudelski 121, 164, 166, 168-9, 183,
 343.
 Kukiel 115.
 Kulikowski 291.
 Kułakowski 9.
 Kwiatkowski 429-31, 435.
 Kycia 427.
- Langie 8.
 Lamezan-Salins 126.
 Laskownicki 315.
 Laskowski 291.
 de Laveaux 4, 37, 70, 124, 144-5, 164,
 178, 202, 232, 300-1, 303-4, 308-9,
 311, 333-65, 401, 409, 418-23.
 Lazarewiczowa 58.
 Leśniewski 160.
 Lewartowski 315.
 Lichtenberg 433.
 Lipiński 433.
 Lis-Kula 245, 247.
 Lisowski 60-1.
 Litwin 8.
 Liwacz 8.
 Loewenherz 209.
 Longchamps 350, 421.
 Lubaczewski 8, 16, 20.
 Lutze-Birk 133.
- Łapiński-Nilski 84-5, 94, 97, 99, 101,
 111-2, 124-5, 131, 144-7, 160, 162-4,
 168, 174-5, 178-84, 203-5, 210,
 217-20, 243, 248-9, 252, 256, 264-5,
 267-8, 278-9, 281-2, 317, 321, 325,
 340-1, 351-2, 358, 387-8, 421.
 Łodziński 11, 126, 249-50, 347, 428.
 Łomnicki 133.
 Łyszczarczyk 8.
- Machalski René 324.
 Machalski Tadeusz 126, 247.
 Magiera 433.
 Majewski Romuald 121, 136.

- Majewski Stanisław 11, 40.
 Malczewski 305, 341.
 Malinowska 9.
 Marek 292.
 Marks 9, 17.
 Marszałkowicz 176.
 Marszałkówna 432.
 Massar 84, 87, 89-90, 149-50, 176,
 430-2.
 Maślakiewicz 431.
 Mayer-Mally 395-6.
 Mączyński 4-7, 29, 34, 40, 49-50,
 68-70, 73, 75-6, 79-82, 84-5, 87,
 90-1, 94-7, 101, 112, 118-9, 122-4,
 129-30, 139, 144-155, 162-4, 170,
 173-6, 178-81, 183-5, 187-8, 191,
 193-4, 196-202, 210-12, 218-20,
 223-5, 230, 233, 247-9, 252, 256-7,
 264-8, 281, 300-4, 308-11, 314,
 317-23, 325-6, 328, 330-1, 337-9,
 341, 344-53, 360, 362-3, 367-73,
 375-413, 419-22.
 Mejbaum 169, 173-5, 177, 202.
 Mierzeński 168.
 Mięslowicz 295.
 Miodoński 291.
 Mond 88, 91, 121, 126, 182, 203,
 228, 230, 252, 262, 264, 278, 280,
 430, 433, 436.
 Mossoczy 9, 16-7, 20, 126, 231.
 Mossor 433.
 Murzyńska 433.
 Muśnicki 427.
 Nagler 417.
 Napoleon 148.
 Nawrocki 341, 344.
 Nehrebecki 89, 431.
 Neumann 407.
 Niedźwiecki 76, 428.
 Niezabitowski 407.
 Nittman 7, 9, 37, 126, 163, 235-6,
 339, 349, 353, 415-23.
 Nowyówna 324.
 Nowak-Przygodzki 419.
 Odzierżyński 137.
 Ogiński 6, 8.
 Olesiówna 58.
 Ołowski 124, 164, 421-2.
 Orobkiewicz 133.
 Osmólski 137.
 Ostrowski Stanisław 427, 431, 435.
 Ostrowski Władysław 434.
 Ottowski 422.
 Pacześniak 292.
 Paliwodzianka 324.
 Panaś 389-90.
 Pappée 214.
 Paszkowski-Krok 19, 51, 270, 273-5,
 281, 382.
 Paulik 87.
 Petlura 118, 403.
 Petry Stanisław 9, 16, 39, 43.
 Petry Stefan 9, 16.
 Piątkowski 323.
 Pieracki Bronisław 6, 9, 12, 14, 17,
 29-30, 42-3, 45, 83, 124, 144, 286,
 300, 304, 309, 320, 341, 385, 402
 419.
 Pieracki Zygmunt 169-70, 173.
 Pietrzak 295, 300, 306.
 Piguleczka 74, 104, 437.
 Piłsudski 28, 336, 403, 417.
 Piniński 142-3, 324.
 Pirgo 127.
 Plutecki 16.
 Polatyński 432, 435.
 Pollak 104, 107, 435, 437.
 Próchnik 114-5, 386-7, 392, 417.
 Prószyński 133.
 Przepilińska 435.
 Rakisz 88, 91, 428-9, 431, 423.
 Rechowicz 133, 169.
 Reinländer 295, 300, 305.
 Rejman 291.
 Rembacz 324.
 Robakowski 270, 272.
 Roja 19, 21, 27-8, 60-1, 112, 205, 291
 315, 386, 389.
 Rozwadowski 63, 205.

- Rožen 4, 144, 217, 219–20, 324–5,
 341, 346, 349–51, 371, 419, 421.
 Różycki 292.
 Rudek 432.
 Rutkowski Aleksander 124, 162–3,
 168, 182, 184, 351, 391–2, 422.
 Rutkowski Karol 8, 11.
 Rydz-Śmigły 247.
 Rynikiewicz 58.

 Sachnowski 343.
 Samuely 214.
 Sawczyński 432.
 Schenker 209, 213.
 Schleicher 209, 407.
 Schleyen 88, 251, 417–8, 431, 436.
 Schramm Andrzej 6, 75, 428, 432.
 Schramm Jan 7, 9, 34, 39, 41, 126,
 236, 353, 428.
 Schroeder 324.
 Schuster 427.
 Schwarz 8.
 Schwarzenberg - Czerny 9, 12, 124,
 203, 230.
 Segeta 295.
 Selzer-Sieleski 4, 121, 137, 164, 166,
 236, 343.
 Siarkiewicz 127.
 Sieniewicz 432.
 Sienkiewicz 406.
 Sikorska 315.
 Sikorski Franciszek 286.
 Sikorski Walerjan 7, 9, 12, 62, 94,
 122, 152–3, 209, 269, 273, 276.
 Sikorski Władysław 4, 28, 35, 67–70,
 73, 123, 247, 286, 289–95, 297,
 299, 302, 305–7, 319, 326–8, 336,
 340, 344, 349, 432.
 Silber 296.
 Skałkowski 114–5, 133, 392.
 Skarbek 67, 70, 205, 338, 362, 409.
 Skarszewski 8.
 Sochocki 103–4, 107, 431, 433, 435,
 437.
 Sokolik 432.
 Sokołowski 126, 167–8, 182.
 Spira 291.

 Stachiewicz 120, 419.
 Stahl 200, 294, 362, 372, 407.
 Stark Edmund 8–9, 39, 84, 86, 417, 430.
 Stark Wilhelm 142, 228, 230, 432.
 Stefanowicz 142.
 Stefczyk 8, 32, 59.
 Stesłowicz 294, 306, 407.
 Strowski 6–8.
 Szameit 433.
 Szczepański 292.
 Szczyrek 362.
 Szeptycki 323, 363, 365.
 Szumowski 433.
 Szwejkowski 292.

 Śliwiński Aleksander 19.
 Śliwiński Jan 292, 430, 432.
 Śniadowski 4, 16, 44, 120, 124, 144,
 300, 304–5, 308, 325, 341, 343–4,
 346, 348, 402, 410, 419.
 Świerzyński 246.
 Świeżawski 11, 78–9, 90, 430.
 Świstelnicki 71, 128, 427–8.
 Świtalski Kazimierz 4, 120, 124, 178,
 311, 337–8, 341, 349, 352.
 Świtalski Stanisław 433.

 Tarnawski 232, 235, 237.
 Thullie 126.
 Tokarzewski 49–52, 54–5, 102, 108, 205,
 265, 267–8, 271, 273, 278–9, 281,
 363–4, 381, 386, 389, 436–7.
 Tomaszewski 123.
 Tomicki 137–8.
 Torma 292.
 Torosiewiczówna 435.
 Trembicki 9.
 Trześniowski 4–6, 11, 28–9, 67–74,
 76–88, 90–1, 95, 101–2, 105–8, 122,
 124, 144, 146, 149–50, 185, 203, 210,
 230, 252, 255, 264, 278, 295–7, 300,
 302, 309–12, 314–17, 320–2, 349,
 370–1, 385, 390, 410–1, 421–2, 427–38.
 Trudnerówna 431, 433.
 Tychowski 401.
 Tymków 89, 430–1, 435.
 Tynikówna 433.

- Villaime 363-4.
- Walicka 324.
- Waligórski 291.
- Wallner 292.
- Waluszewski 401.
- Wasilewski 122, 131, 135, 164,
185, 230, 343.
- Wasserab 292.
- Wasył Wyszywany 232, 235, 288,
395, 403-4.
- Weiss 8.
- Weksler 151, 311, 349-50.
- Werschler 324.
- Weryński 324.
- Węgrzynowski 164, 169, 344, 346,
349, 353, 364, 385, 419.
- Widacki 55.
- Widomski 162, 169, 173-4, 177-8,
188-9, 202, 239.
- Wielkopolska 9.
- Wierzbicki 292.
- Wierzyńska 27-8.
- Wiesner 296.
- Więckowski 335.
- Wilczyński 292.
- Wilson 242.
- Wityk 14, 43.
- Włodkówna 324.
- Włyńska 9.
- Wojciechowski 89-90, 427, 429, 431,
437.
- Wolak 9, 13, 39, 43.
- Wolański 294.
- Wróblewski 430.
- Wrona 9.
- Wydrzyński 34.
- Wyrzykowski Hipolit 9, 41.
- Wysocki Piotr 77.
- Wysocki Piotr Władysław 56.
- Wyżykowski Stanisław 8.
- Zacharyasiewicz 430, 432.
- Zagórski 8, 15.
- Zajac 9.
- Zajączkowski 8.
- Zajchowski 324.
- Zaleski 8, 295, 320-1.
- Zarugiewicz 331.
- Zarugiewiczowa 331.
- Zawadzka 9.
- Zborzil-Mirecki 9, 41, 54, 126.
- Zubrzycki 41, 74.
- Zulauf 286.
- Zygmuntowicz 124, 236, 308, 343, 353.
- Żmuda 57, 59.

ERRATA.

Str. 28 wiersz 6 i 10 od dołu zamiast: Antosiewicz, ma być: Antoszewicz.

Str. 70, 151, 163 i 164 zamiast: por. (ppor.) Kron, ma być: chor. Kron.

Str. 84 wiersz 2 u góry zamiast: ś. p. Wkitora Kopcia, ma być: ś. p. Ludwika Kopcia.

Str. 88 w przypisku zamiast: ppor. Marceli Koterba, ma być: ppor. Marceli Kotarba.

Str. 103, 104 i 107 zamiast: ppor. Sochacki, ma być: ppor. Sochocki.

Str. 158 wiersz 12 od dołu zamiast: Komendy miasta i placu, ma być: Komendy miasta i powiatu.

Str. 343 i 347 zamiast: sierż. Battaglia, ma być: plut.-pchor. Battaglia.



